

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

Nr. 1188—1197.

BIBLIOTEKA Powszechna

Władysław Pobóg-Malinowski

Stefan Żeromski

życie i twórczość



Każdy tomik można osobno nabyć

Nakładem i drukiem księgarń
WILHELMA ZUKERKAND

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
W KAŻDEJ KSIĘGARNI

rcin.org.pl

łożona w roku 1874 firma Księgarska

W. ZUKERKANDEL W ZŁOCZOWIE

wydaje od roku 1891 najtańsze w Polsce

==== wydawnictwo pod nazwą ====

IBLIJOTEKA POWSZECHNA“

Biblijoteka Powszechna wychodzi
ikami, z których każdy stanowi dla siebie
ębną całość, wyjątkowo obszerniejsze dzieła
dają się z dwóch lub kilku tomików.
dy tomik nabywać można w Księgarniach
szurowany, lub oprawiony.

Na treść tomików Biblijoteki Powszechnej
da się wszystko co umysł ludzki zająć
afi. Więc zawiera ona: dzieła poetyczne,
wieści, nowele, humoreski, dzieła sceniczne
redje, dramaty, komedje) tak polskich,
i obcych pisarzy. Zawiera Biblijoteka
wszechna dzieła ze wszystkich dziedzin
dzy i nauki, jak z historii, historii literatury
p., z nauk przyrodniczych i t. d. Zawiera
ęczniki do nauki języków, — z zakresu
naitych sportów, zabaw i gier, uwzględnia
yście potrzeby życia praktycznego.

CIĄG DALSZY NA STR. 3. OKŁADKI.

Władysław Pobóg-Malinowski



Stefan Żeromski

życie i twórczość



INSTYTUT

WYDAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77

Tel. 06-68-67

ZŁO CZÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI WILHELMA ZUKERKANDLA

<http://rcin.org.pl>

K 16.580

Gabinet
filologiczny
im. G. Korbuta
T.N.W.

<http://rcin.org.pl>

Rzucając w świat niniejszą pracę, poczuwam się do
milego obowiązku złożenia na tem miejscu podziękowań

JWielmożnemu Panu Stanisławowi Piólu-
Noyszewskiemu, który na prośbę moją o uzupełnienie
posiadanych przezemnie wiadomości o życiu osobistem
Stefana Żeromskiego nie tylko nadesłał szczegółową
relację, lecz także upoważnił do korzystania z materiału
faktycznego, zawartego w książce Jego p. t. „Stefan
Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość”, --- oraz

JWielmożnemu Panu Romanowi Orzechow-
skiemu, który na prośbę moją dostarczył mi wielu
szczegółów, dotyczących życia i twórczości Stefana
Żeromskiego, przepisując własnoręcznie długie ustępy
z rzadkich książek i czasopism, przechowywanych
w bibliotekach krakowskich, a dla mnie chwilowo
nieдоступnych.

Autor.

Złoczów, we wrześniu 1929.

<http://rcin.org.pl>

Ktokolwiek jest winowajcą straszliwych grzechów rodu ludzkiego, trzeba dźwigać się z brudu!... Niech to czynią mężczyźni i kobiety!..“

„Ludzie Bezdomni“.

<http://rcin.org.pl>

archiwaly IBI

Rodowód i życie
Stefana Żeromskiego
<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

Dom Żeromskich należy do najstarszych rodów szlachty polskiej. O dawności jego przekonać nas może już samo brzmienie nazwiska: źródłowem jego jest według St. Piółun-Noyszewskiego zamarty i niezrozumiały już dziś wyraz *żeremię*, którym w staropolszczyźnie nazywano bobrowiska, czyli osiedla bobrów, — zwierząt, nie spotykanych na ziemiach polskich już od kilku wieków, — według Witolda Taszyckiego zaś, opierającego się na pracach B. Ulanowskiego, A. Pawińskiego, Łosia, Hubego, Długosza oraz na »Kodeksie dyplomatycznym księstwa mazowieckiego« — wyraz *żyr*, później *żer*, oznaczający to, co się przyczynia do podtrzymania życia, z czego się żyje, żarcie, pokarm. Nie będziemy się rozwodzili nad tem obszerniej. Chodzi nam jedynie o stwierdzenie dawności rodu, a tak jeden, jak i drugi wyraz sięga najdalszych, najdawniejszych źródeł polszczyzny.¹⁾

¹⁾ Porównaj: St. Piółun-Noyszewski — „Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość“. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa — Kraków. 1928. str. 9 oraz artykuł Witolda Taszyckiego p. t. „Pochodzenie nazwiska Żeromski“, ogłoszony w „Języku polskim“, organie Towarzystwa miłośników języka polskiego, wydawanym z zasiłkiem Minist. W. R. i O. P. oraz Polskiej Akademji Umiejętności. Zeszyt za lipiec — sierpień 1929.

W herbarzach polskich z nazwiskiem Żeromskich spotykamy się po raz pierwszy w roku 1361. W roku tym trzech bracia, — Jan, Henryk i Marcin Żeromscy, — sporządzali w aktach płońskich t. zw. donacje.

Początek rodu ginie w pomroce naszych dziejów. O najstarszych praszczurach pisarza nie wiemy nic. Założyciel gniazda rodowego nie jest nam znany imiennie, — nie możemy określić ściślej czasu, w którym żył i roli, jaką w życiu swego plemienia odegrał. W dociekaniach swych opierać się możemy jedynie na zwyczajach, powszechnie w Polsce ówczesnej stosowanych, oraz na analogjach z innymi rodami szlacheckimi, które z tych czy innych powodów wykazać się mogą dokumentami o wartości historycznej.

O warunkach, w jakich tworzyły się i powstawały najstarsze gniazda szlachty polskiej, pisze Żeromski w jednym z najwspanialszych zapewne rozdziałów „*Wiatru od morza*“, — w przedziwnie pięknej opowieści o cudnej duszy stuletniego starca Wyszki Zamk Trzebiatowskiego. Pozwolę sobie ustęp ten przytoczyć tutaj, — nie dlatego, że jest on doskonałym rozwinięciem myśli, rzuconej przezemnie poprzednio, lecz przede wszystkim dlatego, że jest jednym z licznych wyrazów nostalgicznego stosunku pisarza do przeszłości, do cieniów przodków dawnych, dalekich.

...»Panosza pomorski, imieniem Wisław, czyli pospolicie Wyszka, nazwiskiem Zamk Trzebiatowski, siedział na starej ojców roli, w górze wód, kędy Piaśnica wlewa się w Żarnowieckie jezioro. Kiedy w te strony przybyli Zamka ojcowie, o tem już dawno zapomnieli nie tylko sąsiedzi zbliska i zdala, lecz i same uczone panny cysterski, władczynię ziem u wyjścia Piaśnicy z jeziora. Nie wiedział tego dokładnie ród Trz biatowski. Jakaś tylko baśń mętna i na miarę czasu przekształcona wspominała, iż przyszli tu byli ongi z Polści i żesami z Polochów ród swój wiodą. Stare, niejasne, zagmatwane podanie, z ust ojca w ucho syna pospołu ze słowami pacierza snując się w czasie, głosiło, iż skadsiś, od jakowegoś jeziora Gopła, z królem pradawnym, przepotężnym, wielkim i szczodrym szli w te strony na Swiecie, Gniew, Tczew, Gdańsk aż do fal morza. Święta i czczona klechda domowa świadczyła nadto, iż od owego pradawnego króla, za wielkie na wojnie wysługi, praszczur rodu otrzymał nad Piaśnickiem jeziorem splecheć lasu niemały, — od wielkiej wody w górę aż do zaciosanego buka na polanie, od buka aż po pażycę i znowu w dół do urodzajnego nad wodą osieka. Bór ów leżał na wschodnim brzegu jeziora, nachylał się wraz z ziemią ku wielkiej wodzie, schodząc aż na samo wybrzeże. Pradziadowie, dziady i ojce

korczowały go własnymi rękoma. Wycięły buki i dęby, sosny i modrzewia, aż do samych olch, rozrastających się zastępem szerokim ponad jeziorem. Własnymi rękoma wydzierają korzenie pniów, długie na dziesiątki stóp człowieczych, wyszarpywały serdeczne korzenie głębokie na dwa chłopa, ciągnęły na wierzch odnogi i baty jałowca, kłaczę jerku, głógów i tarniny. Palily je na wielkich stosach i popiół rozsypywały na ziemię. Wyniosły na ramionach i w długie poskładały kamionki na miedzy swej dziedziny wielkie, okrągłe, wyślizgane głązy, które sam tylko djabeł mógł pozostawić w tym lesie. Aż wreszcie spod siekiery i gracy wyrzała rola czysta, a urodzajna nad spodziewanie. Niegdyś w przeszłości ojcowie wzniesli pośrodku dziedziny z potężnych modrzewiowych śniatów i płazów dom okazały, dworzyszczce na cały ród potomny «...

Oto — prehistorja szlacheckiego rodu Zamk Trzebiatowskich, a zarazem prehistorja najstarszych polskich rodów szlacheckich. Tak! — tylko stare, niejasne, zagmatwane podanie, klechda święta i czczona, tylko baśń mętna i na miarę czasu przekształcona...

Cały ten ustęp, po dokonaniu drobnych, nieznacznych zmian w imionach własnych i nazwach miejscowości, użyty być może, jako wstęp do każdego prawie rodowodu szlache-

kiego. Bo prawie wszędzie — jakiś nieznanymi imiennie praszczur — po wielu wojennych trudach i znojach — otrzymywał od szczodrego króla czy księcia »spłacheć lasu niemały«, — wszędzie własnymi rękoma, wyszorowanymi w ciągu lat przez pancerz i rękawicę, rwał pniaki i jałowce, wydierał »korzenie pniów, długie na dziesiątki stóp człowieczych«. I wszędzie wznosił »pośrodku dziedziny z potężnych modrzewiowych śniatów i płazów, dom okazały, dworzyszczce na cały ród potomny«...

Osiedlom, powstałym tą właśnie drogą, nadawano nazwy dowolne lub — co się zdarzało najczęściej — dostosowane do charakteru okolicy. Nazwy te, używane obok imion chrzestnych, zastępowały przez czas dłuższy dzisiejsze nazwiska. Dopiero znacznie później, — gdzieś na przełomie wieków XV i XVI, szlachta zaczęła dodawać do nazw tych odpowiednie końcówki i tworzyć w ten sposób swe imiona rodowe. Jan z Tęczyna, Waclaw z Laskowa, Maciej z Kozic czy Henryk z Dąbrowy są dawnymi, dalekimi praszczurami dzisiejszych Tęczyńskich, Laskowskich, Kozickich czy Dąbrowskich.

Na tej właśnie zasadzie przypuszczać słusznie możemy, że pierwotną siedzibą rodu wielkiego twórcy »Popiołów« był Żeromin, dawniej Żeremin, — małe miasteczko w dzisiejszym

powiecie pułtuskim.¹⁾ Kiedy tu praszczurowie pisarza przyszli — dociec trudno. Na podstawie pewnych faktów historycznych przypuszczać możemy, że osiedle to założone zostało z początkiem wieku XII. Założyciel jego służyć musiał w drużynie bojowej książąt mazowieckich i za nadzwyczajne na wojnach wysługi otrzymać od nich musiał »spory splecheć roli«.

Nie wiemy również, jak długo tu praszczurowie pisarza siedzieli. W Pułtuszczyźnie Żeromskich nie spotykamy już oddawna. Exodus z prastarej dziedziny rozpoczął się prawdopodobnie jeszcze za panowania pierwszych Piastów, gdyż już w drugiej połowie wieku XIV spotykamy kilka, z wspólnego prapnia wyrosłych rodzin, mających swe siedziby w różnych połaciach kraju, a mianowicie — w łowickiem, inowrocławskiem i na Podlasiu, — nie utrzymujących ze sobą żadnego wzajemnego kontaktu i pieczętujących się różnemi herbami, jak Gryf, Nowina, Pobóg i Jelita.

Czy supozycja o wspólnem pochodzeniu tych rodzin jest uzasadniona?

Pan Stanisław Piołun-Noyszewski, który w pracy swej o dzieciństwie i młodości Stefana Żeromskiego poświęcił wiele miejsca wspomnie-

¹⁾ Żeromski wspomina o Żerominie w „Przedmówieniu”, gdy mówi o cofnięciu z Białejrusi na Mazowsze oddziału piechoty, w którym Cezarek Baryka służył jako ochotnik w roku 1920.

niom o charakterze heraldycznym, zwraca uwagę, że istnienie wielu rodzin o jednakowo brzmiących nazwiskach jest, w Polsce zwłaszcza, zjawiskiem bardzo pospolitem. I w herbarzach, i w życiu codziennem spotykamy się bardzo często z rodzinami Dąbrowskich, Kwiatkowskich, Majewskich czy Wiśniewskich. »W tych atoli wypadkach supozycja o wspólnem imienników pochodzeniu byłaby bezzasadną. Są to nazwiska rozpowszechnione, a powstawały niezależnie od siebie, dzięki mnogości wiosek, których nazwy podobne urabiały całe szeregi jednobrzmiących imion rodowych. Gdy wszakże chodzi o rodzinę Żeromskich, przypuszczenie o wspólnem jej odłamów pochodzeniu jest o tyle prawdopodobne, że mamy tu do czynienia z nazwiskiem dawnem i niepospolitem, którego staropolskie brzmienie jest już od kilku wieków dla nas niezrozumiałe i łatwo przez szlachtę nową przybierane być nie mogło«.

Ród Żeromskich, jak świadczą zapiski heraldyczne, był możny i zasobny. To też przedstawiciele jego wyróżniali się wśród współczesnych ofiarnością, inteligencją i wykształceniem, oraz piastowali niejednokrotnie godności bardzo zaszczytne. Mimo tych sprzyjających okoliczności w życiu kraju roli wybitniejszej Żeromscy nie odegrali. Z nazwiskiem ich spotkać się możemy jedynie w herbarzach, encyklopedjach i w bardzo

szczegółowych monografiach, a więc w wydawnictwach nielicznych i nie dla wszystkich dostępnych.

Postacie, najbardziej w rodzie głośne i dzielne, wyszły z odłamu, pieczętującego się herbem Pobóg. Najdawniej w herbarzach wspomnianym przedstawicielem tego domu jest Wawrzyniec Żeromski, mąż »pobożny i miłosierny«, bo — jak świadczą zapiski heraldyczne — »gdy w roku 1532 gwałtowne dżdże tak pola zalały, że z niedostatku żywności głód i się ciężki otworzył, Wawrzyniec gumna swoje i śpichrze na zgłodniałych ludzi szczerze wyszałował, wprawdzie z wielkim uszczerbkiem fortuny, ale z pełną od Boga zapłatą nadzieją, którem swoim miłosierdziem wielu od oczywistej śmierci salwował«.

Znany z ofiarności Wawrzyniec Żeromski nie skąpił grosza na edukację swych dzieci. Syn jego, Marcin, — zgodnie ze świadectwem p. Noyszewskiego, — był mężem wypróbowanej prawości i szerszych horyzontów umysłowych. W ostatnich latach wieku XVI. zajmował on stanowisko pisarza grodzkiego kaliskiego. W roku 1610 ofiarowano mu godność pisarza ziemskiego. Na stanowisku tem wszedł pan Marcin w bliższy kontakt z Jędrzejem Opalińskim, podówczas marszałkiem wielkim koronnym. Jako człowiek wyjątkowo światły, rozumny i prawy, łatwo wzniecił u marszałka wielki dla siebie szacunek

oraz zaskarbił sobie jego przyjaźń, miłość i bezgraniczne zaufanie. Marszałek bowiem częstokroć »zażywał go w trudnych sekretnych interesach«, a w chwili zgonu wyznaczył na opiekuna swych dzieci. Ofiarowywanego mu dwukrotnie przez szlachtę kaliską sęstwa ziemskiego Marcin nie przyjął. Odpowiadała mu bardziej godność poselska. Jako poseł na sejm Rzeczypospolitej, — »swojem przymileniem« tudzież »wytwornym rozsądkiem« zaskarbił sobie »wielu braci afekta«.

Syn tego światłego człowieka, Piotr Żeromski, starannie w domu wychowany, a wykształcony wszechstronnie w uczelniach polskich i włoskich, piastował czas jakiś godność kuchmistrza koronnego i starosty bydgoskiego. Wykazawszy uzdolnienia w kierunku dyplomatycznym, wszedł około roku 1633 do najbliższego otoczenia króla Zygmunta III. i brał następnie udział w kilku legacjach zagranicznych. W herbarzach znaleźć można wzmianki o podróżach jego w sprawach państwowych do sultana tureckiego, do cesarza Rudolfa oraz do księcia austriackiego Albrechta.

Znany jest w rodzie także Stanisław Żeromski, herbu Nowina, który wchodził w skład dworu królowej Bony. Młodszy z dwu jego synów, Augustyn, jeździł do Moskwy w charakterze posła królewskiego.

O Żeromskich, pieczętujących się herbem Gryf, nie wiemy prawie nic. Heraldyka w tym wypadku ogranicza się do podania suchych i nic nie mówiących dat urodzin i śmierci. Wyciągnąć stąd można wniosek, że przedstawiciele tego odłamu nie uczynili nic, coby wśród współczesnych zaszczytnie wyróżnić ich mogło.

* * *

Próbowali Żeromscy sił swoich także i na polu literackim. Znamy pięciu antenatów autora »Popiołów«, którzy pisali i drukiem ogłaszali rozmaite dzieła. Zgodnie ze świadectwem historyka Eugenjusza Landa, Żeromscy owi nie zapisali się w piśmiennictwie polskim trwalszemi zgłoskami. »Nie znają ich badacze dziejów, ani też historycy literatury polskiej«. Imiona ich ukrywają się »po herbarzach i biblijografjach, i to biblijografjach najszczegółowszych, jak Estreichera i Finkla, to też dzieła ich są dla nas przeważnie niedostępne, — nie wiemy nawet, w jakiej bibliotece się znajdują«.

Zgodnie z chronologją, zacznijmy od Stanisława Żeromskiego, herbu Nowina, syna wspomnianego już przez nas Augustyna, który jeździł do Moskwy w charakterze posła królewskiego.

W roku 1634 nieznaną nam drukarnia krakowska wydała pod imieniem i nazwiskiem pana Stanisława poemat p. t. *„Pamiętka krwawej*

ofiary“, — liczący około tysiąca wierszy i będący jakby fragmentem tak licznych u nas, a tak w w. XVII popularnych »chrystjad« czy »mesjad«. Niestety, tego przedstawiciela rodu Żeromskich do grona pisarzy zaliczyć nie możemy, albowiem wydana pod jego nazwiskiem „*Pamiętka*“ jest dosłownym przedrukiem poematu p. t. „*Krwawa ofiara Jezusa Chrystusa*“, którego autorem był znany w owych czasach rymopis Wawrzyniec Chlebowski.

„*Krwawa ofiara*“ drukowaną była w Krakowie dwukrotnie pod nazwiskiem właściwego autora, — po raz pierwszy w r. 1616 czy 1617, po raz drugi w r. 1621, — i cieszyła się dużą — jak na owe czasy — poczytnością. Co skłoniło pana Stanisława do popełnienia plagjatu, — dociec dziś trudno. Historyk Eugenjusz Land, za którym te ciekawe szczegóły powtarzam, uważa, że zasadniczo możliwe tu są dwie hipotezy: zła wola pana Stanisława, albo interes wydawcy.

U nas, — jak to stwierdza prof. A. Brückner¹⁾ — »w wieku XVII plagjaty nagminnie grasowały, nie tylko między wyrobnikami literackimi; nawet taki Naborowski nie powstydział się ukraść *Czwartaka* Żabczycowi, a biedny Żabczyc, co

¹⁾ Prof. A. Brückner w szkicu p. t. „*Trybunał literacki*“, ogłoszonym w „*Pamiętniku Warszawskim*“ — zeszyt I za rok 1929.

się na »łowiczów« literackich żalił, i sam się tego grzechu dopuszczał. Jest utwór, który pięciu autorów sobie po kolei przywłaszczyło. Plagjat taki bywał jawny, bezczelny, ale częściej listkiem figowym się osłaniał, wydawano za swoje, opuściwszy, dodawszy, zmieniwszy coś niecoś. Liczono widocznie na małe znawstwo, na ograniczoną ilość czytelników i egzemplarzy, więc co Żabczyc w Krakowie wydrukował, tem mógł Naborowski Radziwiłła w Kiejdanach na kolędę uraczyć. Dzienników nie było, więc kontroli się nie obawiano, a sumienia literackie bywały przestronne; chyba w razie złego humoru sarkano na pospolitą kradzież wierszów z Kochanowskiego«.

Z tych właśnie względów nie należy w sposób zbyt zdecydowany kwestjonować pierwszej hipotezy p. E. Landa.« Mógł Żeromski przywłaszczyć sobie świadomie cudzą własność, co jest karygodne z dzisiejszego, ale bynajmniej nie z ówczesnego punktu widzenia«. Hipoteza ta jednak wydaje mi się mało prawdopodobną już choćby z tego tylko względu, że poemat Chlebowskiego, wydany w Krakowie dwukrotnie, musiał być dobrze znany drukarzom krakowskim. To też nie mógł pan Stanisław w błąd wprowadzić drukarza, który w roku 1634 rzucił na rynek księgarski znaną pracę Chlebowskiego pod innym tytułem i nazwiskiem. Bardziej praw-

dopodobną jest tu hipoteza druga. Przypuszczać słusznie możemy, że interes wydawcy w sprawie tej odegrał rolę najważniejszą. Zgodnie z opinią p. E. Landa, poemat Wawrzyńca Chlebowskiego *cieszył się dużą poczytnością, ale jeszcze większą mógł się cieszyć, jako nowość pod świeżą szatą zewnętrzną i pod inną firmą autorską*. Mógł więc drukarz—wydawca zgodnie z wolą Chlebowskiego zwrócić się do Stanisława Żeromskiego z prośbą o zezwolenie na umieszczenie jego imienia i nazwiska na karcie tytułowej. Mógł też uczynić to samowolnie, bez wiedzy i zgody osób zainteresowanych.

Drugim z kolei był Władysław Maciej Żeromski, herbu Pobóg, syn wspomnianego już przez nas Piotra, który za króla Zygmunta III brał udział w kilku legacjach zagranicznych. Władysław Maciej pozostawił po sobie kilka oryginalnych panegiryków łacińskich na cześć zasłużonych ludzi wieku XVII. Utwory jego ogłaszały drukami drukarze krakowscy, m. in. także sławny Andrzejowczyk. W roku 1636, w związku ze śmiercią arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana Wężyka Widawskiego, ogłasza drukami swe „*Votum pietatis*“. W „*Columna aucta*“, wydanej w dwa lata później, składa hołd Janowi Franciszkowi Walewskiemu, stolnikowi sieradzkiemu i posłowi na Sejm Rzeczypospolitej. W tymże 1638 r. w „*Teressa gratitudinis*“ opiewa zasługi żyją-

cego podówczas Szymona Kołodzkiego, kanonika i prezydenta trybunału koronnego.

Trzecim Żeromskim był Marcin, najprawdopodobniej spisywacz i wykupywacz jeńców polskich w Turcji. Z którego domu Żeromskich pochodził i jakim herbem się pieczętował, — stwierdzić nie zdołałem. Lwowska drukarnia Filipowskiego wydała w r. 1753 jego „*Catalogus captivorum polonorum ex barbarorum servigratitudinis*“.

Czwartym tył Ludwik Żeromski, herbu Jelita, znany z pieniactwa łowczy trocki. Był on bratem rodzonego pradziada wielkiego twórcy „Popiołów“. Ogłosił drukiem, najprawdopodobniej w Wilnie około r. 1790 książkę p. t. „*Sprawa z Adamem Klottem i Szpinkami*“, w której zatarg swój z najbliższymi sąsiadami szczegółowo opisał.

Piąty wreszcie to Wincenty Żeromski, herbu Jelita, urodzony w r. 1791, jedyny syn Kacpra, dzierżawcy dóbr Munina w dzisiejszym powiecie jarosławskim. Był to człowiek starannie i wszechstronnie wykształcony. Z poetą Kazimierzem Brodzińskim łączyły go stosunki bliskie i przyjazne. Pozostawił on po sobie kilka prac z zakresu historii literatury. Prac tych jednak drukiem nie ogłosił. Rękopisy jego butwieją zapewne w jednym z dworów środkowej Małopolski, o ile nie zaginęły przy likwidacji jego domu w Rzeszowie.

Na zakończenie wspomnieć wypada o Karolu Mecherzyńskim, urodzonym w r. 1800, znanym historyku literatury i długoletnim profesorze uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie, — tudzież o starszym jego bracie, Hieronimie, profesorze języków słowiańskich na tymże uniwersytecie. Matką ich była Helena z Żeromskich Mecherzyńska, jedyna córka Jana Żeromskiego, rodzzonego pradziada autora »Popiołów.«

* * *

Stefan Żeromski ród swój wywodził z domu, pieczętującego się herbem Jelita. Dom ten, najprawdopodobniej z początkiem XIII stulecia i bezpośrednio po opuszczeniu prastarego Żeromina, przybył na Podlasie i siedział tu przez kilka wieków. Za panowania pierwszych Jagiellonów, a więc w dobie wzmożonej imigracji polskiej do świeżo przyłączonych krajów litewskich, jeden z przedstawicieli tego domu przeniósł się z Podlasia na Litwę i osiadł w dawnym województwie trockiem, dając początek nowej, t. zw. litewskiej gałęzi rodu.

Dobrze zasłużoną sławą cieszy się w tej gałęzi Kazimierz Chwalibóg Żeromski, stolnik wileński tudzież starosta ciecierski i opęski. W młodości porucznikował on chorągwi usarskiej Wincentego Gosiewskiego, hetmana polnego litewskiego. W roku 1654, w czasie wojny

z carem moskiewskim Aleksym Michajłowiczem, był regimentarzem w wojsku litewskim i odniósł świetne zwycięstwo pod Kuliszkami. Zamordowany w r. 1662 wśród nieznanых nam okoliczności, leży w Wilnie, w kościele ojców Karmelitów Bosych.

O synach i wnukach jego nie wiemy nic ciekawego. Heraldyka i w tym wypadku również ogranicza się jedynie do podania ich imion oraz dat ich urodzin i śmierci.

Prawnuk zwycięskiego regimentarza, a więc przedstawiciel trzeciego po nim pokolenia, Józef Żeromski, miał czworo dzieci, w tem najstarszego syna Ludwika, znanego już nam autora »Sprawy z Adamem Klottem i Szpinkami«.

Dwaj najmłodszy synowie Józefa, a bracia Ludwika, Kacper i Jan Żeromscy, około roku 1775 przenieśli się z Litwy do Korony, by w administracji rozległych dóbr Kuźnice Drzewickie w dzisiejszym powiecie opoczyńskim, stanowiących własność F. Szaniawskiego, starosty bolesławsko-kałolewnickiego, zająć stanowiska intratne, a pod względem towarzyskim najzupełniej możliwe.

Starszy brat, Kacper, nie siedział tu długo. Ożeniwszy się około r. 1780 z posażną panną Zabierzowską, podobno bliską krewną chlebowdawcy Szaniawskiego, przeniósł się w Rzeszowskie i tu w okolicach Jodłowej nabył na własność

nieznany nam folwark. Ostatnie lata życia spędził na dzierżawie dóbr Munina w powiecie jarosławskim. Jedyne syn jego, Wincenty, jest już nam znany, jako autor wielu niewydanych prac z zakresu historii literatury.

Młodszy brat Kacpra, a rodzony pradziad pisarza, Jan Żeromski, spędził w Kuźnicach Drzewickich lat blisko dwadzieścia. Z pewnością, nie opuściłby tych stron aż do śmierci, gdyby nie fatalny wynik insurekcji kościuszkowskiej. Jaki był udział jego w tem powstaniu, — ustalić dziś trudno. Musiał być jednak bardzo poważnie w nie zaangażowany, skoro bezpośrednio po klęsce maciejowickiej, uciekł, porzuciwszy cały swój dobytek, za kordon austriacki i w gościnnym domu brata swego, Kacpra, szukał schronienia. W nekrologu syna jego, Kąjetana, żołnierza napoleońskiego, umieszczonym w krakowskim »Czasie« z r. 1869., powiedziano; że »widział w dzieciństwie dom rodziców, rabowany przez moskali, — ojca, przykutego do działa i matkę, umierającą z rozpaczą«. Ostatnie lata życia spędził pradziad pisarza w Krakowie, gdzie przy ulicy Wiślniej nabył na własność kamienicę. Ożeniony był z Różą z Sawickich, pochodzącą z rodziny, oddawna na Litwie osiadłej. Zmarł w Krakowie w r. 1817, pozostawiając po sobie troje dorosłych dzieci.

Najstarsza i jedyna córka jego, Helena, wyszła za mąż za Mateusza Mecherzyńskiego, profesora liceum krakowskiego. Miała ona dwóch synów, Hieronima i Karola Mecherzyńskich, znanych już nam profesorów uniwersytetu krakowskiego. Ojciec pisarza wychowywał się u niej i z domem jej był bardzo ściśle związany.

Młodszy z dwu jej braci, Kajetan, służył w wojsku Księstwa Warszawskiego i brał udział w wojnach napoleońskich. W roku 1812, w czasie pochodu na Moskwę, został pod Mirem ciężko ranny, a dostawszy się do niewoli, spędził w głębi Rosji przeszło trzy lata. W roku 1815, po ogłoszeniu Królestwa Kongresowego, wrócił do kraju i aż do roku 1830 służył w gwardji strzelców konnych. W powstaniu listopadowym brał czynny udział, jako kapitan pułku mazurek. Kilka wspomnień o nim uwiecznił wielki pisarz w »Popiołach«.

Starszy brat Kajetana, a dziad rodzony pisarza, Józef Żeromski, pracę samodzielną rozpoczął od dzierżawy Krosocina w powiecie włoszczowskim, gdzie przybył z Krakowa około roku 1810, mając lat dwadzieścia kilka. Był on znany w całej niemal Kielecczyźnie ze swych zalet towarzyskich, rzadkiej uczynności, ze złotego humoru i iście staropolskiej gościnności. Dwór jego pełen był zawsze gości i beztroskiego rozgwaru. Jako świetny tancerz, przepadał za

balami i kuligami, które często urządzał, a z których jeden opisany został w »Popiołach«. Takiemu życiu ponad stan sprzyjał w dużej mierze i pański gest jego małżonki, Klary z Kłodnickich, osoby, która »z progów rodzinnych wyniosła »górne« maniere i upodobania do zbytku«. W kilka lat po ślubie, około r. 1824, otrzymali państwo Józefostwo poważny spadek, co pozwoliło im nabyć na własność wielkie dobra Micigózd i Brynicę w okolicach Piekoszowa. Nabytkiem tym jednak nie cieszyli się długo. Rozrzutny tryb życia uniemożliwiał prowadzenie racjonalnej gospodarki. Powstanie listopadowe i przewlekła choroba pani domu pogorszyły jeszcze bardziej stan materialny małżonków. Ostatecznie w r. 1831 nabyte przed sześcioma laty dobra Micigózd i Brynicę, sprzedano prawie za bezcen. W tymże roku przenieśli się państwo Józefostwo w okolice Sobkowa, gdzie wzięli w dzierżawę folwark Mokrzko Dolne.

Czwartem z kolei ich dzieckiem był syn Wincenty, ojciec pisarza.

* * *

Ojciec pisarza był — jak to świadczy p. St. Piółun-Noyszewski — »mężczyzną okazałego wzrostu, pięknej powierzchowności i pogodnego

na świat spojrzenia. Po ojcu odziedziczył szlachecki optymizm, nieliczenie się z groszem, wiarę w najlepsze jutro, żyłkę myśliwską i rozmówanie w uciechach towarzyskich. Żywy, jak iskra, nie znosił samotności, kochał gwar, śmiech, gawędę towarzyską i wesołe dokoła siebie oblicza. Kłopoty przybijały go na krótko; pokonywał je szczęśliwą filozofją, że mogło być gorzej. Podobnie też, jak ojciec, cieszył się powszechną sympatją, jako człowiek wypróbowanej prawości, dobry towarzysz i pożądanym gość. W głębi duszy był to niepoprawny romantyk, czytany niezwykle w literaturze romantycznej polskiej i obcej, patriota uczuć gorących, którym niejednokrotnie dał wyraz i które wpoił wraz z żoną w serce jedynaka*.

Lata dziecięce spędził na wsi, pod okiem wykształconych rodziców i guwernantek. Dzieckiem jeszcze będąc, zdradzał wielki pociąg do książek, ale w bibliotece ojca, składającej się przeważnie z francuskich romansideł, nie mógł znaleźć odpowiedniej dla siebie strawy. Lepiej zapewne czuł się pod tym względem w szkole wojewódzkiej w Kielcach, do której uczęszczał, z dłuższą przerwą w okresie powstania listopadowego, do roku 1834. W roku tym, bezpośrednio po śmierci rodziców, przewieziony został do Krakowa i oddany pod opiekę ciotki Heleny Mecherzyńskiej. Tu, w Krakowie, jako chłopak

piętnastoletni, znalazł się w zupełnie odmiennem środowisku szkoły galicyjskiej. »Wpływ jednak przemożny na kształtowanie się młodej duszy wywierała w danym wypadku nie szkoła, lecz nastrojone na górny kamerton egzaltacji patriotycznej otoczenie, w którem w domu ciotki i stryja Kajetana przebywał. Poważne sjęsty emigrantów z Królestwa, rozpamiętywanie niedawnych zwycięstw i walk, splamione krwią ofiarną mundury, — miały swe niewidzialne ręce, które z powolnej gliny młodego charakteru lepiły kształt nieodwołalny«.

Starszy brat jego, Teofil, odziedziczył po ojcu wszystkie niemal cechy wielkopańskiego rozmachu; — objąwszy po śmierci rodziców gospodarstwo w Mokrzkach Dolnych, zastosował tam rozrzutny tryb życia i w ciągu kilku lat przetrwonął resztki ojcowskiej fortuny. To też ojciec pisarza po ukończeniu gimnazjum krakowskiego i szkoły rolniczej w Czechach, nie miał nic, oprócz pragnienia zdobycia bytu niezależnego i z tego właśnie powodu zadowolnić się początkowo musiał skromną dzierżawą niewielkiego folwarczku Zajączków, wchodzącego w skład rozległych dóbr Ruda Zajączkowska, dzierżawionych podówczas przez jego szwagra Jana Saskiego. Z Zajączkowa, gdzie przy pomocy szwagra i siostry Józefy w ciągu kilku lat »gromadził« pieniądze, potrzebne na założenie

własnego gospodarstwa, przeniósł się do pobliskiego Drzymałkowa, — w okolicach słynnej Małagoszczy—który wydzierżawił już na własną rękę. Tu w r. 1858, już jako mężczyzna 39-letni, pożegnał swój stan kawalerski.

Żona jego Franciszka Józefa, córka wdowy po Józefie Katerli, właścicielu dóbr Tyniec w powiecie jędrzejowskim, była młodszą od niego o lat przeszło czternaście. Wśród kobiet okolicznych wyróżniała się nieprzeciętną inteligencją, starannem wychowaniem i wykształceniem. Rozmaitowana w poezji romantycznej polskiej i obcej, sama pisywała wiersze dość udatne. Spokojna, łagodna i skupiona w sobie, traktowała życie bardzo poważnie. Sprzyjał temu w dużej mierze nieszczęśliwy stan jej zdrowia,—dobrem zdrowiem nie cieszyła się nigdy, aczkolwiek początki choroby piersiowej, która przedwcześnie zapędziła ją do grobu, ujawniły się dopiero w okresie narzeczeństwa.

Miłość tych dwojga ludzi, mimo, a może właśnie dzięki biegunowym różnicom w usposobieniu, była gorąca i głęboka. Gdy matka pisarza, kierowana wrodzoną szlachetnością, na kilka tygodni przed ślubem, a bezpośrednio po pierwszym krwotoku, wyrzekła się myśli o zamąż-pójściu i zwróciła ukochanemu człowiekowi jego zaręczynowy pierścionek, oświadczając, że »nie powinien wiązać swego życia z kobietą

nieuleczalnie chorą, — ten — zgodnie ze świadectwem p. Noyszewskiego — tak długo ją na kolanach zaklinał i tak długo po rękach całował, aż swej bolesnej decyzji nie cofnął.

Ślub ich odbył się w Węgleszynie 21 lipca 1858 r.

W Drzymałkowie, gdzie spędzili pierwsze miesiące wspólnego pożycia, przyszła na świat najstarsza ich córka Aleksandra. W rok po ślubie odstąpił ojciec pisarza Drzymałków i przeniósł się do pobliskiego Strawczyna, który wydzierżawił od właścicielki p. Kołtątajowej. Tu w r. 1860 przyszła na świat druga ich córka Wincentyna. Trzecia córeczka, Wacława, urodzona w r. 1863, zmarła w niemowlęctwie jeszcze przed przyjściem na świat jedyne go syna Stefana.

W dziejach powstania styczniowego zapisał się ojciec pisarza bardzo chlubnie. Wprawdzie, udziału w walkach powstańczych nie brał. Nie pozwoliła mu na to choroba żony, wymagająca stałej i troskliwej opieki. Ale za to, jak gdyby chcąc »okupić« swój przymusowy pobyt w domu w czasie, gdy inni krwawili się i umierali, okazywał powstańcom jak najdalej idącą pomoc materialną. Wtajemniczony w zamierzenia obozu »czerwonych« jeszcze na długo przed wybuchem powstania, zgromadził zawczasu w swych śpichrzach większe zapasy żywności, odzieży

i obuwia, poświęcając na ten cel znaczną część posagu żony. Z chwilą wybuchu ruchawki zaczął nocami wywozić to z dworu do lasów, gdzie gromadziły się partje powstańcze. Zachowanie się jego wydało się podejrzanem władzom rosyjskim. Aresztowany przez żandarmów, spędził w więzieniu cztery miesiące i tylko dzięki znacznej łapówce, ofiarowanej znanemu w dziejach powstania generałowi rosyjskiemu Czengieryemu, uniknął śmierci na szubienicy lub w najlepszym wypadku długoletniego zesłania na Sybir.

* * *

Stefan Żeromski przyszedł na świat w Strawczynie dnia 1 listopada 1864 r. Metryka jego chrztu, przechowywana w aktach parafji strawczyńskiej, opiewa:

»Działo się w Strawczynie dnia 1 listopada 1864-go roku o godzinie 1-ej popołudniu. Stawił się Wincenty Żeromski, dzierżawca Strawczyna, lat 46 mający i w przytomności Walentego Panczyka, lat 42 i Jana Zajęckiego, lat 65 mających, rolników z Strawczyna, okazał nam dziecię płci meskiej, oświadczając, iż takowe urodziło się dzisiaj o godzinie 5 rano w Strawczynie, z jego małżonki, Józefy z Katerłów, lat 29 mającej¹⁾. Dziecięciu temu na Chrście Świę-

¹⁾ Wiek ojca pisarza podany jest naogół ściśle, matka jednak miała wtedy prawie trzy lata więcej, niż wymieniono w akcie. Cytuję wg. St. Piolun—Noyszewskiego.

tym, dziś przez księdza Michała Tomaszewskiego odbyłym, nadano imię Stefan, a rodzicami jego chrzestnymi byli: Ignacy Szmidt i Tekla Nen-canda—Trepczyna. Akt ten stawiającym (ojcu i świadkom, przyp. autora) przeczytany, którzy pisać nie umieją, prócz ojca, z którym akt podpisaliśmy. (-) *K. Michał Tomaszewski*, pleban stawczyński, utrzymujący akta stanu cywilnego.

W chwili przyjścia Stefanka na świat w kraju panowała głęboka żałoba. Powstanie styczniowe było już stłumione. Romuald Traugut, bohaterski wódz bohaterskiej kohorty straceńców, przed trzema miesiącami zawisł na stokach warszawskiej cytadeli. A z chwilą jego zgonu zgasła szybko zorza, jaśniejąca nad Polską w czasie trwania powstania. Z za świata przyszła noc, rozpacz, śmierć...

Nocy tej, ciemnej, nieprzeniknionej, posępnej nie mogły rozjaśnić nadludzkie wysiłki ostatniego rządu narodowego z Bronisławem Brzezińskim na czele¹⁾. Poczynione przez rząd ten próby

¹⁾ Bronisław Brzeziński był dawniej w organizacji powstańczej urzędnikiem komisji skarbowej i referentem wydziału spraw wewnętrznych. W tydzień po aresztowaniu Romualda Trauguta stworzył on przy pomocy Teofila Sojeckiego i Władysława Kellera, studentów warszawskiej Szkoły Głównej, oraz Aleksandra Waszkowskiego, powstańczego „naczelnika miasta st. Warszawy” — nowy i ostatni już rząd narodowy. Władza tego rządu była jednak zupełnie problematyczną. Działalność jego ograniczała się do prób ożywienia

podtrzymania organizacji powstańczej poniosły jeszcze jedną, — ostateczną już i najboleśniejszą klęskę. Padały na ziemię ostatnie ptaki, — niedobitki gromady, która przed rokiem »ostatni, niepodległy, bojowy parol« wydała. Skrzydła ich »połamane, poranione, dziurawe, w strzępach od ciosów opryczyiny«¹⁾ leciały przed oczyma oniemiałego z przerażenia narodu. Męczeński zgon Waszkowskiego, Wilczyńskiego i księdza Brzózki zamknął ostatecznie smutne dzieje powstania...

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostały suche drewna szubienicy, —
Za całą sławę — cichy płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy²⁾..

dogorywającego powstania przez ogłaszanie płomiennych odezwo do narodu polskiego i narodów Europy. W ostatnich tygodniach r. 1864, — wobec wzmożonej działalności prowokatorów i żandarmów, rząd ten rozwiązał się, kończąc ostatecznie powstanie.

¹⁾ Cytowane wyrażenia należą do Stefana Żeromskiego („Nokturn“).

²⁾ Aleksander Waszkowski, zamianowany „naczelnikiem miasta stołecznego Warszawy“ przez Romualda Trauguta bezpośrednio po objęciu przez tegoż władzy nad całym powstaniem (17 października 1863 r.) wytrwał na tem stanowisku aż do końca roku 1864, czyniąc nadludzkie wprost wysiłki podtrzymania organizacji powstańczej. Ogłaszane przez niego odezwy, — t. zw. „rozkazy dzienne naczelnika miasta stołecznego Warszawy“ — wywierały na społeczeństwo wpływ bardzo dodatni. Aresztowany dnia 19 grudnia 1864 r. — w dwa miesiące później, 17-go lutego 1865 r., został powieszony w Warszawie.

Rok 1863...

Bohaterstwo, męczeństwo, zwątpienie, rozpacz i zgon... Wielkie, smutne, tragiczne dzieje, czekające jeszcze na swego piewcę, na swego Homera czy Mickiewicza, który mocą uczucia, siłą wieszczego natchnienia stworzy z nich potężną epopeję narodową...

Postacie wielkie, bohaterskie, szlachetne, ofiarne... Rząd narodowy, kryjący się po strychach, piwnicach, lasach, — rząd niewidzialny i nieuchwytny, a mimo to tak szanowany i tak słuchany, że — jak to stwierdza jeden z historyków — zazdrość szczerą wzbudzić może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów... Oddziałki powstańców, — głodnych, przeziębłych, prawie bezbronnych, walczące po bohatersku, aż do zwycięstwa czy też aż do śmierci, z bataljonami, pułkami, dywizjami regularnej armii carskiej.

Ksiądz Stanisław Brzózka znany jest z bohaterskich walk na Podlasiu. Wytrwał on w polu aż do wiosny 1865 r. Oddziałek jego, składający się początkowo z 40 powstańców, w ustawicznych potyczkach w ciągu ostatnich miesięcy r. 1864. stopniał prawie zupełnie. W grudniu r. 1864. oddziałek jego składał się już tylko z 7 bohaterów. Byli to: zbiegli z klasztoru braciszkowie Bojanek i Pafnuć, kowal Wileczyński, szlachcic zagrodowy Szczuka, dawni żołnierze Zubowicz i Zięba oraz francuz Tournel. Ksiądz St. Brzózka aresztowany został dn. 29 kwietnia 1865 r. po dzielnej i ostatniej w powstaniu walce. Dnia 24 maja tegoż roku powieszony został w Sokołowie wraz z Wileczyńskim. Dzieje tej bohaterskiej garstki składają się na treść przepięknej powieści J. M. Wielopolskiej p. t. *Kryjaki*. Dla mnie, a sądzę, że i dla wielu moich rówieśników, powieść ta była przez czas dłuższy swego rodzaju katechizmem.

Włosi i francuzi, oddający swe życie za wielką i świętą sprawę... Oficerowie rosyjscy, rdzenni moskale, prowadzący do ataku oddziały powstańcze i ginący z okrzykiem: za waszą wolność i naszą!...

Wielka ofiara, wielkie nadzieje... I wielka zorza, jaśniejąca nad całym krajem...

*Niemoc pierwszej chwili — pisze o tym roku jeden z historyków¹⁾, — przyczyniła się do nieszczęścia ostatniej. W r. 1830 nie umieliśmy z sił już gotowych korzystać. W r. 1863 marnowaliśmy siły na sił wydobycie... Geneza powstania pokazuje narodowy jego charakter. Wszyscy na nią pracowali, nawet wtedy, gdy odpychali od siebie myśl wybuchu. Ideał Polski wolnej, choćby tylko wewnętrznie, Polski całej, historycznej — on to wżarłszy się w dusze, był rzeczywistym powstania sprawcą... Gdy wybuchło, nie wszyscy w niem krew przelewali, ale wszyscy na różnych szczeblach i w różnych zakresach działalności nieśli mu pomoc... W maju, kiedy powstanie znajdowało się u zenitu, stało pod chorągwią narodową jakie 50.000 ludzi, a dobrze uzbrojonych była wśród nich zaledwie część dziesiąta... Myliłby się jednak ten, kto by mniemał, że w powstaniu 1863 r. ludu wcale nie było. Całe oddziały składały się z chłopów

¹⁾ Porównaj Stanisław Krzeminski — „Dwadzieścia pięć lat Rosji w Polsce”. Lwów, 1892.

polskiego, chłop polski szedł do lasu i na szubienice — tylko było go mało... Umysłowi rzetelnie polskiemu przedstawia się ono, jako wielkie nieszczęście, ale dlatego tylko, że się nie udało. Niegodnym też jest Polaka przesąd, starannie szerzony przez wrogów, jakoby powstanie w dążeniach swoich przynosiło żywioły bądź to radykalnego rozkładu, bądź tyranji społecznej i okrucieństwa. To fałszywe; i jako czyn zbrojny, i jako zawiązek przyszłego państwa, powstanie z r. 1863 przynosiło ze sobą wszystkie przewodnie zasady równowagi i sprawiedliwości społecznej, a na wszystkich polach działalności państwowej ustawiczny postęp i rozwój uznawało za prawo przyszłej Polski.. Wbrew niedorzecznym, a często niegodziwie szerzonym mniemaniom, powstanie 1863 r. złożyło świadectwo zasobności w siły moralne i materialne, gotowości do czynu i poświęcenia, w niesłychanie ciężkich warunkach, wobec potęgi rosyjskiej a martwoty urzędowej europejskiej — zdumiewające. Ani zdolności, ani cnoty męstwa i prawości, ani pięknych charakterów, ani nawet bohaterstwa mu nie brakło — brakło mu tylko broni i Europy...

...Dziś już mógłby je urok legendowy opromienić. Takiego, jak w r. 1863 ogromu zjawisk, takiej wojny narodowej, takiego rządu silnego a podziemnego, takiego zarojenia się całego narodu, takiej olbrzymiej rzeki wypadków, przyj-

mującej w siebie potoki i strumienie z terytorjalnie najdalszych, najgłębszych warstw ludności — nie było od czasu wyzwolenia się Niderlandów. Wobec Europy i świata całego było powstanie styczniowe kołataniem do wrót życia międzynarodowego, manifestem zbrojnym przeciwko wszystkim ukazom traktatowym, przeciwko ponurym dniom Maciejowic, rzeziom Pragi, szturmom Warszawy — przeciwko pełzającemu po świecie potworowi faktu dokonanego“...

Niestety, — wrota wolności, do których kołataliśmy przez ośmnaście miesięcy, nie otwały się przed nami. Przeciwnie, — zamknęły się jeszcze mocniej i szczelniej. Otwarły się jedynie rany, świeże jeszcze i niezabliźnione, z jakimiśmy wyszli z pierwszego — listopadowego — pogromu, z rzezi galicyjskiej i poznańskiej porażki Mierosławskiego.

Krwawa ofiara, złożona na ołtarzu ojczyzny, okazała się bezskuteczną, przepadłą i — o, zgrozo! — szkodliwą. Odwieczny wróg narodu triumfował. Żelazna, jak to mówi Feldman, na tysiącach mogił stanął stopą, żelazną żywym nałożył obrożę. Wdeptane w ziemię życie narodowe znalazło się w zupełnej zależności od kaprysu tępych żołdaków i czynowników, zegnanych do »kraju przywiślańskiego« z czterech końców niezmierzonej Rosji. Wielotysięczna

armja żandarmów ujęła kraj w potworną kura-
telę gwałtu.

Unosiło się nad nami ponure widmo zagłady,
chichocząc złowróźnie — *Finis Poloniae!*...

Pod wpływem tego rozpaczliwego położenia
w psychice polskiej zaszły gwałtowne zmiany.
Dusza polska, do niedawna jeszcze pełna naj-
śmielszych marzeń, stoczyła się szybko, prawie
nagle na dno abnegacji i zwątpienia o wszystkim.
Wytworzyła się na niej skorupa nieznanego
dotąd marazmu i apatji. Bezczytność i bezna-
dziejność bezbrzeżna, rozpacz, nie mająca granic,
ani miary, boleść, przechodząca w szaleńcze
błuznierstwo — ogarnęła kraj cały, ogarnęła
wszystkich, bo przecież wszyscy — według
świadczenia historyka — na różnych szczeblach
i w różnych zakresach działalności nieśli po-
wstaniu swą pomoc. Znikł bez śladu zapał,
omdlała wola, osłabła nieskończenie wytrwałość
i odporność, w proch się rozsypał hart ducha...

Naród, — istne stado owiec, rozbite przez
wilki, — jakby urzeczony wizją potęgi wroga
i własnej niemocy — zapadał w sen ciężki,
głęboki. A dobrze »snu tego strzegł bagnet
i zabobon«¹⁾. I nie było nikogo, ktoby mógł ze
snu tego obudzić. Nie było nikogo, ktoby róg

¹⁾ Wyrażenie Stefana Żeromskiego — patrz „Róża“

złoty do ust przyłożywszy, uderzył «grzmącą potęgą słowa» w zmartwiałe sumienia.

Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, — potężnych, spiżowych dzwonów narodowej duszy, prekursorów, co — według słów Juliusza — paląc się wewnątrznie« żar zapalony ciskali na serca innych« — nie było już wśród żyjących — patrzali na świat z tamtego już brzegu. Ci zaś, co pozostali i śpiewu nie zapomnieli, nie posiadali — jak to szlusznie podniesiono — tej cudownej władzy przemawiania do serc i umysłów, przelewania w nie własnych uczuć i myśli, nie umieli z lutni swoich dobyć potężnych, tyrteuszowych akordów, któreby donośnem odbiły się echem po wszystkich krańcach polskiej ziemi, od sinego Wawelu po bujnej Ukrainy stepy, i naród zbudziły z uśpienia¹⁾...

W ówczesnych domach polskich panowała niepodzielnie atmosfera smutku, przygnębienia i bólu, płynącego z rozwianych nadziei narodowych. Dziecię polskie, urodzone w tym czasie, — »cichą skargę matki zamiast wesołej piosenki miało nad kołyską, gdy ojciec chmurny trwożliwie nadśluchiwał dźwięku dzwonka w oddali, zwiastującego przybycie jakiejś władzy zaborczej. A potem ciche, rzewne, lecz uporczywe nauki rodziców: żyj, cierp, kochaj i pracuj. Uczono je pokory, pokory nieszczęścia.

¹⁾ Porównaj: K. Cepnik w szkicu o H. Sienkiewiezu.

Szeptano mu na ucho wspomnienia walk ubiegłych, pokazywano zatajone gdzieś zakazane obrazki «¹⁾).

W domu Żeromskich tę atmosferę cierpienia i smutku potęgowała jeszcze bardziej nieuleczalna choroba matki pisarza. Ból, płynący z rozwianych marzeń i nadziei narodowych, spletał się z obawą i troską o życie istoty najbliższej i najdroższej. Każdy radosny, jaśniejszy promyczek, zabłąkany tu przypadkiem, gasł szybko, jak błysk robaczka świętojańskiego, nie pozostawiając po sobie trwalszych śladów.

Przyszły twórca »Popiołów« atmosferę tę wchłonał wrażliwem sercem. Dzięki niej odziedziczone po matce dyspozycje do uczuć, związanych z bólem, smutkiem, cierpieniem, — nie wygasły, lecz przeciwnie — aktualizowane stale, rozwijały się coraz bardziej i z czasem zajęły w psychice stanowisko dominujące. Późniejsze niepowodzenia i ciosy życiowe, znalazłszy grunt nadzwyczaj przyjazny, łatwo dopełniły reszty: ziarna, zapadłe w duszę, kiełkowały, rozwijały się w kwiaty gorzkiego pesymizmu.

Lata dziecięce spędził Stefanek na wsi, pod okiem kochających i troskliwych rodziców. W kilka miesięcy po jego przyjściu na świat,

¹⁾ Porównaj: Józef Piłsudski — „Wspomnienia o Gabryelu Narutowiczu“, Towarzystwo Wydawnicze Ignis, Warszawa 1923. str. 60—61.

przenieśli się państwo Żeromscy ze Strawczyzna do pobliskiego Masłowa, a w rok później do Kopcowej Woli pod Kielcami. W r. 1868 osiedli w Ciekotach, biorąc je w dzierżawę od rosyjskiego donatarjusza. Za wzięciem w dzierżawę tego majątku przemawiało nie tylko bliskie sąsiedztwo najbliższych krewnych, lecz także i łagodne warunki klimatyczne, do których ze względu na piersiową chorobę matki przywiązywano wielką wagę. Ciekoty i okolice świętokryskie Żeromski szczególnie umiłował i w wielu swych powieściach («Popioły» — «Syzyfowe Prace» — «Promień» — «Ludzie Bezdomni») dwór i staw ciekocki szczegółowo opisał.

»Zdawaćby się mogło — pisze o tej jego miłości do Ciekot p. Stanisław Piolun-Noyszewski — że kiedyś, po wielu latach, gdy już w tej stronie same tylko groby mu zostały, wspomnienie ojczystych okolic, gdzie tyle cierpiał, nie przywiązaniem bezgranicznem, ale goryczą odzywać się będzie w jego sercu. A jednak... Mimo to, że przez tyle lat dziecięcimi oczyma spoglądał tam na cierpienia matki, choć swe Ciekoty żegnał przy dźwiękach dzwonów pogrzebowych, kochał je nadał całą świeżością młodego zawsze serca. Do dni ostatnich od najważniejszych zagadnień ważniejszym jeszcze było dlań zagadnienie, co się dzieje w Ciekotach. Kwestją

zasadniczą był przecież tak niedawno z całą powagą toczony spór, czy przed dworem ciekockim było cztery lipy, jak zapamiętał, czy też było ich pięć, jak twierdziła jego siostra. Gdy wiosną 1925 r. dowiedział się, że młyn staruszek, wspomniany przezeń często, zawałił się, odczuł to, jak najboleśniejszą stratę i dosłownie odchorował. Zamknął zaś oczy nazawsze, kiedy ze starego dworu w Ciekotach ostatnie rozrywano już węgły*.

Pod względem fizycznym rozwijał się Stefanek normalnie. Wyrósł, — »jak świerki ciekockie, po ojcu odziedziczył bary szerokie i siłę niepoślednią«. Początki choroby piersiowej, o której biografowie jego mówią, jako o dzieciństwie po matce, ujawniły się w nim znacznie później, gdy po śmierci rodziców wpadł w ostateczną nędzę i gdy na skromne swe życie zarabiać musiał marnie płatkami lekcjami.

Rodzice kochali go ponad życie. I otoczywszy go promieniami gorącej swej miłości, strzegli zazdrośnie, by na rozwój wrażliwej duszy nie wpływał nikt obcy i niepowołany. Ojciec, widząc w nim jedyne spadkobiercę rycerskiego nazwiska, wyróżniał go w rodzinie w sposób manifestacyjny, — było w tem dużo dumy rodzicielskiej, a więcej jeszcze tej dziwnej powagi i tej niezwykle miłej poufałości, jaka się daje zauważyć zawsze w stosunkach między

starszym już ojcem a synem — jedynakiem. Chłopak obcował z nim nieustannie, towarzysząc mu w pracach gospodarskich, polowaniach, wędrownkach leśnych i wycieczkach, — słuchając opowiadań, opartych na zdarzeniach prawdziwych, niedawnych, a składających się na nieszczęsną, łzami i bólem niekłamanym nabrzmiąłą martyrologję powstańczą. Kochał ojca, przywiązany był do niego serdecznie, wierzył mu — i w konsekwencji wrażliwą duszę otwierał naścieżaj na przyjęcie ducha, owiewającego świeże jeszcze, bezimienne mogiły. Z zasłyszanych opowiadań, klechd, wspomnień i wieści wyłoni się z czasem przepiękny kult sześćdziesiątego trzeciego roku. Świętym »zakonem narodowej sprawy«, — jedyną ewangelją polską, stanie się testament, zawarty w bohaterstwie i męczeńskim zgonie tych, co czynami, świadczącymi o niezwykłym napięciu niezwykle silnej woli, wypisali prawo Polski do życia.

Tyle tylko, jeśli chodzi o wpływy ojca na rozwój psychiki syna. Bo innych nie wywarł, — może dlatego, że żywość jego usposobienia nie harmonizowała z ogólnem przygnębieniem i smutkiem. Pan Stanisław Piółun-Noyszewski uważa, że nić wspólnoty ojca i syna zaznaczyła się dość silnie i przetrwała, jako ślad niezatarty, w rzadkich przeblyskach humoru, jakie Stefan Żeromski rozsiał na kartach swoich dzieł. Spo-

strzeżenia tego nie chcę bynajmniej kwestjonować. Istotnie, Żeromski próbował niejednokrotnie za pomocą humoru w stylu Dickensa łagodzić posępny nastrój swych utworów. Zawsze jednak, gdy myślę o humorze Żeromskiego, przypominam mi się znane powiedzenie goethewskiego Mefistofelesa: chcę tworzyć dobro, a sieję wszędzie zło. Bo humor Żeromskiego — jak to słusznie podkreślił Ignacy Matuszewski — pozbawiony jest pogodnych promieni, jest gorzki, zjadliwy i bolesny i nie łagodzi, lecz przeciwnie — zaostrza jeszcze bardziej różne sprzeczności, antytezy i dysonanse, nad którymi cierpiał i które odtwarzał poeta.¹⁾ Dlatego też jeśli przyjmiemy, że nuta humorystyczna, odzywająca się tu i ówdzie, jakby zabłąkana przypadkiem, jest trwałym i niezatartym śladem wpływów ojcowskich, to zauważyć odrazu musimy, że wpływy te zostały silnie stłumione, że zmieszwały się nie do poznania z elementami, które do żywego i beztroskiego usposobienia ojca nie miały — nie mogły mieć — żadnego dostępu.

Znacznie więcej szczęścia miała pod tym względem matka. Była to osoba niezwykle starannie wychowana i wykształcona. Poziom jej umysłu, jak na kobietę owych czasów, był

¹⁾ Porównaj: Ignacy Matuszewski — „Studja o Żeromskim i Wyspiańskim“.

Warszawa, Gebethner i Wolff, 1919, str. 43.

nieprzeciętny. » Wychowanie klasztorne — pisze o niej p. St. Piółun-Noyszewski — i rodzinna pobożność Katerłów wytworzyły w jej duszy obok żarliwego patriotyzmu, religijność szczerą i głęboką. Dzięki temu, odczuwając boleśnie cierpienia gnębitej Ojczyzny, kojarzyła je wśród pobożnych rozmyślań z cierpieniami Chrystusa, co złożyło się z czasem na światopogląd, do egzaltacji mesjanistycznej zbliżony. Potęgowały ten stan i niedomagania fizyczne, jako grunt niezmiernie dla wszelkich nerwowych przeczuć przyjazny«.

Nieprzejednana patriotka, nie starała się bynajmniej ukrywać przed dziećmi bólu i zawodów z powodu upadku powstania. Przeciwnie wychowywała je, kładąc nacisk na konieczność dalszej walki z najazdem. Do końca dni swoich nie mogła pogodzić się z myślą o ucisku, ciążącym nad całym narodem. Wierzyła, że trwać wiecznie nie może. Wierzyła święcie i niezachwianie, że przyjdzie kiedyś wielki, radosny dzień, w którym » trębacz naczelny zadmie w hejnał przedjutrzniany na wschód, na zachód, na północ i południe, i rodzaj ludzki ocknie się o samym poranku«. ¹⁾ Wierzyła święcie, że przyjdzie musi dzień, w którym wyjdą znowu w pola i lasy niezliczone kohorty, wyjdą po zwycięstwo, po

¹⁾ Wyrażenie Stefana Żeromskiego. — „Duma o hetmanie“.

lepszą dolę, po sławę. I do końca dni swoich patrzyła na świeże, bezimienne mogiły, jako na »źródła siły moralnej, jako na znaki krzyża, zwiastujące zmartwychwstanie«¹⁾).

Jedna z nielicznych, niezdobytych redut rzetelnej polskości...

Dusza cudowna, wzniosła, szlachetna ubóstwiana była przez wszystkich. Niezwykłe wrażliwa na ból i cierpienia, śpieszyła z pomocą moralną czy materialną wszystkim tym, którym los kazał walczyć z biedą i nędzą. W samarytańskich wędrownkach po kurnych chatach witana była zawsze, jako uosobienie anielskości, miłosierdzia, isticie chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Najświętszym przekonaniom swoim dawała wyraz w zachowaniu się, w sposobie bycia, w czynie. Miła, kochana, ubóstwiana imponowała, budziła podziw i cześć, budziła chęć dorównania jej pod każdym względem.

Ścisłe z nią współzycie wycisnęło na duszy pisarza piętno przemożne i odbiło się żywym echem w jego dorobku artystycznym. Ona właśnie była prototypem pani Borowiczowej z »Syzyfowych prac« i pani Barykowej z »Przedwiośnia«, — dwu postaci jasnych, szlachetnych, cichych, a tak wymownych, dwu-rzeczyby można — syntez czystej i wzniosłej miłości macierzyńskiej z jej samozaparciem się i poświęceniem

¹⁾ Wyrażenie Wilhelma Feldmana.

bezgranicznem. Zresztą — nietylko Borowiczowa i Barykowa. Do postaci matki o tych samych zaletach serca wraca poeta w wielu innych swych utworach, wraca często i chętnie, zawsze, nito z radością serdeczną, nito z głęboką melancholją tęsknoty. Że na poczekaniu, z pamięci, wymienię tu Daszkowską z »Ludzi Bezdomnych«, — Olbromską z »Popiołów«, — Rudecką i księżnę Odrowążową z »Wiernej Rzeki«, — wreszcie — Gibałową ze »Zmierzchu« i panią Ignacową, żonę pocztmistrza i matkę dziewięciorga dzieci z »Ananke«. W całej twórczości Żeromskiego niema — poza »Dziejami Grzechu« i dramatem »Ponad śnieg« — matki złej, twardej, okrutnej. Oto — najlepszy i najbardziej wymowny hołd, złożony przez wielkiego pisarza tej, która mu życie dała.

Popełniłbym jednak wielką nieścistość, ba! — wielką nawet niesprawiedliwość, gdybym mówiąc o śladach wpływów matczynych, zechciał zamknąć je w tych skromnych stosunkowo ramach. Wpływy te sięgają znacznie dalej i głębiej. Oko sumiennego badacza dostrzeże wyraźne i wymowne ślady ich w każdym utworze, w każdym obrazie, na każdej niemal stronie. Bo dusza Stefanka, dusza wielkiego poety, — ta — według określenia Feldmana — tajemnicza pracownia, w której materiał, wzięty z życia, z najbliższego otoczenia, przebywa cudowną

transfigurację, przemieniając się w dzieło sztuki, — kształtowała się i rozwijała w sferze wpływów matki, w kolisku jej wzniosłych marzeń i tęsknot szlachetnych. Ideałom, wskazanym przez matkę i pod jej błogosławionym wpływem uznanym za święte i godne umiłowania największego, pozostał poeta wierny do końca dni swoich. Uczucia, ściśle z temi ideałami związane, wywołują karty jego dzieł po brzegi: tu buchają wielkim, silnym, gorącym płomieniem, tam zabarwiają w sposób swoisty potężne obrazy, gdzieindziej znowu odzywają się cicho, jak szepty ciepłe, przenikające do głębin duszy.

Drobne iskiereki uczuć, obudzonych przez matkę, pod jej troskliwym okiem — rosły, rozwijały się coraz jaśniej i pełniej, przybierały coraz więcej na sile i bogactwie, na szczerości i głębi i z czasem złożyły się na konstelację psychiczną, spoistą, silną, bardzo złożoną i nie-dopuszczającą — według terminologii naukowej — do świadomości przedstawięń i przekonań, które mogłyby ją otamować lub stanowić zaporę dla jej dalszego rozwoju i rozrostu. Ta właśnie, pod wpływem matki wytworzona, konstelacja psychiczna pozwoliła Stefankowi bardzo wczesnie, bo już w okresie młodzieńczym, ustalić ściśle swój stosunek do świata. Stosunek ten opierał się na pewnej — mocnej i trwałej — podstawie, to też w życiu późniejszym zmianom

głębszym nie uległ, — czynniki zewnętrzne spowodować mogły jedynie nieznaczne odchylenia od linii zasadniczej.

I tu właśnie — w tem przedwczesnem ustaleniu stosunku do świata, szukać należy przyczyn popełnionej później, a tragicznej w swych skutkach pomyłki w ocenie życia.

Bo — jak to słusznie zauważył p. J. Zaręba¹⁾ — jeśli ustalimy charakter nasz zbyt wczesnie i nagromadzona w nas energja życiowa odrazu zdeterminuje zakres i jakość naszego działania w zewnątrzności, prawie zawsze zdarzy się, iż powstanie dysproporcja pomiędzy wymaganiami życia społecznego, a światem wewnętrznym, który wytworzony został apriorystycznie, nie zaś drogą licznych starć z codzienną rzeczywistością. W miarę dokonywanej analizy utwierdza się wtedy przekonanie, iż świat ten jest z założenia swego obcy naszym wewnętrznym dążeniom. W przerośni będzie to tak, jak gdyby »Bóg wiecznie żywy« zamknięty został nazawsze w sercu człowieka, w świecie zaś wznosi się »niezwyciężone władztwo szatana«.

Dusza Stefanka czysta, wzniosła, niedoświadczona, w okresie ustalania stosunku do świata, posiadała przeczucie życia zgoła innego, niż to, jakie czekało nań gdzieś po za sferą wpływów

¹⁾ Józef Zaręba w szkicu p. t. »Zeromskiego przyczyna bezwzględna«.

matczyńnych. Ale bezpośrednio zetknięcie się z twardą rzeczywistością nie mogło zmusić go do wyrzeczenia się złudzeń i sprzeczności, nie mogło nakłonić do rewizji i zmiany stosunku swego do niej, — pozwoliło mu jedynie skonstatować, iż »droga, którą toczy się świat« jest zupełnie inna, że odbiega znacznie od »szlaku, którymby iść powinien wedle aprioricznych pojęć młodości.« W konsekwencji zrodziło się przekonanie, że własna jaźń i świat zewnętrzny — to dwie wartości zasadniczo różne, nie dające się ze sobą zharmonizować i uzgodnić. W konsekwencji również spostrzeżone zostało w życiu »cierpienie, jako zasada, klęska, jako konieczność nieunikniona«.

I tu również kryją się źródła gorzkiego pesymizmu, wyzierającego z każdej niemal karty dzieł wielkiego pisarza, pesymizmu, graniczącego w pewnych momentach z psychiczną paniką i bezradnością.

Były to wszystko skutki popełnionej pomyłki w ocenie życia. Żeromski wiedział o tem i najdokładniej zdawał sobie z tego sprawę. W »Pomyłkach«, — utworze, napisanym na dwa lata przed śmiercią, a będącym według słów krytyki jednym z tych drobnych arcytworów poezji, co ciężarem ołowiu spadają na serce, a perłą jasną pozostają w pamięci — pisał o sobie:

»Moje rozumienie było zawsze pomyłką. Każdy uczynek, każdy akt, dokonany przez moje serce — chybiał celu. Wszystko zawsze inaczej wypadło, niżem zamierzył, przewidział, obliczył. Wszystko inaczej się stało, niżem wyśnił. Po za moim logicznym wywodem wszystko szło stromami swoją własną drogą. Z ciemności nad moje pole wypadła burza. Z ciemności wychodziła na mnie śmierć. Czasami, kędyś w dali, spotykała się linja mojego wymiaru i rysunku z linią innego wymiaru, nie moją, — ale tak daleko, w tak nieskończonej odległości, że m to mógł zobaczyć jedynie w przywidzeniu. A wtedy było mi już wszystko jedno. Tryumf mój bywał tak niewidoczny, niedostrzegalny, że się zamieniał w krótki, mały, samotny półuśmiech, — istny punkt geometrów«.

* * *

Pierwsze nauki pobierał Stefanek w domu. Po polsku czytać i pisać nauczyła go matka. Według upartej, acz niesprawdzonej klechdy domowej, za elementarz służył mu podobno polski przekład tomiku poezyj Alfreda de Vigny.¹⁾

¹⁾ W pierwszym tomie „Dziejów Grzechu“ znaleźć można ustęp, rzucający na szczegól powyższy światło bardzo wymowne. Oto Łukasz Niepołomski pisze w jednym ze swych listów do Ewy: „Bon vieux marin. franc capitain de haut bord, vous dormiez la nuit, vous — et, le jour, vous vous battiez! Vous n'etiez pas un Paria intelligent comme l'est devenu votre pauvre enfant... Słowa, przypominające najwcześniejsze dzieciństwo,

To wykształcenie domowe nie ograniczało się jednak do abecadła, najprostszyc rachunków i podstawowych zasad gramatyki. Od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano Stefanka z utworami naszych wieszczów, uwzględniano specjalnie utwory, przez cenzurę rosyjską zakazane, uczono historii polskiej. Biblioteczka ciekocka była wprawdzie nieduża, ale podobno bardzo wartościowa i często nawiedzana. I tu więc, jak w każdym rzetelnie polskim domu odbywały się wieczorami — przy kominku — »tajne zebrania«, — na których odczytywano i komentowano utwory wieszczów romantycznych. I tu powtarzano za Krasińskim z niesłabnącym uporem: »Będzie Polska w imię Pana!«...

Kiedy Stefanek ukończył lat dziewięć, rodzice jego stanęli przed problemem dość skomplikowanym. Należało pomyśleć o przygotowaniu

wstępną i pierwszą klasę. W notatniku mojej matki, w książeczce, oprawionej w zieloną skórę ze złotonemi brzegami, były te słowa Alfreda de Vigny. Zachwycały moją wyobraźnię dziecięcą, zachwycały bardziej bezgranicznie, niż wszystko co mię porywało później Pierwsze przeczucie i przedpojęcie sztuki... Przez ileż to lat leżały we mnie te słowa?.. W dzieciństwie upajałem się niemi, nie wiedząc dobrze, co znaczą, deklamowałem je, marszcząc czoło, jak człowiek dorosły, jak straszny dla mnie i tajemniczy Chatterton. Mówiłem je sobie głośno dlatego, żeby słyszeć szelest i harmonię szumnotnych wyrazów. A dziś oto przyszły znów do mnie — i błyszczą, jak świętojański robaczek w mroku mojej nocy... Ach, ileż prawdy zawierają te słowa! To mój rodzinny dom, lato na wsi, góry, staw, rzeka, cudowna moja matka...^c Por. „Dzieje Grzechu“, tom I, str. 110.

jedynaka do egzaminu wstępnego do gimnazjum rządowego. Największa i jedyna trudność tkwiła w tem, że w gimnazjum kieleckiem, jak w każdej zresztą szkole zaboru rosyjskiego, językiem wykładowym, panującym niepodzielnie, był język rosyjski. Stefanek zaś, wychowany na wsi, zdala od większych ośrodków, gdzie skupiał się obcy, najezdczy żywioł, w dzięsiątym roku swego życia, nie umiał po rosyjsku ani słowa.

O wtajemniczeniu Stefanka w arkana trudnej mowy moskiewskiej w domu, w Ciekotach, nie mogło być mowy. Matka nie władała tym językiem zupełnie, — ojciec, dzięki przymusowej styczności z przedstawicielami władzy zaborczej, posiadał nieznaczny zapas słów, z których z biedą wielką sklecić mógł kilka zdań najprostszych i najkrótszych. Z drugiej zaś strony, stan materialny rodziców, na którym powstanie styczniowe odbiło się w sposób nader niekorzystny, nie pozwalał już na sprowadzenie do Ciekot korepetytora. To też po długich naradach i wahaniach postanowiono odwieźć Stefanka do pobliskich Psar, gdzie pan Strachowski, kierownik szkółki ludowej, przygotować go miał do gimnazjum, głównie z języka rosyjskiego. To przymusowe i prawie nagłe rozstanie odczuł Stefanek bardzo boleśnie.

Wyjazd swój z Ciekot do Psar i pobyt u państwa Strachowskich opisał poeta dość wiernie w dwu pierwszych rozdziałach swych »Syzyfowych Prac«. Przy tej sposobności pragnąłbym zwrócić uwagę, że powieści tej nie można uważać za pamiętnik, za utwór autobiograficzny w ścisłym znaczeniu wyrazu. Prawda, pierwiastek osobisty odgrywa w niej rolę wielką i ważną. Roi się w niej od scen, sytuacji, wydarzeń i szczegółów, żywcem przez poetę zacytowanych z przeżyć własnych, osobistych. Należy jednak pamiętać, że charaktery i kolizje życiowe bohaterów powieści są — według źródła najbardziej kompetentnego — najzupełniej powolne fantazji twórczej autora i przystosowane do jego zamierzeń artystycznych. Pewne, mniej lub bardziej ważne szczegóły i zdarzenia, zostały w powieści rozmyślnie zmienione, zniekształcone czy też tylko odpowiednio zabarwione. Postacie, z którymi poeta obcował za czasów swej młodości, a którym później kazał żyć i przemawiać z kart swego utworu, uległy w ujęciu artystycznym mniej lub bardziej silnej modyfikacji. Jedynie matka pisarza, — w powieści pani Borowiczowa — z jej samozaparciem się i poświęceniem bezgranicznym, z jej troskami, zabiegami i codziennymi zmartwieniami tudzież z wszelkimi właściwościami rozumu i najświętszemi tajemni-

camii jej czystego sumienia — została odmalowana jak najwierniej.

Utarło się mniemanie, poparte zresztą szczegółami bardzo wymownymi, że autor był żywym prototypem Marcinka, zajmującego w powieści miejsce czołowe. Gdybyśmy zechcieli powtórzyć tu wślad za innymi tę opinię, — popełnilibyśmy wielką nieścistość i wielką nawet niesprawiedliwość. Na powieściową postać Marcinka złożyły się bowiem wady i zalety charakteru nie tylko pisarza, lecz także i kilku jego kolegów gimnazjalnych. Co do samego Żeromskiego, to wypowiada się on w powieści nie tylko ustami Marcinka. Najświętszym i najgłębszym przekonaniem swoim daje wyraz w czynach, w sposobie bycia i myślenia Kawki-Paluszkiewicza, Zygiera, a nawet — w pewnej mierze — i Andrzeja Radka.

Powieściowej więc postaci Marcinka nie możemy uważać za wierny i pełny obraz ducha autora z czasów jego dzieciństwa i pierwszej młodości. Grzebiąc się w tych szczegółach, podzielić je musimy na dwie grupy, — do pierwszej zaliczyć wszystko, co poeta dał Marcinkowi z siebie, do drugiej zaś wszystko, co wzięł dla niego z najbliższego swego otoczenia.

Możemy więc wierzyć, że w dniu odjazdu do szkół, tak samo, jak i w dniu odjazdu Marcinka, w domu były »wielkie dudy«, — że

ojciec ocierał ukradkiem łzy z oczu, a matka nie siliła się nawet na maskowanie głębokiego wzruszenia. Możemy przyjąć bez żadnych zastrzeżeń, że i na Stefanka — z pól, przez które wraz z rodzicami przejeżdżał — wiała wielka, bolesna i zdumiewająca tajemnica, streszczająca się w jednym tylko słowie: szkoła, — że poddał się on nieznanemu dotąd ściśnieniu serca i milcząc, słuchał nawału zdań o konieczności uczenia się, o gimnazjum i mundurze, o zajęcach, mazurkach i cukrach lodowatych, o jakiejś tam pilności i posłuszeństwie, a w przerwach między temi potokami słów myślał o tem, jakby to było dobrze — zamiast jechać do szkoły, — pobiec, oto, widocznym na śniegu śladem lisów i zajęcy, nurzać się w zaspach i hasać wśród przydętych zarośli. Nie powinno budzić żadnych wątpliwości stwierdzenie, że Stefanek, tak samo, jak i mały Borowicz, uczył się łatwo i dobrze, że istotną trudność stanowiła dlań jedynie arytmetyka i język rosyjski, a kombinowanie jednoczesne arytmetycznego kalkułu i wdzieranie się przemocą do tajemnic mowy rosyjskiej było ciężarem zanadto wielkim na jego siły. Opisana w powieści droga z Gawronek do Owczar zgadzać się może i zgadza się zapewne najdokładniej z wyglądem przestrzeni, dzielącej ukochane Ciekoty od Psar z ich tajemniczą szkołą. Szkoła zaś wyglądała zapewne tak, jak ją widzimy w powieści,

— nazewnątrz — budynek lichy, większy trochę od nędznych chat włościańskich, ale nie odbiegający pod względem struktury od ich typu, otoczony płotkiem z powyłamywanymi kołkami i upiększony przylepką w postaci obórki, tulącej się do kupek krowiego nawozu, — wewnątrz zaś — mała, jedna z najmniejszych placówek rusyfikacji, gdzie wiejskie Bartki i Wicki, zwane przez władze szkolne Warfołomiejami i Wikientijami, kuli z wielkim trudem i mozolem rosyjską tabliczkę mnożenia, wodzili brudnymi palicami po stronach rosyjskiej »chrestomatji« czyli wypisów, z mało znanej cyrylicy układając słowa jeszcze mniej lub wcale nieznane i niezrozumiałe, i śpiewali na nutę polskiej pieśni kościelnej hymn rosyjski — *Kol sławien nasz Gospod w Syonie...* Tak być musiało, inaczej być nie mogło...

To samo powiedzieć możemy o stosunkach, panujących w domu rodziców, o ich troskach i kłopotach materialnych, o ich miłości i przywiązaniu do jedynaka, wreszcie o dziwnej, głębokiej więzi, łączącej syna z matką nie tylko za życia, lecz takie i po jej zgonie,—kiedy to chłopak wstępował często do kościoła, modlił się żarliwie w kruchcie i spowiadając się matce ze wszystkich swoich trosk, smutków i radości czuł, że w głębi jego duszy odzywa się jej

głos, jako dobre postanowienie, czy też życzliwa szczerza przestroga.

A opis manipulacji, do jakiej zmuszona została pani Borowiczowa w trakcie zdobywania dla synka miejsca w gimnazjum? I ten szczegół również zaczerpnąć musiał poeta z wspomnień osobistych. Władze rosyjskie mało dbały o szerzenie oświaty. Przeciwnie, zależało im na utrzymaniu ciemnoty, zależało już choćby z tego tylko względu, że im mniej w Polsce ludzi wykształconych, tem łatwiej i prędzej można ją zrusyfikować. Szkół nowych nie otwierano, w istniejących zaś ilość miejsc była ograniczona; — rodzice, pragnący wykształcić swych synów, staczali o te miejsca istne walki, chwytając się przytem środków, które gdzieindziej uchodziły i uchodzą co najmniej za nielegalne. Zazwyczaj wciskano łapówkę w brudne łapy belfra moskiewskiego, zasiadającego w komisji egzaminacyjnej lub też proszono go dyplomatycznie i z całym mistrzostwem grzeczności o udzielenie za sowitą zapłatą kilku lekcyj i o przerobienie pytań tych właśnie, jakie kandydatowi zadane zostaną przy egzaminie. Zwyczaj ten był stosowany szeroko w całej Rosji i niema powodu przypuszczać, by Kielce były szczęśliwym i wolnym od niego azylum, tembardziej, że w pierwszych latach po powstaniu Rosja nie przysyłała do Polski swych ludzi lepszych, uczciwych, lecz

wylewała na nią najgorsze swe szumowiny. Mogła więc matka pisarza, tak samo, jak i pani Borowiczowa, skorzystać z tego zwyczaju i za cenę 25 czy więcej nawet rubli zdobyć miejsce dla swego jedynaka.

Do szczegółów, żywcem z osobistych wspomnień autora zacytowanych, zaliczyć musimy także i opisy harców, wyprawianych przez młodzież gimnazjalną. Walne facecje, których — według słów autora — żadna mowa nie wyliczy i żadne pióro nie opisze, — szczytne dowcipy i błazeństwa, wodzenie się za łby w nikłym pyłe wśród setek głów ostrzyżonych, zjeżdżanie po poręczy schodów aż na sam dół klatki schodowej, rzetelne batalje, staczane na podwórzu gimnazjalnem, podzielonem na dwa obozy — greków i persów — z których leciał istny grad pocisków w postaci owoców kasztanowych, zgodne ataki obu obozów na pedagogów, obserwujących zdala bieg wypadków i próbujących nieogłędnie interwenjować, wreszcie znęcanie się nad profesorami, doprowadzanie ich do ostatecznych granic pasji grą na drumlach w czasie lekcji, dzwonieniem, przesuwaniem ławek, gwizdaniem, tupaniem, nagłemi, niespodziewanemi, krótkimi a rozdzierającemi ucho wrzaskami, których sprawca nigdy nie dał się złapać — i szczyt wszystkiego — »łapanie łwa w sieci z przynętą« — wszystko to zdarzenia szkolne, w których pisarz bądź to brał

żywy udział, bądź też przyglądał im się zbliska i uważnie.

Jak najwierniej również odmalował poeta stosunki, panujące w gimnazjum kieleckiem i ów sprytnie obmyślony system ścigań, podglądań, łapań i badań, stosowany względem młodych polaków przez pedagogów rosyjskich. Nie możemy wcale kwestjonować, przeciwnie — musimy tylko wierzyć, że gimnazjum kieleckie, tak samo zresztą, jak i każda szkoła rosyjska w Polsce, — w ręku północnych »Kulturträgerów« była jedynie narzędziem do przekształcania struktury psychicznej narodu polskiego, do wyplenienia z jego duszy zbiorowej odwiecznych uczuć plemiennych i zastąpienia ich nowemi, które pozwoliłyby mu ukochać Rosję, jej prawosławną wiarę, mowę i obyczaj tak głęboko i szczerze, ażeby mógł ginąć za nią na wojnie i pracować dla niej w pokoju. Musimy wierzyć, że i w Kielcach również starano się z wszelką usilnością, ażeby zabezpieczyć młodzież polską od wszystkiego, co myśl jej z opłotków nie tylko lojalności, ale i czynnego rusofilstwa wyprowadzić mogło w szczerze pole samoistnych rozumowań, że i tam przedstawiano Rosję w świetle jak najkorzystniejszym, zapuszczając nieprzeniknioną zasłonę na jej wady, na wszystko, co w młodych i czystych duszach wzbudzić mogło niechęć, wstręt lub nawet zgrozę, — wpajano przekonanie

o jej niezniszczalnej mocy i mistycznym znaczeniu wśród narodów świata, podkreślano z naciskiem mogilną słabość Polski, mówiono o jej rzekomej niezdolności do bytu samodzielnego, — usiłowano wzbudzić w duszach lekceważenie i pogardę dla wszystkiego, co miało lub mieć mogło jakikolwiek z nią związek.

Również z własnych wspomnień zaczerpnąć musiał Żeromski wzruszające opowiadanie o gniadej klaczy, która wydarłszy się z rąk uprowadzających ją koniokradów, sama wróciła do domu. To samo powiedzieć można o opisaney w powieści męczeńskiej śmierci powstańca, o zrzuconiu przez księdza Wargulskiego ze schodów chóru kościelnego inspektora gimnazjum, o tajnych zebraniach młodzieży, kółkach samokształceniowych i walkach z rasyfikatorami, wreszcie — o przygodzie ze sprytnym chłopem Szymonem Nogą, strzelcem niezrównanym, w sztuce łowieckiej mistrzem istotnym, który zakpił sobie z panicza, każąc mu przez kilka godzin dmuchać w maszynkę, służącą do wabienia drobnego ptactwa, a bynajmniej nie głuszców, o których panicz — »zapalcny myśliwy« — marzył we dnie i w nocy. Wszystko to zdarzyć się mogło Stefankowi w życiu. A uczucia, ściśle z temi zdarzeniami związane, przeniósł poeta z własnego serca w duszę powieściowego Marcinka.

Ale są inne szczegóły, inne myśli i uczucia. To grupa ich druga. Te obce są zupełnie psychice poety, a Marcinkowi przyswojone zostały intencyjnie.

Otóż — przedewszystkiem kwestja ulokowania jedynaka w Kielcach. Z powieści wynika, że pani Borowiczowa oddała swego Marcinka pod opiekę starej i dobrej znajomej, pani Przepiórkowskiej, trzymającej uczniów na stacji i zwanej przez nich »starą Przepiórzą«. Stefanka przykrość ta ominęła. Matka bowiem oddała go pod opiekę ciotki, siostry męża, Matyldy Saskiej, odznaczającej się niezwykłą dobrocią i łagodnością, a mieszkającej stale w Kielcach. Okazywała mu ona wiele serca i troskliwości i łagodziła w dużej mierze gorycz rozłąki z rodzicami, gorycz, która u powieściowego Marcinka występuje bardzo silnie, gdyż, według słów powieści, czuł się on na stacji samotnym, jak palec, a jego troski, zmartwienia i okropne trwogi, wyrastające szczególnie na glebie arytmetyki, nikogo nie obchodziły i nie interesowały. Jest to więc pierwszy punkt, w którym bohater powieściowy zbacza, wprowadzie bardzo nieznacznie jeszcze, z drogi, jaką szedł przez życie autor. Szczegóły, w danym wypadku ściśle z Marcinkiem związane, zaczerpnąć mógł poeta ze wspomnień własnych z okresu pobytu w Psarach u państwa Strachowskich, mógł też inten-

cyjnie rozdmuchać i spotęgować uczucia, gniew-
dzące się w jego serduszkach w czasie pobytu
w domu ciotki Matyldy Saskiej, gdyż mimo
całej jej dobroci i łagodności tęsknił bardzo za
rodzicami i ukochanymi Ciekotami i rozłąkę
z nimi odczuwał dość boleśnie. Ze stacją
»starej Przepiórki«, zwanej w rzeczywistości
»starą Czaplicą«, zapoznał się Żeromski znacznie
później, gdy po śmierci rodziców zdany został
wyłącznie na siły własne i zarabiać musiał na
swe utrzymanie marnie płatnymi lekcjami. W roz-
działach, poświęconych tej stacji, myślał
o sobie, pisząc nie tylko o Marcinku. Iden-
tyfikuje się tu w pewnej mierze z »panem
Wiktorem Alfonsem Pigwańskim, uczniem klasy
siódmej, a zarazem gimnazjalnym i poniekąd,
dzięki nieobecności innego, miejskim, ogólnie—
kterykowskim poetą«, — młodzieńcem szczupłym,
mizernym, usiłującym zapuścić długie włosy
i wypalającym niezmierną ilość papierosów.
O Pigwańskim mówi »stara Przepiórka«, że
to głowa otwarta, — »jak wielka stodoła, ale
cóż pani poczniesz, kiedy tu akurat poezyjka
w łeb wjechała, jak fura siana, — nic, tylko
pani siedzi i smaruje *wirsze*«. Skądinąd wiemy,
że Stefanek, będąc w klasie piątej, słyszał szeroko,
jako literat. Jego kolega szkolny, Zygmunt
Wasilewski, opowiada, że w całej niemal Kielec-
czyźnie podziwiano jego zeszyty z poezjami

czy nowelami¹⁾). Zresztą i sam Żeromski, w jednym ze swych wspomnień osobistych, ogłoszonym w roku 1920, pisze o sobie: »Długie włosy bardziej... byłyby »spilowały« mnie samemu, gimnazjalnemu, kielecko-miejskiemu, jedynemu na powiat, a kto wie czy nie na gubernję poecie, autorowi sławnych na całą naszą klasę i cieszących się zasłużoną poczytnością dramatów, liryk, »przenikliwych« studjów, krytyk, inwektyw, polemik i filipik²⁾. Wystarczy urywek ten porównać z opinią autora o »panu Wiktorze Alfonsie Pigwańskim«, by uznać założenie nasze za słuszne.

Drugi z kolei punkt — to śmierć matki. Powieściowy Marcinek nie odczuł wcale tej straty. Na pogrzebie zmuszał się do płaczu i przybierał miny efektowne, wrzeszczał, usiłował rzucić się za trumną do jamy mogilnej, wiedząc ze słuchu, że to pasuje i przeczuwając, że to jeszcze bardziej w dniu tym go wyróżni. W rzeczywistości Stefanek w chwili zgonu matki był już młodzieńcem piętnastoletnim, nad wiek swój intelektualnie rozwiniętym i zdającym sobie jak najdokładniej sprawę z bolesnego ciosu, jaki go spotkał. »Za trumną matki —

1) Porównaj: Z. Wasilewski — *„Wspomnienia o J. Kasproviczu i S. Żeromskim“*. Nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1927. str. 167.

2) St. Żeromski — *„Wybieg instynktu“*, ogłoszony w r. 1920 w *„Księżce pamiątkowej Kieleczan“*.

pisze o nim p. St. Piółun-Noyszewski, — postępował chłopiec, który rozumiał w pełni doniosłość poniesionej straty i wiedział, że zabrakło mu, oto, nie tylko kochającej matki, ale i najbliższego, jedyne go może przyjaciela, na którym nigdy się nie zawiódł«. Nie wrzeszczał więc bezrozumnie i nie przybierał, jak Marcinek, min efektownych, lecz pogrążony w smutku, bolał nad stratą i myślał nad tem, że pustka coraz większa i coraz większa samotność roztacza wokół niego swe skrzydła olbrzymie.

Dalej mówi poeta o Marcinku, że niechętnie słuchał opowiadań powstańczych, wołał rozprawić, np. o polowaniu, gdyż jego przekonania polityczne były mdłym odgłosem niewiary radcy Somonowicza i echem goryczy ojca, który w powstaniu stracił fortunę pradziadowską, nasiedział się w więzieniu i doznał krzywd od wodzów rewolucji. Okoliczności te wpłynęły na Marcinka zabójczo. Odwrócił się on z pogardą od »nierozsądnych« wolnościowych marzeń, od widm i upiórów rewolucji, przejął się natomiast literaturą rosyjską i pełnemi kłamstwa wykładami swych pedagogów, a za cichą i delikatną podniętą inspektora założył wśród swych przyjaciół kółeczko, zbierające się w niedzielę po nabożeństwie na jednej ze stacyj w celu studjowania literatury rosyjskiej oraz wygłaszania referatów treści politycznej, a nawet religijno-politycznej. Samorodni ci

badacze, — »małeńcy uczeni« — według słów powieści, masakrowali w swych wypracowaniach nieszczęsną »Polszę«, opisywali ją na zasadzie książek, dostarczonych przez kierownika, jako dom niewoli, gniazdo rozbestwionej szlachty, mordującej lud *ruski* przy akompaniamencie okrzyków »psiakrew« i »psiadusza«.

Tak pisze Żeromski o Marcinku. Skądinąd jednak wiemy, że ojciec pisarza był przez całe życie gorliwym patriotą. Wiemy już o pomocy, jakiej udzielił powstaniu. Wiemy również, że do końca dni swoich patrzył na świeże, bezimienne mogiły powstańcze, jako na »znaki krzyża, zwiastujące zmartwychwstanie« i że w tym duchu wychowywał swego jedynaka. Co do Stefanka samego, to dzięki wpływom ojca i matki, — ideał Polski wolnej, wielkiej, niepodległej i przede wszystkim — świętej — wżarł się w jego serce zbyt głęboko i otoczył duszę jego zbroją słoneczną, jasną, a tak trwałą i pewną, że rozbić się o nią musiały wszelkie, nawet najbardziej sprytnie obmyślane, sposoby i zabiegi inspektorów i pedagogów rosyjskich. Tu więc założyć musimy jak najbardziej stanowczy protest przeciwko identyfikowaniu autora z Marcinkiem. Stefanek nie był zdolny do roli renegata polskości, jaką odegrać kazał w powieści swemu bohaterowi.

A to samo, co o Stefanku, powiedzieć można o wielu osobach, przemawiających do

nas z kart powieści. Nie chcę bynajmniej brać tu w obronę ani staruszka Leima, który z konieczności znalazł się w szeregach »obrusители«, a duszą całą przywiązany do Polski, pozostawał w stałej sprzeczności ze samym sobą, — ani pana Nogackiego, profesora matematyki, który dzięki swym nieprzeciętnym zdolnościom, wbrew woli i chęci, znalazł się na czele bandy słuźalców pięści i apologetów fałszu, — ani tembardziej »pana« i »profesora« Majewskiego, człowieka, wyzutego najzupełniej z poczucia godności osobistej, podłego, nikczemnego, bezwstydnego łapownika, który dla kariery stał się renegatem polskości, przeszedł na prawosławie i zapisał się »chlubnie« w dziejach gimnazjalnej kohorty policyjno — śledczej. Nie mam tu również na myśli dwu radców — staruszków, Grzebickiego i Somonowicza. Takie typy spotkać można było w owych czasach na każdym kroku — wyrosły one na tle klęski powstańczej i idącego w parze z nią przygnębienia i upadku ducha narodowego.

Ale taki, na przykład, Sztetter, nauczyciel języka polskiego. Jest to — według powieści, — człowiek światły, wykształcony, ba! — obdarzony nieprzeciętnymi zdolnościami. Mimo to jednak na młodzież nie wywiera wpływu dodatniego. Uważając się za intruza na stanowisku tak źle widzianego przedmiotu, z przestrachu wobec

dyrektora gotów jest wlepić się w szczerzy mur i zniknąć bez śladu. Niepokój o los zbyt może licznej rodziny zmusza go do karykaturalnego ściśnienia zakresu swych praw i obowiązków. Uczniowie jego nie umieją pisać ortograficznie, nie wiedzą prawie nic o literaturze polskiej. Wprawdzie zdobywa się czasami na krótkie wzmianki o poetach polskich i ich dziełach, ale — niestety — mówi to z miną tak przerażoną, że w słuchaczach swych nie jest w stanie wzbudzić nic, prócz szczerego śmiechu. Obojętny i apatyczny, nie jest w umysłach chłopców ceniony na równi z innymi profesorami — traktuje się go pobłaźliwie, jak piąte koło u wozu, jak rzecz w istocie niepotrzebną i pozbawioną minimalnej wartości.

W rzeczywistości profesorem języka polskiego w gimnazjum kieleckim był Antoni Gustaw Bem. Oto, co pisze o nim sam Żeromski w artykule swym „*O czystość i poprawność języka*“: »Moim nauczycielem języka polskiego w ciągu wielu lat był Antoni Gustaw Bem, językoznawca i historyk, krytyk literacki i pierwszorzędnym, wzorowym, nieskazitelny polski stylistą... Na szkolnej ławie, a raczej pod tą ławą pisane stopy liryk, olbrzymich poematów i nie mniejszych tragedij oraz powieści, ten mój mistrz młodych lat i nigdy niezapomniany dobroczyńca duchowy cierpliwie wertował i okrutnej podawał krytyce,

nie tylko na dalekich samowtór spacerach, lecz i publicznie na lekcjach. Każdy wówczas ruszczył, gdyby się był okazał, podlegał wypaleniu białem żelazem szyderstwa, którego mi ten pasjonat nie szczędził, jak we wszystkim, do czego przykładał ręki¹⁾. Tamże nazywa Żeromski Bema »polakiem o najgorętszej duszy«. Oczywiście więc charakterystyka powieściowego profesora Sztettera nie może mieć nic wspólnego z rzeczywistym Bemem, — należy ją traktować, jako rysy u innych profesorów zaobserwowane i postaci powieściowej — zgodnie z zamierzeniami artystycznymi, — rozmyślnie przyswojone.

To samo powiedzieć należy o nauczycielu ludowym panu Strachowskim, występującym w powieści pod nazwiskiem Wiechowskiego. Zewnętrznie odmalował go poeta jak najwierniej.

¹⁾ Nić wspólnoty ucznia z profesorem nie urwała się z chwilą opuszczenia murów gimnazjum kieleckiego, lecz przetrwała długo i niejednokrotnie znajdowała wyraz silny i wymowny. Tak, oto, w r. 1903 przystąpił Żeromski do wydania prac literackich swego nauczyciela. W sprawie tej pisał w jednym ze swych listów do Z. Wasilewskiego: „Wydajemy tu prace Bema. Jako jego niegdyś uczeń, musisz koniecznie wpechnąć we Lwowie z 10, 15, 25, 30 egzemplarzy osobom zamożnym, a jako redaktor musisz zareklamować książkę, gdy wyjdzie. Całkowity dochód pójdzie na rzecz żony i córki, choć o tem przez wzgląd na te osoby nie należy wspominać. Prace wzięto do książki nie wszystkie, po dojrzałym namyśle. Ładny wstęp napisał Chrzańowski. Książka wydana będzie ozdobnie. Bądź w tem, żeby się zająć tą sprawą, jak ty to potrafisz... Przypuszczam, że cię obarczam, ale sądzę, że należy się od nas ten dowód pamięci nauczycielowi z lat Bieleckich. Potównaj: Z Wasilewski: *Wspomnienia o J. Kasprzyczu i S. Żeromskim*. str. 182.

Szerokie, żółtawe wąsy, nigdy do góry nie podkręcane, palce rąk, powalane atramentem, zwiędła i zastygła twarz, marszcząca się w uśmiechu czołobitności, wiszący na długiej szyi wełniany szalik w prążki czerwone i zielone, wreszcie — duże, czarne okulary, sterczące na nosie jego żony — wszystko to szczegóły, zgadzające się jak najdokładniej z rzeczywistością. Jeśli jednak chodzi o świat wewnętrzny, to — jak zapewniano p. St. Piółun—Noyszewskiego, — żywy prototyp Wiechowskiego był zbyt poczciwym Polakiem, by miał odgrywać rolę rusyfikatora wsi polskiej z własnej inicjatywy.

Oto zaledwie kilka wymownych przykładów, jak dalece ostrożnym być należy przy czytaniu »Syzyfowych Prac«, o ile weźmiemy je do rąk z zamiarem wyszukania materiału faktycznego do biografji pisarza.

* * *

Pobył Stefanka w Psarach trwał około półtora roku. Gdy język rosyjski został — jak się to zdawało rodzicom i państwu Strachowskim, opanowany już w dostatecznej mierze, matka odwiozła go do Kielc, najbliższego miasta, gdzie mieściło się państwowe gimnazjum filologiczne. Tu po pomyślnym egzaminie przyszedł twórca »Popiołów« przyjęty został do klasy wstępnej.

Działo się to wiosną roku 1876, gdy Stefanek miał lat niespełna dwanaście.

Wszedłszy w mury gimnazjum, wśród których lat blisko czterdzieści temu kształcił się i wychowywał jego ojciec, wstąpił Stefanek w początkowy okres walk z systemem, stosowanym w szkole rosyjskiej. Nie będę się rozwodził nad tem, czem była ta szkoła w dawnej Polsce. Pisałem już o tem nieco wyżej. Tu nadmienię jedynie, że głównym jej celem było przerobienie najmłodszych Polaków na obywateli rosyjskich, oddanych bez zastrzeżeń — całą duszą i sercem — sprawie moskiewskiej. Linja postępowania pedagogów wytyczona została z matematyczną niemal ścisłością. Nikczemny cel uświęcał wszelkie, nawet najbardziej ohydne środki. Wobec niego nie cofano się przed łamaniem serc i deprawowaniem charakterów. Kardynalne zasady pedagogiki sponiewierano i odrzucono precz, jako pojęcia, nie posiadające żadnej praktycznej wartości. Profesorowie gimnazjalni ku nakreślonym celom zdążali przebojem — wytrwale i konsekwentnie, — »jak dobrze ujeżdżony rumak, wzięty na musztuk praktycznego i szowinistycznego obowiązku«.

Ograniczam się do tych kilku słów. Wszystkich, których kwestja ta bliżej interesuje, odsyłam w pierwszym rzędzie do »Syzyfowych Prac«; — zobacz ją tam, jak się rozwijał i jakim

modyfikacjom ulegał stosowany przez Moskali »państwowy program wynarodowienia i wytepienia Polaków«, — jakim przekształceniom ulegała linja postępowania pedagogów, — przekonają się o zgubnym wpływie wychowawców na młodzież, — wreszcie stwierdzą rozkład jednostek pod względem duchowym słabszych, mniej odpornych i gwałtowną reakcją ze strony jednostek silniejszych, bardziej zahartowanych, zdrowych. Pod tym względem »Syzyfowe Prace« posiadają wartość dokumentu historycznego.

Nauka szła Stefankowi opornie. Największą trudność sprawiał język rosyjski — okazało się bowiem, że zapas słów, wtłoczonych w młodą główkę przez pana Strachowskiego, — był conajmniej niedostateczny. Na wykładach gimnazjalnych siedział Stefanek, jak na przysłowio-
wym kazaniu tureckim, nie rozumiejąc początkowo prawie ani słowa. Było więc tak, jak i z Marcinkiem — »pierwsze kształcenie inteligencji, ta piękna walka, to szacowne widowisko, ten zaiste wzniosły akt: uczenie się dziecka, opanowanie pojęć nieznanych przez umysł, który to czyni raz pierwszy, — były walką niezmierną, a często nawet rzetelną i straszną męczarnią«. Drugim takim wrogiem była matematyka, do której — jak każdy rzetelny artysta — nie miał żadnych zdolności i tembardziej zamiłowania. Opanowaniu tych dwóch przedmiotów

poświęcał każdą wolną chwilkę. Jak powieściowy bohater, przesiadywał nad książkami całe odwieczera, uczył się pilnie, ze wzniosłą bezwzględnością, do której nie znalazło jeszcze dostępu ani zwątpienie, ani nieufność, ani żadne wyrachowanie.

Siebie niewątpliwie miał na myśli, pisząc o Marcinku: Z historii świętej, czyli *Zakonu Bożego*, tłoczył sobie w pamięć wszystko, — poczynając od nazwy danego rozdziału, aż do ostatniego w nim słowa. Siedział na belce, ujmował głowę w dłonie i powtarzał głośno »zadane« — aż do skutku, aż do takiego stopnia doskonałości, że mu zasychało w gardle i mąciło się w głowie. Inna rzecz była z arytmetyką i rosyjskim. W obydwu tych gałęziach nauk trzeba było odbywać *urok* z korepetytorem, który mówił i objaśniał po rosyjsku... Z tych wykładów Marcinek nie osiągał nie tylko żadnego zrozumienia rzeczy, ale owszem głupiał coraz okropniej i męczył się coraz bardziej. Prawiono mu ciągle w domu i szkole o liczbach z nieskończoną ilością zer, polecano wykonywać z temi wielkimi liczbami jakieś manipulacje, a wykładano, jak to mówią, niby łopata, rzeczy tak łatwe i objaśniano to wszystko najlepiej, najpoprawniej, czysto i wzorowo stawiając akcenty, a tymczasem Marcinek truchlał, przychodząc do niejasnej refleksji, że nie rozumie, co do niego mówią«. —

Dodać przy tem należy, że z językiem rosyjskim uporał się Stefanek w czasie stosunkowo krótkim. Gorzej jednak było z matematyką — dzięki niej bowiem powtarzać musiał klasę czwartą i szóstą, dzięki niej również nie otrzymał świadectwa maturycznego.

Jak już wspomniałem gdzieindziej, matka nie umieściła swego jedynaka na stacji »starej Czaplicy«, lecz oddała go pod opiekę ciotki Matyldy Saskiej. Jej wrodzona dobroć i serdeczność łagodziły we wrażliwym sercu chłopca tęsknotę za rodzicami, — bliski, serdeczny kontakt ze starszą o pięć lat siostrą Olesią, kończącą podówczas pensję pani Florkiewiczowej, osładzał mu niejedną gorzką i przykłą chwilę. Rówieśników w domu ciotki Stefanek nie znalazł — dwie jej córki były pannami dorosłymi i mimo szczerzej, serdecznej miłości dla kuzyna, nie były w stanie zniżyć się do jego dziecięcego poziomu. Czas więc wolny od nauki spędzał Stefanek w samotności. Z kolegami szkolnymi przyjaźni nie zawierał. Spokojny, nad wiek swój poważny, skupiony i zamknięty w sobie — trzymał się od nich zdala. Jedynymi jego przyjaciółmi były książki — pochłaniał całe ich stopy, czytał wszystko, co mu wpadło do ręki, wszystko, co w Kielcach, małym podówczas miasteczku, można było zdobyć.

Z miłością i serdecznością nie mniejszą od tej, jaką żywiła dla niego ciotka Matylda, spotykał się Stefanek w Kielcach także i w domu drugiej swej ciotki, Józefaty Saskiej, tej samej, która przed laty z górą dwudziestu ułatwiła ojcu zdobycie samodzielnego warsztatu pracy. Ciotka Józefata gospodarowała, jak dawniej, w pobliskiej Rudzie Zajączkowskiej, ze względu zaś na liczną kształcącą się dziatwę miesiące zimowe spędzała w Kielcach, gdzie utrzymywała stale większe mieszkanie. Synowie jej i córki byli znacznie od Stefanka starsi, wnosili jednak w życie rodzinne tyle pogody, radości i beztroskiego rozgwaru, że w kole ich Stefanek zapominał o swych troskach, kłopotach i zmartwie- niach i czuł się naprawdę dzieckiem małym i najzupełniej szczęśliwym. Ciotkę Józefatę kochał bardzo. Lubił nadewszystko słuchać jej opo- wiadań, które — według źródła zupełnie wiaro- godnego — porywały jego uwagę aż do utraty poczucia rzeczywistości i rozplómieniały młodą fantazję. Pogodna a nawet jowialna ta staruszka — jak pisze o niej p. St. Piółun-Noyszewski — była żywą skarbnicą przeszłości. Własnymi oczyma patrzyła na dwa ostatnie powstania, przeżyła i straciła bardzo wiele i zachowała w żywej pamięci cały szmat historii. Umiała też w opo- wieściach swych odtworzyć przeszłość, w jej wesołych i bolesnych etapach, w sposób nie-

zmiernie plastyczny, barwny i ciekawy. Relacje te, bezgranicznie nieraz smutne, nie miały w sobie jednak nigdy zaprawy gorzkiego pesymizmu. Pani Józefata patrzyła na świat pogodnie i choć życie nie zaoszczędziło jej żadnych udręczeń, zachowała równowagę umysłu, dzięki czemu w najtragiczniejsze obrazy umiała wplatać promyki światła i w najsmutniejsze symfonje polskiej bezna 'ziejności akord otuchy i pokrzepienia. Za tę pogodę, niepamiętliwość poniesionych strat i staropolską iście serdeczność kochano ją powszechnie i w towarzystwie tej nieocenionej pani domu każdy musiał czuć się dobrze. Sama wszak dawała najlepszy przykład umiejętności rozpraszania trosk«. —

Z opowiadań jej zbudował poeta treść swej »Wiernej Rzeki« — tego arcytworu literatury polskiej, uchodzącego słusznie za najlepszą pod każdym względem jego powieść. Szczegóły, zasłyszane od ciotki, wykorzystał przy pisaniu innych swych dzieł — rozsiął je, niby perełki, po kartach »Syzyfowych Prac«, — »Ech leśnych« — »Rozdziobią nas« — »Popiołów« — »Urody Życia.«

Najchętniej jednak, z największą radością wrywał się Stefanek do ukochanych całym sercem i tak mu bliskich Ciekot. Do Ciekot, gdzie nie było matematyki, ani języka rosyjskiego, ani też drapieźnych rak pedagogów,

usiłujących wyrzeć z młodej duszy wszystko, co związane było ze świętem imieniem Polski. Do Ciekot, gdzie czekali stęsknieni, tkliwi, kochający rodzice, — lipy stare, szepcące cicho przed gankiem, spaceru w polu, miedzami, wśród bujnie wyrosłego żyta i pszenicy, wycieczki, jazda konna, polowania, rybołówstwo i inne wiejskie rozrywki i przyjemności. I puszcza. Stara, odwieczna, świętokrzyska puszcza.

»W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości, choć tyle lat już nie dano mi go słyszeć na jawie, — pisał znacznie później, bo w roku 1925, w przedzgonnej już chwili. — Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry, — Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżną, — góry moje domowe — Radostową i Kamień oraz wszystkie dalekie siostrzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowymi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne. przezyste dobro, — zimne, nieskalane oddechem, zgnilizną, brudem, pyłem, lecz ktoś inny, kogo już dawno niema, młodzieniec, który niegdyś w mem jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to poprostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom za pomocą pisaniny było moją manją od dzieciństwa, — że to Rafał, albo inny jaki

bujał niegdy tamoj po górach. Tamten ja, miniony i nieistniejący z bronią na ramieniu, nachyla się nad burzliwą, kipiącą wieczyście wodą źródła świętego Franciszka i przegląda się w jego czystej powierzchni, czystej, jak łza, ażeby ze swego odbicia czynić wnet przedmiot baśni, bohatera, postać nieistniejącą, a najbardziej bliźnią, quidam tajemnicze, byt dwunogi, godny wieloaktowego dramatu, albo godny epopei w dziesięciu pieśniach. Tamten siaduje nad brzegiem wartkiego strumienia, co ze źródła świętego Franciszka wybiega, co śmiga w dół i snuje się po kamieniach. Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tem przez całe moje nędzne życie podaje wieść...

Gdzieindziej zaś pisze:

...Zaznajomiłem się był dobrze w ciągu wielu młodości lat z wodami żywemi tej leśnej Nidy, co się z czystych potoków w bujną rzekę rozrasta. Obejmowała mię niegdyś przychylnem, lodowatym ogarnięciem, gdym się w jej czarne głębie ufnie rzucał po twardym, po kamiennym śnie, skoro tylko świt ze szczytem Łysicy niebo zarumienił. Nosila mię na łonie swem, jak dobra matka, gdym pływał stojąc, nawznak, na piersiach i na bokach. Wyrzucała mię z wnętrza swego na powierzchnię siłą potężną głębiny niezgruntowanej, najeżonej rosochatemi kłodami drzew

puszczy, ongi zwałonych, w dno wrosłych, — gdym zbyt długo nurkiem po jej tajnikach chodził. Znałem się wówczas na obyczajach i naturze ryb, na chytrości, mądrości i instynkcie dzikich kaczek, cyranek, bekasów, kurek wodnych, grzywaczy i jastrzębi. Przeszpiegami i chytrością ludzką odpowiadałem na przespiegani i obronne sposoby rogaczy, lisów i zajęcy. Byłem myśliwcem i rybakiem, — z nazwy zresztą bardziej, niż ze skutecznego efektu łowieckich zabiegów. Byłem bowiem największym, bo jedynym, na całe świętokrzyskie góry poetą, udającym myśliwca i rybaka. Miałem w sobie lekkość lisa, nogi jelenie i jak gdyby skrzydła bekasa u ramion. Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach, — w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu, — pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze, — oraz w leśnych kapliczkach obok klasztoru świętej Katarzyny...

...W kapliczce leśnej — mówi na innem miejscu — można pewno i dziś jeszcze czytać napisy po ścianach, ostatni raz bielonych — na szczęście! — przed powstaniem. Jeden z nich, wyryty jakimś ostrzem, głosił słowo mało zrozumiałe: »Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą 1863«. Nie było imienia i nie było nazwiska. To jakby ów rok wszystek, — 1863. — ostrzem strząskanego pałusza, czy złamanego

bagnetu na niemym murze dla nikogo wypisał. Obok tego oświadczenia, które się stało osnową pewnej krwawej tragedji, co całkowity bruljon za całe czterdzieści groszy wypełnia sobą od deski do deski, — widniały wydrapane na murze nazwiska: — Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej, — a niżej tuż pod tamtem: Jan Stróżecki, uczeń klasy drugiej. O ile ów z roku 1863 zanadto pilnie swe nazwisko zataił, o tyle my dwaj, uczniowie klasy drugiej, czyniliśmy dla uwiecznienia naszych, co się tylko dało, co było w naszej mocy...

O swych wędrówkach po puszczy pisze na innem miejscu:

...Zdobywanie przestrzeni za dni młodości za pośrednictwem mocy mięśniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami, wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmwaniu, a raczej na uprzytomnianiu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie wiorsty — to droga polna z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty — to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile to linja prosta z Kielc do świętej Katarzyny. Każda trudna, duża i ciężka praca jakiegokolwiek natury, — literacka, biblioteczna czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w mej sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Rado-

stowej. Jestem oto u jej podnóża, w Leszczynach, w Mącholicach, w Bęczkowie, — jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim, jestem niedaleko wierzchołka, jestem na szczycie! Widzę już mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem w dół. Otom już u granicy naszych pól. Widzę drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy i radosny spoczynek...

Stara, odwieczna, świętokrzyska puszcza...

Kochał ją i wielbił Stefanek nie dla dziewiczego jej piękna, nie dlatego tylko, że wkraczając w nią i usiłując przeniknąć jej tajnie największe, widział wokół siebie »drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosięglym dla szybkiego spojrzenia wyległe w dal milami«. Kochał ją i cześć lękliwą dla niej w duszy swej nosił nie dlatego tylko, że otaczały go »nieznane i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie, podarte od przepęknień i okapane okarami żywicy, na sto łokci wybiegające pod niebo«.

Kochał i wielbił ją dlatego, że jodły stare, obwieszane ciemno-zielonemi wieńcami, a chwiejące się spłaszczonemi koronami za wiatrem tam i sam — »śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina«. Z ciemnej głębi lasu »szedł na jego duszę, nastawał i napastował głos nieodmienny,

głęboki — wysoki*... Zwierziała się przed nim puszcza z największych swych tajemnic. W samotnych wędrownkach błądził po owych szlakach, gdzie był jeszcze nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników, — gdzie jeszcze ściany przydrożnej austerji czarne były od kul i podziurawione, jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w uszy, jak do składu, a czasem tym dzielił na części swe życie przed i po powstaniowe*.

W puszczy tej zaznaczyło się powstanie styczniowe krwawo i sławnie. Okolice gór świętokrzyskich obrał dyktator Langiewicz za podstawę działań powstańczych. Cała Kieleccyzna w ciągu naszej ośmnastomiesięcznej walki była jednym wrzącym garnkiem, a Ciekoty tego garnka punktem środkowym. Bondzentyń, Słupia Nowa, Łągów, Stopnica, Pińczów, Miechów, Imielno, Małagoszcz, Ćmińsko, Szydłowiec, — miasta i wsie, znane i głośnie z bitw i potyczek powstańczych, leżą w najbliższej okolicy Ciekot, w odległości kilku, kilkunastu lub co najwyżej — kilkudziesięciu kilometrów.

Tu działał i pracował jeszcze przed wybuchem ruchawki komisarz rewolucyjny Biechoński i wyznaczony na wodza przyszłego powstania Apolinary Kurowski. Te dzielni bracia Dawidowiczowie w pamiętną noc styczniową rozprawili

się z moskalami krwawo i sławnie na całą Polskę. Tu zorganizowano dwa obozy powstańcze — w Wąchocku i Ojcowie — dokąd ściągła młodzież i starsze pokolenie ze wszystkich stron kraju.

W najbliższych okolicach świętego Krzyża walczył korpusik dyktatora Langiewicza, składający się z czterech bataljonów piechoty, szwadronu jazdy i zaopatrzonego — pożałuj, Boże! — w małe, drewniane i szpizowe armatki. W tychże stronach walczył Apolinary Kurowski, bił się i poległ Dyonizy Czachowski, wojak z roku 1831, jeden z najdzielniejszych i najbardziej zasłużonych wodzów styczniowego powstania. Tu krwią swoją ziemię naszą zrosił szlachetny Włoch, dzielny garibaldzista — Franciszek Nullo, tu również legli na sen wieczny oficerowie rosyjscy, rdzenni moskale, zdeterminowani rewolucjoniści, czytelnicy i prenumerujący głośnego »Kołokołu«, w którym Herzen cisnął rosyjskiej duszy ku obronie Polski: *kluj woronom nasi trupy!* — idź stąd precz, albo szarp jak kruk nasze trupy! —

Łoskotem swego oręża wypełniał góry świętego Krzyża dzielny, odważny francuz Franciszek Rochebrune, wódz bohaterskiego oddziału »Żuawów śmierci«. U podnóża tychże gór staczał zażarte walki Zygmunt Chmieleński, żołnierz nieustraszony, partyzant, genialny, ubóstwiany

przez powstańców za niezwykłą dzielność i odwagę, za zimną krew i stałą przytomność umysłu. Tu również sztandar powstania, chwiejący się po śmierci Czachowskiego, pochwycił w swe mocne ręce generał Józef hrabia Hauke, zwany w powstaniu Bosakiem, były pułkownik rosyjski, co dobrą połowę swego życia spędził na walkach partyzanckich z góralami Kaukazu, — jego boje, jego zwycięstwa i niepowodzenia są już ostatnimi aktami martyrologji powstańczej.

O bezprzykładnem bohaterstwie tych bojowników o wolność Polski, o ich poświęceniu się, męczeństwie i zgonie śpiewała Stefankowi odwieczna puszcza jodłowa. Mówiły mu o nich świeże jeszcze, — rozrzucone po lasach i polach — bezimienne mogiły, nad którymi ręce nieznanne wzniosły sosnowe krzyże. Szeptaly mu o nich drzewa przydrożne, karczmy żydowskie kurne chaty nędzarzy, dwory szlacheckie.

Już w najwcześniejszem dzieciństwie otoczył go tłum tych straceńców, — wchłaniał więc w siebie cały ogrom ich przeżyć, wykrywał utajoną łączność każdego z nich z sobą samym i wiedział, że nigdy — przenigdy, do końca dni swoich, nie rozstanie się z nimi.

Powstaniec polski, — głodny, zbroczonego krwią, ścigany, rozstrzeliwany czy też umierający samotnie w szczerem polu, to całą głębią wielkiego serca ukochana postać. Opowiada

o nim Żeromski najczęściej i najchętniej. W ogromnym spadku, jaki otrzymała po nim zbiorowa dusza polska, mamy zaledwie kilka utworów, w których nie możemy ustalić mniej lub bardziej ścisłego związku z tym smutnym rokiem.

Powstańcowi wyłącznie poświęcone zostały »Echa leśne«, — »Rozdzióbią nas kruki, wrony«, — i »Wierna Rzeka«. Wyraźnie zarysowuje się ta bohaterska postać w »Syzyfowych Pracach«, — w »Róży«, — w »Nawracaniu Judasza«, a więc w utworach, których tło ogólne niema napozór bezpośredniego związku z tragedją 63-go roku. W innych utworach znajdujemy krótsze lub dłuższe wzmianki o powstaniu i powstańcach, wzmianki wprawdzie krótkie, lecz jakżeż serdeczne i tkliwe. Jakżeż wielką wymowę ma, np., cytowane już przezemnie krótkie zdanie z »Puszczy jodłowej:« Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą 1863!«... W innych wreszcie utworach niema bolesnych wspomnień, niema najkrótszych nawet wzmianek o powstańcach, — mimo to jednak czujemy ich obecność, czujemy, że unoszą się nad nami, że oddają nam pomocny uścisk ducha i jak Piotr Rozłucki z »Urody Życia« — doznajemy uczucia głębokiej pociechy i wielkiej łaski.

*

*

W sierpniu roku 1879, gdy Stefanek miał lat niespełna piętnaście, spotkał go cios okropny

— śmierć matki.¹⁾ Jak już wspomniałem gdzieś indziej, stratę tę odczuł bardzo boleśnie. Wiedział i najdokładniej zdawał sobie sprawę, że w osobie matki stracił jedyne wiernego przyjaciela, oddanego mu bez zastrzeżeń, — całą duszą, gotowego do jak największych poświęceń i pełnego zrozumienia dla jego młodzieńczych trosk, kłopotów i zmartwień, dla jego triumfów i niepowodzeń, marzeń i pragnień. Trumnę matki, obsypaną polnem kwieciami, oblał obficie gorzkimi łzami. Po pogrzebie, pełen nieutulonej tęsknoty i żalu, przesiadywał długo na cmentarzu lub też błąkał się po pustych i cichych pokojach dworu ciekockiego, grzebiąc się w swych wspomnieniach, wydobywając z głębi pamięci szczegóły wspólnego z nią pożycia. Pustkę głęboką czuł wokół siebie. Ślady jedynie po matce przetrwały to tu, to tam, smutne świadectwa, że w istocie bytowała na ziemi, potwierdzenie, że niewątpliwie tam i sam przeszła i dowody, że jej już niema.²⁾

Śmierć matki nastąpiła w ostatnich dniach feryj letnich, tuż przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. To też bezpośrednio prawie po

¹⁾ Ostatnie chwile życia matki odmalował pisarz jak najwierniej w jednym z końcowych rozdziałów „Ludzi Bezdomnych.“ Matka występuje tam pod nazwiskiem pani Daszkowskiej.

²⁾ Ostatnie zdanie porównaj z „Wiatrem od morza“, — rozdział poświęcony Zbigniewowi, „sercu zdradzieckiemu.“

pogrzebie odjechał Stefanek do Kielc. I tu również zaszły zmiany. Przedobra ciotka Matylda, u której spędził trzy pierwsze lata pobytu swego w Kielcach, patrzyła na życie również z tamtego już brzegu — zmarła o parę tygodni wcześniej, niż matka. Oddał więc ojciec jedynaka swego pod opiekę ciotki Józefaty. Ale ani znane już nam zalety jej serca, ani pogodny nastrój, panujący w jej domu, nie mogły nietylko stłumić, ale nawet częściowo złagodzić w duszy chłopca przykrego i bolesnego uczucia smutku, osamotnienia i żalu za matką. Z każdego o niej słowa, z każdego wspomnienia czerpał ostrą tęsknotę. I żył jak gdyby podwójnem życiem — życiem rzeczywistości i przewidzenia.

Jedyną osłoda stały się dlań w tym czasie częste, prawie codzienne pielgrzymki do małego kościółka świętej Trójcy, zbudowanego w pierwszej połowie wieku XVII, a będącego w tym czasie świątynią kieleckiego seminarjum duchownego. W kościółku tym upodobał sobie Stefanek małą, boczną kryptę z ołtarzykiem, z ponad którego spoglądało nań łagodne, smutne oblicze Matki Boskiej Łaskawej. Codziennie rano, przed rozpoczęciem zajęć w gimnazjum, zmierzał do swej krypty i klęcząc, modlił się żarliwie. Pobożność ta słodziła jego sieroctwo. Nie był wówczas sam, jak dawniej. — pisze o Marcinku Borowiczu, a więc i o sobie, — nie czuł żad-

nego opuszczenia. Jego zmarła matka żyła, wie, działa o wszystkich troskach, smutkach i radościach, Nieraz odzywał się w głębi jego duszy jej głos — jako dobre postanowienie, albo trzymał go. niby ręką. Wśród trwóg, w które obfituje szkoła rosyjska, w głębi nocy sierocych wiedział dobrze, że mu włos z głowy nie spadnie...

Ta głęboka religijność i silna wiara w życie pozagrobowe przetrwała w pisarzu długo, — do końca dni jego. Z najpoważniejszej i najbardziej szczegółowej jego biografii dowiadujemy się, że jeszcze na rok przed zgonem zapewniał, iż gdyby w życiu swem zwątpić musiał o wszystkim, to jedno zostanie w nim niewzruszone, jak dogmat, mianowicie — przeświadczenie, że dwa promienne duchy — duch ojca i matki — stoją zawsze przy nim. W lecie r. 1925, podczas śmiertelnej już choroby, gdy przytomność odmawiała mu posłuszeństwa, rozmawiał wciąż z duchem ukochanej matki, a przed wilą swą w Konstancinie widział wśród małych kwitnących jej mogił.

Jednocześnie z pielgrzymkami do ukochanego kościółka świętej Trójcy — pisze pamiętnik. Wobec braku żywego powiernika myśli i uczuć spowiada się tam szczerze ze wszystkich swych trosk, kłopotów i zmartwień, ze wszystkich najśmielszych nawet marzeń i pragnień najgłębszych. Małemi i jak się sam wyraża — niezdarnymi

kulfonami« wypełniał wielkie strony grubych zeszytów.

W związku z tem odezwała się w nim żyłka pisarska. W »Puszczy Jodłowej«,—w swym śpiewie łabędzim, pełnym cichego smutku i tęsknoty, w śpiewie, którym pożegnał to ukochane przez siebie siedlisko bogów starych, opowiada o pierwszych swych krokach w tym kierunku.

»Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach, w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu, pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze, oraz w leśnych kapliczkach obok klasztoru świętej Katarzyny. Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników, — gdzie ściany przydrożnej austerji czarne były od kul i podziurawione, jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w moje uszy, jak do składu, a czasem tym dzielił swe życie na czasy przed i po powstaniowe. Układałem nieskończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją partją dowodził i wyciągałem epos o przeklętym i wyklętym zdrajcy z tejże wsi,—Janicu — co za wydanie spisku Ściegiennego, — chwały naszych czar-

nych lasów, — order, pięć kolonij w nagrodę otrzymał, a sam rozpił się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie...«

Doszły do naszej wiadomości jedynie tytuły wierszowanych poematów i pierwszych nieśmiałych prób jego tak znakomitej później prozy. Zwierza nam się z tego w »Wybiegu instynktu«, ogłoszonym w »Księdze pamiątkowej Kielczan« gdzie nazywa siebie »gimnazjalnym, kielecko — miejskim, jedynym na powiat, a kto wie, czy nie na gubernię poetą« i wspomina o »sławnych na całą klasę i cieszących się zasłużoną poczytnością dramatów »Cola di Rienzo«, — »Savanarola«, — »Zbrodnia na Radostowie« — i bardzo wielu innych, — bruljonów, grubych, jak słownik Knapskiego, pełnych poematów »w dwunastu pieśniach«, — liryk, — »przenikliwych «studjów, krytych, inwektyw, polemik i filipik«. Gdzie indziej zaś — w przedmowie do książki K. Firlej — Bielańskiej p. t. »Nullo i jego towarzysze« wspomina o poemacie swym p. t. »Bez kiszkin«, napisanym we wczesnej młodości, na ławie szkolnej, a wysnutym z klechd domowych, z opowiadań ludzi prostych, z wieści sekretnej lasów kieleckich. Opisywał tam rymami »rosyjskiego oficera, który poszedł do naszego powstania, a pojmany w potyczce, tracony był na szubienicy w rynku miasteczka Włoszczowy«.

Zapisawszy od deski do deski całe stopy zeszytów za całe — jak się sam wyraża — czterdzieści groszy, — zamarzył Stefanek o druku. Zaczął wysyłać swe »sztubackie wierszydła« do czasopism, wychodzących w kraju. Jedne wracały doń po kilku tygodniach czy miesiącach z niepoehlebnym i wcale niepokojącym dopiskiem redaktora, inne ginęły bez śladu i wieści, jak kamień, rzucony w wodę. Nie zrażał się. Uporczywe kołatanie do zawartych jeszcze na głucho bram sławy, uwieńczone zostało wreszcie pomyślnym rezultatem: dnia 8 lipca r. 1882 ukazał się w Nr. 27 »Tygodnika Mód i Powieści« dokonany przez niego przekład wiersza poety rosyjskiego Michała Lermontowa p. t. *Pragnienie* zaś w parę tygodni później, bo dnia 12 sierpnia tegoż roku w »Przyjacielu dzieci« — wiersz jego oryginalny p. t. *Piosnka rolnika*.

Powodzenie to oskrzydliło Stefanka. Coraz częściej, pewniej i śmieiej zagląda wewnątrz siebie, w świat swoich poetyckich dziwów i głębin. Coraz częściej i chętniej przebywa w kole powołanych z nicości i stworzonych przez siebie ludzi. Wierzy święcie i niezachwianie, że do końca dni swoich zachowa wierność dla nich i bezgraniczną swoją miłość, — wie, że nigdy i nigdzie nie istnieli, wierzy jednak, że ludzie, żyjący naprawdę, mówić i pisać o nich będą więcej i częściej, niż o sobie.

Tę głęboką radość i rodzącą się ufność do życia stłumiły, niestety, nowe bolesne ciosy.

* * *

Po śmierci matki — ojciec gospodarował, jak dawniej, w Ciekotach. Stefanek rok szkolny spędzał w Kielcach, młodsza zaś od niego o pięć lat siostrzyczka, Bolcia, wychowywała się w Kurzelowie, u ciotki, siostry nieboszczki — matki, Marji z Katerłów Kozłowskiej. Przy boku ojca pozostawała jedynie najstarsza jego córka Olesia, która zdążyła już ukończyć pensję pani Florkiewiczowej w Kielcach. Była to panienka dwudziestoletnia, przystojna, nawet ładna i co ważniejsze — energiczna, stanowcza, ambitna, inteligentna i rozumna; — w rodzinie i w kole najbliższych znajomych uchodziła za znacznie od Stefanka zdolniejszą. Ojciec kochał ją bardzo. Zapatrzony w nią, jak w tęczę, był w jej ręku ślepem, posłusznym narzędziem, echem jej pragnień i dążeń. Ta uległość ojcowska sprzyjała w dużej mierze rozwojowi i rozrostowi jej ambicji, innych cech charakteru — zbyt może stanowczego i energicznego.

W owych czasach kobiety nie posiadały jeszcze tych praw społecznych, jakie przysługują im obecnie. Zdobycie stanowiska życiowego było dla nich przedewszystkiem kwestją dobrego i pomyślnego zamążpójścia. Ojciec nie chciał,

a raczej nie mógł szukać na tem polu nowych dróg, lecz poszedł w ślad za innymi utartym szlakiem wielowiekowej tradycji, — starał się więc w pierwszym rzędzie stworzyć warunki, które pozwoliłyby Olesi zrobić »partję« jak najlepszą.

W tym też celu — po okresie żałoby — złożył wizyty w okolicznych dworach i ukazywać się zaczął wraz z córką na balach, wieczorkach i kuligach. A stawiając pierwsze kroki w dawno — wskutek długotrwałej choroby i śmierci żony — nie odwiedzanych salonach, nie przypuszczał zapewne, że nie Olesię, lecz siebie tylko zaprowadzi na ślubny kobierzec. W trakcie zabaw karnawałowych czyjeś zanadto usłużne i niekoniecznie życzliwe usta podsunęły mu myśl powtórnego ożenku: żona, mówiono mu, zaopiekuje się dziećmi, nada jego domowi zgoła odmienny charakter, stworzy warunki jak najbardziej dla Olesi korzystne, gdyż uzyska się przez to możliwość przyjmowania kandydatów do jej ręki u siebie, we własnym — ciekockim — saloniku. Ojciec poszedł za tą radą. Wiosną r. 1881, a więc w dwa niespełna lata po śmierci żony, ożenił się po raz drugi. W głębi duszy uważać musiał krok ten za niezupełnie właściwy, albowiem na ślub nie prosił nikogo, a najbliższą rodzinę zawiadomił jedynie o fakcie dokonanym. Drugą żoną jego była panna Antonina

Zeitheimówna, licząca lat blisko pięćdziesiąt, nauczycielka ludowa z zawodu. Ojciec liczył podówczas lat przeszło 60.

Stefanek wiadomość o powtórnem ożenku ojca powitał podobno obojętnem milczeniem. Twierdzą niektórzy, że zbyt był zaabsorbowany swoją pracą literacką i swemi przyjaciółmi — książkami. Wiadomość ta nie wydaje się prawdopodobną już choćby z tego tylko względu, że Stefanek zbyt gorąco kochał swą zmarłą matkę, nie mogło więc być dla niego rzeczą obojętną, że miejsce jej w Ciekotach zajęła osoba obca, oschła i w gruncie rzeczy niezyczliwa. Jeśli więc zachował obojętne napozór milczenie, jeśli nie wyraził żadnych myśli i uwag, to uczynił to zapewne rozmyślnie, gdyż kłamać nie mógł, bo nie umiał, powiedzieć zaś prawdy ze względów zrozumiałych nie chciał czy może nawet nie śmiał.

Zupełnie inaczej zachowała się starsza jego siostra Olesia.

Macocho bezpośrednio po ślubie zajęła w Ciekotach stanowisko w gruncie rzeczy najzupełniej właściwe, — starała się odegrać tam rolę pani domu. Na Olesię patrzyła, jak na młodą, niedoświadczoną dziewczynę, wymagała od niej dla siebie nie tylko szacunku, lecz przede wszystkim posłuszeństwa, a na wiele jej żądań i pretensyj, uważanych może i słusznie

za zbyt wygórowane, odpowiadała bądź to perswazjami, bądź też stanowczą odmową. Na tem właśnie tle kształtować się zaczął konflikt.

Olesia bowiem, przyzwyczajona do jak największej uległości ze strony ojca i odgrywania w domu pierwszej roli, nie chciała rezygnować ze swych praw, nie myślała o oddaniu palmy pierwszeństwa w ręce macochy, uważała ją za intruza i uzurpatora, a wszelkie perswazje i odmowy z jej strony traktowała, jako zniewagę osobistą.

Ojciec znalazł się w położeniu niezwykle kłopotliwym, rzeczby można trafił pomiędzy młot a kowadło. Córkę swą kochał bardzo, skłonny był do przyjęcia bez zastrzeżeń wszelkich, nawet najbardziej wygórowanych jej żądań, radby był — jak to mówią — nieba jej przychylić. Z drugiej jednak strony widział konieczność podtrzymania autorytetu żony, wiedział i zdawał sobie sprawę jak najdokładniej, że wszelkie — najmnie sze nawet kompromisy i ustępstwa na rzecz córki podważą ten autorytet, pozbawią starszą kobietę należnego jej ze strony młodego dziewczęcia szacunku. W dodatku należał do tego samego, co i żona, pokolenia; — na wiele spraw zapatrywał się po staroświecku, dzielając w zupełności poglądy swej nowej towarzyszkii życia. Tem łatwiej więc w wypadkach konfliktu stawał po jej stronie, przyznawał

jej rację i pospołu z nią — wbrew nakazom serca — występował przeciw córce.

Ambitna panienska na tę nagłą i niespodziewaną zmianę w stosunkach rodzinnych odpowiedziała w sposób zbyt gwałtowny i kategoryczny, — uciekła z domu. Zrozpaczony ojciec szukał za nią przez kilka tygodni, jeżdżąc po wsiach i miasteczkach okolicznych. Znalazł ją wreszcie w jednym z dworów, gdzie wynajęła się do pracy na kartoflisku. Pocałunkami, perswazjami, obietnicami udało mu się namówić ją do powrotu do domu. Ale pobyt jej w Ciekotach był krótki, — wracając z ucieczki, przypuszczała zapewne, że po tak gwałtownym z jej strony proteście życie rodzinne w Ciekotach wróci do dawnego trybu. Pomyliła się jednak w swych przewidywaniach, — macocha bowiem nie myślała wcale o kompromisie i nie omieszkała wyrazić jej swego oburzenia z powodu dokonanej ucieczki. Nastąpiło więc ponowne zniknięcie i ponowny — za sprawę ojca — powrót do domu. Gdy uciekła po raz trzeci — ojciec zaniechał poszukiwań. Widział, że w ten sposób uporę jej nie złamie, — łudził się może, że Olesia z czasem spojrzy właściwie na istniejący w domu stan rzeczy, pogodzi się z nim i sama, dobrowolnie, wróci do Ciekot. Pomylił się jednak w swych przewidywaniach. Olesia bowiem, uciekwszy z domu, osiadła w małym miasteczku

Jędrzejowie, gdzie zarabiała na życie, udzielając lekcje w domach inteligencji. Tu wkrótce zaręczyła się z urzędnikiem rosyjskim, rodowitym moskalem i wyjechała z nim w głąb Rosji. W czasach niewoli politycznej krok ten równoznaczny był ze zdradą narodową, a więc z jednym z tych grzechów, dla których niemasz rozgrzeszenia. Wiadomość o zamążpójściu Olesi spadła na ojca, jak nagły, niespodziewany piorun. Jego chore, osłabione serce nie wytrzymało tego ciosu. Położył się do łóżka i we wrześniu r. 1883 zmarł na udar sercowy. Przed śmiercią jeszcze zdobył się na nadzwyczajny wysiłek — zawiadomił, oto, syna, córkę i najbliższą rodzinę, że Olesia przeszła do obozu wrogów Ojczyzny i że przez to *umarła* nazawsze nie tylko dla kraju, lecz także i dla rodzeństwa.

Dwa te ciosy, — śmierć ojca i tragedję niešťczęsnej Olesi, — odczuł poeta w sposób niezwykle dojmujący. Uczucia i myśli pesymistyczne, gnieźdzące się w jego sercu, z chwilą zgonu matki przybrały niezwykle na sile i wyrazistości, — obecnie również znalazły dla siebie żer obfity. Gorycz, smutek, rezygnacja wypełniają po brzegi młodą duszę.

Wspomnienie siostry — pisze jego biograf — było wciąż cierniem, krającem serce, było raną, która nie zagoiła się nigdy. Stawało mu u węgłowia, jak widmo pokutującej grzesznicy, prze-

ślaniało swym cieniem fantazję twórczą. Chciał cieni ten wyrwać z serca, zapragnął widmo zakląć w jedno z swych dzieł, po literacku ucieleśnić i dla siebie niejako unieszkodliwić. Wiedział z doświadczenia pisarza, że wszelka wizja twórcza przestaje niepokoić i sen odpędzać z powiek po ostatecznem przelaniu na papier. Stworzył więc »Dzieje Grzechu«, dzieło dużej miary i dużych eo ipso wad.

Historja Ewy Pobratyńskiej nie ma, rzecz oczywista, nic wspólnego z dziejami Olesi. Dziedziczy jednak po niej zasadniczą cechę charakteru bohaterki — jej bunt wobec środowiska rodzinnego, jej los i walkę z życiowem fatum. Tragiczna z polskiego punktu widzenia postać Olesi była tu nieodpartym impulsem twórczym, któremu dzieło to literatura polska zawdzięcza.

* * *

Prawie jednocześnie ze śmiercią ojca i tragedją nieszczęsnej Olesi spotkał Stefanka zawód miłosny, — zawód tembardziej przykry i bolesny, że pierwszy. Uczucie to wybuchnęło w nim z taką siłą i entuzjazmem, wżarło się w jego serce tak głęboko, że niepowodzenie to słusznie uważać mógł za jeszcze jedno — bezceremonjalne i bezlitosne — kopnięcie losu. Bolesć głęboka zgruzgotała jego duszę. Pesymizm,

wyrosły na soczystej glebie poprzednich klęsk i niepowodzeń życiowych, i w tym wypadku również znalazł przyjazne dla siebie źródło.

Przedmiotem jego afektu była kuzynka jego Ludwika Dunin Borkowska. Stefanek znał ją od dzieciństwa, gdyż była ona wychowanicą ciotki Matyldy, u której spędził pierwsze trzy lata pobytu swego w Kielcach. Początkowo spotykał się z nią bardzo rzadko, panienka bowiem kształciła się w pensjonacie w Suchedniowie i do Kielc, do ciotki Matyldy, przyjeżdżała jedynie na ferje świąteczne i letnie, a więc w czasie, kiedy Stefanek odjeżdżał do ukochanych Ciekot. Później, po śmierci matki, gdy w dworze ciekockim zaszły znane już nam zmiany, Stefanek niechętnie tam zaglądał, — wolał siedzieć w Kielcach ze swymi przyjaciółmi książkami. W tym też czasie zetknął się z Ludwisią, poznał ją bliżej, no i zakochał się bez pamięci. Była to panienka ośmnastoletnia, a więc o parę miesięcy tylko młodsza od niego, bardzo przystojna, niezwykle żywa i inteligentna. Do Stefanka przywiązana była bardzo, kochała go, jak się kocha bliskiego kuzyna i miłego chłopca, z którym przyjemnie spędza się czas na rozmowach, wycieczkach, zabawach. To jednak o miłości, o jakiej marzył młody poeta — nie mogło być mowy. Ludwisia była dziewczyną dorosłą, panienką — jak się to mówi — na wydaniu, gdy tymczasem

on — skromnym sztubaczkiem, uczniem piątej klasy gimnazjalnej, przed którym — jeśli chodzi o byt niezależny i samodzielny — leżała daleka jeszcze i uciążliwa droga. Oświadczeń jego nie mogła więc Ludwisia traktować poważnie. W krótkich liścikach będących odpowiedzią na przydługie jego wynurzenia, radziła mu wypłenić z serca miłość do niej i zająć się raczej książkami i literaturą. Stefanek liściki te z niezwykłym pietyzmem wklejał do swego dzienniczka, obok płomiennych sonetów i »kilometrowych« wierszy na jej cześć. Wiosną roku 1883 Ludwisia zaręczyła się i wkrótce potem wyszła za mąż. W pożegnalnym wierszu do niej, przytoczonym przez p. St. Piółun-Noy-szewskiego, pisał ośmnastoletni poeta:

Smutno ci nucę!.. Lecz los mój taki,
Nigdy szczęsnego nie wydać tonu,
Zawsze do nuty wracać jednakiej:
Do łez i cierpień, boleści zgonu...

.

Ty w świat, do ludzi, a ja — do liry!
Do domku mego pokorny wróć
Rzucac w twarz ludziom ostre satyry,
Bo wesołego ja nic nie nucę...
Ty mię zapomnisz, a ja o Tobie,
Jak o aniele zawsze śnić będę,
Śnić będę zawsze, aż gdzieś przy grobie
Nić Ci z snów swoich złotą uprzedzę...

W końcu wiersza skarżył się cicho :

Smutno mi, smutno! sam nie wiem, czemu,
Że nas na wieki tak los rozdziela...

Więc nigdy szczęścia sercu mojemu,
Więc nigdy duszy mojej wesela?!

Tych, com ukochał, los mi wydziera...

Inni w ich sercach królestwa mają —

Moje uczucia losu siekiera

Nieubłaganą swą rąbic stałą...¹⁾

W »Szyzyfowych Pracach« opowiada Żeromski o miłości Marcinka Borowicza do panny Anny Stogowskiej, zwanej przez młodzież gimnazjalną »Birutą.« Wystarczy jednak porównać treść dwóch ostatnich rozdziałów tej powieści z tem, co o miłości Stefanka powiedzieliśmy wyżej, aby przekonać się raz jeszcze, jak silnej modyfikacji uległy w artystycznym ujęciu zdarzenia, zaczerpnięte przez autora z osobistych przeżyć.

* * *

Po śmierci ojca znalazł się Stefanek w położeniu niezwykle trudnem. Cały ciekocki dobytek ojca zagarnęła wyłącznie dla siebie macocha, nie troszcząc się wcale o pozostałe po nim dzieci. Ciotka Józefata w tym czasie zlikwidowała

¹⁾ Cytuję według St. Piółun-Noyszewskiego. Wiersz jest dość długi — prawie „kilonetrowy“, składa się bowiem z czternastu zwrotek.

wał musiała gospodarstwo swe w pobliskiej Rudzie Zajązkowskiej, zwinęła również mieszkanie kieleckie i przenieśli się na stałe do jednego z swych synów, gospodarującego na wsi. Tak tedy po śmierci ojca został Stefanek zdany na siły własne. Marnie płatnemi lekcjami zarabiać musiał na swe utrzymanie, na odzież, obuwie, książki i jakiś kąt, w którym mógł się przespać i pracować. O warunkach, w jakich w tym czasie żył i w jakich na kawałek gorzkiego sierocego chleba zarabiać musiał, opowiada nam w jednym ze swych wspomnień szkolnych.

»Działo się, — oczywiście, — w starem mieście Kielcach, za czasów moskiewskiego w niem rozbijania się i panoszenia. Byliśmy, — ósma klasa gimnazjalna — pilnowani i strzeżeni, jak gromadka dzieci, którą należy trzymać nie byle jak w ryzach, żeby sobie snąć jakiego *kuku* nie zadała. Po godzinie ósmej wieczorem nie wolno nam było pod żadnym pozorem wychodzić z domu i »znajdować się na ulicy«. Wyjątek stanowiły eskapady nocne ze starym nauczycielem matematyki i fizyki, Gracjanem Czarneckim, — »na gwiazdy«, gdy, wyniosłszy na wzgórek obok cerkwi moskiewskiej jego własne lunety i przyrządy, zapalaliśmy się do astronomji. Zdarzało się, iż na owe »gwiazdy« przed mieszkaniem zgryźliwego »Gracjana Francowicza« czyli »Zubła«, które to miano jedno

pokolenie naszej szkoły przekazywało następnemu, — delegowany w tym celu zapaleniec w pojedynkę »zbierał się« i reprezentował ogół, a wesoła reszta kierowała swe chyże kroki ku gwiazdom najzupełniej ziemskim i daleko bardziej dostępnym. Spotkani na ulicy o tak późnej i zakazanej godzinie przez czynniki miarodajne i szpiegujące, zwalali swą karygodną obecność wśród zawitości ciemnych ulic na barki astronoma Gracjana, tłumacząc się, że właśnie zdążają pod cerkiew na obserwacje pierścieni Saturna. Wykręty takie przyjmowane były za dobrą monetę, o ile się wpadało w ręce któregoś z fafułów gimnazjalnych, normalnych belfrów, filologów czy przyrodników, którym tropienie czeladki gimnazjalnej narzucono z góry, jako wstrętny dla nich obowiązek. Lecz był ktoś, komu najbardziej szybko konogi Achilles nigdy ująć nie zdołał, a po pojmaniu nie wyśliznął się ze szponów za pomocą opowieści o »gwiazdach«.

Pomocnik gospodarzy klas, — pan, — dajmy na to, — Smirnow, a raczej «Ryży», wiedział doskonale, jakie każdemu z nas gwiazdy świecą w jakim punkcie miasta, w którym domu i w którym oknie. Był to elegancki jegomość w pełni lat męskich, z rudą bródką, starannie utrzymaną i czerwonymi włosami, których uczesaniu poświęcał wielu czasu... Wszystko w nim i na nim było wytworne, lekkie, powiewne, — z wy-

jątkiem laski. Laskę nosił wyjątkowo grubą, krzywulę o gałce potężnej na końcu zgięcia rękojeści, z ołowiu czy metalu. Tą to laską subtelny »Ryży« umiał manewrować w sposób niezrównany. Gdy przestępca gimnazjalny, dostrzeżony zdała wieczorem, zaczynał przed tropicielem »wiać«, jako wiatr wieje, a raczej jak wieją młode i zdrowe nogi siedmnastoletnie, — »Ryży« puszczał się za uciekającym w pogoń, również, jak wiatr, na swych giętkich i cieńkich kończynach, — lecz do pewnej tylko granicy. W momencie, uznanym za nieomylnie odpowiedni, znakomitym rzutem po ziemi puszczał swą krzywulę w taki sposób, że upadała między nogi drapichrusta i obalała go na ziemię. Wówczas »Ryży«, niby zwinny kot, dopadał ofiary i łagodnie ciągnął ją do protokołu, który dla kończących gimnazjum mógł mieć następstwa fatalne, aż do uniemożliwienia matury... W tym czasie najbliższy mój przyjaciel, Jan Wacław Machajski, mieszkał u pewnej zamożnej rodziny, gdzie za lekcje czyli tak zwane »korepy«, udzielane dwu chłopcom, miał pokój i utrzymanie, — ja zaś w podobny sposób przeżywałem się u innej familji, wzajemian za ciężkie »korepy«, udzielane dwojgu nadmatołków... Lekcje moje popołudniowe na mieście i korepetycje wieczorne w domu kończyły się dopiero około godziny dziesiątej. O tej porze mogłem brać się do swoich własnych zadań.

Dla ułatwienia sobie roboty szedłem niemal codziennie po godzinie dziesiątej wieczorem do Jana Waclawa dla odrabiania z nim razem jutrzejszych »kawałków«, — albo — co się zdarzało najczęściej, dla wspólnego czytania i zapamiętałego dyskutowania aż do późnej godziny... Pewnego wieczora, idąc, według zwyczaju, po godzinie dziesiątej do przyjaciela, wybrnąłem z brudnych przejść bocznych i wy-dostałem się na szeroką »Warszawską« ulicę, zaopatrzoną już w wąski chodnik z betonu. Świecił księżyc, przesłaniany raz wraz przez chmury, które wiatr szybko pędził przed wspaniałą lśniącą tarczą. Minąłem całą długość ogrodowego muru i przyszedłem do pierwszej bramy, prowadzącej na wielki dziedziniec. Było to stare bramisko, wieczyście na ślepo i na głucho zawarte, dolną krawędzią swą wrośnięte w błoto i osaczone badyłami trawy. Jedyne furtka była ruchomą w tej ogromnej maszynie. Ale i furtka, przez nikogo nigdy nie zamykana, wisiała na swych zardzewiałych wrzeczadkach w pozycji raz obranej za właściwą i dogodną, w stanie zasłużonego spoczynku. Mijało się tę uchyloną furtkę, nie wiedząc o tem, że ona tam jest i że się poruszać może. Tego wieczora stanąłem obok niej zdumiony: była zamknięta. Gdy usiłowałem pchnąć ją i otworzyć, zauważyłem, że rygle klamki puściłyby może pod naporem, lecz

że ktoś z drugiej strony bramy siłą podpira drzwiczki i nie puszcza. Zapytałem tamtego, czy można przejść, ale nic mi nie odpowiedział, — chociaż czułem, że z tamtej strony jest człowiek. Spróbowawszy jeszcze raz, drugi i trzeci otworzyć zamek z tym samym skutkiem, nie mogąc zrozumieć, co to znaczy, postanowiłem wejść na dziedziniec przez drugą bramę, z ulicy, przylegającej do »Warszawskiej« pod prostym kątem. Ruszyłem szybko przed siebie. Ulica podnosiła się łagodnie ku górze, a że księżyc wypłynął był właśnie z poza chmur, widać było betonowy chodnik na całej przestrzeni. Śpiesząc tym chodnikiem pod górę, spostrzegłem nagle »Ryżego« — Smirnowa. Szedł z pośpiechem na moje spotkanie. Domyśliłem się, że to on nie puszczał mnie przez pierwszą bramę. Chciał mię pochwycić koniecznie »na ulicy«, — o późnej porze — czy też pragnął nas obudwu z Janem Wacławem przychwycić na czytaniu »zakazanych« książek... W każdym razie rozumiałem, że na nas obudwu w tych stronach poluje. Brama była zamknięta, mury ogrodowe niezmiernie długie i wysokie. Obliczywszy wszystko, widziałem, jak na dłoni, że nie ucieknę: dopędzi mię, goniąc z góry na dół ulicą i schwyci przy pomocy swej lagi, którą będzie mógł puścić po równym chodniku. Miałem tylko jedno wyjście. Ponieważ »Ryży« był jeszcze o tyle zdala, że nie mógł mię do-

kładnie widzieć, gdyż księżyc szczęśliwie zakryła chmura, momentalnie przebiegłem na drugą stronę ulicy i, nie myśląc już o tem, co robię, rzuciłem się w pierwszą napotkaną bramę. Był to wybór najfatalniejszy, jaki zrobić mogłem. Tam właśnie mieścił się »zajazd«, zwany »Warszawskim«, używający zasłużenie tej najgorszej w mieście opinii. Zawsze z okien tego parterowego hoteliku wyglądały gęby dziewczuch, uczerwienione burakiem, wyświechtane i bezczelne. Zawsze z tych okien słychać było śpiewy pijaków, ryki oficerów rosyjskich i piski dam w jaskrawych spódnicach... Wbiegłszy pędem w... bramę zajezdną, przemknąłem cwałem, jakby mię kto batem popędzał, przez całą długość podwórza i dopadłszy drugiej bramy, nie wybiegłem na ulicę, lecz sekretnie wśliznąłem się za jej ogromną wrótnię. Dlaczego tak zrobiłem, nie wiem dotąd. Zaledwie się tam przyczaiłem, — »Ryży« na paluszkach wsunął się w tę bramę właśnie, za której wierzeją byłem zaczajony. Jak doświadczony kot, na palcach pomknął w głąb podwórza i znikł za załamaniem budynku hotelowego. Mignęła jego sylweta w blasku czerwonej latarni przy wejściu i znikła w ciemności długiego dziedzińca. »Ryży« był pewny, że mnie tam właśnie uciekającego spotka i chwyci w rozkrzyżowane ramiona, że mu wpadnę w objęcia, jak ryba do saka. Tymczasem ja,

ujrzawszy przez szparę między murem a wrótnią, że poszedł w głąb podwórza, wysunąłem się z tej bramy na ulicę i pogałem do domu, »co koń skoczy«... Przycwałowawszy do siebie, co tchu zapaliłem lampę i zasiadłem do lekcji. Z nosem, utopionym w podręcznikach i kajetach, nasłuchiwałem. Okno mej izby, a właściwie odcinka spiżarni, przedzielonego cieńkami deskami od tego zbiorowiska wędlin, serów i szczurów, — wychodziło na obszerne, puste place, zastawione tam i sam lichymi domami przedmieścia. Dolne jego ramy tkwiły tuż nad samą ziemią. Gdy upłynęło jakie pół godziny od mego powrotu do domu, usłyszałem w ciszy nocnej kroki. Przyuczone do ciszy i odgłosów tamecznych stapań ludzkich, moje ucho odróżniło każde z obcych po zmarzniętej ziemi. «Ryży podpatrywał mię, zachodził to z jednej, to z drugiej strony, zaglądał z jednego i z drugiego boku. Siedziałem przy stoliku, pozornie zapracowany, zaczytany w mych książkach, czując szpiega za ścianą całym jestestwem. Wreszcie zobaczyłem go z pod oka, gdy mijał plac na palcach w oddali.»

* * *

Uciążliwa, nadmierna praca, — w dodatku w tak okropnych warunkach, — nie mogła, naturalnie, wpłynąć na Stefankę dodatnio. Ciągnęła

bieganina w poszukiwaniu za kawałkiem chleba z jednego krańca miasta na drugi, ukazywanie się na ulicy o zakazanej porze w ustawicznej obawie przed lagą i objęciami »panów« Smirnowów, nie mających — dzięki szpiclowskim zapałom — zrozumienia i usprawiedliwienia dla chłopca, zmuszonego do twardej walki o byt, — wreszcie wtłaczanie prymitywów wiedzy w głowy kieleckich »nadmatołków« — wyczerpywało go nerwowo. Zarobki, płynące z tak zwanych »korep«, nie starczały na pokrycie najgwałtowniejszych potrzeb życiowych. Mała izdebka — ściślej — odcinek spiżarni, oddzielony, jak się sam wyraża, cieńkimi deskami od zbiorowiska wędlin, serów i szczurów, brak bielizny, ciepłej odzieży, — podarte buty i nierzadko głód isticie hamsunowski. Próby tej nie wytrzymał silny dotąd organizm Stefanka. Zapadł poważnie na zdrowiu. Choroba płuc zwała go z nóg na przeciąg kilku tygodni. Nie wyleczył się należyte — z łóżka wygnała go szczerząca bezwstydnie zęby nędza. Osłabiony i wycieńczony chorobą, gorączkujący i kaszlący, jak powieściowy Kawka-Paluszkiwicz, — biega znowu z krańca miasta na kraniec, by zarobić na życie. Dzięki temu choroba rozwija się szerzej, wżera się w organizm jeszcze głębiej. Trapi go też przez całe życie i przedwcześnie zapędza do grobu.

Jak bardzo biedny był w tym czasie, z jak okropną nędzą walczyć musiał w zaraniu życia, świadczyć może list wysłany do jedynej już siostry Bolci, w maju r. 1884, kiedy wskutek wakacyjnej przerwy w naukach i wyjazdu z Kielc tamtejszych »nadmatołków«, szukać musiał zarobku gdzieindziej i starał się o »karepę« w jakimś dworze.

Oto, jak list ten wygląda:

»Kochana Bolciu! Prawdopodobnie pojedę na Ukrainę. W tym tygodniu przyjeżdża pani Z. i jeźlibym jechał — to najdalej w niedzielę. Proszę Cię więc na wszystko, przyślij mi choć trochę bielizny, bo tu nie mam nic czystego, a o jednej brudnej koszuli wyjeżdżać niepodobna. Moja najdroższa, przepraszam Cię, że robię Wam moją osobą tyle ambarasu, ale cóż począć. Jeźlibym nie jechał na Ukrainę — to pojedę na wakacje do jednego ucznia na korepetycje pod Warszawę, ale przy końcu wakacyj na jakie dwa tygodnie bezwarunkowo do Was zajadę. Zlitujcie się i przyszlizcie tę bieliznę, bo nie wiem, cobym nawet robił. Najlepiej odnieść by ją mógł, kto ją tam przyniesie, do Kł., bo tam teraz moje locum tymczasowe. Całuję Was po tysiąc razy. Stefan.¹⁾«

¹⁾ Cytuję z książki p. St. Pióhun — Noyszewskiego.

Przy czytaniu tych słów ogarnia nas głębokie wzruszenie. Łzy kręcą się w oczach, — w duszy budzi się podziw dla niezwykłego hartu i niezwykłej wiary w przyszłość. Przecież wytrwał, nie upadł, nie załamał się.

W tej beznadziejnej szarudze nędzy, trosk, kłopotów i zmartwień, jedyną osłoda, jedynym jaśniejszym promieniem było dlań życie koleżeńskie. Zbliżył się w tym czasie i zaprzyjaźnił się szczególnie z Janem Stróżeckim i wspomnianym już wyżej Janem Wacławem Machajskim. Stróżecki pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, oddawna w ziemi krakowskiej osiadłej. Po ukończeniu gimnazjum kieleckiego, zapisał się na uniwersytet warszawski i ukończył wydział prawny. W Paryżu, dokąd udał się w r. 1892, zakładał podwaliny Polskiej Partji Socjalistycznej, szczególnie zasłużonej na polu walki o niepodległość Polski. Później trochę dostał się w ręce carskich żandarmów i spędził dwa lata w cytadeli warszawskiej oraz dziewięć lat na wygnaniu w północnej Syberji. W roku 1906, w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej i walk, jakie staczała z zaborcą Polska Partja Socjalistyczna, położył niepoślednie dla kraju zasługi. W r. 1907 wyemigrował do Francji, gdzie brał żywy udział w pracy Komitetu Obywatelskiego, później Rady Obywatelskiej i należał do założycieli uniwersytetu ludowego im. Adama

Mickiewicza. Zmarł tragicznie w Privas, dnia 3 sierpnia r. 1918, ratując tonącego rodaka¹⁾.

Jan Wacław Machajski, według relacji osób, które blisko знаły Żeromskiego, był żywym prototypem Andrzeja Radka z »Syzyfowych Prac«. Pochodził z ludu. Po ukończeniu gimnazjum kieleckiego, wstąpił na wydział medyczny uniwersytetu warszawskiego. Studjów nie ukończył, gdyż aresztowany został przez żandarmów i skazany na zesłanie do Wschodniej Syberji za udział w pracy istniejącego podówczas »Związku Młodzieży Polskiej« i za przewożenie z za kordonu austriackiego nielegalnej literatury patrijotycznej. Na Syberji dokonał się przewrót w jego poglądach i dążeniach — z narodowca przekształcił się w skrajnego komunistę. Stworzył tam własną teorię anarchizmu, skupił większe grono swych zwolenników, znanych pod nazwą machajowców i przeciwstawiających się udziałowi inteligencji w ruchu robotniczym. Od niego wyszło tak popularne w Rosji rewolucyjnej w latach 1917 i 18 hasło — *dołoj gramotnych!* — precz z ludźmi, umiejącymi czytać i pisać! — Po powrocie z Syberji spędził parę miesięcy w Zakopanem, gdzie przy pomocy

¹⁾ Szczegóły powyższe czerpię z odezwy, wydanej w związku ze śmiercią Stróżeckiego przez uniwersytet Adama Mickiewicza w Paryżu. Odezwa ta przytoczona jest w całości w książce p. E. L. Migasińskiego p. t. »Wspomnienia o Stefanie Żeromskim« Warszawa. 1927.

Żeromskiego szukał posady nauczyciela. Aresztowany także za wygłaszane przez siebie hasła, spędził jakiś czas w więzieniu, a następnie wygnany został z granic Austrii. Kilkanaście lat następnych spędził w Paryżu. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej w r. 1917 przybył do Petersburga na specjalnym statku, wysłanym przez rząd rewolucyjny rosyjski po emigrantów rosyjskich. W Rosji przebywa do dnia dzisiejszego i odgrywa tam wybitną rolę polityczną¹⁾.

Jak wynika z przytoczonych wyżej życiorysów, koledzy z ławy szkolnej, w bardzo krótkim czasie po opuszczeniu murów gimnazjalnych poszli przez życie różnemi drogami. I oddalili się od siebie. Już w r. 1892, zetknąwszy się z Machajskim w Zurichu, pisał Żeromski w listach do narzeczonej: (20. I.)... »Przyjechałem w poniedziałek rano, spotkałem się ze znajomymi i... zdążyłem już zauważyć przedział, istniejący między mną, a nimi—szczególniej zaś przedział między mną a Wackiem. On się zmienił bardzo, a przynajmniej o tyle, że nie można się zejść po bratersku, jak dawniej... W liście, wysłanym w parę dni później, pisał: »Jeżeliby chciało Twoje

¹⁾ Szczegóły czerpię z krótkiego życiorysu, umieszczonego w „Księdze Pamiątkowej Kielczan.“ Dosłowny przedruk tegoż życiorysu znaleźć można w przypisach do tomu drobnych utworów Żeromskiego, wydanego w r. 1928 — już po śmierci pisarza, pod ogólnym tytułem — „Elegje.“

dobrze serce towarzystwa dla mnie. Wacka, to muszę przyznać, że to towarzystwo drażniłoby mnie tylko. Dziś się rzadko widzujemy, a widząc się, mało sobie mamy do powiedzenia. Łudziłem się, że to umysł i serce, a to jeden z wielu postępowców, wyśmiewających dziś to, za co wczoraj gardło dawał. Śmiech bierze patrzeć na to wszystko, wyzute z wszelkiego indywidualizmu, myśli i uczuć i idące owczym pędem za zdaniami, powybieranemi z książek i książeczek«...

Tak pisał Żeromski o swym przyjacielu w r. 1892. Dawniej jednak, w czasach kieleckich, łączyły ich ze sobą nici szczerzej, głębiej i serdeczniej przyjaźni. Odwiedzali się wzajemnie prawie codzień nie tylko dla wspólnego »odrabiania zadanych kawałków«, lecz także i dla wspólnego czytania oraz zapamiętałego dyskusowania do późnej godziny.

Czytaliśmy, — zwierza się nam Żeromski w jednym ze swych wspomnień szkolnych — co tylko gdzie było na placu, w jakiejkolwiek szafie: Wiktora Hugo, Karola Libelta, Słowackiego i Turgeniewa, Henryka Tomasza Buckle'a i Brandesa, Mickiewicza i Drapeira, Quineta i Sienkiewicza. Czasami, w księżycowe noce, wykradaliśmy się przez okno i jedną z bram chyłkiem za miasto, za przedmieście, zwane »Pocieszką« aż na odludną szosę warszawską. Tam w pustce, <http://rejon.org.pl> podczas cichej nocy,

Jan Waclaw wygłaszał monolog Nika z Marji Stuart, wiersz do matki lub Grób Agamemnona Słowackiego. Nik — była to główna i najbardziej imponująca rola w repertuarze Jana Waclawa. Nie była jednak jedyna. Pasowała najbardziej do jego temperamentu, upodobań, brzmienia głosu, — »grała się sama«. Jan Waclaw, prymus wieczny i kandydat do złotego medalu, wyobrażał sobie podówczas, że jest najznakomitszym na kuli ziemskiej aktorem, wielkim tragikiem i płomiennym artystą. Nosił długie włosy, tak zakazane i karygodnie długie, iż niemało wycierpiał się prześladowań od dyrektora gimnazjum, Siewierjana Januarjewicza Woronkowa, srogiego (z wierzchu) tyrana, a niedołęznego w gruncie rzeczy safandudy. Żadne wszakże kary, groźby, wrzaski, tupanie nogami i neronowskie nastawiania okularów na długowłosego winowajcę nie mogły skłonić Jana Waclawa do ostrzyżenia absalonowych pukłów..

Jan Waclaw mógł sobie pozwolić na długie włosy. Nic sobie nie robił z wykrzykników Siewierjana Januarjewicza:

— Juvenis! Zapowiadam, że nie zobaczysz matury, jak swoich własnych uszu...

Ja strzygłem swe kędziory, byleby w ten sposób zażegnawać лихо, — Jan Waclaw mąrzył o zagranii wielkiej roli.

— Raz zagrać wielką rolę — i skonać! — wyło się wówczas, wyciągając ręce do wiernego współtowarzysza, księżyca, na szosie warszawskiej i powierzając temu cierpliwemu słuchaczowi skargi, inwektywy i szyderstwa ukochanych poetów z niemalym krzykiem.

Zatopiony wówczas po same uszy w Słowackim, Jan Wacław nie przeczuwał, iż wypadnie mu zagrać »wielką rolę« na scenie sto tysięcy razy większej, niż ją zakreślała młodzieńcza wyobraźnia, na olbrzymiej arenie Sybiru, Rosji, Francji, — że to on, Nik zapamiętały z naszej wspólnej ławki, stanie się społecznym herezjarchą, wodzem tłumów, krwawym mistrzem w dziele tworzenia rewolucji proletarjackiej i że wielkie rzesze nędzarzy, brodiagów, baciarów, bez domu i mienia, iść będą za nim w ogień i wodę, ślepo wierząc w jego dziką »machajewszczyznę«. Ośmnastoletnie serce ani wiedziało wówczas, ile ta rola kosztować będzie gdzie poniesie i pogoni ciało człowiecze, na jakie je skaże vincula, vulnera, exilium, jak je z granic Ojczyzny wypędzi i nękać będzie, zaiste, gorzej, niż sama krótka śmierć«...

* * *

W latach, przypadających w życiu pisarza na okres gimnazjalny, pozytywizm warszawski

był w najwspanialszym rozkwicie,—święcił największe swe triumfy.

Aleksander Świętochowski, czołowy jego szermierz, poseł »Prawdy«, — pełny wojowniczego animuszu, bezwzględny, nieublagany, okrutny likwidator walki zbrojnej o niepodległość — stoi u szczytu swej sławy; — otoczony rojem gorących wielbicieli i wyznawców, gotowych na przyjęcie i natychmiastowe wprowadzenie w życie najśmielszych jego tez, rzuca swe »*Wskazania Polityczne*«. Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus i Eliza Orzeszkowa, — najpiękniejsze, najwspanialsze nazwiska owej doby — powtarzają na swój sposób »prawdy« i tezy, płynące w naród ze szpalt czasopism pozytywistycznych — »Przeglądu Tygodniowego«, — »Niwy«, — wreszcie »Prawdy«...

Wprawdzie błakają się jeszcze tam i sam, odzywają się w nielicznych duszach ostatki romantyzmu, resztki dawnej wiary w zbawczą moc uczucia. Słabe to jednak głosy,—nieśmiałe, ciche, stłumione; — oddźwięku żywszego nie znajdują, echa głośniejszego nie obudzą, — tembardziej, że wszędzie czuwa i »niebezpieczne iskry dawnego zapału« gasi strumieniem słów »ochotnicza straż pożarna« — tak nazwał jeden z historyków literatury twórców i egzegetów warszawskiego pozytywizmu.

Nie pamiętam, niestety, kto, gdzie i kiedy, powiedział, że różnica, istniejąca między wartościami prawdy i kłamstwa, nie jest wcale tak prosta, jak się to na pierwszy rzut oka wydaje, i nie jest dotąd jeszcze ustalona. Są bowiem kłamstwa szlachetne, kłamstwa święte, krzepiące ducha, wiodące go do wysiłków, poświęcenia się, ofiar, zwycięstw — do mocy. I są prawdy zabójcze, wiodące ducha narodowego do słabości i upadku, do śmierci i zagłady.

Taką prawdą dla nas, Polaków, był pozytywizm warszawski. Nie był on emanacją duszy narodowej, — przyszedł do nas z zewnątrz, został przyjęty przez nas w wyniku klęski styczniowej, z nieuniknionej, jak się wówczas zdawało, konieczności przystosowania się do okropnych warunków niewolnego bytu. Przez lat z górą dwadzieścia kłębił się i pienił w duszy narodowej, dusząc pierwiastki istotne, najbardziej wartościowe, tłumiąc źródła naszej siły i naszej piękności. Wysunąwszy na czoło polskich zagadnień płytkie tezy materializmu, rzuciwszy hasło »pracy organicznej u podstaw«, — tępił ideę misji narodowej, gardził czynnikiem metafizycznym, sztydził z tradycji, fantazji, wiary i uczucia, nie uznawał ofiary, poświęcenia się, bohaterstwa. Był wodą na młyn naszych zaborców, pogłębiał jeszcze bardziej naszą niewolę. Bo — jak słusznie zauważył Feldman — bez cnót heroicznych nie

osięgnie nigdy celu ni żołnierz — obywatel, ni żeglarz — nurek lub odkrywca, ani eksperymentator zuchwały, ni przeciwstawiający się masie reformator. Bez cnót heroiczych nie zrywał nigdy pęt ni człowiek, ni naród...¹⁾

Nie był pozytywizm zjawiskiem wyłącznie polskim. Około roku 1850, bezpośrednio po pełnej romantyzmu »wiośnie narodów«, zapano-

¹⁾ Gdzieindziej pisze Feldman: „Na wszystkich polach nastąpiła reakcja przeciw romantyzmowi, odwrót od wszystkich jego szlaków. Najważniejszym był polityczny: „wiecznego rewolucjonisty“, dożącego do bytu niepodległego. Istotnie wyczerpany krwi upustem organizm narodowy potrzebował wypoczynku, pokrzepienia, ale jeśli nie miał popaść w bezład duchowy, powinien był świadomą wolą pozostać przy ideale Kościuszki, Dąbrowskiego, Łukasiewskiego, Mickiewicza i niedawnych męczenników, pielęgnować nadewszystko duszę wolną, na mogiły świeże patrzeć, jako na źródła siły moralnej, jako na znaki krzyża, zwiastujące zmartwychwstanie. Stało się inaczej. W Krakowie na mogiły i krzyże kamieniem ciśnięto (*Teka Stanczyka*, 1869), kłatwę rzucono na duszę wolną (jako na liberum conspiro); zamiast wychowywać masy w duchu wolności, by w odpowiedniej chwili mogły pojąć zadanie dziejowe Polaka — ujęto je w formułki posłuchu, zdrowego rozsądku, pokuty, wszystko to motywując zdrową krytyką przeszłości niedawnej.“

Gdzieindziej rzuca Feldman taką uwagę: „A że bez jakiejś romantyki natura polska się nie obejdzie, więc nimbem bohaterstwa zaczęto otaczać „argonautów“, sięgających po „złote runo“; zaczęto idealizować zdobywców „rynków wschodnich.“ Opłakane wydało to skutki“. A prof. A. Brückner w swych „Dziejach literatury polskiej“ — pisze: Okazało się... że pozytywizm łudził się tylko, jakoby mógł rozwiązać jakąkolwiek zagadkę bytu; zemściło się wykluczenie wszelkiego czynnika metafizycznego; nie zadowolili się głębsze duchy płytkimi tezami materjalizmu. Za jałowością teorii poszło znużenie szamocącego się daremnie ducha; brak wszelkiej wiary rozpasywał na wszelkie szaty zmysłowe, co znowu sprowadzały niesmak i niepokój.

wał wszechwładnie we wszystkich krajach. Przyszedszy do nas, w warunkach naszego niewolnego bytu, uległ silnej modyfikacji. Pozytywiści warszawscy, w przeciwieństwie do swych kolegów zachodnich, a raczej w odróżnieniu od nich, na czoło polskich zagadnień wysunęli kwestję polityczną: nietylko rzucali hasła pracy, lecz przedewszystkiem zwalczali myśl zbrojnego wystąpienia przeciw zaborcom. Tragedja Polski i tu również znalazła swój wyraz, tak samo zresztą, jak zawsze i wszędzie—w dwadzieścia parę lat później znajdzie go w programie Polskiej Partji Socjalistycznej. Socjaliści polscy, — w odróżnieniu od swych towarzyszy zachodnio— europejskich, nie uznających wojny, potępiających ją w słowach najbardziej ostrych i gwałtownych, — za główny cel postawią sobie walkę zbrojną o niepodległość. Klasycznym przykładem takiej sprzeczności, takiego rozdwojenia jest działalność Edwarda Abramowskiego, twórcy polskiego anarchizmu, który z jednej strony negował wogóle państwowość, z drugiej zaś marzył, tęsknił i dążył do państwowości polskiej.

Pozytywizm europejski wyrósł na tle przewrotu, jaki w związku z nadzwyczajnymi zdobyczami wiedzy ludzkiej dokonał się w Zachodniej Europie w pierwszych latach drugiej połowy

wieku XIX. Niebywale postępy techniki i nadzwyczajny rozwój przemysłu wytworzyły tam nowe, zgoła odmienne, warunki życia i pracy. Jednocześnie, — genialne odkrycia i nie mniej genialne tezy takich powag naukowych, jak Darwin i Huxley, rzuciły snop potężnego światła na dziedziny, uchodzące dotąd za niedostępne, i zachwiały silnie dawnymi pojęciami. Przewrotowi w świecie zewnętrzym towarzyszyła nie mniej głęboka rewolucja w świecie wewnętrznym. Narody jakby urzeczone wizją potęgi myśli ludzkiej, stanęły przed nią w niemym zachwycie. Wszystko mówić i świadczyć się zdawało, że nadzwyczajne zdobycze są jedynie owocem pracy myśli ludzkiej, że należą całkowicie do świata realnego, że nie mają nic wspólnego ze sferą ponadzmysłową. Konfrontacja rozumu z uczuciem, — trzeźwego pozytywizmu z romantyzmem, opierającym się właśnie na idealizmie i metafizyce, — wypadła na niekorzyść ostatniego. Jednocześnie odezwały się instynkta najgorsze, najwstrętniejsze — chciwość i drapieżność. Idąc za głosem tych instynktów, narody łatwo zboczyły z rozległego szlaku Ducha na wąską i krętą ścieżynkę Materji. Niepraktyczne uczucie ustąpiło miejsca praktycznemu rozsądkowi. Uczyć się i kształcić, bo wiedza ułatwia pracę! — Pracować, gdyż praca jest nieodzownym wa-

runkiem zdobycia bogactwa! Bogacić się, gdyż bogactwo daje siłę!¹) —

Romantyzm cofnął się przed nowym prądem. Wszystkie jego elementy wrzucono do składu starych, bezwartościowych, nikomu niepotrzebnych — jak się zdawało — rupieci. Na opróżnione piedestały wydzwignięto nowe bożyszcza: trzeźwość antimetafizyczny rozum, złoto i brutalną siłę.

Do nas pierwsze fale pozytywizmu przyplęły wkrótce po likwidacji powstania styczniowego. Czasy te słusznie nazwać można najsmutniejszym i najbardziej beznadziejnym okresem naszych dziejów. Naród rozbity był przez zaborców, jak stado owiec przez wilki. Nie było wodza, nie było planów, nie było wiary. Była jedynie klęska i jej dla wszystkich widoczne,

¹) Henryk Sienkiewicz pisał w jednym ze swych szkiców: „Jakieś inne, nowe wiatry wieją od niejakiego czasu między nami i mało kto zdaje sobie dokładnie sprawę, jak dalece ostatnio przeradza się nasze społeczeństwo. Idzie li wszystko ku lepszemu czy ku gorszemu, nie tu miejsce rozstrzygać; śmiało jednak można powiedzieć, że przy pewnych objawach należy położyć znak ujemny. Nieprzeparty prąd popycha ludzi do gonitwy za zyskiem, za dobrobytem materialnym, za gromadzeniem bogactw. Byliśmy, wedle ogólnie przyznanej opinii, społeczeństwem wielce niepraktycznym, ale że nam się przy tem nie wiodło, weszliśmy na inne drogi. Na tych innych bogactwo miało być środkiem. Czy jednak dla niektórych nie stało się celem? czy wielki, chmurny, oddalony od dobra publicznego ideał nie ustąpił miejsca chęci dobrobytu, i temu z dobrobytu płynącemu zadowoleniu, wobec którego człowiek syt i pewny jutra nie pragnie już niczego więcej?“

a jakżeż straszne skutki — mogiły, szubienice i kibitki, wywożące na Sybir całe rodziny.¹⁾

Powstanie i jego krwawy epilog uchodziły w oczach wszystkich zupełnie słusznie zresztą za skutki romantycznego pojmowania świata. To też romantyzm stracił cały swój urok. Podano go surowej, bezwzględnej, druzgocącej krytyce. Zrodzoną przez niego myśl zbrojnego przeciw Rosji wystąpienia nazwano bezrozumnym i zbrodniczym szaleństwem. — Z bojaźnią i niechęcią odwrócono się od krwawych jego widm i upiorów. Zboczono z ociekających krwią jego szlaków, acz innych dróg nie widziano jeszcze przed sobą. Wstąpiono na bezbroża, błędzono, rzucono się, jak w matni, szukając wyjścia, sposobu ocalenia, ratunku przed północnym zwycięzcą, który szedł, oto, pijany zemstą za dokonany bunt, potrząsając w rękę państwowym programem wytępienia.

Grunt więc na przyjęcie idei pozytywistycznej był należycie przygotowany. Pogłębiały go jeszcze bardziej »odkrycia« historyków krakowskich, którzy pod wpływem klęski i zrodzonej przez

¹⁾ Feldman pisze: „Walkę na serca wydał był kiedyś Konrad Bogu, ale serce zawiodło. „Na szatana zdeptanem ciele“ spodziewał się poeta zatknąć sztandar z napisem: Bóg był i jest. Ale szatan nie tylko nie został zdeptany, lecz królował w pysze i potędze, i mścił się... Na ten grunt padła filozofja pozytywistyczna i wiedza przyrodnicza ówczesna, których głównym prawem był determinizm; wiara idealistyczna prysła“...

nią rozpaczy spojrzeli w przeszłość naszą zgoła innym, niż dotychczas, okiem. »Nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przyprawił nas o utratę politycznego bytu, — wołał Bobrzyński z kart swoich »Dziejów Polski w zarysie.« — Sekundował mu dzielnie ks. Walerjan Kalinka, głosząc w »Ostatnich latach panowania Stanisława Augusta«, że »upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą«. Jakżeż strasznie brzmieć w owych czasach musiały twierdzenia, że »w ciągu dwu ostatnich wieków istnienia Rzeczypospolitej nie można znaleźć w dziejach jej ani jednego prawdziwie wielkiego i rozumnego czynu, ani jednej prawdziwie wielkiej historycznej postaci«.

Gdy więc współczesność — jak to powiada Chołoniewski — przypominała nam na każdym kroku, żeśmy skazani na śmierć, historia przekonywała nas, żeśmy od setek lat już byli niezdolni do życia. Na duszę narodu, która skurczyła się już pod ciężarem okrutnej ponad wszelką miarę rzeczywistości, na duszę spaloną żarem męki i spragnioną kropli wody, na duszę, nawiedzoną zwątpieniem i pokuszeniem odstępstwa, jak kamienie spadały odkrycia badaczy, że przeszłość była u nas od blisko pół tysiąca lat jedną wielką pomyłką, że duch jej zasadniczo chromał, instytucje w założeniu już były chy-

bione, cierpiały na nieprzystosowalność praktyczną i musiały wieść do upadku, żeśmy zatem sami, własnymi rękoma, wykopali grób, w który runęła Ojczyzna, a to, w czym chcielibyśmy upatrywać międzynarodową zbrodnię t. j. akty podziałów Polski, było tylko nieuchronną koniecznością dziejową.¹⁾

Słusznie też wołał w tym czasie Adam Asnyk :

Umilkły wieszcz natchnienia i wróżby,
A burza nieszczęść strąciła nam z głowy
Nawet ostatni nasz wieniec cierniowy...

Według niego też nowe — popowstańcze — pokolenie

W twardej nieszczęścia urobione szkole
Zrzekło się marzeń zdradliwych słodczy...
Spragnione prawdy, za nią jedną goni,
Choćby nią miało zatruć czyste źródło,

¹⁾ Porównaj: Antoni Chołoniewski: *Duch Dziejów Polski*. W pracy swej ten niezwykle gorący obrońca naszej przeszłości mówi o błędach, popełnionych pod wpływem rozpaczki popowstańczej przez historyków krakowskich, prostuje mylne pojęcia o instytucjach, ustroju i charakterze dawnej Rzpolitej, wykazuje z całą dobitnością, że byliśmy zawsze narodem wielkim i twórczym i że przyczyn naszej niewoli szukać należy jedynie w tem, żeśmy w pochodzie cywilizacyjnym wyprzedzili o kilka wieków narody, uchodzące za najbardziej kulturalne i cywilizowane. Do przepięknej tej pracy odsyłam wszystkich, którzy mimo odzyskanej niepodległości i tak wymownych rezultatów pracy naszej w pierwszym dziesięcioleciu — wierzą jeszcze w „prawdy” rzucone w świat przez historyczną szkołę krakowską.

Gdyż pragnie świeżej doszukać się broni,
Z którąby mogło przyszłe staczać boje,
A w tej pogoni stopą nieogładną
Depce wawrzyny, co na grobach wędną ..

Przypominają się pełne głębokiej treści i prawdy historycznej słowa Antoniego Chołojewskiego: »Dłoń oprawcy odarła nas nawet z uroku, jaki towarzyszył niegdyś naszej niewoli. Ulotniło się gdzieś bez śladu mistyczne piękno polskiego męczeństwa. Tragizm nasz zszarzał i nabrał cech wulgarnych.. Opuściło nas tak niedawne jeszcze dumne poczucie zajmowania w świecie określonego i uprawnionego stanowiska. Zwęził się i aż do ziemi przybliżył horyzont naszych aspiracyj. Gdy ojcom naszym, których myśl kształtowała się pod bezpośrednim tchnieniem wielkiej emigracji, Polska przedstawiała się, jako dążenie ducha ludzkiego wzwyż, jako potężna ujarzmiona idea, to dla nas, ogłuszonych codziennie spadającymi ciosami, zaatakowanych u samego korzenia bytu, stawała się coraz bardziej już tylko terenem zoologicznej walki o zachowanie gatunku. Dusza polska straciła swój lot prometejski. Wyrabiała w sobie samozachowawczą przebiegłość, właściwą niewolnikom«.

Romantyczna idea walki o niepodległość została pogrzebana, zdawało się, na zawsze. Trzy powstania nasze przeciw Rosji przekonały

nawet najgorętszych wyznawców romantyzmu, że walka zbrojna jest porywem wprawdzie szlachetnym, lecz zato bezskutecznym, przepadłym, a nawet szkodliwym, i przez to zasługującym na nienawistne potępienie i przekleństwo. Cóż jednak czynić należało, skoro moskał srożył się coraz bardziej? Czekać, aż zarzuconą nam na gardło pętlę ściśnie jeszcze mocniej, a my więc się zaczniemy w konwulsjach, potem sztywnieć — wreszcie, zgodnie z »odkryciami« historyków krakowskich, — rozplywać się, jako jednostka mniej wartościowa w »wyższej« kulturze rosyjskiej? Nie! Rozpacz nie była mimo wszystko aż tak wielką. Pragnienie życia tkwiło w duszy narodowej zbyt głęboko i zbyt silnie. Nie można walczyć, dobrze! — ale przecież można znaleźć jakieś nowe drogi, jakieś możliwe wyjście z okropnej sytuacji. W takich warunkach pozytywizm wydał się jedyną i ostatnią już deską ratunku. Przeniesć na niwę ojczystą intelektualne zdobycze Zachodu europejskiego, stworzyć jakiś handel i przemysł, rzucić podwaliny powszechnego dobrobytu, zwalczać ciemnotę, panującą wśród ludu, i w ten sposób wzmacniać siłę odporną narodu, ocalić pozostałe z powstańczego pogromu resztki i przedłużyć życie narodowe. Hasła te powitano z uczuciem ulgi i radości. Rzucone przez pierwszych pozytywistów wskazania polityczne przyjęto, jako

program działań rozumnych i skutecznych. A w nieobfitym splocie tych wskazań przewijała się nic wspólna, mianowicie — zasada odradzania się przez rozwój cywilizacyjny przy stanowczym rzuceniu z tradycją porywów zbrojnych.

»Nie na zewnętrznych środkach samodzielności politycznej spoczywa istnienie ludów, — wołał do narodu Aleksander Świętochowski. Naród zatem, który politycznie być przestał, który skutkiem tego zwątpił o swoim istnieniu, jeśli tylko rozwinął swoje siły duchowe i uzdolnienia do najwyższej swej miary, jeśli jego dorobek duchowy przedstawia poważne zasoby cywilizacyjne, może każdej chwili powiedzieć o sobie z otuchą i dumą: myślę, więc jestem!«

I w konsekwencji radził w swych »Wskazaniach politycznych«.

»Winniśmy nie tylko krzepić się, kształcić rozum, wyrabiać dzielny charakter i pielęgnować czyste uczucie miłości dla kraju, ale także, — na ile zawistość naszej pracy zbiorowej od jej warunków pozwala, — oddychać ciągle świeżem powietrzem postępu ogólnej myśli ludzkiej, odrodzoną przezeń krwią zasilać własny organizm i wyczerpać całą jego energję twórczą. Dotychczas ufamy zwykle atmosferze zużytej, odżywczych pierwiastków pozbawionej — dlatego serce nasze drga zbyt wolno, a umysł porusza się zbyt ciężko. Trzeba przebić więcej okien do Europy

i dozwolić jej prądom, ażeby przewiały naszą duszną chatę. Nie w niej tylko zdrowie, a poza nią zaraza. Prawda, żeśmy w niej urodzili się, wychowali, doznali radości i smutku, szczęścia i rozpacz, złożyliśmy skarby cywilizacji rodzimej; prawda, że ona nam przez te pamiątki droga, ależ nie duśmy się dobrowolnie, jeśli żyć chcemy..«

»Jeżeli nas nie mogą już nęcić wawrzyny Chrobrych i Batorych, — pisał trochę niżej, — nie znaczy to wcale, ażebyśmy skazani byli tylko na obronę własnego gniazda i powstrzymani zupełnie w ruchu poza jego granicami. Każdy naród, który nie zamiera, lecz żyje i postępuje, musi być zaborczym — jeśli nie orężnie, to cywilizacyjnie. Dalecy jesteśmy od zamiaru apoteozy naszego losu, winniśmy jednak wskazać pomyślną stronę jego przeznaczeń. Mianowicie stworzył on przed nami szerokie pole podbojów przemysłowo-handlowych, którego dotąd nie opanowaliśmy dostatecznie i na którym odnieść możemy pewniejsze zwycięstwa, niż te, w których dotąd pokładaliśmy całą naszą ufność. Nie oczekujmy niczego od przewrotów politycznych, wojen, traktatów, przemiennych łask obcych, lecz zawierzmy tylko własnej żywotności. Zajmujmy wszystkie stanowiska opróżnione, wciskajmy się we wszystkie szczeliny, puszczajmy korzenie wszędzie, gdzie grunt podatny ku

temu się znajdzie. Klękać przy grobie i płakać lub bronić, ażeby go nie rozkopała jakaś hiena, — dobrze to jako wylew rozpaczy, ale nie jako objaw energii. Obstawmy ów grób kolebkami nowego życia, zakreślajmy ich promieniami coraz szersze koła wpływu, rozpościerajmy swoją cywilizację szeroko — oto program działań rozumnych i skutecznych, tem bardziej, że państwo, w którego skład weszliśmy, otwiera im w wielu kierunkach szerokie ujścia¹⁾.

Naturalnie, w okropnych warunkach ówczesnego życia polskiego wskazania polityczne wodzów pozytywizmu uchodzić musiały w oczach wszystkich niemal za objawienie. Przyjmowano je, jako nakazy mądre, praktyczne, zbawienne, rezygnując pośpiesznie i posłusznie ze słabych i chwiejnych już i bez tego marzeń o niepodległości na rzecz konkretnej myśli o rynkach wschodnich i kulturze europejskiej.

Ściśle rzecz biorąc, nie można wodzom pozytywizmu odmówić pewnych zasług. Wydarli, oto, duszę narodową z objęć bezowocnej rozpaczy, postawili przed nią cele wprawdzie marniutkie i przyziemne, zawsze jednak lepsze od popowstańczej abnegacji i zwątpienia. Im również zawdzięczać mamy dość silne uprze-

¹⁾ Aleksander Świętochowski: — „Wskazania polityczne“, ogłoszone w „Ognisku“ — książeczce zbiorowej wydanej dla uczczenia T. T. Jeża Warszawa. 1882. str. 49 — 54.

mysłowienie kraju. Mówiąc jednak o zasługach, nie zapominajmy o ciężkiej krzywdzie, wyrządzonej Duchowi narodowemu. W ciągu dwudziestu z górą lat rzucono kamieniami potępienia, pogardy, a częstokroć i otwartego szyderstwa w najwspanialsze nasze klejnoty, stanowiące o naszej sile, naszej wartości i naszym pięknie. Na powstałym tą drogą w duszy narodowej kamienistym ugorze wyrastały nieznane nam dotąd chwasty i badyle, wytwarzając stęchłą, niezdrową atmosferę, w której zatracala się duma narodowa, zamierała wiara w siły i wartość własną,¹⁾ zanikała świadomość praw, wyrastał natomiast serwilizm, wyrabiała się — jak to określił historyk, — samozachowawcza przebiegłość, właściwa niewolnikom, u słabszych zaś — rodziła się pokora, zdająca się przeproszać świat cały za to, że wogóle ośmielamy się zabierać miejsce pod słońcem. Skutki takiego zatrucia duszy narodowej odzywały się w nas niejednokrotnie i nie tylko w czasach, gdy Świętochowski stał u szczytu sławy, powodzenia i posłuchu, lecz także i w okresach późniejszych, gdy pozytywizm

¹⁾ W. Feldman pisze: „Musiała się zatracać duma, godna wielkiego narodu, świadomość nieprzedawnionych jego praw i siła, potrzebna do przetrwania i działania. O poczuciu misji — bez którego nigdy na świecie nie człowiek, ni naród nie wielkiego nie zdziała — już mowy nie było: żadne pojęcie nie było tak tępione przez szkołę krakowską i pozytywistyczną, jak idea misji narodowej“. *Współczesna Literatura Polska 1864 — 1923*. str. 9.

należał już do przeszłości, gdy — jako kierunek myślowy — zanikł zupełnie, ustąpiwszy miejsca innym prądom. Tak, oto w roku 1905, w smutnym okresie naszych poczynań rewolucyjnych, gdy szlachetna garstka socjalistów polskich dźwignęła zamię buntu i wyruszyła do walki z Moskwą, naród, zatruty ideami pozytywistycznymi i trzymający się konwulsyjnie zasady — »byle nie cierpieć więcej, byle trwać w tem, co jest i nowej klęski nie ponieść«, — nie tylko nie pośpieszył im z pomocą, lecz przeciwnie — utrudniał im walkę na każdym kroku, zawierając przeciw nim nikczemny sojusz z władzą zaborczą i tępiąc ich z zaciekłością, jaka zazdrość szczerą budziła w sercach carskich żandarmów i kozaków. A rok 1914 — i cały wogóle okres wojny światowej, o którą w swoim czasie tak żarliwie modlił się Mickiewicz? Legjonom Piłsudskiego, walczącym o Polskę naprawdę wolną i niepodległą, nie oglądającym się na łaskę i niełaskę możnych i silnych, lecz wyciągającym opancerzoną pięść po to, co nam się słusznie należy, naród rzucał pod nogi najcięższe i największe kłody. Nazywano ich romantykami, szaleńcami i nawet zdrajcami. Nie walczyć, nie narażać się potężnemu zaborcy, nie budzić jego gniewu! Autonomja ziem polskich lub w najlepszym wypadku ubożuchne ksiąstewko lub karłowate królestwo, wtłoczone w ramy cesarstwa zaborczego

— oto szczyt marzeń ówczesnej większości polskiej. W ścisłym związku z tem pozostają liczne, a tak nas upokarzające pielgrzymki do dworu carskiego, gdzie naród — w osobach swych »najdzielniejszych« i »najofiarniejszych« przedstawicieli — wystawał — według słów Żeromskiego — na schodach, wzdychał i dla zdobycia jałmużny potrzasał łachmanami kontusza, — serwilizm, jak widzimy, — bezgraniczny. A i dziś, w wolnej i niepodległej już Ojczyźnie, czyż nie odzywają się jeszcze tam i sam echa pozytywizmu? Starsze nasze pokolenie, wzrosłe i wychowane w niewoli, dotąd jeszcze raczy nas kwiatkami z kamienistego ugoru. Czyż nie dźwięczy nuta niewiary i sceptycyzmu w słowach jego zawsze, ilekroć mowa o naszej sile wewnętrznej, naszej mocy twórczej, naszej roli w Europie, naszym przeznaczeniu i postannictwie dziejowem?

Pozytywizm, walcząc z romantyzmem, tępiąc zaciekle wszelkie jego elementy, walczył jednocześnie z najgłębszą treścią naszego Ducha narodowego. Bo — jak to szlusznie zauważył Feldman — jeżeli, podług Mickiewicza, cała literatura polska wyrosła z jednego tylko słowa — *ojczyzna*, to romantyzm był tej ojczyzny duchem nieśmiertelnym. Jego moc, — wieczysty pęd uczucia i woli, przewyciężający daną rzeczywistość, tworzy najwspanialsze karty dziejów Polski. Ta moc żywiołowa rozpędem swoim

stworzyła Polskę Bolesławów, Łokietka i Jagielly; ona w czasie »potopu« — kiedy zdrowy rozsądek wskazywał, że wszystko stracone, husarskim wichrem wyгнаła najeźdźców, ona dodała skrzydeł Żółkiewskiemu i Chodkiewiczowi, Czarnieckiemu i Sobieskiemu. Realistycznym, — »bez szaleństw« — był okres Sasów, po nim wszelkie łamanie się z rzeczywistością musiało już być liczeniem sił na zamiary. Romantyczny jest, urągający praktycznemu rozsądkowi, czyn Wybickiego i Rejtana, Kościuszki i Jakóba Jasińskiego; romantyczne są Raclawice, romantyczną jest epopeja legjonów. Brak wiary i czucia romantycznego, mędrkowanie i rezygnacja spowodowały klęskę roku 1831. — Tak mówi Feldman. A my od siebie dodać możemy: — Romantycznym był, urągającym praktycznemu rozsądkowi, krwawy czyn straceńców z r. 1863. i czyn socjalistów polskich z r. 1905, umierających na stokach warszawskiej cytadeli z tą samą wiarą i z tym samym okrzykiem, co i bracia ich z przed lat czterdziestu. Romantyczną była epopeja legjonów Piłsudskiego. A nasze zwycięstwo pod Warszawą w pamiętnym roku 1920? Czyż nie było najczystszą, najwspanialszą emanacją odwiecznego romantyzmu?

Romantyzm, — to entuzjazm i bohaterstwo, to — ofiara, poświęcenie się i zwycięstwo. Romantyzm — to niepodległość, wolność, życie!...

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga, —
Łam, czego rozum nie złamie!..

Fala pozytywizmu, przybyła do nas w okresie ogólnego przygnębienia i wyczerpania, załała naszą duszę, pokryła ją, jak pokrywa woda nadbrzeżne łoży. Nie była jednak na tyle silną, by stłumić, zdusić i zniszczyć pierwiastki odwieczne. Tliły się one, płonęły podziemnym — rzechy można — płomieniem. To też mówić można nie o zwycięstwie, lecz o chwilowym tylko triumfie pozytywizmu. W walce nierównej ponieść on musiał klęskę prędzej czy później..

Minie — oto — dwadzieścia lat od krwawej topieli, jaką był dla nas rok 1863, a Duch narodowy ocknie się z omdlenia, dźwignie się, zrzuci z siebie przykrywającą go płytę cmentarną, łoskotem jej upadku wypełniając świat polski. Dźwignie się i ponownie rozpocznie przerwany swój pochód.

Zbudzą się z uspienia liczne dusze. Jak rozbitkowie Konopnickiej — pójdą młotami walić w jego kuźni, sochą w rozświetach krajać jego zagony, aż mu się pęto u szyi rozluźni, aż buchnie z niego ogień zatajony.

Henryk Sienkiewicz rzuci narodowi przepo-
tężną epopeję rycerską, pełną romantycznego
bohaterstwa i entuzjazmu. Bolesław Prus
w „Placówce”, Eliza Orzeszkowa w „Nad

Niemnem“ zawrócą z wąskiej ścieżynki Materji na rozległe szlaki Ducha. A Konopnicka przysięgnie za cały naród, że bronić się będziemy do ostatniej kropli krwi, że twierdzą nam będzie próg każdy.¹⁾

W pierwszej połowie lat osmdziesiątych pozytywizm poniósł pierwszą klęskę. Bezpośrednio po niej wkroczy na równię pochyłą. Staczać się będzie coraz niżej — wreszcie zaniknie zupełnie.



Jeśli chodzi o Stefanka, to stosunek jego do pozytywizmu był dwuwarstwowy — obok uznania istniała w nim także i głęboka niechęć. Korzył się przed potęgą myśli ludzkiej, podzielał w zupełności zdanie o konieczności przeniesienia na niwę ojczystą kulturalnych zdobyczy europejskiego Zachodu, przyznawał i zgadzał

¹⁾ W. Feldman w cytowanej już przez nas „Współczesnej Literaturze Polskiej“ pisze:

„W dwadzieścia lat po powstaniu organizm narodowy poczuł znowu swą żywotność. Krew zdrowa zapłonila lica, tętnić zaczęła w głowach, szumem wezbrała i pędem. Szerokim tchem przemówiła literatura. Zjawia się szereg dzieł, nastrojonych na nieznaną od dwudziestu lat ton uczuciowy i ideowy. Sienkiewicz pisze *Ogniem i Mieczem*. Orzeszkowa ukazuje *Nad Niemnem* zarysy epopeji narodowej. Prus dramatyzuje *Placówkę* bytu plemiennego. Z noweli przeszliśmy znowu do wielkich form i syntez wielkich. Jak zawsze — życie uczuciowe wyprzedza myślowe, sztuka — formuły społeczne. Dokonał się zwrot w życiu. Po krwi upuszczeniu naród odzyskał dawną żywotność — zaczął nawet pomażać swe szeregi“...

się, że do najgłośniejszych zadań, stojących przed polskiem społeczeństwem, należy przede wszystkim walka z ciemnotą, panującą wśród ludu. Nie mógł jednak pogodzić się z polityczną częścią programu pozytywistów warszawskich. Polska była dla niego rzeczą nie tylko wielką, lecz przede wszystkim świętą. Z progów rodzinnych wyniósł gorące uczucie patriotyzmu i — jak się sam gdzieś wyraża — dozgonną wierność dla sprawy przegranej. W dzieciństwie, gdy wyobraźnia przebywała w cudnej krainie baśni, marzył o tem, że kiedyś, w przyszłości, wywalczy Ojczyźnie wolność, że stanie na czele lub w pierwszym szeregu hufca, który wyważy bramy znieawidzonego więzienia. Z biegiem lat, twarda i okrutna rzeczywistość wdzieriała się do duszy coraz gwałtowniej, ręką nieubłaganą zrywała i niszczyła coraz to inne kwiaty, — kwiaty, wypielęgnowane w dzieciństwie. W związku z tem i wyobraźnia musiała zniżyć swój lot, musiała opaść, zbliżyć się do ziemi i warunków realnego życia. Mimo to jednak nie przestawały buchać w nim gorące, młode uczucia i jak to określił w swych wspomnieniach osobistych M. Zdziechowski, rwąc się do czynów, dawały się unosić tym szlachetnie rycerskim marzeniom, które najpoetyczniejszy pierwiastek duszy polskiej stanowią. Ze szlaków romantyzmu, na które wkroczył za przewodem

natki, nie dał się nigdy sprowadzić. Gdy więc w gwałtownej swej reakcji przeciw romantyzmowi historycy krakowscy w przeszłości naszej widzieli tylko pasmo win, a pozytywiści warszawscy nazywali Polskę »przeklętą jawnogrzesznicą«¹⁾ — musiało w sercu Stefanka kipieć wrzeć, musiała w niem »wybuchnąć tem większa miłość do przeszłości, do indywidualności narodowej ze wszystkimi jej cnotami, a nawet błędami, ze wszystkim, co w jej losach było złem i dobrem, bo to swojskie, własne, krew ze krwi swojej, kość z kości swojej.«²⁾

Hasłom romantyzmu nie sprzeniewierzył się nigdy, — ani w młodości, ani w życiu późniejszym. Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i długi szereg ptaków pomniejszych uważał, jak powieściowy jego bohater, Piotr Rozłucki, za towarzyszy czujących, za rzeszę braterską, co jak chór, westchnieniem odpowiadała na każde jego westchnienie. Przesiadywał nad dziełami ich do późnej nocy, uczył się na pamięć, wmyślał się, wwiadywał w skojarzenia dźwięków, które według własnych jego słów, zdawały się wszystko wiedzieć, wszystko rozumieć aż do najtajniejszej głębin. Jak Piotr Rozłucki, wgryzał się nocami w zagmatwane sploty umysłowania polskiego, — w dziwaczne na-

¹⁾ W. Feldman o Sienkiewiczu.

²⁾ Ibidem.

rośla i przerosty, w czucia, które się stały myślami plemiennymi, w samoobludy, które były i są najoczywistszemi lekarstwami od śmierci ducha. Zatapiał się w historje błędzeń ponad przepaściami Szalonego Orlanda Polski, w bohaterstwo i tęsknotę anielskich duchów, — i w żywot martwego jej kadłuba, wężącego, gdzie jest żer i spokój¹⁾. Jak tenże Rozłucki, jedno w swych księgach — przyjaciółach polubił — to wieść o nieistniejącem, zapomnianem wojsku polskiem, — legendę o wodzach, co w wieczność odeszli z rozpaczą, — »ręce załamawszy na pancerz«, — sprawy swej nie dosięgnawszy włócznią, przegrawszy wszystek swój zamysł wojenny. Polubił połamanych mieczów polskich szczęk i zardzewiałe pochwy, rozbitych ostrołęckich armat hurkot i łoskot, — konnicy zbieganej pod Grochowem tętent²⁾... Jak świadczy p. St. Piolum-Noyszewski, historję Polski poznał Stefanek wyjątkowo dokładnie, przedstudjował sumiennie wszystkie, tak niedostępne w owych czasach źródła dziejów porobiorowych, zaznajomił się nawet ze strategiczną oceną walk powstaniowych i to tak gruntownie, że z pamięci kreślić mógł mapy i szkice, ilustrujące ugrupowanie i przesunięcia sił, biorących udział w danej bitwie.

1) Porównaj: *Uroda Życia*, tom I str. 115.

2) Porównaj: *Uroda Życia*, tom I str. 116.

W gimnazjum kieleckiem i wogóle w Kielcach znany był Stefanek ze swego gorącego patriotyzmu i rzadkiego przywiązania do ojczyznej przeszłości. Wśród kolegów i najbliższego swego otoczenia budził ducha narodowego, w miarę sił i możliwości zwalczał zgubne wpływy krakowskiej szkoły historycznej. Naturalnie, działalność swą zamknąć musiał w niezwykle skromnych i ciasnych ramkach. Stosowany w gimnazjum nadzwyczaj sprytnie obmyślony system ścigań, kapań i podgiadań uniemożliwiał założenie kółka samokształceniowego, w którym można byłoby podzielić się z kolegami owocami nocnej pracy i przelać w ich dusze przynajmniej część swego zapału. Z tychże względów nie można było organizować tajnych zebrań — odbywały się one bardzo rzadko i zawsze z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Istniał jednak w szkole zwyczaj, pozwalający Stefanowi od czasu do czasu — wbrew intencjom grona profesorskiego — przemycić coś z polskiej myśli i polskiego uczucia, że tak powiem, zupełnie oficjalnie. W szkołach rosyjskich organizowano od czasów niepamiętnych przynajmniej raz w miesiącu t. zw. poranki literackie (dosłownie — literaturnoje utro), na których profesorowie odczytywali utwory wieszczów rosyjskich, ilustrując je niejednokrotnie specjalnymi przezroczkami, młodzież zaś szkolna deklamowała

wiersze, popisywała się swoją — nawiasowo mówiąc — haniebną francuszczyzną, grą na fortepianie, skrzypcach, wiolonczeli, a nawet odczytywała swe mętne, w ciszy nocnej zrodzone elukubracje. W Kielcach, za czasów pobytu tam Stefanka, język polski należał do obowiązkowych przedmiotów, to też władza szkolna zezwalała na wygłaszanie utworów polskich poetów, przestrzegając jedynie, by nie były zbyt wymowne i jaskrawe. Stefanek, znany w gimnazjum ze swych deklamatorskich zdolności, występował na takich porankach dość często. O jednym z takich jego wystąpień opowiada w »Księdze pamiątkowej Kielczan« p. Tomasz Ruśkiewicz, kolega Stefanka z ławy szkolnej, naoczny świadek, a zarazem i uczestnik tej gimnazjalnej uroczystości.

»Wszystkie przygotowania do koncertu — monstre, jakiego świat uczniowski w Kielcach jeszcze nie widział — ukończono. Soliści popisowe numery opracowali i wystudjowali do najdrobniejszych szczegółów. Więc skrzypek Michajłow legendę i mazurki Wieniawskiego, w zanadrzu chowając na »bis« »Grossmütterchen« »Babuszkę«, — do której skomponowania wbrew pewnemu przykazaniu Boskiemu przyznawał się z całą bezczelnością, plemieniu jego właściwą; — dalej panna K., nad wyraz okazała dziewczoja... która w »Przebudzenie Iwa« Kątskiego włożyła cały

swój temperament, a przedewszystkiem pasowany przez kolegów, ku zazdrości rywala, kolegi Ł., na wieszca gimnazjum, nie zrównany deklamator, poeta, Stefan Żeromski, ze swoim »Maratonem«, gwoździem całego spectaclum. O, bo Żeromski — młodzieniec wówczas 17-letni (w rzeczywistości miał już prawie 19 lat) był nielada odtwórcą słowa wiązanego i wstydu nie przynosił swemu mentorowi, profesorowi Bemowi, który był przecież nie tylko znakomitym historykiem literatury polskiej, ale i mistrzem w deklamacji i od pupila swego wymagał niesłychanych rzeczy. Ileż to razy — dźwięczny, barytonowy głos Żeromskiego, rozbrzmiewał w małym kółeczku koleżeńskim, natchnionem słowami wieszca: »na Termopilach ja się nie odważę osadzić konia w wąwozowym szlaku«, a zasłuchani koledzy tworzyli obraz, godny pędzla największego malarza.

No, ale tym razem w przededniu koncertu Antoni Gustaw Bem nie miał nic do powiedzenia. Nad wszystkimi i wszystkim czuwało czujne oko głównego reżysera, profesora Wabnera, znawcy i wielbiciela świata klasycznego, protektora sportów, gimnastyki i wszelkich kunsztów, uprawianych przez Spartanów, a powtarzającego uczniom ustawicznie znaną sentencję: »mens sana in corpore sano«. Nic więc dziwnego, że do owego przedsięwzięcia artystycznego

Bem odnosił się z dziwną nieufnością, może z urazy, że mu z pod jego wpływu wyrwano na ten raz pupila Żeromskiego, może, przez niechęć do »obskurantyzmu« inicjatorów, których jego pozytywistyczna i krytyczna dusza strawić nie mogła; Bóg to raczy wiedzieć, słowem z góry można było twierdzić, że koncert ów spotka się z jego strony z surową krytyką. Wobec ukończenia, jak się rzekło, wszystkich przygotowań, wyznaczono dzień generalnej próby. Pedagogzy, mamy, ciocie, młodzież obojga płci, starsi i młodzi, całe to bractwo ściągnęło tłumnie i zapełniło szczelnie widownię teatru.

Przedstawienie rozpoczęła kantata na cztery głosy w tempie poloneza, ułożona ad hoc przez profesora muzyki i kompozytora Jarońskiego, pod którą słowa podłożył sam prof. Wabner. Chór na przedzie z solistą tenorem kolegą Skowrońskim pośrodku, basiści z boku z kolegą Dowiakowskim na czele, a orkiestra uczniowska z tyłu, przyczem sensację wzbudza uczeń klasy 8-mej, Oleś K., słynny specjalista od psych figlów, zjawiający się na estradzie w podskokach z kontrabasem, zamiast skrzypiec, bębniąc zamasyście smykem o potężne struny«.

Autor wspomnienia mówi w dalszym ciągu o wykonaniu kantaty, o popisach skrzypka Michajłowa i pianistki panny K., poczem przystępuje do opisu deklamacji Żeromskiego.

*Z zapartym oddechem oczekiwano teraz deklamacji Żeromskiego, — clou całej imprezy. I oto za chwilę wybiega z za kulis krokiem niezwykle energicznym wysmukły młodzian, zatrzymuje się przed samą rampą, potrząsa groźnie w stronę widzów ramieniem i krzyczy! Nie, nie krzyczy, lecz grzmi! Grzmi, jak trąba archanioła:

— Ha! Sardes gore!

Gmach zatrzęsł się w swych posadach, szyby zadźwięczały, a na słuchaczy padł lęk okrutny — obstupuerunt!

Na sali jednocześnie dały się słyszeć dwa stłumione głosy: jeden słynnego ze swych przekleństw i wyzwisk nauczyciela rosyjskiego języka i drugi jednego z koleżków, przyjaciela deklamatora. Pierwszy zaklął:

— Wot, — zagawarił, stierwa! Czort-by jowo podrał!

Drugi zaś dusił się ze śmiechu:

— Jezus, Marja! Stefanek zwarjował! Co też Bemcio na to powie?!

Ale nie zwarjował ci on wcale, tylko wzięty w obroty uprzednio przez mentora klasyka, który miał zwyczaj zachęcać swych uczni przy deklamowaniu wierszy z Homera lub Wergiljusza »clariore voce«, »firmiore voce«, tak się tem przejął, że mówił nie po swojemu, a całkiem

po wabnerowsku, czy tam po helleńsku. Swoją drogą, deklamacja, wygłoszona płynnie bez zająknięcia, pięknie modulowana i z przejęciem, choć krzykliwa, zjednała wykonawcy huragan oklasków.

Gdy zszedł z estrady, koledzy otoczyli go kołem i winszowali sukcesu, tylko inspektor gimnazjalny, Fawst Nikołajewicz Kosteckij, — drwiąc swoim zwyczajem, — zagadnął go: »Wszystko dobrze, paniu poet, no zaczął wy tak orali?« Nie winszował mu też i ów wspomniany koleżka — przyjaciel, bo mu klinem w głowie tkwiło: —

— Co też Bemcio powie? Co też Bemcio powie?

No, i powiedział! Jakkolwiek Żeromskiemu zabroniono powtórzenia deklamacji »Maratonu« na samym koncercie, jako wiersza, przesiąkniętego zbyt patriotyzmem, gdyż, — jak twierdził nie bez słuszności dyrektor Woronkow — Ateńczycy — to Polacy, a Persowie — to Rosjanie, — Bem nie zwracał uwagi na to, tylko zrobił mu scenę, po której stosunki dyplomatyczne między znakomitym polonistą a jego ulubionym pupilem zostały na pewien czas zerwane.«

»Pogniewane strony pogodziły się jednak wkrótce po koncercie, a pierwszy krok do zgody zrobił Bem, całkiem idyllicznie ofiarowując poszkodowanemu poecie, spotkanemu na space-

rze, pudełko cukierków. Taki epilog miała deklamacja »Maratonu« Stefana Żeromskiego w Kielcach w roku Pańskim 1883.«¹⁾

W rzeczywistości epilog był znacznie gorszy, znacznie smutniejszy. Władza szkolna potraktowała wybór wiersza Ujejskiego, tchnącego gorącym patriotyzmem, i płomienną jego recytację, jako podstęp nie tylko niełojalny, lecz także i szkodliwy, a nawet niebezpieczny. Stefanek ponieść musiał konsekwencje niezmiernie przykre. Jeśli nie wydalano go z gimnazjum z »wilczym biletem,« który zamknąłby przed nim drzwi wszystkich bez wyjątku szkół rosyjskich, to stało się to dzięki interwencji osób, w Kielcach najbardziej wpływowych, szanowanych i znanych. Moskale zemścili się w inny sposób. Oto — wrodzony brak zdolności do opanowania suchych formułek matematycznych potraktowali jako karygodny brak zainteresowania dla tej gałęzi wiedzy ludzkiej — i odmówili mu promocji z klasy szóstej do siódmej. Dla Stefanka był to cios okropny — przedłużał bowiem o rok cały pobyt w duszącej atmosferze kieleckiej, skazywał go na jeszcze jeden rok ciężkiej walki

¹⁾ Cytuję według St. Piołun-Noyszewskiego z książki jego: „Stefan Żeromski. Dom dzieciństwo i młodość“ Przytoczone wyrażenia rosyjskie brzmią w tłumaczeniu polskiem: pierwsze: O, jak trajkocze, szelma. Djabli by go wzięli! — drugie: Wszystko dobrze, panie poeto, poco jednak darł się pan w niebogłoty?

z nędzą, bezwstydnie szczerząc swe zęby. Jedyną pociechą była dlań świadomość, że wystąpieniem swoim przyczynił się wybitnie do obudzenia ducha narodowego wśród młodzieży szkolnej, że wciągnął tę młodzież do koliska swych patriotycznych zainteresowań i dążeń, zmuszając ją do staczania zażartych sporów i namiętnych dyskusyj.

Była to jednak zemsty moskiewskiej faza pierwsza. W dwa lata później, przy promocji z klasy siódmej do ósmej, oświadczono mu, że posiadana przez niego znajomość formułek matematycznych jest niedostateczną i ostrzeżono, że o ile w ciągu następnego roku nie zajdzie w tym kierunku znaczna zmiana na lepsze, — matury z pewnością nie otrzyma. Zapowiedź ta, niepokojąca i niewróżąca nic dobrego, zmusiła Stefanka do zdwojenia energii. W ciągu ostatniego roku pobytu swego w gimnazjum pracował niezwykle intensywnie, byle zażegnać wiszące nad nim лихо. Godziny ranne spędzał w gimnazjum na wykładach, popołudniu — w poszukiwaniu za chlebem — biegał z krańca miasta na kraniec, wieczorem zaś siadał do nauki własnej. Ślęczał nad książkami do późnych godzin nocnych, starając się zgłębić tajniki niewdzięcznej i niedostępnej matematyki. Koledzy nie odmawiali mu swej pomocy, nie szczędzili trudu, objaśniali i przerabiali z nim cały mate-

rjał maturalny. Niestety, praca ta poszła na marne. Mimo poczynionych przez Stefanka postępów, moskale dotrzykali danej obietnicy — matury nie otrzymał. Pedagodzy uczynili to tem skwapliwiej, że wiedzieli dobrze o jego nieprzeciętnych zdolnościach literackich i przypuszczali, że z czasem odegrać może w życiu polskiem wybitną rolę. Rzucili mu kłodę pod nogi w nadziei, że upadnie, że załamie się wewnątrz, że w walce z twardym losem nie wytrwa. Wypełnili, jak im się niewątpliwie zdawało, jeden ze swych obowiązków patryjotycznych.

Dla Stefanka był to cios niezwykle okrutny. Rozleciał się, oto, rozsypał się w gruzy pracowicie — w ciągu wielu lat — lepiony gmach marzeń o studjach uniwersyteckich w Warszawie. Nie zraził się jednak, nie zniechęcił, nie opuścił rąk. Leżący w gruzach gmach swoich marzeń budować zaczął wkrótce na nowo. Brak zarobku w Kielcach, opustoszałych wskutek wakacyjnej przerwy w naukach, okropna nędza i opłakany stan zdrowia, zmusiły go do rozglądnięcia się o posadę guwernera. Postanowił wyjechać gdzieś na wieś, do jakiegoś dworu, spędzić tam w warunkach nienajgorszych jesień i zimę i przygotować się w tym czasie ponownie do egzaminu. Zamiarów tych jednak nie zrealizował. Koledzy jego, zwłaszcza Stróżeczki i Machajski, namówili go do wyjazdu do Warszawy i zapisania się

do szkoły weterynaryjnej, nie wymagającej świadectwa maturalnego. Radzili mu przygotować się w ciągu roku do egzaminu, złożyć go w jednej ze szkół warszawskich, nie wiedzących nic o jego »kompromitacji politycznej« i przenieść się następnie na wymarzony wydział medyczny uniwersytetu. Stefanek poszedł za tą radą. Poszedł tem chętniej i tem łatwiej, że w głębi duszy wierzył święcie i niezachwianie w swój talent literacki. Z całą naiwnością młodzieńca, życiowo niezbyt doświadczonego, wierzył, że wstępnym bojem zdobędzie dla siebie stałe miejsce na szpaltach czasopism stołecznych, zdobędzie rozgłos, sławę i źródło, jakiegoś dochodu, co pozwoli na stały pobyt w Warszawie bez trosk i zmartwień o chleb powszechni. Nie przeczuwał wówczas, ile upokorzeń, klęsk i zawodów spotka go na tej drodze.

We wrześniu roku 1887, wystarawszy się u znajomych o bezpłatny bilet kolejowy, wyjechał z Kielc do Warszawy, mając w kieszeni kilka zaledwie rubli.

* * *

W tym czasie Warszawa, a z nią razem i Polska cała, przeżywała chwile niezwykle. Była to początkowa faza reakcji przeciw politycznej i społecznej idelogji pozytywizmu. Obudzeniu się ducha narodowego z letargu

sprzyjały, ściślej — spowodowały je — wypadki, jakie w tym czasie rozegrały się na ziemiach polskich. Do Warszawy w r. 1886 przybył Hurko, wkrótce po nim — Apuchtin, obaj znani ze swych polakożerczych uczuć. Z chwilą ich przyjazdu tępienie polskości we wszelkich jej przejawach wzmogło się, przybrało znacznie na rozmachu i sile. Jednocześnie w zaborze pruskim Bismarck z bezczelnym cynizmem, właściwym jego plemieniu, rzuca nam szereg swych wyjątkowych ustaw i rozporządzeń. Stosuje względem nas »państwowy program« wynarodowienia czy nawet wytępienia. W Poznańskim i na Pomorzu wydiera ziemię z rąk polskiej szlachty i włościaństwa, zmuszając ich do opuszczenia tej prastarej dzielnicy i sprowadzając na opróżnione obszary kolonistów z głębi Niemiec. Duszę polską wypełnia ból i lęk głęboki o przyszłość najbliższą. Bo — jak to określił jeden z historyków — już nie był państwowy, lecz plemienny Polaków wydał się zagrożonym¹⁾.

Okazało się, oto, że pozytywizm nie mógł być skuteczną i pewną deską ratunku, że nie był w stanie ochronić przed ostatecznym pognębieniem.

¹⁾ Porównaj: W. Feldman „*Współczesna literatura polska 1864—1923*“ str. 41—42.

Dusza narodowa, wstrząśnięta temi wypadkami do głębi, zawraca z wąskich i krętych ścieżyn, w męce i udręczeniu rzuca się i miota, szukając nowych dróg, nowych form, nowych hasel zbawienia. Zwraca swe oczy na lud¹⁾..

W tym właśnie czasie wypłynęła na powierzchnię życia narodowego nowa nieznana dotąd warstwa społeczna — proletarjat robotniczy. Propagowana przez pozytywistów »praca organiczna u podstaw« wydała owoce: powstały fabryki i ośrodki fabryczne, wypełnione mrowiem pracowitem. Owoc piękny z wielu względów, — imponujący nawet, niezupełnie jednak zdrowy. Stosunek kapitału do pracy śmiało i nie wpadając bynajmniej w przesadę nazwać można krańcowym wyzyskiem. Fabrykanci, zawarłszy cichą, niepisaną umowę z rządem zaborczym, pod jego osłoną, wyciskali z robotnika ostatnie soki, kupując za marny grosz jego pracę, siły, zdrowie, a w wielu wypadkach nawet i życie. Nic też dziwnego, że hasła młodego podówczas socjalizmu cieszyły się w polskiej klasie robotniczej dużą popularnością i zyskiwały coraz więcej gorących wyznawców. Robotnik, w obronie swych praw życiowych, wchodził nierzadko w ostry zatarg z kapitalistą. O wyniku walki decydowały — jak zawsze i wszędzie — siła

¹⁾ Por.: W. Feldman „Współczesna Literatura Polska“ str. 42.

i pieniądź. W r. 1886 połała się w Warszawie poraż pierwszy robotnicza krew. Połała się w walce nie tylko z kapitałem, lecz i z popierającym go rządem zaborczym. Stoki warszawskiej cytadeli najeżyły się ponownie szubienicami i mogiłami. Tym razem ginęła nie szlachta, lecz lud pracujący. Lud nie tak homerowski i nie tak barwny, jak przedstawiała go nasza poezja, lecz według słów Feldmana — bardziej zracjonalizowany, o większej sile odpornej i z rozpędem do twórczości na szerokiej arenie.

Na lud więc zwracają oczy wszyscy ci, dla których pozytywizm przestał wystarczać, widzą w nim zbawienie Polski, — niezawodny Jej talizman, tarczę i zbroję. Na łamach pism warszawskich i prowincjonalnych, zwłaszcza na łamach „*Głosu*“, którego redaktorami byli Józef Potocki, Jan Popławski, Józef Hłasko, ścierają się poglądy nowe i śmiałe. Pojawiają się nowe kierunki społeczne i polityczne, różniące się wprawdzie pomiędzy sobą pojmowaniem roli *ludu*, zgodne jednak najzupełniej w reakcji przeciw dotychczasowej ideologii pozytywistycznej¹⁾. W Warszawie młodzież akademicka organizuje tajne kółka, mające na celu szerzenie oświaty wśród ludu i przygotowanie go do

¹⁾ Por.: W. Feldman — „Współczesna Literatura Polska.“ str. 42.

wielkich zadań, do przyszłych walk o wolność i niepodległość.

Żeromski bezpośrednio po przybyciu swem do Warszawy wszedł do jednego z takich kółek i wciągnął się tem samem w wir pracy oświatowej. W działalności swej nie ograniczał się do wygłaszania referatów w kółku samokształceniowem. Zaangażował się dość silnie pod względem politycznym — kolportował bowiem wydane w Galicji odezwy w sprawie zbiórki na skarb narodowy, wygłaszał w fabrykach »wykłady robotnicze«, zaznajamiając w nich swe audytorjum z historją i literaturą polską. Najbliższymi przyjaciółmi jego i współpracownikami byli w tym czasie Jan Waclaw Machajski i Roman Dmowski, dzisiejszy leader stronnictwa politycznego, występującego pod nazwą Narodowej Demokracji. Ze Stróżeckim, kolegą z kieleckiej ławy szkolnej, rozszedł się w krótkim czasie po przybyciu do stolicy. Stróżecki bowiem brał żywy udział w organizacji kółek socjalistycznych i należał do t. zw. proletarjateczków, z którymi Żeromski w wielu punktach nie mógł dojść do zgody. Później — jak zobaczymy dalej — przekonania jego uległy pewnej zmianie. W r. 1905, w okresie naszych poczynań rewolucyjnych, należał do gorących sympatyków polskiego socjalizmu.

Jednocześnie z pracą w kółku samokształceniowem, pracował naukowo — jeśli tak rzecz można — dla siebie. Na wykłady w wyższej szkole weterynaryjnej uczęszczał z całą gorliwością niedoświadczonego nowicjusza. Wieczorami przygotowywał się gorączkowo do egzaminu maturalnego, marząc o przeniesieniu się na ukochany wydział medyczny uniwersytetu. Nocami pisał. Tworzył rzeczy nowe, przerabiał i wygładzał rzeczy, napisane dawniej. W tym czasie wziął stanowczy rozbrat z poezją w technicznym znaczeniu wyrazu—przestał pisać wiersze — »bohaterskie poematy, rozlewne liryki, epeje poetyckie«. Zwrócił się wyraźnie i na stałe ku prozie, którą z czasem wydoskonali tak dalece, że stanie się mistrzem niedościgłym. Ze skryptami swych »szkiców« i »obrazków«. wędruje kolejno po wszystkich redakcjach warszawskich. Niestety, wszędzie spotyka go zawód — redakcje nie chcą korzystać z dostarczonego przezeń materiału, wymawiając się delikatnie brakiem miejsca, — lub też, co się zdarzało dość często, oświadczając bezlitośnie, że »szkice« i »obrazki« nie posiadają żadnej wartości artystycznej. Nie zniechęcało to pisarza do pracy, — przeciwnie—zmuszało go do zdwojenia energii, do większej cierpliwości, do jeszcze bardziej starannego opracowywania i wmyślenia się w każdą

przedstawianą sytuację, w każde zdanie, w każde rzucone na papier słowo.

Za czasów pierwszego swego pobytu w Warszawie utrzymywał się, jak dawniej w Kielcach — z »korep«. Początkowo mieszkał przy ulicy Szpitalnej u pp. Józefowiczów, gdzie dzięki zabiegom przyjaciela Machajskiego dostał dość dobrą korepetycję ze stołem i mieszkaniem. Później przeniósł się na ul. Zgodę, gdzie na spółkę z Machajskim wynajął skromny pokój. Warunki życiowe były dość znośne. Przyjaciele mieli wprawdzie jedną tylko poduszkę i przykrywali się jakąś starą roletą zamiast kołdry — nie cierpieli jednak głodu. O tyle więc było lepiej w Warszawie, niż w Kielcach.

Pierwszy pobyt pisarza w stolicy nie trwał długo. W kwietniu r. 1888 r., a więc w siedem niespełna miesięcy po przyjeździe z Kielc, aresztowano go za udział w pracach kółek samokształceniowych i osadzono w głośnym na całą Polskę dziesiątym pawilonie cytadeli warszawskiej. Żandarmi nie mieli w ręku »niezbitych dowodów winy«, — podejrzewali go jedynie o wykroczenie przeciw »prawowitej« władzy. Mimo to, a raczej — właśnie dzięki temu dręczyli go z wyrafinowanym okrucieństwem, nie cofając się nawet przed biciem. Chodziło im przecież o to, by przyznał się »dobrowolnie« do popełnionej zbrodni. O pobycie swym w pawilonie cytadeli,

ścisłej — o uczuciach swych i myślach, jakie się przewinęły w związku z tem przez jego głowę, opowiada w krótkim, pięknym szkicu p. t. »Źródło«. Pisze tam, że jedyną pociechą była dlań pewność, że stada ptaków, podobnych do niego, — »lecieć będą tym samym szlakiem, a najcięższa podobno boleść traci połowę swej niszczącej siły, o ile staje się cierpieniem gromadzkim, nie mojem, ani czyjśm osobistem, ale naszym, wspólnem, gromadzkim«.

Wypuszczono go na wolność z końcem czerwca. Rozejrzawszy się po Warszawie i nie znalazłszy Wacka Machajskiego, u którego mógłby pożyczyć parę groszy na życie i co ważniejsze — jakieś ubranie, własne jego bowiem rozlatywało się formalnie w strzępy, wyjechał do Kielc. Tu spotkał przypadkowo jednego ze swych kuzynów, Józefa Saskiego, syna ciotki Józefaty, człowieka słynącego z rzadkiej dobroci, uczynności i gościnności i z nim razem wyjechał do dóbr Kurozwęckich. Jaki był wówczas stan duchowy i fizyczny młodego pisarza, świadczy list wspomnianego Józefa Saskiego do p. St. Piółun-
Noyszewskiego.

»W Kielcach Stefan nie miał już wtedy dachu nad głową, zgłosił się więc do pewnego inżyniera, wielkiego przyjaciela wuja Żeromskiego i tam przenocował. Na drugi dzień szczęśliwym zbiegiem okoliczności ja przyjecha-

łem do Kielc i spotkałem Stefana, idącego koło ogrodu. Rozmówiliśmy się bardzo krótko, bo miałem termin przed dwunastą, wyznaczyłem mu tylko czas mego odjazdu o g. 3-ej z rogatki i tak dostał się na mój wózek. Był w szynelu studenckim, ale pod spodem były same strzępy, pościubane i szpilkami spięte. Przybyliśmy do Kurozwęk na 12-tą w nocy, gdzie jeszcze nasza matka czekała na mnie z kolacją. Przywitanie było bardzo rzewne bez komentarzy i opowiadań o więzieniu, gdyż bałem się o matkę.

Stefan apetyt miał straszny, a jednak jeść nie mógł, bo żołądek był skurczony w straszliwy sposób i, nim przywykł, zeszło prawie miesiąc. Najpierwszą sprawą było przebranie go z więziennej koszuli z numerem 2444 i czarną łatą na plecach. Cała garderoba poszła odrazu w piec. Trzeszczało tak, jak gdy się jałowiec podpała, — tyle było mrowia. Głowę do skóry ostrzygłem, kąpiel sprawiłem i we wszystko nowe przyoblekłem. Kiedy puchlizna zeń zeszła, została tylko skóra i kości. Poprawiał się bardzo szybko. Kąpiel w rzece była pod ręką, więc na niej używał i apetyt przyszedł wilczy. Przebył u mnie do zimy. W tym czasie saneczkami wyrwaliśmy się do Józefa Trepki. Między Trepkami przebył czas pewien, a że Bolcia, jego siostra, przyjechała do nas, zjechali więc i Józefowie Trepkowie ze Stefanem do

nas. Nie pamiętam, jak długo pobyli, dość, że Stefan, pod pozorem szukania sobie czegoś, wyrwał się do Kielc. Na drogę wziął coś grosza i przepadł«...

* * *

Wyjechał ponownie do Warszawy. Nie pociągały go tam studia weterynaryjne — wziął z nimi rozbrat zupełny. Pożegnał się również z myślą o egzaminie maturalnym i o przeniesieniu się na wydział medyczny uniwersytetu. Wierzył jedynie w swój talent literacki i na nim pokładał wszelkie swoje nadzieje na przyszłość.

Powtórzyły się więc upokarzające wędrówki po redakcjach warszawskich, — z tym samym, co i poprzednio, skutkiem. Utworów jego nikt nie chciał drukować. Zwykłym też trybem wrócił do życia korepetytora. Tym razem jednak trafił na warunki znacznie gorsze. Mieszkając w skromnym pokoiku na ulicy Chmielnej, wynajętym na spółkę z Machajskim, walczył z nim razem z okrutną biedą, spogląda, jak się sam gdzieś wyraża w »wygnięte oczy niedoli« i kąpie się po uszy »w nurtach oblesnej nędzy życia«. Zdarzały się dni, a nawet całe tygodnie, w ciągu których młodzi przyjaciele »solidarnie nic nie jedli«.

Ten powtórny pobyt pisarza w stolicy skończył się dlań również bardzo nie wesoło. W stanie nieprzytomnym odwieziono go do szpitala, zachorował bowiem na tyfus głodowy. Choroba ta, nie tyle straszna i ciężka, ile świadcząca wymownie o nędzy, z jaką walczyć musiał pisarz w zaraniu swego życia, wyczerpała resztki jego sił. Gorączka nie ustępowała, kaszel dusił go w dzień i w nocy. W dodatku dręczyła go próchniejąca kość i mała ranka w prawej dłoni, powstała jeszcze w czasach kieleckich od uderzenia w trakcie ćwiczeń gimnastycznych. Ranka ta nie chciała się goić — objaw, spotykany zazwyczaj u ludzi, chorych na gruźlicę. Okoliczności te zmusiły pisarza do opuszczenia Warszawy, przekonał się bowiem o konieczności dłuższego odpoczynku i poratowania zdrowia. Wyjechał do Kurozwęk, do kuzyna Józefa Saskiego, który przed rokiem przygarnął go do siebie z taką serdecznością. Tym razem spędził tu zaledwie parę tygodni. Brak własnych pieniędzy zmusił go do starań o jakąś kondycję. Dzięki protekcji i zabiegom kuzyna Saskiego uzyskał dobrze płatną posadę guwenera u państwa Zaborowskich, mieszkających w pobliskiej Oleśnicy. W ciągu kilkutygodniowego tu pobytu uzbierać zdołał kilkadziesiąt rubli (*niełada kapitał, bo aż całe 35 rubli*). Z końcem czerwca udaje się więc na [krótko//poin.org.pl](http://poin.org.pl) Tarnów do Kra-

kowa, gdzie postanowił przeprowadzić kurację niegojącej się ranki i usunąć z dłoni próchniejącą kosteczkę. O pobycie swym w szpitalu i o przebiegu operacji pisał w jednym ze swych listów do najstarszego syna państwa Zaborowskich. List ten znajdzie czytelnik w książce p. St. Piolun-Noyszewskiego.

Pobyt w krakowskim szpitalu św. Łazarza nie przebrzmiał bez echa. Na podstawie wrażeń, odniesionych w tym czasie, napisał, jedną z najpiękniejszych swych nowel p. t. „*Cokolwiek się zdarzy — niech uderzy we mnie.*“ Żywym prototypem tej nowelki był młody braciszek z zakonu Cystersów, leżący w celi szpitalnej obok pisarza.

Z Krakowa wrócił do Oleśnicy. Nie na długo jednak. We wrześniu wyjechał ponownie do Warszawy. Pchała go tam, jak dawniej, głęboka wiara w posiadane zdolności literackie i silne wewnętrzne przekonanie, że prędzej czy później wypłynie na czoło społeczeństwa polskiego. Tym razem wiezie w swej teczce kilka nowel, m. in. „*Silaczkę*“ i „*Zapomnienie*“ — tudzież pierwsze rozdziały większej powieści p. t. „*Syzyfowe Prace.*“

Jedzie do stolicy poraz trzeci, niezrażony poprzedniami w niej przejściami, nędzą, niepowodzeniami i zawodami. Słusznie też zwraca uwagę jeden z krytyków (B. M. Blüth), że

Żeromski odziedziczył po swych przodkach rycerskich, którym poświęciliśmy we wstępie tyle uwagi i miejsca, — coś więcej, niż szlacheckie patriotyczne tradycje. »Odziedziczył ich rycerskie napięcie życia. Zdeklasowany szlachcic, późniejszy sympatyk socjalizmu, brat robociarzy i chłopów—nigdy nie pozbędzie się tej szlacheckiej rycerskości. Nigdy nie zostanie wchłonięty przez mieszczaństwo. Jego radykalizm społeczny, najbliższy był worcelowskiej postawie, wspartej na bolesnem wyczuciu społecznej winy przodków... Ta sama szlachecka rycerskość widoczna jest w stosunku Żeromskiego do swego literackiego powołania. Dzisiejsi »zawodowcy literaccy« zatracają poczucie godności literackiego kunsztu. Dla Żeromskiego jego twórczość jest sprawą wyższą nad życie. Woli głodową śmierć, niż życiowy kompromis. Niepraktyczny, naiwny życiowo, bezradny dzięki neurastenji i chorobie piersiowej, idzie na wszystkie wyrzeczenia, ale nie może się zgodzić na szukanie niegodnych pisarza zarobków. Woli korepetycję, małą posadkę bibliotekarza, niż dziennikarstwo w czerwonym stylu«... —

Tym razem wreszcie los uśmiecha się do niego życzliwie. Wędrowki po redakcjach uwieńczył pomyślny skutek. Dwie drobne nowelki a mianowicie — „*Ach, gdybym kiedyś dożył tej pociechy!*“ i „*Elegja*“ przyjął na swe łamy

redagowany przez Wiktora Gomulickiego »Tygodnik Powszechny« (Nr. 2 i Nr. 5). Prawie jednocześnie zdobywa miejsce na łamach najbardziej wpływowego tygodnika »Głos«. Sukces ten uzyskał młody pisarz dzięki staraniom i zabiegom Zygmunta Wasilewskiego, kolegi z kieleckiej ławy szkolnej, który po ukończeniu wydziału prawnego na uniwersytecie kijowskim, wrócił do Warszawy i wszedł w skład redakcji »Głosu«. Pierwsza nowela Żeromskiego, drukowana w tym tygodniku nosiła tytuł »*Psie Prawo*« (Nr. 49 z dnia 7. XII. 1889., a nie 25. XI. jak mylnie podaje Z. Wasilewski). Opisywał tam młody pisarz »niby na wesoło, ale właściwie na gorzko« przygodę wiejską na wycieczce, wyrażając swój podziw dla bohaterskiego chłopca i cichą melancholję, — »że panów prawo jest bawić się, a chłopca prawem — wydobywać ich z błota«. Stąd właśnie tytuł — »Psie prawo«. Nowela — jak świadczy Z. Wasilewski — bardzo się podobała i dla pisarskiego, i dla społecznego sentymentu¹⁾. Wkrótce też na tych samych łamach ukazuje się pod ogólnym tytułem »Okruchy« kilka drobniejszych jego utworów, a mianowicie — »Po Sedanie«, — »Złe przeczucie«, — »Pokusa«. Tamże umieszcza pisarz nowelę »Ananke« i naj-

¹⁾ Porównaj: Z. Wasilewski — »Wspomnienia o St. Żeromskim i J. Kasprowiczu« str. 167—169.

lepszą ze swych nowel — »Siłaczkę«, później trochę — »Zapomnienie« i »Zmierzch«.

Staje się znany i nawet sławny. Koledzy redakcyjni Z. Wasilewskiego żądają od niego, by pokazał i zapoznał ich z młodym pisarzem. »Ale nie było to łatwe zadanie — czytamy w jego »Wspomnieniach« — Żeromski bowiem bardzo był nieśmiały. Dzisiaj może to będzie niezbyt zrozumiałe, jak wielki był przedział, wypełniony respektem, podziwem i strachem, między nami, którzyśmy pisać zaczęli, a redakcją »Głosu«. Udało mi się to zetknięcie urządzić dopiero w zimie r. 1890... Ściągnąłem go prawie przemocą do knajpki Czerskiego na rogu Nowego Świata i Ordynackiej. Tam na pierwszym piętrze zbierali się dość często pisarze »Głosu« pod przewodem Popławskiego... Żeromski zawiódł, jako kompan. Przez cały czas ani słówkiem się nie odezwał. Było mi przykro, że w tem towarzystwie, zwykle tak wesołem, będzie to źle widziane. Istotnie Potocki potem wydziwiał od mruków i dzikusów, ale ja się Żeromskiemu nie dziwiłem, bo my z Kielc wogóle nie byliśmy bardzo światowi«...

Dla ścisłości dodać należy, że zdobycie miejsca na szpaltach »Głosu« zawdzięczał Żeromski nie tylko pomocy i staraniom Z. Wasilewskiego. Sukces ten uzyskał także dzięki gorącemu poparciu przypadkowo poznanej w redak-

cji „*Wędrowca*“, młodej wdówki, pani Oktawji z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczowej, mającej wyrobione stosunki w świecie literackim i cieszącej się przyjaźnią jednego z największych podówczas mistrzów pióra — Bolesława Prusa. Przypadkowo zawarta znajomość tych dwojga młodych ludzi przeszła wkrótce w głęboką, obustronną miłość. Pani Oktawja w dwa lata później zostanie żoną Żeromskiego.

Honorarja autorskie za prace, umieszczone w »*Głosie*«, nie były wcale świetne. Stopniały również szybko oszczędności, zrobione za czasów pobytu u państwa Zaborowskich w Oleśnicy. To też pisarz, mimo powodzenia, musiał, jak dawniej, łątać dziury w swoim budżecie marnie płatnemi korepetycjami. Ustawiczna pogoń za kawałkiem chleba, biegania z jednego krańca miasta na drugi, wyczerpywały go fizycznie i duchowo, i nie usposobiwały, lecz przeciwnie— utrudniały mu niezmiernie pracę na niwie literackiej. Zaczął więc starać się o posadę guwenera w jakimś dworze, gdzie w ciszy wiejskiej, wolny od trosk o dach nad głową i chleb powszedni, mógłby opracować ostatecznie naskicowane w międzyczasie dalsze swe nowele. Posadę taką, dzięki uczynności kolegi szkolnego Jana Stróżeckiego, z którym, mimo różnicy w przekonaniach politycznych, łączył go, jak dawniej,

stosunek szczerzej, głębokiej przyjaźni, — uzyskał w Nałęczowie u państwa Górskich.¹⁾

Przybył tu pisarz w pierwszych dniach września r. 1890 i znalazł dla siebie warunki jak najlepsze. Otoczenie domowe ludzi dobrych, przystępnych, otwartych i nadzwyczaj kulturalnych, cisza wiejska, — świeże, zdrowe powietrze, prześliczna okolica, którą nazwie kiedyś najśliczniejszą pod słońcem, — wreszcie — pewność jutra i brak trosk o dach nad głową i kawał chleba — wszystko to wpłynęło w sposób dodatni na stan pisarza tak fizyczny, jak i duchowy. Zajęć obowiązkowych miał niewiele, nie brakło mu więc czasu na rozmyślanie, na spacery samotne po okolicy, na błądzenie po dzikim, opuszczonym nieco parku, — na tworzenie nowych wizyj, ani też na ostateczne opracowanie nowel już napisanych czy tylko naszkicowanych. W zacisznym, wygodnym pokoiku pracuje nad pierwszymi szkicami do »Syzyfowych Prac« i robi szczegółowy plan powieści, obejmującej warszawskie — akademickie już — przeżycia Bo-

¹⁾ O panu inżynierze Michale Górskim pisze w swych wspomnieniach o Stefanie Żeromskim p. E. L. Migasiński, że „był dobrym obywatelem kraju, był również jednym z założycieli, właściwie wskrzesicieli dzisiejszego Nałęczowa, wykupił bowiem Nałęczów z rąk generałowej Czimirzinoj i dopomógł doktorowi Nowickiemu i jego kolegom nabyć park nałęczowski z pałacem Malachowskich, tworzył miasto-ogród dookoła uzdrowiska nałęczowskiego, zbudował dużo will, dróg, dbał o dobrobyt ludu okolicznego, słowem był człowiekiem wielkich zasług dla całej okolicy nałęczowskiej.“

rowicza, Radka, Zygiera, a mającej nosić tytuł — »Upusty«¹⁾, — tu również pracuje nad serdecznymi, przepojonemi bólem i goryczą nowelami, któremi weszły później do pierwszego i jedyne go zresztą tomu jego, »Opowiadań«. Pracuje z zapałem, entuzjazmem, satysfakcją, płynącą z przeświadczenia, że oto nie będzie już kołatał nieśmiało do warszawskich redakcyj, lecz że ujrzy to wszystko napewno na łamach poczytnego i wpływowego tygodnika.

Uczenicami pisarza były trzy maleńkie córki państwa Górskich w wieku od lat siedmiu do dwunastu. Mentorem był Żeromski nieszczerogólnym, mimo, że pod względem sumiennosci nic mu zarzucić nie można. Nie był to, jak się wyraża p. Migasiński — *the right man on the right place*.²⁾ Był to genialny twórca, który na stanowisku belfra znalazł się przypadkiem, wskutek niefortunnego zbiegu okoliczności życiowych. Jak ze słów najstarszej jego uczenicy, dziś p. dr. Janiny Szokalskiej wynika — nauczanie szło »kulawo«. Nauczyciel bowiem

¹⁾ Powieści tej Żeromski nie ukończył, aczkolwiek pracował nad nią wytrwale przez czas dłuższy. W r. 1892 pisał do swej narzeczonej w liście z Zurycha: „Z przyjemnością zaryję się w Krakowie w „Upusty“, drzwi od Europy hałasów zamknę na spusty“... Pochłonęły go inne pomysły, wobec których warszawskie przeżycia Marcinka Borowicza i jego towarzyszy usunąć się musiały na plan dalszy. Z czasem-uległy zapomnieniu.

²⁾ Przysłowie angielskie, — po polsku — właściwy człowiek na właściwym miejscu.

zstępował do pokoju szkolnego ze zgoła odmiennego świata swych potężnych i nieśmiertelnych wizyj. Chciał, żeby się dziewczęta nauczyły od niego jak najwięcej, usiłował jak najskrupulatniej spełniać swe zadania, ale mimo tej — niewątpliwie szczerzej chęci — jakoś mu się to nie udawało. Pochłonięty czem innym, pogrążony całkowicie w świecie swoich dziwów i głębin, przypominał sobie, iż jest nauczycielem, objaśniał, zadawał, przepytывał, pisał program lekcyj, umieszczał go na widocznym miejscu w pokoju szkolnym i często nie zauważył, że swawolna dziewczynka program ten reformowała po swojemu i zamiast wyznaczonych przez niego lekcyj wypisywała wszędzie — »kaliigrafja«. ¹⁾

Wiosną roku 1891 przyjechała do Nałęczowa poznana przypadkowo w redakcji warszawskiego »Wędrowca« pani Oktawja Rodkiewiczowa. Przybyła tu na stałe i objęła posadę w administracji uzdrowiska nałęczowskiego. ²⁾ Młody

¹⁾ Porównaj: E. L. Migasiński — „Wspomnienia o Stefanie Żeromskim“. Warszawa, 1927 str. 11 — 12.

²⁾ Dyrektorem Zakładu Wodoleczniczego w Nałęczowie był podówczas dr. Konrad Chmielewski, ojczym pani Oktawji Rodkiewiczowej. Żeromski poznał ją w r. 1890. Była wówczas młodą dwudziestokilkoletnią wdową. Zajmowała w Warszawie stanowisko wychowawczyni na jednej z pensyj żeńskich. Niezależnie od tego wchodziła w skład redakcji „Wędrowca“, którego wydawcą był Artur Gruszecki, a kierownikiem artystycznym Stanisław Witkiewicz. W saloniku pani Oktawji zbierał się często warszawski świat literacki z Bolesła-

pisarz powitał ją z uczuciem niewysłowionej radości. Wiedział bowiem, z jak wielką i serdeczną życzliwością odnosiła się do niego ta młoda, niezwykle inteligentna osoba, z jakim entuzjazmem wyrażała się o pierwszych jego pracach drukowanych, z jaką wiarą mówiła o jego zdolnościach i przyszłej wielkiej sławie. Przybywała do Nałęczowa dusza bratnia, z którą bez najmniejszych obaw dzielić się mógł swemi wrażeniami i myślami, rozstrząsać szczegóły swych wizyj twórczych, spowiadać się ze swych planów, marzyć wreszcie o zasypaniu otchłani, ziejącej według słów Konopnickiej, między pokrzywdzonymi a krzywdzicielami. Chyba nie ma sprawy bardziej dostojnej — pisał znacznie później — nad takie wspólne, najdalsze spoglądanie w naszą biedną niewiadomość. W takiej właśnie naradzie dwu dusz mogą z tajemniczych źródeł wynikać objawienia, pełne błyskawic, przecucia i chwile twórczych wstępowań po bezcennych onyksowych schodach w Krainę Zachwytu.¹⁾

Obopólna sympatja i szczerą, serdeczną życzliwość przechodzi wkrótce w gorącą i szla-

wem Prusem na czele. W r. 1890 widywano tam i Żeromskiego — rzadkim jednak był tam gościem. Na częste wizyty nie pozwalała mu nie tyle wrodzona nieśmiałość, ile brak przyzwoitego ubrania. Dodać należy, że p. Rodkiewiczowa była żywym prototypem Joasi z „Ludzi Bezdomnych“ — tudzież Madzi z „Emancypantek“ Prusa.

¹⁾ Por.: „Dzieje Grzechu“ — tom I str. 70. Łukasz Niepełomski w rozmowie z Ewą.

chetną miłość. Uczucie, dotąd nikłe i nieśmiałe, wybuchnęło w tych młodych i czystych duszach wielkim płomieniem i ogarnęło je całkowicie. Żeromski jesienią r. 1891 oświadczył się i został przyjęty. Marzy więc o założeniu własnego ogniska domowego. I w konsekwencji — rozgląda się za posiadłość, która zapewniłaby mu źródła stałego dochodu i pozwoliła na realizację tego najgłębszego i największego podówczas pragnienia.

Czem była w życiu jego ta miłość i ta kobieta — mówi on sam. Mówi niejednokrotnie. Jak świadczy p. St. Piółun-Noyszewski, powtarzał po wielokroć, że była mu aniołem opiekuńczym, który go dobył z otchłani pesymizmu i powrócił do grona ludzi żywych, — później była mu opiekunką, towarzyszką, współpracowniczką i doradczynią, była najwrażliwszym kamertonem jego pracy twórczej, cenzorem artystycznym jego dzieł, lekarzem duszy i ciała..

W styczniu r. 1892 wyjechał Żeromski poraz pierwszy za granicę. Z planem tej podróży nosił się już oddawna. Wygodna i dobrze płatna posada guwernera u państwa Górskich w Nałęczowie pozwalała na zrobienie niezbędnych oszczędności. Pchała go za granicę nietylko zupełnie zrozumiała i naturalna chęć przyjrzenia się zbliska ośrodkom kultury europejskiej, lecz także i głęboka tęsknota za Wackiem Machaj-

skim, który mniej więcej przed rokiem został przez Moskali aresztowany za przewożenie z kordonu literatury patriotycznej, wydarł się jednak z rąk żandarmów, uciekł z Królestwa i na gościnnej ziemi szwajcarskiej szukał schronienia; osiadł na stałe w Zurychu, gdzie początkowo uczęszczał na uniwersytet, kontynuując swe studia lekarskie i skąd przysyłał do pisarza długie listy, namawiając go i zachęcając do przyjazdu do Zurychu. Początkowo plan podróży zagranicznej przedstawiał się Żeromskiemu w kolorach różowych, — myślał o niem z entuzjazmem i satysfakcją głęboką. Później jednak po zaręczynach z p. Rodkiewiczową — plan ten wydał mu się nedorzecznym, bezsensownym, bezrozumnym. Bo pocóż odjeżdżać od istoty ukochanej, pociążyć się dobrowolnie na mękę rozłąki? Atoli stanowcze perswazje pani Oktawji, tudzież listy Bolesława Prusa, który nie tyle radził, ile żądał, by Żeromski ukończył uniwersytet bądź to w Krakowie, bądź też w Zurychu, skłoniły go ostatecznie do zrealizowania dawnego planu. Wyjechał z Nałęczowa w pierwszych dniach stycznia 1892 r. Poprzez Kielce i Kraków udał się do Wiednia. Tu spędził zaledwie parę dni, zwiedzając, a poniekąd i zachwycając się Muzeum Handlowym, uniwersytetem, Burgtheatrem, Stephanskirchą, giełdą, pomnikami, mostami, Dunajem.

Z Wiednia poprzez Insbruck, którego okolicę nazywa »najcudniejszą, jaką można sobie wystawić,« — jedzie do Zurychu. Tu spotkał go zawód. Pisze bowiem w jednym z listów: »Spotkałem się ze znajomymi i... zdążyłem zauważyć przedział, istniejący pomiędzy mną a nimi, szczególnie zaś przedział między mną a Wackiem«. Machajski bowiem zmienił się bardzo — z narodowca, z gorącego patrioty polskiego przedzierzgnął się w skrajnego nihilistę w stylu rosyjskim. Metamorfozę tę spowodowały, lub w najlepszym razie — sprzyjały jej w znacznym stopniu — ciężkie warunki, w jakich się znalazł po przyjeździe swym do Zurycha. Pozbawiony środków do życia, musiał szybko zrezygnować ze swych marzeń o studiach lekarskich; jął się pracy fizycznej, stoczył się na dno ludzkiej nędzy, zetknął się tam z rewolucjonistami rosyjskimi i uległ ich wpływowi. Dla Żeromskiego ta zmiana poglądów i przekonań była niemiłą, przykrą, a nawet i bolesną niespodzianką. Drogi, kochany, tak bliski sercu Wacek, z którym przeżyło się tyle chwil smutnych i ciężkich, stanął w zgoła odmiennym świetle i nie pociągał już, a raczej odpychał od siebie. W jednym z pierwszych swych listów z Zurychu pisał Żeromski do narzeczonej, że nie może już zejść się z nim, jak dawniej, po bratersku. W <http://kci.org.pl> tydzień później donosił już, że

towarzystwo Wacka drażni go tylko. »Dziś się rzadko widzujemy, a widząc się, mało sobie mamy do powiedzenia. Łudziłem się, że to umysł i serce, a to jeden z wielu postępowców, wyśmiewających dziś to, za co wczoraj gardło dawał. Śmiech bierze patrzeć na to wszystko, wyzute z wszelkiego indywidualizmu myśli i uczuć i idące owczym pędem za zdaniem, powybieranemi z książek i książeczek«.

Stwierdziwszy tak głęboką i radykalną zmianę w przyjacielu, tęsknota za którym była bodaj najsilniejszym bodźcem do podjęcia podróży zagranicznej, przekonał się pisarz jednocześnie, że w Zurychu, jak wogóle w całej Szwajcarii, przepełnionej po brzegi inteligencją pracującą, nie znajdzie warunków, które pozwoliłyby mu na odbycie studjów, tak gorąco przez Bolesława Prusa zalecanych. Postanawia więc wyjechać z Zurychu jak najprędzej. Zwiedza szybko rzeczy, najbardziej w nim ciekawe, robi krótką wycieczkę do Rapperswyllu, gdzie zwiedza słynne muzeum narodowe, w którym później pracować miał przez cztery lata w charakterze bibliotekarza, — poczem poprzez Romanshorn i Lindau wyjeżdża do Monachjum. Tu spędza dwa wieczory w gronie polskiej braci malarskiej, zwiedza słynne galerje obrazów, w których — jak się sam przyznaje — »stoi w zgłupieniu i zachwycie niewysłowionym« przed arcydzieła-

mi Rubensa, Tycjana, obrazami Bramsa i Giermskiego, zachwyca się impresjonistycznymi obrazami francuzów,— »robotą których zachęca do malarstwa, — bierze się pędzel, farby i gwaźda«. Z Monachium, gdzie wskutek »nadmiernych« wydatków zrezygnować musiał z wycieczki do Drezna, wraca poprzez Pragę czeską do Krakowa. W listach do narzeczonej dzieli się z nią swemi wrażeniami, myślami, uczuciami. Narzeka na obcą mu, niesympatyczną niemiecczyznę, stwierdza, że odpycha go od siebie wtedy nawet, gdy ją ciekawie obserwuje, gdy zwiedza i bada. We wszystkich tych listach nicią czerwoną przewija się ciche westchnienie: Gdybyśmy zwiedzali razem! — »Gdybyś Ty tu była, wtedy z wesołością zwiedzalibyśmy sobie miasto, ale tak w smutku i w tej niechęci, jaka we mnie jest, patrzę, aby handel szedł«... »Nudno i smutno — wzdycha na innem miejscu—na czekaniu Twego listu czas spędzam«... »Lichy ze mnie podróżnik — narzeka w innym liście — słyszę tylko dźwięk dzwonków, mało co widzę, a raczej widzę tylko smutek własny«...

Praga robi nań wrażenie bardzo silne. Szczególniej »zastanawiały« go i »budziły w nim zazdrość« ogromne gmachy publiczne, — Muzeum Narodowe, Wystawa Obrazów, Teatr Narodowy, wreszcie szkoły wyższe z napisem górnolotnym »Bohu vlasti narodu«. Przez dwa dni błąka

się po jej wąskich, splątanych uliczkach, — »brudnych« i »niechętnych« tak, że odrazu »przypominają i Lublin, i Warszawę, i Kraków«, zachwycając się zamkiem królewskim z katedrą i grobem. srebrną trumną Jana Nepomuka, — zwiedza Muzeum, wstępuje do teatru na jakąś sztukę. Dążąc tu, do Pragi, myślał z przyjemnością, że pozbędzie się wreszcie »obcowania z różnego pokroju i mowy Niemcami, tymczasem — Praga — to prawie niemieckie miasto«. Obca mu i niesympatyczna niemiecczyzna prześladowuje go i tutaj. Z entuzjazmem za to wyraża się o uświadomieniu narodowem Czechów. »Głupstwa mówi, kto mówi, że oświata to mały czynnik«. Porównanie wsi i miasteczek czeskich »wprawdzie nie europejskich jeszcze, ale już ucywilizowanych« z polską nędzą, zastojem, brudem i nizotą — wywołuje kilka cierpkich uwag pod adresem polskich obozów politycznych.

Do Krakowa przybył 4 lutego, cały więc pobyt za granicą trwał zaledwie trzy tygodnie, — na dłuższy nie mógł sobie pozwolić, gdyż »fundusze« jego wyczerpały się całkowicie. Krakowa nie lubił — czuł się w nim nie swojo. »Obrzydłe to miasto! — pisał w jednym z listów. Nędza, kłaniająca się do ziemi wszystkim, co błyszczy — i zbytek, i ten galicyjski ton, zakała naszego życia«. Kraków, cała wogóle Galicja, i jej »wielcy« ludzie — budzą w nim

wiele myśli, — »smutnych i aż doprowadzających do złości«. Zobaczyć Europę, przyjrzeć się zbliżona ogniskom kultury i cywilizacji, a potem znaleźć się nagle »w sferze głupich szczekań, żarcia się o głupstwa i nic nie robienia — znaczy upadać na duchu«. »Obce tu życie — pisał w innym liście — i, powiedzieć trzeba, trochę błazeńskie: złości, na każdym kroku spotykane, jakaś przesadna i fałszywa usłużność, gadulstwo w gazetach, wykręcanie się sianem w kwestjach zawitych, a szerokie i długie deklamacje w najprostszych«. W korespondencjach swych, wysyłanych w tym czasie do warszawskiego »Głosu«, a drukowanych tam pod ogólnym tytułem »Ogłosów krakowskich«, piętnuje »galicyjski serwilizm« i »trupią atmosferę« wpływów stańczykowskich w słowach tak ostrych i gorzkich, że redakcja »Głosu«, uważając, może i słusznie, że w niechęci swej i uprzedzeniu posuwa się zadaleko, — skreśla w jego korespondencjach krakowskich dłuższe ustępy.

Zupełnie inne wrażenie zrobił na nim Lwów, do którego wpadł na parę dni w połowie kwietnia r. 1892. — »Lwów to śliczne miasto, — pisze do swej narzeczonej. Nie przypuszczałem, aby taki Lwów, który bylejaki Niemczyzna nazywa sobie od niechcienia Lembergim, — mógł istnieć u nas. Bez żadnego wątplenia.ładniejszy jest

niż Kraków, a prawie tak ładny, jak Praga. Jest to w całym znaczeniu tego wyrazu miasto europejskie, piękne, czyste... urozmaicone, ciekawe dla zwiedzających i żywotne, jako stolica kraju (w znaczeniu austriackim tego wyrazu), — tylko nie fabryczne«. »Teraz żałuję — pisze gdzieś indziej, — że nie przesiedziałem tu połowy zimy... Kamienice, jak się patrzy, ulice »kichey wylizol«, ludzie uprzejmi, ale nie »całujący rączek« i nie »padający do nóg pana bdzieja«. Tak z wierzchu Lwów robi wrażenie, żeby nie zełgać, Monachjum...«

W Krakowie spotkał się pisarz przypadkowo z Zygmuntem Wasilewskim, a dzięki niemu zetknął się, a później i zaprzyjaźnił z gronem literatów krakowskich, m. in. z Zygmuntem Kostkiewiczem, Stanisławem Hyżyckim i Ernestem Adamem, który był podówczas sekretarzem redagowanej przez Asnyka »Nowej Reformy«. ¹⁾ Dzięki zawartym znajomościom zdobył jeszcze jedno, wprawdzie liche i marne, źródło dochodu: niezależnie od korespondencyj do »Głosu« — pisał szkice i recenzje literackie dla »Nowej Reformy«. Umieścił tam m. in. dwa szkice etnograficzne p. t. »Do swego Boga« (20. III. 1892) i »Poganin« (25. III. 1892) tudzież szkic krytyczny, będący streszczeniem i omówieniem

¹⁾ Por.: Zygmunt Wasilewski — „Wspomnienia o J. Kasprowiezu i S. Żeromskim“ str. 169 i 170.

powieści Pokrowskiego — »Sędzia« i »Obrusiciel«. (w kwietniu 1892 r.¹⁾) Mimo to jednak powodziło mu się nieszczęśliwie. Głód dokuczał, jak dawniej. W kwietniu — tuż przed świętami Wielkiejnocy — pisał do narzeczonej: »Ciekawa to historia, jak ja będę spędzał święta... Ze mnie jest ogromnie śmieszny człowiek. W roku zeszłym w takim ognisku oświaty i ogłady, jak Kielce, o mało nie uświerkłem z czczości, podczas kiedy świat cały katolicki objadał się dokoła mnie samemi kiełbasami. Teraz znowu ta sama historia. Gdy się ożenię, musi mi żona raz nareszcie wyprawić takie święta, abym sam zjadł ze trzy wieprze...«²⁾

Uczył się w tym czasie wiele. Pochłaniał stopy książek, studjował wiele interesujących go kwestyj, rozszerzając w ten sposób zakres posiadanych wiadomości. O studjach uniwersyteckich nie myśli jednak zupełnie. »W uniwersytetach—pisał w jednym ze swych listów,— człowiek uczy się akurat tego, co albo już wie, albo bardzo łatwo bez uniwersytetów wiedzieć może«. Pogląd z wielu względów słuszny najzupełniej i nie wymagający wcale uzasadnienia. Bo oto

¹⁾ Szczegóły te czerpię z przypisów wydawcy do pośmiertnego tomu szkiców, wydanych w r. 1928 pod ogólnym tytułem „Elegje“.

²⁾ Listy Żeromskiego do narzeczonej, z których cytuję tutaj drobne urywki, znajdzie czytelnik we wspomnianej już niejednokrotnie książce p. St. Noyszewskiego na str. 188—315.

jeszcze półtora wieku temu dr. Johnson wypowiedział się dobitnie w sprawie bezcelowości wykładów uniwersyteckich. »Ludzie mają obecnie dziwne przekonanie, że wszystkiego należy uczyć się metodą wykładową. Tymczasem moim zdaniem, nie wyciąga się tyle korzyści z wykładów, ile się ma z lektury książek, których profesor w swoim wykładzie się trzyma«. A M. Alderton Pink, za którym powtarzam to niezbyt coprawda ostre powiedzenie, dodaje od siebie: Z rozkoszą sobie człowiek wyobraża, jak brzmiałyby uwagi dr. Johnsona, gdyby się przespacerował po nowoczesnym uniwersytecie i zobaczył tuzin wykładowców, z których każdy brzęczy coś ze swojej katedry, w czasach, kiedy półki księgarskie i składnice wydawców przepelnione są odpowiedzialnymi dziełami na wszystkie tematy, jakie sobie tylko można wyobrazić«. ¹⁾

Z tych właśnie względów sala uniwersytecka nie pociągała ku sobie młodego pisarza. Uczęszczanie na wykłady uważał za bezproduktywną stratę czasu. W dodatku, zapisawszy się na jakiś wydział, musiałby obok kwestyj, bliżej go interesujących, studjować wiele zagadnień, nie pociągających go zupełnie i niemających dla niego osobiście większego znaczenia. Uniwersytet uważał słusznie za instytucję, która za

¹⁾ Por.: M. Alderton Pink „*Uniwersytety. Duch akademicki dziś i jutro.*“

cztero czy pięcioletnią pracę wynagradza dyplomem naukowym, ułatwiającym walkę życiową, — »zrobienie kariery« — zdobycie pewnej rangi. On zaś marzył o jednej tylko randze, — dla uzyskania której trzeba mieć coś więcej, niż dyplom, — o randze literata polskiego. Wierzył w swe zdolności, wiedział z całą pewnością, że zdobędzie rozgłos i sławę, otoczy się aureolą, wobec której blask naukowego dyplomu straci całą swoją wymowę, stanie się malutkiem, ledwoznacznem.

Rozmyślając na ten temat i torując sobie drogę do wielkiej sławy, marzył jednocześnie o realizacji największego podówczas swego pragnienia — o założeniu własnego ogniska domowego. Największą, a raczej jedyną przeszkodą w tym wypadku był brak źródła pewnego i stałego dochodu — z chwilą ożenku utrzymywać musiał już nie tylko siebie, lecz także i żonę oraz jej pięcioletnią córeczkę z pierwszego małżeństwa. Szuka więc i rozgląda się za posiadką. Zachwyca go myśl objęcia stanowiska nauczyciela ludowego w Zakopanem lub jego okolicach, pociągających go ku sobie nie tylko przedziwnym urokiem gór, lecz także świeżem, czystem, zdrowem powietrzem, tak bardzo potrzebnem dla jego biednych, schorowanych płuc. Z końcem kwietnia wyjeżdża do Zakopanego, stara się tu i zabiega, szuka protekcji i poparcia

u osób znanych i wpływowych. Niestety, starania te nie odniosły pożądanego skutku, gdyż Żeromski, jako poddany rosyjski, nie mógł objąć rządowej posady w zaborze austriackim.

Po dwumiesięcznym pobycie w Zakopanem wraca w pierwszych dniach lipca do Nałęczowa. W dniu swoich imienin — 2 września 1892 r. zaślubił p. Rodkiewiczową. Ślub odbył się w Policznej pod Jednią, w okolicy historycznego Czarnolasu, w starym, modrzewiowym kościółku, w którym twórca »Trenów« i »Odprawy posłów« spędzał długie godziny na żarliwej modlitwie.

* * *

Zawarcie ślubu umożliwiła szczęśliwie uzyskana posada pomocnika bibliotekarza w polskim Muzeum Narodowym w Rapperswillu. Usłużny Zygmunt Wasilewski, przed kilku miesiącami powołany do Rapperswillu na stanowisko bibliotekarza, i w tym wypadku również nie odmówił swej pomocy. Żeromski bowiem, bezpośrednio po powrocie z Zakopanego do Nałęczowa, wysłał do niego list, donosząc, że lekarze — ze względu na opłakany stan zdrowia, radzą mu dłuższy pobyt w Szwajcarii, i zapytując, czy mógłby liczyć na zaczepienie się o muzeum rapperswillskie w charakterze pomocnika bibliotekarza, co — jak się wyrażał — ułatwiłoby mu znacznie egzystencję. Wasilewski

nie kazał się prosić dwukrotnie. Napisał zaraz do Henryka Bukowskiego, wiceprezesa muzeum, przedstawiając mu ogrom ciężaru, spoczywającego na barkach jedynego bibliotekarza, prosząc stanowczo o pomocnika i wymieniając, jako kandydata Żeromskiego. Bukowski zgodził się bez zastrzeżeń i bez zwłoki, gdyż pomoc naprawdę potrzebna była bardzo. Według słów Wasilewskiego, biblioteka jeszcze nie była ułożona na półkach w przeznaczonych dla niej salach, — zgromadzona stosami w wieżach zamczyska, pomieszana z archiwami, wymagała koło siebie zabiegów fizycznych na kilka miesięcy. A bibliotekarz miał na to jedynie pomoc niezdarnego odźwiernego¹⁾.

Żeromski przybył do Rapperswillu późną jesienią r. 1892. Przywiózł ze sobą żonę i jej sześcioletnią córeczkę z pierwszego małżeństwa (dziś p. Witkiewiczowa). Stan zdrowia jego był groźny, — lekarze »resztę« życia jego obliczali nie na lata już i nie na miesiące, a tylko na tygodnie. Na szczęście — pomylili się w swych obliczeniach. Sprzyjające warunki klimatyczne, czuła i troskliwa opieka żony, niezwykle regularny tryb życia, wreszcie wyrzeczenie się papierosów i alkoholu w najmniejszych nawet dawkach — wprawdzie nie usunęło wiszącej

¹⁾ Por.: L. Wasilewski: *Wspomnienia o J. Kasproni-
cau i S. Żeromskim*. Str. 171 i 173.

nad nim groźby, lecz postawiło go na nogi, wzmocniło znacznie na siłach i pozwoliło tak wybitnie zasłużyć się narodowi.

Ognisko domowe, do którego dążył i o którym myślał w ciągu ostatniego roku z takim entuzjazmem, było cichutkie i skromne nad wyraz. Mizerna pensyjka pomocnika bibliotekarza starczała zaledwie na zaspokojenie najgwałtowniejszych potrzeb życiowych. Nieprzewidziane wydatki, nawet najdrobniejsze, np. na podzelenie butów, przewracało do góry nogami cały miesięczny budżet.

Było w tem ognisku biedno, miło jednak i przytulnie. Pani Oktawja, żywy prototyp Joasi z »Ludzi Bezdomyńskich«, — umiała, jak ta powieściowa bohaterka »stworzyć źródło poczucia piękna, sztuki jeszcze nieznanego, która obok nas śpi, jak zaczarowana Królowna«¹⁾; wypełnić swe gniazdko przedziwnym urokiem. Do osób, które tu często zaglądały, należał Wasilewski, Tadeusz Korzon, pracujący podówczas w bibliotece rapperswilskiej nad swą obszerną monografią o Kościuszcze, i Zygmunt Miłkowski, znany pod pseudonimem T. T. Jeża, autor głośnych w swoim czasie »Upustów«, z którym państwo Żeromscy spędzali długie godziny na pogawędkach, dysputach lub na słuchaniu jego niezwykle bogatych wspomnień. W r. 1895

¹⁾ Por.: »Ludzie Bezdomyńskich« tom II »Rozdarta sosna.«

odwiedził ich Bolesław Prus, spędzając w ich zacisznem mieszkanku około 6 tygodni.

Urlopy spędzał pisarz wraz z żoną na wycieczkach i wyjazdach za granicę. Wiosną r. 1893 zwiedził Włochy, zatrzymując się na dłużej w Medjolanie, jesienią następnego roku wyjechał na parę tygodni do Drezna, maj r. 1896 spędził w Paryżu. Latem roku 1893 odbył pieszą wycieczkę w Alpy przez Furkapass do jezior Grimselskich. Widok olbrzymich gór, przez które przed stu laty przewalały się potężne armje boga wojny — Napoleona — rozplomienił jego fantazję i stał się bezpośrednim powodem napisania opowieści »O żołnierzu tułaczu«, osnutej, jak wiadomo, na tle bojów napoleońskich w Alpach.¹⁾

W ciągu czteroletniego pobytu swego w Rapperswillu pisał Żeromski nie wiele. Kształcił się za to wytrwale, wzbogacał zasób swych wiadomości, rozszerzał horyzont umysłowy, zbierał skrzętnie materiały, z których korzystać będzie w okresie późniejszym. Pobyt jego w Rapperswillu był dla niego — śmiało tak powiedzieć możemy — równoważnikiem i to znacznie ulepszonym równoważnikiem studjów uniwersyteckich. Muzeum rapperswylskie poza cennymi zbiorami w postaci dzieł sztuki i pa-

¹⁾ Ciekawe szczegóły tej wycieczki, znaleźć można w cytowanych już wspomnieniach Wasilewskiego str. 177 — 179.

miątek narodowych posiada wspaniałą bibliotekę, składającą się z około stu tysięcy tomów i 20 tysięcy rękopisów i autografów, m. in. takie, jak Goszczyńskiego, Lelewela, Leonarda Chodźki, Henryka Dąbrowskiego, Mierosławskiego, Langiewicza i w. in.¹⁾

*Trudno mi — pisze w swych wspomnieniach Zygmunt Wasilewski — w paru słowach odtworzyć teraz urok, któremu poddaliśmy się w tem środowisku książek i pamiątek po powstańcach. Przyjechaliśmy tutaj z kraju, aby starej emigracji pomóc do uporządkowania ich archiwów. Otoczyła nas atmosfera romantyzmu walki i dramatu cierpień emigranckich. Jednakże mniej więcej przeżywaliśmy wzruszenia, bo przez Kielce jednakże a skąpe dochodziły nas walk tych tradycje, sięgające zresztą tylko r. 1863, podczas gdy Rapperswyl reprezentował najbogaciej czasy 1830 — 31 i lata następującej emigracji. Wszystko było dla nas nowością, przenoszącą nas w górę dziejów aż do Kościuszki, którego tradycje szwajcarskie komunikowały z Solurą«. Żeromski grzebał się w pożółkłych pamiętnikach, rozczytywał się w broszurach i pismach, wydanych przez emigrację paryską. Wystawał całemi dniami przy szafach »w nieodstępnym serdaku zakopiańskim, w szaraczko-

¹⁾ Szczegóły te czerpie z pracy J. Sokulskiego p. t. *Początki Muzeum Narodowego w Rapperswylu.*

wem ubraniu z nastroszoną czupryną i srogą czarną brodą«. Nie był w stanie żadnej książki donieść do pracowni, żeby się nią »po drodze nie bałamucić — tak go każda interesowała.«¹⁾ Bogate zbiory biblioteki rapperswilskiej tudzież gorące, nigdy nienasycone pragnienie wiedzy pozwoliły mu zgłębić epokę naszą porozbiorową tak dokładnie, że słusznie uchodzić mógł za jednego z największych jej znawców. Odbyte tu studia nie tylko rozszerzyły znacznie jego horyzont umysłowy, lecz także rozpłomieniły wybitnie jego wyobraźnię twórczą,—tu bowiem, pod ich wpływem zrodził się pomysł olbrzymiej trylogji, której część pierwszą stanowić miały znane wszystkim »Popioły«, w części drugiej p. t. »Iskry« wypadki powieściowe rozgrywać się miały na tle naszego powstania listopadowego, w części trzeciej zaś opowiedzieć zamierzał o bohaterstwie i męczeństwie straceńców z roku 1863. Za czasów pobytu w Rapperswilu opracował bardzo szczegółowy plan dwu pierwszych części trylogji t. j. »Popiołów« i »Iskier«. W tym też okresie napisał pierwsze opowiadanie historyczne »O żołnierzu — tułaczu«, do którego materiał historyczny znalazł w bogatych zbiorach biblioteki.

¹⁾ Por.: L. Wasilewski—*Wspomnienia o J. Kasprowi-
zu i S. Zeromskim*, str. 172 i 173.

O pracy Żeromskiego, jako bibliotekarza, możnaby napisać tom dostatni. Dr. Władysław Kłyszewski w krótkim szkicu, poświęconym działalności pisarza na tej placówce, pisze m. in.: »Prace, które wykonał w czasie czteroletniego swego urzędowania stały się podstawą urządzenia muzeum i biblioteki. W dziale bibliotecznym skatalogował wszystkie znajdujące się w zbiorach druki stare, które w ilości 1200 tytułów opisał najbardziej szczegółowo na kartkach i ustawił w dziewięciu tekach 4^o i 8^o i cztery in folio w dolnych szafkach gablot bibliecznych, gdzie dotąd winny się znajdować. Sporządził całkowity katalog kartkowy zbioru Mickiewicza t. j. katalog pamiątek, rękopisów, portretów... Katalog ten, poprzedzony przepiękną przedmową Żeromskiego, ukazał się w Krakowie w r. 1898 nakładem muzeum raperswilskiego. Znajdujące się w zbiorach bibliecznych exlibrysy polskie zostały przez Żeromskiego własnoręcznie naklejone na kartoniki i ułożone alfabetycznie. Uzupełnił, a ściślej mówiąc, w dwójnasób nieomal powiększył katalog kościuszkowski przez zgromadzenie z całego roku jubileuszowego — 1894 — wszelkich druków, ulotów i t. p.; zbiór portretów Naczelnika podkleił na kartony: zbiór rysunków polskich i obcych najdokładniej uporządkował, podając stosowne objaśnienia na obwolutach, zawierających w układzie alfab-

tycznym prace każdego artysty. Dział sztychów, drzeworytów i litografij, tak bardzo zasobny w biblioteczce rapperswilskiej, podzielił na dwie grupy zasadnicze — polskie i obce, w nich formując poddziały szczegółowe... Mapy Polski i obce ułożone w specjalnych tekach, zostały również przez Żeromskiego pracowicie skatalogowane. W dziale muzealnym urządził był Żeromski własnoręcznie t. zw. pokój Mickiewicza oraz pokój »przyjaciół Polski«. ¹⁾

Niestety, — »u podnóża kolumny barskiej, której piękna, prostoty i smutku żadne słowo nie wypowie« nie było miejsca dla twórcy »Popiółów«. Zwalczany namiętnie przez ludzi małych i ludzi złych, oczerniany i poniżany, do ostateczności doprowadzony »odrażająco symboliczną« gospodarką w Muzeum, sprowadzaną do poziomu »jakiejś filji klubu Pickwicku,« — »bez zemsty i nienawiści, lecz z wewnętrznym gniewem« wyjechał Żeromski z Rapperswilu nagle, w końcu czerwca r. 1896, odsyłając na znak protestu swego klucze od zbiorów na ręce wiernie oddanego sobie przyjaciela i opiekuna, a Muzeum rapperswilskiego właściwego twórcy, Henryka Bukowskiego — do Stockholmu. ²⁾

Aby zrozumieć dokładnie decyzję autora opowieści »O żołnierzu tułaczku«, — trzeba

¹⁾ Por.: Dr. Władysław Kłyszewski — „Stefan Żeromski w Rapperswilu“, Tygodnik Ilustrowany 49, 1925.

²⁾ Ibidem.

przyjrzeć się stosunkom, jakie w owym czasie panowały w tej, tak daleko poza granice kraju wysuniętej, naszej placówce.

Założycielem jej był Władysław hr. Plater, poseł sejmowy z r. 1831, patriota gorący, nie mogący pogodzić się z myślą o utracie niepodległości i wierzący święcie w Zmartwychwstanie. Wyemigrowawszy z kraju bezpośrednio po upadku powstania listopadowego, czas jakiś spędził w Paryżu, poczem przeniósł się do Szwajcarii i osiadł na stałe w Broelbergu pod Zurychem. Tu, przyglądając się tysięcznym rzeszom turystów, zjeżdżających ze wszystkich niemal zakątków globu ziemskiego, przekonał się, że cicha, a wymowna propaganda Polski w tych właśnie stronach, może mieć ogromne znaczenie polityczne i przynieść nam wielkie korzyści. W r. 1868, w związku z uroczystym obchodem setnej rocznicy konfederacji barskiej, postawił w Rapperswilu, na wzgórzu, leżącym w pobliżu zamku, wspaniały pomnik, mający świadczyć o naszej tragedji narodowej. Nie mogło to naturalnie zaspokoić jego ambicji — pomnik, ściśle rzecz biorąc, — martwy kamień i krótki napis — mógł wzbudzić w przechodniu chwilowe jedynie zainteresowanie, nie był jednak w stanie wycisnąć w duszach trwalszych śladów ani głębszych uczuć i myśli o Polsce obudzić. Idzie więc Plater dalej. Dąży do stworzenia

placówki, która przekonałaby mogła obcych nie tylko o naszym pragnieniu wolności, lecz także, a raczej przedewszystkiem o naszym do tej wolności prawie. Marzy o stworzeniu Muzeum Narodowego, które na równi z innymi osobliwościami Szwajcarii zwiedzane będzie przez tysiące osób różnych narodowości i stanie się—według własnych jego słów, — ogniskiem narodowem, z którego promienie na cały świat rozchodzić się będą na korzyść Polski. Do realizacji swego pomysłu przystąpić mógł z wielu względów dopiero z końcem r. 1870. W tym czasie właśnie wydzierżawił od gminy rapperswilskiej stare zamczysko, należące ongi do Habsburgów. Olbrzymie koszta restauracji pokrył prawie w całości z własnych funduszków; w odnowionych salach umieścił bogate swe zbiory i zaczął skupywać i zbierać, gdzie tylko się dało, wszelkie pamiątki polskie. Jednocześnie starał się i zabiegał o to, by ogół polski nie tylko pośpieszył z pieniężnymi datkami, lecz by także nadsyłał i składał w nowostworzonym Muzeum wszystko, co mieć mogło dla niego wartość. W liście swym do Piotra Umińskiego, ówczesnego sekretarza Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie, pisał Plater: »Wiadomo Panu zapewne, że dotąd prawie wyłącznie *własnym kosztem* zrestaurowałem zamek, w którym się Muzeum znajduje

i zaludniłem go z pomocą niektórych ziomków pamiątkami narodowemi. Fundacja ta kosztuje 100.000 franków z utrzymaniem konserwatora, strażnika, kosztami restauracji zamku, opłatami stałemi i niestałemi i t. p. Awansuję ten ogromny kapitał w przekonaniu, że zrobiwszy dar Polsce z tej instytucji, ona się gorliwie przyczyni do kosztów. W każdym razie jest to wieczna fundacja, która stanie się coraz bardziej świetną. Wspólnie działając zniknie ten olbrzymi ciężar, który ciąży swem brzemieniem obecnie na jednostce. Europa nie zwiedza ani w Krakowie, ani we Lwowie naszych muzeów, w Szwajcarii, przeciwnie, tysiące osób tej wielkiej fotografii narodu naszego przypatrywać się będą¹⁾).

Gorliwych propagatorów i rzeczników stworzonego przez siebie Muzeum znalazł Plater w osobach J. I. Kraszewskiego, Stefana Buszczyńskiego, znanego ze swej walki z historykami szkoły krakowskiej, niestrudzonego obrońcy »spotwarzanego narodu«, — Władysława Tarnowskiego i Agatona Gillera, niezrównanego mistrza spisku z r. 1863. Dzięki staraniom i zabiegom tych osób zbiory rapperswilskie rosły z dnia na dzień; — po dziesięciu latach Muzeum poszczycić się już mogło dorobkiem wcale pokaźnym, imponującym nawet obcokrajowcom.

¹⁾ Porównaj: Justyn Sokulski — „Początki Muzeum Narodowego w Rapperswilu.”

Jedną z najbardziej w danym wypadku zasłużonych osób był Henryk Bukowski, emigrant, którego losy zagnały aż do Stockholmu. W jednej z prac, poświęconych powstaniu Muzeum rapperswilskiego, czytamy o nim: »Miał on jedno wielkie zadanie: wykupywanie pamiątek polskich w Szwecji i obdarzanie nimi Muzeum Rapperswilskiego. Przedmioty, zakupione przez Bukowskiego w Szwecji, same przez się utworzyłyby niezgorsze muzeum, a wartość ich przechodzi w miliony franków. Pyszny i bardzo liczny zbiór rzadkich rycin sztycharza gdańskiego, Jeremjasza Falcka, zawdzięcza Rapperswill tylko Bukowskiemu.«¹⁾

W czasach pobytu tam Żeromskiego, Bukowski był wiceprezesem zarządu Muzeum. Prezesem był Gałęzowski, znany emigrant paryski, przebywający stale we Francji. Siedziba zarządu mieściła się w Paryżu. Pełnomocnikiem Gałęzowskiego, rzecby można — jego ambasadorem w Rapperswilu był Rużycki de Rosenwerth, stary dziwak, człowiek niewykształcony, odpowiadający swemi kwalifikacjami — według opinii Z. Wasilewskiego — za ledwie poziomowi dozorczy zbiorów. »Stał on — pisze o nim Wasilewski — na gruncie uczuciowo—dewocjonalnym stróża pamiątek, które należało otaczać

¹⁾ Porównaj: Justyn Sokulski, *Początki Muzeum Narodowego w Rapperswilu*.

legendą choćby fałszywą i pomnażać w drodze fałszowania. Niezrozumiały mu był zupełnie cel porządkowania i katalogowania księgozbioru«. Żeromskiego i Wasilewskiego, traktujących swą pracę bardzo poważnie, uważał za szkodliwych intruzów, a o robocie ich wyrażał się z pogardą i uważał ją za nieużyteczną zupełnie. W długich i częstych swych listach do Paryża przedstawiał sprawę po swojemu, a że przytem nie cofał się nawet przed intrygami i plotkami, w krótkim stosunkowo czasie źle względem tych dwojga młodych ludzi usposobił całą grupę paryską. Przyszło mu to tem łatwiej, że emigranci paryscy przeświadczeni byli, iż całą sumę patriotyzmu wywieźli z sobą z kraju. »Kto był patriotą, ten wyemigrował, a potem stan w kraju tylko się pogorszył wskutek rusyfikacji, młodzież zaś, według ich pojęcia,—była wroga tradycjom i kosmopolityczna«. ¹⁾ Tak też traktowali Żeromskiego i Wasilewskiego. Młodzi ludzie w walce z Rużyckim szukali pomocy i oparcia w Stockholmie. Bukowski, twórca słynnego Nordiska Museet w Stockholmie tudzież autor obszernej biblijografji dzieł szwedzkiej sztuki, podzielał najzupełniej ich zdanie i starał się interwenjować listownie u Gałęzowskiego. Niestety, interwencja ta z wielu względów pożądanego skutku

¹⁾ Por.: Z. Wasilewski, „Wspomnienia o J. Kasprowiczu i S. Żeromskim“

nie odniosła. Rużycki triumfował. »Kosztowało mnie — pisze Wasilewski — wielkiego wysiłku sztuki dyplomatycznej, żeby stosunek z Rużyckim jako tako był znośny«. Ale Wasilewski, powołany do kraju, opuścił Rapperswil. Żeromski zaś, objąwszy po nim stanowisko bibliotekarza, w krótkim czasie doprowadził do ostrego konfliktu: nie znał się na sztuce dyplomatycznej i jak się wyraża Wasilewski — traktował wszystko wyłącznie uczuciowo i towarzysko był surowy. Epilog tego konfliktu jest już nam znany: autor »Siłaczki« na znak protestu swego klucze od zbiorów odesłał do Stockholmu na ręce Bukowskiego, sam zaś w czerwcu r. 1896 wyjechał nagle z Rapperswilu do kraju.

Ten protest i nagły wyjazd znalazł po kilku latach artystyczny swój wyraz na kartach »Ludzi Bezdomnych«. Według dr. Kłyszewskiego, dr. Węglichowski, a nadewszystko administrator Cisów Jan Bogusław Krzywosąd Chobrzański, to ci, z którymi zaciętą i nieubłaganą walkę stoczył Judym — Żeromski w Rapperswilu — wspomagany i popierany przez starego Lesa, — »marzyciela i ascetę« Henryka Bukowskiego. Pełna »szewskiej pasji« scena porzucenia zakładu kuracyjnego w Cisach przez dr. Judyma jest echem i dalekim odgłosem tych kluczów

rapperswilskich, odesłanych przez bibliotekarza Żeromskiego do Stockholmu.¹⁾

W czasie czteroletniego pobytu w Szwajcarii pisał nie wiele. Poza wspomnianem już opowiadaniem »O żołnierzu — tułaczu« stworzył zaledwie kilka drobnych rzeczy (»Legenda o bracie leśnym« — »Na pokładzie«). Tu również wykończył i wypolerował ostatecznie kilka nowel, naszkicowanych jeszcze w kraju, które wzbogaciły i uzupełniły pierwszy tom »Opowiadań« i t. zw. »cykl nielegalny« p. t. »Rozdzióbią nas kruki, wrony«. W Rapperswilu również przygotował do druku »Syzyfowe Prace«. Do tego dodać należy szczegółowy plan »Popiołów« i »Iskierz« — oto wszystko. Jak na cztery lata czasu -- to niezbyt wiele. Słusznie też czasy rapperswilskie nazywano raczej okresem przygotowań, niż epoką realizacji pomysłów²⁾.

¹⁾ Por.: Dr. Władysław Kłyszewski: *S. Żeromski w Rapperswilu*. Tygodnik Ilustrowany Nr. 49/1925

²⁾ We wspomnieniach Z. Wasilewskiego czytamy m. in.: „W chwilach wolnych Żeromski, zwłaszcza gdy z powodu choroby w dni chłodne w domu przesiadywał, lubił oddawać się malarstwu. Nie znał rysunku. Być może pobyt w Krakowie u Benedyktowicza do próg go zachęcił. Widząc jego zapędy akwarelowe, przywiozłem mu z Zurychu farby olejne i stalugi malarskie. Wywdzięczając się za prezent, parę obrazów mi ofiarował. Cenię sobie bardzo pamiątkę po nim w postaci krajobrazu, przedstawiającego Łysicę, ową najwyższą górę w pasmie gór Świętokrzyskich, o których zawsze marzył, nawet wtedy, gdy miał koło siebie piękniejsze góry szwajcarskie. Widok Łysicy zawsze miał w oczach“.

A dr. Mieczysław Biernacki w broszurze swej o ideologii pisarza — powiada: „Pamiętam go siedzącego

Pierwsze książki Żeromskiego ukazały się na półkach księgarskich w r. 1895. Były to »Opowiadania«, wydane przez Paprockiego w Warszawie i t. zw. cykl nielegalny — »Rozdzióbią nas kruki, wrony«, wydany ze względu na cenzurę rosyjską w Krakowie i pod pseudonimem Maurycego Zycha. Warto też nadmienić, że honorarium autorskie za pierwszą z tych książek wynosiło... 75 rubli, za drugą zaś, znacznie obszerniejszą, jeszcze mniej, bo zaledwie 75 koron.

O wrażeniu, jakie zrobiły w kraju dwie te pierwsze książki Żeromskiego, świadczy najlepiej list Bolesława Prusa do pani Żeromskiej. Oto wyjątek: »Piszę ten list, mając pełne uszy frazesów: »Czytałeś pan Żeromskiego? Czytałeś Zycha? Czytałeś — »Żołnierza — tułacza«? Śpieszę przeto donieść Pani Oktawji, że Jej nadzieje, które wypowiadała mi ongi w Łazienkowskim parku — spełniły się. Pan Stefan jest sławny, sławny na całą Warszawę i gdyby tu był — nie obeszłoby się bez »obiadów z Żeromskim«. ¹⁾

przy wielkim stole, patrzącego w dal poprzez potrójne olbrzymie okno, zajmujące całą jedną ścianę chaty — na ogród i daleką dolinę Bystrej — wśród ścian, zajętych przez obrazy, fotografie i sztych, między którymi krył się skromnie jeden jedyny, przez niego samego skomponowany i namalowany pejzaż«. O zamilowaniu pisarza do malarstwa mówi również w swych wspomnieniach p. E. L. Migasiński.

¹⁾ Cytuję według St. Piolun Noyszewskiego — »Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość«, str. 335.

Radość z odniesionych sukcesów zmaćił i stłumił, niestety, — nowy cios życiowy — syn pisarza, Stefanek, urodzony w Rapperswilu, zmarł w tym czasie, przeżywszy zaledwie parę miesięcy.

* * *

Ze Szwajcarii przybył Żeromski do Nałęczowa i spędził tu kilka tygodni. We wrześniu udał się wraz z żoną do Kielc. Zagnała go tam nie tylko naturalna i zrozumiała tęsknota za stronami, w których spędził dzieciństwo swe i najwcześniejszą młodość, — oddawna bowiem nosił się z myślą pracy społecznej, nie gdzie-indziej, lecz właśnie tu — w starych, cichych, tak drogich i bliskich sercu Kielcach. Przez długi szereg lat pieścił w duszy słodkie marzenie o tem, jak wróci na podnóże gór świętego Krzyża, jak porwie w młode dłonie młot i kuć nim będzie od świtu do zmroku. Jechał z gotowym, szczegółowo obmyślonym planem działalności. Miał zamiar założyć gazetę, która — według własnych jego słów — z jednej strony byłaby organem Kielc i całej kieleckiej gubernji, z drugiej zaś — w stosunku do piśmiennictwa krajowego — odgrywałaby rolę informatora »o bycie, stanie, losach, pracach i mocy produkcyjnej« świętokrzyskiego zakątka. Miał traktować »o kwestjach najżywotniejszych,

o kromce chleba czarnego i szczypcie soli, proponować wytwórczość rozmaitych rzeczy«, dla których rynek zbytu miał poprzednio, specjalnie dla Kielc gdzieś wynaleźć i wiarogodnie opisać. Jedną z głównych rubryk tej gazety stanowić miało »wyjaśnienie zjawisk ekonomicznych, — w sposób umiejętny« i podnoszenie z naciskiem tych, które byt ekonomiczny Kielc i całego zakątka świętokrzyskiego dźwignąć niewątpliwie mogły¹⁾. Taki był plan, a zarazem i zakres działalności. Niestety, i te marzenia również rozbiły się o niewzruszony mur twardej rzeczywistości — nie zdziałał nic. Po kilku tygodniach bezskutecznych prób, zabiegów i starań, opuścił Kielce. Wyjeżdżał, bogatszy o jeszcze jedno doświadczenie życiowe.

Wycieczka do Kielc nie przebrzmiała bez echa. Przeżycia kieleckie znalazły wyraz artystyczny na kartkach »Promienia«. Występujący w tej powieści Jan Raduski jest dokładnym portretem samego Żeromskiego. Doświadczenia jego, spotkania i rozmowy — są jedynie echem i odgłosem przeżyć własnych autora. Stosunki kieleckie odmalowane zostały w tej powieści bardzo wiernie. Nawet tragiczna postać dr. Poziemskiego, umierającego wskutek zarażenia się nosacizną — wzięta jest z życia kieleckiego.

¹⁾ Porównaj: Stefana Żeromskiego „Promień“. — wydanie z r. 1928 str. 77-78.

Żywym prototypem w danym wypadku był dr. Remigjusz Laskowski, osobistość w Kielcach niezwykle popularna, ceniona i szanowana za ofiarną, samarytańską pracę, za bezinteresowną pomoc, udzielaną najbiedniejszym, najbardziej nieszczęśliwym. Naturalnie — »Promienia«, tak samo, jak i »Syzyfowych Prac«, nie można uważać za pamiętnik, za utwór autobiograficzny w dosłownem znaczeniu. I w tym wypadku również pewne osoby i pewne zdarzenia przystosowane zostały do zamierzeń artystycznych, a przez to ulec musiały mniej lub bardziej silnej modyfikacji.

Z Kielc udał się Żeromski na dwumiesięczny pobyt do Tworek pod Warszawą, gdzie szwagier jego, dr. Rafał Radziwiłłowicz, zatrudniony był w charakterze lekarza w tamtejszym szpitalu dla umysłowo-chorych. Przykre wrażenia, doznane przy zwiedzaniu tego zakładu, znalazły swój wyraz artystyczny w napisanej tu, — krótkiej, a tchnącej niezmiernie gorzkim pesymizmem noweli „*Tabu*“. Tu równinż powstał plan „*Promienia*“. Nad powieścią tą pracował pisarz aż do końca lata r. 1897, — częściowo w Warszawie, częściowo zaś w Nałęczowie, gdzie udać się musiał ze względu na opłakany stan nie tylko zdrowia, ale i kieszeni: żona jego objęła ponownie na sezon letni stanowisko w administracji uzdrowiska nałęczowskiego.

Widzimy więc, że mimo wzrastającego powodzenia i dość głośnej już sławy, warunki materialne nie ulegały zmianie, — nędza dokuczała, jak dawniej. Ogłaszane tu i ówdzie utwory dawały zyski tak znikome, że nie można było pokryć niemi palących swą koniecznością potrzeb życiowych nawet w setnej części. To też od chwili powrotu z Rapperswilu rozglądał się pisarz za posadą, która uwolniłaby go od trosk i kłopotów pieniężnych. Starał się zwłaszcza i zabiegał o stanowisko młodszego bibliotekarza w bibliotece Zamoyskich w Warszawie. Sprawa ta stała dla niego jak najlepiej, albowiem kierownikiem tego zakładu był Tadeusz Korzon, z którym zapoznał się, a nawet i zaprzyjaźnił jeszcze za czasów pobytu w Szwajcarii. Ze względu jednak na pewne formalności nie mógł stanowiska tego narazie objąć. Musiał czekać dość długo. Ostatecznie kwestja została rozstrzygnięta dopiero jesienią r. 1897.

Przybywszy w tym czasie do Warszawy, oddał Żeromski swój „*Promień*“ do druku w odcinku feljetonowym jednego z tygodników i wrócił do pracy nad trylogją historyczną, przerwanej wskutek wyjazdu z Rapperswilu. Pracował równocześnie nad »Popiołami« i nad dalszym ich ciągiem »Iskrami«. W ciągu roku 1898 zasiał drobnym swym maczkiem kilkaset stron rękopisu. Jednocześnie uzupełniał braki w po-

trzebnym mu materiale historycznym, — grzebał się w starych, pożółkłych aktach, czasopismach i pamiętnikach, szukając oparcia w postaci materiału źródłowego nie tylko dla opisywanych spraw wielkiej wagi, lecz także i dla drobnych szczegółów anegdotycznych, wplecionych w akcję powieściową w celu jej urozmaicenia i ożywienia. Wobec takiej sumienności i skrupulatności praca nad trylogią przeciągała się niezmiernie i liczoną być musiała na długi szereg miesięcy.

Tymczasem życie upominało się brutalnie o swe prawa. Z każdego kąta wyzierały tysiące potrzeb, a mizerna pensyjka młodszego bibliotekarza starczała zaledwie na skromne nad wyraz utrzymanie. Wydane w tym czasie dwie następne książki ustaliły sławę jego, jako pisarza, pod względem materialnym jednak przyniosły mu niewiele. Za »Utwory powieściowe«, w skład których wszedł także i »Promień«, wydane w Warszawie u Gebethnera i Wolffa otrzymał zaledwie 100 rubli. Za wydane w tymże czasie we Lwowie przez Domagalskiego »Syzyfowe Prace«, wskutek trudności finansowych, w jakich znalazł się wydawca, nie otrzymał żadnego honorarjum. Jak widzimy więc, sukcesy, odniesione na niwie literackiej, nie pociągnęły za sobą zmian w opłakanej sytuacji materialnej. W czasopismach ówczesnych aż roiło się od pochlebnych i entuzjastycznych recenzyj, w ci-

chem zaś mieszkanku przy ulicy Żabiej nędza, jak dawniej, szczyrzyła swe zęby; jak dawniej, za »dobrych« rapperswilskich czasów, kwestja najdrobniejszych wydatków, nie związanych z wyżywieniem, urastała do rozmiarów problemu, niezwykle trudnego do rozwiązania. Troski i kłopoty pieniężne przybijały pisarza, wyczerpywały go nerwowo i, naturalnie, utrudniały niezwykle pracę nad trylogją historyczną.

Z tych właśnie względów — po długich wahaniach — postanowił Żeromski odłożyć na bok rękopisy »Popiołów« i »Iskier«. Oddawna już nosił się z zamiarem napisania większej powieści współczesnej. Utwór taki nie wymagał od niego specjalnych studjów — motywy doń zaczerpnąć miał z przeżyć i myśli własnych. Na tej właśnie podstawie sądził, że uda mu się napisać go w ciągu kilku miesięcy. Jednocześnie przypuszczał, że honorarjum, jakie za tę powieść otrzyma, będzie — ze względu na jej rozmiary — znacznie większe od dotychczasowych, że pozwoli mu załatać wszystkie dziury, uwolni go przynajmniej na jakiś czas od trosk i kłopotów pieniężnych, a przez to da mu możność spokojnej i skupionej pracy nad trylogją historyczną.

Powieści tej nadał tytuł »Ludzie Bezdomni«. Pierwsze jej słowa rzucił na papier wiosną roku 1899. Ostatni jej rozdział — »Rozdartą sosnę« — napisał w sierpniu tegoż roku. Jak

Widzimy, nie pomylił się w swych obliczeniach co do czasu. A wysokość otrzymanego honorarjum przerosła najśmielsze jego marzenia. Wydawca, Bronisław Natanson, za pierwsze wydanie tej powieści zapłacił tysiąc rubli — czyli — jak na dzisiejsze stosunki — około 6 — 7 tysięcy złotych. Co więcej — pierwszy nakład rozszedł się w ciągu dwóch miesięcy. W grudniu tegoż roku ukazało się drugie wydanie, za które zapłacono autorowi również tysiąc rubli.¹⁾

¹⁾ Bardzo ciekawe szczegóły, dotyczące dwu pierwszych wydań tej powieści, znaleźć można w liście, jaki p. Marja Reutt wysłała do redakcji jednego z dzienników warszawskich. Czytamy tam m. in.: „Znając dobrze pp. Żeromskich, prosiłam wielkiego pisarza, by jeśli kiedy jaką powieść będzie miał do zbycia, żeby o mnie pamiętał. (P. Marja Reutt stała w owych czasach na czele firmy G. Sennewald, — przyp. autora). W parę miesięcy potem powiadomiła mnie p. Oktawja, że mogę nabyć drugie wydanie „Ludzi Bezdomych“. Autor był ciężko chory, życiu jego groziło poważne niebezpieczeństwo. Zrobiliśmy naradę w księgarni, ile można ofiarować za tę powieść bez straty dla nabywcy i sprzedającego. Zostałam upoważnioną do zaofiarowania za 2000 egz. 750 rubli. Z tem udałam się do p. Oktawji i obawiając się, iż kwota ta może ją obrazić, zapytałam o warunki. Z pewnym niepokojem powiedziała: — 150 rubli.

Drgnęłam z przerażenia. Jakże wielcy ludzie nisko oceniają sami swe arcydzieła. „Jestem upoważnioną ofiarować pani znacznie więcej“, — rzekłam. „Co, zawołała, dalibyście trzysta rubli?“ A gdym jej wymówiła cyfrę, którą dać mogę, rozplakała się, mówiąc, że to może wróci zdrowie jej ukochanemu Stefanowi, bo będzie można wysłać go do Zakopanego. Ułożyliśmy się, że o ile nie znajdzie się inny wydawca, któryby dał więcej ponad 750 rubli, to książkę nabędzie firma G. Sennewald. Nazajutrz p. Fiszler ofiarował 300 rb. Odrzucono naturalnie tę ofertę, a w parę dni potem

Uradowany nie tyle tem — jak się sam wyrażał — »niewiarogodnem« i »oszałamiającem« honorarjum, ile powodzeniem, z jakim spotkała się powieść, nad którą pracował za ledwie parę miesięcy, z tem większą satysfakcją i entuzjazmem siada do przerwanej pracy nad trylogją historyczną. Pisze jednocześnie »Popioły« i »Iskry«. Tworzy gorączkowo. Rzuca na papier scenę za sceną, rozdział za rozdziałem. Z radością spogląda na rękopisy, rosnące z dnia na dzień. Cieszy się na myśl, że oto zbliża się chwila, w której kartki, zasiane drobnym maczkiem, powędrują do wydawcy, przekształcą się tam na kolumny drukarskie,—później —przeistoczą się w tysiące książek i jak ptaki, rozlecą się po całej Polsce...

I nagle... W ostatnich dniach grudnia r. 1899, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, do mieszkania jego wkroczyła żandarmerja rosyjska. Czyjeś usłużne usta doniosły jej, że sławny polski pisarz utrzymuje bliższe stosunki z ludźmi, politycznie podejrzanymi, że w skromnem i cichem jego mieszkanku przy ulicy Żabiej znajdują przytułek i schronienie »niebezpieczni wrogowie narodu i cesarstwa rosyjskiego« — poszukiwani i tropieni przez żandarmów i po-

powieść nabyła firma pp. Gebethnera i Wolffa za cenę tysiąca rubli“.

Por.: Gazeta Warszawska Nr. 265 z dnia 15 września 1929 r.

licjantów — Józef Piłsudski i jego najbliżsi, najwierniejsi pomocnicy i towarzysze — Stanisław Wojciechowski i Aleksander Sulikiewicz. Przeprowadzona szczegółowo rewizja nie dała żandarmom »dowodów kompromitujących«. Dzięki temu uniknął pisarz powtórnej wędrowki na cytadelę. Nie opuścili jednak mieszkania z próżnemi rękoma. Odchodząc, zabrali będące już na ukończeniu rękopisy »Popiołów« i »Iskier«.

Dla pisarza był to cios okropny. Rozpacz jego nie miała granic. Przykuty do łóżka wskutek stałe powtarzających się krwotoków płucnych, uległ decesji tem głębszej. Miejsce zapału i entuzjazmu, z jakim przez wiele miesięcy pracował nad trylogją, zajęło przygnębienie, zniechęcenie, przeświadczenie o bezskuteczności wielkiego wysiłku twórczego.

Nie upadła jednak na duchu żona. Uzy-skawszy dostęp do szefa żandarmów warszawskich, tak długo perswadowała, tak długo prosiła i błagała, aż swej okrutnej decyzji nie zmienił: zgodził się na wydanie znacznej części rękopisu »Popiołów«, — kilkanaście rozdziałów zakwestjonował i zatrzymał u siebie, twierdząc, że przesiąknięte są zbyt gorącym patriotyzmem. Wydania rękopisu »Iskier« stanowczo odmówił, uzasadniając swą decyzję twierdzeniem, że treść ich, osnuta na tle wojny polsko-rosyjskiej z r. 1830/31, działać musi podniecająco na umysł

i wyobraźnię czytelnika, budzić w nim szeregi wzruszeń i refleksyj, a przez to szkodzić może rządowi rosyjskiemu nad prastarą i odwiecznie polską Wisłą¹⁾).

Odzyskawszy cudem znaczną część rękopisu »Popiołów«, siada Żeromski do ponownej nad nimi pracy. W pierwszym rzędzie usuwa szczyrby, poczynione przez żandarmów warszawskich. Następnie rzuca na papier nowe, niewypowiedziane jeszcze, myśli i nowe obrazy. Tworzy gorączkowo, z pośpiechem, w ciągłej obawie przed ponowną, zupełnie możliwą rewizją. W czerwcu r. 1901 dwa pierwsze tomy były już całkowicie przygotowane do druku. Do zakończenia tomu trzeciego brakowało zaledwie kilku rozdziałów.

Nie miały jednak »Popioły« szczęścia. W lecie r. 1901 wyjechał Żeromski na kilkutygodniowy odpoczynek do Nałęczowa i tu z nieznanych powodów naraził się znowu żandarmom. Następuje ponowna rewizja i ponowna konfiskata rękopisu. Tym razem powędrowały »Popioły« do Lublina. A szef lubelskiej żandar-

¹⁾ Rękopis „Iskier” przypadł w archiwum żandarmerji warszawskiej. Z myślą o ponownego opracowania tego tematu nosił się Żeromski bardzo długo. W r. 1911 wyjechał na wyspę Jersey w Anglii, gdzie przez dłuższy czas badał życie i działalność Stanisława Worcella — jednej z czołowych postaci tej powieści. Wkrótce jednak pochłonięty go inne pomysły i zapadnienia. „Iskier” nie napisał.

merji okazał się jeszcze bardziej drapieżny -- zakwestjonował i zatrzymał u siebie dobrą połowę rękopisu. W archiwum lubelskiej ochrony ugrzęzły rozdziały najpiękniejsze, wymagające największego wysiłku, kosztujące najwięcej pracy, zdrowia i nerwów.

Jesienią r. 1901 siada Żeromski do »Popiołów« po raz trzeci. Śpieszy się... Bo i któż zapewni, że ciszy, panującej w jego skromnym mieszkanku, nie przerwie ponownie brzęk żandarmskich szabel i ostróg? Wiosną r. 1902 z uczuciem błogiej radości i ulgi niewysłowionej rzucił na papier ostatnie słowa trzeciego tomu: »Przez chwilę coś zamigotało w twardych źrenicach cesarskich, jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chmurze. Wspomnienie stało się jasnym widzeniem rzeczywistości. Przelotny, półsmutny uśmiech spłynął po granitowym obliczu«...

Oddawszy »Popioły« do druku wiosną r. 1902 odbył pisarz w towarzystwie szwagra swego dr. Radziwiłłowicza większą podróż do Włoch i Paryża¹⁾. Po powrocie do Warszawy pracował w dalszym ciągu w bibliotece Zamoyских. Tworzył w tym czasie niewiele — w r. 1903 napisał krótką, ale za to pełną głębo- kich myśli legendę p. t. »Aryman mści się«.

¹⁾ Listy z tej podróży ogłoszone zostały w „Myśli narodowej“ Nr. 17, 1927.

Wiosną roku 1904 opuścił pisarz zajmowane przez siebie stanowisko w bibliotece Zamoyskich. Opłakany stan zdrowia nie pozwalał na dalszą pracę na tej placówce. Z drugiej zaś strony, honorarium, otrzymane za »Popioły«, pozwoliło już żyć bez męczącej troski o dzień jutrzejszy. Z Warszawy udał się na dłuższą kurację do Zakopanego.

* * *

Były to w Polsce czasy niezwykle gorące. Opustoszałe po powstaniu styczniowym podziemia warszawskie zaludniły się nowymi ludźmi, przeciwstawiającymi strupieszalej bierności i niemocy pokolenia popowstańczego żywą i rzeźką siłę. Odzywały się coraz częściej śmiałe hasła, będące całkowitem zaprzeczeniem zasad pozytywizmu. — »Przedewszystkiem wolna i niepodległa Polska, później dopiero wszelkie kwestje kulturalne, gospodarcze i socjalne«.

Stworzona w r. 1892 Polska Partja Socjalistyczna w ciągu pierwszych dziesięciu lat swego istnienia rozrosła się w potężne stronnictwo polityczne. Dzięki naczelnym swoim hasłom — walki zbrojnej o niepodległość i sprawiedliwości społecznej, — skupiła w swych szeregach nie tylko żywioł robotniczy, lecz także i wszystkich tych, którzy nie mogli pogodzić się z istniejącym w Polsce stanem rzeczy

i marzyli o zrzuceniu nienawistnego jarzma niewoli.

Wodzem ówczesnym polskiego socjalizmu był dzisiejszy marszałek Józef Piłsudski. W wydawanym przez siebie tajnem pisemku — »Robotnik«, tudzież w długim szeregu broszur, wykładów i odczytów, twierdził, że tylko walka zbrojna z Rosją może uratować Polskę przed ostatecznem pognębeniem i zagładą, — walczył z bezruchem moralnym społeczeństwa, rozprasał lęk przed pozorną potęgą zaborcy, mówił o nieuniknionej konieczności wielkich, krwawych ofiar. — »Tylko w pogardzie śmierci — nadzieja wyzwolenia¹⁾).

Wysunięta przez niego idea walki zbrojnej o niepodległość znajduje coraz więcej zwolenników. Pod sztandarami polskiego socjalizmu skupiają się młodzi, odważni, najlepsi, najszlachetniejsi, najbardziej ofiarni synowie Ojczyzny. Skupiają się, marzą o walce, jak o szczęściu najwyższem, czekają niecierpliwie na chwilę stosowną²⁾...

¹⁾ Interesujących się bliżej tą kwestją odsyłam do książki mej p. t. »Symbol bohaterstwa — Rzecz o marszałku Piłsudskim«. Złoczów, 1928 i 1929.

²⁾ Dr. Wacław Lipiński w szkicu swym p. t. »Przygotowania przedwojenne« pisze: »Dochodzić poczyna do głosu nowe, młode pokolenie, pokolenie, które klęsk powstania 1863 r. własnymi oczyma nie widziało, które patrząc na straszliwe rezultaty, jakie wydawać poczynało pogodzenie się z losem i z zaborcami — postanowiło wbrew wszystkiemu i wszystkim rozpocząć od początku, rozpocząć jeszcze raz o narodu polskiego niepodległość zbrojną z zaborcami walkę«.

Przyszedł rok 1904 i przyniósł światu wojnę rosyjsko-japońską. W związku z nią rząd carski ogłosił »ukaz« o mobilizacji kilku dodatkowych roczników. Wchodzące w skład cesarstwa rosyjskiego »Królestwo Kongresowe« i Litwa dostarczyć miały żeru dla armat japońskich. Inteligent, chłop i robotnik polski wywieziony miał być do dalekiej Mongolji, pod Lao-janem i Mukdenem krwawić się miał i umierać za obcą i nawet wrogą sprawę.

Czyż nie lepiej przelać tę krew w walce o wolność Polski?

Moment ten uznał Piłsudski za najwłaściwszy do wystąpienia. Rzucił więc hasło powstania zbrojnego na tyłach armji rosyjskiej. Postanowił w pierwszym rzędzie nie dopuścić do mobilizacji. Poczynił wszelkie przygotowania, zrobił pierwsze kroki. W dniu 13 listopada zorganizował wielką manifestację uliczną, w Warszawie na placu Grzybowskim, w czasie której padły strzały do żołnierzy rosyjskich i padły trupy tak po polskiej, jak i po moskiewskiej stronie. Była to więc pierwsza, po powstaniu styczniowym, otwarta walka z Moskalami.

Niestety, poczynania te nie znalazły silniejszego oddźwięku w społeczeństwie. Pod sztandarami socjalizmu skupiła się nieliczna — jak na dwudziestomiljonowy naród — garstka najszlachetniejszych i najbardziej poświęconych. Ogół

polski odniósł się do nich obojętnie, a w wielu wypadkach nie ukrywał nawet swej niechęci i nienawiści do nich. Chłop, drobny rolnik, obarczony liczną rodziną i siedzący na kilku morgach lichego gruntu, pochłonięty był całkowicie życiową walką o byt; troszczył się jedynie o »kromkę chleba i szczyptę soli«, — zagadnienia narodowe nie interesowały go zupełnie; nieświadomiony, ciemny, w olbrzymiej większości — analfabeta, nie rozumiał i nie zastanawiał się nawet nad korzyściami, jakie przynieśćby mu mogło zwycięstwo socjalizmu. Szlachta zaś i mieszczaństwo przeżarte były ideami pozytywistycznymi. Nie mając wiary w siły własne, wierzyli jedynie w klęskę. Walka zbrojna z moskalem uchodziła w ich oczach za nonsens i szaleństwo. Słusznie też pisze jeden z historyków, że kto hasła tej walki starał się głosić, pomawiany był jeśli nie o prowokatorskie zamiary, to w najlepszym razie o szkodliwe, godne potępienia marzycielstwo, o szaleństwo, które znów Polskę zalać ma potokami krwi, które zniweczywszy dotychczasowy dorobek organizacyjnej pracy, — narazi kraj na ostateczne już pogrążenie i ostateczny narodu upadek«. — W dodatku — odegrał tu wybitną rolę i czynnik polityczny. Socjalizm bowiem, wysuwając hasło walki zbrojnej z Rosją, mówił jednocześnie o swem dążeniu do sprawiedliwości społecznej.

Ostrze jego broni skierowane były nie tylko przeciw caratowi, lecz także i przeciw polskim warstwom posiadającym. Szlachta i mieszczaństwo, — właściciele majątków ziemskich, fabryk i kamienic, widziały w ruchu socjalistycznym groźne dla siebie niebezpieczeństwo. I w konsekwencji, na rzucone przez Piłsudskiego hasło i wezwanie do wyzwolenia się z jarzma niewoli, odpowiedziały wrzaskiem i dzwonieniem na alarm:— wyklinano go po gazetach i kościołach, podejrzywano i oskarżano o najohydniejsze przestępstwa i zbrodnie, nazywano szalonym, zbrodniczym osobnikiem, splamionym eksproprijacyjnemi mordami i wytwarzaniem bandytyzmu, aby tylko »zdyskredytować« go w oczach tych, którzy mogli jeszcze wydatnie zasilić szeregi bojowców.

Nie zraził się jednak, nie zniechęcił, nie opuścił rąk dzisiejszy Marszałek. Zdając sobie sprawę ze znaczenia, jakie mieć może dla nas moralna i materialna pomoc wielkiego mocarstwa, wykorzystuje zatarg zbrojny rosyjsko-japoński i przez Amerykę udaje się do dalekiej Japonji. Rządowi tokijskiemu przedstawia szczegółowo opracowany plan powstania polskiego; zwraca uwagę, że z chwilą wybuchu wojny nad Wisłą, rząd rosyjski zmuszony zostanie do podziału swej armji na dwa fronty. Wzamian za to żąda broni i poparcia polskich dążeń niepodległościowych.

Japończycy plan ten szczegółowo zbadali i byli-
by niewątpliwie zaakceptowali go w całej
rozciągłości, gdyby nie interwencja polskiej
szlachty i polskiego mieszczaństwa, które do-
wiedziawszy się o wyjeździe Piłsudskiego do
Tokio wysłały tamże swoich mężów zaufania
z Romanem Dmowskim na czele. Ci dotarli do
władz japońskich i nie omieszkali przekonać,
że naród polski do walki nie jest zdolny, że
powstania nie robi. Japończycy, naturalnie, od-
mówili Piłsudskiemu swej pomocy¹⁾.

W r. 1905 wrócił Piłsudski do kraju. Nie-
zrażony niepowodzeniami, jakie spotkały go
w ostatnim czasie, idzie — z litewskim iście
uporem — dalej tą samą drogą. Wierzy nie-
zachwianie, że pierwsze choćby i drobne zwy-
cięstwo nad moskalami przekona rodaków o naszej
sile i tężyznie, że spowoduje w psychice na-
rodowej głębokie, daleko sięgające zmiany.
Wiedział i wierzył, że szlachetni i ofiarni jego
socjaliści, walcząc z najazdem rosyjskim, sztur-
mować jednocześnie będą do zawartych bram

¹⁾ Roman Dmowski pisze w tej sprawie w dziele
swem p. t. „Polityka polska i odbudowanie państwa“:
„Była obawa, żeby rządowi japońskiego, wchodzącemu
pewnym krokiem w sterę wielkiej polityki światowej,
ale nie stojącemu blisko miejscowych spraw europej-
skich, ktoś z Europy nie poszepnął planu wyzyskania
Polaków do zrobienia Rosji dywersji na Zachodzie.
Trzeba go poinformować o istotnym położeniu Polski,
wskazać mu, że próby w tym kierunku Polskę bardzoby
drogo kosztowały, a Japonji nicby nie przyniosły“.

duszy polskiej, wedrą się do jej wnętrza, dotrą do najczystszych źródeł i odwaliwszy kamienie zapomnienia, wydobędą z pod nich uczucia nikle, zatarte, zapomniane i pozwolą rozwinąć się im w kwiaty szlachetnego entuzjazmu. Wierzył, że naród pod wpływem wieści o staczanych przez niego walkach, zbudzi się ze snu i porwie za broń..

Ogłasza więc płomienistą odezwę, wzywa do walki o niepodległość. Tworzy *organizację bojową* i staje na jej czele. Małe jej grupki, złożone z kilku lub kilkunastu bojowników, wysyła w różne części b. Królestwa i Litwy.

Rozpoczynają się napady na urzędy, na posterunki żandarmerji, policji, wojska. Powtarzają się coraz częściej zamachy na wyższych urzędników rosyjskich. Jednocześnie w większych miastach i ośrodkach robotniczych odbywają się manifestacje uliczne, które—jak się to ktoś trafnie wyraził — dawały tym drobnym i nadludzkim walkom pozory groźnej woli narodu polskiego. Zteroryzowane władze rosyjskie nie mogły zdać sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy. Drobne oddziały, walczące w różnych połaciach kraju, w oczach wystraszonych urzędników rosyjskich urastały do rozmiarów wielkich, dobrze uzbrojonych i doskonale wyszkolonych jednostek bojowych¹⁾.

¹⁾ Bardzo ciekawe szczegóły znaleźć może czytelnik w niepodpisanym artykule marszałka Piłsudskiego p. t.

Niestety!

Wszczęty przez Piłsudskiego ruch trwać długo nie mógł. Sądy polowe, skazujące przyłapanych bojowników na śmierć na szubienicy, uszczuplały szeregi słabych liczbowo oddziałków. A naród nie tylko nie pośpieszył z pomocą, lecz przeciwnie — utrudniał im walkę na każdym kroku, nie cofając się nawet przed zawieraniem nikczemnego sojuszu z władzą zaborczą.

Słusznie też pisał w r. 1905 o tych najlepszych i najofiarniejszych żołnierzach Stefan Żeromski:

*Poza tobą, żołnierzu polski, gdy samotny na haku szubienicy zawieszasz, gdy lecisz w krwawy skazańca rów, z sercem, zestrzelanem od kul sołdackich, gdy dogasasz powolnem straceniem w stepie Sybiru, nie powiewa sztandar dalekiej Ojczyzny. Poza tobą niema nic! Za tobą jest tylko dół, wykopany na miarę twojego trupa. Przed tobą stoją armje. Wyprą się ciebie ziomkowie, zapomną współmieszkańcy, ponieważ w sercu ich nie trwa długo uczucie, a myśl, — jak dawno — dawno wykryto, — nie trwa godziny... Świat blizki i świat daleki nie wsłucha się w rapsod twojego skonu z zachwytem, gdyż nie jest twoja sprawa wygrana...

Szkic rozwoju historycznego Organizacji Bojowej P. P. S. drukowanym w Nr. 4 „Przedświtu“ (kwiecień 1914) i w szkicu Leona Wasileskiego p. t. „Po drodze do czynu zbrojnego“ drukowanym w „Drodze“ Nr. 8/1924.

Przeciwno tobie za szeregiem żołdaków jest wszystko. Niechęć, trwoga, nienawiść, wrzaski dziedziców, bicie w dzwony fabrykantów, tajne intrygi tchórzów i ciemna niewiedza nędzy. Przerażone oczy narodowej samoniewoli spoglądają na ciebie ze szpar, ze szczelin, z wągłów i dymników. Nienawiść wszystkich, komu niepotrzebna jest wspaniałość duszy, moc, nieustraszonosc wyteżonego ramienia, zdeptanie za cenę śmierci gronostajów tyranji, — zmawia się na ciebie z wypróbowanemi doktrynami złądaczalej filisterji, wzywa na pomoc spryt i wymowę ścierwa dziennikarskiego i mrok, zalegający niziny. W trop twoich męczeńskich kroków, które stawiasz przebiegłe, jak lis, cicho, jak widmo, idzie zbrodniarz, naśladowujący twój gest i imię...

Twoja dola -- to konać za święte idee, a konać bez ostatniej pociechy męznego człowieka — bez sławy. Ale ty nie dla sławy wyszedłeś. Posłałeś siebie sam, ażeby świat wbrew woli świata wydrzeć z pod skinię berła nocy. Twoje zadanie — niweczyć przemoc człowieka nad człowiekiem, z pod męki ciała wydobywać ducha ludzkiego, osadzać wśród ludzi miłość i prawo do szczęścia. Dlatego wyzwaleś na rękę łuk i koronę świata, więc obok męczeńskiego twojego słupa dla tem większego urągowiska stawiają słupy lotrów.

Wyszedłeś w najciemniejszą jesienną noc, gdy huczał wicher i bił deszcz, a my wszyscy, dwudziestomiljonowy naród, spaliśmy w swych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych kamiennym snem niewolników... —

Z rąk Okrzeji, Mireckiego, Barona, Izdebskiego, i nie mniej bohaterskich ich towarzyszy, — żołnierzy — bojowców, co to według słów Feldmana — bijąc się za socjalizm, głównie o Polskę myśleli, — wytrąciła broń przemoc wraza i polska obojętność, polska niechęć i nienawiść. Na trupy ich, leżące samotnie w polu lub spadające ze stoków warszawskiej cytadeli, rzuciły się gromady rodzimych kruków i wron, obdzierając je z chwały i czci pośmiertnej. Dla olbrzymiej większości »dobrze myślącego« społeczeństwa polskiego niepotrzebną była wpaniałość ich duszy, moc i nieustraszowość ich ramienia. Nazwano ich i potraktowano, jako »zbrodniczych wyrzutek«, splamionych »ekspropriacyjnymi mordami« i »wytwarzaniem bandytyzmu«. Z całego przepychu prastarej i przepięknej mowy polskiej wydobyto na określenie ich bohaterskiego czynu jedynie słowa ostre, bezwzględne i ciężkie, jak kamień.

Słusznie też pisała p. Marja Dąbrowska w artykule swym o wyprawie bezdańskiej: »Organizowane przez niego (Piłsudskiego) zamachy

przybierały coraz to bardziej charakter jakby dziś powiedziano dywersyj zbrojnych, mających utrzymać stan bezustannej wojny między Polską i Rosją. Ci, którzy tego stanu wojny nie uznawali, nie umieli też wzbudzić w sobie należytej oceny owych zjawisk i poważali się nazywać »bandytyzmem« to, co od poznanych przez nas później tak dobrze zasadzek wojny różniło się chyba tem tylko, że się odbywało na najwyższych poziomach poświęcenia, honoru i odpowiedzialności¹⁾.

»Tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu! — przysięgał w owym czasie Stefan Żeromski. Ona jedna nie złęknie się twoich snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana — ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dni twę i noce, mękę, wysiłek, trud i skon. Złoży ona twą głowę, stłuczoną żołdackimi kolbami na wezglówiu z najcudowniejszych wierszy, które dla ciebie jednego wyjmie po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza, gdy go lud łódzki z pospólnego dołu wielokroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę, to jedno, co lud dać może — płaszczem dostojności, utkanym z najcudowniejszych barw

¹⁾ Por.: *Kobieta Współczesna* Nr. 46 z dnia 11. XI. 1928. Artykuł M. Dąbrowskiej p. t. „Aleksandra Piłsudska“.

sztuki. W twoje ręce skostniałe i dopiero w śmierci bezsilne włoży złoty swój sen, sen tylu pokoleń młodzieży, — sen o rycerskiej szpadzie¹⁾...

Słowa te spełnił przede wszystkim sam Żeromski. W okresie walk rewolucyjnych — na mogiły bojowców, splugawione przez najeźdźców, a sprofanowane i oplute przez »dobrze myślące« społeczeństwo polskie, rzucał coraz to nowe wiązanki przepięknych słów — kwiatów. Stworzył w tym czasie swój »Sen o szpadzie« — »Nagi bruk«, — »Nocturn« i kilka innych drobiazgów, zasługujących z wielu względów na nazwę arcydzieł. Na tle walk rewolucyjnych osnuł przepiękną swą »Różę«. Echa tychże walk odezwały się dość silnie w »Słowie o bandosie«, w »Dziejach grzechu« i »Echach leśnych«, powstałych w tymże czasie. Z tego właśnie powodu dostał się pisarz na »indeks« wpływowej i silnej klikki, uważającej lojalność w stosunku do zaborcy za największą cnotę narodową. Uczyniono zeń — jak powiada Ignacy Matuszewski²⁾ — jakiegoś Marata czy Roberspiera rewolucji polskiej, wyklęto go i ogłoszono *urbi et orbi*,

¹⁾ Porównaj: Stefana Żeromskiego »Sen o szpadzie«.

²⁾ Porównaj: Ignacy Matuszewski: »Nowa legenda o Żeromskim« w tomie pod ogólnym tytułem »Studia o Żeromskim i Wyspiańskim«. Warszawa, 1919. Gebethner i Wolff. str. 140-148.

jako »niebezpiecznego mąciciela spokoju, niepoprawnego pesymistę i truciciela narodu«.

Uczyniono to tem skwapliwiej, że Żeromski poznać się dał nie tylko, jako pisarz, lecz także i jako działacz rewolucyjny. Wróciwszy bowiem w r. 1905 z Zakopanego do b. królestwa, osiadł na stałe w Nałęczowie i wciągnął się w wir pracy niepodległościowej. Opłakany stan zdrowia — ogólne wyczerpanie i częste krwotoki, — nie pozwalał mu na wzięcie czynnego udziału w walkach. Ale za to wspierał bojowców, gdzie i jak tylko mógł. Tym którym udało się zbiec z więzienia na zamku lebelkim, dostarczał ubrania, pieniędzy i paszportów, pożyczając je od kuracjuszków zakładu nałęczowskiego. — Jednocześnie brał żywy udział w ruchu spółdzielczym, — w domu swym w Nałęczowie stworzył szkołę, w której przy pomocy żony i kilku zaufanych osób uczył lud wiejski czytać i pisać, wygłaszał odczyty, stworzył koło oświatowe »Światło«, organizował przedstawienia teatralne z ludem i dla ludu, słowem, jak to określa p. Migasiński, oświecał i uobywatelniał warstwę najbiedniejszą, najciężiej pracującą z myślą i w przekonaniu, że lud polski prędzej czy później sięgnie po wolność i niepodległość. W r. 1907 poszedł jeszcze dalej: krwawo zapracowane przez siebie pieniądze, — honorarium, otrzymane za »Dzieje

grzechu«, podzielił na dwie nierówne części: 800 rubli bierze dla siebie, na budowę »chaty«, w której urządził swoją pracownię, resztę zaś wynoszącą około 20 tysięcy rubli—przeznaczył na budowę wspaniałej ochrony dla dzieci nałęczowskich. Słusznie też pisze p. Migasiński, że dopiero przy zestawieniu tych dwóch faktów, zrozumieć możemy, kim był ten znakomity artysta, jako człowiek, jako społecznik¹⁾.

Za to nazwano go »niebezpiecznym mścicielem« i trucicielem narodu polskiego«.

Na działalność jego zwróciły uwagę władze zaborcze. Aresztowano go. W więzieniu zapadł na ostre zapalenie ślepej kiszki. Stan był niezwykle groźny. Wyznał też potem, że »gdyby nie opieka Marjana Abramowicza, nie hasałby już dzisiaj po kwietnych niwach pięknej polskiej literatury«. Zwolniono go z więzienia po kilku miesiącach i »poradzono życzliwie«, by nie zwlekając, opuścił granice Królestwa. Idąc za tą »radą«, przeniósł się do zaboru austrija-

¹⁾ Porównaj: E. L. Migasiński: *Wspomnienia o S. Żeromskim*. Warszawa, 1927. W książce tej znajdzie czytelnik wiele ciekawych szczegółów, odnoszących się do działalności pisarza w Nałęczowie w latach 1905—1909.

Dr. M. Biernacki, pisząc o tym okresie działalności społecznej pisarza, stwierdza, że cechowała go dziwna skromność i brak wszelkiej pozy. »Przeciwnie, podporządkowywał się tak dalece organizacji oświatowej, iż obok odczytów w ciemnej szopie przyjmował na siebie obowiązek wykładów geografji ziemi polskiej dla dzieci najmłodszych — w tej ochronie, którą prawie sam wystawił, a później państwu polskiemu ofiarował«.

ckiego i osiadł w Zakopanem. Tu spotkał się ponownie z Józefem Piłsudskim i całym jego sztabem, który według określenia M. Biernackiego, — po pogromie rewolucji, schroniwszy się na szczytach gór polskich w tem orlem gnieździe, przygotowywał naszą nową przyszłość. Stwarzano podówczas t. zw. »Związek Walki Czynnej«, z którego powstać miały niebawem pierwsze drużyny strzeleckie — kadry naszego wojska narodowego. Żeromski poczynania te powitał z jak największą radością, zgadzały się one bowiem najzupełniej z najgłębszemi jego marzeniami, którym niejednokrotnie dał wyraz na kartach swoich dzieł. Wziął też czynny udział w pracach organizacyjnych sztabu Piłsudskiego — z polecenia jego udał się do najbardziej podówczas wpływowych i znanych w Polsce osobistości, — do Witkiewicza i Wyspiańskiego, z zadaniem nakłonienia ich do podpisania odezwy, wzywającej cały naród do składania darów pieniężnych na powstający »Skarb wojskowy« — na broń i ekwipunek dla armji narodowej, która z chwilą wybuchu oddawna już przewidywanej wojny światowej wyruszyć miała w bój o Polskę zjednoczoną, niepodległą, wolną. Wizytę swą u twórcy »Wesela« opisał Żeromski w jednym ze swych wspomnień¹⁾.

¹⁾ Ciekawe światło na stosunek pisarza do polskiego ruchu socjalistycznego rzuca podpisany m. in. i przez

Pobyt Żeromskiego w Zakopanem nie trwał długo. W r. 1908 wyjechał na dłuższy pobyt do Paryża. Stąd robi dłuższe wycieczki do Włoch, Szwajcarji, Anglji. Do kraju wrócił pod koniec r. 1912. Po półtorarocznym pobycie w Krakowie, osiada na stałe w Zakopanem. Tu zastała go wojna światowa.

Jak ją powitał i jak się do niej ustosunkował?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przyjrzeć się stosunkom, jakie panowały podówczas na ziemiach polskich.

niego list otwarty literatów polskich z Paryża do Bolesława Limanowskiego, który w r. 1910 obchodził 75-tą rocznicę urodzin a 50-tą pracy społecznej i pisarskiej. List ten, ogłoszony w Nr. 12 „Przedświtu“ (grudzień 1910), — organie Polskiej Partji Socjalistycznej — pozwoli sobie przytoczyć tu w całości:

„Do Bolesława Limanowskiego.

Nestorowi socjalizmu polskiego cześć!

Żeś, Czcigodny Panie, biblijny wiek swój przeżył w ciężkiej narodowej służbie;

żeś lata te wypełnił wielką ilością znakomitych prac historycznych;

żeś ózrawiem czuwał nad młodzieńczym entuzjazmem niezliczonych pokoleń emigracyjnych, kierując ten entuzjazm ku pracy nad wyzwoleniem polskiego robotnika w wyzwolonej Polsce;

żeś dzwonnikiem niestrudzonym przypominał pokoleniom rozszanym w djasporze naszej o Polsce, Lelewelu, Worcellu, Rewolucji i Powstaniu narodowym, wiążąc w niezliczonych dziełach, z których każde czynem było, wysiłek polskiej myśli społecznej z przedziwem ogólnoludzkiem ukochań Zachodu Europejskiego;

żeś, tułaczem półwiekowym wytrwał na boleściwym szlaku męki Polaka i socjalisty — w Arehangielsku, Zurychu i Paryżu, a także Lwowie i Krakowie, wynosząc z tych udrczeń myśl i uczucie wiecznie młode, a tęsknoty pełne:

<http://rcin.org.pl>

Otóż — stwierdzić przedewszystkiem musimy, że rewolucja r. 1905 była wstrząsem zbyt słabym, aby w zmartwiałej psychice polskiej dokonać się mogły głębsze zmiany. W r. 1914, w chwili wybuchu wielkiej wojny, ogół — olbrzymia większość polska — pozostawał w stanie znanej już nam beznadziejności, przygnębienia i apatii. Jak dawniej, nieufnie i niechętnie odnoszono się do zamierzeń i haseł niepodległościowych, jak dawniej, nie wierzono w skuteczność własnych wysiłków zbrojnych. Wszędzie, — we wszystkich częściach Polski — panował lojalizm w stosunku do zaborców.

żeś dla strudzonych i zblakanych miał zawsze słowo otuchy i wiary w przyszłość ludu polskiego, w wyzwolenie Robotnika i Narodu:

Robotnikowi w winnicy narodowej — Siewcy i Przewodnikowi — Tułaczowi — Dzwonnikowi — Pisarzowi — Apostołowi Dobrej Nowiny — w tym dniu uroczystym dla Ciebie i dla Narodu cześć składamy, życząc, dobry a zacny Panie, abyś długie jeszcze lata żył i pracował dla literatury polskiej, dla Ojczyzny i Proletariatu Polskiego.

W Paryżu, w listopadzie 1910.

W. Sieroszewski, Andrzej Strug, Stefan Żeromski, Marcei Handelsman, Stanisław Posner.

O Bolesławie Limanowskim w tymże „Przedświcie“ (Nr. 11, listopad 1910) czytamy m. in.: „Obóz socjalistyczny polski szczył się tym patryjarchą swoim, którego wysiłkom niezmordowanym tyle zawdzięczamy“... „Przed 40-tu laty Limanowski uciekł z Krakowa, zrażony jego klerykalno-stańczykową atmosferą. Dziś, w roku Jubileuszowym, Kraków socjalistyczny będzie centralnym ogniskiem uroczystości ku czci Limanowskiego — a cała Polska robotnicza powtórzy słowa robotników lwowskich 1878 roku: W sercach naszych nie zgaśniesz nigdy!“

W b. Królestwie i na Litwie łączono przyszłe losy Ojczyzny z losami cesarstwa rosyjskiego. Wojska moskiewskie nazywano tam »naszemi« wojskami, — w Warszawie i w większych miastach obsypywano je kwiatami. Wierzono tam w ich zwycięstwo, modlono się o nie po domach i kościołach, gdyż zwycięstwo to w nieuniknionej konsekwencji pociągnęłoby za sobą musiało oderwanie od Austrii i Prus — Galicji, Śląska, Poznańskiego i Pomorza, a więc — zjednoczenie wszystkich bez wyjątku ziem polski historycznej. Na tej podstawie budowano »wspaniałe« plany co do naszej przyszłości. Twierdzono i wmawiano w ogół, że Rosja, zjednoczywszy pod swoim berłem wszystkie ziemie polskie, stanie wobec konieczności kompromisu, że zgodzi się na szereg większych ustępstw na naszą korzyść. Cieszono się ogłoszoną przez rząd carski autonomją ziem b. Królestwa, entuzjasmowano się myślą o stworzeniu po skończonej wojnie jakiegoś ubożuchnego ksiąstewka czy karłowatego królestwa, wtłoczonego w ramy cesarstwa rosyjskiego. Myśl polityczna polska w tym zaborze dalej nie szła.

W Poznańskim i na Pomorzu, gdzie wskutek eksterminacyjnej polityki pruskiej przed żywiołem polskim otwarła się przepaść przymusowego wywłaszczenia i wytepienia, — góro-

wały prądy filorosyjskie. Obawiano się tu zwycięstwa Niemiec, gdyż pociągnęłyby to musiało za sobą przyłączenie do Prus znacznej połaci ziem polskich — zaślepiony w swej nienawiści do nas furor Theutonicus znalazłby dla swych popisów pole jeszcze bardziej rozległe. Dlatego też i tu podzielano poglądy polityków z Królestwa, i tu również łączono przyszłe losy Polski z losami Rosji.

Inaczej wyglądała ta sprawa w zaborze austriackim. Dzięki łagodnej i napozór nieszkodliwej polityce wiedeńskiej żywioł polski oddychał tu z największą swobodą, korzystając z wielu praw, o których nie można było marzyć nawet w dwóch innych zaborach. To też z chwilą wybuchu wojny wyłynęła tu koncepcja monarchji trialistycznej, w której Polska odgrywałaby miała rolę podobną do roli przedwojennych Węgier. Modlono się tu o zwycięstwo wojsk austriacko-niemieckich i zrezygnowano z sercem dość lekkim z olbrzymiej połaci ziem polskich na korzyść Niemiec.

Widzimy więc, że w chwili wybuchu wielkiej wojny narodów nie było na ziemiach polskich zgodności w poglądach i dążeniach. Wszędzie jednak nastrój panował jednolity: wpływy pozytywistów i historyków krakowskich wsączyły się i wżarły w masy narodowe tak głęboko, że nie wierzono zupełnie w możliwość istnienia

Polski naprawdę wolnej, niepodległej, samodzielnej. Jeśli i mówiono o niej, to jedynie jako o rzeczy nieistotnej, nierealnej, nie mającej za sobą żadnych pozytywnych przesłanek i podstaw.

Ideologii tej przeciwstawiał się ostro Józef Piłsudski. W dniu 6 sierpnia 1914 r. wyruszył on z Krakowa na czele słabego liczbowo, lecz silnego duchem hufca rycerzy młodych, odważnych, najlepszych, najofiarniejszych. Wyruszył w bój o Polskę wolną i samodzielną. Nie chciał pozwolić, by, jak się sam gdzieś wyraził, — w czasie, gdy na żywym ciele naszej Ojczyzny wyrąbywać miano nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tem brakowało, — nie chciał dopuścić, by na szalach losów, wążących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło polskiej szabli. Poszedł. I oto dzięki niemu — w czasach, gdy burza wojenna szalała na ziemiach polskich, na polu krwawych bitew łopotał sztandar polski, — łopotał dumnie, świadcząc o naszym prawie do samodzielności i wolności. Poszedł, nie oglądając się na łaskę i niełaskę możnych i silnych świata tego. Nie chciał czekać na ochłap, jaki ten czy inny zwycięzca zechciałby łaskawie nam rzucić. Przeciwnie — opancerzoną pięść wyciągnął po to, co nam się słusznie należy.

Znając Żeromskiego, jako czynnego działacza społecznego i gorącego sympatyka socjalizmu, który dostarczył Piłsudskiemu największej ilości żołnierzyków, przypuszczaćby należało, że wielki pisarz poprze w miarę sił swoich i możliwości poczynania Wodza Legjonów, że obalenie przezeń słupów granicznych pod Krakowem i marsz jego na Kielce powita z radością i entuzjazmem. Stało się jednak inaczej. Oto dokument. W numerze 270 za r. 1922 warszawskiej »Rzeczypospolitej, ogłosił list otwarty — o treści następującej:

»Obecny Naczelnik Państwa Polskiego, a dawniej komendant legjonów, przybywszy w r. 1916 do Zakopanego, rozmawiał ze mną pewnego razu o aktualnej wówczas sprawie tworzenia armji polskiej po stronie państw centralnych. Ponieważ przez cały ciąg wojny byłem zawziętym zwolennikiem zwycięstwa Francji i Ententy, gdyż w tem zwycięstwie pokładałem nadzieję osiągnięcia niepodległości i zjednoczenia ziem polskich, gorąco oponowałem przeciwko planowi i usiłowaniu wzmocnienia siły Niemiec¹⁾...«

¹⁾ Pan Wacław Borowy, którego z pisarzem za życia jego — łączyły stosunki bardzo bliskie, w rozmowie ze mną nadmienił, że nie jest dla niego rzeczą pewną, czy Żeromski nie służył — wprawdzie przez czas bardzo krótki — w Legjonach Piłsudskiego (sierpień — ewentualnie i wrzesień r. 1914). Pan Wacław Borowy w owych czasach pisarza osobiście jeszcze nie znał,

Zapomniał jednak Żeromski, że w wypadku, gdyby Rosja nie uległa rozkładowi wewnętrznemu, gdyby do ostatnich dni wojny zachowała swe znaczenie i wpływy — »niepodległość« ta i »zjednoczenie ziem polskich« wyglądałoby zupełnie inaczej, niż dzisiaj. Rosja!.. Jedna z największych potęg militarnych, kraj o stu pięćdziesięciu milionach mieszkańców, szósta część świata, jak ją nazywał car Aleksander trzeci. W chwili wybuchu wojny stała u szczytu potęgi. Wchodząc w skład Ententy, stanowiła w niej dzięki wielomiljonowej armii czynnik bodaj najważniejszy i najbardziej wpływowy. Ze zdaniem jej liczyć się musiała nie mniej potężna Anglja, żądaniom jej ulegała znacznie słabsza Francja. Zabrać głos w sprawie polskiej znaczyło to samo, co ugodzić w interes potężnego sprzymierzeńca. Któreż z państw Ententy zdobyłoby się mogło na taką odwagę i taką wspaniałomyślność? Po skończonej wojnie kwestja polska uważanąby była za wewnętrzną sprawę rosyjską. O losach naszych zdecydowałiby nie francuzi, lecz politycy petersburscy. Tylko

przypuszczenie zaś swe opiera na tem, że dziennik krakowski, w którym wielki pisarz ogłaszał swych „Popiołów sprawę drugą“ — „Wszystko i nie“ — w sierpniu r. 1914 urwał nagle druk tego utworu, dodając w przypisku, że dalszego ciągu dać nie może, gdyż autor wstąpił do Legjonów Polskich. O ile było tak istotnie, to służba wojskowa w każdym bądź razie nie trwała długo, bo, w październiku r. 1914 i później p. W. Borowy spotyka Żeromskiego w Krakowie — w ubraniu cywilnem.

dziecko wierzyć i myśleć może, że »szlachetna« i »wspaniałomyślna« Ententa, osłabiona i wycieńczona w czteroletnich zapasach do ostatecznych granic, zechciałaby stanąć w naszej obronie i z bronią w ręku zmusić Moskwę do jakichś ustępstw na naszą korzyść. Rosja... Znamy ją dobrze... Wiemy i z całą pewnością twierdzić możemy, że nie wypuściłaby nas ze swoich szponów. Tworzyli byśmy dziś jedną z prowincyj rosyjskich. Życie narodowe polskie — jak dawniej — pozostawałoby w zupełnej zależności od kaprysów tępych żołdaków i czynowników moskiewskich.

W takich warunkach plan Piłsudskiego — stworzenie armji polskiej i zmuszenie przy jej pomocy do uznania naszych praw do prawdziwej wolności i niepodległości, — był dla nas jedynem zbawieniem. Myśli tej uzasadniać głębiej nie chcę i nie będę, gdyż wkroczyćbym musiał na tory dyskusji politycznej, czego ze względów zrozumiałych pragnąłbym uniknąć.

Żeromski, szukając wyjścia z mroków polskiego życia, zbłądził, jak tyłu innych. Przyłączył się do grona osób, które według własnych jego słów — poszli »staremi drogami wystawać na cudzych schodach, wzdychać pod cesarskimi progami i dla zdobycia jałmużny potrząsać łachmanem kontusza«. A jakież skutek odnieść mogła ta zebrania, — <http://reinsko.org.pl> świecie dzi-

siejszym »pewny i trwały jest tylko miecza stalowego, na brusie ostrzonego cios«.

Mimo tak nagłego nawrotu z rozległych szlaków socjalizmu na wąską i krętą ścieżynkę narodowej demokracji, nie można posądzać pisarza o oportunizm. Zawsze i wszędzie — w każdym swoim uczynku, w każdym swoim słowie myślał tylko o Polsce. Słusznie też powiedziano o nim, że »nie mógł należeć do żadnego stronnictwa politycznego, gdyż jego niezwykle szeroki horyzont pojmowania obowiązków względem Ojczyzny nie mieścił się w ramach żadnej niewolniczo wyznawanej doktryny, — »jego indywidualność« nie nadawała się do skromnej roli szeregowca, postępującego karnie po szlakach partyjnej dyscypliny.« Myślał i dążył stale do »Polski lepszej, zdrowszej, promienniejszej« i dlatego wszystko, co z myśli o takiej Polsce było poczęte, »z jakiegokolwiek wyszło środowiska, z którejkolwiek grupy, znajdowało w jego piersi odzew mocny i grało na strunach pieśni, jak na najczulszym instrumencie«. W chwili wybuchu wojny europejskiej i w ciągu jej trwania zdawać się mogło, że czyn Piłsudskiego wymarzonej Polsce zaszkodzić może. Była to jedna z tych pomyłek, do których — jak już wspomniałem gdzieindziej, przyznawał się z całą otwartością...

Lata wojenne spędził w Zakopanem. Tworzył w tym czasie niewiele. Dorobek swój artystyczny, wzbogacony w latach poprzedzających wybuch zawieruchy europejskiej »Sułkowskim« (1909), — »Urodą Życia« (1911) i »Wierną Rzeką« (1913) powiększył jedynie o trylogję p. t. »Walka z Szatanem«, składającą się z powieści »Nawracanie Judasza«, — »Zamieć« i »Charitas«. Za to jednak zajmował się bardzo gorliwie pracą oświatową w zakopiańskim kole Towarzystwa Szkoły Ludowej. Stworzył i własnoręcznie uporządkował bibliotekę tego koła tudzież 10 bibliotek ruchomych wśród okolicznych wsi. Marzył o stworzeniu ośrodka oświatowego dla młodzieży góralskiej, zorganizował kursa dla analfabetów i wciągnął do pracy oświatowej zakopiańskie nauczycielstwo. Z jego również inicjatywy powstał przy zakopiańskim kole T. S. L. komitet odczytowy — do prelegentów należeli m. in. sam Żeromski, Jan Kasprowicz, Władysław Orkan, Władysław Rej¹⁾.

* * *

Po zmartwychwstaniu Polski przeniósł się Żeromski z Zakopanego do Nałęczowa. W r. 1919

¹⁾ Szczegóły czerpię z bezimiennego artykułu p. t. „Stefan Żeromski, jako pracownik T. S. L. w Zakopanem“ ogłoszonego w dodatku niedzielnym krakowskiego „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“ z dnia 4 stycznia r. 1926.

spotkał tu go cios bolesny — jedyny syn jego, Adam, urodzony w Warszawie w r. 1899 zmarł wskutek odziedziczonej po ojcu gruźlicy. Ból pisarza po stracie ukochanego dziecka był niezmierny. Rozpacz swą odmalował w krótkim. »O Adamie Żeromskim wspomnieniu«, które słusznie porównano z »Trenami« Jana Kochanowskiego. Ból i cierpienie odezwie się pozatem w »Wietrze od Morza« — w ustępie, poświęconym »Włodzisławowicowi, Zbigniewowi — sercu zdradzieckiemu«, — tudzież w jednym z rozdziałów »Międzymorza«, gdzie zwraca się do mewy, latającej nad nim i pełnej niepokoju o swe dzieci, ze słowami: Ucisz się, matko! — »Poczytuje mnie — widać, — pisze tam, — za kształt śmierci dwunogiej, która zmierza w kierunku jej gniazda. Krok mój poczytuje za krok śmierci, który lada chwila nadejde na gniazdo, ukryte kędyś w zagajach charszczów i badyłów tej strony, ukręcone z kolczastych włókien mikołajka. Wiem, dobrze wiem, co jest w krwionośnym sercu, gdy dwunoga śmierć zbliża się do gniazda, przytulonego do ziemi. Wiem, dobrze wiem, co jest w rozwartych oczach, gdy spokojna, obojętna, radosna przechadza się w pobliżu, na ścieżce, prowadzącej do proggu. Mam w gardzieli ten sam krzyk, który się z pod serca twego wydziela... Każdy odcień chrapliwy pamiętam na widok

przybliżania się i na widok oddalania. Znam także odcień tego krzyku, gdy nie omija schronienia i w pośród tysiąca innych, do mojego jedynie wybiera się w odwiedziwy, — gdy, — po tyśiąckroć przekłęta! — na mojem nieszczęsnem sercu wszechmocy swojej próbuje.. Uciszyć się, matko!*

W rok po śmierci syna rozszedł się pisarz z żoną. Wkrótce też — w celu uzyskania rozwodu — zmienił wyznanie (przeszedł na kalwinizm). Do śmierci jednak sprawy rozwodowej nie wszczynał, a z p. Oktawją — jak pisze w liście do mnie p. St. Piółun-Noyszewski, — utrzymywał stały i serdeczny kontakt intelektualny.

Nową towarzyszką życia jego była p. Anna Zawadzka, poznana w Zakopanem na krótko przed wojną światową. Zamieszkał z nią w Warszawie. Miesiące letnie spędzał wraz z nią i córeczką swoją Moniką nad polskiem morzem.

O jednym ze spotkań z nim na Helu opowiada nam w swych wspomnieniach Z. Wasilewski: Ożeniwszy się wówczas po raz wtóry, bawił nad morzem z rodziną. Grób syna z pierwszego małżeństwa stał się przepaścią, która go odcięła od dawnych czasów i stosunków. Odwrócił się od tych najbliższych, którym niedawno z całą ufnością zawierzał swoje kroki. Odradzało się w nim nowe życie nadziejami, które składał w córeczkę Monikę. Spokojny był i dobrotliwy.

Po dawnemu nie wspominał nigdy, nad czym pracuje i nie pozwalał rozmawiać o swoich dziełach«.

A pisał wiele. W ciągu pierwszych pięciu lat naszego bytu niepodległego rzucił w szeroki świat polski »Wisłę« (1919), — »Popiołów« sprawę drugą — »Wszystko i nic« (1919). »Wiatr od morza« (1922), — »Międzymorze« i »Pomyłki« (1923), — szereg utworów dramatycznych — »Biała rękawiczka (1921), — »Ponad śnieg bielszym się stanę« (1920) — »Turoń« (1923) — wreszcie długi szereg utworów publicystycznych, jak »Projekt akademii literatury polskiej« — »Organizacja inteligencji zawodowej« i »Początek świata pracy« (1919) — »Inter arma« (1920) — »Snobizm i postęp« (1923). Do tego dorobku dorzucił niebawem — niestety — ostatnie już swe prace — »Przedwiośnie« (1924) »Uciekła mi przepióreczka 1925 i w rok prawie po śmierci wydaną »Puszczę jodłową«.

W tym też czasie wysunięto jego kandydaturę do nagrody Nobla. Po raz pierwszy uczyniono to w r. 1920. Niestety, wniosek polski wpłynął za późno — nagrodę za ten rok otrzymał znany pisarz skandynawski Knut Hamsun. Było rzeczą prawie zupełnie pewną, że nagroda za rok następny przyznana zostanie Żeromskiemu, — tem bardziej, że poselstwo polskie w Stockholmie zabiegało usilnie około propa-

gandy polskiej sztuki i dokładało wszelkich starań, aby znajomość dzieł autora »Popiołów« jak najbardziej w Szwecji rozpowszechnić. W dodatku — w r. 1921 ukazał się w Stockholmie przekład »Wiernej Rzeki«, a w związku z tem najpoważniejsze szwedzkie czasopisma umieściły dłuższe artykuły o twórczości Żeromskiego. W tym samym czasie dr. Jensen, znany przyjaciel Polski, sprawozdawca literatur słowiańskich w Instytucie Nobla, opracował obszerną o nim monografię, rozsyłając ją w odpowiedniej ilości odbitek członkom Akademii Szwedzkiej. Niestety, i w r. 1921 wniosek polski wpłynął za późno, mimo silnego nacisku z kół polskich w Szwecji. Czyż nie jest to karygodne — łagodnie mówiąc — zaniedbanie? Cały świat wie, że wniosek zgłoszony być musi przed 25-go stycznia. Nie chciał jednak o tem wiedzieć i pamiętać jakiś mizerny referencina, należący prawdopodobnie do kliky, która ogłosiła Żeromskiego »trucicielem« i »mąćcicielem«.

Poraz trzeci znalazł się Żeromski na liście kandydatów w r. 1924. Grunt był już należyście przygotowany. Następca zmarłego w r. 1921 dr. Jensena, — dr. A. Karlgren pracę w instytucie Nobla rozpoczął od studjów nad twórczością autora »Popiołów« i był dla kandydatury jego bardzo dobrze usposobiony. Poza tem

w międzyczasie ukazał się przekład »Urody Życia«, a w związku z nim najpoważniejsze czasopisma szwedzkie umieściły dłuższe studia i szkice o tej i innych powieściach Żeromskiego. Ze strony polskiej jednak postawiono kandydaturę Reymonta. Czas jakiś panowało mniemanie, że nagroda podzielona zostanie po połowie tak, jak w r. 1904 między Mistrala i Eche-garaya, a w r. 1917 — między Giellerupa i Pontopidana. Ostatecznie jednak nagrodę przyznano w całości Reymontowi.¹⁾

Dla najszerszych mas polskich ta decyzja Akademii Szwedzkiej była niemałą niespodzianką. Nie widziano i nie rozumiano powodów tak zaszczytnego wyróżnienia autora »Chłopów«. Z ust do ust płynęło pełne zdziwienia pytanie: »Za co? I dlaczego pominięto Żeromskiego?«

Daleki jestem od myśli kwestjonowania zasług estetycznych Reymonta. W pokorze i czci bezgranicznej schylam głowę przed Tym, który sięgnął niesłychanie głęboko w duszę narodową i »wydobył z niej na powierzchnią to, co jest nieomal wieczne.« Mam jedynie wyrazy najgłębszego hołdu dla Tego, który według słów Adama Grzymały Siedleckiego w dobie wszechwładnego panowania filozofii sceptycyzmu, rozpaczy i niechęci do życia, wzniósł się wysoko

¹⁾ Por.: *Wiadomości Literackie* Nr. 49 z dnia 4 grudnia 1927.

ponad ludzkie zwątpienia, jako sztandar chwycił słowa »bojowaniem jest życie człowieka na ziemi« i z sztandarem tym kazał iść ludzkości do zwycięstwa. Wierzę i twierdzę z całym przekonaniem, że — jak to określił gdzieś Roman Dmowski — żaden bodaj z naszych powieściopisarzy nie będzie czytany przez tak dalekie od nas w przyszłości pokolenia, żadnego dzieło nie zachowa tak długo swej świeżości, wbrew przemijającym prądom literatury i upodobaniom czasu. Wierzę święcie i niezachwianie, że dalekie przyszłe pokolenia pokochają dzieła Jego za to, że dają silne pragnienie życia, pomnażają zdolność do niego, uczą »rozkoszować się rzeczywistością, cudem istnienia«. Tak będzie kiedyś — w przyszłości.

A jak było w niedalekiej przeszłości? Nikt zapewne nie odmówi słuszności twierdzeniu, że Reymont w Polsce nie był popularny. Sam przecież skarżył się niejednokrotnie, że znajomość i odczucie wagi jego dzieła literackiego znalazły swe odbicie w krytyce zagranicznej silniejsze, aniżeli w naszej. Dziś, gdy, dzięki przyznanej mu nagrodzie Nobla, autorytet jego i sława zyskały wiele na sile i wymowie, grono jego egzegetów i entuzjastów wzrasta z dnia na dzień. Ale i dziś jeszcze t. zw. najszersze masy odsuną na bok jego trylogię historyczną, nie dobrnąwszy nawet do połowy pierwszego tomu.

To samo powiedzieć można o innych utworach. Dawniej — przed decyzją Akademji Szwedzkiej, było jeszcze gorzej. Ogół polski do ogłaszanych przez niego dzieł, za wyjątkiem »Chłopów«, odnosił się z głęboką — jeśli tak powiedzieć można — obojętnością. Po »Ostatni Sejm Rzeczypospolitej«, po »Nil desperandum« i »Insurekcję«, po »Marzyciela« i »Wampira« wyciągały się ręce bardzo nieliczne. Los, który przypadł w udziale Norwidowi i Wyspiańskiemu, spotkał (w pewnej mierze) i Reymonta. Ludzie, zaliczający się do naszej inteligencji, — olbrzymia, przytłaczająca jej większość, jest w stosunku do tych twórców conajmniej — nieszczerą. Ktoś twierdzi, że twórcy ci są wielkimi poetami polskimi — najszersze masy chętnie na to przystają. Ktoś inny dowodzi, że są największymi poetami ostatniego półwiecza — masy i na to wyrażają swą zgodę. Przeciętny inteligent polski, a na imię mu, niestety — legion niezmierny, — niema odwagi przyznać się publicznie, że Norwid czy Wyspiański jest dla niego za trudny, za głęboki, — nie może zmusić się do wyznania, że rozumie tak mało lub też nie rozumie nic zgoła. Przeciwnie — będzie staczał spory, czasami bardzo namiętne, będzie powtarzał, jak papuga, zasłyszane gdzieś tezy i wyrażał gotowość, że oto zaraz — teraz da się posiekać na najdrobniejsze kawałki. Na setkę takich

gloryfikatorów, egzegetów i nawet — apologetów, zaledwie pięciu wymienić może poprawnie tytuły dzieł, jeden lub conajmniej dwóch — zadało sobie trud »przeczytania od deski do deski«. Reszta, a więc prawie — całość, zadowolili się oglądaniem okładek i przejrzeniem spisu osób, występujących w danej sztuce. Tak jest z Norwidem i z Wyspiańskim. I prawie tak samo jest z Reymontem. Nie chcę i nie będę badał i zgłębiał przyczyn tego zjawiska — zaprowadziłoby to nas zbyt daleko. Stwierdzam tylko fakt. Tak jest, niestety!

Zupełnie inaczej ustosunkował się ogół polski do Żeromskiego. W twórczości jego dwa ostatnie pokolenia widziały krzyk własny; była dla nich ta twórczość chlebem duchowym. Nikt tak, jak on — [pisze Borowy — nie umiał hartować naszych dusz, — nikt, tak jak on, nie podnosił i nie targał naszych serc. Był tym, wobec którego niemożliwa była obojętność. —

Pisząc tak, pragnę jedynie uzasadnić zdziwienie, z jakim najszerze masy polskie powitały decyzję Akademii Szwedzkiej. Mówię wyraźnie — myślę tu o wpływie na współczesne pokolenia, a nie o sile i rozciągłości granic talentu — czy jak chcą niektórzy — geniuszu. Nie widzę konieczności i podstaw do przekonywania, że autor »Popiołów« zasłużył na nagrodę w stopniu większym, niż Reymont. Mogę

dodać, że obaj pisarze silnie i trwale związali swe nazwiska z pojęciem wielkości, że jeden i drugi wzbogacił skarbnicę ogólnoludzkiego postępu i że obaj zasłużyli na zaszczytne wyróżnienie.

W roku 1924 kandydował Żeromski do nagrody po raz trzeci. Na liście kandydatów znalazł się dzięki zabiegom osób życzliwych. Z polskiej strony jednak wysunięto kandydaturę Reymonta i jednocześnie przypuszczono cichy, dobrze zamaskowany szturm na pozycje, zdobyte przez Żeromskiego w Szwecji. Po co, w jakim celu to uczyniono? Przecież nagroda mogła być podzielona tak, jak w latach 1904 i 1917 — mielibyśmy o jednego laureata więcej.

Odpowiedzi na to pytanie szukać należy w dziedzinie polityki. Nie podobał się Żeromski panom, stojącym podówczas u władzy. Zemszczono się okrutnie za »Promień«, — za »Ludzi Bezdomnych«, za »Różę« i »Urodę Życia«, zawierające według tych »wypróbowanych« patriotów — sporą dozę »trucizny«. Wyrządzonej krzywdy nie mogło naprawić ani złagodzić przyznanie w roku 1925 nagrody państwowej w wysokości 5000 zł. za »Wiatr od Morza«.

Były to w Polsce czasy wogóle nie wesołe. Jeśli z dziejów pierwszych sześciu czy siedmiu lat naszego bytu niepodległego wyłączymy nasze zwycięstwa pod Lwowem i Warszawą, to krótki

ten okres śmiało i bez przesady nazwać można jednym z najbardziej smutnych i beznadziejnych. Dzieje te streścić można w dwóch słowach — orgje partyjnictwa.

Uniesienie gromadzkie, jakie porwało nas na skutek Cudu Zmartwychwstania, nie trwało długo. »Niewidzialna nasza Królowa Zgoda«, ta, o której twórca »Dumy o hetmanie« pisał, że może pobudzić nas do uchwalenia »praw niewiadomych, jakich nie widział orbis terrarum« i sprawić, że wszyscy co do jednego możemy »korzystać ujrzyć w wyrzeczeniu się dla Ojczyzny ostatniej koszuli i ostatniego pacholęcia« — w czasie bardzo krótkim wycofała się z naszego koliska. Miejsce jej zajęła potworna zhora demagogji. Kraj rozpadł się na długi szereg obozów politycznych, zwalczających się wzajemnie a zaciekle. Zaczął się szybki powrót do starych narowów. Odżyły stare — po stokroć już przeklęte — nałogi, odżyły, rozwinęły się jeszcze bardziej, zyskały niezwykle na sile i cynizmie. Takiego rozpasania i rozwydrzenia nie było nawet w »najwspanialszych« okresach złotej wolności szlacheckiej. Burzliwe fale bezprzykładnej samowoli, sobiepaństwa i samolubstwa biły w dźwigający się z gruzów gmach Rzeczypospolitej, — walczyły ze sobą interesy partyj i ambitnych jednostek, a w tym »odmęcie spienionych namiętności« — jak za

czasów hetmana Żółkiewskiego — »ginęły wielkie idee państwowe i łódź polityki polskiej, rzucona na wzburzone wody, płynęła w mroczną dal czziejów bez steru i kierunku«.

Ludzi, — według słów Żeromskiego, — pragnących działać publicznie na arenie społecznej, — pracować szeroko a skutecznie, zalecać musiały nie ich istotne uzdolnienia, wiedza i osobiste zalety, lecz przynależność do jakiejś partji politycznej. Jednostka, nie należąca do jednego z kilkudziesięciu zgrupowań pozostawała »bezsilnem zerem zepchniętym do głębin wzgardzonego zawodu.« Nie posiadała ona »prawa do patriotycznego działania na korzyść ojczyzny, do publicznego sądu i publicznego głosu«. Nawijają się pod pióro dziesiątki imion »ludzi mądrych, tęgich, pracowitych, ofiarnych, czystych, promotorów i strażników rzeczy publicznej, którzy za czasów najstraszniejszych dni Polski karmili ją chlebem swego trudu«, trzymając ogół na wyżynie, jako cywilizowaną społeczność, a którzy teraz, — »gdy wody niewoli odpłynęły, poszli w pokorze swej w zapomnienie.« Na widowni publicznej natomiast grasowali i harcowali rozmaici »posłowie« — albo »jakieś nikomu nie znane koczkodony partyjne, których pracy nikt nie widział i których zdolności nigdzie i w niczem się nie ujawniły.« Co więcej — »po władzę nad narodem, wyzwolonym z kaj-

dan sięga nawet zwyczajna kanalja, którą rządy najeźdźcze opłacały pieniędzmi lub możliwością dorabiania się mocą poruczonego jej zakresu władzy. Główną masę tych ambitnych karjerowiczów, stanowią rozmaici lawiranci, krętacze, ludzie bez stałej narodowej zasady, tak zwani — politycy.¹⁾

Nędzni, wygłodzeni, obdarci i obszarpani, — w ciągu pierwszych lat niepodległego istnienia wyptywali ze wszystkich kątów Polski. Pragnąc jedynie jak najszybszego wzbogacenia się i nie ufając własnym siłom, organizowali się — w myśl zasady »w jedności — siła« — w przeróżne związki i partje i zajmwszy wygodne miejsca przy »pełnej polskiej misie« — w obronie tych miejsc staczali zażarte między sobą walki.

Nie będę przywodził na pamięć szczegółów tej ohydy. Niedaleka to przeszłość. Wiemy i pamiętamy wszystko, aż nadto dobrze. Wiemy, pamiętamy i rumienimy się ze wstydu.

Żeromski przyglądał się i przysłuchiwał uważnie wszystkiemu, co się w biednej Polsce działo. A to, co widział, napełniało go smutkiem i boleścią serdeczną. Kiedyś, — w latach, poprzedzających nasze zmartwychwstanie, marzył o Polsce, że wyjdzie »ze swego więzienia w towarzystwie anioła, aby wstąpić do nie-

¹⁾ Porównaj: Stefana Żeromskiego „Początek świata pracy.“

zmierzonych boskich prac«. Tak marzył i wierzył, a cóż zobaczył? Słusznie też powiedziano o nim w jednym z nekrologów, że byłby żył dłużej, gdyby nie ten »ciężar granitowy zgryzot, cierpienia i bólów na widok tego, co się u nas działo«, — że byłby przetrzymał jeszcze kilka lat, zwyciężając śmierć, stojącą już oddawna przy jego łożu, gdyby nie ta »nawała rozczarowań, smutków, zwątpień, przygnębień, rozpacz, obrzydzenia do czasów i ludzi«.

W treść życia narodowego spoglądał znacznie głębiej, niż otaczający go ogół. Oto—w przedmowie do książki K. Firley-Bieleńskiej p. t. »Nullo i jego towarzysze«¹⁾ pisał w tym czasie. »Polska osaczona jest nietylko przez wrogów zewnętrznych, lecz ma w swych trzewiach niemoc nieuchwytną, jak młode drzewko, dopiero co zasadzone i przechorowujące swe zakorzenienie się w glebę. Ileż to razy słyszy się pytanie zasadnicze, zadawane na ucho, sekretnym sposobem, jakaż jest idea moralna Polski wskrzeszonej, jaka jest wewnętrzna racja jej bytu, jakież jest sok żywota tego od niedawnych lat nowego drzewa pod słońcem?

Pod rozmaitemi osłonami, w najrozmaitszem przebraniu, obłudnie, wykrętnie, przemyślnie, systemem niedomówień i zamilczeń osacza rację

¹⁾ Książka ta z przedmową Żeromskiego ukazała się w. r. 1923.

bytu Polski wskrzeszonej, a skoro tylko może, usiłuje ją porazić *cudzoziemski ideał* wypróbowanej, zaskorupiałej przebiegłości sposobów władania masą ludową albo ideał krwawego społecznego przewrotu..

Przeciwko tym usiłowaniom, przeciwko tej nieustannej pracy wysłanników z zewnątrz, którzy marzą o zniszczeniu nowego pracownika mocą obcego narodu albo mocą naśladowania metod zniszczenia, praktykowanych przez obce narody, — praca ducha polskiego, tak wielka w nocy niewoli, a zaskoczona nagłem, oślepiającym słońcem poranka wolności, nie poruszyła jeszcze całego swego ogromu, nie uznała się jeszcze nawet w swoim jestestwie. Stąd pochodzi, że »rewolucja« czyli dzieło przemiany potężnej ze złego na dobre, sprawa najzawilsza i najtrudniejsza, umiejętność, z którą tylko dzieło samej wojny równać się może, wymagająca poznania wszystkich sił, warunków, przyczyn i powodów w danym kraju i wśród danego ludu, ażeby nie szerzyć krzywdy, lecz wyważyć z nieistnienia dobro samo, jest własnością i argumentem ludzi naśladowujących i powtarzających. Sądzą oni, iż Polska jest tylko państwem, jak inne państwa, albo, iż to jest jedynie stara miazga do ulepienia jakowegoś przyszłego społecznego kształtu. Wrogowie, którym jej byt zawadza, szepcą na wszystkie strony, we wszystkie

uszy, iż Polska to ślepa i głucha forma tymczasowej potęgi bogaczy, panów, gnębieli Rusinów, Żydów i Niemców. —

Z tych właśnie względów musi Polska — według Żeromskiego — „*wytworzyć wyższy i doskonalszy ideał życia społecznego*, niż Rosja komunistyczna i musi stworzyć cywilizację materialną wyższą, niż pracujące Niemcy, gdyż tylko w ten sposób zabezpieczy swą plemienną niepodległość na wieki».

Wydawało się pisarzowi, że Polska dzisiejsza musi przedewszystkiem przeżyć zagadnienie, które nosi nazwę »Jakóba Szela«. To zagadnienie, jak ostrze dobrze toczonej siekiery, przyłożone jest do korzenia młodego polskiego drzewa. Wciąż, za dnia i po nocy, tajemnicza »ręka« ostrzy brzuśce starej siekiery. Nie wystarczy już dziś bezradnie i bezbożnie modlić się z jękiem o karę na »rękę«. Nie wystarczy pokazywać Jakóba Szelę, jako upiora, który się wstydzi krwawych plam na rękach i łachmanach, a usiłuje je myć i prać, aby nie było znać. Nie wystarczy zamiatać krwawych śladów straszliwego mściciela pawiami piórami wiejskich młokosów, a jego tygrysięgo pomruku zagłuszać brzmieniem piosenek, przychylnych dla ludu, w duszy artystycznej inteligencji zrodzonych. Trzeba wśród wolnego narodu wołać, trzeba krzyżeć, trzeba się dobijać o wielkie, o główne,

o najgłębsze prace społeczne, o natychmiastowy czyn, o pełnienie dziś wolną prawicą nieśmiertelnego dzieła hrabiów Wiesiołowskich — Franciszka i Michała — o nasycenie ziemią wszystkich bezrolnych, o nakarmienie głodnych i sprawiedliwość bezwzględną dla każdego człowieka i obywatela. Trzeba takimi powszechnymi poczynaniami wyrwać upiorowi Jakóba Szeli jego krwawą siekierę, a jasną świadomością, niby osinowym kołem, przebić go na zawsze.

Oto — podłoże, geneza i intencja »Przedwiośnia«, ostatniego już, niestety, utworu. Powieść ta jest gromkim protestem przeciwko stęchliznie ideowej w Polsce.

»Na co wy czekacie? — rzuca pod naszym adresem Cezarek Baryka. Dał wam los w ręce ojczyznę wolną, państwo wolne, królestwo Jagiellonów! Dał wam ludy obce, ubogie, proste, ażebyście je na sercu tej Mocarki, tej Pani, tej Matki ogrzali i do serca Jej przytulili. Stolicę wolności dał wam w tem mieście! Czekacie! Czekacie! Czekacie, aż wam jarzmo znowu nałożą!«

»Czemu tu tyle nędzy? — woła na innem miejscu. Czemu każdy załamek muru utkany jest żebrakami? Czemu tu dzieci zmiatają z ulic mokry pył węglowy, żeby się wśród tej okrutnej zimy troszeczkę ogrzać?«

»Jesteście mali ludzie i tchórze! Boicie się wielkiego czynu, wielkiej reformy agrarnej, nieznaney przemiany starego więzienia. Musicie iść w ogonie »Europy!« Nigdzie tego nie było, więc jakżeby mogło być u nas? Macieź wy odwagę Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznanę, zburzyć stare i wszcząć nowe? Umiecie tylko wymyślać, szkalować, plotkować! Macieź wy w sobie zawzięte męstwo tamtych ludzi, *virtus* — niezłomną, która może być omylną, jako rachuba, lecz jest niewątpliwie wielką próbą naprawy ludzkości? *Nikt nie myśli o tem, żebyście się stać mieli wyznawcami, naśladowcami, wykonawcami tamtych pomysłów, żebyście byli bolszewikami, lecz czy wy posiadacie ich męstwo?...*

Nie! Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei! Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać, jak powietrzem. *Tu jest zaduch!* Byt tego wielkiego państwa, tej złotej Ojczyzny, tego świętego słowa, za które umierali męczennicy, byt Polski — za ideję! Waszą ideją jest stare hasło niedołęgów, którzy Polskę przełajdaczyli: »jakoś to będzie«!...

Nie zrozumiano jednak powieści tej w Polsce. Źródłem nieporozumienia był tutaj fakt, że — jak to słusznie podkreślił już p. Leon Piwiński — jasny publicystycznie zamysł nie został

przetworzony na dzieło sztuki, a jednocześnie wielki artyzm autora znalazł dla siebie ujścia w kierunkach sprzecznych z tym zamysłem¹⁾. Ostre słowa, włożone w usta Cezarego Baryki, wywołały szereg gwałtownych protestów. Autora posądzono o sprzyjanie bolszewikom i zarzucono mu »posłannictwo prekursora komunizmu«. Pewna część prasy, — zwłaszcza krakowskiej²⁾ szarpała go niemiłosiernie, przekonywując ogół za pomocą tendencyjnie czy bezmyślnie wyrwanych cytatał, że autor »Popiołów« sprzeniawierzył się ideałom narodowym i wzywa naród na drogi, wytyczone przez czerwonych władców moskiewskiego Kremlinu.

Dla Żeromskiego było to bolesną niespodzianką. Zmartwił się, a nawet przeraził. I w tym więc wypadku powiedzieć mógł osobie: »Moje rozumienie było zawsze pomyłką. Każdy uczynek, każdy akt, dokonany przez moje serce — chybiał celu. Wszystko zawsze inaczej się stało, niżem wyśnił«³⁾.

Był w tym czasie chory już bardzo ciężko. Śmierć, co przed pięciu laty zabrała mu ukochanego syna, błąkała się znowu na ścieżce, prowadzącej do jego progę. »Spokojna, obojętna, rado-

1) W szkicu swym p. t. »*Powieść Polski Odrodzonej*« (1918 — 1928).

2) »Odznaczył się« szczególnie krakowski »Głos narodu«.

3) Porównaj: Stefana Żeromskiego »*Pomyłki*«.

sna* przechadzała się w pobliżu, a on, »party gorączką tworzenia«, nadludzkim wysiłkiem zbierał gasnące już siły i rzucał na papier nowe, a zarazem i ostatnie już obrazy i myśli. Pracował gorączkowo nad drugą częścią »Przedwiośnia«. Chciał w niej wypowiedzieć się szczerzej, pragnął wyrazić jaśniej, dlatego w usta Cezarka włożył słowa tak ostre i kazał mu odegrać tę, a nie inną rolę, dlatego targnął tak mocno uśpionem sumieniem narodu i dlatego powieść jego była pełną zgryzoty i śmiertelnego smutku¹⁾.

W międzyczasie jednak odezwały się dzienniki bolszewickie. Oto w moskiewskiej *Prawdzie* niejaki »towarzysz« L. Domski ogłaszał światu, iż »wielką sensację sprawił (w Polsce) zwrot pisarza Stefana Żeromskiego. Ostatnia jego powieść p. t. »Przedwiośnie« jest wyraźną pochwałą komunizmu i rewolucji proletarjackiej. Powieść ta jest wcieleniem agitacji komunistycznej w kraju, gdzie nie wolno szerzyć literatury komunistycznej«. Gdzieindziej zaś inny »towarzysz«, R. Arskiej, — donosił, iż »jeden z bardzo wybitnych i utalentowanych pisarzy polskich wyraża nie tylko sympatje swe dla komunizmu, ale i wzywa na tę drogę«²⁾.

¹⁾ Porównaj: Wspomnienie pośmiertne o Żeromskim Kornela Makuszyńskiego „Warszawianka“ Nr. 320/1925

²⁾ Szczegóły te czerpię z listu otwartego S. Żeromskiego p. t. „W odpowiedzi Arcybaszewowi i innym“. Zaznaczyć należy, że dziennikarze bolszewicy powieści

Głosy publicystów moskiewskich i wrzaski rodzinnych »patriotów« oderwały na krótko pisarza od pracy nad drugą częścią »Przedwiośnia«, mającą »wszystko wyjaśnić«. Ogłosił mianowicie list otwarty, w którym oświadczył krótko, iż nigdy nie był »zwolennikiem rewolucji czyli mordowania ludzi przez ludzi z racji rzeczy, dóbr i pieniędzy«. »We wszystkich swych pismach — pisał tam — a w »Przedwiośniu« najdobitniej, potępiałem rzezie i kaźnie bolszewickie. Nikogo nie wzywałem na drogę komunizmu, lecz za pomocą tego utworu literackiego

Zeromskiego nie czytali, lecz wydali swą opinię o niej na podstawie wrzasków, lecających w świat ze szpalt czasopism polskich. Trochę później, już po śmierci pisarza, zapoznawszy się z „Przedwiośnią“, zmienili zdanie. W nekrologu Zeromskiego, ogłoszonym w głównym organie Rosji komunistycznej w „Izwiestjach moskowskoro sowieta raboczych i kriestjańskich dieputatow“, — czytamy: „Stąd nacjonalizm Zeromskiego, w latach przedrewolucyjnych zacierający się w atmosferze nastrojów rewolucyjnych z tych lat, ale występował tak wyraźnie w jego utworach potem, gdy urzeczywistnił się odwieczny sen o niepodległości Polski... „Lecz oto powstała Niepodległa Polska. Zeromski pisze „Międzymorze“ i „Wiatr od morza“, w których występuje jako jaskrawy nacjonalista i szowinista opiewający starą utopję o Polsce od morza domorza. Jeżeli dawniej nacjonalizm Zeromskiego był maskowany motywami społecznymi jego twórczości, to w tym okresie ujawnił się on w całej swej wstrętnej nagości“. Jak widzimy — niema tu ani śladu zachwyty. W danym momencie leżą przedemną dwa rosyjskie (wydane w Moskwie w r. 1925) przekłady „Przedwiośnia“, — jeden „Priedwiesniennije“, dokonany przez S. Gouzagę, — drugi „Kanun Wiesny“, dokonany przez Eugenjusza Tropowskiego. W przedmowie do pierwszego z tych przekładów pisze znany krytyk sowiecki G. I. Kifacziński: „Zeromskiego bezpodstawnie oskarżają w Polsce o sprzyjanie komunizmowi“. I tezę

usiłowałem, o ile to jest możliwe — *zabiec drogę komunizmowi, ostrzec, przerazić, odstraszyć*. Chciałem, jak to zaznaczył jeden z czujnych krytyków polskich, a człowiek serca, — **uderzyć w sumienie polskie** — wezwać

swą uzasadnia Kłaczickij tem, że autor „Przedwiośnia“ nie widział, o raczej nie dostrzegł zasadniczego, głównego faktu Polski przyszłości. Faktorem tym ma być według opinii komunistycznego krytyka — polska klasa robotnicza. „Klasa ta nie figuruje w powieści zupełnie. Żeromski nie rozumie, że jedynym wyjściem z rozpaczliwego położenia, w jakim pozostają robotnicze masy Polski, może być tylko rewolucja, odpędzenie klas posiadających od władzy i przelanie tej władzy w ręce klasy robotniczej“. Od publicysty, wychowanego w atmosferze czerwonej demagogji, trudno wymagać, by widział możliwość rozwiązania polskich spraw wewnętrznych na innej drodze, odchylającej się wyraźnie i zdecydowanie od szlaku, na który bolszewicy radziby sprowadzić świat cały. Ale nie oto tu idzie. Zacytowałem kilka zdań, by wykazać, że w oczach sowieckiego, a więc najbardziej chyba kompetentnego sędziego — „Przedwiośnie“ nie jest utworem rewolucyjnym w moskiewskim znaczeniu tego wyrazu. W słowach bardziej jeszcze ostrych „potępia“ — „Przedwiośnie“ i Żeromskiego G. S. Kamienski, który poprzedził przedmową drugi ze wspomnianych przekładów — „Kanun Wiesny“. Czytamy tam: Żeromski nie jest komunistą. Jest to najzupełniej jasne. Żeromski daje obraz rewolucji rosyjskiej w wklęsłym zwierciadle. W dodatku nie rozumie rewolucji polskiej... Ludzi, którzy chcieliby z powieści Żeromskiego uczynić, podręcznik wiedzy komunistycznej czy też sowiecki elementarz polityczny, należałoby, naturalnie, odesłać do szpitala dla umysłowo-chorych. Mamy dość podręczników i elementarzy, w dodatku napisanych przez ludzi, bardziej kompetentnych, niż Żeromski“. (dosłownie: Towo, kto wzdumał — by roman Żeromskawo diełat' uczebnikom kommunizma ili sowietskij politgramoty, towo sledowało — by, konieczno otprawit' w sumasszedzsyj dom). Nie można pisać i mówić wyraźniej. Sądzę, że takie głosy wystarczą, by błakającą się jeszcze tu i ówdzie legendę o „komunistycznych zapędach“ autora „Papiołów“ pozbawić wszelkich realnych podstaw i przesłanek.

do stworzenia wielkich, wzniosłych, najczyściej polskich, z ducha naszego wyrastających idei, dokoła których skupiałaby się zwartym obozem młodzież, dziś pchająca się do więzień, ażeby w nich gnić i cierpieć za obcy komunizm. Nie zrozumiano mej przypowieści. Nie uderzyłem w sumienie, lecz tu i tam trafiłem w brzuch, tu i tam w serce poczciwe, niewiedzące, zaślepione. Nie zrozumiano ohydy, okropności, tragedji pochodu na Belweder, — sceny, przy której pisaniu serce mi się łamało. Koroną moich usiłowań stały się pochwalne artykuły w pismach moskiewskich, głoszące, iż przyłączyłem się do komunistów, poprostu i bez namysłu, jakbym się oto zapisał do cyklistów, albo esperantystów. Nie, panowie władcy Moskwy i panowie sympatycy władców Moskwy! Sprawa »niema tak dobrze«. Zawsze, wciąż, dawniej i teraz mówię to samo, iż tutaj w Polsce musimy wypracować, stworzyć, wydzwignąć, wdroić w życie idee, któreby przewyższyły moskiewskie, któreby dały naprawdę i w sposób mądry ziemię i dom bezrolnym i bezdomnym, któreby wydzwignęły naszą świętą, wywalczoną ojczyznę na wyżynę świata, gdzie jest jej miej ce¹⁾«...

W tym samym mniej więcej czasie przyznawał się, iż widzi zapowiedź lepszego w Polsce

¹⁾ W odpowiedzi Arcybaszewowi (ogłoszono 25. II, 1925).

Jutra »w regionalizmie t. j. w dążeniu do scentralizowania życia gospodarczego, kulturalnego i społecznego.. i w pracy pozytywnej zrzeszeń inteligencji«, która każe zamilknąć rozwydrzonemu partyjnictwu.¹⁾

Sprawy te — obok wyjaśnień głównych motywów »Przedwiośnia«, omówić miał w następnej swej powieści. Niestety — zamiarów swoich nie mógł już skutecznie. Zaniemógł ciężko w lecie r. 1925 w czasie pobytu swego w Kostancinie pod Warszawą, gdzie miał własną wилę. Grożącego niebezpieczeństwa nie udało się zażegnać najbardziej znanym lekarzom warszawskim.

Zmarł dnia 20 listopada r. 1925 w Warszawie, na zamku królewskim, gdzie zajmował przydzielone mu przez rząd kilkupokojowe mieszkanie. Bezpośrednią przyczyną śmierci był aneuryzm serca.

Prasa warszawska doniosła o jego śmierci w dodatkach nadzwyczajnych, nazajutrz zaś umieściła szczegółowe opisy ostatnich chwil życia wielkiego pisarza. Dowiadujemy się stamtąd, że w przededniu śmierci położył się trochę później, niż zwykle. Noc spędził prawie bezsennie. Nazajutrz — przed godzinę 11-tą wstał z łóżka na chwilę, zjadł śniadanie i przeszedł

¹⁾ Porównaj: Czasopismo „Czyn młodziety“ Nr. 2 za maj 1925. Wywiad p. t. *Słowa kilka ze S. Żeromskim.*

się kilkakrotnie po pokoju. Wkrótce jednak uczucie duszności zapędziło go do łóżka. W pewnej chwili zadzwonił na służącą, aby podniosła story okienne. Za nim jednak zastosowano się do tego życzenia, rozległ się w pokoju cichy jęk i rżenie. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Na dwa dni przed zgonem otrzymał pisarz pocieszającą i radosną wiadomość, że utwór jego dramatyczny »Uciekła mi przepióreczka« graną będzie po angielsku na scenie londyńskiej i że do książkowego wydania tego dramatu napisać ma przedmowę zachwycony Bernard Shaw.

* * *

Interesować nas może jeszcze pytanie, jak tworzył? Wiemy już, że nie lubił mówić o swej twórczości, ani nawet o zamierzonych pracach. »Jedynie pośrednio — pisze o nim w swem wspomnieniu Wacław Sieroszewski, — z napomnień w rozmowach oraz najbliższych mu osób, można się było dowiedzieć coś niecoś o sposobach jego pisarskiego budownictwa.

Gdy jakaś myśl, jakieś zjawisko społeczne, czy zagadnienie psychologiczne, czy wreszcie jakaś postać uderzy go — starał się bliżej mu przyjrzeć, zapoznać z nim. Robił to niezmiernie ostrożnie, po części przez wrodzoną sobą nieśmiałość, po części rozmyślnie, żeby nie spłoszyć

osób i uczuć śledzonych, nie pozbawiać się czaru bezpośredniości i wdzięku prostoty. Trzeba było widzieć Żeromskiego w chwili artystycznego zainteresowania: cichł naonczas, przyczajał się, mówił prawie szeptem i tylko jego czarne aksamitne oczy nabierały dziwnego wilgotnego blasku. W takich chwilach nigdy nie robił notatek, ale za to po przyjsciu do domu lub odejsciu osoby spisywał, jak mi mówił, — »całe stronice«. Takich notatek miał pełne szuflady. W czasach prześladowań rosyjskich, gdy należało spodziewać się lada chwili rewizji, skarżył się, że sprawiały mu one dużo kłopotu. Krył je w rozmaitych zakamarkach i schowkach tak, że pomimo dwukrotnej rewizji nic nigdy u niego nie znaleziono...

Ponieważ Żeromskiego interesowało wszystko, notatki nosiły bardzo rozmaity charakter. Miał zdolność do zgłębienia naraz wielu rzeczy i niekiedy komponował jednocześnie kilka nawet większych utworów. Zarysy zaś drobniejszych nowel i opowiadań nieraz w liczbie kilku leżały na dnie jego teki. Nie śpieszył się z wypuszczeniem ich. »Wierna Rzeka« parę lat czekała na ogłoszenie...

Zwolna, w miarę gromadzenia spostrzeżeń, przedmiot ogarniał go, pochłaniał. Zaczynała się

właściwie twórcza robota, która w pewnych momentach nabierała cech gorączki. Wtedy oddalał się, odsuwał się od ludzi, — niekiedy na tygodnie, a nawet miesiące. Ale zdarzało się też, że w apogeum pracy następowała nagła niewytłomaczona przerwa. Wtedy rzucał robotę i niekiedy lata czekał, zanim życie lub własna fantazja przyniosły mu niespodziewanie pożądane rozwiązanie. Brał naówczas ze skarbicy swoich wspomnień lub notatek inne tematy, ale na dnie, głęboko, pod powierzchnią innych prac i zainteresowań żyły wciąż i dręczyły go niedokończone obrazy i zagadnienia¹⁾.



Pogrzeb Żeromskiego stał się głęboką manifestacją narodową.

Wkrótce po zgonie, bo o godzinie 12 w południe zwłoki jego przeniesiono z mieszkania prywatnego do zamienionej na kaplicę sali kolumnowej Polskiego Klubu Literackiego na Zamku Królewskim. W tym uroczystym obchodzie wzięła udział najbliższa rodzina, grono przyjaciół, przedstawiciele świata literackiego

¹⁾ Porównaj: Wacław Sieroszewski w szkicu p. t. „Przy warsztacie” — „Tygodnik Hustrowany” Nr. 49/1925,

oraz liczna publiczność. Trumnę, przykrytą szklanem wiekiem, ułożono na katafalku, przybranym kwiatami, poczem złożono liczne wieńce. Wkrótce też zdjęto z trumny szklane wieko i wystawiono zwłoki na widok publiczny. Straż honorową pełnili członkowie Polskiego Klubu Literackiego.

O g. 5 popołudniu zamknięto przystęp do Zamku dla publiczności, poczem odbyła się podniosła uroczystość udekorowania zwłok wielką wstęgą orderu Polski Odrodzonej. Dekoracji dokonał ówczesny minister oświaty, Stanisław Grabski, w otoczeniu rodziny pisarza oraz przedstawicieli związków literackich, artystycznych i społecznych.

Nazajutrz, w dniu pogrzebu, padał od rana drobny deszczyk, mimo to jednak olbrzymi plac zamkowy szczelnie był wypełniony publicznością. O godzinie 1-ej w południe wyniesiono trumnę ze zwłokami na dziedziniec zamkowy i umieszczono ją tu na wysokim katafalku, udekorowanym czarnym kirem, i przykryto biało-amarantowym całunem z jedwabiu, poczem na przygotowaną zawczasu mównicę wszedł ówczesny minister oświaty i w długim przemówieniu, żegnając zmarłego pisarza, imieniem rządu, wyraził między innymi myśl, że życie i jednostek

i narodów nie jest nigdy wolne od ciężkich doświadczeń; gdy Opatrzność* ześle na nas jakieś doświadczenia, nie należy zamykać się w sobie tylko, bo zmagania dusz naszych byłyby lichemi i egoistycznemi bólami, lecz przeciwnie — złączyć należy nasz ból osobisty z dążeniami do udoskonalenia Narodu. A wtedy nie złamie on nas, lecz uszlachetni. I jeśliby przyszły na Naród najcięższe próby — nie można zwątpić. Naród zwycięży, aby tylko duch polski sam siebie się nie zaparł i nie uznał podłości. Z serca Żeromskiego, — mówił minister, z serca, które przestało bić w jego ciele, ale bije i bić będzie w sercach jego czytelników, idzie do sumień polskich ten właśnie nakaz.

Po przemówieniu ministra ruszył orszak pogrzebowy z placu Zamkowego — Krakowskim Przedmieściem, Miodowa, Senatorską, Elektorálną, Wolską i Młynarską na miejsce spoczynku na cmentarzu kalwińskim.

Na czele orszaku sunął oddział policji konnej, za nią zaś kompanja honorowa 30 pułku piechoty z orkiestrą, 1 pułk szwoleżerów ze sztandarem i orkiestrą, baterja 1 Dywizjonu Artylerji konnej, dalej zaś — kompanja policji pieszej, straż ogniowa i niezliczone delegacje z wieńcami, m. in. od Władysława Reymonta,

ządu Rzeczypospolitej i poselstw zagranicznych.

Następnie kroczyło duchowieństwo, poeci Leopold Staff i Kazimierz Wierzyński nieśli poduszkę z orderami zmarłego pisarza. Po bokach karawanu jechało czterech podoficerów, na koniach tuż przy nich szło dwudziestu czterech skautów z płonącymi pochodniami.

Za karawanem kroczyła rodzina, Prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski, rząd z premierem Skrzyńskim na czele, marszałkowie Sejmu i Senatu, korpus dyplomatyczny, liczni posłowie i senatorowie, generalicja z Żeligowskim, Hallerem, Konarzewskim i Minkiewiczem, wreszcie koledzy zmarłego — Makuszyński, Sieroszewski, Nowaczyński, Krzywoszewski, Lorentowicz, Ejsmond, Lechoń i inni oraz niezliczone i nieprzejrzone tłumy publiczności.

Pochowano go na cmentarzu kalwińskim w Warszawie. Na żelaznej płycie grobowej umieszczono krótki napis: »Tu spoczywają tymczasowo zwłoki ś. p. Stefana Żeromskiego.«

Sprawa ta wywołała szereg uwag i protestów na łamach prasy warszawskiej. Podnoszono, m. in., że »na kalwińskim cmentarzu Stefan Żeromski leżeć nie może, gdyż z kalwi-

nizmem duchowo nie miał nic wspólnego. Ród Żeromskich... nie należał nigdy do szlachty kalwińskiej, a wprost przeciwnie miał nawet bojowców ortodoksji. Ostatni z Żeromskich, jeden z ostatnich hetmanów piśmiennictwa polskiego, na wyznanie kalwińskie przeszedł, to prawda, formalnie, a raczej formalistycznie, — z duchową treścią wyznania kalwińskiego nic go nie łączyło, ni wiązało. W tym wypadku więc, przy tym splocie okoliczności, trzebaby znaleźć jakieś wyjście z zawikłanej sytuacji i uzyskać może u władz kościelnych wyjątkowy consensus na pochowanie Go na cmentarzu katolickim, za nim zadecyduje się, gdzie defitywnie spocznie jeden z najzasłużeńszych, najrdzenniejszych polskich pisarzy...*

Przy tej sposobności zwracam uwagę, że Żeromski za życia swego wyrażał niejednokrotnie życzenie, by prochy jego zamurowano w mauzoleum w Nałęczowie, obok prochów ukochanego syna, w cichym sadzie na »Górze Armatniej« wśród krajobrazu, który był dlań najpiękniejszym pod słońcem.

Niestety, w sprawie tej napotkano na wielkie, nieprzewyciężone trudności.

W listopadzie r. 1927, w związku z drugą rocznicą śmierci wielkiego twórcy »Popiołów«,

członkowie rady familijnej nad małoletnią córką jego, Moniką, podali do wiadomości publicznej, co następuje:

»Zwłoki ś. p. Stefana Żeromskiego pochowane zostały w grobie tymczasowym. W przeciągu dwóch lat kwestja przeniesienia prochów Wielkiego Pisarza nie została przez społeczeństwo rozstrzygnięta i uregulowana. Wobec faktu, iż zwłoki te dalej w grobie tymczasowym spoczywać nie mogą, okazała się potrzeba pomieszczenia ich w grobie indywidualnym«, co też i nastąpiło w dniu 20 listopada 1927 r.¹⁾

Żałobna uroczystość przeniesienia zwłok z katakumb do stałego grobu odbyła się w obecności najbliższej rodziny pisarza oraz licznych przedstawicieli polskiej literatury i piśmiennictwa. Nad otwartą mogiłą przemówił superintendent pastor Semadeni, po nim zabrał głos Andrzej Strug, który według słów sprawozdania prasowego, — »w podniosłych słowach mówił o olbrzymich zasługach Żeromskiego, o jego stanowisku w literaturze polskiej, o wpływie,

¹⁾ List ten umieszczony został w prasie warszawskiej 18 listopada 1927 r. Datowany jest 17. XI. 1927, a podpisany przez członków rady familijnej w osobach Zenona Przesmyckiego, Władysława Skoczylasa, adwokata Tadeusza Tomaszewskiego, adw. Adama Nagórskiego i architekta Bogumiła Rogaczewskiego.

jaki miały dzieła zmarłego pisarza na współczesne pokolenie, stojące dziś na czele narodu.« Po przemówieniach grobowiec zamurowano i zamknięto skromną płytą z czarnego granitu, pochodzącej z rozbiórki soboru prawosławnego na placu Saskim w Warszawie, a ofiarowanej na ten cel przez prezydenta miasta stoł. Warszawy. Wryto na niej dwa tylko słowa: »Stefan Żeromski.«

Sprawa więc nie została załatwiona definitywnie, gdyż i tego miejsca spoczynku nie można uważać za stałe. W związku z tem grono osób, zaprzyjaźnionych z pisarzem za jego życia, poczyniło kilka dalszych kroków, a o rezultacie swoich starań powiadomiło społeczeństwo w liście otwartym, ogłoszonym w czerwcu r. 1928 w związku z uroczystością odsłonięcia pomnika pisarza w Nałęczowie.

»W drugą rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego, — czytamy w tym liście, — opieka nad małoletnią jego córką zorganizowała przeniesienie prochów wielkiego pisarza z katakumb do grobu stałego na cmentarzu Kalwińskim. W odpowiedzi na głosy prasy w tej sprawie członkowie opieki uczynili gorzki i sprawiedliwy wyrzut społeczeństwu, że dotychczas nie interesowało się miejscem wiecznego spoczynku jednego z największych w. Narodzie.

Wprawdzie ukazywały się w różnym czasie, w różnych pismach odosobnione głosy, że należy przewieźć prochy Żeromskiego do Nałęczowa, do kaplicy, którą wybudował na grobie syna, — wprawdzie w drugą rocznicę ukazał się szereg artykułów, również poruszających sprawę przewiezienia zwłok Żeromskiego do Nałęczowa, głosy te jednak nie znalazły odzewu w stolicy, a listu otwartego p. Jana Witkiewicza, ogłoszonego w jednym z dzienników, żadne pismo nie przedrukowało. Poza Warszawą odezwało się tylko parę pism¹⁾.

Na postawiony społeczeństwu zarzut, że się nie interesuje miejscem wiecznego spoczynku Żeromskiego, musiało z natury rzeczy zareagować to społeczeństwo, wśród którego spędził lata pierwszego rozwoju i największego rozkwitu

¹⁾ Nie będzie tu, mam wrażenie, rzeczą zbyteczną przytoczenie listu p. Jana Witkiewicza — w dosłownym brzmieniu:

„Szanowny Panie Redaktorze!

Najuprzejmiej proszę, w imię czci dla ś. p. Stefana Żeromskiego, o wydrukowanie poniższych słów w swem szanownem piśmie.

W Nr. 263 „Kurjera Czerwonego“ z dnia 15 b. m. umieszczona jest wiadomość o przeniesieniu zwłok śp. Stefana Żeromskiego do nowego grobowca na cmentarzu Kalwińskim. Autor kończy artykuł słowami: „sprawa ta okryta jest niezrozumiałą tajemnicą: Po co ta konspiracja?

Wiadomą jest rzeczą, że zwłoki ś. p. Żeromskiego złożone zostały w tymczasowym grobie i że dlatego komitet pogrzebowy się nie rozwiązał, aby się troszczyć

swej twórczości wielki pisarz, gdzie tyle działał, jako społecznik: odezwało się społeczeństwo lubelskie. W Lublinie powzięto uchwały co do sprowadzenia zwłok do Nałęczowa.

i zdecydować, gdzie ostatecznie złożyć na wieczny spoczynek jednego z największych w narodzie. Wiemy, że komitet nie zrzekł się swego zaszczytnego obowiązku i że nie komitet zajmuje się sprawą przeniesienia trumny zmarłego do innego grobu, bo komitet zabiłby to jawnie i pomyślałby o innym miejscu wiecznego spoczynku dla Żeromskiego, — o Panteonie.

Pragnąłbym, by każdy, kto czei Żeromskiego jako twórcę, kto Go choć trochę rozumie, kto żył, cierpiał, kochał i jakby rodził się nanowo, czytając Jego utwory, lub z Nim rozmawiając, — chciał zrozumieć, co powiem:

Dla Żeromskiego zamało Panteonu, w którym z urzędu jakby, spoczną z ciałem inni, nie zawsze Jemu równi!..

Żeromski należy do takich w Narodzie, dla których Panteonem może być jedynie coś, co powstało z wielkiego uczucia lub z czem zbiorowe uczucia, wspomnienia lub tradycja są związane. Żeromski musi spocząć tam, gdzie się coś wielkiego działo, z czem jest związana bezgraniczna miłość Polski, cierpienia ludzkie, zmagania, wielkie idee

Taki Panteon może być miejscem wiecznego spoczynku Stefana Żeromskiego, — tylko taki, gdzie jest dusza!

Nasze Polskie Panteony są niestety, dla Żeromskiego zamknięte. Może po latach, z wyżebranych składek, sum oszczędzonych w różnych budżetach, stanie jakiś Panteon oficjalny. może nawet wielkie dzieło sztuki.

Dla Żeromskiego taki Panteon byłby zimną, bezduszną, bez tradycji mogiłą!

Żeromskiego, powtarzam, trzeba pochować w miejscu, które ukochał przedewszystkiem. Takim, jedynym obecnie miejscem, jest grobowiec Jego syna, śp. Adama, w Nałęczowie.

Uważam za swój obowiązek, wobec bardzo mi drogiej pamięci Stefana Żeromskiego, dać świadectwo prawdzie. Prosił mnie, jako budowniczego i przyjaciela, o zrobienie projektu grobowca ś. p. syna Adama. Powiedział, że pragnąłby i sam obok spocząć. Zgodnie z Jego wolą kaplica została zbudowana. Po przeniesie-

Pozatem wojewodzie lubelskiemu, a także ministrowi Składkowskiemu za jego bytności w Nałęczowie, złożył swe zeznania majster

niu do tej kaplicy trumny ze szczątkami ukochanego syna, Żeromski długo kłechał sam przed zamurowaną już płytą grobową, a potem, wychodząc z kaplicy wskazał murarzom ręką miejsce i powiedział: „tu mnie kiedyś zamurujecie“.

Czy te słowa, takiego człowieka, w tak strasznej chwili nie są w stanie nikogo wzruszyć? Czy to nie jest nakaz, — wyraźny nakaz dla tych, co rzeczywiście czczą pamięć i wielkość zmarłego? Czy z tem się nie należy liczyć? Przecież żyją ci, co te słowa słyszeli i żyją także inni, wiarogodni, którym ś. p. Żeromski mówił, że chce spocząć obok syna. Parę osób pisało o tem i mówiło nawet na posiedzeniu komitetu pogrzebowego. Ja też uważałem za swój obowiązek zaraz zakomunikować komitetowi, jaką była wola zmarłego. Później milczałem, wobec tego, że miejsce wiecznego spoczynku miało być tymczasowe i że komitet się nie rozwiązał.

Gdyby droga do Katedry, na Wawel, lub Skalkę otwarła się jakąś potężną wolą, nie poruszałbym tej sprawy, ale wobec nowej „tymczasowości“ mam obowiązek przypomnieć społeczeństwu i komitetowi istotę sprawy.

Kaplica w Nałęczowie jest zbudowana na morderze gruntu, będącej własnością śp. Stefana Żeromskiego; jest tam także „chata“ — domek jednoizbowy — gdzie powstało tyle wielkich utworów i gdzie obecnie tworzy się muzeum pamiątek po Żeromskim. Wszystko jest otoczone, zgodnie z wolą, wyrażoną w testamencie zmarłego, ogrodzeniem żelaznem. Całość, pod prawną opieką instytucji społecznej, bliskiej ideowo zmarłemu, będzie poświęcona tylko Jemu — Żeromskiemu.

Mamy przykłady, że inni Wielcy chcieli samotnie spocząć. Chciał tego i Żeromski.

Czy większą cześć okażemy Wielkiemu Człowiekowi, gdy Go położymy w zgiełkliwym mieście, gdzie grobowiec Jego odwiedzać będą tłumy jako jedną z pośród innych osobliwości stolicy? Na to wystarczy pomnik. Stokroć większą wartość będą miały te specjalne pielgrzymki młodzieży, nauczycieli, robotników, artystów i innych do samotnego grobu. Tam będą myśleli tylko o nim i o tem, co stworzył w Nałęczowie. Bo tam powstała idea regionalizmu, tam był pierwszy

murarski p. Łuka, który budował grobowiec i któremu Żeromski mówił, że chce tam być pochowany¹⁾. W Nałęczowie zostały zebrane podpisy, a na zebraniu uchwalona została odpowiednia rezolucja. Wreszcie w m. Wąwolnicy w gminie nałęczowskiej na zebraniu gminnym, na które przybyło około 2000 ludzi, zapadła uchwała o miejscu wiecznego spoczynku Żeromskiego. Jest to zapewne *pierwszy wypadek na świecie*, aby lud wiejski, z natury trzeźwy, potrafił okazać tak wielkie zrozumienie dla genjusza i obywatela. Biorąc tę akcję za podstawę i bodziec, przedstawiciele Nałęczowa w osobach p. Z. Kożuchowskiego, prezesa T. A. Z. leczn. Nałęczów dra K. Szokalskiego i p. Julji Łypacewiczowej złożyli wicepremierowi Bartłowi memorjał z prośbą, aby rząd zajął się sprawą przewiezienia zwłok

uniwersytet powszechny, tam naprawdę powstały „Dzieje Grzechu“ i „Róża“ i „Słowo o Bandosie“ i żywa „Przepióreczka“.

Czyż nie jest słuszne, by spoczął tam, gdzie osiągnął szczyty swego twórczego genjuszu i uczucia i gdzie najwięcej stracił, tracąc syna, którego uznawał za „swego najsurowszego krytyka“, — któremu poświęcił „Wspomnienia“.

Czyż byłoby w tem coś zdrożnego, gdyby ci dwaj, jedyjni dla siebie ludzie, spoczęli obok siebie na wieki?

I czy istnieje obecnie dla spokoju Jego ducha wyższy Panteon uczucia?

(—) Jan Witkiewicz, architekt.

P. S. Proszę inne pisma o przedrukowanie powyższego listu w całości.“—

Cytuję według warszawskiego „głosu Prawdy“ Nr. 316 z dnia 17 XI. 1927 r.

¹⁾ O życzeniu tem krótką wzmiankę znaleźć można w E. L. Migasińskiego — „Wspomnieniach O Stefanie Żeromskim“, (przyp. autora).

do Nałęczowa. W związku z tem napisał również do p. ministra Bartla gorący i przekonujący list znakomity pisarz i przyjaciel Żeromskiego — Wacław Sieroszewski. U p. Bartla była również delegacja od miasta i od organizacji lubelskich. Równocześnie pod odpowiednią petycją została złożona do p. Bartla znaczna ilość podpisów różnych wybitnych osób w Warszawie.

Ostatnio komitet nałęczowski znowu rozpoczął gorętszą akcję w związku z dwoma faktami. Pierwszy,— to odsłonięcie pomnika Żeromskiego w Nałęczowie, drugi— to wystąpienie niejakiego p. Tajchena z listownemi pretensjami do wdowy po Żeromskim, p. Oktawji z Radziwiłłowiczów Żeromskiej, — że grób, gdzie na cmentarzu kalwińskim spoczywa trumna Żeromskiego, jest grobem rodzinnym Koenigów i że tylko on jeden, p. Tajchen, ma do niego prawo.

Ponieważ p. Żeromska zawsze pragnęła, by jej mąż spoczywał na wieki obok ich syna Adama i na państwowy pogrzeb wpływu nie miała, odpowiedziała p. Tajchenowi, aby się zwrócił do b. komitetu pogrzebowego.

Dla komitetu nałęczowskiego fakt, że prochy Żeromskiego są znowu w czyimś obcym grobie, *gdzie ich nie chcą*, był nowym bodźcem do akcji.

Wychodząc z założenia, że wielki człowiek po śmierci jest własnością tylko Narodu, udali się do ministra Dobruckiego i do departamentu sztuki i kultury. Znaleźli tu żywe zrozumienie i obietnicę urzeczywistnienia starań. Jednak minister wyraził zdanie, że należy zapytać koniecznie p. Annę Żeromską (drugą żonę pisarza, — przyp. autora), która początkowo p. Skotnickiemu, dyrektorowi departamentu sztuki i kultury, a później specjalnej nałęczowskiej delegacji, złożonej z p. Jackowskiego, Łuki i dr. Szokalskiego odpowiedziała, że na przewiezienie zwłok do Nałęczowa nie zgadza się.

List ten, datowany w Warszawie dn. 12 czerwca 1928, podpisany jest przez p. Julję Łypacewiczową, Zdzisława Kozuchowskiego, Mieczysława Strasburgera i dra Kazimierza Szokalskiego.

* * *

Na zakończenie chciałbym powiedzieć słów parę o uroczystości odsłonięcia w Nałęczowie pomnika Stefana Żeromskiego. Uroczystość ta odbyła się w niedzielę 17 czerwca 1928 r. Przybyli na nią — małżonka pisarza z córką Moniką, minister oświaty p. Dobrucki, marszałek Senatu p. Szymański, wojewoda lubelski p. Remiszewski, dowódca korpusu lubelskiego p. generał Jung, prezydent miasta Lublina p. Pączek,

przedstawiciele literatury, sztuki, prasy, organizacji społecznych tudzież nieprzeliczone rzesze okolicznej ludności wiejskiej. U stóp pomnika przemawiali — »czcili wpomnieniami wielkiego pisarza« — jego przyjaciel osobisty, któremu w »O Adamie Żeromskim wspomnieniu« — poświęcił tyle słów ciepłych i serdecznych, — dr. Kazimierz Szokalski, — p. Skotnicki w imieniu ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, prof. Ujejski, reprezentujący Towarzystwo Naukowe i Kasę im. Mianowskiego, — następnie zaś Andrzej Strug, Juljan Ejsmond, Włodzimierz Perzyński i wielu innych.

Przytoczę tu bardzo silne i piękne przemówienie Jana Lechonia, reprezentującego w uroczystości młodą polską literaturę.

»Patrząc na wyobrażenie rysów Stefana Żeromskiego, — wszyscy, którzyśmy mieli to niezapomniane szczęście, żeśmy widzieli i słuchali Stefana Żeromskiego, wspominamy go i myślimy, przez jaką wąską przeszedł granicę od życia do śmierci. Stefan Żeromski, żyjąc między nami, biorąc w siebie cierpienie i nędzę najbiedniejszych, schodząc z bezcenną radą i pomysłem do fundamentów budującego się życia, już wtedy był w tym świecie, z którego teraz duchem swym uczestniczy w niezmożonem zmaganiu się z małością nas samych, z nieujawnioną siłą przyrody, z potęgami ciemnoty i grzechu.

Ten pomnik tak samo tylko wyobraża Stefana Żeromskiego, jak on sam, ciałem swem, nazawsze już od nas odeszłym, wyobrażał tylko cudownie potęgę nieśmiertelną, zamkniętą w nim docześnie, ale na wieki w jego dziełach, w rodzących siłach tej ziemi, w nieukojonych tęsknotach i nieustannej walce ludzkości. W jego książki cała nasza ziemia od pól do morza tchnęła swoje zapachy i kolory, burze i pogody, jego głosem użalali się swej śmierci zasmagani nahajami, zawisli na szubienicach, jego pańskie słowo prawowało się o głód nędzarzy i hańbę zbrodni, w nim była przyszłość nieznana, ale lepsza i mądrzejsza.

Więc kiedy nie będzie tu już nikogo, komu ten granit przypomni, dla nas niezapomniane, dumne czoło Stefana Żeromskiego, jego oczy, pełne naszych smutków, a zawsze wpatrzone w jutro, kiedy przyjdą tu ci, dla których Żeromski cierpiał, aby oni nawet nie mogli pojąć jego cierpień, wtedy nawet i nigdy nie będzie ten pomnik pamiątką przeszłości. Bo Żeromski umrze dopiero wtedy, kiedy wypełni się ból i wyrówna krzywda tego świata¹⁾.

Jeśli chodzi o pomnik — to jest on skromny niezwykle. Cokół z czerwonego granitu, — z bloku białego kamienia wyłania się bronzowa, oksy-

¹⁾ Cytuję według warszawskiego „Kurjera Porannego“ Nr. 168 z dn. 18 czerwca 1928.

dowana na ciemno maska wielkiego pisarza. Projektował ją Jan Witkiewicz, rzeźbił Aleksander Żurkowski.¹⁾

Zdobył się na to Nałęczów, gdzie autor »Popiołów«, — »jako młodzieniec, korepetycje w domu pp. Górskich udzielając, duszę w rozmyślaniach hartował, gdzie następnie w latach rewolucji czyn pełnił i do czynu pomagał, gdzie z krwawo zdobywanych zarobków ochronę dla dzieci budował, gdzie pisarskie arcydzieła tworzył, gdzie go wreszcie cios nad miarę bolesny w śmierci syna dotknął«. Ale, — jak to słusznie podniósł uczestnik tej uroczystości w prasowym z niej sprawozdaniu. — Żeromski nie żył wyłącznie dla Nałęczowa. »Skarbami myśli i słowa rzucił na całą Polskę, duszę swą całą Jej oddał. Od całej też Polski należy mu się wdzięczność. W jej sercu — stolicy — winien stanąć godny jego wielkości pomnik. Puścizną jego duchową winno się zająć i ją kultywować w porozumieniu z tymi, których najbliżej — ludzkim kochaniem kochał — państwo?²⁾

¹⁾ Por.: „Kurjer Poranny“ Nr. 168 z dn. 18. VI. — 1928 r.

²⁾ Ibidem.

TWÓRCZOŚĆ STEFANA ŻEROMSKIEGO

„Bo ja w każdej minucie mego życia zdobywam i tworzę Ojczyznę. I zawsze czuję tak, jakby się we mnie mocował ze samym sobą cały naród polski“

„*Sułkowski*“ akt IV.

<http://rcin.org.pl>

PIERWSZE BOJE

*„Rozdziobią nas kruki-wrony“, — „Echa
leśne“, — „Mogila“ — „Szyzyfowe prace“, —
„Opowiadania“, — „Promień“, — „Ludzie
Bezdomni“, — „Utwory powieściowe“, —
„Aryman mści się“.*

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

Gdybym miał w jednym zdaniu, krótko i zwięźle, określić istotę twórczości Stefana Żeromskiego, sięgnąłbym po — nieczytany, nie-
-tety, w Polsce, -- tom poezyj Cyprjana Nor-
-wida i wypisałbym stamtąd słowa następujące:

Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica,
Tam jest mój środek dziś, tam ma stolica
I tam mój gród..

Tym środkiem, tą stolicą i grodem była dla Żeromskiego Polska ujarzmiona, wydana — według określenia Antoniego Chołoniewskiego — na łaskę i niełaskę bezmiernej pychy zwycięzcy, ujęta w potworną kuratelę gwałtu, smagana biczem prześladowań i upokorzeń, — Polska, kraj niezliczonych szubienic, mogił i krzyżów z jego cierpieniami, bólem i rozpaczą, z jego nadziejami i zwątpieniami, z jego wzlotami i upadkami.

Z tej właśnie Polski powstał Żeromski. Miał w sobie »jej trud, jej tajemniczy jęk«, idący z głębin najdalszych, —

»zabrał z jej chat

Żalniki łez

I czekał, kiedy przyjdzie wybawienia kres.
 Z jej szumiących zbóż
 Zgarniał ten dziwnie przejmujący szum
 i w swoich dum
 Treść go zamykał —
 I w świat,
 Jak wielką świętość niósł...¹⁾

Nie byłem sam nigdy, — mówi o sobie. Byłem zawsze, jak dobośz, który biegnie bez tchu obok spracowanego szeregu, znany takt wybijając pałkami. W twórczości jego skupił się i wykrystalizował cały ból, męka i rozpacz, nędma i łzy pokoleń przeszłych, niewolnych, cierpiących.

Jego dzieło literackie — jak to już niejednokrotnie podnoszono — jest »wiernem zwierciadłem wewnętrznych i zewnętrznych dziejów polskich« — na przestrzeni lat stukilkudziesięciu. Postarajmy się pokrótce, w kilku słowach, streścić tę twórczość. O czymżeż nam mówi? W opowieści »O żołnierzu tułaczu«, — w »Popiołach« i w »Sułkowskim« opowiada o epopeji napoleońskiej, a raczej — o polskim w tej epopeji udziale. W »Popiołów sprawie drugiej«, — we »Wszystko i nic« mówi nam o tragedji założonego przez Walerjana Łukasińskiego »Towarzystwa Patrijotycznego«, — w skonfiskowa-

¹⁾ Słowa Jana Kasprowicza.

nych »Iskrach« — za temat obrał dzieje nocy listopadowej. W »Turoniu« przeraził nas raz jeszcze krwawym upiorem Jakóba Szeli, — w »Wiernej Rzece«, w »Echach leśnych« i w »Rozdzióbią nas kruki wrony« opowiedział o męczeństwie i bohaterstwie tych, co w r. 1863 błakali się, walczyli i umierali wśród lasów i pól, z nich sobie czyniąc jedyny pomnik swój i sarkofag. »Mogiła« i »Syzyfowe Prace« — to przede wszystkim dokumenty historyczne, mówiące nam o beznadziejności okresu powstańczego, o zwątpieniu, bierności i apatji starszego pokolenia, o walkach rozpaczliwych młodzieży szkolnej ze stosowanym względem niej systemem rusyfikacji, o jej klęskach i triumfach, smutkach i radościach. »Promień«, — »Ludzie Bezdomni« i długi szereg utworów pomniejszych, jak »Siłaczka« i »Dr. Piotr«, są takimiż dokumentami w odniesieniu do okresu reakcji przeciwko ideologii pozytywistycznej. W »Róży«, w »Nokturnie«, »Snie o szpadzie«, a częściowo i w »Dziejach grzechu« przeżywamy okres poczynań rewolucyjnych z r. 1905. Dalszy etap narodowego życia — od rewolucji do odzyskania niepodległości — znalazł dla siebie wyraz w trylogji »Walka z Szatanem« — zwłaszcza w dwóch jej częściach ostatnich — w »Zamieci« i »Charitasie«.

Widzimy więc, że twórczość Żeromskiego zamyka się prawie zupełnie w tragedji niebytu państwowego Polski. Widzimy, że »zanotowane w niej są, przedstawione i odczute wszystkie etapy polskiej raczej niedoli, niż doli, okazane i poparte wszelkie wysiłki duszy polskiej, brojącej się przed niewolą, przeciwstawiającej jej bierne trwanie, organiczniczkowską pracę, wyzwolenicze wysiłki; wyjawione są trudy duszy, która sama siebie szuka, sonduje i umacnia, nadśluchuje, co jej podszeptnie głos sumienia, i życie swe podług tego głosu układa. Dzieje narodu wewnętrzne, przemiany psychiczne, społeczne przekształcenia, dzieje świadomości zbiorowej i indywidualnej... — wszystko to odbija się w twórczości Żeromskiego, jak w czystej, głębokiej, rwącej wodzie«. ¹⁾

Ze względów zrozumiałych odbicie najsilniejsze znalazł okres od upadku powstania styczniowego do odzyskania niepodległości. »Dziś — pisze o nim Antoni Potocki²⁾ — po dniach wielu i po latach wielu tej spowiedzi za legion, - pokolenie całe i niemiała część stającej się Polski, — rozpozna dzieje własnego dojrzewania i upadku, stacja po stacji, mękę własną bezpłodną lub twórczą rozpozna w tym

¹⁾ Porównaj: Włodzimierz Jampolski — „Stefan Żeromski. Duchowy wódz pokolenia“ str. 18.

²⁾ Porównaj: Antoni Potocki: „Polska literatura współczesna“. Tom II, str. 49.

szeregu postaci Żeromskiego — postaci, które zarazem czyż nie były za każdym razem skryształizowaniem ciężkich, jak łza, krwawych, jak rana, wzniosłych, jak szczyt krzyża, momentów sumienia polskiego«.

Przeraźliwie smutnym obrazem zgonu styczniowego powstania otwiera Żeromski dzieje swej twórczości. W krótkiej, pełnej tragizmu noweli p. t. *„Rozdziobią nas kruki wrony“* przedstawia moment upadku sztandaru powstańczego, moment rozsypywania się w gruzy gmachu naszych marzeń i nadziei niepodległościowych.

Oto dzień szary i dżdżysty, dzień beznadziejnie, bezbrzeżnie smutny, jak ówczesna rzeczywistość polska. W okolicy płaskiej, pustej, posępnej, — »pod powodzią chmur, gnanych przez wichry«, — błąka się ostatni polski powstaniec Szymon Winrych. »Przez dwie noce już czuwał i trzeci dzień wciąż szedł« przy drabiniastym wozie, na którym pod trochą siana i słomy ukrył broń. Przemycił ją dla »leśnych« ludzi.

Powstanie dogorywa. Wielu już legło w ziemi na sen wieczny, wielu odeszło już i wciąż jeszcze idzie na północ, w dalekie kraje sybirskie, szlakiem, którym ongi ciągnęły ze śpiewem radosnym chorągwie Batoiego, Żółkiewskiego, Napoleona. Ci zaś, co się po lasach jeszcze kryli, popadli już w abnegację i zwątpienie

o wszystkim. »Wszystko runęło już na łeb w bezdenną jamę trwogi«. Lada dzień rozlecą się na cztery strony świata. Pójdą w rozsypkę, skoro im tylko Winrycha zabraknie. Bo to on tylko trzymał ich w kupie, wspierał i podniecał. Jeżeli kto jeszcze na tej ziemi walczył w zupełnem znaczeniu tego słowa, to tylko on, Szymon Winrych. On jeden nie upadł na duchu, — przeciwnie, — czuł w sobie upór zuchwały, bolesny, prawie szalony.

Ale napróżno! Straszna jest przemoc! I on również musi zginąć albo ulec. Innego wyjścia niema!

Spostrzeżony przez oddział ułanów rosyjskich, daremnie usiłuje umknąć. Otoczony przez nich, nie broni się już i ginie, przebity lancami.

Przestało bić bohaterskie serce, ostatnia twierdza polskiego powstania. Kruki i wrony, zlatujące się ze wszystkich stron na żer obfity, zajrzą do wnętrza mózgu, — »do siedliska wolnej myśli« i zeżrą je zupełnie. Chłop, — »podobny do dzikiej szarej bestji«, — jeden z tych pokrzywdzonych i uciemieżonych, którym Winrych niósł wolność i lepszą dolę, obedrze trupa ze zgrzebnych szat i wrzuci go do dołu kartoflanego.

Pan Teofil Wojeński w swym rozbiorze treści ideowej pism Wielkiego Pisarza stwierdza, wślad za innymi zresztą, że w noweli tej daje

Żeromski niezwykle silny wyraz tragedji niewolnego bytu polskiego. Dodam od siebie: — nie znam w literaturze polskiej utworu, któryby w sposób równie prosty, zwięzły i pozbawiony wszelkiej atrakcji konkretyzował grozę położenia politycznego, w jakim znalazła się Polska po upadku powstania styczniowego. Jest to — według słów samego Żeromskiego — potężna i ponura symfonia, która z władzą i siłą, równą władzy i sile muzyki, — odchyła czarną zasłonę skonu polskiego powstania.¹⁾ Już z pierwszych kart noweli wieje na nas prawdziwe *taedium vitae*. Głodny, obdarty powstaniec, kroczący w zamyśleniu przy swoim wozie, w miarę zbliżania się okropnej śmierci, urasta w oczach naszych do rozmiarów bohatera ponad miarę ludzką, nabiera cech symbolu. On — Szymon Winrych — to cała walcząca Polska. Bo to on przecież wbrew woli i dążeniom »metafizyków reakcji« i »proroków ciemnoty«, nie wierzących w pomyślny dla nas wynik powstania, ujął w dłoń znamię buntu i trwał na zajętem stanowisku przez ośmnaście miesięcy. Czujemy, że męczeński jego zgon, — równoznaczny jest z upadkiem powstania, że sprowadzi na Polskę sroższą jeszcze niewolę, a może nawet i zupełną zagładę. I dlatego właśnie obraz leżącego w pustej okolicy

¹⁾ Stefan Żeromski w przedmowie do „Krujaków“ Marji J. Wielopolskiej.

trupa, nad którym wlatują, spadają, krążą całe gromady drapieżnego ptactwa, budzi w nas, a raczej potęguje jeszcze uczucie beznadziejności i smutku. Symboliczny charakter nosi również obraz kruków i wron, dobijających się zapamiętałe do czaszki poległego powstańca: to nie tylko sfory moskiewskich siepaczy, którzy rzucą się na ociekające krwią ciało Polski, — to także nasi rodzimi »metafizycy reakcji« i »procy ciemnoty«, — którzy wobec poniesionej klęski nie omieszkają cisnąć kamieniem potępienia w tych, co polegli i w tych, co odeszli na Sybir, — na nich zwałą całą odpowiedzialność za tragiczne następstwa powstania, a »na widok publiczny ukażą i ku czci oraz naśladowaniu podadzą«, swój, — żal się, Boże! — »rozum polityczny«, — swój »patryjotyzm« i swoje »cnoty«. Symbolem nieświadomości ludu wiejskiego, jego obojętności na sprawy powstania oraz niezrozumienia tragedji narodowej — jest chłop, podobny »do dużej, szarej bestji«, obdzierający ze szmat zgrzebnych poległego powstańca i »głęboko, prawdziwie z całej duszy wielbiący Boga za to, że »w bezgranicznem miłosierdziu swoim zesał mu tyle żelaztwa i rzemienia«.

Zginął Winrych! Z chwilą jego zgonu zgaśnię szybko zorza, co jaśniała nad Polską w czasie trwania powstania. Z za świata przyjdzie noc, rozpacz i śmierć...

Powstanie stłumione. »Wszystko przełajdane — szeptał do siebie w przedzgonnej chwili Szymon Winrych. Przegrane nie tylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącymi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcji i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyłby się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbója i zdrajcy, tyle z niego wywleką, na widok publiczny ukazą i ku czci oraz naśladowaniu podadzą. I pomyśleć, że to my taki sprawiliśmy postęp wyobrażeń, ponieważ przegraliśmy«...

Zwycięski wróg triumfuje: oto zbliża się ciężkim, niezłomnym krokiem, żagiew zniszczenia i zagłady trzymając w dłoni, — oto, jak zwierz drapieżny i natrętny, rzuca się na pierś narodu, żelaznemi szponami wpija się w drgające ciało, złopie krew, — aż wreszcie— pijany szalem i nienawiścią — puszcza się w tany, — »wyrzuca koleńca« na gruzach naszych nadziei i marzeń.

A naród? Naród pobity, biedny, nieszczęsny, jakby urzeczony wizją potęgi wroga, oczekuje cierpliwie chwili zagłady. Do walki nie wyjdzie już nikt. Tysiące zginęły, tysiące umierają z tęsknoty w tajgach sybirskich. Ci zaś, co się

wyratowali z rozbicia, wobec przemocy losu — złożyli broń. Znikli, schowali się za całunem strachu i w sercach swych nie mogli dojrzeć nic, oprócz rozpacz i beznadziei.

W dusze splotnęła noc. O świcie nie myśli nikt, nie wierzy, aby mógł kiedykolwiek za-jaśnieć. Co raz mocniej zasypia naród polski. A »dobrze jego snu bagnet strzeże i zabobon«. Bo tylko już »bagnet na tej ziemi o wszystkim stanowi«. ¹⁾

Daremnie mogiły bezimienne rzucać będą w pustkę pól rozpaczliwe pytanie:

»Kiedyż uniesiem głów ponad zbroczone wezgłowie, kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sławy koronie, — któż nam odpowie?« ²⁾

Daremnie! Wołania nie usłyszy nikt! Nędza życia polskiego przyniesie im straszną odpowiedź:

»Nikt wam nie zmaćci snów, — grobom, wkopanym w mogiły, — mocy, straconej w dół zgniły! Niewola idzie przez sioła, niewola idzie przez miasta, — szlak wasz szalejem zarasta — nikt was nie woła!...« ³⁾

Czyżby naprawdę noc, rozpacz i śmierć? Daremnyż był ich trud, i znój, i zgon ich męczeński? Zaliż naprawdę ich prometejski wysiłek

¹⁾ Stefana Żeromskiego „Róża“ — Prolog.

²⁾ Ibidem.

³⁾ Ibidem. <http://rcin.org.pl>

był samotny, przypadły i szkodliwy? Zaliż naprawdę niema wśród plemienia nikogo, ktoby złoty ich sen z rąk skostniałych w swe dłonie wziął i urobił go w lepszą formę?

— Ocknij się, narodzie polski! — wołają mogiły.

Święte kości nie zaznają spokoju w tej „ziemi spodłajej«. Płoną w niej podziemnym płomieniem. Dobywa płomień ten z głębokich łółów, z niedostępnych szańców głucha noc, dąca na polskie plemię. Proszą się z mogił, po kraju rozrzuconych, do „niegodnych« ust święte kości poległych żołnierzy. Każą czynić ze siebie »muzyczne narzędzie, piszczel trwożąca i na niej grać plemieniu polskiemu, kiedy się kładzie do swego starego snu,—głos nocny — nokturn polski¹⁾.

W „*Echach leśnych*“ jesteśmy świadkami ataku ducha, owiewającego świeże, bezimienne mogiły, na pogrążone w abnegacji i zwątpieniu dusze rozbitków popowstańczych.

Jesteśmy w puszczy kieleckiej. Przy ognisku, rozłożonem tuż pod borem, siedzi kilka osób. Ludzie ci czekają na zakończenie roboty w lesie, na ścięcie kilkudziesięciu jeszcze jodeł, wyznaczających kierunek nowej linii granicznej.

Wszyscy w humorach nienajgorszych. Zmęczeni całodzienną pracą, spożywają z apetytem

¹⁾ Porównaj: Stefana Żeromskiego — „*Nokturn*“.

kolację, przyniesioną z pobliskiego dworu: pałaszują kurczęta i platy pieczeni, — »spuszczają«, przymknąwszy oczy, — »kielichy bretnalówki«, — »zagryzają je« szklanicami piwa, a rozgrzewają się herbatą z arakiem. Geometra Knopf zabawia zebranych »kwaskowato — dowcipną« anegdotą o swej astrolabji. Podlesny Guńkiewicz psuje jej puentę przedwczesnym wybuchem śmiechu...

Miło, przyjemnie, dobrze. Któżby tam myślał w takiej chwili o Polsce i Jej nieszczęściu?

»Ogień buchał, podsycany przez strzelca. Suchy jałowiec palił się z wesołym trzaskiem. Z lasu leciał po rosie wieczornej łoskot siekier. Łoskot uderzał w lasy, w ogromne świętokrzyskie bory jodłowe, w puszcze wilgotną, senną, niemą, głuchą. Echa ciosów mknęły od góry do góry, od kniei do kniei, w dal czarną, w noc, we mgłę. Odbite, wypędzone, dalekie głosy drżały kędyś za światem i z za świata wołały. Przelękłe, niewymowne wracały z dali, z moczarów, gdzie nikt nie chodzi, gdzie »straszy«...

Wraz z temi odbitemi echami przyplynie od mogił powstańczych potężny zew. Ulegając jego mocy, generał Rozłucki wprowadzi swych słuchaczy w obręb żelaznego koliska, w którym panuje niezwykły i straszny dlań obraz rozstrzelanego przez niego bratanka. Z ust jego dowiedzą się zebrani o bohaterskim zgonie pod-

porucznika Jana Rozłuckiego, tego, »w moskiewskiej służbie wyszkolonego żołdaka, który pokochał Polskę na śmierć, i to nie słowem, lecz po żołdacku, — zębami i pazurami«. ¹⁾ Opowie stary generał, jak tenże podporucznik, a jego bratanek, — »wierny obowiązkowi dla swej ojczyzny« — Polski, — porzucił, wyrzekł się dobrowolnie wszystkiego: domu, dostatku, młodej żony i ukochanego synka Piotrusia, — jak uciekł z szeregów rosyjskich do »bandy« leśnej, jak pod przybranem nazwiskiem kapitana Rymwida walczył z oddziałem swego stryja i jak zginął. Opowie, jak schwytany w niewolę, stanął przed sądem polowym i spokojnie wysłuchał wyroku śmierci. Powtórzy generał jego słowa surowe, które stryjowi — sędziowi w twarz rzucał w swej chwili przedzgonnej: »Rozkazuję przed śmiercią, — i to jest moja niewzruszona ostatnia wola, — żeby mój mały sześćioletni syn Piotr był wychowany, jako polak, taki sam, jak ja. Rozkazuję, żeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głoŝem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, — jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, tak samo, jak ja!«

¹⁾ Stefana Żeromskiego — „*Uroda Życia*“ Tom I.

Wielka, przeraźliwie smutna prawda wyłania się nagle ze mgły zapomnienia, uderza w słuchaczy, jak młotem, spada na nich, jak grom z jasnego nieba. Na rozpaczne wołanie mogli odpowiadać szlochem i najczystsze łzami. Stary generał pogrąża się w żalu i tęsknej zadumie. Geometra Knopf zdejmuje czapkę i »coś tam suchemi wargami do siebie szepce«. Podleśny Gunkiewicz, przed chwilą jeszcze wypełniający las swoim śmiechem, grzebie w popiele ogniska, — »jakby pragnął pozakopywać sowite pijackie łzy, kapiące z jego oczu«.

Spłynie na serca wszystkich obraz Polski ukrzyżowanej, na usta Jej imię święte. Drgnie w duszach uśpiona polskość, jak żelazo pod działaniem magnesu. Przypomni się gwałtownie obietnica jakaś niedotrzymana, obowiązek jakiś niedopełniony. Ockną się uczucia zapomniane, nikłe, zatarte, — »jak ślady stóp bosych na piasku morskiego wybrzeża«. Porwą się do lotu i poniosą w gąszcz wspomnień dalekich, zapomnianych, a jakże ciepłych... »Bezlitosne, ostre, niemiłe wymawianie głuchej o coś skargi« pociągnie przez duszę.¹⁾

P. Jampolski słusznie uważa nowelę tę za symboliczną syntezę: »powstanie narodowi zasyła echa, a naród szle mu żal, łzy niemocne

¹⁾ Cytowane wyrażenia należą do S. Żeromskiego. Porównaj: *Uroda Życia*, tom I str.

jeszcze, lecz trwałe« Kiedyś zrodzą się z tego czyny...

* * *

W „*Mogile*“ mamy obraz Polski popowstaniowej.

Jesteśmy w Wieprzowodach, małym miasteczku podlaskim, gdzie ośmnastoletni junkier Maurycy Zych odbywa obowiązkową służbę wojskową.

Już sam zewnętrzny wygląd mięściny świadczy wymownie o zmianach, jakie zaszły w życiu polskiem po stłumieniu powstania. Z olbrzymich koszar dolatują słowa rosyjskiej komendy — groźnego memento dla tych wszystkich, którzy mają jeszcze odwagę myśleć o lepszej przyszłości. W rynku głównym piększy się kolosalna cerkiew, przerobiona umiejętnie ze starego klasztoru jezuickiego. Połyskują złote kopuły bizantyjskie, — huczą jednostajnie i przeraźliwie, niby hymn triumfu i potęgi, dzwony cerkiewne.

Stary polski kościółek leży w gruzach. Wogóle wszystko, co ma jakiś związek z Polską, — pooblamywane, obdarte, opuszczone, wszystko oczekuje cierpliwie na chwilę zagłady, — »jak buntowniczek schwytyany, który w cichości i spokoju kapieje powolutku na wygnaniu«.

W rynku defilują rosyjscy oficerowie, drepcą kudłaci popi w swych długich »riasach«. A obok tych przedstawicieli dwu potęg, dwu sił, dążą-

cych do przekształcenia za wszelką cenę struktury psychicznej narodu polskiego, uwija się szary, bezbarwny tłum przeróżnych »knotów« czyli »referentów«, — »kontrolerów«, — »po-borców« oraz »zwyczajnych kancelistów, w dziu-rawych butach i z wielkimi gwiazdami na czapkach«. Tłum ten złożony jest bądź to z wyrzutków społecznych, zegnanych tu z czterech końców niezmierzonej Rosji, bądź też z nędzarzy polskich, gotowych dla kawałka chleba na jak największe upokorzenia. Znajdziemy w nim pana Zapaskiewicza, — ojca siedmiorga dzieci, drżącego o swą posadę, który zapewne dla wzmocnienia swego stanowiska nie wahał się wydać swej córki za mąż za wstrętneho i plugawego sztabs-kapitana Izmałowa. Z tegoż tłumu »knotów« wyszedł cuchnący gnojem moralnym pan Kłucki, który dla kariery, dla stanowiska naczelnika powiatu, zabił w sobie wszystko, co z polskich źródeł płynęło, i za-pisał się »chlubnie« w dziejach »dobrowolnego« powrotu unitów na łono prawosławnej cerkwi.

Bezprzykładne cierpienie, jakie przypadło nam w udziale po stłumieniu powstania styczniowego, — »odebrało wszystkim rozum«. Wizja zwycięskiego olbrzyma, stojącego jedną nogą w oceanie północnym, drugą zaś wspierającego o szczyty Kaukazu, zabiła w duszy polskiej, wyplenila z niej skutecznie wszelkie marzenia

i sny o wolności i niepodległości. W oczach ludzi współczesnych Polska skurczyła się do rozmiarów robaczka, który w wypadku nieogłędnego, nieostrożnego podniesienia swego łebka, może być zmiażdżony potężną stopą. W złowróżbnym pomruku zwycięzcy, w świąście jego nahajek, w brzęku oręża słyszano obietnicę krwawej zemsty za wszelkie próby wydarcia z jego rąk przyszłych losów »przywiślańskiego« kraju.

Starsze pokolenie?

W uległości swej wobec przemocy posuwa się do najdalszych granic: nauczyło się już głęboko, nisko kłaniać się dygnitarzom rosyjskim, mówić łamaną ruszczyzną w domach dobrowolnych renegatów polskości, uczęszczać na bale oficerskie, siadać do uczyty pospołu z urzędnikami i oficerami rosyjskimi, razem z nimi wychylać »puhar«, w obojętnem milczeniu przyjmując toast »za pomyślne, za szybkie, za skuteczne i zupełne« zrusyfikowanie »przywiślańskiego« kraju, — nauczyło się ścisnąć serdecznie dłoń i udawać przyjaciół wobec przeróżnych »panów« Kłuckich, którzy — jak już wspomniałem wyżej — dla kariery zabili w sobie wszystko, co miało jakikolwiek związek z Polską.

Niech zwycięski wróg plugawi największe świętości, niech czyni je przedmiotem handlu,

niech wtrąca w otchłań jeszcze większego poniżenia i upodlenia, niech pluje w oczy i rzuca w twarz plugawe obelgi, — zniosą wszystko, — wszystko przecierpią, byleby nie sprowadzać na kraj jeszcze cięższej niewoli, która wyrazić się mogła jedynie w pożodze, w zniszczeniu, śmierci na szubienicy lub w wyjeździe kibitką na kraj świata.

A młodzież? Młodzież nie myślała o Polsce. Wychowana i wzrosła w atmosferze popowstańczej beznadziei, rozpacz i pohańbienia, uważała sprawę polską za bezpowrotnie, »z krete-sem« przepadłą. W życiu codziennem dostrzegała jedynie triumfującą moc wroga i mogilną słabość wszystkiego, co miało jeszcze odwagę przyznać się do polskości. Czynna, jak zwykle, pełna zapału i wiary we własne siły, marzyła o walce, która w wyniku swym dać może zwycięstwo lub w najgorszym razie — jego nadzieję. To też odwróciła się od Polski, jak od przykrego widziadła, szlachetne zasoby swej czystej duszy poświęcając sprawie cierpiącej ludzkości. Tęskniła jedynie za wyśnioną przyszłością, za tą przyszłością, — kiedy, według słów Apokalipsy św. Jana »otarta będzie z oczu ludzkich łza wszelka«, — i w konsekwencji — skupiła się pod sztandarem, na którym wypisano hasła marksizmu i kosmopolityzmu.

Do grona takiej młodzieży należy czołowy bohater powieści — junkier Maurycy Zych. I on również do swoich »wrogów« zalicza »owe Polski, ojczyzny, narody«, grożące według niego młodzieży »rozpłynięciem się w jakichś dążeniach klas najrozmaitszych, zbitych w jedną bezmyślną kupę«. I dla niego również historia polska jest »zbiorem faktów, spisem rozmaitych hetmanów, królów, księży, poetów, podanym w sosie miłości Ojczyzny.«

Z takiego właśnie środowiska wychodzą nowi — początkowo bardzo nieliczni — chorążowie, nowi bojownicy o Polskę. Wyrusza na bój Janek, młody, kilkunastoletni chłopak, który miał duszę tak czystą, — »jakby się narodziła ze łzy Chrystusa, wylanej w żalu nad wszystką przeszłą i przyszłą nędzą i krzywdą ludzką«. I on również przez dłuższy czas ulegał kłatwie niewoli. I dla niego również była Polska krwawym upiorem, wzywającym na drogę jedynie klęsk, rozczarowań, zawodów. Przyszła jednak i na niego chwila szczególna. Odezwał się w nim głos wewnętrzny, tłumiony bezwiednie, ocknęła się uśpiona polskość i rzuciła go na kolana przed poniewieraną i wyszydzaną świętością. Przyszła jednak na niego chwila szczególna, w której rzucił kolegom swym twardy nakaz: Nie powtarzajcie za innymi zdań oklepanych, — wszystko a wszystko

sprawdzić trzeba w życiu! I do więzienia wkroczył z okrzykiem: Niech żyje Polska!

Wyrusza na bój panna Jadwiga Zapaskiewiczówna, której »oczy ginęły w zamyśleniu i smutku, niby w ciemności«. Szlachetna, mężna, jak Dawid samotna, idzie »w imię Pańskie« naprzeciwko wroga, ucząc pokryjomu chłopów i budząc wśród nich polskiego ducha.

Krok w krok wiernie za nią idzie chłop podlaski, unita, męczennik za wiarę, jeden z tych, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, »w stadzie nędzarzy i głupców ufają aż do śmierci, że przysiedze, jakiejś cnocie czy prawdzie, trzeba wiary dochować«, — jeden z tych, którzy stając w obronie wiary, bronią jednocześnie i ojczystego ducha, albowiem dla nich mowa polska, rodzime obyczaje, przesady i wierzenia zrosły się z obrazem Chrystusa w nierozwalne jedno.

Wyruszyli na bój i — ponieśli klęskę. Janek dostał się do więzienia, panna Jadwiga wydana została za mąż za wstępnego oficera rosyjskiego, który dla tem skuteczniejszego tępienia polskości przerzuca się z armji do policji. A chłop-unita, zdany na własną słabość, popada w rozpacz i rzuca bluźnierczy okrzyk: Gdzież jest Bóg?! Niema Go! Bo »jaki na niebie był, jakby był sprawiedliwy, toby na świecie nie było tego katostwa!«

Przyczyn klęski szukać należy nie tylko w rozbestwionej mocy wroga, zdolnej do zburzenia najtrwalszych fundamentów, lecz także i w postawie społeczeństwa, postawie, pełnej niewiary, niechęci, a częstokroć nawet oburzenia i otwartej nienawiści do tych prekursorów nowego życia.

Czemżeż być mógł dla społeczeństwa szlachetny Janek? Don-Kichotem, błędnym rycerzem, siewcą burzy, mącicielem spokoju, wracającego po latach wielu do domów polskich. Czemżeż być mógł jego wysiłek, jego bohaterskie pragnienie ujęcia w swe młode dłonie steru łodzi rozbitej i skierowania jej ku jaśniejszej przyszłości? — Szkodliwym marzeniem obłąkańca, nie tylko zasługującym na potępienie, lecz zmuszającym nawet do energicznego przeciwdziałania.

Janek, panna Jadwiga i chłop unita...

Byli sami. Nie mieli nic, oprócz wiary w słuszność sprawy najświętszej ze świętych. Napróżnoby spoglądali w tył, po za siebie, szukając tam pomocy, oparcia, ratunku. Bo twardo jeszcze spał naród polski.

Poniesli klęskę. Ulegli. Ale ziarno, rzucone ich ręką, nie zmarniało. Bo — w gruncie rzeczy — upadek, rozkład, śmierć — to tylko zapowiedź nowego, lepszego życia. »Zaprawdę, zaprawdę mówię wam — czytamy w Ewangelji św. Jana — jeśli ziarno pszeniczne, wpadłszy w ziemię nie

obumrze, samo zostaje, lecz jeśli obumrze — wielki owoc przynosi«. ¹⁾ To też takich zmartwychwstańców będziemy mieli coraz więcej. Przede wszystkim — odrodzeniu wewnętrznemu ulegnie czołowy bohater powieści — junkier Maurycy Zych. Nieszczęście Janka i tragedia panny Jadwigi wypełni duszę jego przestraczem i boleścią. Poczuje w sercu swem »powolne, na dnie, tygodnie, miesiące i lata rozłożone podlenie« nieocenionych uczuć Jadwigi i Janka, wszystek ich »bezsilny, rozpaczliwie beznadziejny« upor. Zamęczać się będzie pytaniem: Czyż z każdą szlachetną duszą tak na tej ziemi będzie? I wewnętrzna, głęboko schowana bojaźń odpowie mu — tak będzie!...

Przypadkowe zetknięcie się z unitami, wśród których pracowała panna Jadwiga, a którzy z nim rozmawiają z wielką ostrożnością i nieufnością — pozwala mu przekonać się naocznie, że moskale rozsiali pośród nas »rzczech okropną«, »między jednym a drugim człowiekiem nastawiony jest, dzięki nim, puginał zdrady, nieufności, podłej trwogi, w oczach siedzi trucizna podejrzania, cała nasza mowa stała się wyrazem jednego uczucia — obłudy«. Czemżeż mógłby udowodnić tym ludziom, że nie jest szpiegiem?

¹⁾ Por.: Ewang. św. Jana XII, 24 — 25 oraz Rozanow: „Legiendy o wielkim inkwizytorze“, — 1924 str. 81.

Nie chciał, nie mógł odejść od nich, zostawiając po sobie wspomnienie wroga. Chwyliła go »za gardło taka zażarta mściwość«, jakiej nie doświadczał jeszcze nigdy w życiu. Zaczął opowiadać im o wszystkim, co wiedział, a więc — o unji, o prześladowaniach, krzywoprzysięstwach, wylanej krwi, — wreszcie o tem — jak być powinno...

A w parę miesięcy później, gdy wyjedzie na manewry dywizyjne i stanie na miejscu maciejowickiego pogromu — tam, którądy »nastąpiły na Europę hordy kałmuków« — postyszy zew, idący z głębi ziemi. »Nieoceniona krew Tadeusza Kościuszki, którą na tem miejscu przełał«, — zawoła na niego. Z ostrym bólem w sercu i z płaczem dotknie ustami piasku mogiły. I pozna ją, zrozumie, czem ona jest i uwielbi na zawsze — tę Ojczyznę... Pierwsze skrzyżowanie, pierwsze starcie obcej, narzuconej idei kosmopolitycznej z ideą narodową kończy się zwycięstwem tej ostatniej.

Bo miała słuszność Joasia, pisząc w »Ludziach Bezdomnych«:

»Nie wiele uczuć może taką żądzą pożytecznego działania napełnić serce, jak oschła wiadomość, ile cierpiano, ile znoszono dla szczęścia pokolenia dziś żyjącego, którego częśćką my tu stanowimy. Jest jakieś dziwne braterstwo, idące wstecz, do tych, co już wszystko spełnili.

Nikogo z żywych nie można otoczyć taką czią, świętą czią, jak tych, co zostają za nami w mroku niepamięci.

* * *

W „*Syzyfowych Pracach*“ raz jeszcze przemówią mogiły. Przemówią i rozżarzą płomień polskości już nie w jednostce, lecz w gromadzie, nie w poszczególnych już Jankach i Zychach, lecz w całym, najmłodszym pokoleniu,—w młodzieży szkolnej.

Przeżywamy tu epokę wzmożonej immigracji rosyjskiej, dążącej do zabicia naszej odwiecznej kultury, — okres niesłychanego ucisku politycznego, usprawiedliwianego bezczelnie troską o »rozwój północy na drodze cywilizacji«.

Po wtrąceniu starszego pokolenia w otchłań bierności i zwątpienia o wszystkim, Moskale wyciągnęli swe łapy po młodzież. W rękę ich szkoła, mająca urobić charaktery najmłodszego pokolenia i przygotować je do pracy na polu społecznym, stała się przedewszystkiem narzędziem do przekształcenia struktury psychicznej narodu polskiego. Jak to słusznie zauważył p. Teofil Wojeński — przeprowadzano w niej dobrze obmyślony system zniszczenia przyszłości Polski w sercach młodzieży, wychowywano tę młodzież tak, aby zetrzeć z niej wszelkie ślady odrębności narodowej.

W szeregach kohorty, prowadzącej walkę z polskością, spotykamy nietylko rdzennych rosjan. Tę zbrodniczą działalność popierają także nauczyciele... polacy. Czynią to z konieczności, a raczej »dla kariery«, — z obawy przed utratą posad rządowych, zabezpieczających im byt materialny. Są to ludzie starszego pokolenia, — w większości wypadków, jak ono — rozbici w sobie, i bezpowrotnie obojętni, — jak ono, przeświadczeni o beznadziejności szlachetnych porywów i wysiłków i o potrzebie uległości wobec przemocy. Zepchnięci do ostatnich szeregów, pozbawieni wszelkiego znaczenia i wpływów, — pchają cierpliwie swą taczkę, ledwo zapiąc pod ciężarem bolesnych wspomnień, obaw i trosk o kawałek chleba. Wśród trwóg, w jakie obfitowało życie ówczesne, wśród codziennych znojów, interesów, małostek, — zapomnieli o najświętszym swym obowiązku. Na nieme prośby młodzieży o wskazanie jej właściwej drogi, odpowiadają przerażonymi minami: »liczcie, o młodzieńcy, na siebie tylko, róbcie, co wam się żywnie podoba, albowiem my strzec musimy naszych posad, jak oka w głowie!«

Oto — pan Sztetter, nauczyciel języka polskiego. W głębi duszy to polak dobry, rzetelny. Świadczy o tem kilka szczegółów, m. in. scena, gdy Zygier deklamuje mickiewiczowską »Redutę

Ordon*: »Sztetter siedział na swem miejscu wyprostowany. Powieki jego były, jak zwykle przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wymykała się z pod nich tza i płynęła po bladej twarzy*. Sztetter — to człowiek światły, wykształcony, — ba! — obdarzony nieprzeciętnymi zdolnościami. Mimo to jednak na młodzież nie wywiera wpływu dodatniego. Uważając się za intruza na stanowisku tak źle przez władze zaborcze widzianego przedmiotu, — z przestachu wobec dyrektora »gotów jest wlepić się w szczyry mur i zniknąć bez śladu.* Niepokój o los zbyt może licznej rodziny zmusza go do karykaturalnego ścieśnienia zakresu swoich praw i obowiązków. Uczniowie jego nie umieją pisać po polsku ortograficznie, nie wiedzą prawie nic o literaturze ojczystej. Wprawdzie pan Sztetter zdobywa się czasami na krótkie wzmianki o poetach polskich i ich dziełach, ale, niestety, robi to z miną tak przerażoną, że nie jest w stanie w słuchaczach swych wzbudzić nic, prócz szczerego śmiechu. Przybity i apatyczny, nie jest w umysłach chłopców ceniony na równi z innymi profesorami. Traktuje się go pobłaźliwie — »jak piąte koło u wozu, jako rzecz, w istocie niepotrzebną« i pozbawioną minimalnej wartości. W innych, normalnych warunkach byłby niewątpliwie jednym z najcelniejszych profesorów. Świadczą o tem nieprzeciętne zdolności, które zna-

laży swój wyraz w drukowanych ongi artykułach z zakresu socjologii oraz w tłumaczeniu poezyj »ulubionego melancholika Sheley'a«, odznaczających się — jak mówi autor powieści — pięknym i nieposzlakowanym wierszem polskim.

Nie o wiele korzystniej zarysowuje się w naszej wyobraźni postać staruszka Rudolfa Leima, wykładającego łacinę w niższych klasach gimnazjum klerykowskiego. Znalazłszy się z konieczności w szeregach »obrusiteli«, — pozostaje on w stałej sprzeczności ze samym sobą. Spolszczony Niemiec — duszą całą przywiązany jest do Polski. W domu jest szczerym Polakiem, — mówi tylko po polsku. Pełen zachwytu i uwielbienia dla literatury polskiej, — zwłaszcza dla utworów, zakazanych przez cenzurę rosyjską, wzbogaca niemi swą bibliotekę, przepisując »własnoręcznie i niesłychanie kaligraficznie« całe tomy. Ożeniony z Polką, córki swe wychował na działaczki narodowe, które »w całym mieście czyniły rejdach patriotyczny«.

W domu, tylko w domu! Bo jakżeż innym jest w szkole. Wrodzona służbistość i dobrze udana gorliwa lojalność stają się dla niego zbroją i tarczą obronną w walce o posadę i uprawnienia emerytalne. Posługując się niemi, rani dotkliwie swe polskie serce. Mimo to jednak nie zmienia sposobu postępowania, bo wie, że odbiłoby się to na losie rodziny, której jest

jedynym opiekunem i żywicielem. Będzie więc maszerował przez miasto, ustrojony w mundur z haftowanym kołnierzem, z orderami, wśród których piększy się miedziak »za usmirienje polskawo miatieża«, będzie srogo karał swych uczni za mówienie po polsku w budynku szkolnym, odwracając w takich chwilach od małych »przestępców« swe spojrzenie, pełne łez i bezgranicznego wstydu.

— »Do śmierci może doba, a ja będę się zabawiał w nabywanie galowych strojów, — mówi do kolegów swych, którzy doradzają mu, ażeby nabył modny kapelusz i zamknął tym sposobem usta gawiedzi żakowskiej, wyśmiewającej się z jego »starożytnego pieroga«. — Mój pieróg pamięta lepsze czasy. Taki sam on emeryt, jak i ja, i taki sam go też los na starość, jak mnie spotkał. Obadwaj wyglądamy w pośród współczesnych, jak szczątki mastodonta...

Leim i Sztetter. Są między nimi zasadnicze, a uwidocznione już wyżej różnice, są jednak i podobieństwa. Bo oto i jeden i drugi idzie po linii najmniejszego oporu, jeden i drugi dla kawałka chleba poniewiera i pługawi najświętsze swe uczucia i przekonania. Ani Leim, ani Sztetter nie okażą młodzieży pomocy moralnej, nie zachęcą do wysiłków, nie dźwigną i nie postawią drogowskazów, które ułatwić by jej mogły orientację w mrokach rusycyzmu. Czasami tylko, —

już to ulegając wrodzonemu temperamentowi, już kierując się poczuciem, ukrytem w dziewięćdziesiątjedziesiątej komóreczce oportunistycznego serca, czynili pewne kroki celem złagodzenia fatalnej wojny obozów. Trzeba wyznać że te maleńkie uczynki i lękliwe półwyrazy wywierały wrażenie. Prawie każde z tych słów było jak biblijne ziarno, upadające na bujną rolę«...

Leim i Sztetter... Boją się, drżą o swe posady, a w dodatku, jako ludzie starszego pokolenia nie wierzą w skuteczność jakichkolwiek wysiłków w tym kierunku. Ale zato ani jeden, ani drugi nie skrzywdzi tej młodzieży czynem, którego pobudki wychodziłyby poza ramy najwidoczniejszej konieczności życiowej. W normalnych warunkach nie przyniosłoby to nikomu zaszczytu, ale w erze apuchtinowskiej, w dobie dobrowolnego znikczemnienia, upodlenia i poniżenia, nawet takie okoliczności mogły jeśli już nie wyróżnić zaszczytnie tych profesorów, to przynajmniej rzucić na nich snop jakiegoś korzystniejszego światła. Słuszność powyższej uwagi stwierdzić możemy na podstawie wrażeń, jakie wywoła w nas porównanie tych »mastodontów« z innymi profesorami polakami, którzy wyzbywszy się wszelkich skrupułów i dzięki bądź to uzdolnieniom pedagogicznym, bądź też wrodzonej podłości i nikczemności w dziejach »odpolszczenia polaków« odegrali rolę, jakiej

pozazdrościćby im mogli najgorliwsi szowiniści rosyjscy.

Do tej właśnie kategorii profesorów należy wykładowca matematyki — pan Nogacki, jako indywidualność o całe niebo wyższy i od Leima i od Sztettera. Jest to urzędnik surowy, nauczający dobrze, profesor zimny, sumienny, sprawiedliwy. »Ani mu się śniło rusyfikować kogośkolwiek, oburzyłby się prawdopodobnie, gdyby go kto nazwał złym Polakiem, a jednak... po upływie dziesiątka lat, kiedy z forsownego wysiłku najbardziej utalentowanych rusyfikatorów nie zostało w głowie byłego ucznia klerykowskiego jednej szczypty czegokolwiek, coby za rosyjskie uchodzić mogło, to na pytanie, zadane zniemacka, ile jest pięć razy ośm, tenże uczeń nie odpowiedział we własnej myśli: czterdzieści«. — lecz »sorok«. W »stylowym« systemie, przeprowadzanym przez tego profesora z niezmierną konsekwencją, było coś, co zmuszało chłopców do myślenia po rosyjsku, co wślaczało i wciskało w umysły i pamięć raz na zawsze, na całe życie ukute przezeń frazesy i formuły mówienia.

W haniebnym, okrutnym, nieludzkim pogromie, jakiego widownią była szkoła rosyjska w Polsce, profesor Nogacki odegrał rolę jedną z najwybitniejszych. Dzięki nieprzeciętnym zdolnościom, wbrew woli i chęci zapewne, znalazł się na czele bandy służalców pięści i apolo-

getów fałszu, wbrew woli i chęci przyczynił się do rozkładu uczuć, myśli i woli narodu, do którego należał i który niewątpliwie kochał.

Smutny ten pochód zamyka »profesor« Majewski, kierownik klasy wstępnej, człowiek wyzuty najzupełniej z poczucia godności osobistej, podły, nikczemny, bezwstydnym łapownik, który dla »karjery« staje się dobrowolnym renegeatem polskośći, przechodzi na prawosławie, zapisuje się chlubnie w dziejach gimnazjalnej kohorty policyjno-śledczej, staje się najgorliwszym, najwybitniejszym, najbardziej czynnym jej agentem.

A obok tych ofiar losu, które nie chcą, czy też nie są w stanie ani przeciwdziałać, ani wstrzymać podboju duchowego młodzieży, snuje się cała gromada rusyfikatorów istotnych, rozpadająca się na dwie grupy. Do pierwszej należą niedołęgi wszelkiego rodzaju, dziwaki, — »mastodonty«, dla których zabrakło miejsca w głębi Rosji i których zegnano z czterech jej końców do świeżo zdobytego kraju. Typowymi przedstawicielami tej grupy są inspektor Siel diow, wyrzucony z kościoła przez księdza Wargulskiego i profesor języka rosyjskiego Ozierski. Są to ludzie wykształceni, ale rozlaźli i nieudolni. W sprawach wychowania okazują się zupełnymi dyletantami, to też mimo nieprzeciętnych zasług na polu działalności policyjno-

śledczej — znikną niebawem z horyzontu miasta Klerykowa. Opuszczone przez nich stanowiska zajmie dyrektor Kriestoobriadnikow ze swoim sztabem, złożonym z ludzi zdolnych, energicznych, konsekwentnych, z polityków nietuzinkowych i patriotów rosyjskich w szerszym stylu, którzy w nadziei skrócenia drogi ku nakreślonym celom, do zatęchłej atmosfery, panującej w gimnazjum klerykowskim, wnoszą nieznaną tam dotychczas uprzejmość, grzeczność, ba! — nawet ojcowską prawie troskliwość, wprowadzając jednocześnie jeszcze sprytniej obmyślony system ścigań, podglądań, łapań i badań, znajdujący swój wyraz bądź to w nagłych, niespodziewanych rewizjach, w grzebaniu w siennikach i kuferkach, czatowaniu pod drzwiami i oknami, — bądź też w częstowaniu ucznia papierosem w trakcie poufalej rozmowy w mieszkaniu prywatnem, lub też w obdarowywaniu pudłami cukierków za obecność w teatrze na przedstawieniu rosyjskiem.

Młodzież polska — jak to słusznie podniósł w swej pracy p. W. Jampolski — zdana jest na własne siły. W ręku niema wypróbowanej broni, którąby odpierać mogła ciosy podstępne, nagłe, niespodziewane. Niema nic, oprócz duszy czystej, niedoświadczonej, która w wielu wypadkach okaże się podatną, jak wosk. Szamocąc się i borykając rozpaczliwie w nastawionych na nią

sieciach rusyfikacji, wykręca głowę wstecz, poza siebie, szukając tam oczyma pomocy i ratunku. Ale, niestety, — i poza sobą niema nikogo! Starsze pokolenie, pełne goryczy i rezygnacji, o buncie nie myśli. Nie podziela z młodzieżą jej triumfów, nie opłakuje niepowodzeń, nie zachęca do nowych, dalszych wysiłków. Co więcej — nie ukrywa swego oburzenia i swej nienawiści nawet — do tych, którzy strupieszalej jego bierności przeciwstawiają żywą i rzeźką siłę.

Stary pan Borowicz, — ojciec Marcinka, czołowego bohatera powieści, — poczciwy, lecz nieporadny szlachcic polski, mało się synkiem swoim zajmuje. Zapracowany na swym folwarku, z którego czerpie środki na skromne utrzymanie, dba przedewszystkiem oto, żeby wyciągnąć grosz na wpisy, na stancję, na książki, — dowiaduje się oto jedynie, czy chłopak nie ma »dwójek« i »pałek«. O jego przekonaniach politycznych nie wiemy prawie nic, — w ramach powieści nie miał sposobności ich wyrazić. Wiemy tylko, że w powstaniu »stracił fortunę pradziadowską, nasiedział się w więzieniu i doznał krzywd od wodzów rewolucji«. Stary to i już dobrze nam znany motyw, uderzający nas zawsze, ilekroć na widowni ukazuje się starsze pokolenie. Dlatego też słusznie przypuszczać możemy, że i stary Borowicz również jest jednym z przedstawicieli

»metafizyków reakcji« i »proroków ciemnoty«. Przypuścić słusznie możemy, że i on również dla wszelkich poczynań wolnościowych młodzieży — nie znalazłby nic, oprócz gorzkich słów potępienia. I nie zdziwilibyśmy się bynajmniej, gdyby w odpowiedzi na myśl, wyrażoną przez Marcinka w rozmowie z radcą Somonowiczem, o konieczności zerwania z dotychczasową biernością i rozpoczęcia walki z najazdem, — przytoczył kilka »wymownych faktów« ze swego życia, a potem — staropolskim zwyczajem, wyrznął synkowi na gólkę dwadzieścia odlewanych. Tak. Żeby pamiętał. Żeby raz na zawsze pożegnał się z temi »mrzonkami«.

Pani Walecka, — matka hardego »Figi«. — zaślepiona katoliczka, posuwająca się w swej trosce o zbawienie wieczne aż do granic bigoterji, otacza swego jedynaka atmosferą religijności i w obawie, by nie wszedł w kolizję z dogmatami kościelnymi, kontroluje, — »jak agent policji tajnej, każdy jego krok, panując wszechwładnie nad jego wiedzą i wydzierając mu z rąk książki nie tylko wolnomyślne, lecz wszelkie tak zwane »złe«. A w chwili, gdy chłopak założy stanowczy protest przeciwko poniewieraniu i plugawieniu przez jednego z profesorów jego najświętszych uczuć religijnych, — matka, ta zaślepiona katoliczka — a nawet bigotka — znajdzie dla niego jedynie

słowa bezwzględnego potępienia i zgodzi się na zastosowanie publicznej, haniebnej, poniżającej kary chłosty — wzamian za wypędzenie go z gimnazjum z »wilczym biletem«.

A Andrzej Radek, żyjący i krzepiący się w swej nędzy nakazami Kawki-Paluszkiwicza, jego radami, wskazówkami, napomnieniami? Na zamiłowanie jego do książek i nauki, zamiłowanie, rozwijające się stopniowo »w nałóg iście chłopski, dający się wyrwać z ciała chyba pospołu z duszą«, — ojciec, — stary, przymierający głodem rataj dworski, — odpowie z początku ciężką i srogą karą, — »spadającą z jego fornalskiej ręki«, — później zaś zdziwieniem, mieszczącym w sobie obok niezrozumienia, także i szacunek ludzi prostych i ciemnych dla »kandydata na księdza, oficera lub aptekarza«.

A obok takich rodziców kroczą dwaj radcy starszycy — Somonowicz i Grzebicki, najbardziej typowi przedstawiciele starszego pokolenia. Ich »przekonania polityczne«, wygłaszane przy ładu sposobności, nawet w chwilach najmniej właściwych, — są jedynie echem goryczy, rezygnacji i niewiary popowstańczej. To dwa żywe trupy. Wsłuchani w tkwiącą w ich uszach melodję marszu powitalnego »na wjazd najjaśniejszego pana, kiedy przybyć raczył do Warszawy na koronację w roku pańskim

1825«, — grzebią się bezustannie w popieli-
sku wspomnień, pokrytych korą uprzedzeń,
przesądów, zgryzot, smutków i bezsilnej złości
na współczesność.

*Wszystko idzie do szkół, wszystko pcha
się do fraka! — krzyczy, pieniąc się ze złości
radca Somonowicz. Jest nadmiar tego wszystkie-
go, oto, co mówią od lat tyłu. Byle szewczyna,
krawczyna już pędraka do terminu nie oddaje,
tylko na mędrca! A na mędrca nie każdego
Pan Bóg powołał, to też naokoło siebie widzisz
jakichś rozgrymaszonych, rozlazłych, rozkisłych
półmędrków, albo i całkiem głupich mazgajów.
A ja już widziałem, jakito z takiej mąki chleb
bywał«

Z takiej właśnie »mąki« wyrosły, według
niego, powstania nasze i walki wyzwolenicze.
Od takich właśnie »półmędrków« wyszła »prze-
klęta inicjatywa«. W takich właśnie »łbach,
z błota podniesionych«, zrodziła się myśl walki
zbrojnej o niepodległość. Jest według niego,
na świecie jedna tylko logika, i ta mówi, co na-
stępuje: »Kiedy my wstępowaliśmy na drogę
życia, nikt nam nie bronił patrzeć na własne
znaki narodowe, nikt nam nie rozkazywał poj-
mować tamtego języka. A dziś co? Na własne
oczy widziałem gramatykę języka polskiego,
napisaną po rosyjsku... Sprawiała to owa manja
demokratyczna, owo pożądanie fraka, owa am-

bicja hołoty, domaganie się praw bez żadnych zasług».

Dla powstania i powstańców ma radca Somonowicz słowa ostre, gorzkie. Zginął Winrych, zginął Rozłucki, poległy tysiące innych, oddając trupy swe na żer krukom i wronom. »Świat bliski i świat daleki nie wsłucha się w rapsod ich skonu z zachwytem, gdyż nie jest ich sprawa wygrana«. To też i radca Somonowicz w imieniu całego starszego pokolenia z zaciekłością, godną najgorliwszych »metafizyków reakcji« ciska w nich kamieniem potępienia, nazywa ich »głupimi mazgajami«, — szkodnikami lub nawet szaleńcami, obarcza ich oskarżeniem o sprowadzenie na kraj klęski, nieszczęścia, ucisku politycznego i nie chce nic wiedzieć, nie chce pamiętać o istotnych pobudkach czynu, o ich ofierze, poświęceniu się, męczeństwie i bohaterstwie.

Myśl o ponownem wystąpieniu przeciwko Rosji napętnia go bezgranicznym przestrawem, przerażeniem. »Ja nie chcę tego dożyć!« — krzyczy z rozpaczą w głosie. Nie zgodzę się pod żadnym pozorem na to patrzeć!.. Bo już mam dosyć! Nie chcę trzeci raz patrzeć, nie chcę patrzeć, słyszeć, czuć, nie chcę, nie chcę! Nie mam już sił ani przeciwdziałać ani wstrzymać, a patrzeć i wszechmocy Boskiej po nocy nadaremnie wzywać nie chcę, choćbym

niał duszę wydać na potępienie wieczne. Na to wam mogę w tej chwili wykonać przysięgę, że nie chcę patrzeć i nie będę! Wy sobie słuchajcie takiego siewcy, a ja wam powtarzam milion set razy, że to jest wróg waszej nacji «!...

Wobec władzy zaborczej jest pełen pokory i uległości. »Z nikim i z niczem nie współczuję, skoro mam przed oczyma wolę rządu! — woła w pewnym momencie, a Marcinkowi Borowiczowi, który waha się i nie wie, czy ma zostać w domu, czy też pójść do teatru na przedstawienie rosyjskie, radzi, a nawet rozkazuje: Czy teatr moskiewski — czy teatr polski, to jest zupełnie ta sama strata pieniędzy. Wszakże, gdy władza to urządza, gdy życzy sobie, ażebyś tam był i na ten krok twój spoglądać będzie okiem życzliwym, a z drugiej strony, gdy zesta-rzały szowinizm podusza cię do krnąbrnego uporu, do trwania w jakiejś paskudnej nienawiści, to radzę ci, a nawet rozkazuję, — idź na tę hecę, chciałem powiedzieć, na to widowisko!...

Jedynym źródłem pokrzepienia, siły, wiary — »jedyną pozycją obronną najmocniejszą w tej szarej, zrezygnowanej, tak sobie żyjącej monotonji życia« — jest serce kobiety, serce matki-polki. »Jest w kobiecie takiej — pisze p. Jampolski, — jak w kwiecie, pełnia życia i uczucia, ujawniona, choć niewypowiedziana, w każdym słowie, uczynku, wdzięku ruchów,

subtelności spojrzenia, takcie serca, pogrobowem po niej wspomnieniu—jest polskość, prześwietlająca wszystko, choć nienazywająca samą siebie po imieniu, mieści się owa najwyższa kobieca niepolityczna polityczność, instynktowne, jak u mrówki, pszczoły, tworzenie komórki dziejowej przez działanie, urabianie duszy«. ¹⁾

Źródło to jednak jest słabe. Nie wystarcza mimo wszystko, by młode pokolenie wzięść mogło na swe barki brzemień walki o Polskę, walki, utrudnianej lub wprost uniemożliwianej przez pełną beznadziei, bierności i opatji postawę najszerszych warstw społeczeństwa. To też młodzież, wzrastająca i wychowywana w takiej atmosferze, podda się bardzo łatwo zgubnym wpływom rosyjskim. Trucizna moskiewska, wlewająca się do młodych dusz strugą szeroką, znajduje tam grunt już przez starsze pokolenie przygotowany, podatny, niezwykle przyjazny. Gdy dojdziemy z Marcinkiem do klasy szóstej, to zobaczymy, że synowie tych, co w 63 roku szli ramię w ramię, w jednym szeregu, z Winrychami i Rozłuckimi, są już gorącymi wyznawcami wszystkiego, co związane jest z Rosją. Starsze pokolenie bezwiednie, mimowoli ułatwiło pracę »pedagogom« rosyjskim: w duszach chłopców zrodził się specyficzny wstręt do wszystkiego,

¹⁾ W. Jampolski: „Stefan Żeromski. Duchowy wódz pokolenia.“ str. 35, — pozatem por. str. 34 — 36.

co polskie, — powstało zniechęcenie do rzeczy ojczystych. Książki polskie, według słów autora »Urody Życia« — towarzysze czujący, rzesza braterska, co jak chór westchnieniem odpowiedzieć może na każde westchnienie, — skazane zostały na banicję, — nikt do nich nie zaglądał, — »mogły sobie do nieskończoności zadawać pytanie, jak obłąkany Gogola w szpitalu warjatów: dlaczego ja nie jestem kammerjunkrem? dlaczego jestem tylko radcą tytularnym? Dlaczego ja i dlaczego mianowicie radcą tytularnym?« Z drugiej strony rusofilizm we wszystkim, aż do religji, — uchodzi w kołach młodzieży gimnazjalnej »za synonim postępowości, krytycyzmu i tężyzny«. Powstają nawet kółka »samokształceniowe«, w których uczniowie wygłaszają referaty o treści politycznej i religijno-politycznej. »Samorodni badacze«, — »maleńcy uczeni« — jak mawiał inspektor — masakrowali w swych wypracowaniach nieszczęsną »Polszę«, opisywali ją na zasadzie książek, dostarczonych przez kierownika, jako dom niewoli, gniazdo rozbetwionej szlachty, mordującej lud *ruski* przy akompanjamencie okrzyków »psiakrew« i »psia dusza«. Niektórzy szli jeszcze dalej i wypisywali programy polityczne dla niemądrych Polaków albo hymny na cześć Rosji.

Ci zaś, co w pracach takich kółek udziału nie biorą, nie myślą również o Polsce. Tworzą

oni zwarte koło gimnazjalnego high life'a¹⁾: trudnili się głównie próżniactwem, naciąganiem belfrów, tańczeniem do upadłego w karnawale, jeżdżeniem konno i sekretnym uczęszczaniem na maskarady z aktorkami, wreszcie namiętą grą w karty.

O Polsce, jak widzimy, niema mowy. Cicho i głucho. Trucizna moskiewska wypełniła dusze po brzegi. Ostatnie resztki polskości, odzywające się niekiedy cicho i nieśmiało, uchodzą przed zalewem, chronią się w zakątkach coraz dalszych oraz głębszych. Chronią się i czekają swego kresu. Czy zginą?

Nie! Bo oto raz jeszcze przemówią mogiły.

Z Warszawy przyjeżdża Bernard Zygier — wydalony z 7 klasy gimnazjum warszawskiego za »niebłagonadziejność«. Przyjeżdża i na pierwszej lekcji języka polskiego, czyli jak w Klerykowie mówiono — »miejscowego«, — opowie o nieznanym czy zapomnianym Mickiewiczu, o związku promienistych, Filomatów i Filaretów, odmaluje napad podchorążych na Belweder w noc listopadową i wreszcie — »głosem niedonośnym, ale dźwięcznym, jak szlachetny metal«, — zadeklamuje:

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo
I spojrziałem na pole...

¹⁾ Wyraz angielski — znaczy — lepsze, wytworne towarzystwo.

»Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygiel nie umilkł. Jakby odepchnięty jego wzrokiem, nauczyciel siadł na swem krześle, podparł głowę rękami i nie spuszczał oka z szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza. Wszystkim oczy skierowały się na wypowiadającego »wiersze polskie«. Ten mówił równo, ze spokojem i umiarkowaniem, ale jednocześnie z jakąś ukrytą w słowach, wewnętrzną gwałtownością, która kiedy niekiedy, w pewnych ceszurach, wymykała się między sylabami. Dziwne, niesłychane słowa przykuwały uwagę, potężny obraz boju rozwierał się przed oczyma słuchaczy — i nagle — mówca dźwignął swój głos o stopień wyżej:

Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo francuskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna mocy twej urąga!
Podnosi tu na Cię rękę...

Nauczyciel syknął i zaczął wstrząsać głową. Wtedy Figa — Walecki wylazł ze swej ławki, zbliżył się do drzwi, wspiął na palce, i, spoglądając uważnie w korytarz, machnął ręką na Zygiera, żeby gadał dalej. Nie była to już recytacja utworu wielkiego poety, lecz oskarżenie uczniaka polskiego, zamknięte w zdarzeniach bitwy. Był to własny utwór, własna mowa.

Każdy obraz walki dawno przegranej wydierał się z ust mówcy, jako pragnienie uczestnictwa w tem dziele zgubionem. Uczucia dziecięce i młodzieńcze, po milionkroć znieważane, leciały teraz między słuchaczów w kształtach słów poety, pękały wśród nich, jak granaty, swiszcząły, niby kule, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej. Jedni słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zbliżyli się do mówcy. Borowicz siedział zgarbiony, podparty pięścią brodę, i rozpalone oczy wlepił w Zygiera. Dręczyło go przemierzone złudzenie, że on to wszystko już niegdyś słyszał, że on to nawet gdzieś jakby własnem okiem widział, ale nie mógł pojąć, co będzie dalej — i słuchał ze wstrętem i złością, ale z dreszczem dziwnego bólu w piersiach. W tem Zygiel zaczął mówić:

...nieraz widziałem

Garstkę naszych, walczących z Moskali nawałem,
Gdy godzinę wołano dwa słowa: — pal! nabij!
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi,
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czyn-
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność, [ność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia pamięci
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci,
Broń od oka do nogi, od nogi na oko...
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko —
Szukała... Nie znalazła... I żołnierz pobladnął,

Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął
I poczuł, że go pali strzelba rozogniona
I puścił ją, i upadł... Nim dobiją, skona...

Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku leśnym. Ten sam, zabity nahajami, leżący w skrwawionej mogile pod świerkiem. Serce Marcinka szarpnęło się nagle, jakby chciało się wydrzeć z piersi, ciałem jego potrzęsało wewnętrzne łkanie. Ścisnął mocno zęby, żeby z krzykiem nie szlochać. Zdawało mu się, że nie wytrzyma, że skona z żalu«...

Odezwał się w nim głos wewnętrzny, tłumiony bezwiednie. Zbudziła się z uśpienia polskość. Powtarza się, jak widzimy, historia Maurycego Zycha: przemówiły mogiły, — nieoceniona krew bojowników o wolność Polski woła na niego z ziemi. I — tak samo, jak Maurycy Zych — pozna ją, zrozumie, czem ona jest i uwielbi na zawsze tę — Ojczyznę.

Nie tylko Borowicz. Takiemu odrodzeniu wewnętrznemu ulegnie już cała młodzież, — niezliczona gromada, okłamywana dotąd z bezgranicznym cynizmem.

Zbudzą się. Włożą na siebie zbroję słoneczną. Dźwigną zapomniane sztandary. Złączą się w hufiec niezłomny. Stworzą »wielki obóz

defenzywy narodowej i ofenzywy społecznej«. I pójdą. Pójdą w bój...

Zabiegi i wysiłki moskali okazały się pracą bezowocną. Tak starogrecki Syzyf wtaczał wielką skałę na szczyt góry olbrzymiej, — skałę wielką, ogromną, ciężką, która za każdym razem, gdy zbliżał się do szczytu, spadała niepowstrzymanie w dół.

Tak, — bezowocne to, syzyfowe prace...

* * *

W szeregu noweli i powieści, jak „*Sitaczka*“, — „*Dr. Piotr*“, — „*Promień*“, — „*Ludzie Bezdomni*“, — opowie nam Żeromski o pracach i walkach tych, co przeszli przez takie lub podobne piekło systemu rusyfikacyjnego. Opowie o ich ideałach, pragnieniach i dążeniach, o ich zmaganiu się z twardą rzeczywistością, o ich poświęceniu się i ofiarach, klęskach, niepowodzeniach i triumfach.

Gdzież pójdą? Jakaż drogę obiorą? W jakiej to kuźni walić zaczną młotami?

Pójdą w lud. Zstąpią na dno ludzkiej nędzy. I to nie dlatego jedynie, że w ludzie tym zobaczą — jak cała ówczesna młoda Warszawa, występująca do walki z dotychczasową ideologią pozytywizmu, — zbawienie i przyszłość Polski, jej talizman, tarczę i zbroję, — nie dlatego tylko, że przekonają się, iż w ludzie kry-

je się tajemnica polskiego życia, że mieści się w nim wielka prawda, że drzemie w niej siła, bezpowrotnie utracona przez szlachtę. Nie! Szlacheccy synowie i córki, — dr. Piotr Cedzyna, Jan Raduski, panna Stanisława Bzowska, panna Joasia, — wkroczą na tę drogę także dlatego, że poczują na sobie nieznośny ciężar długu, zaciągniętego u ludu. Zrodzi się w nich świadomość, że, — jak to mówi dr. Piotr Cedzyna, — są zbożem, rosnącym na pocie pracującego ciężko tłumy; jak na nawozie, — że »skarbu ducha«, — to wszystko, co otrzymali jako spadek po całym szeregu przodków ucywilizowanych, — wyrasta na tle nędzy, męki i udręczeń, cierpienia, krwi i potu siermiężnego ludu¹⁾.

Lud, polski lud, o którym w tym samym mniej więcej czasie pisał Adam Asnyk:

»On bohaterstwo swoje mało ceni
I nie wie jeszcze, czem jest i czem będzie, —
Nie wie, że cało wyszedłszy z płomieni,
Miejsce dla siebie wśród bogów zdobędzie,
Prometeusza z więzów wyswobodzi«...

Szlacheccy synowie i córki idą w lud, wyciągają doń dłoń pomocną. Tym którzy — jak Andrzej Radek — poczują wielki głód wiedzy i światła, — u których zamiłowanie do książek

¹⁾ Rozwijam tu myśl, zawartą w noweli p. t. „Doktór Pictr“. Podobną myśl wyraża p. T. Wojęński. Porównaj — „Stefan Żeromski. Rozdział I. Feski i Leoncj“ str. 61--64.

i nauki rozwija się stopniowo »w nałóg iście chłopski, dający się wyrwać z ciała chyba popołu z duszą« — śpieszą z pomocą, na jaką ich stać, dzielą się z nimi ostatnim groszem, krzepią ich w nędzy radami, wskazówkami, napomnieniami. Niosą w lud kaganiec oświaty, rozpraszając mrok, zalegający niziny społeczne. Zwracają dług, dzielą się skarbami ducha, odziedziczonymi po przodkach. A jednocześnie biorą w obronę nędzarzy, zasłaniają mężną piersią prześladowanych, podźwigają wdeptanych w ziemię przez buty bogaczy.¹⁾

Wyzwolenie bowiem świata pracy, podniesienie go na wyższy poziom kulturalny i ekonomiczny — równoznaczne jest z przekształceniem Polski z kraju, rozbitego na kilka kast, pełnych wzajemnej nieufności i niechęci, a skutkiem tego — słabego i niezdolnego do zbawczego czynu — w olbrzymi zespół ludzi, związanych ściśle wspólnością interesów i dążeń. Myśl nie nowa — hołdowały jej koła kierownicze naszych powstań zbrojnych — myśl od wieku aktualna, i przeto świadcząca o swej słuszności.

Nie inaczej zapatruje się na tę stronę twórczości Żeromskiego i p. Włodzimierz Jampolski: »W oczach naszych — pisze — formować się poczyna i przekształcać nowoczesne społeczeństwo polskie. Zanikają granice między stanami.

¹⁾ St. Żeromski — w „*Nawracaniu Judasza*».

Likwiduje się szlachectwo duchowe. Zaczynają się wędrówki-jednostek po przez granice stanów. Dzieci szlacheckie — Jakób Ulewicz, dr. Piotr Cedzyna, panna Stanisława Bzowska — »siłaczka«, — panna Joasia.. z dworów wstępują na czwartaki studenckie, zstępują do szeregów inteligenckiego proletariatu. Wzamian za to stają się fermentem polskości w narodzie, zarzewiem czynu, zdobywają wodzowstwo, klejnot szlachecki ofiary i bohaterstwa«. »Inaczej — pisze p. Jampolski trochę niżej — rozkładać się poczyną ciężar odpowiedzialności za losy narodu«, albowiem, — »gdy jedni zstępują, inni wstępują, wspinają się na wyżyny inteligenckiego proletariatu — fornalski syn Andrzej Radek, syn szewca dr. Tomasz Judym spotykają się z synami szlacheckimi i po pewnym upływie czasu niema między nimi zewnątrznie widocznych, usankcjonowanych różnic«.

Trochę później wykaże Żeromski skutki stopniowego zaniku granic, co istniały przez wieki między polskimi stanami. W »Róży«, naprzykład, spotkamy się z robotnikiem Andrzejem Osetem i parobczakiem wiejskim Grzesiem Wójcikiem, występującymi, jako działacze narodowi. Bo czyni postępy »duchowa rekrutacja żołnierzy sprawy wśród robotników i chłopów«¹⁾.

¹⁾ Por.: Wł. Jampolski: „Stefan Żeromski. Duchowy wódz pokolenia“ — str. 37, 39 i 38.

W ludziach, którym poeta »każe wiązać życiotwórcze pierwiastki Polski szlacheckiej z emancypacyjnym ruchem ludowym«, odzywa się głos nie obowiązku już, lecz twardego, wewnętrznego musu. Pójdą. Spuszczą się, górnicy samotni, w »sztolnię czarną«, w rozwartą szyb przepastnej nędzy. »Pójdą korytarzami, w kamieniu niedoli kutymi«. Porwą w dłoń swoją »stylisko młota i będą w czarną ścianę tajemnej komory dzień i noc« kuli¹⁾).

Jakżeż wygląda ta »sztolnia czarna«?

W szeregu nowel odmalował ją Żeromski w całej jej przeraźliwej nagości. Przed oczy nasze rzucił ponury obraz krzywd i niedoli, nędzy i męki tych, co to są »płucem Polski, lancą przebitem«, — obraz, przemawiający niezwykle żywo do naszych uczuć, wstrząsający nami do głębi. Gdzież jest i czy wogóle jest na świecie serce, które nie wzruszy się, nie skurczy się boleśnie, nie uderzy mocniej, gwałtowniej na widok doli — krzywdy nędzarzy, jakich przed oczy nasze stawia Żeromski. Jego nowele sołeczne są szalonym protestem, skargą płomienną przed wiekuistym życiem na nieubłagane, przekłte, odwieczne jego prawa, — przesiąknięte są bezgranicznym współczuciem. Jak bliski mu duchowo Teodor Dostojewski, ujmuje Że-

¹⁾ Stefa a Żeromskiego — „Powieść o Walgierzu Udałym“.

romski tę kwestję w całej jej rozciągłości: widzi nie tylko nogi zziębnięte, nie tylko ręce zmęczone, lecz widzi przedewszystkiem człowieka, — człowieka zbitego, zmalretowanego, skatowanego przez życie. Widzi, nas widzieć zmusza i nam pytania straszne rzuca: dlaczego ten nędzarz ma twarz, zczerniałą z głodu? dlaczego nie nakarmi głodnego dziecka? dlaczego jest smutny, posępny, ponury, zły? dlaczego nie nuci peśni radosnych? dlaczego się nie ściskają, nie całują, lecz patrzą na siebie, jak wici? Czyż nie pragną, czyż nie są godni owej radości i spokoju wewnętrznego, bez którego żyć nie mogą ludzie sycc? dlaczego?¹)

Oto — w noweli „Zapomnienie” roztoczy przed nami obraz »hańby bezprzykładnej, której nie byliśmy winni, a która przecie złaże się wołać na nas z ziemi dlatego tylko, żebyliśmy jej świadkami.«²) Wyrasta przed nami, jak niemy wyrzut sumienia, — chłop Obala, nędzarz, odziany w zgrzebne, potem cuchnące szmaty, chudy, wyschnięty, wywiędły, zczerniały, — odżywiający się na przednówku zupką z mleczu z wyłuskanych nad ranem na pańskim polu kłosów. Umarł mu syn-jedynak. Nad trupem dziecka stoi Obala, podparłszy głowę na pięści,

¹) F. Dostojewskij — „Bracia Karamazów — Bierdiajew — „Mirosoziercańje Dostojewskawo“ — Rozanow — „Legiendy o wielikim inkwizitorze“.

²) S. Żeromskiego, „Ludzie Bezdumni“ tom I. rozdz. II.

rozstawiwszy nogi i patrząc »do obłędu smutnym wzrokiem, co nic nie wyraża, podobnym do szeroko otwartej rany«. »Patrzył, patrzył i nagle wsunął rękę w kudłate swe włosy i z całej mocy je szarpnął«. Trzeba syna pogrzebać — a w domu nędza i głód, niema grosza na sprawienie trumny. Zakradł się więc Obala do pańskiego lasu — kradnie tam i wywozi na swej zdechłej szkapinie parę desek. Przyłapano go jednak. I oto — obserwujemy przebieg operacji tak zwanego »bicia w mordę«.

»Prawą pięścią Lalewicz bił, lewą trzymał Obalę za czub. Chłop od czasu do czasu odganiał go ręką, jak komara, mówiąc doń spokojnie: Odydź, Lalewic, odydź! — »Dał« mu Lalewicz, dał w zęby, w nos, w gardziel, raz, drugi, czwarty, piąty...«

Krew sączy się cieńką strugą z nosa chłopca, a Lalewicz »bije precz, aż podskakuje«. Wreszcie rozlega się »przejmujący, okrutny, wstrętny, obrzydliwy, płacz człowieka mordowanego i nagle zakrzywione palce wpijają się w gardło gajowego«. Śpieszy mu z pomocą »jaśnie pan dziedzic«, — daje Obali uderzenie — tak zwane »durch« — gdzieś w brodę — »takie, że, jak to mówią, nakrył się nogami, i jak kamień, wpadł w krzaki«...

A potem? Potem wstał, krwią splunął, usta otarł rękawem i runął do nóg jaśnie dziedzica.

Obejmuje te nogi drżącemi rękoma i prosi, by pozwolono mu za skradzione deski zapłacić pracą. Bo w domu grosza niema — a syna przecież trzeba pogrzebać...

A w odpowiedzi na to słyszy: »Ee... na doróbki ja się znowu nie godzę. Dasz cztery ruble i rubla na kościół, lub pójdiesz do kryminału. Namysł się do jutra, bo, uważasz, jutroby się dopiero skargę podało«...

Przykrego, przygnębiającego nastroju, jaki ogarnia nas na widok tej »bezprzykładnej hańby naszego wieku« nie mogą rozwiązać sceny końcowe, w których Lalewicz wyraża swe współczucie dla biednego chłopca i próbuje nawet interwencji u »jaśnie dziedzica«.

A nowela pt. *Zmierzch?* Gibałowie, nędzarze wiejscy, muszą od świtu do nocy, — od samego brzasku do szczerego zmierzchu — gmerać w błocie, wywozić taczkami szlam z torfowiska, — by zarobić kilka groszy na ja-dło. Głód straszliwy, nieopisany zagląda im w oczy i wygania ich z chaty na ciężką, ponadsilną i jakżeż marnie płatną pracę. Jak jakieś »potworne, ogromne widziadła« — biegają w zmierzchu wpoprzek rozdołu. »Głowy ich opadają na piersi, ręce wykonują ruchy jednostajne, kadłuby zginają się ku ziemi«. Początkowo płacono im po trzydzieści kopiejek za wyrzucony kubiczny sażeń torfu. Ale rządca zwąchał

prędko, że »nie każdy się zlakomi od świtu do nocy w błocie gmerać, że im tam widać dobrze dojadło, kiedy bez namysłu do takiej roboty się kwapia, po dwadzieścia kopejek, powiada, to dobrze — a nie, to nie!«...

Gibała po takiej zapowiedzi »schlał się« w karczmie, jak bydłę. Babę swoją wyprał ze złości, a nazajutrz — wrócił na torfowisko. Bo przebierać nie miał w czym: dwór swoimi ludźmi się obywa.

Kopią Gibałowie torf, szlam wywożą taczkami, a tu zmierzch zapada coraz bardziej gęsty. »Mgły idą, jak żywe ciała, podpełzają chyłkiem, zabiegają z tyłu, cofają się, czają i znowu lawą suną coraz natarczywiej«. Gibałową ogarnia strach. Przypomina się jej dziecko jedyne, dziewczucha kilkumiesięczna. Od południa już jej nie widziała: »śpi sama jedna w zamkniętej izbie, w kolebce lipowej, zawieszanej u stragarza na brzozowych wiciach«. Płacze tam pewno, zachłysta się, łka...

Serce matki kurczy się w twodze. Słyszy ona w duszy ten »płacz przedziwny, żaloszny. Rozlega się on w jej uszach, nęka jakieś jedno miejsce w mózgu i drażni w sercu. Przez cały dzień nie myślała o nim, bo twarda robota rozprasza wszelkie myśli, unicestwia je prawie i mąci, ale teraz strach wieczorny zniewala ją

do skupienia się, zaczepienia myślami o tę kruszynę«...

— »Walek! — odzywa się trwożliwie, a podstępnie do męża. Polecę do chałupy, naskrobię ziemniaków«...

Mąż mruczy coś od niechcienia. Jest zły. Jest człowiekiem zbitym, zmaltretowanym, skatowanym przez życie. Złość, kipiącą w sercu, wylewa na żonę. Biję ją, bezbronną, zależną od niego, — umie omatać sobie pięść jej włosami i przewlec struchlałą kawał drogi, albo też »w zapamiętałości wyrwać z błota rydel i ciąć przez namysłu — zabije czy nie zabije«.

Wie o tem dobrze nieszczęsna matka, ponawia jednak swą prośbę—ponad bojaźnią kary, góruje wielki niepokój o kruszynę, — podnieca ją aż do bólu. I znowu »modli się pokornie, aczkolwiek wie, że ją ten »zbój« nie puści«...

— A tam dziewczucha może uświerkła?

Mąż i tym razem nie odpowiedział nic. Zbliżył się jeno i »wskazał ruchem głowy na palik, do którego muszą dziś dokopać«.

Wrócił do pracy, »ujął za rydel i zaczął raz za razem narzucać szłami na swoje taczki. Robił to zapamiętałe, szybko, co tchu. Narzuciwszy pełne taczki, pchnął je, biegnąc cwałem i rzekł na odchodnem: Pchaj i ty swoje, próżniaku! Pojęła to łaskawe ustępstwo na rzecz jej miłości, tę grubjańską dobrać i surową jakby

pieszczotę, bo jeśli narzucają ziemię oboje, robotę można skończyć daleko prędzej. Naśladowała teraz szybkie i skwapliwe jego ruchy, jak mała, narzucała błoto cztery razy szybciej, — już nie mięśniami, nie z chłopską rozważną ekonomją wysiłku, lecz mocą nerwów. W piersiach jej rzęzało, pod powiekami migotały jaskrawe kolory, mdliło w piersiach i leciały z oczu łzy bezmyślnego bólu, — w ten gnój zimny i cuchnący. Co wbije w ziemię rydel, to spojrz, czy do palika daleko; gdy ładunek gotowy, chwyta taczki i biegnie »w dyrdy«, naśladowując chłopca...

W noweli p. t. *Cokolwiek się zdarzy — niech uderzy we mnie!* — roztacza przed nami pisarz obraz przedzgonnych chwil 30-letniego parobczaka, kartoflarza z kartoflarzów — któremu wskutek suchotniczego gnicia kości amputowano nogę powyżej kolana.

Wnikamy w tę nieszczęsną, a jakżeż bogatą i piękną duszę.

Leży oto skurczony, w kałuży potu. W gorączce dręczą go widziadła rodzinnych stron. Młoda żona, chłopak mały o konopiastej czuprynie. Widzi w chorobliwym marzeniu własne cztery zagony kartofli. Śni mu się czas kopania. Oto »we dwoje z kobieciną kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali boscie nogi, jałowcu su-

czego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle. Dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny«...

Dawniej, przed operacją, patrząc na szereg zjawisk szpitalnych, snuł z głębi swej prostej duszy nic rozmyślań: górowała wówczas ponad wszystkim litość, wyrastająca ze wstrętu. Po operacji zmienił się rdzeń tych rozmyślań — obudziła się w nim »nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, obejmująca drapieżnym uściskiem tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli.«

Rana goiła się, gorączka słabła, nie ustępywał jednak stan nękania samego siebie. Z dnia na dzień wzmagało się rozjątrzenie duszy. A tu — pewnego dnia — lekarz zbadał go i oświadczył, że i drugą nogę trzeba amputować. Biedaka zamroczyło, — »jakby go zniecka bijakiem cepów ugodzono w ciemie«. Zamknął oczy i leżał w milczeniu długo — długo, aż nastąpiła w nim cisza, nieznaną dotąd. »I szedł po jego duszy, jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę«...

Bo ostatnie nieszczęście, wobec którego — jak to słusznie podkreślono — »bezsilnym staje się wszelki bunt«, odstoniło w duszy jego »kryjówkę zaczarowaną, na siedm zamków zamkniętą«, kryjówkę, której nie otwiera nikt

i nic, — »tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia«. Oślepiający się Edyp, bohater tragedji sofoklesowskiej, nazwał kryjówkę tę po imieniu — cokolwiek się zdarzy, niech uderzy we mnie.

Od tej chwili szczególnej pokaleczony biedak przez długie noce i długie dni patrzył na wszystko bez złości już, bez gniewu i nienawiści, — jakby »z niezmiernego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.« — A niech ta! — niech ta! — szeptał do siebie. Niech ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się... I mnie ta niezgorzej przecie...

Na dno nędzy, na dno »jeziora z łez ubóstwa« zstępujemy również w noweli p. t. *Niedziela*. Czołowy bohater tego utworu, młody pan Władysław, aczkolwiek sumiennie i w dostatecznej już mierze »przesiedział był fałdów nad nauką społeczną«, — to przecież nie wyzbył się nałogu zaczepiania na ulicy młodych i przystojnych szwaczek. Czynił to z niezwykłą gorliwością. W dodatku — w chwilach, wolnych od pracy, — szkicował figlarne dziełko p. t. »Praktyczne wskazówki dla zaczepiających«, gdzie zawrzeć miał swe, niezwykle bystre spostrzeżenia z zakresu psychologii szwaczek, jak również złożyć niezbite dowody swej ciętości dialektycz-

nej. Ta dziwna predylekcja do pracownic igły sprowadza go, a wraz z nim i nas, na dno wielkowiejskiej nędzy. Bo oto któregoś dnia zaczepił na ulicy »faceteczkę«, co to »palce oblizywać« i umówił się z nią, że się spotkają w najbliższą niedzielę w jej mieszkanku.

W oznaczonym dniu brnął pan Władysław »po sliskim, nigdy nie wymiatanym błocie« — w ciemny loch. Dostał się wreszcie do mieszkania »faceteczki«. Okazało się, że mieszka w małym pokoiku z dwiema koleżankami. Były to młode dziewczęta, — »zbyt wczesnie rozbite przez jakąś bezlitosną siłę«. Pracowały, jako szwaczki, w jakimś zakładzie, pracowały, jak Gibałowie — od brzasku do późnej nocy, — a zarabiały tyle, że w niedzielę, w dniu wolnym od pracy, siedzieć musiały bez obiadu. W niedzielę — przyznały się szczerze panu Władysławowi — ogryzamy na obiad paznogie, — jeżeli nie uda się naciągnąć jakiegoś łatwowiernego kawalera, aby przyszedł do nas i kupił serdelków...

Pan Władysław dał się naciągnąć. Wręczył »faceteczce« ostatniego rubelka. »Dobre i ciepłe uczucie ogarnęło mu duszę na widok apetytu dziewczic, z jakim połknęły przyniesione bułki i serdelki«.

»Po uczcie« wyszedł niezwłocznie. Gdy przechodził przez ciemne i wąskie sienie ka-

mienicy, miał w sercu smutek głęboki. Gdy wyciągał ręce, szukając drogi, dotykał ścian śliskich, po których strugami sączyła się wieczna wilgoć,—zdawało mu się, że dotyka łoż ubóstwa, co tu żyło i żyje, męczy się, pasuje z głodem i zimnem. Łzy te wsączają się w jego serce, kłuszą je, jak płyn zatruty. Zatrzymał się na chwilkę i słuchał, jak dusza jego składa samej sobie jakąś przysięgę*...

Taką samą, a może i bardziej uroczystą przysięgę złożyła dusza „*Sitaczki*“ — panny Stanisławy Bzowskiej, jednej z tych, co to poczuli nieznośny ciężar długu, zaciągniętego u ludu przez długi szereg przodków rycerskich.

W Warszawie, w okresie studjów i udzielania korepetycyj, chodziła w niezgrabnej i niemodnej salopce, w kaloszach, zadużych nieco na jej drobne nogi, nosiła zawsze pod pachą jakieś kajety i arkusze zapisane, jakieś książki i mapy, marzyła o wyjeździe na studia medyczne do Zurycha czy Paryża. Ostatecznie jednak poszła w lud. Przeświadczona o konieczności »osiedlania się w lasach i Obrzydłówkach« zrezygnowała ze swych marzeń, ze swych praw do życia i szczęścia, — poświęciła się pracy oświatowej wśród ludu. Zamieszkała w zapadłym kącie, we wsi, w lasach ukrytej, — »gdzie niema dworu, gdzie niema żywego ducha«. Nie mogły jej przerazić klęski i niepowodzenia kolegów,

którzy przed nią na tę drogę wkroczyli, nie mogłyby zniechęcić jej »życzliwe« i »mądre« przestrogi osób, życiowo bardziej doświadczonych, że tak żyć, jak ona chce, -- »nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegoś jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idjoci, odprowadzą na powrozie do stada. a jeśli się im oprzesz w imię swoich głupich zasad, to cię śmierć zabije najpierwszą«... Nie mogłyby zniechęcić jej takie przepowiednie i przestrogi, bo odezwał się w niej głos, — jak już wspomniałem gdzieindziej, nie obowiązku już, lecz twardego wewnętrznego musu. Poszła. Przez trzy lata uczyła wiejskich nędzarzy pisać i czytać, opracowała obszerną »Fizykę dla ludu«. Młoda, śmiała, silna duchem, nie zraża się trudnościami, wierzy w zwycięstwo »prawdy«, walczy na obranym posterunku do śmierci. Życie stawia przed nią dylemat: zginiesz albo ulegniesz. Zginęła, lecz nie poddała się. Śmierć, a raczej życie, zabija ją, bo jest — jak na ten nędzny padół płaczu, — zbyt piękna i zbyt szlachetna.

Próby takiej nie wytrzymał doktor Paweł Obarecki, dawny towarzysz Siłaczki, powiernik jej myśli, współnik jej wzniosłych marzeń. W walce z brutalnem życiem poniósł klęskę — przeszedł proces umierania nie fizycznego, lecz moralnego. Po ukończeniu studjów, idąc za głosem »apostołów«,

osiadł w ObrzydłóWKu. A wiadomą jest rzeczą, że »człowiek kultury, wyrzucony przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Klwowa, Kurozwek, lub, jak dr. Obarecki, do ObrzydłóWka, podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacji i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych,—stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem, poprzedzającym wymioty«. Początkowo dr. Paweł, człowiek »śmiały, młody, szlachetny i energiczny«, którego koledzy warszawscy nazywali »refleksjonistą, marzycielem, wielkim leniuchem, zresztą — przyszłą sławą«, — trzymał się dzielnie. W pierwszym miesiącu po osiedleniu się wypowiedział wojnę na śmierć i życie aptekarzom i felczerom, zdzierającym skórę z wiejskich biedaków, założył u siebie tanią apteczkę, śpieszył z pomocą cierpiącym i pokrzywdzonym i podnosił na swój sposób, w miarę sił i możliwości, lud wiejski. ObrzydłóWek zareagował stanowczo: marzycielskiemu lekarzowi wybito szyby w jego mieszkaniu raz, drugi i trzeci, pomawiano go o obcowanie z »duchami ciemności«, oczerniano, jako niesłychanego nieuka, odciągano przemocą chorych, zmie-

rzających do jego mieszkania. Ale Obarecki nie zrażał się — wciąż jeszcze ufał w zwycięstwo. Ale zwycięstwo nie przyszło. W dodatku bezpośrednio zetknięcie się z ludem rozczarowało go nad wyraz: »jego prośby, namowy, istne prelekcje z zakresu higieny, upadały, jak ziarno na opokę«. A po upływie roku — poczuł, że cała jego niespożyta, jak się zdawało, energja, jest już »dziedzictwem robaków«. Wkrótce też skonstatował, że »płomyczek nad głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją — zgaśł«. Wypalił się. Prawie jednocześnie z zanikiem energji, znikło i »poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, ledwo dających się zmierzyć rozmarzonymi oczyma, został widnokrąg tak dalece mały, że można go było zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie »prawdy jasnego promienia i nowych nieodkrytych dróg« — zapatrywał się w początkach umierania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie — z ostrożnością człowieka, mającego pewien zasób doświadczenia, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z półśmiechem, potem — ze zdecydowanym lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu »najzupełniej wszystko jedno«.

Tania apteczka zamknięta została na klucz, nastąpiła zgoda z farmaceutą, emablowanie jego żony, wspólna orka w wincie i pozatem — cysertacje z młodą 24-letnią gospodynią, raz przyzwoitsze npk. »o niesłychanej wyższości pieczonego prosięcia, nadzianego kaszą tatarczaną, rozumie się bez majeranku, nad takimże prosięciem, nadzianem innemi substancjami«, — kiedyindziej — zaś ohydnie nieprzyzwojne.

Dr. Paweł walkę przegrał. Przegrał haniebnie. Obrzydłówek wziął górę.

Śmierć Stachy Bzowskiej wywarła wpływ niejaki na usposobienie — sięgnął po zapomniane książki, czytywał w wolnych chwilach »Boską Komedję«, zaniechał »orki w wincie i nawet odprawił swą gospodynię. Wkrótce jednak uspokoił się.

»Obecnie ma się znakomicie, — utył, pieniędzy worek uczciwy nazbijał. Ożywił się nawet, — dzięki jego usilnej agitacji wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy... zaczęli palić papierosy w gilzach niesklejanych»...

Tak. Bo Obrzydłówek, — twarde, brutalne życie, — ma swoje prawa, znacznie silniejsze od tych, jakie niosła Stacha Bzowska..

Do tej samej, co i Siłaczka, kategorii bohaterów-społeczników należy i *doktór Piotr Cedzyna*, którego tytuł naukowy i imię jest jednocześnie tytułem noweli. Pochodzi on z sze-

roko rozpostartej rodziny szlacheckiej, co to przez długi szereg wieków stanowiła odrębna społeczność, była »cennem zbożem, rosnącem na pocie tłumy, jak na nawozie«, tworzyła w Polsce postęp, piastowała cywilizację, rozwijała myśl ojczystą. Doktor Piotr, (tak samo, jak i Siłaczka) to jeden z tych przedstawicieli rodziny szlacheckiej, których duch czasu wsiadł w gminy, — »jakby ktoś ćwierć dorodnego żyta wsiadł w pole nędznej wyki.« To nowoczesny człowiek, mówi o nim i skarży się ojciec, stary, zrujnowany doszczętnie szlachcic, — uczyni ze sobą, co chce i jak chce. Za moich czasów syn był w rękę ojca, słuchał go i czcił, nie miał prawa opuścić pod groźbą surowego wyroku naszych ludzi, nie zasmucił ojca, bo wisało nad nim twarde i mocne, niepisane prawo. Teraz ono rozwiane leży, odkąd zniknął nasz obyczaj szlachecki. Synowie nasi odeszli w świat... Szukają nowej prawdy. Śpieszą po twardym gościńcu, w skwarze i znużeniu, — zdaje im się bowiem, że na najbliższem wzgórzu tej drogi leży nie tylko ten skarb, ale i szczęście ducha. Nas wstrzymywała w biegu mądrość rodzicielska, pokazując, że ta nadzieja czczem jest mamidłem. Ich nic nie wstrzyma, to też w duszach ich niema »miękkich włókien czułości«...

Doktor Piotr jest człowiekiem silnym, — nie popełni nigdy kompromisu, nie sprzeniewierzy się nigdy swym zasadom etycznym. Kształćąc się na jednym z uniwersytetów zagranicznych, utrzymywał się z pieniędzy, przysyłanych przez ojca. Po kilku latach, uzyskawszy dyplom, wrócił do kraju. Zapędziła go tu nie tylko tęsknota za rodzinnymi stronami, nie tylko pragnienie pracy na niwie ojczyściej. Przez wiele lat marzył o tem, że swego ojca — staruszka zabierze do siebie „*mit pompe und parade*“, że posprawia sobie i jemu nowe przyodziewki, — »samych butów kozłowych po dwie pary na chłopa« — że naznosi do domu stopy »tytoniu, cukru, herbaty, kiełbas, — licho wie zresztą czego,« — że będą wieczorami, — »jak ostatnie szewcy«, — zgrywać się w domino i wspominać rzewnie »świętej pamięci Kozików,« — folwark zlicytowany, cichy, wiejski zakątek, gdzie dr. Piotr spędził lata dzieciństwa i pierwszej młodości.

Przyjechał, nie na długo. Przeglądając bowiem rachunki i notesy ojca, przekonał się, że pieniądze, przysyłane mu na studia, pochodzą z wyzysku robotników; — ojciec upoważniony został przez swego pracodawcę do pobierania oryginalnej, jak się wyraża, tantjemy, — otrzymując miesięcznie pewną kwotę na opłacenie robocizny, obniżył zarobki podległych sobie

nędzarzy. »Rozumie się, przystali, mówi do syna, — bo nigdzie więcej nie zarobią, a tu mają zarobek pewny. Tym sposobem uzbierało się trochę grosza i dla ciebie«. Stary Cedzyna manipulację tę uważa za zupełnie legalną, nie widzi w niej nic zdroźnego i nie rozumie oburzenia syna. Nie rozumie słów jego, ciężkich, jak kamień: »Cięży na mnie dług, który muszę zapłacić bez zwłoki. To nie ojciec dawał mi na edukację i nie ojcu mam zwracać ten dług gorzki i straszny«.

Świadomość krzywdy, wyrządzonej nędzaczom, pali dra Piotra, jak rozżarzone żelazo. Wyliczy więc skrupulatnie i dokładnie należytość każdego z pokrzywdzonych i wyjedzie do Anglii, do dalekiego miasta Hull, gdzie ma miejsce zapewnione i stosunkowo niezłą płacę. Będzie pracował, będzie odmawiał sobie w życiowych przyjemnostkach i wygodach, by dług straszny spłacić jak najszybciej.

Wyjedzie. Zgniecie w sobie egoizm, rozwieje marzenia o szczęściu, jakie przynieść mu mogło pożycie z ojcem, stłumi w sobie miłość i przywiązanie do niego, — do tego ukochanego staruszka, który był dla niego, — »jak druga, oddarta i niezmiernie daleko uwięziona połowa duszy«. Wyjedzie. Bo nie chce być ani przez chwilę pasorzytem, — »ciągnąć soki do życia z krzywdy głodnych«. Bo nie chce i nie może

być ździebełkiem zboża, rosnącym na pocie tłumy, jak na nawozie.

Do tegoż typu bojowników należy i Jan Raduski, bohater „*Promienia*“. Bo i on również nie pragnął szczęścia osobistego. »Życie jego zostało zamknięte, a klucz dawno rzucony w niezgruntowane wody«. I dla niego również, — jak to słusznie zauważył Feldman — jedynym celem, dla którego można jeszcze żyć, to zmniejszenie bodaj o kropelkę oceanu wszech-
zła.

Otrzymawszy w spuściźnie po stryju 20 tysięcy rubli, przybył Raduski po jedenastoletniej włą-
czędze po świecie do rodzinnego Łżawca, — pragnął rzucić tu promień kultury, uderzyć w panujące tu zgniłe mroki.

Nic się w Łżawcu za te jednaście lat nie zmieniło. Okrutna nędza, jak dawniej, szczyrzyła zęby na każdym kroku. »Olbrzymie tłumy ży-
dostwa, zanurzone w niezbadanej mocy ciemno-
ty, na którą nigdzie niema lekarstwa, tłumy chłopstwa, nie tknięte ani jednym powiewem kultury. Przemysł fabryczny, stopudowym młotem druzgocący rzemiosło, w tym celu, żeby pło-
dami trudu obdartych tłumów zalać »rynki« bez najmniejszego pożytku dla cywilizacji miejsca, z którego się począł. Motłoch, jak był, tak jest sobą«...

Z kart, poświęconych w powieści opisowi życia małomiasteczkowego, wieje na nas głębokie *taedium vitae*. A na duszę Raduskiego, który życiu temu przyglądał się zbliska, wionie, jakby »zgniłe powietrze, śmierć w sobie niosące«.

Panujące tu zło, nędza i krzywda społeczna są tak wielkie, że i w nim odezwie się »mięsożerny« instykt życia. — »Pókiż się będziesz tem zajmował, pókiż będziesz niweczył wiek swój?« Odezwie się i »zebrawszy do kupy wszystkie swe siły, chwyci się z nim samym za bary, ażeby mu z piersi raz wyrwać starą zgryzotę, która w niej tkwiła, jak grot włóczni Epaminandasa«. Ale w tejże chwili serce w Raduskim »ściśnęło się, jakby nadchodził moment śmierci«, — poczuł, że z chwilą wyrwania onego żelaza skończył się, jak Epaminondas. A nie było to przecie po Mantynei¹⁾... W tej szczególnej chwili przygnębienia zrodzi się pragnienie: »odejść dokądś, uciec, nie wiedzieć nic a nic, rozplynać się w jakiejś bezmiernej ciepłej kąpieli, spocząć w nicości na wieki, na wieki, na wieki«. Nie trwa to jednak długo. Dusza dźwiga się na widok Chrystusa, wiszącego w oświetlonym kościółku, do którego Raduski wstąpił po drodze.»Objął wzrokiem głowę, konającą dlatego,

¹⁾ Epaminondas, sławny wódz, mówca i polityk tebański, zginął w r. 362 przed Narodzenia Chrystusa w zwycięskiej bitwie pod Mantyną.

że była upojona świętymi myślami, najczystsze ręce, gwoździami przebite do drzewa za to, że się wyciągnęły przeciwko mocy żelaza, z błogosławieniem tych, którzy płaczą«... Prędką minutą skupienia, która była także chwilą głębokiej boleści, da Raduskiemu poznać, że »czuć znużenie i odpoczywać będzie miał prawo dopiero w takim momencie«...

Porwie się więc do pracy. Założy dziennik, — »Echo Łzawieckie«, — z którego uczynić pragnie organ Łzawca i najbliższej okolicy, — »informatora dla piśmiennictwa krajowego o bycie, stanie, losach, pracach i mocy produkcyjnej« łzawieckiego zakątka. Będzie w nim traktował o kwestjach najżywotniejszych, — o kromce chleba czarnego i szczypcie soli, proponował wytwórczość rozmaitych rzeczy, dla których rynek zbytu miał poprzednio wyszukać i wiarygodnie opisać, — zawsze z myślą podniesienia bytu ekonomicznego rodzinnego miasta. Pozatem poruszał w swym organie kwestje »czysto łzawieckie«, — a więc kwestję służących, kwestję terminatorów żydowskich, dzieci, błakających się po ulicach, starców, nie mogących pracować i t. d.

Pracuje z nieślabnącym zapalem i wiarą w zwycięstwo prawdy, acz piętrzą się przeszkody na obranej przezeń drodze. Świat łzawiecki walczy z nim, ze »służącym światła«, nie prze-

bierając w środkach, nie pogardzając ani oszczerstwem, ani plugawemi kłamstwami, ani wzgardą. Szczególniej odznacza się w tej walce pan Olśniony, osoba najbardziej pod względem materialnym zainteresowana, jest bowiem redaktorem wychodzącej od lat kilka »Gazety Ławieckiej,« — pisemka, silnie, — »trzebaby powiedzieć, monstrualnie szlacheckiego«, chociaż i za możniejszemu mieszczaństwu nie odmawiającego praw bytu i prenumeraty«, — organu, bez którego nie byłoby możności uzmysłwić sobie miasta Ławca. Olśniony, — według określenia Raduskiego, — klucznik ruder i lamusów, przeżuwający w swym dzienniczku przestarzałe prawdy i ideały »księży, grubej i cienkiej szlachty i wogóle burżujów,« — zwalcza »Echo«, jak powiada, w interesie pryncypiów, którym »służy«. Uważa się tu za autochtona: »Ja tu jestem wyrazicielem życia, uczuć, marzeń. Ja tu znam wszystko i wszystkich, ziemię i wodę, domy i mogiły. Rozumiem tu wszystkich i mnie wszyscy. To niema o czem mówić. Tak jest«. A z czemże przychodzi tu Raduski, — »jeden z najszlachetniejszych fantastów, jakich się widzi«? Z fantastycznemi ideałami, prawdami, hasłami, nakazami, przez nikogo tu nie rozumianemi i nikomu rzekomo niepotrzebnemi. W walce swej z Raduskim zasłania się Olśniony obłudnie różnemi »zasadami«. Ale my wiemy, co — jak

to się mówi — w trawie piszczy. Chodzi mu przede wszystkim o kwestję materialną, o prenumeratorków, których przeciągnął na swą stronę, a raczej zabrał mu Raduski, o utrzymanie dla żony i czworga dzieci. To też w walce tej nie przebiera w środkach: początkowo ogłasza »pełne jadu« artykułiki o »Echu«, — później przekupia drukarzy, zmusza ich do niedotrzymania zawartych z »Echem« umów, do zerwania z niem wszelkich stosunków handlowych. Ba! — idzie jeszcze dalej — oto odwiedza Raduskiego i proponuje mu parę tysięcy »odstępnego«. Ale pan Jan nie ustąpi, nie cofnie się, nie opuści stanowiska raz zajętego. W odpowiedzi na propozycję Olśnionego złoży uroczystą przysięgę, że nie ustąpi ze Łzawca, nie przestanie wydawać pisma i robić, co umyślił. Ma przecież jeszcze trochę pieniędzy. Zresztą wierzy, że i w Łzawcu nie same tylko rudery. Wierzy, że rzucony przezeń promień kultury przebije w końcu, rozwidni panujące tu mroki.

Łzawiec, obrany przez Raduskiego za teren działalności społecznej, to dobrze już nam znany Obrzydłówek, — w szerszym jeno stylu. I tu również panuje zaduch i stęchlizna ideowa. I tu również człowiek kultury podlega »stopniowemu przeistaczaniu się w twór miesożerno-roślinny«. W Łzawcu, tak samo, jak i w Obrzydłównku, spotykamy aniołów straconych, —

w rodzaju dr. Obareckiego, ludzi, co po krótkich próbach walki przyszli do przekonania, że marzyć, iż tchnie się w te mroki jakąś ideę, znaczy to samo, co »dmuchać na morze z zamiarem powstrzymania jego przyływu«. Taki, npk., adwokat Koszczycki, przybył do Łżawca z zamiarem pracy społecznej. We łbie mu, jak mówi, siedziały podówczas różne »idee żakowskie, skrupuły, przeszkody, względy, sympatje«. To też i miał zaledwie kilkadziesiąt rubli dochodu rocznego, chodził w podartych butach, cierpiał głód. Ale — jak się wyraża — Bóg go strzegł. Machnął ręką na idee żakowskie, stał się »prawdziwym« człowiekiem, wiecznym poszukiwaczem kawałka chleba dla siebie, żony i dzieci, — mrówką, krzątającą się tu i tam... Na miejsce idei żakowskich postawi »zbawienną« maksymę: »Kto nie korzysta z czasu, żeby w chwili szczęśliwej chwycić garścią majątek, ten nie należy do szeregu ludzi rozumnych, a eo ipso godnych uwagi«. I w konsekwencji zacznie »rozwalać obcasikami fizjognomje swoich bliźnich w gonitwie za pieniądzem«.

Są jednak inni, tacy, których »deszcze rozmoczą, burza poszarpie na szmaty«, tacy, co to — jak Stacha Bzowska, wyrzekli się raz na zawsze szczęścia osobistego i poprzysięgli sobie wytrwać na ciernistej drodze poświęcenia aż do śmierci. Doktor Poziemski, lekarz wolno

praktykujący, leczący małomiasteczkową biedotę »za darmo«. — »Miałem dochody — skarży się Raduskiemu, — pracę dużą, zadużą, jak na moje siły, ale orało się, człowiek był pełen animuszu«. Przez kilka lat pracował bezinteresownie dla biednych, pokrzywdzonych, uciemiężonych. Śpiesząc im z pomocą, »wąchał, oglądał, rozpatrywał, macał rękami wszelkie wrzody, rany, najwstrętniejsze choroby, smrody«. W rezultacie — iecząc jakiegoś nędzarza, zaraził się nosacizną. Umarł wśród okropnych męczarni. Jak Stacha Bzowska-Siłaczka — wytrwał do śmierci.

Powieść o *Ludziach Bezdomnych* jest rozszerzeniem i pogłębieniem idei omówionych już utworów. Pozatem, jak to dawno już zauważył Ignacy Matuszewski, — »konflikt zewnętrzny przeniesiony został w sferę wewnętrzną, do serca samego bohatera, walczącego nie tylko ze światem, lecz przede wszystkim z samym sobą, z naturalnem przywiązaniem i pociągami do powszednich uroków owego właśnie życia, które do gruntu przeobrazić pragnie«. ¹⁾

Bohaterem tym jest dr. Tomasz Judym, pochodzący nie ze stanu szlacheckiego, jak Siłaczka, dr. Piotr Cedzyna i Raduski, lecz z młóchu, z ostatniej, jak się sam wyraża, hołoty.

¹⁾ Porównaj: Ignacy Matuszewski: „*Studia o Żeromskim i Wyspiańskim*“ str. 13.

Syn szewca, w dodatku »lichego szewca z Ciepłej ulicy« w Warszawie, skąpał się po uszy »w oblesnej nędzy życia«. Przeżył wszystko i wie wszystko. Śmiadomość nędzy i krzywdy społecznej pali go, jak ogień. Czuje się odpowiedzialnym przed swym duchem za tę krzywdę i tę nędzę. To też »ukończywszy, dzięki opiece i pomocy ciotki, tudzież dzięki własnej — iście »szewskiej« wytrzymałości i zaciętości, — szkoły średnie i studja lekarskie, postanawia poświęcić się pracy społecznej. Postanawia wkroczyć na szlaki poświęcenia, któremi kroczyli Raduski, Piotr Cedzyna, Siłaczka. Osiadłszy w Warszawie, usiłuje przekonać tamtejszych lekarzy »o konieczności podjęcia społecznej akcji ratunkowej«. Rzuca im w twarz twarde oskarżenie: Umiemy pilnie tępić mikroby w sypialni bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkiwania dzieci pospołu z prosiętami... Kto z nas tu w Warszawie wdał się w to, jak mieszka rodzina żydowska na Parysowie!... Idziemy między tłum i zgadzamy się z rozsądkiem stada, Zamiast ująć w ręce ster życia, zamiast według praw nieomyłnej nauki wznosić mur, odgradzający życie od śmierci, wolimy doskonalić wygodę i ułatwiać życie bogacza, ażeby pospołu z nim dzielić okruchy zbytku. Lekarz dzisiejszy to lekarz ludzi bogatych«. Według <http://reim.org.pl> lekarze mają »wszelką

władzę niszczenia suteryn, uzdrowotnienia fabryk, mieszkań plugawych, przetrząśnięcia wszelkich krakowskich Kazimierzów i lubelskich dzielnic żydowskich«. W ich to jest mocy. Dlaczegoż tedy nic nie czynią? Warszawski świat lekarski odpowie mu zdziwieniem, nieufnością, niechęcią. Nazwie go dziwakiem, szlachetnym fantastą. Wyrazi nadzieję, że doktor Judym, skoro tylko »zawiesi na swych drzwiach tabliczkę z godzinami przyjęć, gdy będzie miał do okrycia i wykarmienia nie tylko swe studenckie ciało, ale także osoby drogiej kobiety i dziecka, wówczas da Bóg doczekać, może usłyszemy od niego mniej surowe słowo na temat przywar stanu lekarskiego«.

Nie taki to jednak człowiek. »Strąconym aniołem« nie będzie nigdy.

Zraziwszy sobie warszawski świat lekarski, nie może wyrobić praktyki. Po kilku więc miesiącach decyduje się na wyjazd z Warszawy, — przyjmuje posadę lekarza w zakładzie leczniczym w Cisach i tu daje czynny wyraz głębokim swym tęsknotom. »Zwolna w głębi ducha pierwotna chęć do pracy zamieniała się w zgubną pasję. Cały zakład, park, okolica stawały się jego skrytą namiętnością, żyjącym, jak płód, wewnętrznym światem. Jeżeli się zamyślił głęboko i chwycił na gorącym uczynku, o czem też myśli, to zawsze okazywało się, że coś

knuje: nowe urządzenia, inne wanny, szpalery, ogrody dla dzieci, sale gimnastyczne, przytułki dla wyrobników zakładowych i inne, inne rzeczy, aż do białego słonia, aż do samego »muzeum cisowskiego«. Nieraz w nocy, zbudziwszy się, łamał sobie głowę nad jakąś drobnostką, nad czemś, co nikogo nie interesowało, czekał niecierpliwie ranka i, wstawszy o świcie, coś sam robił, dźwigał, kopał, mierzył«...

Najważniejszym dlań zagadnieniem była kwestja zdrowotności w Cisach, pozostawiających pod tym względem wiele do życzenia. Przedstawia więc projekt podniesienia zakładu do poziomu prawdziwego uzdrowiska i żąda kategorycznie jego realizacji. Żąda bezskutecznie. Najbliższe otoczenie, złożone z ludzi apatycznych, biernych, nie grzeszących zbytnią uczciwością,—zwłaszcza »strącone anioły«, w osobach dr. Węglichowskiego i rządcy zakładu Krzywosąda,—wysuwają tysiące przeróżnych przeszkód, starają się ostudzić jego zapał, zatamować i zgasić jego szlachetne porywy. Wywołuje to w dr. Judymie wybuch »szewskiej pasji«. Z gniewem w sercu opuszcza Cisy. Wyjeżdża w świat — »gdzie oczy poniosą«. Przypadkowe spotkanie z przyjacielem inżynierem Korzeckim sprowadza go do Zagłębia Dąbrowskiego. Obejmuje posadę lekarza w kopalni węgla. Widok panującej tu nędzy i krzywdy społecznej wypełnia

naszę jego przerażeniem. Wchodził »na podwórza domostw śmierdzących, otwierał drzwi nieproszony«. »Były tam dzieci robotników z cynkowni. Wynaturzone okazy gatunku ludzkiego, przedwcześni starcy z obliczami trupów i wzrokiem, który woła o pomstę do nieba«. Zewsząd spoglądały na niego »babska paskudne i złe, twarze chorych, którzy może sądzili, że to śmierć nareszcie drzwi uchyliła«... »Tu ludzie w trzydziestym roku życia umierają, bo już są starcami. Dzieci ich — to idjoci«...

Odezwie się w Judymie głos twardego obowiązku. Nie będzie patrzył, jak żyją i umierają »ci od cynku«. Musi rozwalić te śmierdzące nory. »Przecie to ja jestem odpowiedzialny za to wszystko... Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie woła — nie pozwalam! Jeżeli tego nie zrobię ja, lekarz, to któż to uczyni?... Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przeklęty!«...

Słusznie pisze Matuszewski, że to współczucie dla nieszczęśliwych płynie u Judyma »w znacznej części z pobudek egoistyczno-rodowych«, — Judym bowiem widzi w nędzarzach braci »nie tylko w imię idei, lecz w imię rzeczywistego pokrewieństwa. Jako syn szewca — pijaka, brat kowala, a siostrzeniec i wychowaniec upadłej dziewczyny z motłochu, czuje się Judym częścią

owego motłochu, o którego szczęściu marzy.« Twierdzeniu Matuszewskiego nie można odmówić słuszności. Nie jest to jednak wszystko. Okrzyk o »przeklętym długu« świadczy, że w duszy Judyma grają te same echa, które odzywają się w znanych już nam duszach »Siłaczki« i »Dr. Piotra«. I on również uważa się za ździebełko trawy, wyrosłe na pocie i krwawicy siermiężnego ludu. »Wzięła cię ciotka z domu, — mówi do Judyma brat jego Wiktor, — wychowała, dała cię do szkół... Jak się ty będziesz ubierał, mnie to nic a nic nie obchodzi, chociaż to ubranie, twoje, nosisz z tej racji, że cię, widzisz, ciotka wzięła. Bez tego to cóżbyś ty był?« Judym przyznaje mu rację. — »Ciotce zawdzięczam wiele. Gdyby nie ona, zostałbym był na naszym podwórzu. To prawda. Ona mię w świat wepchnęła!...« A ciotka, upadła dziewczyna z motłochu, ta — według określenia Wiktora — najpierwsza granda w Warszawie, czerpała środki na życie i utrzymanie niebiednego mieszkania z kieszeni — »hrabiów, nie hrabiów« — w każdym razie ludzi, co to jak zboże rosna na pocie tłumy. Z drobnej, nieznaczącej cząsteczki tych pieniędzy korzystał Judym, gdy stawiał pierwsze kroki na drodze, prowadzącej do uniwersyteckiego dyplomu. Stąd właśnie okrzyk o »przeklętym długu«.

Zbierze Judym do kupy wszystkie swe siły i chwyci się za bary z »mięsożernym instynktem życia«, tkwiącym w nim gdzieś głęboko, jak w każdym zresztą człowieku. Chwyci się za bary, by wydrzeć go raz na zawsze. Zdruzgocze swoje sny o »własnym domu«, rozwieje marzenia o szczęściu osobistem. Zerwie narzeczeństwo, odtrąci od siebie Joasię, kobietę kochaną i kochającą. Zmiażdży serce własne, rozbije na szczęty serce Joasi.

Czemże uzasadnić można krok tak głęboko rozpaczliwy?

»Bezdomnym«, — wywodził kiedyś słusznie Ignacy Matuszewski¹⁾, — musi być każdy człowiek, owładnięty jakąś altruistyczną ideą. Dlaczego? Bo największym wrogiem altruizmu poświęcenia jest wrodzona człowiekowi potrzeba szczęścia osobistego, własnego gniazda, — »domu«, którego umiłowanie działa z konieczności paraliżująco na rozwój uczuć anty-

¹⁾ Porównaj: Ignacy Matuszewski — „*Studja o Żeromskim i Wyspiańskim*“ str. 15. A p. Wł. Jampolski w cytowanej już przez nas pracy swej o Żeromskim pisze, że Judym „wyrósł na tym samym, co bracia jego ciemniejszy, truncię, a tem jest nieszczęśliwszy, że całą ich dolę wchłócił w siebie, poczuł się za nią — on, samotnik — odpowiadającym i walczyć musi nie tylko na zewnętrznym gruncie, lecz i z ułudami, pragnieniami własnego życia, marzeniem o pełni beztroskliwej życia, o szczęściu, którego on — własnym trudem dźwigający się z nizin — jema jeszcze odwagi zakosztować, by sprzeniewierzyć się sobie i sprawie. Jest wielkość w tem przekonaniu własnej małości.“

egoistycznych. Ognisko rodzinne płonie często kosztem »ogniów« idealnych, ożywiających w pewnym okresie pierś każdej szlachetniejszej jednostki. Obowiązki względem szczupłej grupy najbliższych wchodzą w kolizję z sympatjami dla wielkiej, ale dalszej rodziny i odnoszą zwykle zwycięstwo, gdyż tak chce — »naturalny porządek rzeczy«.

Joasia, — synteza kobiecości w jej najczystszym najszlachetniejszym znaczeniu, — zmęczona swem tułaczem życiem, marzy o »ustaniu sobie« »gniazdka«, — gniazdka skromnego, ale miłego, poczciwego, zbudowanego własną pracą, bez ludzkiej krzywdy«. — »Każda istota ma swe ognisko, swój dach; — mały skowronek i ten... Gdy pomyślę, że teraz moje życie tułacze ma się już skończyć«, — zwierza się i skarży cichutko Judymowi i roztacza przed nim obraz przyszłego szczęścia. Będzie pomagać mu w pracy, założą szpital, — będą wszystko, lub prawie wszystko, co inni obracają na zbytek, oddawali dla dobra biednych i nieszczęśliwych ludzi. A z resztki, z tej »najostatniejszej resztki«, którą Judym da swojej żonie, uścielą własne gniazdko. Joasia nie chce wcale większego mieszkania, nie chce mebli. Brzydzi się »meblami, politurą, lakierem«. »Firanki, dywany, — jakież to wszystko brzydkie!«. Nie, nie! Skromne, a ciche i ich mieszkanie pełne będzie

»sprzętów prostych, jak u najuboższych ludzi, ale za to pięknych, jak u nikogo«. Stworzą sobie »źródło poczucia piękna, nowego piękna, sztuki jeszcze nieznannej, która obok nas śpi, jak zaczarowana królowna«. Stołki sosnowe, stoły, proste kilimy...

Słowa te padają w duszę Judyma, jak wonne kwiaty, budzą w niej z uśpiania roje pragnień, marzeń i myśli, — kuszą go, — »jak śpiew syreny«. W śpiewie tym jednak słyszy tony nie tylko rozkoszne, ale także i »zabójcze dla energii ducha«. Czuje on, że wskutek pożycia z Joasią nawet w tak skromnem gniazdku — zakiełkuje w nim »przyschłe nasienie dorobkiewiczza«¹⁾, — rozrośnie się w nim, stłumi i zgasi jego szlachetne pragnienia i porywy. Bo człowiek, — mówi do Joasi — »tak samo przywiązuje się, musi się przywiązać, do prostego kilimka, jak do gobelinu, do zydlu, jak do otomany, do światłodruku, wystrzyżonego z czasopisma, jak do cennego obrazu«.

Judym wie dobrze, że Joasia go nie wstrzyma, czuje jednak, że »sam nie będzie mógł odejść«. Jeśli ulegnie pokusom, zawartym w »syrenim« śpiewie, jeśli »spocznie na chwilę pod strzechą chaty«, to nigdy już nie wróci na ciernistą drogę poświęcenia. I dlatego właśnie z rozpaczą

¹⁾ Por. J. Matuszewski — »Studja o Żeromskim« str. 15—16.

w sercu — powie do Joasi: »Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał«...

Powieść, jak widzimy, kończy się triumfem idei. Jak »Siłaczka« i dr. Piotr, Judym nie uznaje kompromisu z twardym, wewnętrznym obowiązkiem, — nie wybiera drogi pośredniej, — idzie na przełaj, znosząc po drodze wszelkie — najcięższe i najboleśniejże przeszkody.

Krytyka niejednokrotnie zadawała już pytanie, czy z nieszczęścia tych dwojga ludzi — Judyma i Joasi — wyrośnie szczęście dla świata?

Autor nie mówi o tem wyraźnie. Można jednak z szeregu przedstawionych faktów wyciągnąć pewne wnioski.

»Bezdomni ludzie« Żeromskiego — mówi Matuszewski — są idealistami, ale nie są ideałami, jeno ludźmi, w których gwałt, zadany instynktom samolubnym, prędzej czy później wywołuje reakcję« Problem bezdomności nie jest obcy dr. Węglichowskiemu, Krzywosądowi, Leszczykowskiemu. I w ich sercach gnieździły się kiedyś wzniosłe idee, skrupuły, przeszkody, względy i sympatje. Z biegiem lat jednak biorą z temi ideałami rozbrat, stają się jak to wi-

dzieliśmy już na przykładzie Kaszczyckiego z »Promienia« i Obareckiego z »Siłaczki« — prawdziwymi« ludźmi, zakładają swój własny dom, stają się mrówkami, krzątającymi się tam i sam. Co do Leszczykowskiego tylko poczynać trzeba drobne zastrzeżenie. Nie wyrzeka się on zupełnie swej wzniosłej idei, pracuje dla szczęścia innych, tęsknota jednak za własnym gniazdem odzywa się w nim bardzo silnie. Joasia, ten czysty, szlachetny kwiat — przychodzi w pewnym momencie do wniosku, że życie kochać trzeba nadewszystko. A tragiczna postać inżyniera Korzeckiego, który kończy samobójstwem, stwierdziwszy, że na dalszą pracę dla szczęścia innych braknie mu już sił. Tak. Bo życie stawia przed bohaterem społecznikiem dylemat — albo ulegniesz, albo zgnijesz. Zło — rozlane po świecie — zgodnie ze swą naturą omija łotrów, tchórzów, nikczemników, trątuje natomiast, miażdży wszystkich, którzy próbują wyzwolić się z jego oków. Nie ominie też dr. Judyma. Uderzeniem niewidzialnego drąga rozsypie w gruzy gmach jego wzniosłych marzeń.

Zapoznaliśmy się oto z dorobkiem Żeromskiego za pierwsze dziesięć lat jego działalności pisarskiej. Zawarliśmy bliższą znajomość z długim szeregiem bohaterów, wyrastających ponad miarę ludzką, niemal do ogromu ideału, —

z długim szeregiem ideologów, stawiających żądania niezwykle wysokie, kompromisu z obowiązkiem nie uznających i pasujących się — jak to powiada Matuszewski — z fatalizmem zewnętrznym: ze złośliwym, ale konsekwentnym, jak prawo natury, egoizmem przemocy oraz straszliwą w swoim cuchnącym bezwładzie obojętnością najbliższego otoczenia. Zwróciliśmy przy tem uwagę na dwa, bijące w tym dorobku żywym tętnem, kierunki — patrijotyczny i społeczny.

Sprawa Polski ukrzyżowanej — czyż może być coś większego, coś bardziej świętego? Jak bohater tragedji, Sułkowski, pisarz w każdej minucie swego życia zdobywa i tworzy Ojczyznę. Z głębi serca swego, Polską obłąkanego, wydobywa słowa, sceny, obrazy, — głucho skargi, nabrzmiałe łzami i niekłamanym, głębokim bólem. Z męską odwagą rozdziera rany polskie, by — jak powiada — nie zasklepiły się błoną podłości, wyświetla plamy na sumieniu narodowym, spoziera i nam patrzeć każe na jadowite kwiaty, rosnące i rozwijające się w duszy narodowej pod troskliwą opieką rządów zaborczych, rzucając tam i sam nie tylko słowa wiary, nadziei, pokrzepienia, bez także i wielkie, nieubłagane, bezwzględne nakazy i budząc tą drogą w masach polskich świadomość tragizmu ich położenia politycznego, — rozpalając w sercach moc ducha,

bohaterską wytrwałość do pracy, do ciężkiego znoju, do twardej walki. Zbyteczną byłoby, mam wrażenie, rzeczą rozwodzić się nad tem, jakie znaczenie miała dla nas ta działalność w czasach, gdy nad ziemią polską rozpościerała się żałobna płachta niewoli politycznej. Pochodnią, słupem ognistym w ciemnościach nazwał ktoś słusznie Żeromskiego.

Ten właśnie kierunek patriotyczny splata się i zrasta w doskonałe, nierozzerwalne jedno z kierunkiem społecznym. Krzyż, jaki tworzą u innych, zwłaszcza obcych pisarzy, takie tezy i antytezy — u Żeromskiego nie istnieje, — pod gorącym jego tchnieniem znika, stapia się w harmonijną syntezę. W marzeniach swych o Polsce przyszłości podkreśla pisarz wytrwale i konsekwentnie nie tylko zasadę wolności politycznej, lecz także, a może nawet przede wszystkim zasadę sprawiedliwości społecznej¹⁾. Bez żadnych absolutnie zastrzeżeń staje po stronie pokrzywdzonych, uciemnionych, płaczących, w gorących słowach mówi o ich tylo-wiecznem niewolnictwie i bezprzykładnem cierpieniu, protestuje przeciwko sobaczemu, jak się wyraża, bezprawiu, na mocy którego istnieć może milioner obok i na karku nędzarzy, — syty, spokojny o jutro i zadowolony obszarnik obok

¹⁾ Na ten szczegół zwraca uwagę p. T. Wojeński w cytowanej już przez nas pracy na str. 59.

bezrolnego bandosa, przyczem protest swój ujmuje w formę ostrą, nieraz bardzo gwałtowną, narażając się przez to na niemniej ostre i gwałtowne krytyki i zbiorowe protesty. Pokoleniu młodzieży, co zerwawszy z pozytywistyczną niewiarą, wkroczyło na porośniętym zapomnienia romantyczne szlaki walki o niepodległość, pokoleniu, dzięki któremu »promień słoneczny po nocy z za krawędzi znów wytryśnie« wpoić usiłuje największą, najgłębszą swoją troskę: ¹⁾ »czy też kiedy w dalekiej przyszłości polski bandos dołączy swoją z kamienia wyklęczy? czy ją wyciągnie z Pana Jezusowych nóg, gwoździami przebitych? czy ją wydepce opuchniętymi nogami z nieskończonych

¹⁾ Zaznaczyć i podkreślić należy, że w pierwszym, rozpatrywanym tu, okresie twórczości Żeromskiego myśli takie ukazują się w formie nieskrystalizowanej, tworzą rodzaj „mgławicy ideowo-uczuciowej“, — sprawiają wrażenie embrjonu, z którego powstał później piękny acz pozbawiony realnych fundamentów gmach jego idelbgji polityczno-społecznej. W powstałym w wolnej już Polsce „Snobizmie i postępie“ pisze: „Polska nie dlatego powstała, żeby w niej stara nędza, jak za czasów najeźdźców, nadaremnie łyła laia. Polska nie dlatego powstała, żeby dygnitarz cywilny, czy wojskowy, pędząc w automobili, obryzgiwał dziadów i żebraków, wtulonych w każdy kąt, w każde załamanie muru stolicy państwa. Polska nie dlatego powstała, żeby w jej granicach miała swe rozpostarcie burżuazyjna fabryka paskarstw, szwindlów i oszustw. Polska odrodziła się ze krwi i pracy męczenników poto, żeby na miejscu gdzie stała ciemnica niewoli, rozpostarło się najjaśniejsze pracowisko postępu“. Któż twierdzić zechce, że takich słów nie można było oczekiwać od autora znanych już nam nowel społecznych?

kolein drogi między swoją czarną chatą, a dalekim pszennym krajem?... kiedyż żeńcy polscy z miłością nachylą się ku zbożu dostątemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej, nie mój, ani twój, ale nasz, ojczysty?«¹⁾

Szlachcie, która raz już Polskę przełajdaczyła, rzuca przed oczy mickiewiczowski imperatyw: «Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego».²⁾ Wysokie stawia żądania; trzeba się ograniczyć, trzeba »zjąc delję i złoty pas, kontusz i kołpak z czaplem piórem«, — trzeba — jak to dawno już głosili ojcowie z Towarzystwa Demokratycznego »wejść w lud i stać się ludem«. Trzeba zwrócić dług, zaciągnięty przez przodków u ludu, trzeba sumiennie, po bratersku podzielić się skarbem ducha, odziedziczonym po przodkach uprzywilejowanych, a wyrośłem na pocie, na krwawicy siermiężnej rzeszy, — trzeba mroki, zalegające niziny społeczne, przebić i rozwidnić promieniami kultury, trzeba »krwawą dolę bandosa przypiąć sobie do lewego boku, jak zardzewiały, w ziemię wkopany, brzeszczot mieczowy« i uderzyć nią w »zdawna narosłą

¹⁾ Stefana Żeromskiego — „Słowo o Bandosie“ (napisane w r. 1908).

²⁾ A. Mickiewicza: *Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego*.

przemoc w ojczyźnie«, — trzeba wreszcie — czas już najwyższy — wyzwolić świat pracy przez dobrowolne wyrzeczenie się lub nawet przez walkę z tymi, którzy tego nakazu nie chcą uznać. Nietrudno wyciągnąć stąd dalsze wnioski: tylko tą drogą Polska, rozbita na kilka kast, pełnych wzajemnej nieufności i niechęci, przekształcić się może w kraj o jednolitej strukturze, o jednakich zainteresowaniach, dążeniach, aspiracjach, — stać się może blokiem, o który rozbić się musi straszliwy pęd naszych sąsiadów z zachodu i wschodu.

Popelnilibyśmy jednak wielką nieściskość, a w stosunku do pisarza i wielką niesprawiedliwość, gdybyśmy sferę jego zainteresowań ograniczali do dziedziny zagadnień polityczno-społecznych.¹⁾ Nie są mu obce, ani obojętne zagadnienia, — według jego określenia — dręczące duszę współczesnego człowieka, a więc zagadnienia Boga, religiji, człowieka, stosunku jednostki do kosmosu i odwrotnie, życia i śmierci, dobra i zła. W twórczości swej nie pomija Żeromski tych zagadnień — przeciwnie poświęca im sporo uwagi, wkraczając przez to w dziedzinę etyki, filozofji, metafizyki, mistyki.

Znane nam systematy filozoficzne, mające

¹⁾ Por.: T. Wojęński — „Stefan Żeromski“ str. 8. i I. Matuszewski: „Studja o Żeromskim“ — zwłaszcza rozdziały, poświęcone „Popiołom“ i „Dziejom, grzechu“.

na celu wyjaśnienie źródła zła, sprowadzić można do trzech zasadniczych typów:¹⁾

1) Źródłem zła jest wolna wola człowieka; człowiek bowiem grzeszy świadomie i naraża się na przykre, a częstokroć i bolesne konsekwencje popełnionych grzechów. Tak uzasadnia istnienie zła judaizm i chrystjanizm.

2) Panteizm nie przypuszcza, aby zło posiadało egzystencję samodzielną. »Jest to tylko pewna konieczna, ale przejściowa faza ewolucji kosmicznej, niezbędna do tego, żeby utrzymać na świecie ruch i postęp. Po pewnym czasie zło przemieni się w dobro, albo, właściwie mówiąc, naruszony chwilowo porządek natury powróci do równowagi i harmonji«.

3) Manicheizm uważa dobro i zło za żywioły autonomiczne, istniejące równorzędnie i staczające walkę ze sobą.

Twórca tej doktryny Szuraik, u Rzymian Cubricus, powszechnie zwany Mani'm, a sam się nazywający »Przewodnikiem«, — »Posłem Światła«—»Parakletem«—»Pocieszycielem« urodził się około r. 215 po Chrystusie w Persji. Starannie w domu wychowany i wykształcony, wtajemniczony przez ojca w doktryny istniejących podówczas w Persji sekt religijnych, Mani bardzo wcześnie, bo już w. 25 roku życia, uczuł

¹⁾ Por.: I. Matuszewski — „Studja o Żeromskim” — str. 76 i dalsze.

w sobie popęd reformatorski i wystąpił w roli proroka, głoszącego nową religję. Ponieważ jednak *nemo propheta in patria sua*¹⁾, Mani rychło opuścić musiał strony ojczyste i przez lat blisko 30 tułał się po Transoksanji, Chinach i Indjach, a nawet, jak podają źródła rzymskie, po ziemiach zachodu, objętych sferą wpływów kościoła chrześcijańskiego. Powróciwszy około roku 270 do ojczystego kraju, zaczął tam głosić swą religję, zdobywając dla niej sporo wyznawców, nawet na dworze królewskim. Ta reformatorska działalność nie podobała się wszechwładnym magom, którzy wywierali potężny wpływ na króla i rządili całym krajem. Mani został uwięziony. Odzyskawszy cudem czy podstępem wolność, nie cieszył się nią długo. W r. 276 fanatyczni magowie ukrzyżowali go i obdarli ze skóry, którą po wypchaniu wystawiono w Gondiszapurze na widok publiczny²⁾.

A jak przedstawia się doktryna tego męczennika?

Początek świata tworzą dwie istoty, istniejące oddzielnie, a graniczące ze sobą bezpośrednio: Światło—istota wspaniała, nieograniczona, będąca Bogiem samym, — »królem rajy światła«, — i Ciemność, — »nie mająca Boga na czele

¹⁾ Po polsku — nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie.

²⁾ Por.: J. A. Święciecki — *Historja literatury polskiej*. Tom V. część I. str. 112—119. Warszawa, 1902.

swojem«. W pewnym okresie z owej istoty ciemnej powstał szatan, Iblis, — »o głowie lwa ciele smoka, o skrzydłach ptaka, ogonie ryby i czterech nogach zwierząt pełzających«. Czołgając się po królestwie Ciemności, pochłaniał Iblis wszystko, szerzył zepsucie, niósł spustoszenie i ruinę. Zdążając ku wyżynom, ku granicy ziemi świetlanej z ziemią ciemności, dostrzegł promienie światła, które »przeciwnie mu były«. Wzdrygnąwszy się, wpelził do tych promieni i połączył się z ich żywiołami, aby »na ziemi jasnej szerzyć mord i zepsucie«. »Król rajy światła«, dowiedziawszy się o tej inwazji, stworzył pracłowieka i polecił mu stoczyć walkę z Iblisem. Walka ta skończyła się porażką pracłowieka. Wówczas wyruszył do boju sam król rajy światła w orszaku bogów. Iblis został zwyciężony. W trakcie walki jednak kilka części światła zmieszało się z tyłomaż częściami ciemności. Aby nie dopuścić do rozrostu owego połączenia, pracłowiek zstąpił do ciemnej otchłani i podciął korzenie żywiołów ciemnych, które się zmieszały z żywiołami jasnymi. Następnie »król rajy światła«, pragnąc wyeliminować ze swej dziedziny żywioły ciemne, polecił jednemu ze swych aniołów stworzyć z powstałej w trakcie walki z Iblisem mieszany świat obecny. »Stąd też składowe części naszego świata stanowią mieszaninę dobra i zła«.

Stworzenie człowieka odnosi Mani również do demonów ciemności. »Pierwszy człowiek, Adam, zrodzony był przez szatana przy pomocy grzechu żądzy i egoizmu, wszelako z przymieszką tych wszystkich cząsteczek światła, które Iblis ukradł królowi raj. Stąd też Adam jest istotą sprzeczną w sobie, gdyż jakkolwiek stworzony na obraz szatana, posiadał jednak w swojej naturze silną iskrę światła«.

Dobro i zło, duch i materja, światło i ciemność, to pierwiastki autonomiczne, istniejące równorzędnie i walczące stale ze sobą. Stąd też i w duszy człowieczej wre wieczna walka¹⁾.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad doktryną manichejską, gdyż pociąga ona Żeromskiego więcej niż inne. Zainteresowanie swe dla niej zdradził pisarz w przepięknej noweli, a raczej w poemacie prozą p. t. *„Aryman mści się“*. W *„Popiołach“* książkę Gintułt usiłuje zgłębić tajniki manicheizmu. W *„Dziejach Grzechu“* nie brak wzmianek o tej doktrynie. Poza to w całej twórczości Żeromskiego uderza nas pewien rys charakterystyczny: rozdwojenie uczucia²⁾. W duszy jego bohaterów wre zacięta walka między sprzecznymi pierwiastkami. Przeżycia czołowej postaci *„Ludzi Bezdomnych“* będą tu, mam wrażenie,

¹⁾ Ibidem — str. 108—120.

²⁾ Por.: J. Matuszewski — *„Studja o Żeromskim“* — str. 77.

przykładem najbardziej wymownym. Judym, — »za słaby, by móc żyć dla dwóch instynktów, dla szczęścia i idei, depce pierwszy, jako wroga, poświęca Joasię i zostaje na całe życie, jak owa sosna rozszczepiona, straszna w swem kalectwie, stercząca ze swem nieszczęściem na szczerem polu, jak skarga wieczysta«¹⁾). A wynurzenia inżyniera Korzeckiego, bohaterą tegoż utworu, czyż nie mówią nam o dziwnej, nieuniknionej symbiozie sprzecznych pierwiastków, o zwrotach i splotach sprzecznych, — złych i dobrych — elementów, ukrytych w jednej i tej samej piersi człowieczej? Przykłady takie mnożyć można bez końca.

Zło, zgodnie z doktryną manichejską, rozlane jest po całym świecie. Jest ślepą, nieubłaganą potęgą, ogromem niepojętym, który trzyma świat cały. Zgodnie ze swą naturą, omija łotrów, tchórzów, nikczemników, tratuje natomiast, miążdży uderzeniami niewidzialnego drąga tych wszystkich, którzy wyzwolili się czy też tylko usiłują wyzwolić się z jego oków²⁾). Ginie »Siłaczka«, Stacha Bzowska, ginie wskutek zarażenia się nosacizną szlachetny altruista, dr. Poziemski, umiera w strasznych męczarniach śliczna i czysta żona jego. Feldman słusznie zwrócił uwagę, że żadna

1) Por.: W. Feldman — „*Współczesna literatura polska*“ — str. 242.

2) Por.: W. Feldman — str. 241.

theodicea nie wytłumaczy tych okropności¹⁾. A pani Ewa Dąbrowska z noweli „*Tabu*“, ta, co z »mężnym i mocnym spokojem, nieuprzykrzonym heroizmem dusz bardzo cierpiących« odwiedza w szpitalu warjatów swego obłąkanego męża. Patrząc na niego »usiłowała zdrowemi nerwami wyczuć i zmierzyć okropne jego boleści, straszliwe trwogi. Za pomocą potężnego skupienia całej swej istoty ważyła łamać wejście do wnętrza tego lochu, spokojnie rozpatrzyć sekrety tamtej potwornej dziedziny i walczyć! Wszak po to przyjechała. Zebrać do kupy potęgi duszy, jakimi tylko człowiek włada i uderzyć w nieznanego wroga. Jeżeli to jest zły duch — to uciecze, jeżeli to jest rana — to się zagoi, jeżeli to jest sama bojaźń — to ustąpi, jeżeli jakiś ból niepojęty — to się uśmierzy«.

Niestety, nie udaje się to jej. Więc płakać cicho zaczyna.

»Niewyczerpane łzy płynęły po jej twarzy, łzy, które nie zabierają z serca boleści, lecz wynoszą zeń życie, łzy, co uchodzą z człowieka, jak uchodzi krew z żył poprzecinanych. Obnażyły one jakąś ranę, odsłaniając jakąś mieżnę w duszy, ukazując same dno cierpienia.

¹⁾ Theodicea — wyraz grecki — znaczy — obrona wiary w sprawiedliwość Bożą przeciw zarzutom, wynikającym z pozornej sprzeczności między istniejącem na świecie fizycznem i moralnem złem, a dobrocią i sprawiedliwością Boga. (Słow. M. Arcta).

Nie przemogła złego. Nic nie nada miłość, góry jakby z miejsca na miejsce nosząca, nie poradzi wola, nad wszelkie trudy mocniejsza i wytrwałe męstwo i ślepa wiara w odsiecz sprawiedliwości.«

Biedna pani Ewa! Ta sama bezlitosna, tajemnicza potęga, która zmiążdżyła i zgruchotała Stachę Bzowską i Poziemskich »czyni z niej, może na całe życie, »tabu« dla miłości, dla szczęścia...«

»Jakie to wszystko bezlitosne, jakie to zimne, jakie to nieubłagane« — powtarzamy cicho za panią Ewą.

Gdzież szukać ukojenia, pocieszenia, pokrzepienia, poparcia? W pięknie? W przyrodzie¹⁾?

W nieczulej, w obojętnej na najsroźsze nasze męki i najcięższe cierpienia przyrodzie? — »Gdybym tu umarła w tej chwili, — myśli pani Ewa, — gdybym się zsunęła w wodę i utopiła, pożarłyby mnie raki i robactwo, a ta woda igrałaby nademną tak samo cudownie, te ryby tak samoby się pluskały i ta rozkosz, co idzie z rozkwitłej ziemi, szłaby tak samo dla innych.«

Czemżeż jesteśmy, my, ludzie? »Któż jest człowiek? Jakie jest miejsce jego wśród suszy i wody, wśród zwierząt, motylów, kwiatów? Jakiż powinien być czyn jego?²⁾

¹⁾ Por.: W. Feldman — str. 241.

²⁾ Stefana Żeromskiego — „Powieść o Walgierzu Udałym.“

Ah! mrówką jest tylko małą, mrówką, co znalazłszy się niezależnie od swej woli na środku jeziora, płynie nie tam, gdzie chce, lecz tam, gdzie ją fale zaniosą. W noweli p. t. *Cienie* Marek Kuterwa, młody filozof, wyklada swej narzeczonej, czystej dzieweczce, doskonałą koncepcję mistrza z Jeny, rozwija wywód »o matematycznej prawidłowości, która przenika dzieła stworzone, o tem, że gdyby jej, tej »duszy świata« nie było w istocie, to człowiek, obdarzony mądrością, byłby zmuszony do odnalezienia jej w tym celu, ażeby wszystkie zjawiska, przyrody ustawić w formie dla uzewnętrznienia praw kierujących i związku ich między sobą.«

Tak oto wywodził, a w pewnej chwili, rzucając okiem na Lili, na narzeczoną swą, — »zapomniał o całym świecie. Jej szyja i ramiona bielily się, jak śnieg w sąsiedztwie przepysznych włosów, które oblewało krwawe słońce... Twarz jej płonęła purpurą, usta były karminowe, oczy nabrały zachwycającej ciemności... I filozof stracił wątek szellingowskich myśli, a natomiast uczuł w sobie szczególną, gminną uciechę, która zmysły jego pchnęła jakby w wir słodkiego tańca«...

Przywarł ustami do ust narzeczonej. Budzi się żądza, ogarnia jak płomień. Jak cienie za słońcem, złe idzie za dobrem¹⁾. Idzie, podnosząc syczącą głowę.

¹⁾ Por.: W. Feldman — str. 241.

I przypomina się Markowi krokodyl, oglądany kiedyś w paryskim ogrodzie zoologicznym. Przypomina się młodemu filozofowi »wyraz jego oczu, a właściwie okrutny brak jakiegokolwiek wyrazu. Były to wielkie ślepia bez połysku, dawno zgasłe, patrzące niewiadomo jak, bo ani żarłocznie, ani ciekawie, a przecie w taki sposób, że to wejrzenie na zawsze, aż do śmierci ryło się w oku i mózgu.«

Młody filozof dygoce, wspominając te ślepia i w mowie ich znajduje formułkę dla swoich wzruszeń: to są oczy powszechnej natury stworzeń — moje i Lili — myśli z bolesnem złamaniem w sercu.«

A potem — »czuł, jak przez sen, że zupełnie podobny jest do drzewa, które nie wie, jakie miejsce, jaki obszar, prawej czy lewej strony pnia zajmą jego konary, gdzie będzie stał jego wierzchołek.

Czuł, że nie wie o sobie nic, jaka namiętność z duszy jego wystrzeli, w którą stronę się zwróci? Czy owocem jej będzie dobro czy zło, cnota czy niegodziwość? Czy w sercu kryją się i wyjdą zeń kiedyś sprawy cnotliwego, czy dzieła zbrodniarza«¹⁾.

¹⁾ Omówione wyżej nowele — „*Tabu*“ i „*Cienie*“ wchodzi łącznie ze znanym nam już „*Promieniem*“ do tomu pod ogólnym tytułem „*Utwory powieściowe*.“

Zło panuje nad światem, unosi się ponad nim, jak natrętny, drapieżny, brutalny ptak, rozpościera olbrzymie swoje skrzydła, strzegąc zazdrośnie swoich praw, tępiąc z nieubłaganem okrucieństwem wszelkie próby wyzwolenia się z jego oków. Każde wzniesienie się ku jasności, ku słońcu, — rozpętuje w nim furję gniewu, czyni go bardziej agresywnym, zmusza go niszczyć i burzyć, szarpać, kęsać i gryźć z zaciętością tem większą.

Opowiada o tem Żeromski w przepięknej swej noweli p. t. „*Aryman mści się.*“

Oto — Diokles, — »zbliżając się do szczytu wyniosłości życia« zwracał jeszcze »spojrzenie w stronę krainy przebytej. Strudzone stopy ociężałe dźwigały wiek jego nędzny i ciężki, jak bryłę ołowiu, do ziemi nieznamomej, co się daleko ukazać miała.«

Daleko w tyle, w nizinach, — »we mgłach tęsknicy roztopionych,« — pozostał ów czas, — »kiedy tak wszystko smakowało duszy, jak sama chciała.« Obecnie, gdy stopy zbliżają się do szczytu wyniosłości życia, serce, powielokroć nasycone, nie łaknie już, nie pragnie. Wszystko »znudziło się i obmierzło. I w rzeczach wszystkich, które ujmuje posiadanie, widać było tylko zgryzotę.«

Jedno jedyne pragnienie odzywa się tylko w głębi duszy — pójść wstecz, »raz jeszcze

ujrzeć, co się już widziało,« — wrócić się do widzeń serca, »zobaczyć znowu świat, odbity w oczach dziecka... Zważać w milczeniu, jak pod sercem, pełnem zdrad i wybiegów, poczyna się tajemne, sobie tylko samemu wiadome, westchnienie i przewodniczy orszakowi myśli nowonarodzonych, które za niem idą w stronę mądrości, raz jeszcze temu wzruszeniu zaufać«. Bo tam, w tych dolinach, we mgłach tęsknicy roztopionych, zostało szczęście »które nie trwało dłużej nad czas jednej jutrzeńki, a zwiędło, podobne do kwiatu wiosny na niwie, gdy wysoko wzbije się skwarne słońce.«

Twarda świadomość jednak głosiła, że dni szczęścia tego już się nie wróca. Więc wznosił Diokles ciężką rękę, — »aby zatrzaskać drzwi miedziane. Na zawsze utracić opuszczone już życie, rozległe siedlisko żalu. Przestać uczuwać potrzebę rozkoszy, których liczba skąpa jest i wiecznie się powtarza, konieczność dziwactw ciągle odmiennych, a zawsze tych samych, świeżych jak dopiero zerwane róże skojarzeń myśli, za którymi nieodzowne wlecze się zdala poziewanie«.

»Rzucić na ziemię i stopą rozedrzeć ostatni kwiat, a duszę, niewolnicę zmysłów, wprowadzić do okręgu, gdzie inny leci czas, nie czekający nigdy... Tam ją przeciwko samej sobie obrócić, aby się poczęła zżerać i trawić, jak

w ogniu... Zgromadzić dokoła niej — jedynych sojuszników... — własne jej siły. W mocną smycz ze skóry uchwycić namiętności, jak psy i suki. W ściśniętej dłoni sforę ich nikczemną i szczekającą zatrzymać».

A gdy tak marzył — stanęła przed nim twarda mądrość maga, którą był ongi poznał i dla rozkoszy życia dawno odtrącił».

Ujrzał Diokles ponownie potężną myśl tego, co się zwał Parakletem. Wielki Mani!... I począł Diokles »dumać o tajemnicy, o skrytym i niezbadanym duchu człowieka, o tym ogniu niebiańskim, pełgającym nad jaskinią».

I jakgdyby w marzeniach sennych widział walki i niedolę pierwszego człowieka, Adama, — »który po to przyszedł, aby się w nim dokonało wyzwolenie światłości«. — »Duch jego miał zdobyć całkowitą wiedzę o sobie i rozwinięcie całej natury człowieczej. Ale pan mroku, ten, co się z przedwiecznego wroga jasności, z Angramainiu wywodzi, zły duch z czołem, zranionem od pocisków boskich piorunów, umiał temu przeszkodzić. On to dał Adamowi kobietę za towarzyszkę. Nim nastąpiło wyzwolenie światła, Ewa wznieciła w duszy Adama straszliwą siłę, bezdenną, wszystko niszczącą władzę: miłość. Pod naciskiem tej potęgi Adam rozproszył, osłabił i utracił blask swego ducha. W miłości poczynął dzieci, które

były spadkobiercami grzechu i 'niedoli. A jak było z Adamem, tak było z nim, Dioklesem, dalekim potomkiem «.

Jęk głęboki wydarł się z piersi Dioklesa, gdy przyszedł do tego stwierdzenia. I ujrzał, i przekonał się, że miłość do kobiety — »sprawuje zaplątanie się jasnego ducha w materję« — »I po trzykroć za prawo nieodwołalne uznał wzgardę rozkoszy cielesnej — pieczęć piersi.

W ciągu dalszych swych rozmyślań zgłębił drugie prawo wielkiego maga: »oczyszczenie ducha przez wędrówkę z ciał ludzkich do ciał zwierzęcych i roślinnych. I głęboko przejrzał, że dusza zwierzęca jest częstką Boga. Dlatego wyznał wobec siebie, że zabójstwo zwierząt, zżęcie kłosa i otrząsanie owocu równa się morderstwu, ponieważ przemocą wstrzymuje rozwój światłości, uwięzionej w zwierzęciu i roślinie«.

»I potrzykroć za prawo nieodwołalne uznał swobodę trzól, pól, gajów, rzeki, stepu: pieczęć ręki«¹⁾.

¹⁾ A oto, co o etyce manichejskiej pisze J. A. Święcicki w cytowanej już przez nas „Historji Literatury Perskiej“: „Nakazuje ona kochać, potęgować i oczyszczać żywioły światła, a wyswobadzać się z pod żywiołów ciemności. Celem tej etyki nie jest zniszczenie, lecz zachowanie samego siebie. Mani wymagał od zwolenników swoich nowiejszego, w którym mieli doświadczyć siebie, czy okazać się dość silni do przyjęcia z całą konsekwencją jego przepisów i dopiero ten mógł się uważać za wyznawcę manicheizmu, kto zdołał w sobie pokonać żądzę i chciwość, dwu złych demonów. Wów-

Odtąd Diokles utonął cały w głębokiej nauce Maniego. Uciekał z domu i zdala od ludzi żywych szukał tajemnicy żywota.

»A gdy jednego dnia sam szedł i miał przekroczyć próg domu, zastąpił mu drogę fellah, oracz ubogi, i rzekł: Córka, którąś mi z chaty wziął do łoża swego, powiła dziecię«.

Uważając wypadek ten za jedną z pokus szatana, początkowo spojrzeć nawet nie chciał na syna; — lecz pod naciskiem wzruszenia i radości, jaka promieniem buchnęła z jego serca na widok dzieciny, udał się do swej siedziby i przydźwignawszy stamtąd wór pieniędzy, kupił ją na swoją niepodzielną własność.

Do syna nie dopuszczał nikogo. Sam dawał mu pozywienie, sam go przewijał, kąpał i utulał w płaczu, spędzając z nim długie, szczęśliwe godziny.

»Nie chcę, żebyś był panem, którego witają poddani, zginając grzbiety. Nie chcę, żebyś był panem, który może, gdy chce, łyzy wycisnąć

czas to wstrzymuje się od jedzenia mięsa, które, jako nieżywe, jest pozbawione cząstek światła, a więc nieczyste, oraz unika napojów spirytualnych i małżeństwa. Wyznawców manicheizmu obowiązywały trzy pieczęcie, przypominające mazdejski nakaz czystości w myślach, słowach i uczynkach, mianowicie — pieczęć na ustach zastrzegająca czystość w myślach i słowach oraz powstrzymanie się od pokarmów mięsnych i napojów spirytualnych; pieczęć na rękach obowiązuje do czystości w czynach oraz ochrony wszelkiego życia zwierzęcego i roślinnego; наконец — pieczęć łona nakazuje czystość płciową i bezżenność...“ Por.: Julian Adolf Święcicki — „Historja Literatury Powszechnej“ tom V — str. 117—118.

i uśmiech szczęścia darować stęsknionemu tłumowi. Nie chcę, żebyś był wodzem, którego potęga łamie góry i w skiby urodzajne obraca.. Nie chcę, żebyś był królem, który może wznosić lub zwałać Diospolis, Luksor i Karnak, a kładzie się spać na wieki, sam jeden, w czeluściach piramidy. Nie chcę, żebyś posiadał mądrość, matkę niewidzialnej władzy nad ludźmi. Nie chcę, żebyś był twórcą potężnym, którego imię powtarzać będą ze czcią i zdumieniem dalekie, obce ludy«.

Nie! Diokles pragnął jedynie, by jego wzruszenia weszły w serce syna, — »jak iskra ognia«, by jego męczarnie serca syna nie zraniły. Pragnął, żeby z ducha syna wyrosło, jako czyn, jego, Dioklesowa, serce, serce, zdławione rękoma nieszczęścia.

I postanowił dać synowi potęgę samotności, której nie miał Adam, pierwszy człowiek. Postanowił dać potęgę najgłębszą — uchronić serce syna od miłości do kobiety. »Włożę w twe oczy wyniosły wzrok zwiastuna, który widzi wieczność i drogę, idącą ku słońcu za łańcuchami gór«.

I sprzedał Diokles dom, pola i ciche ogrody nadrzeczne. Sprzedał za bezcen, a pieniądze rozdał garściami nędzaczom, poczem — o wczesnym świcie — uciekł z doliny, niosąc syna w zgrzebnej płachtce na plecach. Szedł długo,

na zachód, w puszczy libijską i znalazłszy wreszcie po długiej wędrówce drzewa palmowe, trawnik i kwiaty, źródło wody krynicznej i suchą jaskinię »tam rozesał poduszkę z sitowia i na niej ułożył dziecinę«.

Mijały lata. Dziecko oprócz ojca nie widziało żadnego człowieka. Żyli w skałach, we dwu, jak szakale.

Mimoto — po dwudziestu z górą latach takiego życia w pustyni, gdy syn przerósł już ojca o głowę, — ogarniały młodego pustelnika »podniety niespokojne i dzikie żądze w nim się burzyły«.

W noce parne, gorące przychodziły do jego łoża i stawały nad nim »dziwne istoty«, których nigdy nie widział w pustyni. »Zbliżały się cicho i z lękiem, wznosiły ręce, bielsze od mleka, i postanie me zaścielały szkarłatnymi chustami. Witały się ze mną łaskawymi skinieniami brwi i wątlęciem dreszczem rzęs, a oczy zasłaniały liljowemi powiekami, które sieć małych żyłek przecina. Płonąca barwa wypływała na ich policzki... Wtedy słyszałem, jak gdyby liście z cicha szumiące i zdało mi się, że wymawiają pieśczośliwie me imię«.

Przerażony ojciec jął go prosić, błagać, — »zaklinać, ażeby precz wypędzał widzenia czarujące. Błagał go cichemi słowy przez Pana, który jest zawistny miłośnik, przez Pana, który

jest waleczny i w walecznym człowieku miłość swą składa«. Zapewniał go, że to są szatany.

I syn uwierzył. »Częsty post, nawet od daktyłowego owocu, czarty z jego oczu wypędzał.. Pracował w dwójnasób.. Dźwigał olbrzymie bryły zdaleka i otaczał nie micalą oazę. Czynił tak długo i z uporem, póki zemdlony nie padał«.

Po pewnym czasie śmierć zabrała mu ojca. I teraz bardzo często — zwłaszcza w chwilach gdy pełen świętego żalu siedział w zadumaniu nad mogiłą ojcowską, budziło się w nim tajemne, głębokie, niewiadome »pragnienie, żeby iść, iść daleko, w tę stronę, dokąd chodził ojciec« — z obfitym stosem uplecionych koszów i skąd powracał, niosąc zapasy żywności i pisma święte.

Ale przewyciężał się. »Upadał twarzą na ziemię i wzywał ducha ojcowskiego na pomoc. I święta miłość gasiła widma szatańskie. Budziła żądzę czynu, który kiedyś wypełniony zostanie. Czyn ten przed zaśnięciem nakazał mu Diokles, mówiąc: — »Gdy w cichej wodzie źródła zobaczysz, że włosy twe biały śnieg okrył, gdy nogi twe ustaną, rbcce zgrabieją i głowy już schylać nie będziesz, przestępując próg jaskini, wtedy opuścisz to miejsce i pójdziesz dniami, nocami w stronę, gdzie słońce wschodzi«.

Aż oto pewnego dnia wśród bezbrzeżnego morza piasku ukazała się karawana. Gdy czarni niewolnicy rzucili się do źródła, ujrzał Jan palankin bambusowy, a w nim jednego z owych szatanów.

»Zasłona rozsunała się z wolna i z poza niej wyjrzały senne, czarne, głębokie i jakby blaskiem księżyca posrebrzane oczy. Oczy te wzniosły się na Jana«...

A gdy błękitna noc okryła pustynię, do świętej jego groty weszła pokusa, — »pełna rozkoszy, paląca swym oddechem, mącająca mózg swym szeptem«.

I wtedy to — »podniósłszy na nią oczy Jan rzekł: Świętego apostoła są słowa: którzy takie sprawy czynią, na męki idą. Patrz że, jak płonie ogień wieczny i jak się pali grzeszne ciało, które rozkosz nawiedziła.

A gdy słowa te wymówił, podniósł rękę prawą i wskazujący palec włożył w płomień ognia, co na misie kamiennej pełgał. I stał dotąd nieruchomy, aż się palec zatlił, rozpalił i gorzał«...

Zwycięstwo ducha nad materją? Tak, ale tylko chwilowe. Bo oto po nocy, pełnej bólu i męki, Jan »patrzył w głębinę swego ducha, gdzie wrzała straszliwa burza, jak gdyby samum, rozszarpujący ziemię. Krwawa pięść Jana wzniosła się w górę w tę stronę, gdzie na skalnej

wyżynie była trumna jego ojca. Spalone usta wołały z krzykiem:

Straszny i okrutny dla mnie był duch twój, jak struś, co jaja zniesie, w piasku pustyni zakopie, a sam ucieka.

Przeklęta niech będzie miłość twa dla mnie, z której poczęła się twoja siła, a moja słabość.

Łakomy żeraczu i zawistny tępiciele szczęścia, czemuż nie poszedłeś do szatana uczyć się dobroci?...

Dobry jest szatan i państwo jego rozkoszy i noc.

Niech będzie błogosławiony szept jego cichy i niech zagaśnie w piersi mej płomień twój!...

Usta śpieczone położył w piasku wilgotnym, gdzie w wyciśniętych śladach małych sandałów stała jeszcze rosa nocna«.

Jak widzimy, teren, na którym rozegrała się walka między sprzecznymi pierwiastkami, po chwilowym triumfie dobra, staje się areną strasznej, druzgocącej jego klęski. Zło triumfuje. Bo »Aryman mści się«. »Mści się za ów krótki triumf Ormuzda, który odebrał mu to, co jest jego, bo prawem jest ciemność, nie blask, bo prawem życia chwila, nie cel odległy, nie abstrakcja«¹⁾).

Cóż czynić tedy? Cóż czynić, skoro »je-steśmy niewolnikami materji, a ta bezmyślna,

¹⁾ Por. W. Feldman — str. 242.

obojętna traktuje nasze uczucia, nasze pojęcia, potężna, triumfalna, nieśmiertelna, gdy duch jest mały, znikomy?« Cóż czynić?

Przypomnijmy sobie rozmowę Judyma z Korzeckim z »Ludzi Bezdomych.«

— »Więc myślicie, że zbrodnia jest to absolutnie to samo, co cnota? — pyta Judym.

— »Nie! — odpowiada mu Korzecki — myślę tylko, że zbrodnia powinna być tak samo wyzwolona, jak cnota.«

I trochę niżej:

»Duch ludzki jest niezbadany, jak ocean. Spójrzcie w siebie... Czy nie zobaczycie tam ciemnej otchłani, w której nikt nie był? O której nikt nic nie wie? Siłą przymusu, ani żadną inną nie może być wytrzebione to, co nazywamy zbrodnią. Wierzę mocno, że w tym duchu nieogarniętym sto tysięcy razy więcej jest dobra — ależ co mówię! — w nim wszystko, prawie wszystko jest dobre. Niech tylko będzie wyzwolone! Wtedy okaże się, że zło zginie«!...

Wkraczamy na szlaki mistyki. Jest więc sposób, aby krzyż, który twoży teza i antyteza i na którym rozpięta jest dusza ludzka, przekształcić w harmonijną syntezę. Słusznie wywodził Matuszewski: »Zło więc byłoby tylko uwięzionem Dobrem, które się szamoce w piersi naszej, jak orzeł w ciasnej klatce. Puśćmy szlachetnego ptaka na wolność, a przestanie szarpać i kasać,

lecz rozwinąwszy majestatycznie skrzydła, uleci w górę, ku słońcu... Skruszmy kajdany Arymana, a mroczny bóg nie zginie, lecz zleje się w jedną istotę z bratem swoim, świetlanym Ormuzdem, przynosząc mu w darze swoją olbrzymią moc i niezmierzone bogactwo. Nie będzie to wzajemna neutralizacja, lecz organiczna synteza dwóch typów energii, mających równą rację istnienia. Złączenie owe nie da w rezultacie zera, czyli śmierci, lecz zdwoi, spotęguje tętno powszechnego życia.¹⁾

Żeromski, dopuszczając możliwość przeistoczenia się zła w dobro drogą wyzwolenia, zbacza wyraźnie i zdecydowanie ze szlaku manicheizmu, przyjmującego, że zło i dobro — to żywioły autonomiczne, istniejące równorzędnie i stale ze sobą walczące. W danym wypadku Żeromski skłania się raczej ku pogładowi panteistycznemu, dopuszczającemu — jak wspominaliśmy wyżej — przemianę zła w dobro.

* * *

¹⁾ Por.: Matuszewski — str. 115.

UCIECZKA W PRZESZŁOŚĆ

„Popioły“, — „Sulkowski“, — „Powieść o Wal-
gierzu Udałym“ <http://rcin.org.pl> „Duma o hetmanie“

<http://rcin.org.pl>

Jak wiemy już z rozdziałów, poświęconych życiorysowi pisarza, — tezy pozytywistyczne, — pracować, kształcić się, stworzyć jakiś handel i przemysł, rzucić podwaliny powszechnego dobrobytu, gdyż w ten tylko sposób wzmocni się odporność narodu i przedłuży jego życie, — napotkały w nagiej rzeczywistości na jaskrawe zaprzeczenie. Wypadki bowiem, jakie rozegrały się na ziemiach polskich, ułożyły się w ponury obraz eksterminacyjnej polityki zaborców, — przeraźliwego procesu wynarodowienia i wytępienia. Propagowane, a nawet spowodowane przez pozytywistów podniesienie kraju na wyższy poziom kulturalny i gospodarczy, nie usunęło bynajmniej widma zagłady. Unosiło się ono nad nami, jak dawniej, co więcej — przybrało na sile, drapieżności, cynizmie.

Pod tym względem więc był pozytywizm zabiegiem bezskutecznym. To jednak upadek jego nie pociągnął za sobą zmiany w przekonaniach, jakie wyrosły w duszy narodowej w dobie jego rozkwitu. Romantyczna idea walki zbrojnej o niepodległość, pogrzebana przy głośnych dźwiękach fanfary pozytywistycznej,

nie mogła odżyć w sercu narodu. O Polsce wolnej i niepodległej, mającej powstać do życia z wielkich krwawych ofiar, z wojennych trudów i znojów, marzyły i myślały jedynie dusze nieliczne, śmiałe i wolne naprawdę; była to garstka szlachetnej i ofiarnej młodzieży, drobna garstka, ginąca w powszechnej bierności i beznadziei, jak ziarnko piasku w morzu. W milionach serc ówczesnych Polska taka była słowem pustem i bezdźwięcznym. Jeśli od czasu do czasu i marzono o zmartwychwstaniu — zawsze z łezką patriotycznego mazgajstwa, to marzenia te łączono z wiarą w tajemniczą, boską opiekę nad krajem, wierzono w cud, czekano na ingerencję Królowej Korony Polskiej.

Rzucane tu i ówdzie hasła walki zbrojnej o niepodległość nie znajdowały w sercach milionów żadnego oddźwięku. Niewiara w skuteczność ponownego targnięcia się na krępujące nas więzy niewoli politycznej górowała ponad wszystkim. Praca organiczna u podstaw — rozumowano podówczas — nie może wyprowadzić Polski z mroków niewoli na jasną i słoneczną drogę wolności, nie może nawet przedłużyć życia narodu; tak, to prawda, — nie wynika z tego jednak, że straciwszy tę nadzieję, musimy wkroczyć na drogę straceńców z r. 1863. Musimy poddać się biernie losowi. Musimy czekać na cud. A jeśli — jak twierdzą »pesy-

miści« — cud nie nadejdzie, jeśli jesteśmy skazani nieodwołalnie na powolną śmierć, to należy pamiętać, że ponowne porwanie się »z motyką na słońce« — może jedynie skrócić proces naszego umierania.

Tę apatię, bierność, abnegację i zwątpienie, wyzierające z każdego kąta Polski, pogłębiały jeszcze bardziej wieści, napływające z areny życia międzynarodowego.

O tych czasach pisał Antoni Chołoniewski: — »Zdobyta przenikliwością natchnienia poetyckiego prawda, że Polska jest »wielką rzeczą«, zabrzmiała w uszach naszego pokolenia przed laty niewiele, jak paradoks smutny i szydlerczy. Nigdy mniejszą pozornie nie wydawała się Polska, jak właśnie w chwili wypowiedzenia tych słów. Od roku 1870, od ostatecznego utrwalenia się stosunków, w których tylko silnym, rozporządzającym opancerzoną pięścią, przyznano prawo bytu i głosu, straciła ona wszelkie znaczenie. Dla urzędowej i nieurzędowej Europy »sprawa polska« przestała istnieć: skurczyła się do rozmiarów lokalnego, powiatowego zatargu w łonie państw rozbiorowych. Stała się z nami, na widowni życia międzynarodowego, rzecz najstraszniejsza: przejście do porządku. Starsi z pośród nas, którzy za lat młodzieńczych z bijącym sercem nadśluchiwali, co o nas powie w senacie książę Ludwik

Napoleon, lub czy w izbie gmin odezwie się za nami lord Russel i jak przyjmie kanclerz rosyjski zbiorową interwencję za Polską połowy Europy, doczekali się chwili, w której pojawienie się nazwy Polski na ustach szanującego się dyplomaty byłoby uznane za objaw niepo czytalności. Ci, których młodość upływała, gdy Centralny Komitet Narodowy pertraktował o termin wybuchu z Młodą Europą, gdy Warszawa podziemna niecierpliwiła się zwlekaniem Mazziniego i nadmierną przezornością Hercena, dożyli dnia, w którym międzynarodowy romantyzm wolności ukorzył się przed rosnącą wszechwładzą państwa, a w pamięci ludów Europy zatarło się nawet samo wyobrażenie o Polsce«. ¹⁾

¹⁾ Porównaj: Antoni Chołoniewski — „*Duch dziejów Polski*“. W celu wyjaśnienia, dodaję: Ludwik Napoleon, syn Ludwika Bonapartego, króla Holandji, w r. 1848 obrany został prezydentem Francji, — później — po zamachu stanu, — „księciem prezydentem“, wreszcie w r. 1852 — cesarzem. Prowadził wojnę z Rosją, Austrią i Niemcami. W r. 1870, w bitwie pod Sedanem, wzięty do niewoli. Popierał polskie dążenia niepodległościowe. Lord Russel — angielski mąż stanu, — w połowie wieku XIX. sprawował urząd ministra spraw zagranicznych i premjera Anglii. Mazzini — polityk włoski, twórca związku „Młodej Europy“, w skład którego weszli Polacy, Włosi, Niemcy i Szwajcarowie. Brał udział w rewolucji 1848 r. we Francji i Włoszech. Po rewolucji wyemigrował do Anglii, osiadając w Londynie. Aleksander Hecen, właściciel Gercen, pisarz i rewolucjonista rosyjski. W połowie w. XIX. wydawał w Londynie znane czasopismo „Kołokoł“, w którym domagał się od rządu rosyjskiego m. in. także i niepodległości Polski. W ciągu trwania powstania styczniowego i po jego upadku popierał gorliwie sprawę polską. Do niego należy cytowane już przez nas zdanie: kluj woronom nasi trupy — idź precz, lub szarp, jak krak, nasze trupy.

Ta europejska obojętność na tragedję Polski nie pozostała, jak już wspomniałem wyżej, bez wpływu na naszą psychikę narodową. Dzięki niej gnieźdząca się w nas oddawna już niewiara w siły własne i głębokie przeświadczenie o bezskuteczności wszelkich wysiłków, przybrały znacznie na sile. Nikt o nas nie dba, nikt się o nas nie troszczy i nie pamięta, nikt nie pośpieszy nam z pomocą. Możemy liczyć jedynie na siły własne. A czemże są nasze siły wobec przemocy wroga? Skorupa powszechnego marazmu i apatii stawała się z rokiem każdym grubsza i twardsza. Zamierały pod nią, ginęły i konały resztki marzeń i nadziei, ideałów i nakazów, resztki, szczęśliwie ocalałe z pogromu, jakiego widownią była dusza polska w dobie wojującego pozytywizmu. Zdawało się, że minie jeszcze dwa — najwyżej trzy pokolenia, — a przestaniemy istnieć, rozplyniemy się, — zgodnie z przewidywaniami historyków krakowskich, w kulturze »wyższej«. Bo moskal srożył się coraz bardziej, w Poznańskim zaś Prusak katował dzieci, wypierał nas z odwiecznych siedlisk, otwierał przed nami drogę »Żyda wiecznego tułacza«...

Ta strupieszala bierność społeczeństwa polskiego w umysłach, patrzących głębiej w treść życia narodowego, budziła poważne obawy co do jego przyszłości: Z zyciorysu pisarza wiemy

już, kto i jak wyrywał dusze polskie z letargu i budził w nich świadomość tragizmu sytuacji politycznej. Jeśli chodzi o Żeromskiego, to serce jego, Polską obłąkane, miało się w niepokoju i trwodze. I on również największe niebezpieczeństwo widział w biernej postawie narodu. I w jego oczach walka zbrojna z najazdem była jedynym ratunkiem Polski. Świadczy o tem wymownie stosunek jego do tych, co w r. 1905 — wkroczyli na drogę walki o wolność, przerywając czterdziestoletnią śpiączkę narodu.

Uciekł w przeszłość. Obudził życie w jej »Popiołach«. Społeczeństwu, poddającemu się biernie procesowi wynaradowiania, przeciwstawił pokolenie, które przeżyło tragedję rozbiorów Polski, lecz nie popadło mimoto w rozpacz, nie opuściło bezradnie rąk, a przeciwnie, — zdobyło się na największe ofiary, porwało się do boju o wolność i niepodległość, wkraczając na cierniasty szlak nadludzkich trudów, bohaterskich wysiłków i niebezpieczeństw śmiertelnych. Duszy współczesnej, tonącej w bagnie abnegacji i zwątpienia o wszystkim, wskazał — jak się to ktoś trafnie wyraził — na dziedzictwo przodków, na prawdę, krzyczącą z ich »Popiołów«, na prawdę o nieugiętej, do ostatniego tchu wiernej ich służbie idei wyzwolenia Oj-

czynny¹⁾. »Kilkoma potężnymi obrazami — pisze Feldman — charakteryzuje ówczesny stan społeczeństwa, rozwój jego dziejów od demoralizacji i apatii po rozbiory do obudzenia się samowiedzy i rozkwitu siły narodowej«. Od apatii do obudzenia się — jakżeż łatwo wyciągnąć mogło współczesne pisarzowi pokolenie wskazania i nakazy dla siebie.

Pan Teofil Wojski słusznie podkreślił, że »Popioły« są wyrazem »już nie tylko odczucia tragizmu niewoli i wypływającej z niego potrzeby czynu, ale i świadomego przeżywania wojny, jako zagadnienia, wojny, jako jednego z rozwiązań fatalnego położenia politycznego Polski«. To też ze wszystkich zagadnień, poruszonych przez pisarza w tej olbrzymiej trzytomowej powieści na pierwszy plan wysuwa się kwestja wojny, jej celowości, jej roli i znaczenia w życiu narodu. Co więcej — autor

¹⁾ Dr. Mieczysław Biernacki w broszurze p. t. »Stefan Żeromski i jego ideologia« — pisze o »Popiołach«: »Jeszcze raz chciał (Żeromski) świat społeczny Panu Tadeuszowi obudzić, aby na nowo wskrzesić ideę Legjonów. A ponieważ to równocześnie czynił i Wyspiański w Krakowie, idea legjonów odżyła już w całej pełni, najsamprzód w literaturze, aby się urzeczywistnić niezadługo w Legjonach Piłsudskiego«.

P. Teofil Wojski w cytowanej już przez nas pracy swej pisze: »Brak w współczesnym społeczeństwie polskim tej świadomości, której wyrazem były Legjony Dąbrowskiego, powstanie listopadowe i rok 63, odczuwał Żeromski, jako przejaw upodlenia, grożącego Polsce ostatecznym upadkiem; brak owej świadomości będzie też głównym źródłem bólu patriotycznego Żeromskiego«.

w odtworzoną przez siebie odległą epokę bojów napoleońskich wplótł uczucia własne i myśli składające się na współczesny mu światopogląd. »Przeszłość jest żywa — pisze jeden z krytyków — żyje w nas, a my w niej. Współczesne dusze i współczesne zagadnienia okazują nam w niej swoją twarz«¹⁾.

Żeromskiemu chodziło w pierwszym rządzie o to, by narzucić czytelnikowi zagadnienie wojny, pobudzić jego wyobraźnię i uczucie, wywołać w nim szereg wzruszeń, refleksyj, skojarzeń myślowych. W przeciwieństwie do Sienkiewicza, który w swej wspaniałej »Trylogji«, malując ku pokrzepieniu serc naszych w niewoli obrazy z życia kresów naszych w w. XVII, nie wybiega, jak to słusznie i niejednokrotnie podnoszono, poza światopogląd przeciętnego szlachcica owych czasów, Żeromski każdy obraz, każdą myśl, związaną z zagadnieniem wojny prześwieśla — według słów Wojeńskiego — »sprawdzianem moralnym, panującym wśród współczesnego mu pokolenia«. Dzięki temu właśnie przemówił do duszy współczesnej go polaka znacznie silniej, niż autor bohaterkiej »Trylogji«.

* * *

¹⁾ W. Jampolski „Stefan Żeromski. Duchowy wódz pokolenia“, str. 54.

A skora mowa o »Trylogji«, o klejnocie, który powstał z myślą o krzepieniu serc i który istotnie przez długi szereg lat serca polskie krzepił, warto przypomnieć sobie, co pisał o niej przed trzydziestu laty najwybitniejszy ówczesny krytyk polski, Piotr Chmielowski: »Sienkiewicz dbał i dba mocno o ścisłość historyczną... Nie tylko główne wypadki, wzięte do opowiadania, ale nawet drobniejsze szczegóły, aż do rozmów niekiedy brał autor albo dosłownie z pamiętników, djarjuszów, roczników i innych dokumentów, albo też wiernie je, lecz artystycznie parafrazował. Jednem słowem, pod względem faktycznym powieściopisarz robił takie niemal studia, jak historyk. W zużytkowaniu atoli tych szczegółów dawał się unosić jednostronnemu rozpędowi fantazji; rozkołysawszy ją w jednym kierunku, nie potrafił jej pohamować tak, że mógł dać całkowitego malowidła czasu, który wziął do zobrazowania.

Wskutek nadmiernego przejęcia się jednym szeregiem objawów życia narodowego w danej chwili, szczypląca wielce cała jego dziedzina«. Słusznie podkreśla Chmielowski, że przy rozważaniu przedstawionych w »Trylogji« historyj — »możnaby pomyśleć, że w owym przeciągu czasu cały naród wyłącznie się zajmował sprawami wojennemi albo miłosnemi, jakoby wszystkie inne organa życia uległy zupełnej atrofji,

jakoby nie siano, nie orano, nie żęto, nie spławiano zboża do Gdańska, nie pisano, nie zajmowano się sztuką, nie odbywano sejmów i sejmików, nie robiono spisków, nie procesowano się, nie kłócono i nie godzono«. Zgodzić się musimy z Chmielowskim, gdy twierdzi, że po przeczytaniu »Trylogji« — pozostaje w duszy naszej »silne i żywe wspomnienie bitew, pojedynków, bójek, albo też uczt, zapałów i cierpień miłosnych, przygód niezwykłych; ale bynajmniej nie zyskuje się wyobrażenia o tej różnorodności czynów, usiłowań i pomysłów ludzkich, które wytwarzają cywilizację w danej chwili w pewnym narodzie.« Nie ma Chmielowski do powieści historycznej uroszczeń, jakie dawniej względem epopei stawiano, nie wymaga od niej, aby »dawała dokładny, wyczerpujący obraz życia we wszystkich jego rozgałęzieniach w danej dobie«, — upomina się jeno »w interesie prawdy« — i tu stanąć należy bez zastrzeżeń po jego stronie — »izby zanadto nie ścieśniano obrębów tego życia, izby nie widziano go tylko w pewnej wybranej dowolnie grupie objawów, izby przedstawiano ludzi w ich istotnem, rzeczywistem otoczeniu, a nie na jakiejś zaczarowanej przez powieściopisarza wysepce«.

Jeśli chodzi o Żeromskiego, to naturalnie »Popiołów« jego nie można uważać za »całko-

wite malowidło czasu«, za dokładny i wyczerpujący obraz życia we wszystkich jego rozgąteżeniach w danej epoce. Za to z całą pewnością stwierdzić możemy, że Żeromski uwzględnił znacznie więcej, aniżeli Sienkiewicz, czynników życia narodowego i znacznie szerzej je rozwinął.

O czymżeż nie mówią nam »Popioły«?

Dola chłopca, nędzarza wiejskiego (n. p. w tomie I, rozdział p. t. »Mary«, tom II. — »Noc i poranek« lub też w tomie trzecim krótką, lecz jakżeż wymowną sceną palenia wsi przed bitwą raszyńską), — stosunek dworu do wsi (stary Nardzewski, ks. Gintułt Piotr Olbromski) — i odwrotnie — wsi do dworu, — sceny z życia przeciętnego szlachcica (dom Olbromskich), sfer zamożniejszych (dom Cedrów): arystokracji (dom Gintułtów), troski, kłopoty, zmartwienia, zabiegi gospodarskie (Nardzewski, rodzina Olbromskich, Trepka), — polowania, kuligi, bale i zabawy karnawałowe; — dalej — rządy zaborcze i ustosunkowanie się do nich społeczeństwa polskiego (np. Nardzewski, uznający jedynie swe szlacheckie prerogatywy, stary Cedro żebrzący w Wiedniu o tytuł hrabiowski, szlachta krakowska, która, jak opowiada komisarz Hibl, bierze udział w balu, wydanym przez dygnitarzy zaborczych), — stosunki, panujące w Legjonach i w armji księstwa warszawskiego,

obrazki z życia szkolnego (np. rozdział »Poetica« i »Utrum: Bucephalus«...) oraz z życia »złotej młodzieży w Krakowie i Warszawie, — przygody, uniesienia i cierpienia miłosne — polityka, filozofja, etyka (Gintuł, Sułkowski, gen. Dąbrowski i znani z historii wyżsi wojskowi) — wreszcie krwawe i sławne boje polskie we Włoszech, na San-Domingo, pod Saragosą, pod Gdańskiem, Falentami, Raszynem, Sandomierzem. Oto na oczekaniu z pamięci, wymienione momenty i obrazy z »Popiołów«. I któż nie przyzna — gdy idzie o skalę życia narodowego, zobrazowanego w »Popiołach« i w »Trylogji«, — któż nie przyzna pierwszeństwa Żeromskiemu?

Pozatem — zwróćmy uwagę na jeszcze jeden szczegół. »Istniało dawniej prawidło — pisze Chmielowski — wyciągnięte z utworów Waltera Scotta, że powieściopisarz historyczny nie powinien zajmować się osobistościami, wybitnymi w dziejach, ale wybierać takie, które albo zgoła w historii wzmiankowane nie są, albo też odgrywają w niej bardzo podrzędną rolę. Prawidło to miało jedną niepospolitą zaletę dla artystów: uwolniało ich od mozolnych studjów nad zgłębieniem charakterów i wypadków historycznych i dozwalało im fantazji dowolnie bujać przy tworzeniu postaci i sytuacji. I było z niem dobrze póty, póki nie

zaczęto wielkich wypadków dziejowych łączyć przyczynowo z działalnością wymyślonych osób, ograniczając prawdziwe postacie historyczne do roli figurantów... Do Sienkiewicza nie stosuje się zarzut nie studjowania historii. Wybierał też ważne a rzeczywiste wypadki do zobrazowania. W »Ogniem i Mieczem,« lubo się rozszerzał nad przygodami bohaterów, podrzędne miejsce w historii zajmujących, albo całkiem fikcyjnych, nie przypisywał im przecież takich czynów, któreby miały istotnie donieść wpływ na losy kraju, na ich korzyść nie obdzierał rzeczywistych postaci historycznych z właściwej im sławy i znaczenia i stosunek fikcji do prawdy zachował w takich rozmiarach, że historyk nie potrzebował się zżymać na powieściopisarza — przynajmniej pod tym względem. Stosunek ten atoli zachwiał się, ba, runął nawet ze szkodą prawdy w »Potopie« i »Panu Wołodyjowskim«. Tu bowiem osobistości, z dziejów znane i rzeczywiście wywierające wpływ wielki na wypadki, częściowo tylko zostały zachowane w swym charakterze; jedne, n. p. Radziwiłłowie, odmalowane z wielkim talentem i szczegółowo; inne zaś przedstawione w ogólnikach, jak: król, królowa, Radziejowski, Opaliński, Czarniecki, Kordecki, Sobieski. Na głównym zaś planie postawił autor Kmicica i Wołodyjowskiego, im przypisując czyny i zasługi, które

wyratowały naród z toni zaguby. Nie idzie on wprawdzie tak daleko, żeby miał zupełnie usuwać z widowni dziejowej te osoby, co na niej w historii rzeczywiście się uwydatniły; ale nie zachowując należytej proporcji w rozgraniczeniu zmyślenia i prawdy, zbywając suchym opowiadaniem faktu wielkie, zapisane na kartach dziejów, a malując żywo i dobitnie sceny wymyślone, — sprawia, że czytelnik, nie znający dobrze historii, gotów istotnie przyznać Kmicicowi i Wołodyjowskiemu, a może nawet i Zagłobie, wyrastającemu nagle i niespodziewanie na powagę powiatową, najważniejszy udział w ocaleniu ojczyzny, bez względu na Czarnieckich, Kordeckich, Sobieskich. Czyż to nie jest wykrzywianiem pojęć historycznych?»

Zgoła inaczej jest u Żeromskiego. Proporcja w »rozgraniczeniu zmyślenia i prawdy« zachowana jest w »Popiołach« należycie i ściśle. Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro, zajmujący w »Popiołach« to samo miejsce, co Skrzetuski, Kmicic czy Wołodyjowski w »Trylogji« są jedynie skromnymi oficerami kawalerji; drobinami, znikomemi cząsteczkami lawiny, która z woli Napoleona przewalała się z jednego krańca Europy na drugi; — opowiada o nich autor najczęściej i najchętniej, o przygodach ich mówi szczegółowo, w sposób żywy i malowniczy, tak jednak, że czytelnik czuje zawsze, iż są

jedynie narzędziem w ręku kogoś większego, silniejszego. Jakżeż wymowna jest pod tym względem scena, w której Krzysztof Cedro ranny kulą hiszpańską, błaga cesarza o spełnienie polskich marzeń lub scena, w której Rafał Olbromski, zetknąwszy się bliżej z jednym z wyższych wojskowych — usiłuje »zrobić karierę«. Główną sprężyną, motorem, duszą rozgrywających się wypadków jest zgodnie z prawdą historyczną cesarz Napoleon — aczkolwiek — jak to podnoszę na innem miejscu — ukazuje się dwukrotnie i wypowiada zaledwie kilkanaście słów. Postacie historyczne — te, które wydały się na wydawni dziejowej i miały mniej lub bardziej doniosły wpływ na losy kraju — ks. Józef Poniatowski, gen. Dąbrowski, Fiszer, Sokolnicki, Zajączek potraktowane są w sposób jednak niezwykle silny i wyrazisty, skutkiem czego czytelnik odczuwa żywo ich znaczenie dziejowe, widzi je we właściwym świetle i na właściwym miejscu. Krzysztof Cedro i Rafał Olbromski to skromne jednostki w szeregu szarej żołnierskiej masy. — Dąbrowski, Poniatowski, czy Fiszer — to jednostki, które stoją na czele tej masy i na których barkach spoczywa ciężar odpowiedzialności za losy kraju.

Dwa te porównania (zobrazowanie życia narodowego w »Trylogji« i w »Popiołach« tudzież stosunek autorów do przedstawianych

postaci) — nie wyczerpują naturalnie tematu, — materiału starczyłoby na dostatnie studjum porównawcze. Różnemi jednak względami powodowani, ograniczamy się do tych skromnych ram.

Powiedzieliśmy wyżej, że Żeromski w »Popiołach« swych na pierwszy plan wysunął zagadnienie wojny. Przed tem jednak, nim zajmujemy się bliżej tem zagadnieniem, postarajmy się wniknąć w treść utworu, któremu się bezprzecznie należy jedno z pierwszych miejsc w literaturze polskiej.

Rozbijmy więc »Popioły«, wślad za Ignacym Matuszewskim, na kilka pokładów.¹⁾

Na początku widzimy obraz zupełnego stępienia i niemocy. Gdziekolwiek tylko, — wśród popiołów — tlą jeszcze słabe iskierki nie nadziei już, lecz cierpienia, żalu, wspomnień.²⁾

Oto — stary Nardzewski, ekskonfederat, co w r. 1768 wytrzymał oblężenie Krakowa, — wytrzymał pospołu z bracią-szlachtą z województwa sandomierskiego — »dziesięcioniedzielny szturm do miasta« i był »przytomny, kiedy nieprzyjaciel zdradą wpuszczony został do grodu«. Po powrocie do Wyrw, głuchej wioski leśnej, gdzie — jak sam się wyraża — pradziadowie

¹⁾ Por.: Ignacy Matuszewski: — „*Studja o Żeromskim i Wyspiańskim*“ — str. 37 i 38.

²⁾ Ibidem.

jego własnymi rękoma, wyszorowanymi w ciągu lat przez pancerz i rękawicę — karczowali rolę, rwali pniaki i jałowce, — składa uroczystą przysięgę, że już nigdy nie wyjrzy stąd na świat boży. Siedzi w swych Wyrwach, — »jak leśny wilk«. Nie chce wiedzieć nic o zmianach, jakie w życiu polskiem zaszły. O braci — szlachcie, uginającej szyi przed jarzmem, odzywa się z ostrym sarkazmem. Nie chce wiedzieć nic o nowych prawach i porządkach, z jakimi stara się zaznajomić go komisarz »galicyjski« Hibl. W małych swoich Wyrwach czuje się wolnym i niepodległym nikomu. »Ja tu jestem panem, ja prawem! Naddziady moje tu siedziały... Moja to ziemia i moi ludzie. Te Wyrwy to jest mój kraj. Mój i niczyj więcej! I przez Boga żywego tu nikt!...«

Piotr Olbromski, oficer Rzeczypospolitej, bohater z pod Szczekocin, gdzie go »Prusaki skłóły bagnietami«. W młodości, za czasów pobytu w warszawskiej szkole kadetów, wierzył w swoją szpadę i na nią poprzysiągł. Wierzyliśmy — mówi — że cała Rzeczpospolita na naszym leży ramieniu i że to my ją wydzwigniem. Niestety! Po hańbie, która, według słów Sułkowskiego, kopytami zmiażdżyła liczne dusze, wziął w dzierżawę małą wioszczynę. Smutek go zagryza. Myśli i »płacze« wciąż, bez przerwy, za dnia i po nocach o tragicznem rozwiązaniu spr-

wy Polski. Z zazdrością mówi o bohaterach, co »nie odeszli żywi z placu honoru«. A w parze z tem idą myśli »zaskórne« — o Bogu, o sprawiedliwości i wieczności, o przyszłym życiu, — wałęsają się w głowie jego, niby »kroki obłąkanego człowieka, idąc i powracając od ściany do ściany bez końca, po izbie nędzy i nicości«.

Przyjaciel jego, ksiązę Gintułt, wierny towarzysz licznych bojów i trudów wojennych, w młodości swej wierzył w zbawczą moc zbiorowego wysiłku. I on również zaufał w szpadzie. W potrzebie wytrwał na posterunku do końca. Uczynił wszystko, co było w jego mocy. »Staliśmy oko w oko, pierś przeciw bagnetowi, — mówi o sobie i o przyjacielu Piotrze Olbromskim. Ale po »hańbie« wygasła w nim wiara w prawdę i doniosłość młodzieńczych ideałów. Po hańbie uczuł nieprzełamany wstręt do »szlachetnych słabości«, uczuł nienawiść do wszystkiego, czego uczył go w młodości przyjaciel, Piotr Olbromski. Bo o cóżto karku pod cios nadstawił? Wspomnienie niedawnej przeszłości, owej bandy jurgieltników, — »owych pysków, ryczących na rozkaz, owych pustych, nikczemnych, golonych łbów«, które miały władzę stanowić, a w rezultacie Polskę przełajdaczyły, — budzi w nim bezgraniczną obrazę. »W cóż się obróciły — woła — troski nasze, męki, vulnera, vincula, exilium? Nic z nich

dla duszy. Tylko strupy hańby, wypomnienia zniewag budzą i dziś jeszcze po nocach«. Cóż robić tedy? Gdzie szukać ukojenia i pocieszenia? »Żadnej rady, żadnej, żadnej! — woła do Piotra Olbromskiego. Ziemia tylko pod stopami została, niebo nad głową, Słońce i nam świeci. Podnieść oczy winni jesteśmy i żyć!« Rozkoszne miłości, huczne pijatyki, dzielne harce. Carpe diem! Życie dla życia. Ale ten epikureizm, to hołdowanie rozkoszom wszelkiego rodzaju, nie mogło wystarczyć Gintułowi. Jego inteligencja jest na to zbyt wysoka, a dusza pozbawiona gwałtownych instynktów i namiętności. To też ostatecznie wgryzie się w doktrynę manichejską, pograży się w krańcowym mistycyzmie¹⁾.

Wreszcie — Szczepan Nekanda Trepka, niedoszły poseł na Sejm wolnej jeszcze Rzeczypospolitej, według określenia Krzysztofa Cedry »*ci devant* posiadacz wielkiej fortuny, którą na polityczne interesa przefacjendował, wielki peregrynant, wolterjanista, encyklopedyk, tudzież szyderca«. Po upadku Polski zniechęcił się do polityki, która dawniej była jego żywiołem. Odrzucił precz »druki, traktujące o uzdrowieniu tego, co już było na dobre strupieszalo w grobie«. Jął się pracy na roli. Budować zaczął »chaty z pałacowatemi oknami«, szkółki zakła-

¹⁾ Por.: I. Matuszewski — „Studia o Żeromskim“ str. 57.

dać. »Politycy, przewidywacze, znawcy! — mówi do Cedry. Jedno pole należycie zorane. jeden rów z loiką wybrany, żeby przerznął i wygoił supowatą od wieków niwę, więcej mi znaczy, niż sto broszur o rządzeniu narodem«. — »I cóż poradzi, — woła do Cedry w rozmowie o jego częstych wyjazdach zagranicę, i cóż poradzi, choćbyś sto razy podpatrzył ich zakonne statuta, jeśli sam swoich nie tworzysz? Czy myślisz, że słowiańska nasza dusza przestoczy się w duszę niemiecką od patrzenia i nauki? Nigdy! Jesteśmy inni, odmienni! Ty traf w to, co jest twoją naturą i twoją siłą, w rolniczą potęgę, którą beużytecznie trzymasz w rękę. Jeśli potrafisz wydobyć z niej wszystkie zasoby, to cały zakon niemiecki na tobie jednym zęby sobie wyłamię!«

Praca na roli, — nauczanie chłopów, jak mają »pracować, żyć, myśleć,« — oto — według Trepki — jedyne lekarstwo na wszystko... Wyrzekł się — jakto mówi o nim Cedro — bohaterstwa nie tylko za siebie, ale za syny i wnuki, odpiął na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucił rycerski. Poślubił się pracy nędznej, aby odkupić pradziady i prawnuki.

Oto — nieliczne dusze, w których tlą jeszcze słabe iskierki nie zapału już, nie woli i nadziei, lecz iskierki rezygnacji, wspomnień, cierpienia, żalu. Drobną tą garstką grzęśnie i tonie w pia-

skach bezmyślnego życia, jakie wiedzie rozbite przez wilki biedne polskie stado.

W Krakowie »najprzedniejsze obywatelstwo Zachodniej Galicji« zgłasza się u nadwornego komisarza barona Margelika z życzeniem »asystowania przy wjeździe jegomości pana hołdowniczego księcia Auersperga«, bierze udział w uroczystym festynie, składa hołdy, wreszcie na balu, przez księcia Auersperga wydanym tańczy »z największą radością« do białego rana, — »spełniając toasty z wielkim zapałem«. Inni — wyjeżdżają do Wiednia, sterczą i wysiadują w antyszambrach, by wyrobić za pieniądze cudzoziemskie tytuły. Gdzieindziej urządza się wesołe kuligi, wypełniające »okolicę radosnym głosem dzwonek, brzmiącym łoskotem janczarów, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, bębnów, fujarek, melodją śpiewów i muzyki«. W Warszawie młodzież marnotrawi grosz, przez ojców uciulany, puszcza wielkie majątki, włóczęąc się po knajpach i klubach, pije tego, jeszcze lepiej — gra w karty, robi bezmyślne awantury na ulicach Warszawy, nie cofając się przed biciem szyb, zdzieraniem szyldów i walką z policją pruską. Niektórzy wstępują do »społeczności wolnych mularzów«...

Tak oto wygląda »Popiołów« pokład pierwszy.

Warstwa druga, ta, — w której »budzić się zaczyna życie« — rozsiana jest po świecie

szerokim. Tworzą ją ci, co poszli na wojenkę daleką, zajaśniali tam »cnotą, na śmierć gotową, konduita, żelazną subordynacją, energją« i sławą. Legjony polskie. Postacie historyczne—Dąbrowski, Kniaziewicz, Sułkowski; — chłopska i małoszlachecka masa. Wystawanie pod drzwiami francuskich potentatów, włóczenia się po cudzych schodach, wyzebrywanie żołdu, odzieży, butów, — prawa do walki i prawa do śmierci. Krwawe i sławne boje we Włoszech—i francuska— »braterska« zapłata za nie: w Mantui,—polskich legjonistów, zbiegów z austriackich szeregów, wydano władzom austriackim, rzucono na pastwę wrogów dla ratowania Francuzów. Krzyk z głębi serca płynący: Zdrajcy! Krzywoprzysięzcy! Spełniliście największą zbrodnię na ziemi: podstępnie na hańbę wydaliście zbiegów!«

Później boje pod Valence, pod Terzo i Medesima, oblężenie Genui, włóczęga po górach francuskich. Nogi, puchnięte, jak bochenki chleba, gałgany z gnatów zlatują, mundury białą nicią w stu miejscach ześciubane, głód skręca kiszki, marsza na nich »gra, że żadnej orkiestry nie trza«. Eh! — »Wszystko bajki!« Wąs do góry zadarty, mina, jak »sto tysięcy djabłów«. »Równaj się! Wiesz jeden z drugim, że najjaśniejszą Rzeczpospolitą w tornistrze dźwigasz!«

Następnie — pokój w Luneville, przekształcenie Legjonów w półbrygady francuskie i wysłanie wbrew ich woli na San Domingo, gdzie niemal doszczętnie wyginęły w walkach z murzynami...

Trzeci pokład — to czasy, wypadki i ludzie Księstwa Warszawskiego, powołanego do życia po pogromie Prusaków pod Jeną. Dźwiga się Polska, jak ów feniks z popiołów. Tworzy się wojsko narodowe. Wojna z Austrią — boje pod Falentami, Raszynem, Sandomierzem, przyłączenie Krakowa. Jednocześnie — bezużyteczne boje polskie w dalekiej Hiszpanji.

Wreszcie rok 1812. Korpus polski księcia Józefa Poniatowskiego maszeruje na Moskwę.

W okolicach Orszy odbywa Napoleon rewję powszechną. »Wojska, defilujące równiną w dole, ujrzawszy szarą kapotę i trójgraniasty kapelusz bez ozdób, wznosiły jednolite okrzyki, podobne do salw działobitni. Mijały pułki francuskie, holenderskie, włoskie, niemieckie, polskie«.

W jednym z pułków polskich siedzi na koniu Krzystof Cedro, uczestnik krwawych bojów w Hiszpanji. I przypomniła mu się teraz owa chwila szczególna, gdy parę lat temu, ranny kulą hiszpańską pod Tudelą, błagał cesarza w gorączce o spełnienie polskich marzeń. Przypominają mu się słowa, które wówczas rzucał, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc w oczy Korsykanina.

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, za moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremnie... że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu...

Cesarz kamiennym wzrokiem patrzył w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit!*

Teraz przypomniał sobie Cedro ową chwilę szczególną. Cieszył się.

»Widział oto spełniony na jawie swojego życia wielki sen. Dotrzymał cesarz słowa honoru, danego pod Madrytem najśłabszemu ze swych żołnierzy, konającemu w polu kalece. Dla tego jednego słowa wielkie pułki złączył, umundurował, wyżywił i poruszył. Sprzęgł ze sobą obce narody».

Cieszy się Cedro... oczy z twarzy cesarza nie opuszcza... W naiwności swej cieszy się Cedro...

A On patrzy w pułk. »Widzi każdą twarz, przechodzi kolejno jedną po drugiej. Spotkał wlepione w siebie oczy Krzysztofa Cedry, oczy, skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe. Przez chwilę coś zamigotało w twardych źrenicach cesarskich, jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chmurze. Wspomnienie stało się jasnym widzeniem rzeczywistości. Przelotny półsmutny uśmiech spłynął po granitowym obliczu«...

Tym obrazem i temi słowami zamyka Żeromski wielkie swoje dzieło.

* * *

Jak już wspomniałem w życiorysie, Żeromski przed napisaniem »Popiołów« przeprowadził rozległe studia historyczne. Oparł się mocno na materiale dziejowym. Ignacy Matuszewski zadał sobie trud niemały i sprawdził, że »nie tylko sprawy wielkiej wagi, ale nawet drobne anegdotyczne szczegóły, wplecione jakby od niechcienia w tok opowieści, opierają się na materiale źródłowym i świadczą o sumiennosci i erudycji autora«.

Tak oto, npk., opisując bombardowanie Mantui, rzuca krótkie zdanie: »Ogrody były zryte, same groble i forty uszkodzone nadzwyczajnie. Były to ślady bombardowania tych miejsc specjalnie poprzedniego ranka, kiedy nieprzyjaciel wyrzucił 5114 pocisków granatnikowych i 824 bomby«. Gdzieindziej, — mówiąc o przeniesieniu Cedry do »kompanji wyborowych«, formowanej z jazdy krakowskiej przez generała Izzydora Krasieńskiego, pisze: »Wybrani zostali.. za wzięcie Jedwabny kaprale Gajkoś, Malczewski i Myśliński, — żołnierze, prócz Cedry, — Suryn, Modliński, Karpiński, dwaj bracia stryjeczni Kulerzyńscy, Krasuski, Bleszyński, Leśniewski, Grabowski i Stefan Szynga.

Furjer Zwierkowski za okazane męstwo otrzymał, prócz wyboru, zapewnienie pierwszego awansu, jaki się okaże«. Takich szczegółów pełno w »Popiołach«. Jakże długo i pracowicie grzebać się musiał w starych pożółkłych aktach, zanim takie drobne prawdy wyłowił, uporządkował, sprawdził. Jeszcze większą sumiennosc wykazuje w opisie spraw »większej wagi« — walki polskie we Włoszech, zdrada w Mantni, kiedy to francuzi za cenę własnej wolności wydali austriakom zbiegłych z ich szeregów Legjonistów, San-Domingo, Saragosa, Falenty, Raszyn, Sandomierz — to nietylko potężne obrazy, pełne iskier prawdziwego życia, lecz także i karty z naszej przeszłości, napisane z istic kronikarską drobiazgowością.¹⁾

Wszystkie postacie, występujące w tej powieści, a jest ich około pięciudziesięciu, nie licząc figur trzecioplanowych, odgrywających, że tak powiem, rolę statystów, — przedstawione zostały w sposób niezmiernie wyrazisty, mimo, że niektórym poświęcił poeta zaledwie kilka zdań. Każda z nich żyje, każda zaciękawia nas, budzi szereg refleksyj. Tajemnicą genjuszu powołani do życia, — przechodzą przed nami,

¹⁾ Zaznaczyć muszę, że Matuszewski na poparcie swego sądu o sumiennosci i erudycji Żeromskiego nie przytacza żadnych szczegółów. Powyżej wymienione ustępy powieści miałem możność porównać z dostępnymi mi pamiętnikami i pracami z zakresu polskiej historii wojennej.

otwierają duszę własną, pozwalają zajrzeć do najdalszych jej, najbardziej ukrytych zakątków. Postacie historyczne — ksiązę Józef Poniatowski generałowie Dąbrowski, Zajączek, Sokolnicki, Fiszer, i kapitan, tak — tylko kapitan, Józef Sułkowski, — tudzież długi szereg postaci fikcyjnych, — stary Nardzewski, liczna rodzina Olbromskich, Krzysztof Cedro, jego ojciec i siostra, Trepka, kapitan Wyganowski, ksiązę Gintułt, major pruski de With, piękna żona jego, Helena, i tłum pomniejszych, jak Michcik, Gajkoś, legjonista Ojrzyński, utrwalają się w naszej pamięci, ugrzęzną w niej na długo, może na zawsze, jak ludzie, spotkani przez nas na drodze życiowej.

Kto jest głównym bohaterem »Popiołów«? Odpowiedź na to pytanie jest trudna niezwykle. W sienkiewiczowskiej, npk. trylogji Jan Skrzetuski, Andrzej Kmicic i Michał Wołodyjowski występują bardzo wypukle z ram obrazu, wysuwają się najwyraźniej na czoło podziwianego przez nas tłumu szlacheckiego, są jakby rdzeniem, do którego przywiązane są rozgrywające się przed nami wypadki. W »Popiołach« takiego bohatera niema. Powieści tej nie można uważać za artystycznie ujęte dzieje jednostki, — jest to raczej przekrój polskiego życia narodowego w okresie bojów napoleońskich. Za *spiritus movens* wypadków uważany być może cesarz

Napoleon, aczkolwiek w powieści ukazuje się dwa tylko razy, na krótką chwilę, i wypowiada zaledwie dwanaście słów. Do postaci, o których autor mówi najwięcej, należą Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro. Wiele uwagi również poświęcił poeta postaciom znanego już nam Trepki, kapitana Sułkowskiego, kapitana Wyganowskiego i księcia Gintułta.

Ostatni z nich, książę Gintułt, jest już nam znany. Wiemy już, co go skłoniło do pogrążenia się w spekulacjach metafizycznych. Tu dodać należy, że wchłonięte doktryny manichejskie nie osłabiły, ani tembardziej nie stłumiły w nim wrodzonej wrażliwości na sprawy bliźnich¹⁾. Serce ma czułe, nie odmawia nikomu swej pomocy, śpieszy z nią dobrowolnie. Tak, oto, znalazłszy się nagle w szeregach Legjonów polskich we Włoszech, — »nosił starym wiarusom«, których »wujaszek« — skorbut. zagryzał, butelczyny wina pod płaszczem artyleryjskim z piwnic, które, jak twierdził sprzedawca, samego Wirgiljusza pamiętały. Gay wysliznęły się ostatnie, ręką w kieszeni namacalne dytki, i gdy został jeno szary mundur na grzbiecie, zielony płaszcz i buty niezupełnie foremne, wynalazł w dzielnicy żydowskiej pewnego znawcę, który nawet o Grudnie (majątek ks. Gintułta) coś wiedział. Dzień w dzień szedł teraz do pugilaresu tego

¹⁾ Por.: I. Matuszewski — str. 58.

finansisty rewersik na wioski w Prusiech Południowych i w Galicji Zachodniej wzamian za mięso, mąkę, wino, leki«. Nie odmawia swej pomocy, gdy zajdzie tego potrzeba, nie tylko jednostkom, lecz także i ogółowi. W r. 1809, w czasie wojny z Austrią, sam do wojska wprawdzie nie wstąpił, lecz ufundował na koszt własny i przyprowadził do Sandomierza bataljon ludzi, których w swoich majątkach, z tamtej, — austriackiej strony Wisły, zgromadził.

W duszy swej księżę Gintuł nosi wstręt do wojny, głęboką do niej odrazę. Uczucie to jest tak silne, że nie może go stłumić w sobie nawet wtedy, gdy posłuszny głosowi patryjotycznego obowiązku znajduje się w szeregach walczących o wolność braci. Wojna zniechęca go do siebie, a nawet do pewnego stopnia przeraża swoim barbarzyństwem, okrucieństwem brutalnością. Twarde, ślepe jej nakazy wywołują protest gwałtowny, acz szlachetny. Trzęsie się od straszego gniewu, protestuje głosem piorunującym na widok koni spiżowych, — »żywego pomnika czasów Aleksandra Macedońskiego«, — zdejmowanych z frontonu bazyliki św. Marka w Wenecji przez polskich legjonistów. Dławiąc się »słowami wściekłości«, z podniesioną laską rzuca się na tych, co otrzymali »rozkaz imię polskie zhańbić na wieki«. — »Karabiny zamigotały w oczach księcia. Sto pięści chwyciło

go za bary. Rzucony na ziemię, z piersi, przyduszonej kolanami, że ściśniętej gardzieli, krzyczał ostatkiem sił: nie pozwalam!« Na protest nie mniej gwałtowny zdobędzie się w parę lat później, w Sandomierzu, gdy dowie się, że ukochanie jego—stary klasztor świętego Jakóba ma być zniszczony ze względów strategicznych.

— »Straciłem zaufanie do wojny nie z lenistwa, a nawet nie z tchórzostwa, — mówi do przyjaciela swego Józefa Sułkowskiego. Po prostu wygasła we mnie wiara w jej doniosłość«...

Dlaczegoż to? Bo, oto, — po długim rozważaniu i samotnej deliberacji doszedł do wniosku, że »każda władza ma swoje wady, każdy system swe dobre strony, a rewolucje najbardziej uprawnione niczem innym nie są, tylko zamianą bardzo kosztowną, pewnych nadużyć i wad na innego rodzaju, innego kształtu nadużycia i wady. Wszakże zamordowanie wpośród tłumu jednego człowieka wskutek tego, że był złym zwierzchnikiem, tyranem, zdziercą, oszustem, jest większym stokroć złem niż jego tyranja, zdzierstwo i oszustwo. A ze złego, które jest większe, niż poprzednie, dobro wykwitnąć nie może. Pocóż się bić? Należałoby wypowiedzieć zacieklą wojnę, ale nie ludziom, tylko samej tyranji, samemu zdzierstwu, samemu oszustwu«. A na pytanie Sułkowskiego, jakże uczynić to, nie tykając ludzi, tych właśnie zdzierców i tyranów,

odpowie: Bardzo to niedaleki wróg. *Należy poszukać go w samym sobie!*

W odpowiedzi swej wkracza ksiązę Gintułt w dziedzinę mistyki. Jako przekonany manichejczyk wie dobrze i wierzy, że w sercu ludzkim wre wieczna walka między dwoma pierwiastkami — między Złem i Dobrem. Wie dobrze o tem, że człowiek »w sobie samym ma żywioły nieznane, gdzie rozkosz spleta się boleścią, gdzie mądra myśl wyrasta wolno i wśród większego mozołu, niż palma w szczerzej puszczy, a jeden wybuch namiętności do cna łamie i niweczy przez setkę nocy i dni trudu wypiełgnowaną«. Wierzy w prawdę słów, wypowiedzianych przez Korzeckiego z »Ludzi Bezdomnych«: »Duch ludzki jest niezbadany, jak ocean. Spójrzycie w siebie... czy nie zobaczycie tam ciemnej otchłani, w której nikt nie był, w której nikt nie wie? Siłą przymusu ani żadną inną nie może być wytrzebione to, co nazywamy zbrodnią. Wierzę, że w tym duchu nieogarniętym sto razy więcej jest dobra — ależ co mówią! -- o nim wszystko, prawie wszystko jest dobre. *Niech tylko będzie wyzwolone.* Wtedy okaże się, że złe zginie!«

Oto mistyczny krąg, w którym przebywa dusza księcia Gintułta. Szlachetny marzyciel myśli o wyzwoleniu Zła ujarzmionego, o skruszeniu jego kajdan, o zlanu się jego z Dobrem

w harmonijną syntezę. Patrzy przytem w serce, we wnętrze człowiecze. Środki zewnętrzne — — wojny, rewolucje, gwałtowne usuwanie tyranów, zdzierców, oszustów, — schodzą w jego oczach do roli motoru, podtrzymującego ruch obrotowy błędnego koła, w którym żywioły dodatnie wplotły się w zwartą całość z ujemnymi i toczą ze sobą śmiertelną walkę. Ze zła, które jest większe, niż poprzednie, dobro wykwitnąć nie może!

Książę Józef ^uSułkowski, kapitan i adjutant Napoleona, pod względem ustosunkowania się do wojny jest antypodem księcia Gintułta. »Nie być stworzonym na żołnierza! — wola. Dla mnie jest niepojęta taka natura! Ja jestem tylko żołnierzem!« Ścisłej — jest Sułkowski genialnym żołnierzem, takim, co w imieniu Napoleona wydaje rozkazy, podpisuje z jego zezwolenia imię jego na swych rozporządzenia, — jest żołnierzem, o którym Bonaparte mówi: Dlatego dotychczas nie awansowałem Sułkowskiego ze stopnia kapitana, że od pierwszego dnia pod Mantuą na przedmieściu San-Giorgio, kiedym go poznał, uważam go za godnego jedyne go awansu, to jest awansu na stopień naczelnego wodza...

Sułkowski wierzy tylko w czyny. Z niechęcią od wraca się od niektórych teoryj. Dla niego słowo wszelkie — chociażby i było niem spi-

sane natchnienie proroka czy słowo najgenialniejszego poety — jest w istocie swej czczone i próżne. »Wielkimi są tylko czyny!« Bo tylko czyny »równają się siłom przyrody, niwecząc ich poszechmoc i wszechmoc naszej ludzkiej śmierci. To też życie bez wielkiego czynu jest nędzą i głupstwem«.

Sułkowski — kocha wojnę. Kocha ją nade wszystko. Wojna dla niego to jedyny pług, — »którydrze agory ziemi, żeby się siewca mógł w rozerwane jej łono rzucać nowych zbóż ziarna, wydobywać z niej zamiast chwastu pszenią«.

Służąc przy boku Napoleona uczy się jej ze »wściekłością«, dniami i nocami. »Ja się jej nauczę całej, — woła do Gintułta, posiędę na własność wszystkich jej znane i tajemnicze siły tak samo, iak obejmuję i zabieram na własność język angielski lub arabski, ujmę ją w garść, jak tę szpadę!« I wtedy dopiero wróci. Wtedy wróci do biednej, ukrzyżowanej Ojczyzny.

Czuje się i jest w istocie równym Napoleonowi. Umie już nie gorzej od niego »przechodzić wzgórze trupów«, — umie »pracować spokojnie w środku ognia i być nieporuszonym w boju«. Kocha, jak on, dym armat i huk ich paszcz ognistych. Trzyma »w skupieniu uniesienie, jak na masztku dzikiego konia«.

Jednej tylko rzeczy brakuje mu i jednej tylko rzeczy zazdrości wielkiemu Korsykaninowi — mia-

nowicie niezwyklej tajemnicy, ponadludzkiej potęgi ducha, który pozwala ujarzmić i wyzyskiwać dla swych celów wszelkie gnieźdzące się w duszy pierwiastki. »Gdybym mógł — zwierza się Sułkowski Gintułtowi, — gdybym mógł stawać się bez drżenia, kiedy zechcę nędznikiem, wówczas, gdy trzeba być bardziej potężnym dla celów olbrzymich, tylko mnie jednemu wiadomych. Władać moją duszą i jej małemi, nędznemi cnotami tak samo, jak wojskiem ludzi!«.

Głęboka dusza kapitana Wyganowskiego, — to tragiczne zrosty sprzecznych, wrogich sobie pierwiastków. Na pierwszy rzut oka to żołnierz z krwi i kości. Cechuje go, — w ogniu walki, w obliczu nieprzyjaciela — zimna krew, odwaga, granicząca z bohaterstwem, żelazna energja, bezwzględność; — w towarzystwie kolegów, — rubaszność, nawet cynizm. Po ulicach ziejących ogniem Saragosa, po piekle, gdzie strony walczące, pełne zwierzęcej zaciekłości, chwytają się za gardła, wżerają w siebie zębami, duszą się kolanami, drą ostrzem pazurów, zczepiając się razem tak straszliwie, że zdają się być dziakiem, przeraźliwym kłębowskieiem o wielu głowach, o wielu rękach i nogach, — w zwojach i kłębach dymu prochowego, wśród trzasku łamanych kości, krzyków i rżenia konających, przechadza się Wyganowski spokojnie —

z obnażoną szablą — wydając rozkazy głosem, jak zwykle, ostrym, nieubłagany, twardym. O kobietach wyraża się z cynizmem iście żołnierskim. Nie szczędi im uwag »pieprznie kawalerskich«. Po zdobyciu klasztoru panien Jerozolimskich nie wstrzymuje swych żołnierzy przed gwałtem, — patrzy spokojnie, jak spragniony kobiet tłum żołnierstwa rzuca się na mniszki, zdiera suknie. »Tym — mówi — którzy idą na niewątpliwe mury, na podłą śmierć żołnierską w rynsztoku, na gnojowisku, w piwnicach i w półnych dołach, coś się u pioruna za to należy od tych, którzy żyją! Należy im się ta chwila przed śmiercią«. Bo wojna — według niego — to »nie manewry na placu Marsowym pod okiem narzeczonej w błękitnej przepasce«.

Tak oto wygląda kapitan Wyganowski nazewnątrz — żołnierz z krwi i kości, w którego duszy niema miejsca na czułość, rzewność, subtelność. Przyjrzyjmy mu się jednak uważniej, a przekonamy się, że w piersi jego bije serce dobre, szlachetne, wzniosłe. Mówią nam o tem ataki głębokiego wzruszenia, którym na widok okrucieństwa wojny ulega dość często, a które stara się pokryć sztucznym, forsownym kaszlem, szyderym, pieprznie — kawalerskim dowcipem. Do pewnego stopnia świadczą o tem również słowa, w jakich stara się usprawiedliwić swych żołnierzy, rzucających się na mniszki

z drapieżnością dzikich zwierząt: »Wolę, gdy tu moje maćki są po celach, niż żeby ich darty kartacze, a oni sami mordowali bez pardonu«. Gwałt na kobiecie jest złem mniejszem od mordowania i gruchotania kości. W dodatku »wytrąca to oręż z ręki cichaczem» i »oszczędza wiele żywotów ludzkich obydwu stronom walczącym«.

A scena nad trupem młodej, pięknej mniszki, która unikając hańby, pchnęła się w oczach oszalałego żołnierstwa sztyletem w serce? Wyganowski — »wyprostował się, odstąpił dwa kroki w tył, stanął w pozycji, wydobyl szpadę i sprezentował przed umarłą broń«.

A po chwili, — blady, jak trup, szeptał do siebie w zapamiętaniu:

— »O, zakonnico, zakonnico! Gdybym był pierwszym władcą plemienia, które cię wydało, imieniem twojem nazwałbym miasto, kraj mój, ziemię całą! Z osoby twej uczyniłbym herb narodu i pieczęć państwa! Kazałbym swoim armjom defilować przed twoim trupem z rozwiniętymi sztandarami».

Do wojska wstąpił Wyganowski z myślą o Polsce. Dla niej — najbiedniejszej, ukrzyżowanej — gotów jest umrzeć, gotów na największe poświęcenia się i ofiary. Losy jednak zagnały go do dalekiej Hiszpanji, gdzie kazano mu, jak sam się wyraża, hiszpańskich chłopów

żywcem palić, wsie całe z babami i dziećmi do nogi wytracać, miasta uśmierzać ogniem i mieczem.

Świadomość roli ciemężyciela pali go, jak ogień, pali, zarzyna, dusi. Nie może pełnić takiej służby. Żąda od cesarza dymisji. Ale mija rok, mija dwa lata, a »abszytu jak niema, tak niema«. Musi więc przeciw sumieniu, — »przeciw własnemu pałaszowi służyć«. Walczy nie tylko z hiszpanami, — bije się przedewszystkiem z samym sobą, — »wojuje ze swoim własnym rozumem«. — »Sto tysięcy razy, — zwierza się Krzysztofowi Cedrze — szedłem oślep na zginienie, żeby raz nie być już podłym ludzkim pachołkiem!.. To mię omija!.. Przeklęte wszystkie te bitwy, te wsie i miasta!.. Co my ta robimy do pioruna?!« — Jakże głęboka i silna nuta męki wewnętrznej, bólu, rozpacz i nawet wstydu dźwięczy w tych słowach!

Krzysztof Cedro, — postać, której autor poświęcił dobrą trzecią część powieści, — wyróżnia się dobrocią, łagodnością, wrodzoną szlachetnością, nieprzeciętną kulturą i silnie rozwiniętym poczuciem obowiązku, — »pojmowanego tak, jak go w owym czasie pojmowała i pojmować musiała większość ludzi, nieobojętnych na sprawy publiczne.« Poczucie to odzywa się w nim głośniej i silniej, niż związki krwi: porzuci ojca, podepce jego nadzieje i uludy,

opuści stary dwór, w którym według słów ojca, dla niego rosło zboże, dla niego dojrzewały owoce, pachniały kwiaty. Porzuci i poleci w świat szukać ziemi innej, — »nie mojej, ani twojej, tylko naszej, gromadzkiej«.

Jest Cedro człowiekiem zamożnym i ustosunkowanym, — nosi tytuł hrabiowski, kupiony w Wiedniu; mógłby więc łatwo kupić sobie szarżę oficerską, co w owych czasach było zwyczajem szeroko stosowanym. Nie uczyni tego jednak. Postanowił dosługiwać stopni od najprostszego żołnierza. — Nic nie umiem, — mówi do jednego ze swych znajomych, — więc jakżebym mógł być oficerem?

Wzrosły i wychowany w sferze wpływów ojca i pośła Trepki, jak wiadomo już — »woltjerjanisty, encyklopedyka, szyderycy«, — gorącego wyznawcy idei humanitarnych wieku oświecenia, na gwałty i okrucieństwa wojny reaguje początkowo bardzo silnie. Śmierć starego przemytnika, który ułatwił mu przekroczenie granicy wstrząsa nim do głębi. »Z załamanemi rękoma, z wyrazem rozpaczki bezdennej, stokroć mocniejszej, niż wówczas, gdy żegnał ojca, patrzył i patrzył w leżącego trupa«. — »To ja cię zamordowałem!« — woła, łkając, jak dziecko. »Dlatego, że mi się spodobało iść na wojnę, ty tu leżysz!« Idąc za głosem serca, wdowie po przemytniku oddaje wszystkie po-

siadane przez siebie dukaty. Wkrótce się jednak wyzbył tego, jak się sam wyraża — sentymentalizmu. W szyku żołnierskim, składającym się ze »starych wilków, lwów, hyen i dzików — pojedynków«, — rasowych słuźalców, nieubłaganych kondotjerów i srogich a ślepych żołdaków«, — przekształca się bardzo szybko w żołnierza twardego i bezwzględneho. Spędzając dnie całe i noce na siodle, z rzemieniem lancy na rękę, z ostrogą, wpartą w bok bieguna, — czerstwieje na duchu. Ulega w nim stępieniu wrażliwość na cierpienia własne i cudze. W Hiszpanji, zwłaszcza w walkach ulicznych w Saragocie, odznacza się niepomału. Bije Celtyberów, — »aż trzeszczy«. Zgadza się do pewnego stopnia z Wyganowskim, który twierdzi, że wojna jest od tego, aby każdy prawdziwy człowiek miał sposobność mordowania wrogów, ile dusza zapagnie. Tak, ale tylko wrogów silnych, równych, uzbrojonych, stawiających opór. Sumienia swego rycerskiego nie plami Cedro czynem, który wychodziłby poza te ramy. Mniszek saragotkich nie zhańbi, co więcej, stanie w ich obronie, narazi się nawet na wielkie w związku z tem niebezpieczeństwo. Nie rozumie i oburza się na Wyganowskiego, który w obojętnem spokoju przygląda się orgjom oszalałych na widok kobiet żołnierzy. »Gdyby to odemnie zależało — bełkoce z trudem, dy-

sząc ciężko i nie mogąc słów znaleźć, — gdybym to ja... kazałbym strzelać we łby tym gałganom, kazałbym!... Na miły Bog!... przecież to... wieszając, jak kundłów!...

Poznał Cedro wojnę — i wrosła weń, — »jak drzewo wrasta w ziemię niezmiernemi korzeniami« pasja do wielkiego, a mocnego czynu. Walcząc, myśli tylko o Polsce. Dla niej te trudy i znoje, dla niej ta krew. W Napoleona zapatrzony jest, jak w gwiazdę przewodnią. Wierzy mu, wierzy ślepo, ani na chwilę nie wątpi, że wielki Korsykanin spełni wszystkie pokładane w nim nadzieje i wskrzesi wielkie państwo polskie. O bojach, stoczonych w Hiszpanji, myśli z dumą i entuzjazmem. »Sądziły nam dzieje, — mówi w duchu do przyjaciela swego Trepki, — sądziły nam dzieje uciekać, jak psom, batami zerznętym, z pod Krupczyc, z pod Kobyłki, a po bohatersku wchodzić na Calle del Cosso!«

Mimo nieprzeciętnej inteligencji, nie zastanawia się nad istotą wojny, nie stara się nawet jej zgłębić. Gwałty, mordy, zbrodnie i okrucieństwa, w których bierze udział tak żywy, nie wywołują w duszy jego głębszych konfliktów. Jest dobrym żołnierzem i tylko. Każą jechać — jedzie, każą palić wsie — pali, każą bić — bije i to bije tego. Nie myśli o tem, że walcząc o wolność Polski, współdziała

w ujarzmieniu Hiszpanji. Przeciwnie, uważa się za jednego z tych, którzy za przewodem Napoleona niosą ludowi hiszpańskiemu szczęście i wolność. Zachwyty szczery, entuzjazm niekłamany budzi w nim treść manifestu cesarskiego o zniesieniu inkwizycji świętej, wypuszczeniu jej więźniów, umorzeniu spraw, — o zmniejszeniu liczby zakonów i klasztorów, o zniesieniu odwiecznych praw feudalnych panów i wszelkich przywilejów. — »Teraz już wiesz, Szczepanku, — rozmawia w duchu z Trepką — teraz już wiesz, dlaczego łamaliśmy starą Saragozę, kastel Aljaferję z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucja, więźniu hiszpański!«.

Rafał Obromski jest typem przeładowanym psychicznie. Jest on jakby silnem, trwałem zespoleniem wielu jednostek duchowych. »Rafał — pisze Matuszewski, — to z jednej strony natura impulsywna, zdolna do zuchwałych, lekkomyślnych i potężnych indywidualnie czynów, z drugiej zaś to poeta, odczuwający niesłychanie subtelnie piękno przyrody, oraz demoniczny urok miłości w wielkim stylu. Dość powszedni w życiu codziennem, obojętny prawie na ideową stronę wielkich wypadków, w których bierze udział, upaja się wrażeniami bojowymi i erotycznymi, jak niepospolity artysta, by po

chwili zatonąć w zadumie i myśleć z zadziwiającym chłodem o tem, co stanowiło niedawno jedyny cel jego najgorętszych pragnień.

O obowiązkach społecznych i moralnych ma, w przeciwieństwie do swego brata Piotra, szlachetnego ideologa, wyobrażenia dość słabe: poprostu nie troszczy się o sprawy podobnego rodzaju, chociaż, podniecony atmosferą chwili, gotów jest bez wahania nawet dla celów nieosobistych zaryzykować swoją karierę i życie. Jakieś zmartwychwstałe wspomnienie, jakieś przebrzmiałe hasło, którego znaczenia nigdy nie roztrząsał, wyprowadza Obromskiego z równowagi i popycha do szalonych wybuchów (up. epizod przy obronie Sandomierza).

Gwałty i okrucieństwa wojny nie żłobią w jego duszy głębszych śladów, — możnaby powiedzieć nawet, że nie robią żadnego wrażenia. Jest wojna, a więc ludzie muszą się bić, umierać i gnić w wspólnym dole. Przecież to takie proste. Poco o tem myśleć? Tak jest, tak być musi — i koniec. Kpi też tęgo z przyjaciela swego Krzysztofa, płaczącego nad trupem zabitego przemytnika. «Jeżeli nad każdym trupem wojny będziesz tak piękne wigilje śpiewał, to z ciebie będzie najtęższy oficer w armji... Bardzoś sobie właściwy zawód obmyślił. Bardzo! Przedstawię cię generałowi Napoleonowi, jako żołnierza nad żołnierze, do stosownej nagrody!«.

W ogniu i wirze walki czuje rozkosz niewysłowioną, a jeśli myśli, to tylko nad tem, jaki obrót bój przyjmie, co jeszcze może wyniknąć, co się jeszcze stać może? Wie, dobrze wie, że niema tam miejsca na badanie rzeczy ludzkich. »Można tam — mówi do księcia Gintułta — przynieść duszę swą i ciało z wiarą w skuteczność boju«. Wtedy się tylko jest tam potrzebnym. A ktoby szedł po to, żeby patrzeć jak inni umierają — ten jest zbyteczny. Za jedyną cnotę uznaje i wyznaje Rafał niezłomne męstwo. I w konsekwencji bije się tego — wywija z brawurą szabliskiem, lub — jak to miało miejsce pod Raszynem — chwytą starą pruską landarę za koniec lufy i pierze, co siły w ramionach. Ranny, udaje zucha i broni się przed wysłaniem do szpitala.

Jak widzimy więc, każda z poznanych postaci inaczej ustosunkowuje się do wojny. W bogactwie nadzwyczajnem ich przeżyć i poglądów, — prześwietlonych, jak już wspomnieliśmy gdzieindziej — sprawdzianem moralnym, panującym wśród współczesnego pokolenia, odnaleźć może czytelnik niejedną odpowiedź na swe własne pytania. Przekonania i wywody bohaterów powieści działają podniecająco na umysł i wyobraźnię. Czytelnik może się z nimi zgadzać, lub też je odrzucać, może zachwycać się nimi lub też się oburzać, potępiać, protestować. Nie może jednak być obojętnym. Czy-

tając »Popioły» musi przeżyć zagadnienie wojny i snuć nic rozmyślań na jej temat. Na tem właśnie polega, jak to słusznie i silnie podkreślił w pracy swej p. Teofil Wojeński, — ideowe znaczenie »Popiołów« i ich rola w procesie kształtowania duszy pokolenia, które wyjść miało niebawem z mroków niewoli na jasną, słoneczną drogę wolności.

Jak się do wojny ustosunkowuje i jak ujmuje jej zagadnienie sam autor? W ustępach, w których mówi za siebie i od siebie, maluje ją w całej jej przeraźliwej nagości, — cierpi, boleje, buntuje się na myśl o idących z nią w parze, a raczej z niej wynikających gwałtach, mordach, okrucieństwach. W ostatecznym jednak wyniku nie potępia jej, nie odrzuca, lecz przeciwnie stwierdza jej wartość i konieczność w tych wszystkich wypadkach, gdy idzie o losy narodu czy ludzkości. Wojnę pojmuje — według wywodów Wojeńskiego — jako zestrzeżenie myśli i czynów indywidualnych w jedno ramię i jeden miecz narodu, w wolę niezłomną i nie cofającą się przed niczem, gwoli przeprowadzenia idei narodowej, pojmuje ją, jako ocknięcie się tego, co lepsze w narodzie i rzućcie się w krwawą kąpiel, jako twórczy nakaz konieczności dziejowej przewyciężenia w bezwładzie zamarłych, przeżytych form.¹⁾

¹⁾ Porównaj: Teofil Wojeński — „Stefan Zeromski. Rozbiór treści ideowej“ str. 24—25.

Za wyraz jego przekonań uważać można słowa, jakie wkłada w usta generała Dąbrowskiego, Trepki i kapitana Wyganowskiego.

Generał Dąbrowski mówi do księcia Gintulta: »Teraz praca na śmierć! Wszystko od samego początku zaczniesz i udźwigniesz ciężar dziesięciokrotny. Ile krwi, męki, trudu, sławy wsiąknie w obce pola, — któż to odgadnie? Ale zostanie reszta. Ze wszystkich rozstajnych dróg jedna jakaś będzie prowadziła. Żyły będą pękać, i krew z za pazurów tryśnie, ale to darmo. Iść trzeba wiekuistym pochodem. Trza w karach odrobić wszystko i w mękach wyznaczyć wielkiego ducha!«

A Szczepan Trepka, w rozmowie ze starym Cedrą, w odpowiedzi na jego pytanie, dlaczego nie wstrzymał Krzysztofa przed wstąpieniem do wojska, odpowiada cichym szeptem: »Widziałem spodlenie wszystkich instynktów, *powolne znikanie zmysłu plemiennego bytu*. Poczucie hańby *zżarło mię całego...* Młodzież *złajdaczała, gałgaństwo i głupota padły na cały naród*, jak morowe powietrze... Trzeba było ratować. *Honor plemienny za jakąkolwiek cenę musiał się obudzić*. Wolałbym, żeby zamiast uprowadzenia Krzysztofa ucięto mi tę rękę, tę nogę, ale musiałem, przyjacielu, podmawiać, żeby szedł... *Musiato, co lepsze, ocuknąć się i rzucić w krwawą kąpiel*...«

A Kapitan Wyganowski w rozmowie z Krzysztofem Cedra o walkach w Hiszpanji, rzuca myśl, że Napoleon »nie cofnie przecie oręża przed gerylasami, boby całą swoją sławę postradał, a pobić ten lud — bajki wierutne! Nie można ich pobić, bo mają za sobą rację i entuzjazm«.

W czasach, gdy Żeromski rzucał w gorączce twórczej na papier te słowa, my, Polacy, mieliśmy za sobą rację — brakowało nam jedynie wiary i entuzjazmu.

Utworem, z »Popiołami« związanym jak najściślej, tak pod względem tematu, jak i myśli przewodniej, jest tragedia pięcioaktowa p. t. „*Sutkowski*“, napisana w parę lat po epopeji napoleońskiej. I tu również na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie wojny, jej celowości, roli i znaczenia w życiu narodu. Poza tem znajdujemy tu, — a tego naprózno byśmy szukali w »Popiołach«, — znajdujemy odpowiedź na pytanie: »Cóż ma czynić naród nieszczęśliwy, który niema sił i środków, ażeby natychmiast odnieść zwycięstwo?«

Tragedja, jak już wspomniałem, składa się z pięciu aktów. Treścią aktu pierwszego jest rozmowa nocna legjonistów z Forestjerowego bataljonu, stanowiącego zawiązek legji polskiej

pod generałem Dąbrowskim. Z pierwszych scen leje się w dusze nasze smutek żołnierskiej raczej niedoli niż doli. Wspomnienia przebytych bojów, trudów i znojów, ostra tęsknota za Polską, ciche, głębokie westchnienie, — »żeby na pewniaka wiedzieć, że ta droga do kraju, no — jużci, inaczejby i bagnet onych grzał, inaczejby i chodak szedł w oną drogą!«...

Są to przeważnie zbiegowie z pod czarno-żółtej, austriackiej chorągwi. Wiedzą i najdokładniej zdają sobie sprawę, że między nimi a Polską piętrzy się mur niemieckich bagnetów i stali. »Niema nama powrotu, wzdychają. Albo rozdeptać, kto ta na drodze, jeżeli chceć powrotną drogą, albo tu gębą cudzy piach gryźć. Inaczej niema!«

Myślą żołnierzyki o dalekiej Polsce. Mówią o czasach przedrozbiorowych, kiedy to, »palily się miasta, że wsiów sterczały kominy i piecowiska, popiołami wiatr cieszył się w nagiem polu. Ściszał żołnierz gorący, bojowy karabin, nabijał go zaklętą kulą, a pańska zdrada kazała podać tył«. Twarde jest serce w panach polskich. Słyszeli żołnierze od kamratów swych, że Katarzyna caryca dukatami złotemi płaciła panom głową w głowę. Słyszeli, że «w głos się śmiała Katarzyna caryca, że się brała za boki, przechwalający się, jako niemasz takiego między panami polskimi, żeby za gotowy pieniądz nie sprzedał świętej Ojczyzny«.

Myślą żołnierzyki o Polsce dalekiej, o kraju, gdzie ojcowie ich, bracia, matki i siostry, »zarabiają się w glinie, w piachu, w gnoju i w zagonach na pańskim», — biorąc tęgie baty od karbowego. Och, twarde jest serce w panach polskich. Biją się, oto, w dalekich i obcych Włoszech o Polskę, a cóż na nich czeka? »Przebijesz — mówi jeden z nich, — ścianę niemiecką, przyjdiesz w swoje dzieciństwo. I znowu porwie cię karbowy na pańskie, szlufy ci każe odpruć, mundur wojacki ściągnąć do ostatniego lejnika, rzemienie wojackie zawrze w komorze, a będzie cię swoim starym rzemieniem plecy orał, jako ojcom, dziadom, pradziadom!...«

Sułkowski, który przypadkiem znalazł się przy ognisku, zapewnia ich, że nie będą już batów brać na swej ojczyźnie podwórca. Zapewnia ich także, że obrona przez nich droga — wojenny szlak — prowadzi do Polski wolnej. Muszą legioniści, pod sztandarami Dąbrowskiego skupieni, nauczyć się, jak wieść wojnę zwycięską. «Sztuką naszą wojenną wybijemy w skałę drogę i wrota do naszej wolnej ziemi. Krew nasza pociecze w obce skały, piaski i gliny od wielkiej nędzy i od najtwardszej z prac. Będziemy się walić w cudze rowy i słać po obcych drogach, ale dojdziemy». I wówczas bagnety żołnierzy legionowych, i jego, Suł-

kowskiego, szabla napiszą w Polsce nowy uniwersał o tem, jak człowiek czcic ma człowieka.

Chciałby Sułkowski, aby w żołnierzach obudziła się »jędza gniewu«, chciałby, aby po powrocie do Polski porwali się do boju ze złotą szlachecką nie wolnością, ale — jak mówi — podłością. Wskazuje im na przykład ludu francuskiego, który nie powstrzymał się przed niczem, aby tylko «z gardła przemocy wydrzeć swą wolność i swe szczęście». — «Bez żalości i bez miłosierdzia ścinał tam głowę brat bratu, przyjaciel przyjacielowi, żeby wytrzebić słabość z pomiędzy siebie... Palił stare prawa, targał wściekłemi rękami odwieczne świętości, broczył we krwi, żeby ze swego serca wydobyć nową straszliwą siłę». I oto — widzą wszyscy -- lud francuski wrogów odpchnął, zdeptał, pokonał, co więcej -- na ostrzu swych bagnatów dla innych wolność niesie.

Oto usprawiedliwienie wojny i rewolucji, uzasadnienie jej konieczności i celowości. Tylko przez morze krwi dojść można do urzeczywistnienia wielkiej idei, albo też, co byłoby łagodniejszą formą tego samego wniosku, można, i nawet trzeba rzucić się w krwawą kąpiel skoro innemi drogami nie można dojść do urzeczywistnienia tej idei.

Sułkowskiemu idzie o Polskę wolną, silną, sprawiedliwą. Dlatego chce, aby w żołnierzach

ocknęła się »jędza gniewu«, dlatego mówi do nich: »Kiedy przyjdziecie na ojczystą ziemię, macie nastawić bagnety przeciwko spróchniałym prawom podłości i przemocy człowieka nad człowiekiem bagnetem zagrozić«. Twardy ten nakaz łagodzi Sułkowski przypuszczeniem, że twarde serce polskich panów ocknie się na widok hufców niezłomnych, co z ziemi włoskiej do polskiej przyjdą. «Nie podnosił u nas brat na brata ręki. Umieliśmy jednym głosem stanowić prawo. Może, skoro przyjdziemy z orężem w dłoni na naszą ziemię, nie będzie potrzeba, żeby brat ucinał bratu głowę i nurzał ręce we krwi, jak to uczynił francuski lud, żeby wyrwać ze siebie wielką moc. Może na nasz radosny głos, od połysku naszych bagnętów, roztworzy się radosne serce braterskie. Może Polska stanie się jedynem Jeruzalem świata, gdzie nie przez gwałt, lecz przez miłość spełni się sprawiedliwość».

Tragedja, po za postaciami siedmiu żołnierzy-legjonistów, poświęcona jest osobie Sułkowskiego. Żeromski mówi nam o jego miłości do Polski, o stosunku do rewolucji i Napoleona, o miłości do księżniczki Agnieszki, o miłości, która — jak to słusznie i niejednokrotnie podnieszono, — pozbawiona jest rumieńców życia i przez to w znacznym stopniu obniża patos

wielkości tego rycerza bez skazy,¹⁾ — wreszcie opowiada nam o jego zgonie w Kairze, w pobliżu bramy Bab el-Nasr. »Napadnięty przez całą ludność przedmieścia, bronił się z szablą w dłoni. Koń jego poślizgnął się na miękiej ziemi. Upadł. Pchnięty lancą, Sułkowski runął na ziemię. Wówczas... rzuciła się na niego tłuszcza. Rozbili mu głowę głazami, ciało rąbali siekierą, darli ostrzem nożów, roznieśli go na szablach!«

Tragedja zakończona jest wzruszającym do głębi obrazem salutowania przez Napoleona i otaczający go sztab generałów skrwawionych strzępów munduru, jedyne szczątka, jaki pozostał po Józefie Sułkowskim.

Bohatera tego znamy już dość dobrze z »Popiołów«, — tu mamy możność zajrzeć do jego duszy jeszcze głębiej.

Staje więc przed nami Sułkowski, jako kondotjer wolności, jako bojownik rewolucji, — tygrys, jakiego lud, przez wiele wieków ucierał, wypuścił na swych tyranów, gnębieli, zdzierców, oszustów.

Jest Sułkowski synem polskiego księcia, — wychowywał się na dworze Stanisława Augusta w królewskim zamku w Warszawie, później wchodził w skład dworu królowej Marji Anto-

¹⁾ Porównaj: Stefan Papee „Teatr Stefana Żeromskiego“ Poznań, 1926 str. 6.

niny, był kawalerem maltańskim i domniemanym narzeczonym córki Laborda, nadwornego miljonera w Wersalu, wreszcie wszedł do najbliższego otoczenia »rewolucyjnego generała« Buona-parte i sprawował przy nim godność kapitana-adjutanta.

Przekonania rewolucyjne zrodziły się w nim pod wpływem hańby, jakiej widownią była Polska w ostatnich latach bytu niepodległego. Wschodziła jutrznia nowa nad obszarami ziem Polski. Wrogowie jej wytężyli wszystkie siły, żeby »zniweczyć jej odrodzenie, żeby utrzymać jej noc, — siłę szlachecką, zgłupiałej w ciemnym próżniactwie, — żeby zachować jej anarchję.« Miał wówczas lat szesnaście — a w duszy jego nurtował nieposkromiony gniew na tych wszystkich, nawet najlepszych w plemienu, którzy nie umieli podźwignąć mas ludowych i rzucić je na wroga z potęgą Batorego. Nie było nikogo, ktoby — jak mówi — porwał się na złotą szlachecką nie wolność, ale podłość, zerwał z rąk wielomiljonowej rzeszy nędzarzy kajdany, wydzwignął ją »żelaznym uniwersałem z niziny«. «Mogliśmy, — woła z goryczą do żołnierzy z forestjerowego bataljonu, — mogliśmy wszyscy wstać, wieś za wsią, miasto za miastem, jak wstaje do obrony mężny człowiek. Mogliśmy wyjść na wroga i zgnieść go, podobnie jak swych wrogów francuski naród. Nie wstaliśmy i nie wyszli. Jakże to przeżyć?!»

Po hańbie, która kopytatami zmiażdżyła dusze wielu szlachetnych synów Ojczyzny, uszedł z Polski. »W świat! Po cudzych zaułkach, po obcych ścieżkach.. Patrzeć na ludy zwycięskie, zorganizowane, budujące codziennie, powoli, wytrwale, celowo swą wielkość.« Ścisnął zęby i samemu sobie poprzysiągł: — »nauka, praca, wytrzymałość, subordynacja! I przebiegłość!« Poprzysiągł sobie, że jeśli nie padnie na obcych drogach, to wróci tam — do Polski, wróci — i wtedy »rozejdzie się grzmiąca wieść, polecą we wszystkie strony rozgłos wojenny. Podniosą ubodzy ludzie strudzone głowy i będą słuchać, gdzie grzmiać« jego rewolucyjne działa.

Jest Sułkowski wielkim żołnierzem, genialnym żołnierzem, równym »małemu kapralowi z Ajaccio«. Jego zdolności wojskowe ocenia należycie Bonaparte i Carnot, Berthier, Joubert i Massena. Powiadają o nim ludzie, że genialny Korsykanin posługuje się jego zdolnościami, — »obciąża go poleceniami rozpoznawania planów politycznych i wojskowych, a rezultaty dociekań zabiera na swój dochód«. Powiadają o nim ludzie, że mógłby od jednego zamachu porzucić godność kapitana adjutanta i wynieść się w górę, na poziom, gdzie stoją monarchowie, mógłby zostać »największym z wielkich«, — bohaterem z baśni, któremu dają połowę królestwa. Carnot, wódz niezrównany, prawy żołnierz, sprawca

wyniesienia Bonapartego, mówi o Sułkowskim, że gdyby zginął Bonaparte, w nim Francja ma naczelnego wodza.

Wie o tem dobrze Sułkowski. Wie o swej wartości i potędze, nie myśli jednak wcale o rywalizacji z Napoleonem. »Ja tu — mówi — wcale nie gram, i nic nie chcę wygrać!« Chodzi mu tylko o Polskę. Napoleonowi wsączył w duszę głuchą o niej wiadomość. «Dusza moja leżała po stokroć u jego nóg, ze śmiertelnem błaganiem, a we mnie naród polski u jego nóg leżał«. Wierzy Sułkowski, że wcześniej czy później pójdzie Napoleon na północ, — »żeby złamać lody, które Polskę pokryły«. Wierzy mu i czeka. Popiera go wszelkimi siłami, gdyż nie widzi, a raczej nie dostrzega znaków fałszu w jego wielkiej epopeji. Nie wierzy, nie może uwierzyć, że Bonaparte, jak to twierdzi staruszek Venture, — dlatego gnębi we Francji formą rządu silniejszą, ażeby rzeczpospolita sama sobie grób wykopała, a jemu wśród bezdroża anarchji przygotowała drogę do cesarskiego tronu. Nie. »Byłyby to — odpowiada Sułkowski — pospolite knowania, rzecz nędzna, niegodna geniusza tego wodza, któremu po wyspach jońskich stawiają posążki i zawieszają przed nim lampy, jak przed obrazem świętych«.

Wie Sułkowski dobrze, że on jeden może pobić Napoleona, — »pokonać — jak to mówi Antraigues — niezwykniętego, zdruzgotać na szczątki jego właśnie, wodza nad wodze, bohatera z pod Rivoli, — nad orła wzbić się wyżej, rzucić się nań z góry i szponami wydrzeć mu oczy, — sławę swoją przykuć wyżej, niż jego puklerz«, by później poprowadzić oddane sobie wojska, gdzie się zechce. Nie uczyni jednak tego. Bo Napoleon jest dla niego najwyraźniejszym symbolem rzeczypospolitej i rewolucji, która na ostrzach swych bagnatów niesie wolność wszystkim uciemiężonym i płaczącym, zarówno jednostkom, jak i zbiorowościom. Walka z Napoleonem to — według Sułkowskiego — walka z rewolucją. A rewolucja, jak wiemy, jest chimerą jego duszy. Któż zechce i kto może walczyć z tem, co ponad swe życie ukochał?

W jednym jedynym tylko wypadku zmierzyłby Sułkowski siły swego ducha z mocą wewnętrzną Korsykanina: gdyby zdradził on świętą sprawę rewolucji lub gdyby zamarzył, jak to prorokuje, szczywany intrygant Antraigues, podzielić się Polską z jej wrogami, jak się dzielił ziemią Wenecji, to wówczas — woła Sułkowski — nikt inny tylko ja wydrę mu z rąk sceptry, zerwę z czoła djadem, skruszę jedno i drugie i stanę sam na czele wojsk re-

wolucji, bo we mnie niema zdrady. Jak burza rzucę się na waszych mocodawców, pójdę przez Europę do Polski i wydrę ją z niewoli...»

Niema dla Suchowskiego rzeczy większej — jak Polska. Dla niej stał się bojownikiem rewolucji. Ojczyzna — to według niego — samo życie. »Jak krew bije w tętnach, jak serce w piersiach uderza, jak myśl w mózgu przepływa, — tak w nas żyje ojczyzna.«

Wierzy Sułkowski w swe posłannictwo. «Czeka na mnie — wyznaje gdzieindziej, — moja ziemia i po nocach we mnie płacze. Ogrom trudów nienapoczętych leży tam, jak nieruszona na wiosnę rola. Wstrzymał się obieg krwi i zaciska serce tego ludu.» Dlaczegoż tedy zwleka? Dlaczego tuła się po obcych drogach? Dlaczego czeka aż Napoleon pójdzie łamać lody, który Polskę pokryły. Czyż nie może przybyć sam? Jest przecież mu równy, — ba — jest nawet silniejszy od niego. A »jeżeli, — rzuca pytanie księżniczka Agnieszka — Bonaparte mógł pokonać wrogów rzeczypospolitej, to czemuż waszmość nie uczynisz tego? Czemu nie rozerwiesz łańcuchów twojej ojczyzny, nie pomścisz krwawo jej upadku?«

Hełm jego rycerski przystrojony jest pióropuszem wielkości i sławy. To też naród polski, który »czi tylko to, co najprzód uczczą obcy«, uznać go może i uzna napewno za swego wodza. Pójdzie za nim. Dlaczegoż tedy zwleka?

O, bo jeszcze za wcześnie. Nie chce Sułkowski wracać do kraju, odkryty delją łatwej wielkości. »Moja wielkość — odpowiada księżniczce, — musi być przezemnie przedewszystkiem w mem sercu zdobyta, wyszarpana siłą z nicości, szpadą wzięta w zawziętym trudzie. Skoro zdobędę moją własną wysokość własną mocą, wówczas dopiero własną mocą zdobędę ojczyznę. Bo ja w każdej minucie mego życia zdobywam i tworzę ojczyznę. I zawsze czuję tak, jakby się we mnie ze samym sobą mocował cały naród polski. Muszę nasamprzód stworzyć za cały naród własną moją wolę niezłomną i dopiero potem narzucić ją zewnątrzniemu światu»...

Jeszcze za wcześnie.

Wspomnienie przeżytej w Polsce hańby pali go, jak ogień. Przypomina rzeź Pragi i mówi, że chcąc wziąć za to odwet, trzeba naprzód osiąść sekret odwetu. »Można go osiąść wśród niebezpieczeństw«. Jeszcze tego sekretu nie posiadał. Jeszcze za wcześnie. Jedźcie więc zamiast do Polski do dalekiego i obcego Egiptu. »Może tam — zwierza się staruszkowi Venture'owi — na najdalszej drodze, zobaczę wśród trudów plan mojej kampanji! U podnóża piramid napiszę konstytucję dla mojego narodu, powołam w duchu do obrony wszystkich synów ojczyzny bez różnicy stanu i pochodzenia, — ludzi od pługa, żywicieli kraju, wyrwę z jarz-

ma, — pokruszę pręgierze, stojące po wsiach mojego świata, narzucę surowy porządek, zasady republikańskie, zasieję rolę nowem zbożem«.

Nie pomylił się w swych przewidywaniach. W Egipcie — posiadał sekret odwetu. Widział tam najtrudniejsze przedsięwzięcia wojenne, nauczył się prowadzić wojnę w najcięższych warunkach. Zgłębił do reszty Bonapartego. Dowiedział się, na czem polega niezwykła, tajemnicza potęga ducha, pozwalając ujarzmić, wyzyskiwać dla swoich celów wszelkie gnieźdzące się w duszy pierwiastki, nauczył się władać duszą swą i jej małemi cnotami tak samo, jak wojskiem ludzi. Tego mu tylko brakowało i tego tylko zazdrościł Napoleonowi.

W Egipcie nauczył się być »zimnym i do gruntu zatwardziałym«. »Częstośmy się wtedy — mówi o Napoleonie — mierzyli oczami z nienawiścią i uwielbieniem. I miałem boskie chwile, kiedy w jego oczach czytałem lęk i zazdrość, niepokój i tajny gniew!«...

U podnóża piramid ujrzał Sułkowski plan swej kampanji w Polsce. Teraz już wróci. »Głęboko dobrze — zwierza się Venture'owi — było wówczas marzyć, że się teraz dopiero sumiennie ostrzy szabla na twardym brusie duszy do walki o Polskę«.

Niestety, śmierć stanęła na jego drodze...¹⁾

Znane już nam z »Popiołów« myśli o wojnie zostały tu znacznie pogłębione i rozszerzone. I tu również nie potępia Żeromski wojny, lecz przeciwnie — stwierdza kategorycznie jej wartość dla celów narodowych i ogólnoludzkich.

¹⁾ Józef Sułkowski, urodzony w r. 1770, brał udział w wojnie Polski z Rosją i odznaczył się szczególnie w bitwie pod Zelwą w pow. wyłkowyskim w r. 1792. W tym że roku wyemigrował do Francji, gdzie wstąpił do wojska francuskiego i był adjutantem Bonapartego. Zginął w Kairze 21.IX. 1798 r. w bitwie z Arabami, jako podpułkownik francuski. Na uwagę tę pozwalałam sobie z tego względu, że praca moja przeznaczona jest dla młodzieży szkolnej. Żeromski, zbierając materiały do »Popiołów« i »Sułkowskiego,« — nie mógł naturalnie pominąć pierwszorzędnego, — a jeśli chodzi o osobę bohatera z pod Zelwy to i jedyne źródła w postaci pracy Hortenzjusza de St. Albin, wydanej w Paryżu w r. 1832, a przetłumaczonej na język polski i wydanej w Poznaniu w r. 1864 p. t. »Jenerała Sułkowskiego życie i pamiątki historyczne, polityczne i wojskowe.« H. de St. Albin w pracy swej postać Sułkowskiego wszechstronnie odmalował, nie pomijając żadnych, najdrobniejszych nawet szczegółów, jakie zasłyszał od ojca swego, rodziny Venture i tych kół francuskich, wśród których Sułkowski się obracał. Dowiadujemy się stamtąd m. in., że Napoleon, — »poznawszy w Sułkowskim wielki i niezłomny republikański charakter, lękać się go począł od czasu, gdy powziął zamiar ogłosić się cesarzem; i żeby się pozbyć człowieka, który sam jeden znał tajemnicze jego zamiary, dał mu rozkaz w Kairze do przyjęcia do wództwa wyprawy przeciw zbuntowanemu Mamelukom, żegnając go gestem wschodnim, który u niego miał znaczyć »idź i zgiń.« (Żeromski w jednej z końcowych scen swej tragedji powtarza ten szczegół — oto staruszek Venture błaga Sułkowskiego, by nie szedł na tę wyprawę, albowiem Napoleon »wykonał ręką wschodnią, sekretny gest... Ten gest wschodni jednoczy się z zaklęciem: — »Idź i zgiń...«) A tłumacz pracy H. de St. Albin'a, Ludwik Miłkowski, w przedmowie do jej polskiego wydania rzuca ciekawe światło na »współzawodnictwo Sułkowskiego z Napoleonem.« — »Po długich

»Dzieje świata są dziejami zwycięstw ludzi nad ludźmi«, a »byt człowieka na ziemi znać od tej chwili, kiedy została wynaleziona pierwsza broń, — o istocie genjuszu człowieka stanowi jego wynalazczość mechanizmu walki«. Rozwijając tę myśl szerzej, przyjść musimy niewątpliwie do wniosku, że wojna jest nieodzownym warunkiem ewolucji narodu względnie ludzkości. Bo naród, ściśle rzecz biorąc, jest takim samym organizmem, o jakich mówi Darwin w swej rozprawie o «Pochodzeniu gatunków». Każdy organizm, a więc także i narodowy, toczyć musi nieubłaganą walkę o byt. Taki jest porządek świata i nic go zmienić nie zdoła.

staraniach — czytamy u Milkowskiego — Sułkowski umieszczony w sztabie głównym naczelnego wodza armji włoskiej Bonapartego — wnet daje się poznać temu wielkiemu genjuszowi wieku i wkrótce najściślej łączy ich przyjaźń. Lecz ów wielki mąż wieku poczyną się lękać wielkich talentów i charakteru Sułkowskiego i utrudniając mu awans, przykuwa go do swego boku. I trochę niżej czytamy: „Tym, którzyby nam chcieli czynić zarzut, że za wysoko podnosimy talenta i zdolności militarne jenerała Sułkowskiego, odpowiemy odwołaniem się na dwie potęgi zeszłego wieku — to jest na Carnot'a i Napoleona. Pierwszy, kiedy na posiedzeniu Dyrektorjatu Wykonawczego francuskiego troskano się, ktoby objął dowództwo w razie śmierci Napoleona, odrzekł: Jeśli stracimy Bonapartego -- mamy gotowego wodza w Sułkowskim. — Sam zaś Napoleon, gdy mu po skonie Sułkowskiego robiono wyrzuty, czemu go na najwyższe stopnie hierarchji wojskowej nie posuwał, odrzekł: — „Nie awansowałem Sułkowskiego, bom tego sam nie chciałem,“ a na innem miejscu dodał: bom odrazu w nim dostrzegł wszystkie przymioty wielkiego wodza.“ Por.: W. Lipiński, „Na przedpolu historii“ str.

»Droga wojny usłana jest ruinami i wzgórzami trupów. Ale na tych szlakach, któremi ona ciągnie, rozzielenią się nowe zboża, wykwitną nowe łąki». A więc śmierć — rodzi życie. Dla narodu, jęczącego w jarzmie niewoli, kwiat wolności wytrysnąć może jedynie z krwi przelanej, z kości, po polach bitewnych porzrzucanych. Ale, — »cóż ma czynić naród niezdolny, który nie ma sił i środków, ażeby natychmiast odnieść zwycięstwo?« Na to pytanie staruszka Venture'a odpowiada Sułkowski: »Winien się nieustannie ćwiczyć we wszystkim, coby czynił. gdyby był wolnym. Kto chce kiedyś pokonać wroga, musi się dziś uczyć sztuki być wolnym w duchu. Każdy człowiek i każdy naród musi najprzód uwierzyć w siły swej duszy i w niezłomne jej prawa, a następnie ćwiczyć w sobie żądzę wolności i wytępiać zarazę niewolnictwa«.

Wskazanie to nie wymaga żadnych komentarzy. Wszystko w niem jest jasne i zrozumiałe. A jego wartość ideowa? Ocenimy ją należycie, jeśli przypomnimy sobie, że Żeromski rzucał te słowa w okresie ogólnego przygnębienia i niewiary, w czasach, gdy Polska — istna kostnica duchów, straciwszy wiarę w skuteczność walki zbrojnej, zrezygnowała z wszelkich marzeń co do przyszłości i nie widząc nigdzie już ratunku, poddała się biernie powiewowi wynarodowienia.

Powiedziałem, gdzieś wyżej, że twórczość Żeromskiego była chlebem duchowym dla dwu ostatnich, wyrosłych w niewoli, pokoleń. Nie można jednak patrzeć na nią pod tym wyłącznie kątem. Bo i dziś i kiedyś w przyszłości pokolenia polskie czerpać z niej będą pełnymi garściami, jak ze źródła wiecznie żywego, najczystsze, najszlachetniejszego, i dziś i kiedyś — nawet w najdalszej przyszłości — znajdą dla siebie wskazania o wielkiej ideowej wartości. Na uzasadnienie swego twierdzenia przytoczę jeszcze jedno powiedzenie Sułkowskiego: »Śmierć za swobodne życie jest stokroć lepsza, niż podłe życie w niewoli.« Dziś jesteśmy narodem wolnym. Los jednak rzucił nas, — jak to gdzieindziej mówi autor »Popiołów« — między paszce dwu sąsiadów, dwu plemion — lwów, które już tak straszliwie w chwili nieszczęścia poszarpały nas na sztuki. Wojna w życiu narodów jest zjawiskiem pospolitem. To też i między nami a Niemcami czy Rosją wcześniej czy później wybuchnąć może, a może nawet musi. Pamiętajmy więc, że »śmierć za swobodne życie stokroć lepsza jest, niż podłe życie w niewoli!...«

W „*Powieści o Udałym Walgierzu*“ przenosi nas Żeromski w czasy zamierzchłej starożytności, kiedy ludność, zamieszkująca ziemię Polski Piastowskiej, przechodziła proces dziejo-

wy, przekształcający ją z bezładnego zbiorowiska niezależnych i częstokroć wrogich sobie rodów i plemion w naród jednolity, choć daleki jeszcze od zupełnej łączności i solidarności. Żeromski nie określa bliżej tej epoki. Nie podaje nawet imienia króla polskiego, który w powieści, a raczej w poemacie prozą, odgrywa rolę tak wybitną. Atoli dzięki niezwyklej wyrazistości w odmalowaniu tej imponującej postaci przyjść możemy łatwo do przeświadczenia, że tak czuć, myśleć i działać mógł tylko Bolesław Chrobry i że właśnie tego bohaterskiego zbieracza ziem polskich umieścić musimy w długim szeregu postaci historycznych, mocą geniusza powołanych do życia raz jeszcze.

Treść poematu, — jeśli chodzi o przedstawione w nim wypadki zewnętrzne, — nie należy do oryginalnych pomysłów Żeromskiego. Stara legenda o Walgierzu (a raczej o Walterze z Akwitacji). Udałym, zrodzona wśród plemion germańskich około tysiąca lat temu, znana była w literaturze polskiej od w. XIV¹⁾.

¹⁾ Por.: I. Matuszewski — „*Studia o Żeromskim i Wyspiańskim*“ str. 23. Dodać muszę od siebie, że legenda o Walterze zamieszczona jest w napisanej w w. XIV „Kronice Wielkopolskiej“, (której autorstwo przypisywane jest przez niektórych historyków literatury Godysławowi Baszce, kustoszowi poznańskiemu). Profesor Aleksander Brückner w najnowszej swojej pracy, w rozdziale, poświęconym dziejom bajecznym Polski, po omówieniu legend o Lechu, Piaście, Krakusie i Wandzie, pisze: „A tak samo ma się rzecz z następną

Na treść legendy składają się dzieje królowny frankońskiej, Helgundy, porwanie jej przez Waltera, zwycięska walka o nią z królewiczem jednego ze szczepów niemieckich, wojna z księciem słowiańskim Wiśławem, uwięzienie Waltera, zdrada Helgundy, niedola, poniżenie

fabułą, której się jednak, chociaż stokroć ciekawsza, niż Wanda, w literaturze nie powiodło, ledwie parę wierszów i tragedyj zdobyła (pomijam prozę Zeromskiego), natomiast u historyków, którzy Wandę raczej pomijają, niedawno wielki kredyt zyskała, chociaż pochodzi dopiero z drugiej połowy XIV wieku. Kronika wielkopolska (t. j. Janko z Czarnkowa) opowiada, przy zburzeniu Wiślicy przez Ruś, epizod z jej dziejów: jej księżę, piękny Wiśław, pobity i uwięziony przez Walcerza Udałego na Tyńcu, uwiódł tegoż żonę Helgundę do Wiślicy, uwięził tamże Walcerza, ale za pomocą brzydkiej siostry Wiśława uwolnił się Walcerz i pomścił swej krzywdy. Dwa romanse średniowieczne spleciono tu najdowolniej: romans niemiecki o Walterze z Akwitani i Helgundzie jego, i powieść ruską o niewiernej żonie, jej zdradzie i karze, opowiadana w bylinach (pieśniach epicznych północno-ruskich) o Michale Potyku; szczegóły wszelkie powtarzają się najdokładniej tu i tam; „udały“ jest przymiotnik ruski, nie polski, znaczy „chrobry“. Z Polską łączy obie obce powieści tylko dowolne ich umieszczenie w Wiślicy i Tyńcu, wywołane posągiem kamiennym kobiecym (niby niewiernej Helgundy) w Wiślicy. Wszelkie próby wydobycia z tej pierwszej noweli polskiej jądra historycznego chybiły. Długosz nie raczył, i słusznie, o niej napomknąć (chyba raz ubocznie); imię Wiśława dorobiono do Wiślicy. Bo i cóż innego sądzić o podobnych wywodach kronikarskich „... Paprocki wiedział nawet, jak się brzydka siostra Wiśława nazywała, Rynga, — tak samo Długosz, jak się napastnik Wandy nazywał, tyłkoż pierwsza nowela polska nie przez to na wiarogodności nie zyskała; szczerą to literatura i samemi nazwami (Walcerz — Helgunda) swoje źródło odkryła. Twierdzić, że „podanie (sic!) wiślickie odbija rzeczywiste rysy nieznaney dotąd historii Polski w IX wieku, odsłaniając postać księcia polskiego Wiśława“, albo że „przechowało wspomnienie wojen, jakie się musiały istotnie toczyć nieraz między

okropne i w końcu straszliwa i gwałtowna zemsta Waltera nad wiorołodną żoną i jej kochankiem, — wszystko to — jak mówi Ignacy Matuszewski — stanowi niezwykle bogaty i wdzięczny temat zarówno do dramatycznego, jak i epickiego utworu¹⁾.

Dzięki swej niewątpliwej piękności, barwności i sile poszczególnych momentów stara ta klechda oddawnaby już być mogła klejnotem wśród pereł. Ciężyło nad nią jednak jakieś tajemnicze fatum. Mimo wielu swych zalet nie pociągała ku sobie żadnego z większych twórców. Zapomniana prawie przez wszystkich, nieznana prawie nikomu, pokutowała przez kilka

jakim księciem — pierwotnie dynasta rodowym a pozostałymi dynastami“ i że ta wojna „uwieczniona została w podaniu może właśnie na skutek jakich wyjątkowych wypadków“ i t. d.; odszukiwać mozolnie jakieś przejścia z źródeł burgundzko-włoskich przez benedyktynów tynieckich i t. d., nie zmieni faktu, że Wincenty nie znał żadnego o Wiślicy — Tyńcu podania, pojawiającego się z obczyzny dopiero w XIV wieku. Nikt nigdy nie wątpił, że mniemane podanie o Walcerzu — Wisławie jest zupełnie mechanicznym, dowolnym zlepkiem sagi niemieckiej i stariny (byliny) ruskiej, więc cóż może ono znaczyć dla dziejów polskich?... Co najciekawsze i jedynie ważne w tem podaniu, to rola Polski: zachód i wschód podały sobie niby ręce; jakimś cudem dostała się do repertuaru szpilmana saga o Walcerzu Akwitańskim, a w jego repertuarze okazał się i wątek wschodni, i on, pierwszy i jedyny, oba wątki połączył. Gdzieś kiedyś Janko to usłyszał, czy ktoś mu o tem powiedział, bo niezdolny on do skomponowania noweli i całą wtłoczył w swoje wielkie kompendjum dziejów polskich, w ową *cronica magna*. Oto wszystko“.

Por.: Aleksander Bruckner „*Dzieje kultury polskiej*“ Tom I, rozdział V „Polska pogańska“ str. 150—152.

¹⁾ Ibidem. <http://rcin.org.pl>

wieków w starych bibliotekach, czekając cierpliwie na godnego jej mistrza słowa.

Przyszedł wreszcie. Z pod popieliska zapomnienia ją wygrzebał, ujął w kochające dłonie, obchuchał, oczyścił, uwolnił od obcych, sprzecznych z polskością motywów, uzupełnił ją po swojemu, zaokrąglił i tchnął w nią tyle uroku i szczerego uczucia, tyle myśli głębokich zawarł w szeregach precudnych słów — kwiatów, że jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przeistoczyła się i podniosła do poziomu arcydzieł literatury polskiej.

Jak już wspomnieliśmy na początku, rzecz dzieje się w okresie krwawych walk, wypełniających panowanie pierwszych Piastów.

Po walnem zwycięstwie nad Sasami król polski rozbił szkarłatny swój namiot »na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają«.

Na siedzisku wysokiem rozparł się król. Czterdzieści wnet stanęło stołów. Siada pospołu drużyna bojowa...

Cieszy się król.. »Pierwszy to raz od tylu czasów wielki roztruchan podnosi«, na cześć drużyny zwycięskiej pije... »Krzyczy mu w ląd i w morze drużyna wieczną cześć«...

— Pieśni! — woła drużyna, winem rozgrzana.

Wyszła z tłumu starców kudłatych zgraja. Nastroili liry, zanucili pieśń. Pieśń o biednej polskiej doli, o walkach strasznych z Niemcami, chciwych grabieży, łaknących krwi. Słysząc w tej pieśni »płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewcząt ledwo podrosłych«. Woła z tej pieśni »hańba ojców, za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenice«. Czarna się dymi z tej pieśni krew. — »co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopców, nieznanymi broniami pobitych w paliszczach, w warownych grodach i tynach, gdy się z najeżdźcą pierśią gołą o jego pierś żelazną siepali«.

Wzdycha król... Pieśń — »słowiańska, przedwieczna« czołga się u jego nóg, wdziera się do wnętrza. »Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku piersiom, szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu, jako żyw, nie zagnały«. I pod jej wpływem rodzą się w duszy królewskiej uczucia złe i mściwe. Ogarnia go nienawiść do odwiecznego wroga, powstaje okropna żądza zemsty. Krwawemi oczyma, w których »ogień bucha i dym się kłębi« wodzi po swych wojach. I zapowiada po chwili dalszą walkę z wrogiem. Walkę nieubłaganą, walkę na śmierć i życie.

— Wodze, namiestnicy i wy, chorągwie! — woła do drużyny swej król. Na śmierć piję

sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Abym się ich, póki mego żywota, tym mieczem i mieczem waszym wyrąbał, zdradzieckiem żegadłem wyżgał, żeleźcem grotów przebódł, garścią zemściwą pociemku wydusił...

W nienawiści swej i zawziętości posuwa się król po chwili jeszcze dalej — zakazuje drużynie swej grzebać trupy rycerzy saskich.

— Trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczech, sępy po skał grzebieniach. Niechaj gniją u wierzchu bagna, w potokach krwawych i pyle! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajt, Iza, Thietmar, Do la i Ludolf! Tak rozkazuję! A ktoby się woli mojej sprzeciwił — przez Boga wiecznie żywego — biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasać sprzączki skórzanych tłomoków i wywalić przed bracią rycerską zgarniony za Odrą łup. I gdy tak szczodrze wręcza dary każdemu ze swych wojów, przybywa niespodziewane poselstwo rycerzy niemieckich.

»Ze środka ich, jakgdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawemi oczyma, z twarzą, wykrzywioną od boleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żałoby uszyta. Pod nią wisiały strzepy mniszego habitu. Na

głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż«.

Był to biskup asceta, który umartwiał swe ciało dla odkupienia grzechów swoich i cudzych. Stanął przed królem polskim i płakał. Zrozumiał król, że chodzi tu o wydanie zwłok poległych rycerzy.

»Duma król. Z głębi potężnych swych piersi wzdycha«...

W chwili uniesienia poprzysiął zemstę okrutną — wrzało mu wówczas w piersiach, kłębiły się i targały sercem uczucia złe, bezwzględne i mściwe. Ukazanie się bosego »niemców wróża« — uosobienia pokory, miłosierdzia, bezsiły fizycznej — staje się powodem zmian w duszy króla, zmian nagłych, a jaskrawych. Z całej postaci pokornego sługi bożego, z podniesionego drżącą ręką krzyża, — godła wielkiej idei — płynie moc spokojna i niezwalczona. Płynie i kładzie się na wzburzoną duszę króla, niby łagodna dłoń kochającej matki na rozpalone czoło syna. Być może — odziany w szaty ztłate świętobliwy asceta urasta nagle w jego oczach do rozmiarów proroka, wskazującego na zło, które zewsząd na ludzi czyha, proroka, przypominającego o świętym nakazie wielkiego Nauczyciela, który zstąpił na ziemię z gorącym

pragnieniem przeistoczenia ludzi zwierząt w ludzi braci.

Uczucia złe, bezwzględne i mściwe, wyrosłe w duszy króla pod wpływem pieśni lirników — zawahają się, zawrócą wstecz, opadną. Spalą się doszczętnie, znikną. A z popieliska ich wytryśnie nagle precudny kwiat współczucia i miłosierdzia.

I jednocześnie powstać musiała w głowie króla myśl: jakież sens ma pastwienie się nad trupami? Byłoby to schlebaniem niskim, drapieżnym instynktom. Nie przysporzy to narodowi wawrzynów sławy, ni materialnych korzyści. Przeciwnie zaszkodzi mu tylko¹⁾. To też — po namyśle, na niemy płacz biskupa, odpowie krótko lecz dobitnie:

— Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przedemną! Wydam ci ciała poległych, z chwałą je chowaj w tej ziemi!...

Przyrzeczenie to wywołuje w drużynie silne szemranie. Oburzają się rycerze na króla

¹⁾ Ignacy Matuszewski pisze o tych zmianach w duszy królewskiej: „W chwili uniesienia władca zapragnął pomsty nad trupami, ale po namyśle pojął, że postępek podobny, zwykły u drobnych dynastów, szarpiących się wiecznie z sąsiadami i goniących za brutalną sławą, zemstą i łupem, nie odpowiada godności prawdziwego majestatu, godności głowy i przedstawiciela całego narodu, który ma odegrać wielką rolę w dziejowach; zrozumiał, że co innego walka obronna, a co innego bezmyślne i bezcelowe pastwienie się nad trupami. Biskup, reprezentant idei miłosierdzia chrześcijańskiego wzruszył swym niemym płaczem monarchę, który był także chrześcijaninem i mniej lub więcej jasno odczuwał moralną potęgę etyki ewangelicznej.“

za ustępstwo, zrobione bosemu Niemców wróżowi, za złamanie uroczystej, a okrutnej przysięgi.

— Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze pułk rycerski na zgubę rodu Sasów. Zaprzysięgłeś zemstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, już się przeląkł haniebnie?!

W postępku króla widzi drużyna objaw słabości (strach przed czarami wróża), nie rozumie jego łaskawości dla próśb płaczka bożego, bo — jak to słusznie zauważył Ignacy Matuszewski — król ma znacznie szerszy horyzont myślowy i uczuciowy i dawno już przestąpił próg nowej epoki, w którą ówczesny świat polski zaczął wchodzić, gdy tymczasem drużyna ocenia zjawiska życiowe ze stanowiska martwiejącej i skazanej na zagładę przeszłości.

Nie ukrywa rycerstwo swego oburzenia, pogrąża orężem. Nie odważy się jednak wystąpić przeciw królowi. Rozejdzie się po chwili w obóz z gwarem złowrogim, z szeptem zemściwym. Na placu jeno czterech rycerzy zostanie: Walgierz, brat jego — Wydrzyoko, i dwóch przyjaciół Nosal i Mściw.

Udały rycerz wypowiada królowi postuszeństwo.

— Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców

wróża boisz! Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!

Walgierza, jak każdego zresztą polaka, cechuje silny indywidualizm, — żyje w nim głębokie pragnienie usamowolnienia się z pod wszelkiej władzy. W dodatku — jest on wiślańskim koniędzem, władcą na Tyńcu i »ponad całym światem rzeczonym od niezmiernych gór po łysy góry«, — panem »wszechpuszczy jodłowych aż po mazowieckich piasków sosny«. Przodkowie jego, a może i on sam jeszcze, był samodzielny dynastą, pod względem materialnym równym księżętom polańskim, co wyciągnęli ręce swe po władzę nad całym narodem. Warunki polityczne zmusiły Walgierza do uznania nad sobą zwierzchnictwa Piastów. Pozornie pogodził się ze swym losem. W głębi duszy jednak żyła głęboka niechęć, a nawet nienawiść do tych, co mu niezależność wydarli. Myśl o jej utracie jest w duszy jego raną wiecznie krwawiącą. Uczucia, kłębiące się w głębi, radeby wyrwać się nazewnątrz, tamę jednak -- i to silną -- stanowi dla nich przez czas dłuższy niewątpliwa i zbyt widoczna przewaga Chrobrego króla pod względem rozumu, energji, bohaterstwa i odwagi.

I oto nagle tama pęka. Ustępstwo, zrobione biskupowi, poniża króla w oczach Walgierza, który — jak zaznaczyliśmy wyżej — pod wzglę-

dem myślowym i uczuciowym stoi znacznie niżej. Nie rozumie on istotnych pobudek czynu królewskiego. Tłumaczy je opacznie. W konsekwencji więc rodzi w nim myśl — komuż służy? komuż dał się ujarzmić?

Budzi się w Walgierzu i ponosi go szalona duma.

— Królu polski! woła. Wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stanicą! Jestem ci równy i władzy twojej nie chcę dźwigać. *Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę!* Wracam na zamek mój, gdzie ojce moje od początku czasów władaly. Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców wróża boisz! Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!

Nie rozumie Walgierz idei, zawartej w słowach mądrego króla:

— Nie słucham cię, rycerzu Udały! Nie znam twojej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, widni świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się włodaczem puszczy. Obie oce moje sięgają za Łyse i za niezmierzone góry, a ręce moje sięgają w dalekie morawy. Moje są dunajce — wody bystre głębokie, co ze śniegów się rodzą i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej

plyną niskimi łąkami. Wziąłem ziemię, które swemi nazywasz, żelazną dłonią. Jam jest jedyny ich odzierżyciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój porzecz, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego ple-mienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemię. Siłom twoim kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaku wzdyma wicher naszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje i nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuistą, rzecz po-spolitą«.

Nie rozumie tej wielkiej prawdy Walgierz Udały. To też z kilkoma towarzyszami, podzie-lającymi jego oburzenie, opuszcza obóz kró-lewski. Pędzi do ojczystego Tyńca, pędzi w cwał. Tam w cisowej komorze czeka, w ci-sowej Cudna żona śpi.

Przybył wreszcie. Cudka wita go obłudną pieśzczołą, w chwili bowiem, gdy przestąpił próg miłosnej świątlicy, gdy rozprzegł sprzączki

blachowe pancerza i zrzucił z siebie szłom, — »żeby nanośna stał pocałunkowi jasnych oczu nie wadziła«, — jakaś niewidzialna ręka zarzuciła mu stryk rzemienny na szyję. To Wiślimierz, koniędz żupy wiślickiej, wzięty kiedyś przez Walgerza do niewoli i osadzony w podziemiach tynieckich, mści się na swoim rywalu i zwycięzcy. Cudka, w czasie nieobecności męża, rozkochała się w nim, serce mu swoje oddała. Teraz pospołu z nim męża swego, Walgierza, za bujne włosy do podziemnego lochu wlecze, ręce i nogi w kajdany nieudźwignione zakuwa, do żelaznego słupa przybija.

Taką drogą skazany zostaje Walgierz na straszliwe tortury. Cierpi moralnie i fizycznie. On — rycerz dumny i sławny, koniędz wiślański, który Chrobremu królowi uczuł się równy i posłuszeństwa odmówił, zepchnięty nagle został na stanowisko niewolnika, — »siepacza i sługi«. »Dzisiaj wydartą mam pawęż i szłom i pas. Zakuty jestem w okowy i na ziemi waruję. Podlejszy jestem od psa, co pod cudzym zdycha progiem, bo pod własnym leżę progiem, a niktzemniejszy jestem od lisa, bom w żelazach«.

Cierpi Walgierz Udały. Otaczają go »widma bezsenne i zmory wiecznie żyjące. Chodzi dookoła głowy zabitej widmo ciche, zmora—mgła, a nóż ma w ręce ostry, szeroki. Niemasz miej-

sca w duszy, którego by nie zraniło, niemasz chwili dawnej, ani chwili przyszłej, której by nie pokazało w lustrze ostrego noża. I tak długo, długo«...

Cierpi rycerz Udały. W męce niewysłowionej pali się harda jego dusza. Cierpienie jest wielką rzeczą. Cierpienie uszlachetnia człowieka, podnosi go, pozwala objąć szersze horyzonty. I w walgierzowej duszy otwierają się najdalsze, najgłębsze kryjówki. Wypływają z nich nowe uczucia, nieznane dotąd, nieprzeczuwane. Rodzą się nowe, nieznane dotąd myśli.

— Mógł mię Wiślimierz zabić bez kary, a dał mi życie«. Mógł rozkazać trupa wywlec za próg i rzucić w zgniłą fosę. Mógł — nie uczynił tego jednak. Dlaczegoż to? — дума Walgierz, a dusza jego, trawiona żarem męki, kurcząca się pod ciężarem okrutnej ponad wszelką miarę rzeczywistości, szeptem mu cichem odpowie:

— »Straszny jest widok cierpienia. Niezwyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywda miecz i trzaska w drzazgi puklerz. Boi się Wiślimierz moich bezsilnych rąk, lęka się mojego jęku nocnego, drży, kiedy wzdycham«.

A nowym tym myśłem towarzyszą dawne wspomnienia — widziadła:

»Z głębin wychodzi zmora cicha. Oczy jej kaprawe, jak u myszynieńskiego biskupa, a pier-

si pełne szlochu. Staną owe oczy, zawałone bryłami łez, naprzeciwko oczu Walgierza, a usta wieszczka płaczącego naprzeciwko ust. Głos kusiciel, głos tajemniczej mądrości, przepływa wśród nocy. Słyszy go Walgierz w głębinie duszy swej, jakby głos własnego sumienia. A gdzie na duszę padnie ciężka łza wieszczego głosu, tam wyrasta subtelnie piękny kwiat rozczarowania, szerzą się nikle, urocze barwy zwątpienia. Wokół wyrasta jasna łąka, wirydarz chwiejny, wysoki...

»...Szept wokół senny... — Rycerzu, rycerzu!... Czyliżeś kiedy był poza drzwiami jęku, azaliż wstępował kiedy do ciemnicy serca, co bije ostatni raz? Gdzieżeś był noszony przez konie sławy we wichrach, kiedy żegnał oczyma zorzę niebiosów pobity mieczem twoim? Czyliżeś słyszał stękanie i trzask stannicy złamanej, a szloch i łomot upadającej chorągwi... Rycerzu, rycerzu!... Wysłuchaj teraz, jak brzmi tętent odlatujący konia zwycięzcy, a jak szcękają podkowy w błonach ucha tego, co został na krwawem polu i cicho sam jeden leży«...

Myśli te świadczą o przeobrażeniu, jakiemu pod wpływem cierpień fizycznych i moralnych uległa dusza Udałego rycerza. Inaczej już zapatruje się on na wiele spraw i zjawisk życiowych. Przedewszystkiem inaczej ocenia postępek Chrobrego króla.

»Król polski niezwyciężony, którego cesarz udusić w żelaznem ręku nie może, zląkł się bosego biskupa. A biskup słaby był, jak gąsię w lipcu, jak mucha w jesieni. Czegoż się zląkł, przepotężny? Chudej ręki bezsilnej, gdy się dźwignęła, oczu, łzami zasłoniomych, gdy wej-rzały?...«

Wreszcie przychodzi upragniona chwila odzyskania wolności. Zdrada, wstrętna siostra Wiślimierzowa, za cenę miłości kluczem ze skarbcza wykradzionym, otworzy zamki klubów, zardzewiałe mutry odkręci, spojenia zaklepane rozłamie, daje w ręce ogromny miecz. Jak piorun spada Walgierz na wiarołomną swą żonę i jej kochanka.

»Jak strzelenie piorunu rozlega się jego krzyk po wnętrzach zamku, leci w sale, krużganki. Ciosy miecza budzą zdrajców na chwilę, by im śmierci błyskanie pokazać«.

Ginie Cudka żona, ginie Wiślimierz, gawieź pada na twarz przed nowym zwycięzcą. Płonie doszczętnie, z dymem uchodzi stary zamck tyniecki, siedliszcze ojców.

»Głęboko дума Walgierz, patrząc na dymy skłębione, w słupy iskier dalekie«. Przy nim brat jego, Wydrzyoko, uwolniony przezeń z tych samych podziemi zamkowych. Za nimi orszak bojowników zatacza półkole.

— Pójdziemy teraz, wiciadzu, — powiada Wydrzyoko — na nowy bój, na żywot nowy.

Nowe w puszczy na wysokościach wyrąbiem toporem polany. Nowe osiedla założym. Nowe gniazda dla ludu gminnego. Nowe zamki strzeliste wzniesiemy ponad cyplami stromych skał.

— Tak, bracie, nowe zamki!..

— Uderzymy w ziemię nieżywą, w ziemię jałową, w ziemię płoną ostrzem narzędzi z żelaza i dobędziemy z jej łona śpiew rozkochanych niewiast, gwar dzieci i wielki hymn mężów, schylonych nad zagonami złotej przynicy i żyta, co się srebrzy pod niebem. Od naszych czynów, wodzu, poczną się nowe dzieje! Z naszych ramion zstąpi na ziemię pokolenie potężne i piękne. A ono będzie twórcą pokoleń, których pochod nieskończony iść będzie w wierność pod niebem świętej Pogody.

Walgierz i z tem się zgadza, kiedy jednak Wydrzyoko obraz tej przyszłości łączy z pojęciem jego wielkości — gdy mówi, że wielkość tę czcić będą w pieśni nigdy nieumierającej pokolenie szczęśliwe.

»Cicho, cicho ku zgłiszczom zaśmiał Walgierz Udały. Jego ręka żelazna szarpnęła wodze konia. Miecz w strzemię trzasnął. Zadumane oczy przebodły dymy i zduszone płomienie. Wyciągnął dłoń:

— Tam moja wielkość, — wyrzecze z pomiędzy głębokiego śmiechu. Do słupa moja wielkość przykuta. Nowe zamki, jakoby gniazda

orłowe, wydźwignę na szczyty gór, nowe sioła rozsadzę po puszczy, jak ule pszczoł, przeniczne i żytnie ziarno rozsieję po stokach, gdzie rośnie jałowiec, po nizinach, kędy kwitną kaliny... Lecz już wielkości nie zaznam. Wielkość moja do słupa żelaznego przykuta w tamtych się dymach ogniem przepala...

Opuszcza Walgierz na zawsze strony rodzinne. Idzie do króla Chrobrego. Powie mu prawdę głęboką, prawdę, co się tam oto pali. Otworzy królowi oczy jasne, pokaże mu duszę kamienną...

Idzie do króla nie poto, by — jak to wywodził Matuszewski — szukać pomocy i opieki. Nie, tego nie potrzebuje. Ma przecież orszak liczny przy boku. Idzie dlatego, — »że odczuł i zrozumiał wyższość myśli królewskiej nad swemi dawnemi silnemi, ale ciasnemi, dążeniami Sława, która lubiła »ogłądać swoje oblicze w mieczu zbójcy, wydartym z pochwy« — wydaje się teraz nikłą. Pojął, że istnieją inne formy wielkości, nietylko skąpane w purpurze krwi i lśniące blaskiem zdobytych łupów. Idzie do króla polskiego nie jako wróg, ale jako przyjaciel, gdyż czuje mu. się pokrewnym i równym nie potęgą materialną, lecz duchową. Idzie, bo zrozumiał daleko sięgające myśli i cele królewskiego wodza narodu. Idzie, bo odczuł, że monarcha polski nie jest »twardym samo-

dzierżcą« ani lęklwym sługa »bosych wróżów«, lecz wcieleniem świeżych, żywotnych i zdolnych do rozwoju idei...«

»Powieść o Udałym Walgierzu« jest utworem symbolicznym. Symbolika jednak jasna jest nad wyraz i komentarzy szerokich nie wymaga. Walgierz — to naród polski, pobyt jego w więzieniu tynieckim — to nasza polityczna niewola. (Takie znaczenie symbolu potwierdzają słowa samego Żeromskiego w »Wiśle« i »Słowie o Bandosie«). Walgierz — według W. Jampolskiego — jest — »symbolem duszy narodowej, jej rozwoju od form dawnych poprzez niewolę do kształtów dzisiejszych. Formy bohaterstwa stare przekształca, ożywia, uszlachetnia i przenosi w dnie dzisiejsze. Jest to poniekąd romantyczne uzasadnienie pożytku niewoli, jej filozofji«. Jeśli chodzi o treść ideową, zawartą w tym symbolicznym obrazie, to ponadto zawiera ona — według T. Wojeńskiego — »i rozwiązuje zagadnienie, jaką moc musi naród osiągnąć w sobie, by zwyciężyć i być zdolnym do twórczego życia. W rozwiązaniu tem podkreślone zostały dwa momenty: Wartość pierwiastków duchowych i konieczność podporządkowania interesów indywidualnych idei zbiorowości«...

Bohaterem „*Dumy o hetmanie*“ jest Stanisław Żółkiewski, jeden z najwybitniejszych mężów stanu i wodzów, jakich wydała Polska w wieku XVI. »Orzeł mogilnik«, — »sławy polskiej piastun«, przez pół wieku głową i szablą ku chwale ojczyzny pracował. Jest on, według Chołoniewskiego, — wykładnikiem najistotniejszej treści ducha narodowego polskiego, jest nieprześcignionym w doskonałości wzorem człowieka, obywatela, rycerza.

Gdzież nie był, czegoż nie dokonał?

W r. 1577, jako młodzian trzydziestoletni, zasłynął w wyprawie przeciw Gdańszczanom, — w trzy lata później wziął udział w wyprawie moskiewskiej pod wodzą Jana Zamoyskiego, odznaczył się chwalebnie w r. 1588 w bitwie pod Byczyną, zdobywając własnoręcznie czarno-żółtą austriacką chorągiew z orłem cesarskim. Otrzymałszy za zasługi wojenne buławę polną, w r. 1588 udał się na południowo-wschodnie kresy, — bronił Rzeczypospolitej przed najazdami tatarów, tłumił pierwsze bunty kozackie (Nalewajki, Łobody, Kosińskiego). W r. 1602 pobił Szwedów; pod Guzowem w r. 1607 pokonał rokoszan Zebrzydowskiego; w cztery lata później w bitwie pod Kłuszynem rozgromił z garstką podległego sobie wojska przeważające siły moskiewskie, zajął Moskwę, carów moskiewskich wziął do niewoli i do Warszawy przywiózł. Po

wojnie moskiewskiej wrócił na kresy południowo-wschodnie i tu w bitwie pod Cecorą w r. 1620 poniósł śmierć bohaterską.

Zasłynął nietylko, jako wódz, lecz także i jako wybitny polityk. Walcząc na kresach wschodnich z kozakami, podkreślał stale konieczność ugodowego z nimi porozumienia, twierdził, że więcej tu można zrobić „*consilio, anizeli vi*“, radą, anizeli siłą. Do niego również należy plan połączenia Polski z Moskwą nie drogą podboju, lecz drogą unii. Niestety, krótkowzroczność i ambicje króla Zygmunta III nie pozwoliły na realizację tego planu¹⁾.

Lwa nosząc w sercu, szczupłemi siłami, wielkie nad wrogami odnosił zwycięstwa, — »buławą wojenną — jak mówi Żeromski — pokazywał ku czci obcym plemionom«. Pchając Europę w krainy dzikiej północy, pragnął zbudować Polskę »na fundamentach z granitu«. Słusznie też po klęsce cecorskiej, w dniu 5-go grudnia r. 1620, Tomasz Zamoyski, wojewoda kijowski, w mowie sejmowej, zwracając się do króla Zygmunta III, mówił o nim: »Buława hetmańska zaszcęściem waszej królewskiej mości niezwyknięta w jego ręce, uspokajała domowe rozterki,

¹⁾ Ściśle rzecz biorąc, program Żółkiewskiego w sprawie moskiewskiej jest rozwinięciem idei kancelarza Zamoyskiego. Por. Dr. W. Dobrowolski — *Hetman Żółkiewski i jego program polityczny*.

gromiła nieprzyjacioły, waliła zamki, podbijała pod nogi waszej królewskiej mości monarchje i monarchy... Nie przegrała ta buława w polu, owszem, siłą trupów pogańskich okryła go... torowała sobie drogę nie pokątnemi jakimi ścieżkami, ale przez pośrodek nieprzyjacielskich hufców, któremi, kędykolwiek ruszyła się, pierzchać i rozstępować się musiały. Zwyciężyła trud, głód, niedostatek snu i napoju, najgłówniejsze natury ludzkiej nieprzyjacioły, a że swywoli wyuzdanej i szczęścia, albo raczej wyroku bożego, od wieku przejrzanego, złamać nie mogła, to nie onej podobna wina«...

Dla siebie nie pragnął niczego. Wszystko Polsce oddał, wszystko dla niej poświęcił. Granic jej bronił — jak wiemy już — od najwcześniejszej młodości do ostatniego tchnienia. *Życzę sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej, dla ojczyzny, — pisał w swym testamencie. Jeślibym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej. A nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiątki i dla pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla ojczyzny«...

Katońską swoją cnotą, ofiarnością, poświęceniem się i nadzwyczajną siłą woli umiał natchnąć rodaków nie tylko za życia, lecz i po

swej bohatersko — męczeńskiej śmierci. Tomasz Zamoyski, już wspomniany przez nas, mówił w swej mowie sejmowej, że trup hetmana »wskazywa do waszmościów, miłościwi panowie senatorowie, abyście opatrzyli na czas dobrze tę ojczyznę, póki nie nastąpi nieprzyjaciel«... Po Cecorze przyszedł Chocim...

Życie, trudy i znoje, tudzież śmierć bohaterska hetmana Żółkiewskiego głośnym echem odbiły się w literaturze polskiej. Twardowski w swym »Władysławie IV«, — później Niemcewicz w »Dumie o Żółkiewskim« mówią nam o wielkości tej postaci, o tragizmie sytuacji pod Cecorą. Z nowszych — Szujski w »Marynie Mniszchównie«, — Kraszewski w »Bajbuzie«, — Gliński w »Cecorze« i kilku innych. W ostatnich czasach (r. 1925) Kazimierz Brończyk przypomniał nam o tragedji cecorskiej w dramacie p. t. »Hetman Żółkiewski«, nagrodzonym na konkursie teatralnym we Lwowie.

Żeromski swą »Dumę« otwiera obrazem walk, jakie wielki hetman, stojący na czele skąpej garstki polskiego rycerstwa, toczyć musi z olbrzymimi masami wojsk tureckich i tatarskich. Terenem tych walk są rozległe pola cecorskie.

Jest to ostatni już, końcowy etap drogi życiowej wielkiego hetmana. Wkrótce nastąpić ma zgon. »Dumę« zamyka znany z historii obraz: głowa hetmana, ścięta przez żołdaków turec-

kich, wisi na włócznie w pobliżu wieży Aji Sofji, o której wydarciu marzył. Czytając »Dumę«, widzimy Żółkiewskiego stale na tle pól cecorskich. Obóz polski i namiot hetmański — oto zewnętrzne ramy tego utworu. Treści zasadniczej jego nie stanowi jednak opis przedgonnych chwil w ścisłym znaczeniu tych wyrazów. Oryginalna konstrukcja pozwoliła autorowi na przedstawienie — w tych ciasnych stosunkowo ramach — w szeregu wspaniałych obrazów całości zewnętrznych i wewnętrznych dziejów hetmana — od młodzieńczych jego snów o potędze do triumfu na moskiewskim Kremlinie i klęski cecorskiej.

Obóz polski...

Panowie polscy, możnowładcy, walczący stale z królem i pomiędzy sobą o władzę, odmówili Ojczyźnie swej pomocy. Niespełna siedem tysięcy rycerstwa przeciwko stukilkudziesiąt tysięcznej nawale tureckiej. »Ze wszystkiej, z najjaśniejszej Rzeczypospolitej — дума hetman — nie znajdziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie wypiszesz tysiącem listów, nie wyrzebrzesz przez rumor uniwersałów siedmiu tysięcy żołnierza. Gdyby nie syn, nie siostrzeniec, nie bratanek, — gdyby nie koligaci zpod Karpat podnóza, co na słowo najświętsze zakłęci, skupią kilka rot w nagłym czasie i dla sąsiedzkiej wyjdą przyjaźni — ilużby ze mną było?«

Siedem tysięcy rycerstwa polskiego, zamknięte w ruchomym obozie, przebijającym się z trudem poprzez gęstwą dziczy turecko-tatarskiej. Szereg krwawych i upartych walk — dłuższy jeszcze szereg niezwykle silnych momentów dramatycznych.

Oto — odwaga i zapał, wobec zbyt widocznej przewagi wroga, opuszczają skąpą garstkę rycerstwa polskiego, ustępując w ich sercach miejsca szaleństwu rozpacz i trwogi. Uciekają z obozu w noc ciemną najdzielniejsi rotmistrzowie i pułkownicy. Rozzuchwalona czeladź plądruje opuszczone namioty, później zagląda do każdego z kolei i »gdzie leży ciężko ranny, cicharzem skróci mu bóle dla łatwiejszego rabunku«. Oto ktoś, pogrążony w krańcowej już rozpacz i trwodze, rzuca straszne podejrzenie, że hetman »pewnikiem uszedł z obozu«, że i on zapewne »zajęczym skokiem pomyka«. Rzucają się wszyscy przed namiot hetmański, a stwierdziwszy tam obecność wodza, żądają odeń przysięgi na Ewangelję, że z obozu nie ujdzie. Oto syn hetmański, uważający zupełnie słusznie żądanie takie za wielką zniewagę, protestuje, ręce łamie przed ojcem i błaga, żeby mu pozwolił nieskalany miecz wyrwać i rozsiekać zniewagę«.

— Nie przeżyję tej hańby, nie zniosę poniżenia! To imię Żółkiewskie nie tylko jest

twoje, lecz i moje. Na miecz się w oczach twych rzucę!

— Zejdź z drogi! — odpowiada mu ojciec sędziwy. Własną moją rzecz sprawuję! Muszę się schylić, muszę się zgiąć na wzór obręczy. Pokorą moją muszę opasać ich szaleństwo. Przypatrz się, co jest polskie szaleństwo! Rozpadną się i rozsypią, jak klepki, jeśli im się równy w podłości nie wydam. A gdy się tak zegnę i spoję w sobie, większy się stanę, niż oni wszyscy razem. Utrzymam, synu, w obręczy zachwyty ich dla siebie samych, czyli polską całość...«

I zaraz potem — straszną, okrutną w swym brzmieniu przysięga. »Surowa twarz kanclerzowa od grozy skostniała. Siwe włosy rozpacz zjeżyła. W oczach się iskrzy mróz śmierci. Ściągnął rękę. Palce na księdze położył.«

— Na tę księgę przysięgam przed wami, jakom nie zamyślał o ujściu. Przysięgam, jako nie ujdę!

Nie omylił się hetman sędziwy w ocenie duszy polskiej. Bo oto — »wnet się rankor i niepomyślny animusz — polskim obyczajem — z gruntu się odmieni i w łaskawość rozczuli.«

»Krzyczą pocziwie — Niech żyje hetanm! By nas i zabić miał na tym placu; jego się trzymaj, kto żyw!... Z nim nama żyć i umierać!« Kołem go opasują, łzy stoją w oczach. Uśmiechy..

A on »czapkę naciśnie. Pierze sprostował. Znak każe podnieść. Buławę, żelazo wojenne, w dłoń porwie.

Straszliwe z ust jego padają zniewagi. Z obuszkim porwie się na tłum. Rozkaz grzmiący:

— Na wały! Tchórze nikczemne, łotry!... Pod rozkaz hetmana polnego! Do broni! Kogo teraz na rabunku dopadnę — na pal!...

I potem znowu długi szereg walk. Obóz polski, krwią brocząc, przebija się powoli, krok za krokiem, przez zwartą ciżbę turecką, — od Cecory w kierunku Dniestru. I wreszcie, po wielu dniach walki upartej, po wielu nocach i dniach »pochodu, niespania, pragnienia, bez strawy omdlał lud. Strapieni głodem, szaleli, krzykiem lżyli hetmanów. Wody pragnący nie chcieli iść i na ziemię z rozpaczą padali. Wyszedł już proch i kule. Konie klękały strudzone.»

Staje wreszcie tabor bezsilny. Nie chce, gdyż nie może już iść dalej. Nie chce już — wbrew buławie — dalej podążać.

W takim to stanie rzeczy — w obozie stojącym w obliczu nieodwołalnej klęski i zagłady, sędziwy hetman kładzie się do snu poraz ostatni. Głowa spracowana, od dni dziesięciu bezsenna, szuka na siodle wytchnienia. Zawierają się na głucho powieki, a sen w dal niesie samowiedzę. Przedziwna roztacza się zmiana. Daw-

ne, minione, zapomniane przeżycia. »Potężny kontrast dramatyczny tkwi w sytuacji -- pisze p. W. Jampolski. Otoczony niebezpieczeństwem hetman, we śnie wstępuje w sztolnie sumienia. Starcowi śni się młodość; zwyciężonemu dawne zwycięstwa; wodzowi Polski niepodległej ukazują się widma niewoli. Kapryśne kształty łączą się w formę symbolu. Mocna tama stylizacji chroni przed falami uczuć i wgłębień, pozwala ogarnąć całość«.

»Duma o hetmanie« uchodzi słusznie za sąd nad duszą polską, »duszą wolną, krnąbrną, kresu nie znającą, samą siebie szaleństwem chłuszczącą.« Mądreimi, przenikliwemi oczyma, z taką samą męską odwagą, z jaką gdzieindziej rozdzierał niezabliźnione jeszcze rany polskie, spoziera Żeromski w przepastne głębie narodowego sumienia. Widzi i wydobywa na jaw wszystko — wszelkie złe i dobre pierwiastki. Nie tylko potępia krańcowy polski indywidualizm, wybujałe sobiepaństwo i wyuzdanie — rany, przez które »uszła krew życia z ojczyzny« — lecz jednocześnie podnosi z radością i dumą liczne, nieocenione często zalety, dokopuje się do »złota wyborowego«, ukrytego w tajnych głębiach. W rozmowach hetmana z synem, królem Stefanem Batorym, Samuelem Zborowskim, i kondotjerem Coleonim znaleźć można po za potwierdzeniem tej tezy, także i wskazania na

dzień dzisiejszy i jutro. Oto — zaledwie kilka, ale zato najbardziej wymownych cytat.

»Każdy z osobna wódz, każdy król. Każdy zależny tylko od Boga i od swej woli. Z kim chce, z tym zawiera przymierze, z kim chce prowadzi wojnę i gdzie chce szuka ojczyzny«.

»Okrutne jest polskie plemię! Jak wilk rozwścieczony, jak żmija, wyhodowana na piersiach, niewdzięczny jest ten świat. Żaden mu inny na ziemi w niewdzięczności nie sprosta. Kocha się człowiek nasz nadewszystko w widowisku strącenia wielkości z jej stolicy. Nie znosi człowiek nasz dla wielkości zachwyty«.

»Lecz nic to, nic! Im okrutniejsze jest plemię, tem głębiej wrzynaj się w nie miłość twoja«.

Nie »pogardzać tą zgrają« — jak myśli syn hetmański, lecz kochać jeszcze więcej. Bo »do podłego kruszcu pogardy lada dorobkiewicz i prędko dokopać się zdoła, lecz do złota wyborowego jeno przez głębokie, twarde, skałą, замуrowane wnętrzości ziemi ryc się trzeba. Głęboko leży polski skarb, o dobry synu!

I oto wreszcie odpowiedź Coleoni'emu:

»Nie wiesz, co może być w człowieczej duszy i jakie jeszcze, za widzialnem niebem, może być niebo nad skrawkiem jałowej ziemi. Nie wiesz, jaką cenę ma w duszy ściana ubo-giego domu, komin i barłóg nędzarza. W barłogu

często rodzi się dusza wybrana. A jak człowiek nigdy tak mocno nie nienawidzi cudzoziemca, jak nienawidzi podłego rodaka, tak znowu cześć dla cichych a wielkich w Polsce dusz za wszystko na szerokości ziemskiej starczy. W nich to mieszka ojczyzna. Bywa tu w Polsce zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nieznana nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać, niesplamiony honor, sam siebie niczem — głodem ducha — karmiący podziemnych lochach nędzy bytu. Rzadko to, rzadko... Jako w zamku rozpustnym trafia się skarb, w martwej i głuchoj ścianie zamurowany, tak samo jest z Polski cudnemi duszami. A skarb zamurowany za wartość zamku częstokroć starczy...«

Od Rewolucji do Zmartwychwstania

„Sen o szpadzie“ — „Nokturn“ — „Róża“ —
„Słowo o bandosie“ — „Dzieje grzechu“ —
„Uroda Życia“ — „Wierna Rzeka“.

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

Twórczość Stefana Żeromskiego, zwłaszcza twórczość za ostatnie piętnaście lat, poprzedzających bezpośrednio zmartwychwstanie państwa polskiego, jest niezwykle wymownem potwierdzeniem słuszności niepotrzebnie i dziś jeszcze branej w obronę tezy o przemożnym, nieograniczonym wpływie życia na sztukę. Cykl utworów, jakimi w tym czasie wzbogacił pisarz literaturę polską, — a więc »Sen o szpadzie« — »Nokturn« — »Róża«, — »Dzieje Grzechu«, — »Uroda Życia« i »Walka z Szatanem« jest silnem, czystem i wyraźnem echem ówczesnych przeżyć narodu. Wypadki polityczne, jakich widownią była w tym okresie Polska, odbiły się na charakterze omawianej twórczości tak silnie i tak dalece, że jest rzeczą niemożliwą zrozumienie jej bez znajomości — bez uprzedniego i bardzo uważnego przyjrzenia się tym wypadkom.

Z życiorysu pisarza wiemy już o przyczynach wybuchu rewolucji w r. 1905, o jej bohaterским przebiegu i smutnem zakończeniu. Wiemy również, że przegrany ruch rewolucyjny nie zmienił bynajmniej poglądów ówczesnego wodza socjalizmu polskiego: po upadku rewolucji, tak samo, jak i przed jej wybuchem,

przeświadczony był o konieczności wznowienia walki zbrojnej o niepodległość, wierzył w jej możliwość i zwycięskie zakończenie. Wiemy również o pracy jego nad wypełnieniem braków, które na przebieg stłumionej rewolucji wywarły wpływ decydujący, a więc o walce z bezruchem moralnym społeczeństwa, o powołaniu do życia kadr polskiego wojska narodowego w postaci związku strzeleckiego. Wiemy już o tem wszystkiem i dlatego tu obszerniej rozwodzić się nad tem nie będziemy.

Przyjrzyjmy się natomiast dla uzupełnienia obrazu »kondorowi reakcji«, który już w czasie wrzenia rewolucyjnego pokazywał swe drapieżne pazury, a rozpanoszył się, wpadł w szal bezgraniczny po stłumieniu ruchu wyzwolenczego, pluł z zastygłe oczy skazańców, co to — jak mówi Żeromski w »Róży« — wyszli w ciemną noc, żeby bić się na śmierć o Polskę, a zawisali na szubienicy pod nazwiskiem bandyty.

W znanym już nam z cytaty „*Śnie o szpadzie*“ mówi Żeromski o bohaterstwie i męczeństwie tych, co idąc na stryczek szubienicy rzucali — według słów Anzelma z »Róży« — w noc ciemną »warjackie« swoje hasło: niech żyje Polska niepodległa! — oraz o stosunku do nich olbrzymiej części społeczeństwa polskiego. Przypomnijmy sobie — żołnierz polski, bohater bezimienny — bojownik rewolucji — »gdy leciał w krwawy skazańca rów, z sercem,

zestrzelaniem od kul żołdackich, gdy dogasał powolnem straceniem w stepie Sybiru, — nie czuł za sobą serdecznego tchnienia z Ojczyzny. Nie miał za sobą nic — tylko dół wykopany na miarę trupa. A przeciw sobie miał za szeregiem żołdaków wszystko. Niechęć, trwogę, nienawiść, wrzaski dziedziców, bicie w dzwony fabrykantów, tajne intrygi tchórzów i ciemną niewiedzę nędzy. Przerażone oczy narodowej samoniewoli wpoglądają na ciebie ze szpar, ze szczelin, zza węglów i dymników. Nienawiść wszystkich, komu niepotrzebna jest wspaniałość duszy, moc, nieustrasżoność wyteżonego ramienia... zmagają się na ciebie z wypróbowanemi doktrynami zła i filisterji, wzywa na pomoc spryt i wymowę ścierwa dziennikarskiego i mrok, zalegający niziny«..

Smutne to i pełne hańby czasy. Nie było — jak mówi Anzelm z »Róży« — w plemienu polskiem ducha. Zagasili go panowie gasciele. Umie ono tylko rozpętywać złe swoje siły. Depcze w wiecznym obłędzie własną moc.

Fala reakcji przeciwrewolucyjnej to nietylko moskiewskie gwałty, więzienia, szubienice i Sybir, nie tylko triumf polskich »kondorów«, pluących z cynizmem w świeżą, krwawiącą ranę narodową, to także szaf powszechnego rozochożenia i wyuzdania. »Jak zawsze — pisze Feldman — w chwilach wielkich przesileni moralnych, od sejmu gródzieńskiego począwszy,

roztańczyło się »towarzystwo« przy akompaniamencie strzelających korków i kart — zabaw tak hucznych, jak w zimie r. 1906-1907, dawno też w Polsce nie było. Akompanjament skrzypiących nieopodal szubienic nie przeszkadzał. Żądza używania za wszelką cenę, szerokie życie z moskiewska opętało« warstwy jak najszerwsze. A Zdzisław Dębicki w książce swej o »Kryzysie inteligencji polskiej« pisze o dobie porewolucyjnej: »Hasło użycia górowało ponad wszystkim. Jakiś ogólny pęd odrywał ludzi od poważnej pracy, a prowadził do kabaretów i knajp, gdzie szampan lał się strumieniami. Najpoważniejsi mężowie spędzali wieczory i noce w najswawolniejszych towarzystwach. Przypadkowe znajomości, przypadkowe spotkania wytwarzały dziwnie pstrą mieszaninę, w której ocierały się o siebie w jednym gabinecie restauracyjnym kobiety o nieposzlakowanej reputacji z notorycznymi sprzedajnymi ladacznicami, gdzie ściskali się za ręce i wchodzili w stosunki przyjazne ludzie, przybrani, w jednokowe czarne smokingi lub fraki, a!e jakże dalecy od siebie. Wszystko to splecione w jedno kłębowisko ciał, obracało się bezmyślnie w takt dźwięków tanga lub cake-walk'a i żyło bezsensownem życiem, rujnującem zdrowie, majątek i podstawy moralne społeczeństwa. Rodzina utraciła swój mocny, dotychczasowy cement. Małżeństwo stało się związkim, opartem ra

wzajemnem oszustwie i kłamstwie. Napiętnowane przez Sienkiewicza ruja i porubstwo przeszły z literatury do życia. Niezdrowe podniecenie ogarniało społeczeństwo od góry do dołu. Pierwiastek zmysłowy tkwił i ujawniał się literalnie we wszystkim, stał się panującym w życiu i objął nad tem życiem bezwzględna bututę«.

Szał, jakiego pastwą, stało się społeczeństwo polskie w latach 1906-1908, — znalazł naturalne dla siebie miejsce i w literaturze. Jak pisał w owym czasie Artur Górski — rozmaite idee czworonożne wyszły z ukrycia, dokąd je zapędziła była gromowa jasność okresu neoromantycznego, i zaczęły się mścić za swoją degradację, zaczęły wydierać ślady tworzących się organów wyższego bytu. — »Ogłupiajmy się« — pisze Feldman — było hasłem dnia i nocy. Zaczęła się epoka zagłuszania niedawnej przeszłości idealistycznej, gaszenia niewczesnych zapałów... Zaczęło się zasypywanie wszystkich tych dróg, na które duch Młodej Polski chciał prowadzić«...

»Jak posępna zstępuje noc, — woła Żeromski w swym „Nokturnie“. Jak posępna, jak złowieszcze jest niebo... I w dusze spływasz, o nocy! Berło twoje nad ziemią się ściąga, władza twa nad duszami ludzkiemi.

Daremnie, samotny człowieku, — natężasz duszę swoją, jak krzywy łuk i aż do zdrętwie-

nia palców na cięciwie miotasz strzały w zbita-
żone konie, na których zahartowany w intry-
gach Rozsądek z cecorskiego taboru ucieka!
Próżna jest rzecz w tym obozie dowcipnisiów
i mędrków stać po nocy na czatach wysokich
i niezmarszczonem okiem w śmierci patrzeć
przyłbicę. Stary to i zawsze ten sam Żółkiew-
skiego obóz!... Każde ponadsilne przewycięże-
nie, każde westchnienie ku wielkości i na cześć
wielkiego czynu szkodliwe jest na tej ziemi.
Wraca się, znudzony ocknieniem, polski duch
w wygodne i ciepłe pielesze samoniewoli...»

Noc... Głęboka, posępna, ponura noc. »Biegną
w ciemnościach polscy ludzie, bełkocąc zaciekle
o jadle, o napitku, o ucieście cielesnej«... Nie
pamiętają, nie chcą pamiętać o więźniach samot-
nych, co w czarnej nocy ducha wskrzesili mę-
stwo w tysiącach niewolników i jak mówi
Bożyszczę z »Róży« — za niepodległość kraju
walecznie, dostojnie, wspaniale ponieśli śmierć.
Teraz ziemia grubym pokładem leży na ich
ustach, a wszystko chłonący piach mazowiecki
wysysa ledwie ostygłe rany. Ale zadcpcze »ży-
wot zapobiegliwy« miejsce ich tracenia. »Wznie-
sie interes na kałużach krwi siedlisko wygody.
Umrzesz w pamięci dowcipnisiów i mędrków,
utoniesz w mrokach nocy, młoda duma i młoda
miłości, któraś gestem, godnym bogów, żegnała
życie i ziemię...»

„*Nokturn*“ — to nie tylko rapsodja ponura o skonie ostatniego polskiego powstania. To także i śpiew poety o sobie. »Byłem zawsze, jak doboz, który biegnie bez tchu obok spracowanego szeregu, znany takt wybijając pałkami.« Zapragnął uciec od plugawego życia, zawrzeć w ramionach swe ukochane piękno, sztukę, i nic po za nie widzieć. A skoro tylko »z pomiędzy wszystkich wyszedł« — pierwsze, co ujrzał, to prostą skarpę ziemną, cytadelę warszawską, gdzie najszlachetniejsi synowie Polski »z gołemi szyjami stali pod zorzą, patrząc w swe groby wykopane.« Ujrzał ją i pozostał. Musiał pozostać.

»Leżą w nocy olbrzymie bryły szaićów z pryzmami bastjonów na szczytach. Czarnieje mazowiecka ziemia, usypana w dwuramniki, po których żołnierz defiluje tam i z powrotem. Przeciwno miastu i ojczyźnie jeży się milcząca Golgota, cmentarzysko i skarbnica popiołów.

O, ukochana i znieawidzona! O wizerunku najwierniejszy, najdoskonalszy obrazie polskiej duszy!

Lecz wy, o święte kości, i w tej ziemi spodłajej nie zaznajecie spokoju. Płoniecie w niej podziemnym płomieniem. Dobywa płomień z głębokich dołów, z niedostępnych szanców głucha noc, idąca na plemię. Proście się ze stoków cytadeli do naszych niegodnych ust,

o święte kości zabitych żołnierzy! Każecie czynić ze siebie muzyczne narzędzie, piszczel trwożąca i na niej grać plemieniu polskiemu, kiedy się kładzie do swego starego snu, głos nocny — nokturn polski«...

Przyłożył do ust drżących jedną z takich świętych piszczeli i zagrał. Oto — geneza »Róży« — którą jeden z krytyków słusznie i trafnie nazwał »Dziadami« roku 1905 z improwizacjami, scenami, martyrologją, udziałem zmarłych, formowaniem się dusz jednostek i duszy zbiorowej..

Wyrasta przed naszymi oczyma Polska ówczesna. Pod przewodnictwem Bożyszczka spuszcza się na dno dantejskie. Szereg alegorycznych obrazów. Pierwszy z nich, namalowany na tle wielkiej hali fabrycznej, mówi nam o nastrojach, panujących w świecie robotniczym, — ścierają się tu ze sobą idee kosmopolityczne z patriotycznymi. Góruje, więcej wyznawców ma pierwsza. »My walczyliśmy na śmierć ze złudą Polski, gdyż jest ona pustą plewą, we wnętrzu nie mającą nasienia«. Obraz drugi — w szopie zimowym wieczorem wiejski prelegent opowiada chłopom, robotnikom i garści inteligencji o powstaniu styczniowym. Przemówienie swe ilustruje przeźrocami. Ukazuje się na płótnie wielce powiększony obraz aresztowania »Polonii« Grottgera. Słuchacze, skupieni ramię

w ramię, patrzą w milczeniu. Budzi się w duszy polskość. »W ciągu sekundy trwa zjednoczenie inteligencji, posiadaczy, rzemieślników, chłopów w uniesieniu, które stać się może źródłem odradzającego czynu. Nikt w tem gronie nie mógłby powiedzieć: »Polska — to ja«. Wszyscy — mogliby o sobie powiedzieć: My to Polska. W ciągu krótkiej sekundy trwa ten stan, jakiego w życiu gromadzkim Polski niema wcale«. Tak, tylko w ciągu krótkiej sekundy. Uniesienie, mogące stać się źródłem odradzającego czynu, grzęźnie i ginie szybko w odwiecznej ciemności i nieufności chłopów. W jakimże to celu urządza się odczyty, hę? »Jakiś w tem szwindel, mój panie, musi być. Toby bez szwindla nie obstało. POCO by to robili? Przecie to koszta, zabiegi, starania«.

Obraz trzeci — wielka sala balowa, przestoczona w czarodziejski pałac. Tłumy »dobrej« publiczności. Rażąco — białe gorsy koszul, koafiury, obnażone ramiona kobiece. Perfumy upajające, roziskrzzone oczy, migocące brylanty, lśniące materje, pióra drogich wachlarzów. Szampan. Muzyka, kołyszająca ludzką masę. Radość kipi, jak szampan w kielichu. Na estradzie, z poza szkarłatnej zasłony ukazują się kolejno postacie alegoryczne — Messalina z obrazu Aubry Beardsley'a, dama w stroju z czasów Velasqueza, ułan polski, złoty od żółtych raba-

tów i lampasów. — »Brawo! Oto właśnie! Tego chcieliśmy widzieć! Jakby wyrwany z naszych serc!« — wrzeszczy polskie »patryotyczne« mazgajstwo i łajdactwo. Wreszcie ukazuje się na estradzie — postać żałobnicy. Jedno skrzygło jej strzela wysoko w górę, drugie — potrącone, zwisa i wlecze się po ziemi. To — Rewolucja polska. Po rozbawionej sali przebiega lekki szmer niezadowolenia — nie będą jeszcze jednak ani protestować, ani gwizdać. Bo przecież »rewolucja jest zwalczona więc po co się tu fatygować, zwalczają ją czynniki powołane«. Na estradzie, po usunięciu się tej postaci, ukazuje się skazaniec podług obrazu Goyi *Aquellos Polvos*. Pętlicę stryczka ma na szyi. Czapka pisana z błazeńskim pióropuszem. »Dobrane« towarzystwo, oburzone do żywego takim przypomnieniem, odpowiada głośnym i zgodnym krzykiem: Gdzie jest policja? Co robi policja? Wołać policji! Policja! Policja!...

A oto sprawa druga — biuro rosyjskiej policji tajnej. Ośmnastu agentów polaków, wśród nich zdrajcy w rodzaju Anzelma, co z bojownika rewolucji przeistoczył się w kondotjera reakcji. Przerażliwa, okrutna scena badania, a raczej znęcania się nad robotnikiem Osetem, wiernym rewolucji — zatacza się on w kole agentów, wśród których poznaje wczorajszych towarzyszy, biegnąc, padając wciąż

i podskakując cudacznie od ciosów... I krzyk jego — niech żyje Polska!...

Gdzież jest wyjście z tego polskiego piekła? Czyż prawdę mówi Anzelm? — »Wiecznie tu będzie kaźń. Wiecznie tu będzie żandarm pluł w ślepie »walecznych« polskich warjatów, i zawždy tu pod szubienicą będzie defilował żołdat moskiewski!... Czyż prawdę mówi Anzelm?

Jedyną zdobyczą rewolucji r. 1905 jest wciągnięcie ludu polskiego do walki o niepodległość. »Po powstaniu byliśmy jedynie skatowaną szlachtą, społeczeństwem bez ludu — mówi Czarowic do naczelnika ochrony. Wyście wtedy nam, szlachcie — narodowi — lud mądrze wydarli. Teraz w tej rewolucji, którą pan uważasz za ukończoną i zdławioną, myśmy wam lud nasz ze szponów wyrwali... Wasze tortury obudzą z martwych dusze. Wasza szubienica pracuje dla niepodległej Polski«...

Jedyną zdobycz rewolucji — to — jak powiada Feldman — »widmo bezsilne chłopca obudzonego przez bezsilnego marzyciela inspiratora« — Widmo wiodące »za gwiazdą niewygasłą, Polską wolną, ale szlakiem... cudu«. Wiara w cud. Cud uratuje Polskę. Ale czyż wiara taka nie jest wyrazem ostatecznej bezgranicznej już rozpacz?

Na tejże glebie rozpacz i beznadziei wyrosły „Dzieje Grzechu“. Jesteśmy tu świadkami

całkowitego pogromu idealizmu i człowieczeństwa. Bohaterka powieści Ewa Pobratyńska wskutek nieszczęśliwego konfliktu miłosnego, przechodzi najbardziej fantastyczne koleje losu: ucieka z domu rodziców do ukochanego nad życie człowieka, a opuszczona przez niego, pełni dzieciobójstwo i morderstwo, tuła się po świecie szerokim i wreszcie stacza się w otchłań upadku moralnego. W chwili, gdy zawieramy z nią znajomość, wraca z kościoła po odbytej spowiedzi, pełna wzniosłych, szlachetnych i czystych myśli. Żegnamy ją, jako sprzedajną, uliczną dziewczynę, kochankę bandytów, urządzających napad na Łukasza Niepołomskiego, człowieka, dla którego porzuciła dom rodzinny. Nieszczęścia słabej kobiety, borykającej się z ciężkim losem, nie oświetla tu żaden promyczek otuchy i nadziei. Nastrój porewolucyjny wycisnął na utworze silne piętno.

Klęskę ponosi tu nie tylko Ewa. Ginie wszystko, co ma w sobie choćby odrobinę piękna i szlachetności. Zło triumfuje. Szlachetny marzyciel Bodzanta, poświęcający cały swój majątek i większą część życia na to, aby »wyzwalać w człowieku anioła«, kpi w końcu ze swych cnót i zawiera przymierze z Szatanem.

„*Słowo o Bandosie*“ jest smutną pieśnią o doli wiejskich nędzarzy, których żre robactwo, okrywa brud, osacza ze [wszech stron](http://reim.org.pl) tajemnicza

choroba, żeby — jak się wyraża autor — »pańskie dzieciątko jaśnie świeciło zdrowem ciałkiem i galanto uczesanemi włoskami«. Wyklęczały kolana bandosa »żłobowiny głębokie w kamiennych posadzkach wysokich kościołów, wycalaowały jego usta jakoby nowe rany w Pana Jezusa przebitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojny mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spojrzeć na swój lud, a pięknego poglądać wąsa«.

Od wieków prawieków tak się w ojczyźnie naszej dzieje. I cicho, cicho dźwięczy pytanie:

»Czy też kiedy w dalekiej przyszłości polski bandos dołączy swoją z kamienia wyklęczy? Czy ją wycaluje z Pana Jezusowych nóg, gwoździami przebitych? Czy ją wydepce opuchniętymi nogami z nieskończonych kolein drogi między swoją czarną chatą, a dalekim, przennym krajem?... Kiedyż żeńcy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostalemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy szumiącej nie mój, ani twój, ale nasz ojczysty!...

Cóż czynić tedy? — Czekać i patrzeć w dalszym ciągu? O, nie! Żeromski niejednokrotnie wskazywał szlachcie polskiej na konieczność zstąpienia w lud i stania się ludem. Trzeba — pisał — odpasać złotolity pas, trzeba zrzucić z ramion kontusz czerwony. Trzeba dobrowolnie się wywłaszczyć, znieść nędzę

parobków, podźwignąć aż do »chrześcijańskiego współnictwa we wszelkim dobru robotników rolnych«. Bo jak to już przed pół wiekiem z górą groził Mickiewicz w swych »Księgach Pielgrzymstwa« — kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie.

Widział jednak Żeromski na oczy własne, jak szlachta lubelska w r. 1905 przeprowadziła energiczną kontrakcję przeciw strejkowi rolnemu. Przy pomocy żandarmów i kozaków odniosła »świetne« zwycięstwo — nie dopuściła do podwyższenia płacy o parę marnych rubli na rok.

»Głęboki rozum panów wszystko w tem dziele »narodowem« przewidział. Wrócił się parobek złamany do ich kolan. Padł do nóg pańskich. Znowu musiał przyszwę buta ucałować. Jęcząc błagał, żeby go znowu na dawnym prawie do kieratu wziąć za płacę, jaką dać raczy dłoń pańska«.

I w konsekwencji niesie bandos »na barach schylonych głuchą, okrutną, ciemną swą zemstę. W duszy dźwiga niewypowiedziany ciężar sprawy przegranej, kamień żarnowy«.

»W głuchej nocy swego tułactwa po dalekości dróg, na skutek bezrozumnej zemsty dźwignął bandos kamień żarnowy, przytłaczający serce. Szaloną z rozpaczy dłonią, ze straszliwie skutecznem przekleństwem cisnął go na środku

drogi. I potknęło się o kamień ten Szczęście Polskie, Ojczyzna nasza«.

»Słowo o bandosie« — to jednocześnie porewolucyjny rachunek sumienia.

»A u końca tych dwu nadzwyczajnyck lat — cóżmy o sobie powiedzieć możemy? Cóżśmy uczynili z użyczenia losu? Cośmy podłego zwyciężyli w sobie, wytępili nikczemnego, cośmy stworzyli na nowo z nicości? Jakiż jest znak woli naszego ducha?

»W ciągu tych dwu lat nadzwyczajnych można było przekonać lud, że nasza myśl, nasze marzenie, nasz sen o przyszłej ojczyźnie jest jego dobrem. Można było wymową wszystkich ust przekonać lud, żeby on swoją dolę wziął z naszych rąk w swe ręce. Można go było zakląć żeby świętą koronę z cierni, zeschłej krwi i bezcennych wersetów po naszymu uczcił i po swojemu do piersi przytulił«...

Można byłoby pokryć kraj siecią stowarzyszeń spółdzielczych, kółek rolniczych, szkół i ochron. »Można było rzucić w tę pracę wszystkim entuzjazm i wszystkim polski majątek aż do ostatniego szeląga«. — Ale my — przecie — jak wiadomo jesteśmy »ubodzy«. Nas »nie stać«. »Naród nasz nie chciał przewyciężenia samego siebie, przełamania swojej niewoli, która leży wprawdzie i na zewnątrz, lecz nadewszystko leży w duszach«.

<http://rcin.org.pl>

I oto — martwym odłogiem leży ziemia nasza.

Wspaniałym hymnem na cześć młodości zakończone jest »Słowo o Bandosie«.

»Młodości! Wszystkiego Dziedzicu! O pokolenie, przyszłą wiosnę niosące!

...Zakuj się w żelazną zbroję woli, o młoda duszo! Pokonaj wszystkie hasła, mamidła i etykiety, kołyskę twoją otaczające«...

»Bezprzykładna hańba naszego wieku jest hańbą każdej jednostki. W tej zbiorowości musi się narodzić genjusz polskiej natury. Z twoich zastępów musi wyjść człowiek nasz, w jednej osobie Żółkiewski i Mickiewicz, od którego czynów i słowa rozradują się popioły, zadrży lud, jak długi i szeroki — westchnie świat ku swemu Bogu... Niech się ocknie i pokaże do bosz nowej Pracy i nowej Sprawy. Niech oczy nasze z tęsknoty zgorzałe zobaczą jego natchnione oblicze... Nie chcemy, o nadchodząca dzielności, zająknąć się od narzucenia ci naszej woli, — ani ci schlebiać. Tylko serca nasze drżą do tej wiary, że ty się nisko schylisz do czarnych stóp cierpiącego w ojczyźnie człowieka. On cię pasować będzie na swego rycerza...

Powieść p. t. „*Uroda Życia*“ wiąże się pod względem ideowym do pewnego stopnia z »Różą«. I tu bowiem i tam jedyne zbawienie ojczyzny widzi pisarz w realnej sile. Cudowny

wynalazek Dana jest takim samym symbolem, co i aeroplan Piotra Rozłuckiego. Pod tym właśnie względem wiążą się te utwory ze sobą. Jakżeż jednak wielkie różnice w ich nastroju! Z każdej karty »Róży« wyziera rozpacz, z «Urody życia» leje się w serca nasze wiara i radość. Powieść tę napisał Żeromski w Paryżu, w r. 1911, a więc tuż przed wybuchem wojny światowej, w otoczeniu ludzi, myślących o ponownem zbrojnym wystąpieniu przeciw Rosji, jak o konieczności nieuniknionej, ba — nawet radosnej. Przed tem, jak wiemy, spędził dłuższy czas w otoczeniu Piłsudskiego i jego sztabu, pracującego nad powołaniem do życia wojska narodowego. Hart ducha, wiara, zapał i entuzjazm tych ludzi wpłynął kojąco na zmiażdżoną duszę pisarza i siłą tego faktu odbił się radosnem echem w powstałej w tym czasie »Urodzie Życia«.

Bohaterem tej powieści jest oficer rosyjski Piotr Rozłucki, syn znanego już nam Jana, tego, co to ukochał Polskę po soidacku, na śmierć, zębami i pazurami i został za to rozstrzelany przez stryja. Ostatnie życzenie jego, aby »sześćioletni synek Piotr wychowany był, jako polak«, nie zostało spełnione.

Piotra poznajemy, jako młodego i dzielnego oficera rosyjskiego. Zdawałoby się — niema w nim już ani śladu polskości. Na egzaminie

końcowym w szkole junkierskiej opowiada o zdobyciu Warszawy przez Suworowa głosem, drżącym od triumfu. Wspomnienia o rozstrzelanym ojcu nie dopuszcza do siebie, gdyż uważa je za »zmazę hańby«. Los jednak zrządził, że przydzielono go do jednego z garnizonów Królestwa. I oto — bita do niedawna i poniewierana polskość podejmuje ofensywę na duszę oficera,¹⁾ — wciska się do niej, osacza ze wszystkich stron, walczy zaciekle z pierwiastkami rosyjskimi i wreszcie odnosi zwycięstwo. Dusza Piotra odradza się.

W noc księżycową odkopie on mogiłę ojca — powstańca, o którym zapomnieli wszyscy, o którym «zagasta pamięć ludzka, pamięć ojczysta, pamięć braterska, pamięć synowska». Odkopie ją, przypadnie do kości ustami, będzie głaskał po tysiąc razy miejsca złamań, gdzie były śmiertelne dziury od moskiewskich kul.

I poczuje w sobie moc duszy, — »ziemię i niebiosa ogarniającą», i wyciągnie potężne ręce ku »pracy swej bezgranicznej«.

Pójdzie. Zerwie z dotychczasowem swem otoczeniem, poświęci karierę wojskową i stokroć droższą od kariery — miłość do Tani. »Ja nie chcę dla ciebie zabić swej duszy«, — powie do niej.

¹⁾ Por.: Wł. Jampolski — „Stefan Żeromski. Duchowy wódz pokolenia“, str. 58.

A oto — jego przysięga:

»Każda jednostka może być potęgą, jeśli się schyli, zarzuci wolę na ramię, rozmnoży swą duszę i siłę. Do pracy istniejącej, biernej, dołączamy pracę nową, któraby z Polski uczyniła Anglję. Przysięgnijmy tutaj, że pomnożymy do najwyższej granicy moc polskiego ducha. Trzeba nauczyć ich (polaków) dyscypliny ducha, przemienić wszystkich w żołnierzy, których oczy i uszy powinny być otwarte, a usta milczeć.. Trzeba nauczyć ich trzymać się prostej linii w szeregu. Niech raz wiedzą, że bez pozwolenia władzy z ducha, bez rozkazu z urzędu najwyższej myśli nie wolno nic, nie wolno nawet za ojczyznę i lud umierać. Niech będzie dla nas, jak dla starych spiskowców przed trzydziestym rokiem hasło: »Nic« i »Wszystko«. — „*Nic*“, które jest dzisiaj i „*Wszystko*“, które w naszych rękach będzie jutro!“

I na rzeczywistość polską spojrział Żeromski w »Urodzie Życia« innemi oczyma, niż w «Róży«, będącej, jak wiemy już, nicowaniem społeczeństwa porewolucyjnego »z wierzchu, od spodu, nawskroś i w głąb«, w słowach, pełnych niechęci, smutku i rozpaczy. Pracują już szlachetni optymiści i entuzjaści lub też ludzie spokojni, roztropni, jaśni, — młodzież uczy lud wiejski, inni zakładają kooperatywy, a zbuntowany przeciw kościołowi katolickiemu ex-

ksiądz Wolski podtrzymuje ducha wśród unitów, — ludzi, kryjących się ze swą modlitwą w lesie. »Pobita jest Polska — mówi ks. Wolski — zestrzelana kulami, przekłuta, ciało jej ocieka dzień dnia i noc w noc żywą krwią, a oto «rusini»... idą nie tam, gdzie szczodremi garściami sypią dobro i dają słodycz, lecz w tę stronę, gdzie krew męczeńska niesławnie wsiąka w szczyry piasek»...

Jakżeż głęboka wiara w moc i siłę kultury polskiej płynie z tych słów...¹⁾

Nastrój, zbliżony wielce do panującego w »Urodzie Życia« wypełnia także i „*Wierną Rzekę*“, mimo, że treść jej osnuta jest na tle powstania styczniowego. Bohaterem jej jest młody powstaniec książę Józef Odrowąż, — wielka, gorąca miłość do kraju ojczystego wy-

¹⁾ P. Wł. Jampolski pisze: „Uroda Życia“ jest pod wielu względami antytezą poprzednich powieści, ujęciem tych samych problematów z wręcz przeciwnego punktu wyjścia... A rzeczą jest wysoce charakterystyczną, że ofensywę, i to zwycięską, zabiorczą, coraz to dalej przesuującą swą metę — podjęła ta dotąd dezorganizowana, poniewierana, bita polskość. Dusza polska zmęźniała, zahartowała się. Od wroga potrafi nauczyć się siły. Zabiorczą stała się cała polskość: kraj-obraz, mowa, literatura, powietrze, ludzie... Społeczeństwo polskie nie jest już zdeorganizowane. Nie „rozdziobią nas już kruki, wrony“... Pomnożyły się środowiska oporu. Dzieje się to po roku 1905. Młode, uspołecznione pokolenie adwokatów broni „politycznych“. Książę — choćby zasuspendowany — prowadzi robotę między unitami. Studenci i studentki uczą dzieci fornalskie. Bezmian, były więzień sachaliński, prowadzi kooperatywy. Szlachcic wiejski Rozłucki, syn Generała, współżyje z chłopami“...

gnała go z domu rodzicielskiego na wojnę — «na nieznaną światu walkę na śmierć, która się z polskiej wywinęła nędzy». Ciężko ranny w bitwie pod Małagoszczem, schronił się w pobliskim dworze, który wskutek działań wojennych, przemarszów wojsk powstańczych i rosyjskich przedstawia zupełną ruinę. Przebywa w nim młoda panienska Salomea Brynicka i stary kucharz Szczepan. Ojciec panienski od kilku miesięcy przebywał w lesie, walcząc z moskalami, wuj jej — pan Rudecki siedzi w więzieniu moskiewskim za sprzyjanie powstańcom, trzech jego synów walczy w partji...

W takim to — zrujnowanym i opuszczonym prawie przez wszystkich dworze, znalazł dla siebie schronienie książę Józef Odrowąż. Dzielna panienska pielęgnuje go z narażeniem własnego życia i wolności. W ustawicznym niepokoju i trosce, w ciągłej trwodze o życie rannego i całość dworu mijały dni i tygodnie: w pobliżu sroży się krwawa wojna, okolica przepelniona wojskiem, — często, prawie co nocy, zagląдают do dworu nieproszeni goście — moskale. Rannego trzeba chować przed nimi, — ciągle nad tem czuwać, gdyż wykrycie jego obecności pociągnąłby musiało następstwa jak najgorsze.

Między młodymi ludźmi wywiązuje się miłość głęboka i gorąca. Płyną więc dni, pełne

nazw pieśczożliwych, pocałunków ognistych, pieśczoćo nigdy nienasyconych.

Szczeńście ich przerywa nagle przyjazd matki — księżnej Odrowążowej. Drży ona o swego jedynaka, pragnie za wszelką ceną wywieźć go jak najdalej od tych »strasznych pól i lasów«. Wywozi go też podstępnie, a pannie Salomei z bezwzględnyń okrucieństwem próbuje wyper-swadować jakiegokolwiek do niego pretensje i legalny z nim związek, gdyż — jak się wyraża —towarzysko nie stają oboje ze sobą na równi, Dumna arystokratka nie może się pogodzić z myślą, że syn jej jedynak ożeni się z prostą szlachcianką. Na odjezdnyń wciska w ręce pannenki sakiewkę pełną złota, spłacając w ten sposób jej poświęcenie się i miłość.

Księżę Józef odjeżdża z myślą o rychłym powrocie. Jest bowiem pełen entuzjazmu i wiary w świętą sprawę, pragnie ponownie stanąć w szeregu, słuchać rozkazu, bić się. W dodatku kocha gorąco Salomeę. Oddział powstańczy, do którego należał, został w międzyczasie rozbity doszczętnie. Nie wiedział, gdzie miał szukać jakiej partji. Godzi się na wyjazd z matką do Krakowa, bo spodziewa się tam znaleźć emisariuszy powstańczyń i zasięgnąć języka. Nie wiedział jednak, że matka planowała wyjazd do Włoch.

Po wyjeździe jego ogarnęła Salomeę rozpacz nieopisana. Wybiegłszy na brzeg rzeki, wydostała z kieszeni sakiewkę księżnej i cisnęła ją w pędzącą wodę. Wierna rzeka przyjmuje i pochłania jej hańbę. »Plusnęła na znak«. Ukryła w głębi swej księżące złoto — tak samo, jak torbę z papierami, powierzoną jej przez komisarza Rządu Narodowego Huberta Olbromskiego. Plusnęła na znak. Ona jedna zrozumiała męczarnie panińskiego serca.

Oprócz znanych już nam osób przesuwają się przed nami kilka postaci bohaterskich, — więc ojciec panny Salomei Antoni Brynicki, żołnierz z czasów powstania listopadowego, wierny sprawie narodowej do ostatniego tchu; bohaterski komisarz Rządu Narodowego, Hubert Olbromski, syn Rafała z »Popiołów«, w którego postaci zogniskował autor heroizm powstania styczniowego, pozatem długi szereg postaci pomniejszych, jakżeż jednak żywych i prawdziwych, a więc państwo Rudeccy, kucharz Szczepan, lekarz prowincjonalny, oficer rosyjski Wieśnicyn i w. in.

Przyzwyczajaliśmy się w każdej powieści Żeromskiego szukać wskazań dla narodu. Jakież wskazania zawiera »Wierna Rzeka«?

Odpowiedzi na postawione pytanie szukać należy w słowach, w jakich komisarz Olbromski uzasadnia pannie Salomei rację bytu powstania.

— »Polskie plemię popadło między dwa koła zagłady, — między Niemców i Moskwę. Musi się stać samo młyńskim kanieniem, albo będzie zmielone na pokarm Niemcom i Moskwie. Niema wyboru. Zbyteczne jest wszelkie o tem słowo«...

W ogniu cierpień i znojów bitewnych zahartować się, zmęźnieć, w stal się obrócić musi dusza polska. Wskazanie, rzucone narodowi w r. 1913, a więc w przededniu i jakby w przeczuciu wielkiej wojny narodów. Zbyteczną byłoby rzeczą uzasadniać jego wartość ideową.

W WOLNEJ POLSCE.

„Wisła“, — „Początek świata pracy“, —
„Organizacja inteligencji zawodowej“, —
„Projekt Akademii Literatury polskiej“, —
„Literatura a życie polskie“, — „Snobizm
i postęp“, — „Wiatr od Morza“, — „Między-
morze“, — „Biała rękawiczka“, — „Ponad
śnieg“, — „Turoń“, — „Uciekła mi prze-
pióreczka“, — „Przedwiosnie“, — „Puszcza
Jodłowa“.

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

Zmartwychwstanie Polski powitał Żeromski hymnem o „*Wiśle*“.

»Bądź pozdrowiona, przenajdroższa ziemia nasza, którą czciliśmy miłością bezdenną, gdyś była pod otchłaniami wód niewoli! Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki wieków świętą! Bądź pozdrowiona w sercu pokolenia, co się jeszcze morduje i cierpi, — oraz w sercu przyszłych, szczęśliwych i radosnych!«...

Otwierają się przed narodem nowe drogi. Wisła — »wykreśla kierunek westchnieniu polskiemu, tęsknej granicy pokazuje cel«. Płynie przez kraj polski, a jej »złote wiślane smugi niosą się daleko w zielonawy przestwór morza, w błękitnawy jego widnokrąg, co z niebiosami nieskończonemi się spaja«. Życiodajna ta struga, unosząca »w siną krainę niewyczerpane swoje wesele« w Polsce odrodzonej »ugnie swawolne nurty pod setkami tysięcy skut i komięg, wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska... Roznoszą się od tysięcy fabryk stare grody Kraków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń, Gdańsk«.

Podjęte znowu zostanie dzieło Kazimierza Wielkiego.

Bo tylko pracy pożąda polski lud. Ma on w swej przeszłości wielkiej »szarże najbardziej zdumiewające, szalone, a owocne« — Kirchholm, Kłuszyn, Wiedeń, Samosierra. Obecnie »w swym przyczajonym ogromie ma on najgłębszą ze wszystkich narodów świata tęsknotę do wielkiej szarży swego ducha«.

»Nie pragnie on nic i nie pożąda niczyjej roli, ani domu, ani siły, ani szczęścia, ani sławy. Pragnie on tylko pracy na swojej własnej roli, szczęścia w swym własnym domu, rozwinięcia swej własnej siły i czci dla swojej sławy. Wyspana i wypoczęta jego moc skupia się teraz i zrasta w jedną jedyną energję wysiłku, którą był w swym lochu nadwiślańskim wysiedział, wyczekał, wytworzył niestrudzonemi myślami, wymarzył i wyjaśnił na bezczynność skazany Walgierz Udały«.

* * *

W „*Urodzie Życia*“ porównał Żeromski los Polski ujarzmionej z nieszczęściem brzozy żyjącej, której pień wygiął się w pałąk wskutek tego, iż jej koronę, nagiętą aż do ziemi, z gałęzmi, pędami i liśćmi przywaliła niezmierna, nieudźwigniona masa jałowej gliny. A oto teraz — szczęśliwe jego <http://reina.org.pl> »cudowny widok,

jak ta nieśmiertelnie żywa korona, wyciągnąwszy gałęzie, pręty i liście z pod zeschniętej i spękanej nawały, uciekła w niebiosy i tam radośnie drży wszystkimi młodem witkami, a żywotwórcze soki jej pędzą ku górze szlaki naturalnymi w wyprostowanym, strzelistym pniu«¹⁾).

Głęboka radość, płynąca ze spełnionych nadziei kilku polskich pokoleń, splatała się jednak z niemniej głęboką troską o przyszłość Ojczyzny. Na szlakach bowiem odrodzonego życia narodowego piętrzyły się nieprzeliczone trudności i przeszkody, czyhały niebezpieczeństwa groźne, śmiertelne. Zwalczyć je, usunąć można tylko przez uchwalenie odpowiednich reform, — pracą zgodną i ofiarną wszystkich.

Świadomość ogromu tej pracy, tudzież — jak się wyraził jeden z publicystów — świadomość przepaści, leżącej między tem, co winno być uczynione a tem, co się faktycznie robi — każe Żeromskiemu przedzierzgnąć się w publicystę. Rzuca więc w świat polski kilka utworów publicystycznych, w których porusza zagadnienia wewnętrzne, najbardziej według niego dla Polski groźne i domagające się szybkiego rozwiązania.

W „*Początku świata pracy*“, który sam nazwał wyciągiem ideowym pism, a w którym my znajdujemy dłuższe ustępy, przerobione

¹⁾ Porównaj: Stefana Żeromskiego — „*Początek świata pracy*“.

z odpowiednich rozdziałów »Dziejów Grzechu« i »Nawracania Judasza« lub przepisane prawie dosłownie z noweli »Dr. Piotr.«, przypomina Żeromski o istnieniu w Polsce proletariatu bezrolnego, wielkiego odłamu wydziedziczonych, — »nie posiadającego określonych zajęć« i chodzącego »wewnątrz kraju z okolic jałowych, kieleckich, radomskich, piotrkowskich« w pszenne kraje lubelskie podczas żniw »na bandos« lub emigrującego do Niemiec, Francji, Belgii na roboty sezonowe. Przypomina Żeromski, że los — krzywda tych nędzarzy przedstawiana była wielokrotnie przez najznakomitszych polskich pisarzy — Reymonta, Prusa, Dygasińskiego, Konopnicką i stwierdza, że wołania te nie pobudziły do skutecznego i zaradczego czynu, przebrzmiały bez echa¹⁾. Kwestja ta jest więc nadal otwartą, a ze względu na krwawą rewolucję w Rosji tudzież na ferment rowolucyjny, jaki w związku z wojną światową objawił się prawie u wszystkich narodów europejskich — staje się dla Polski wielkim i groźnym niebezpieczeństwem. Wielomiljonowa masa bezrolnych nędzarzy jest gruntem, niezwykle podatnym i przyjaznym dla idei komunistycznej.

¹⁾ Ze względów zrozumiałych nie wspomina tu Żeromski o sobie. Kwestji tej poświęcił jak wiemy wiele kart w „Ludziach Bezdomnych“, w „Róży“ — w „Dumie o hetmanie“, w „Nawracaniu Judasza“, w „Dziejach Grzechu“ i „Słowie o Bandosie.“

Uodpornić ją na tę zarazę od Wschodu można jedynie przez stworzenie dla niej lepszych, niż dotychczasowe, warunków życia i pracy. Bo — jak to słusznie zauważył jeden z naszych krytyków¹⁾ — bolszewizm to pożar, który wybucha tam, gdzie zbyt wiele nagromadziło się materiału palnego, gdzie duch narodu nie jest dostatecznie mocnym, by rozwiązać swoje zagadnienie i tem samym stawić czoło duchowej interwencji wroga.

»Czasy nadeszły ciężkie dla posiadaczy, — pisze Żeromski. Nie słuchali niczyjego głosu... Teraz już wyjścia niema. Nie pomogą wybiegi i matactwa reakcji. Nic nie pomoże! Albo sprawa pójdzie krwawym łukiem rewolucji, o której nikt a nikt nic nie wie, dokąd ona zajdzie, — albo, jak to zwykli czynić mistrze w organizowaniu stosunków życia ludzkiego na ziemi, anglicy, — szlakiem cięciwy, zabiegnięcia rewolucji drogi naprzetałaj, drogą mądrej, dobrowolnej, chrześcijańskiej ofiary.«

Według Żeromskiego, — w przypadku pierwszym, w przypadku rewolucji, zniszczone zostaną skarby kultury i sztuki, które są w naszym posiadaniu, lać się będzie krew i rozpasze się chamstwo biednego stratanego człowieka. W przypadku drugim, stałoby się zadość tej

¹⁾ Por.: Wł. Jampolski. — „Stefan Żeromski. Duchowy wódz pokoleńia,“ str. 61.

wysokiej zasadzie najszlachetniejszego z plemienia szlachty:

Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez duchów podnoszenie,
Bo cel światów — szlachetnienie.

Domaga się Żeromski w swym szkicu radykalnej reformy rolnej, żąda konfiskaty ziem t. zw. donacyjnych, dawnych rządowych, kościelnych, klasztornych, wszelkich dominjów, dóbr cesarskich, magnackich, wszelkich ordynacyj i latyfundjów państwowych i kluczów, — konfiskaty — bez żadnego na rzecz poprzednich właścicieli odszkodowania — i oddania ich we władanie ludowi polskiemu, bezrolnemu i małorolnemu, przyczem uważa, że można pozostawić w jednostkowym władaniu dotychczasowych posiadaczy maximum 500 morgów, ale to pod warunkiem, że taki ziemianin gospodarować będzie osobiście, postępowo i wydatnie. Uzyskaną z konfiskaty ziemię proponuje Żeromski podzielić w sposób następujący: jedną trzecią jej część przydzielić włościanom małorolnym, posiadającym nie więcej, jak pięć morgów roli, na pozostałych zaś $\frac{1}{3}$ osadzić proletarjat bezrolny, parobków i wydziedziczeńców, a więc, jak sądzi, około miliona z górą ludzi. Drugą połowę masy proletarjatu bezrolnego, dla któ-

rejby ziemi nie starczyło, proponuje zorganizować w »rezerwową armję wielkich robót narodowych.«

»Gdyby — twierdzi Żeromski — tak, jak tu, w pobieżnym skrócie naszkicowane zostało, przeprowadzono reformę przedewszystkiem agrarną i wszczęto wielkie roboty narodowe, to w istocie nikt w Polsce nie byłby skrzywdzony. Trudno krzywdą magnata nazywać odcięcie mu klucza z kilkunastu lub kilkudziesięciu folwarków, — pozbawienie go pałacu, lub lasu do powołania«. Z wywodami temi zgodzić się musi każdy, kto nie jest w tem osobiście zainteresowany i kto ma serce wrażliwe na nędzę i krzywdę ludzką.

Zasady te głosił Żeromski z całym przekonaniem ich słuszności i z głęboką wiarą w możliwość ich realizacji. Wiedział bowiem, że tyle już »mrzonek«, podawanych do wierzenia przez marzycieli i poetów, ziściło się tak oczywiście i okazało się w praktyce tak realne. Niestety Sejm Ustawodawczy potraktował sprawę inaczej i zaprzepaścił reformę rolną, jak się zdaje, raz na zawsze.

W szkicu swym nie ogranicza się Żeromski do kwestji agrarnej. Maluje bowiem jednocześnie metodę organizowania życia publicznego w Polsce, — metodę, jak twierdzi — najbardziej nowoczesną, najskrajniejszą i najprostszą, a po-

legającą głównie »na wytwarzaniu autonomicznego niezależnego życia różnorodnych związków zawodowych, czysto robotniczych, które winny powoływać do życia główny instytut pracy«. Dzięki temu też, »proletariat, wydyscyplinowany w swych związkach zawodowych, zorganizowany w sobie, zjednoczony, po wessaniu w swój ogrom mocy genjuszu i zaspokojenia wszelkiej mocy arystokracji, niedostępny dla jakichkolwiek ambicyj i potężniejszy ponad wszelką władzę cesarza, weźmie na się rolę wielkiego promotora, rolę wodza i twórcy historii«, — w pierwszym rzędzie wytworzy ludzi wolnych. Nie będzie już rozlewu krwi dla rozlewu krwi. Obyczaje zostaną ulepszone i uzacnione. Wytworzy się nowa moralność, oparta na skali trudu, wyrosła »na pniu pracy i w jej granicach«. Będzie ona antytezą moralności dzisiejszej i »nie do pojęcia przez ludzi starego świata«. Zasadniczą jej cechą będzie dążenie do ocalenia cywilizacji: »Siła entuzjazmu i siła cnoty, zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu«.

Jako na źródło swych poglądów wskazuje Żeromski na pracę George'a Sorela pt. „*Réflexions sur la violence*“, pracę Dufoura p. t. „*Syndycalisme*“ tudzież na olbrzymią — we Francji zwłaszcza, — literaturę agitacyjną. Syndykalizm wyrósł w Europie na tle ruchu przeciw

parlamentarnego i zdąża do wyjarzmienia proletarjatu, uwolnienia go z pod opieki posłów — »białorączek«, którzy — jak to powiada Żeromski, reprezentując w ciałach ustawodawczych świat czarnych rąk, jeżdżą automobilem i pierwszą klasą kolei, zarabiając na dostatnie i wygodne życie jedynie temi fatygami. Zasady syndykalizmu znalazły olbrzymi posłuch wśród proletarjatu francuskiego, angielskiego, włoskiego, hiszpańskiego, a bardzo wydatnie oddziaływały na postępowanie i program niemieckich socjalistów niezależnych. Dlaczegożby więc nie mógłby być przyjęte w wolnej Polsce?

W szkicu p. t. „*Organizacja inteligencji zawodowej*“ dał Żeromski wyraz swym przewidywaniom, jakby mogła być rozwiązana sprawa polskiej inteligencji, która jak to szlusznie wywodzi, — bytowaniem swem przypomina los guwernantki w szlacheckim dworze. Proponuje więc i tutaj stworzenie związków zawodowych, spojonych jednym wspólnym urzędem w sprawne ciało, któreby dbało nie tylko o wynagrodzenie każdego ze swych członków, ale i decydowało m. in. o wysokości tego wynagrodzenia, żądało uprawnionych i uzasadnionych podwyższeń i broniłoby go od wszelkiej krzywdy, z funduszów zaś, gromadzonych ze składek członków, mogłoby tworzyć »wszelkiego rodzaju pomoce materjalnej i duchowej natury«, a więc koope-

ratywy, konsumy, spółki, sanatorium, domy zdrowia, hotele nad morzem, placówki własne na plaży. Inteligencja, zorganizowana w takie związki, mogłaby pozatem sparaliżować »system protekcji nieuzasadnionej, nepotyzm, wyforowywania koczkonów partyjnych na stanowiska kierownicze«, tudzież uniemożliwić »otwieranie kluczem partyjnym wysokich drzwi rządu, przepukstwo dla otrzymania urzędów wyższych, karierowiczostwo, wszelakie nadużycie i niesprawiedliwość w awansie«, albowiem dzięki organizacji wiedzieć będzie dokładnie i »na wskroś wszystko, cokolwiek dzieje się w biurach, pracowniach, na katedrach, przy stolikach i za przepierzeniami istotnej pracy«. Wogóle — inteligencja zorganizowana będzie mogła odegrać w życiu narodowym wybitną rolę; przede wszystkim — będzie w stanie wyłapywać moralnie, — »wychwytywać in effigie, obnażać w swym organie, pokazywać w sposób naukowy, dowodowy, eksperymentalny wszelkie fantostwo i karierowiczostwo, matactwo, i błagę polityków i wszelkich oszustów, żyjących z reprezentacji biedy, zdążających po zgiętych karkach do krzesel władzy«, — będzie mogła wypracować wielkie ideje, według których istotnie »lud fizycznie pracujący« zacznie budowę »gmachu swego szczęścia, ściśle spojenego ze szczęciem Polski«.

Inteligencja zorganizowana, kończy swe wywody Żeromski, — »siostra rodzona pracy fizycznej, może tej drugiej wyjaśnić istotną prawdę, rozwikłać zagmatwane i wrzaskliwie głoszone tezy prowodyrów partyjnych, wskazać istotną drogę, po której kroczyć należy. Ona tylko czynić to będzie bezinteresownie, gdyż nie będzie polowała na mandat, ani nie będzie na głoszeniu zasad zbijiała majątku«...

W trosce swej o organizowanie życia publicznego w odrodzonej Polsce nie zapomniał Żeromski o literaturze i sztuce, których dorobek był, jest i będzie — jak się wyraża — własnością społeczeństwa, zasobem duchowym narodu, pokarmem intelektualnym pokoleń, wciąż narastających skarbem przyszłości, a które mimo to nie doznawały ongi w Polsce i nie doznają dziś jeszcze należnego jej poparcia i opieki. W związku z tem występuje z „*Projektem Akademii Literatury Polskiej*“. Za powołaniem do życia przemawiają według Żeromskiego względy następujące 1) sprawa czystości języka polskiego, 2) sprawa rozszerzenia kultury literackiej na warstwy szerokie inteligencji i ludu wreszcie 3) sprawa instancji i obrony twórczości wolnej.

A skoro już mowa o literaturze — nie wypada pominąć milczeniem krótkiego szkicu, p. t. „*Literatura a życie polskie*“, wygłoszonego

początkowo w r. 1916 w Zakopanem jako odczyt, później zaś umieszczonego w zbiorze prześlicznych, a znanych już nam drobiazgów pod ogólnym tytułem »Sen o szpadzie«.

Szkicowi temu poświęcić musimy trochę więcej uwagi, gdyż poruszone tu przez Żeromskiego zagadnienia wiążą się bardzo ściśle z kwestją jego własnej twórczości.

Jak już z tytułu szkicu domyśleć się można, mówi tutaj Żeromski o zasadniczych cechach literatury ojczystej, omawia jej znaczenie i rolę w życiu narodu oraz przygląda się temu wyjątkowemu stanowisku, jakie wśród literatur świata zająć musiała wskutek anormalnych warunków polskiego bytu politycznego okresu niewoli.

Stara to i prawdopodobnie każdemu dobrze znana sprawa. Ilekroć starano się przekonać nas, że stosunek literatury polskiej do całokształtu zjawisk życiowych — »na tle tego, co zaobserwować możemy współcześnie u narodów innych, ułożył się w sposób swoisty, rzeczby można groźny, a najzupełniej nie wystarczający«. ¹⁾ Ilekroć konstatowano, że »to ość Polaka brała górę nad czystą treścią człowieka, a kwestje formy usunięte zostały w głąb przez zagadnienie bytu narodowego«. ²⁾

¹⁾ Wyrażenie Włodzimierza Jampolskiego.

²⁾ Wyrażenie Wilhelma Feldmana.

Ileż to razy stwierdzano i podkreślano, że świadomość niedoli i nędzy powszechnej, zrodzonej przez bezprzykładny ucisk polityczny, obarczyła polską twórczość estetyczną obowiązkami patriotycznymi i społecznymi, nie mającymi rzekomo bezpośredniego związku z artystem, i popchnęła ją przez to na tory, z punktu widzenia czystego artysty nie zupełnie właściwe i najmniej korzystne. Pisano i mówiono o tem dużo, zwłaszcza na przełomie wieku XIX i XX, — zawsze w nadziei wyłamania sztuki polskiej z klauzuli »krępujących« ją obowiązków. Przypomnijmy sobie działalność już choćby tylko Stanisława Przybyszewskiego, Stanisława Witkiewicza, Zenona Przemyskiego.

Cóż mówi w tej kwestji Żeromski?

»Cała literatura polska — pisze — odkąd się zaczęła jej wysoka artystyczna wartość, — poza owym celem własnym, ażeby z pospolitej mowy urobić i wykształcić twór innego porządku i nieprzemijającej wartości, — ma nadto cel drugi, wyraźnie lub niewidocznie zaznaczony, wysunięty lub cofnięty, a z artystycznym zlewający się w nierozzerwalne i doskonałe jedno. Tym celem jest wypatrywanie i wyszukiwanie w ciemnościach drogi do szczęścia dla ojczystego plemienia. Niema bodaj ani jednego dzieła wzdłuż drogi pochodzenia literackiego, od chwili naszej politycznej ruiny aż do momentu

obecnego, dzieła, które krytyka literacka, jako wartość szacuje — któreby tej nie posiadało cechy». »Utworów, — pisze trochę dalej — któreby miały na oku cel jedynie artystyczny, dla niego samego podjęty, — któreby miały za dążność swoją podchwytywanie fenomenów ducha ludzkiego, malarstwa cnót i grzechów, namiętności, szaleństw, okrucieństw, walk wewnętrznych, upadków i obłądów — u nas prawie niema«.

Pogląd to niezupełnie słuszny. Prof. Tadeusz Pini,¹⁾ a wślad za nim i wielu innych, zaprzeczył takiemu założeniu i wskazał na »Uczę Herodjady«, — »Ginącemu Światu« — »Chłopów«, — »Pomór«, — »Drzewiej«, — »Na skalnem Podhalu«, — »Legendę Tatr«, — »Ucieczkę«, — »Próchno«, — »Jaskółkę«, — »Marię Magdalene«, — »Sobola i pannie«, — »Odwieczną baśń«, — »Judasza z Karjotu«, — »Igrzysko« i wiele in., jako na utwory, nie mające żadnej pretensji do wypatrywania i wyszukiwania w ciemnościach drogi do szczęścia. Co więcej — pisze Pini — nie mieli z pewnością takich zamiarów najgłośniejsi nasi pisarze współcześni w żadnej epoce swej twórczości, ani Kasprowicz, ani Staff, ani Reymont,

¹⁾ W broszurze swej p. t. *„O przysze drogi literatury polskiej — Polemika ze Stefanem Żeromskim.“* Lwów, 1916. Str. 7—8.

Orkan, Berent, Daniłowski, Żuławski, Przybyszewski, Weyssenhoff, ani obaj Tetmajerowie, ani nawet Sieroszewski, który wytyczne takie ma jasno sformułowane w głowie i stosuje do nich całe swe życie, ale nigdy ich nie wyraża w dziełach. Jeden tylko z naszych pisarzy mógłby słusznie zastosować do siebie ową wielką miarę — jeden tylko Stefan Żeromski. I niewątpliwie jest w tych poglądach wiele, bardzo wiele podkładu osobistego, a są też zapewne takie same złudzenia, jak te, którym ulegał Słowacki, kiedy wołał:

»Ciągle powiadam, że kraj się już pali
I na świadectwo ciskam ognia zdroje,
A to się pali tylko serce moje«...

Prawda, przyznać musimy, że utwory w rodzaju tych, jakie wymieniliśmy wślad za profesorem Pinim w literaturze polskiej pozostają w wyrażnej mniejszości. Olbrzymia ich większość jest istotnie, jak to określa Żeromski — jawnie lub skrycie dydaktyczną, przesiąkniętą na wskroś troską o byt polityczny. Zgodzić się możemy z Żeromskim, gdy twierdzi, że »nawet powieści historyczne pisano u nas dla »pokrzepienia serc«, popadających w abnegację i zwątpienie o wszystkim pod ciężarem beznadziei, stworzonej przez wiecznie jednaki ucisk«. Tak było istotnie, nie we wszystkich jednak wypadkach.

Do zrobienia takich samych zastrzeżeń, zmusza nas Żeromski, gdy stwierdza, że »powieść w Polsce podnieca do walki lub przed nią ostrzega, maluje przepastne wiry, w które za- paść się mogą «ludzie bezdomni» i »ludzie podziemni«, opiekują się przemysłem wielkim i małym. Albo uczy strajkować, zwalcza emigrację albo buduje placówki obronne, — szerzy antysemityzm, budzi ducha wśród arystokracji, czy wśród ludu, — wskrzesza kult oręża lub kult organicznej pracy, zatapia się wreszcie w różne tajemnicze lochy, poszukując mniemanych źródeł duszy polskiej, której w tych lochach znaleźć niesposób«. Krótko mówiąc, w olbrzymiej większości utworów literatury polskiej pierwiastek patriotyczny góruje, a nawet usuwa na bok wszystkie inne. Polska, dla Polski, o Polsce...

Ależ tak być musiało, nie mogło być inaczej. Tak było zawsze i nie tylko w Polsce, lecz we wszystkich krajach, którym przypadł w udziale los identyczny, lub zbliżony do polskiego, »wszędzie, gdzie — jak to pisze prof. Pini — naród rozporządzał jeszcze wartościami idealnymi, gdzie upodlenie nie zabiło jeszcze zupełnie jego duszy; z tej duszy wypadała wówczas jakaś iskierka, tliła się czas pewien we wrażliwem sercu poety, a potem wybuchała ogniem, który tak samo oświecał cele, drogi

i ideały narodowe, że stawały się bliskimi i drogiemi wszystkim, a ów ogień był odtąd drogowskazem przyszłości. Te wzloty poetyckiego uczucia były po największej części tylko podniesionym do potęgi wyrazem tego, co naród czasem napoły nieświadomie, kochał, czcił, w co wierzył i czego pragnął, — bywało jednak że poeta sam stwarzał niesformułowane dotychczas ideały i narzucał je swemu narodowi, stając się równocześnie twórcą nowych haseł i ich krzewicielem. Ale — powtarzam — wszędzie tam, gdzie społeczeństwo jakieś zagrożone było w ciemnościach, poezja zmieniała się o godzinie wyroczonej w sztandar narodowy, czy w ów biblijny słup ognisty, który wskazywał drogę naprzód, w przyszłość.«

Słuszność uwag profesora Piniego stwierdzić można na przykładzie wielu narodów. Czemżeż jest — jeśli nie wypatrywaniem i wyszukiwaniem dróg dla ojczyzstego plemienia twórczość Jana Arany'ego, Aleksandra Petöfiego, Jana Garaya, Pawła Gynlay'ego na Węgrzech, — Runeberga w Finlandji, Konstantego Rigasa, Aleksandra Ipsilantisa, Spirydjona Trikupisa we współczesnej Grecji? — Czyż klęska pod Sedanem i jej skutki nie podyktowały Wiktorowi Hugo'wi, Maupassantowi i Alfonsowi Dandet'owi utworów, pełnych patryjotycznego sentymentu? A Hiszpanja, — jak to niedawno pisał u nas

p. Edward Boyé, — czyż nie widzi w swej sztuce jedyne forum swobody, służącego do »pokrzepiania serc« i rozpalania ideałów patriotycznych na ciemnym niebie narodowego życia? Przykłady mnożyć można bez końca. Świat słowiański, — zwłaszcza Czesi, Serbowie, Bułgarowie, którym wypadł los, ani trochę nie lepszy od naszego, zawdzięcza swą odporność i jednolitość w pierwszym rzędzie swojej sztuce, pełnej, jak i polska, podnieć do walki o prawa narodowe.

Wszędzie więc, jak widzimy, powtarza się ta sama historia. Dlaczego? Bo sztuka, a więc i literatura, jest bezpośrednim wykwitem życia. Poeta tworzywo artystyczne brać może tylko z życia, z najbliższego otoczenia. Myśl tę wyraził Feldman za pomocą pięknego porównania — »jak rzeźbiarz rozbija martwy nieforemny kamień, aby wydobyć uśpiony w wyobraźni swojej ideał piękna czy charakteru, tak inni artyści z chaosu nieforemnych dźwięków, widoków, scen życiowych, tendencji rozwojowych, biorą materiał, aby nadać formę uszom własnej duszy«. Wbrew wierzeniom i twierdzeniom Stanisława Przybyszewskiego¹⁾ nie jest sztuka absolutem i celem sama w sobie, nie jest »panią«, ani tembardziej źródłem, z którego życie się wyło-

¹⁾ Por. — Stanisława Przybyszewskiego »Confiteor«, ogłoszony w r. 1899.

niło. Przeciwnie — z życia, jako ze źródła jedyne go wypływa. Poruszanie tych zagadnień jest powtarzaniem aksjomatów. Ktoś, kiedyś, — zdaje się Z. Kleszczyński — napisał, że jeśli chodzi o sztukę z przed dziesiątków wieków — starogrecką, naprzykład, czy egipską, to jest ona zrozumiała jedynie dla tych, którzy znają historję odnośnych krajów, ich ducha, ich ideję i życie. Czyż prawda ta nie rozstrzyga w sposób kategoryczny poruszonego przez nas zagadnienia?

Obecnie, gdy wniknęliśmy już w istotę sztuki, twierdzić możemy śmiało i stanowczo, że literatura polska nie mogła być inną, że musiała być »jawnie« lub »skrycie« dydaktyczną. Reprezentuje ona bowiem kraj, gdzie do niedawna jeszcze urzędowe szerzenie oświaty szło w parze z dążeniem do zabicia odwiecznej jego kultury, do wyplenienia jej najdrobniejszych nawet przejawów, gdzie kierownicy polityczni państw zaborczych, troszcząc się o rozwój ich ojczystego przemysłu i handlu, zabijali wytwórczość polską, stwarzając w ten sposób niesłychanie ciężkie warunki ekonomiczne, gdzie wreszcie za najniewinniejsze nawet próby walki z najazdem i jego destrukcyjną działalnością, karano długoletnim więzieniem, a częstokroć i śmiercią na szubienicy, — reprezentuje naród, w którego duszy ból, cierpienie i rozpacz, troski i obawy, wiara, nadzieje i zwątpienia,

związane z tragedją polityczną, zajęły stanowisko dominujące. Oto — z czego czerpać miał tworzywo artystyczne poeta polski. Dodać należy, że w duszy narodowej nie brakło miejsca i na inne uczucia i myśli. Nie były jej obce, naprzykład, zagadnienia Boga, religji, nieśmiertelności duszy, stosunku myśli ludzkiej do wszechświata i wiele innych kwestyj, które według słów Żeromskiego dręczą duszę współczesnego człowieka. Zagadnienia te jednak odsunięte zostały w tył, pozostawały na dalszym planie i wskutek tego w literaturze znalazły odbicie znacznie słabsze. Zastrzec się muszę, że myślę tu przedewszystkiem o ilości, a nie o jakości. »Ginącemu Światu«, — »Drzewiej«, — czy »Na skalnem Podhalu« są dziełami znacznie większemi od niejednego z utworów, wyrosłych z troski o przyszłość narodu.

Sprawa jest już, zdaje się, dostatecznie wyświetlona i nie wymaga dalszego uzasadnienia. Spójrzmy jednak na nią raz jeszcze, ale już przez pryzmat etyki ogólnoludzkiej.

W tym celu zajrzyjmy do skarbnicy, otrzymanej w spadku po jednym z najgenialniejszych pisarzy świata, który, nawiasowo mówiąc — u nas w Polsce nie jest znany prawie zupełnie lub w najlepszym razie mylnie pojmowany, fałszywie komentowany, przeklinany, potępiany i zakazywany, — niestety! w większości wy-

padków przez ludzi, którym »snobizm wyrzekaniowy«, — jakby to określił Żeromski, — nie pozwala dojrzeć w księgach jego nieocenionych brylantów uczucia, nieporównanych djamentów myśli.

Mówię o Teodorze Dostojewskim. W szeregu jego artykułów, poświęconych zagadnieniom estetycznym, moglibyśmy znaleźć niejedną ciekawą i głęboką odpowiedź na obchodzące nas obecnie pytania. Tam również znajdziemy kilka przykładów nadzwyczaj charakterystycznych i wymownych, ujmujących kwestję w sposób niezwykle oryginalny i dowcipny.

Ze względu na rozmiary artykułu nie mogę, niestety, przetłumaczyć go tu w całości. Z konieczności ograniczyć się muszę do streszczenia. Pozatem ze względów zrozumiałych poczynić muszę pewne modyfikacje.

A więc przypuśćmy, że niezależnie od swej woli, znaleźliśmy się nagle na ulicach jakiegoś japońskiego miasta, które nocy ubiegłej przeżyło straszną katastrofę trzęsienia ziemi. Połowa mieszkańców zginęła, budynki zniknęły pod ziemią lub rozsypały się w gruzy. Szkody olbrzymie. Wśród mieszkańców, pozostałych przy życiu, niema ani jednego, któryby nie odczuł dotkliwie strasznej katastrofy. Każdy ucierpiał, ten — stracił majątek, inny znowu — rodzinę. To też wszyscy pełni rozpacz i przerażenia, bie-

gają po ulicach. Przypuśćmy również, że w tem mieście mieszka jakiś znany i głośny poeta japoński. W parę godzin po katastrofie ukazuje się w ocalałych kioskach najświeższy numer japońskich »Wiadomości Literackich«. Rzecz jasna — egzemplarze czasopisma, ukazującego się w takiej chwili, budzą ogólne i wielkie zainteresowanie. Mimo, że w takich chwilach nie myślą ludzie o sztuce i pięknie, setki egzemplarzy rozchwytano w jednej chwili. Wszyscy bowiem przekonani są, że tygodnik wydany został w celu poinformowania nieszczęśliwców o rozmiarach i skutkach katastrofy, że przynosi jakieś wiadomości o rannych, zaginionych, zmarłych. I nagle... Na pierwszej stronie, na miejscu najbardziej widocznem, umieszczono taki, npk. wiersz japońskiego poety:

Jeden wiatr w polu wiał
 Drugi wiatr w sadzie grał,
 Cichuteńko,
 Leciuteńko —
 Liście pieścił
 I szeleścił,
 Mdlął...

Mało tego! Tuż pod tym wierszem umieszczono długi, czteroszpaltowy artykuł, w którym tenże poeta (mówię i podkreślam — *przypuśćmy*) doszukuje się piękności, ukrytych

w poemacie p. t. »Nuż w bżuchu« i jednocześnie uzasadnia szeroko konieczność wprowadzenia najnowszej pisowni.

Znamy się jako tako na psychologii i zdaje się nam, że tego rodzaju utwór w takich warunkach nie mógł wywołać nic prócz najszczerzego oburzenia i gniewu. Ludność zrujnowanego miasta wpada do redakcji »Wiadomości« (musiała ocaleć, skoro numer swego pisma wydała), — wyciąga stamtąd Bogu ducha winnego poetę i w krótkiej drodze skazuje go na karę śmierci. Wyrok zostaje wykonany natychmiast, w obecności i ku zupełnemu zadowoleniu nieprzeliczonego tłumu.

Poeta ginie śmiercią haniebną nie dlatego, że napisał taki śliczny wiersz. Nie. Skazano go zato, że pisał o graniu i rozkosznym mdleniu w chwili, kiedy przerażona ludność odchodziła od zmysłów, za to, że mówił o leciuteńkiem i cichuteńkiem pieszczaniu liści w czasie, gdy drżała i rozstępywała się ziemia, gdy rozlegały się grzmoty podziemne, biły pioruny, a najpiękniejsze budynki znikwały bez śladu, lub rozsypywały się w gruzy. Przerażona ludność zapomniała o sztuce i pięknie. Mistrzowskie skojarzenia precudnych słów, raczej kwiatów, niż słów, w normalnych warunkach wzbudziłoby mogło powszechny zachwyty i uwielbienie, w chwili krytycznej uważane mogło być jedynie

za prowokację. A jednak... po 20 — 30 latach byćbyśmy mogli świadkami triumfu sztuki. Ci sami japończycy, którzy skazali poetę na śmierć, po dwudziestu latach, ochłonawszy z cierpienia, dopatrzą się być może nadzwyczajnych piękności w tym wierszu i na jednym z placów swego miasta, na jednym z najwspanialszych placów — wystawią poecie pomnik. Nie tylko za to, że zginął śmiercią tragiczną, lecz także — i to w głównej mierze — za to, że obdarzył naród takim arcydziełem. Po 20-30 latach, być może. Narazie jednak stwierdzić możemy haniebną śmierć. Poeta zginął, bo zachował się niewłaściwie, bo w chwili najmniej stosowniej śpiewał o rzeczach, nie mających najmniejszego związku z nieszczęściem i cierpieniem ludności, bo tańczył nad świeżą mogiłą.

Oto — jeszcze jeden powód, dla którego poeci polscy czerpali natchnienie z nędzy narodowego życia. Byli zawsze z nami, nie opuszczali nas, nie żalowali róż, gdy płonęły lasy. Współżyli i współcierpieli w niedoli kraju, wskazywali braciom błądzącym drogi właściwe, dorzucali swe cegiełki, a częstokroć i ogromne bryły marmuru pod tęczę naszych snów o zmartwychwstaniu, wolności i przyszłej potędze. Wierząc święcie w prawdę słów, wypowiedzianych ongi przez Słowackiego, że »ten, co się pali sam, żar zapalony ciska na serca innych«,

stali wiernie i wytrwale pod sztandarem, na którym wypisano hasło — Wszystko dla Polski, — uczyniwszy z jej świętego »nazwiska, pacierz, co płacze, i piorun, co błyska«. Sztuka polska — to przedewszystkiem chleb duchowy dla pokoleń, wyrosłych w niewoli, to zbroja słoneczna, tarcza niezawodna, talizman, co w ogromnej mierze ułatwił nam walkę z przemocą, dążącą do naszej zagłady.

Słusznie też podnosi w swym szkicu Żeromski, że gdyby za czasów porozbiorowego trwania naszego wymazać i usunąć to, co działała poezja polska i nowoczesna twórczość literacka, nie bylibyśmy już żyjącą i świadomą siebie Rzeczpospolitą, lecz strwożonem »stadem, rozbitem przez wilki«.

Myśl tę nie mniej pięknie wyraził Adam Asnyk:

Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał męczonym usypiać w letargu,
Czemżebyśmy dziś byli, my, nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci...!
I nad przyszłością naszą nocby zaszła głucha
I naród cały został bez serca, bez ducha...

Nie odmawia Żeromski wielkości literaturze polskiej. Według niego, posiadamy niewątpliwie wielkich pisarzy, których pieśni »tylko z pieś-

niami izraelskich proroków mogą być porównane«, a którzy są jednak dla świata »dalecy i obcy niemal tak zupełnie, jak dla europejskiego oka obcą jest twórczość japońska, narodowa i hieratyczna«. Wiele utworów naszej literatury, będących, według określenia Żeromskiego, »wykwitem najgłębszego czucia i najsubtelniejszego artyzmu« pozostaną nazawsze »niezrozumiałymi lub w najlepszym wypadku obojętnymi dla najzyczliwszego i pełnego najlepszej woli Europejczyka».

Dlaczego? Bo — wywodzi pisarz — »nie zostało w Polsce poruszone ani jedno z tych głębokich zagadnień, które dręczą duszę współczesnego człowieka«. Wiemy już, że w danym wypadku niema Żeromski racji. Słuchajmy jednak dalej — «Mówimy — twierdzi — tylko o zawisłościach duszy Polaka. Tak być musiało, inaczej być nie mogło!»

Ależ naturalnie, że inaczej być nie mogło. Zjawisko to obserwujemy zawsze i wszędzie — we wszystkich krajach i u wszystkich narodów. Czyż w Rosji, na przykład, — Tolstoj, który dąży do pogodzenia dwu najsprzeczniejszych uczuć — instynktu życia i strachu śmierci, — i stwarza własny systemat filozoficzny i religijny, — Dostojewski, który podchwytuje fenomeny psychiczne, zastanawia się nad źródłem zła, stwierdza istnienie w duszy ludzkiej «szla-

chetności anielskiej obok wyuzdania potępieńczego«, a w jednej z ostatnich swych powieści nie cofa się nawet przed zuchwałą koncepcją człowieka — boga, — wreszcie Dymitr Mereżkowski — który rozstrzygnąć próbuje kwestję, gdzie szukać należy Chrystusa, a gdzie Antychrysta, pozwala wniknąć nam w ponure dusze fanatyków religijnych, szukających zbawienia wiecznego i ratunku przed apokaliptycznym wrogiem ludzkości w »czerwonej śmierci« na ofiarnych stosach, — czyż pisarze ci nie mówią nam przedewszystkiem o zawistościach duszy współczesnego Rosjanina? To samo powiedzieć można o wielu innych — Turgieniew, Ostrowski, Gorkij, Andrejew... A gdzieindziej w Europie, czy wogóle na świecie? Czyż Hugo, Maupassant, Balzac, France, Daudet, Dickens, Carlyle, Meredith, Chesterton, Strindberg, Ibsen, Hamsun, Boyer, Blasko Ibanez i wielu wielu innych, poruszających w swych utworach kwestje, dręczące dusze współczesnego człowieka, nie mówią nam przedewszystkiem o zawistościach duszy współczesnego Francuza, Anglika, Szweda, Norwega, Hiszpana?

Przyczyn obojętności, z jaką spotykają się utwory literatury polskiej po za granicami kraju szukać należy nie w »niezrozumiałem dla świata sposobie mówienia« naszych pisarzy, lecz przedewszystkiem w stosunkach politycznych. Cy-

towany już przez nas prof. Pini słusznie zwrócił uwagę, że »pojęcia geograficzne i historyczne Rzymu, Alp, Padu, nie są dla Europejczyka bynajmniej równomierne z pojęciami Warszawy, Tatr i Wisły. Jedne zna każde dziecko, o drugich plotą dziwne dziwy nawet ludzie uczeni Zachodu. Trudno znać wszystko, zna się zatem tylko to, co nas bliżej obchodzi, co leży w sferze naszych interesów, — a cóż może — a raczej mógł do niedawna jeszcze — obchodzić zagranicę podbity, nie zaznaczony nawet na mapie politycznej narodek? Jaki zysk finansowy czy moralny może dać mozolne zaznajamianie się z jego geografją, historją, literaturą? Czy nie lepiej czas ten poświęcić np. poznaniu kultury wielkiego, potężnego państwa rosyjskiego, które w handlowych i politycznych stosunkach świata odgrywa tak wielką rolę?«

Nie należy się łudzić jednak, że zmartwychwstanie Polski i ponowne jej ukazanie się na arenie życia międzynarodowego ułatwi czy umożliwi naszej literaturze zdobycie popularności na obczyźnie. Bo — jak wywodzi prof. Pini — literatura nasza stoi pod względem artystycznym zbyt wysoko. »Nasza powieść najnowsza wchłonęła w siebie wiele takich środków artystycznych, które gdzieindziej są prawie wyłącznym przywilejem poezji wierszowanej i sama pewnie dziedzińczy tej poezji (epo-

peję, powieść poetyczną, sielankę) wyrugowała i zastąpiła, stąd wyższa, — często bardzo wysoka — jej miara artystyczna. Czytelnik zaś niemiecki np. żąda od powieści przede wszystkim szybkiej, sensacyjnej akcji w rodzaju »Tunelu«; wszelkie poetyczne opisy i »nastroje« nudzą go tylko i nużą, a do rozważania techniki utworu nie ma najmniejszej ochoty. Dla tego rodzaju czytelników »Chłopi« czy »Popioły«, »Drzewiej« czy »Ludzie bezdomni« nie są bynajmniej pożądaną lekturą, — a cóż dopiero mówić o »Legjonie«, — »Powieści o Walgierzu Udałym« lub »Róży«!

Do czegoż jednak zmierzał Żeromski w swym odczycie? Otóż, stwierdziwszy, że poruszona sprawa t. zn. stosunek literatury polskiej do życia narodowego i odwrotnie — ma cechy «fatalne, szkodliwe zarówno dla sztuki polskiej, jak i dla życia», — woła: »Literatura, mimo wszystko, nie może zastąpić w sposób realny pewnych funkcji socjalno-politycznych, gdyż z jednej strony wiele rzeczy bardzo ważnych kończy się na akcji literackiej t. j. na niczem, a z drugiej literatura rozpanoszyła się, nabrała pewności siebie i jakowegoś cudacznego waloru».

Otóż — zdaniem Żeromskiego — »należałoby zarówno w interesie życia, jak i literatury, dążyć do zmniejszenia wpływu ostatniej, do

pozbawienia jej praw decyzji, w życiu codziennym, do pozostawienia jej własnemu losowi. Natomiast z całą pasją i gwałtownością trzeba by podjąć istotną pracę nad stworzeniem wspólnego narodowego i społecznego rozwoju«.

A więc — jak to konkluduje Matuszewski — niech literatura i sztuka, idzie swoją, a sprawy polityczne, społeczne i życiowe swoją drogą.

Wódz włoskich futurystów Giovanni Papini w okresie walk politycznych, poprzedzających wybory do parlamentu, oświadczył kategorycznie, że zagadnienia polityczne i społeczne nie obchodzą go wcale. Od spraw politycznych — pisał — jest we Włoszech minister spraw zagranicznych, od spraw społecznych — minister spraw wewnętrznych. Ja jestem od spraw literackich i tylko temi się zajmuję. Inne mnie nie obchodzą narazie, lub też obchodzą tylko do pewnego stopnia.

Otóż i Żeromski pragnąłby, aby w wolnej Polsce »sprawy polityczne załatwiał minister spraw zagranicznych, sprawy społeczne — minister spraw wewnętrznych, a z poezją, literaturą i sztuką porali się artyści, poeci i literaci«.

Czy jest to jednak rzeczą możliwą? Wiemy przecież, że sztuka wyłania się z życia, a życie jest mieszaniną m. in. także i zagadnień poli-

tycznych, społecznych, gospodarczych. Najlepszą, najwymowniejszą odpowiedź znajdziemy w twórczości Żeromskiego za lata ostatnie jego życia. »Turoń«, — »Biała rękawiczka«, — »Ponad śnieg«, — »Uciekła mi przepióreczka«, — »Wiatr od Morza«, — »Międzymorze« i najgłośniejsze z tych wszystkich »Przedwiośnie« przeładowane są motywami »społecznikowskimi«; są artystycznym wyrazem nowej rzeczywistości polskiej z jej »polityką«, — »troskami społecznymi«, — »kłopotami zewnętrznymi«.

„*Snobizm i postęp*“ nazwał słusznie jeden z krytyków¹⁾ »nieprzymuszoną gawędą ze współczesnymi«. Wychodzi tu Żeromski ze szczytnego założenia, że »Polska nie dlatego powstała, żeby w niej stara nędza, jak za czasów najeźdźców, nadaremnie krwawe łyż łała. Polska nie dlatego powstała, żeby dygnitarz cywilny czy wojskowy, pędząc w samochodzie, obryzgiwał dziadów i żebraków, wtulonych w każdy kąt, w każde załamane muru w stolicy państwa. Polska nie dlatego powstała, żeby w jej granicach miała swe rozpostarcie burżuazyjna fabryka paskarstw, szwindłów i oszustw. Polska odrodziła się ze krwi i pracy męczenników poto, żeby na miejscu, gdzie stała ciemnica niewoli, rozpostarło się najjaśniejsze pracowisko postępu«.

¹⁾ Juljan Bronowicz „Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek.“

Wychodząc z tego założenia, próbuje Żeromski wyjaśnić społeczeństwu różnicę, istniejącą między rzetelnym postępem a snobizmem, będącym jedynie ślepem, a częstokroć i bezrozumnym naśladownictwem nie koniecznie mądrych i korzystnych ale modnych, uznanych za »najniewątpliwiej doskonałe« przepisów, praw i przesądów. Według niego, jeżeli postęp podobny jest graficznie do linii prostej, to snobizm przypominałby swoim kształtem linię falistą, na płask rozpostartą, błędzącą we wszelkich kierunkach dokoła linii prostej.

Jeśli chodzi o życie polskie, to cechy snobizmu dostrzega Żeromski w modnym, a importowanym do nas z Rosji prądzie literackim, znanym pod nazwą futuryzmu, w bezkrytycznym, ślepem przyjmowaniu przez młodzież bardziej gorącą i wrażliwą haseł, doktryn i metod rewolucyjnych (*raz wraz czytamy w gazetach o przebiegu procesów przeciwko komunistom w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Lublinie, Radomiu«), wreszcie w taniem, a martwem, bo bezprawnem i bezmyślnem wyrzekaniu na wszystko, co się w Polsce dzieje.

Nie ogranicza się jednak Żeromski w swej pracy jedynie do stwierdzenia cech snobizmu w tych dziedzinach polskiego życia. Nie, — bo jednocześnie wskazuje drogi, jakimi kroczyć ma nowa Polska. <http://poinji.org.pl> Później i sztuce polskiej

wskazuje na »oszałamiający« cud wskrzeszenia z martwych Ojczyzny oraz na długi szereg związanych z tym cudem zjawisk i zagadnień, jako na świat niezmierny, — »krajem czarów, obiecaną ziemię dla artystycznej twórczości«, — teatrowi polskiemu mówi o bogactwie legend, podań, klechd, historyj, bajek, gadek i opowieści, przywiązanych do ruin, wzgórz, uroczych miejsc szczególnych, mających w każdej okolicy swe dzieje własne, żyjące zawsze na ustach ludu. »Kto to wie, — woła, może tam również leży »sposób« nieznany nam jeszcze na teatr narodowy, nasz własny. Inteligencja tylko schylić się ma, żeby ów sposób zobaczyć, podnieść, wyświecić i podać ludowi, jak świetny i najzupełniej odpowiadający celowi teatr — przedewszystkiem ludowy«. Ludziom, dotkniętym plagą snobizmu wyrzekaniowego wskazuje na szybkość postępu polskiego, tak bardzo dobrze widocznego i ogromnego, że »uprawnia do najdalej posuniętego optymizmu«. Młodzieży polskiej, bardziej gorącej, łączącej swe marzenia z obrazem Rosji komunistycznej, wpoić usiłuje przekonanie, że »rewolucyjne uczucie polskie, którego dowodów ród nasz złożył tysiące tysięcy w czasach niewoli, musi teraz wejść w miljon prac, zamknąć się w krocich wysiłków, wdroyć i wcielić w nieustanne tworzenie«, bo »dom polski« musi się osiedzić,

wesprzeć na wieki na swych starych podmurowaniach i przyciesiach. Czynnikiem, stojącym u steru państwa raz jeszcze mówi o znaczeniu reformy rolnej. »Wciąż jeszcze najcięższy grzech, nie pierworodny już, lecz uczynkowy obciąża nas wszystkich« — miliony ludzi polskich bez roli, komorników i chałupników, taniego najmity szlacheckiego, bez możliwości wyjścia z brudnego bytu na komornem, — zatruwa życie odrodzonej ojczyzny groźbą rewolucji socjalnej, niebezpieczeństwem wywarcia pomsty za swą krzywdę na zubożonej szlachcie i zubożonym gburstwie. Oto jest, według Żeromskiego, chętny słuchacz agitatorów bolszewickich, ta chłonna gleba, gdzie ziarno rosyjskie nie padnie na opokę.

Pracę swą kończy pisarz określeniem natury polskiego postępu i czyni to w słowach, które, jak się wyraził jeden z krytyków, należałoby zachować w sercu i pamięci na zawsze:

»Błogostawiony jest postęp nieustanny, nieustępliwy przed niczem, dokładny, ściśle świadomy swego rozwoju i biegu, postęp, który się zaczął w naszej ojczyźnie z chwilą wyzwolenia jej z obcej niewoli. Mało go jeszcze, jak mało jeszcze szczerego złota w skarbcu polskim, ale się z dnia na dzień powiększa, jako i złoto. Postęp nie może się zamknąć w żadnej doktrynie, wyrzywa się z objęć każdej, szukając

w swych przemianach formy coraz doskonalszej, a zużywszy poprzednią, przeistacza się w inną, bardziej zbliżoną do wzorca wyśnionego. Nie może się zmieścić w szrankach żadnej politycznej czy społecznej partji, gdyż jego zadanie polega na przekształcaniu człowieka, skrępowanego powrozami doczesności na ducha wolnego, syna bożego i brata synów bożych. Nie może się zamknąć w granicach jednej warstwy społecznej, jednej karty i jakiegokolwiek zespołu, nie porzestaje nawet na jednym narodzie, lecz narody ościenne, które w dziejowem zazębieniu się o naród polski, w granicach Rzeczypospolitej zostały, obejmuje w jedno pospólne pracowisko. Nikogo nie spycha w dół, nikogo nie wtrąca do ciemnicy, nalanej krwią ofiar, wszystkim naścieżaj otwiera ten sam ustrój, zagarnia w kluby tego samego rozwoju, który zdąża w kierunku najlepszego stanu posiadania. Postęp ma własność światła, biegnącego w dal wiekuiście, i ma naturę linii prostej, która w swym niepowstrzymanym rzucie naprzód nigdy i nigdzie niema końca. Etapami jego drogi są — *praca pospólna w jasności dnia, dźwiganie wszystkiego ku dobremu, poświęcenie dla dobra braci, ofiara za siebie i bohaterstwo*“.

*

*

*

Pierwszą, w wolnej Polsce napisaną powieścią Żeromskiego, jest „*Wiatr od Morza*“. Nie wiem, czy utwór ten można nazwać powieścią. Jest to—jak słusznie podnoszono—raczej amfilada luźnych obrazów, związanych z historją naszego morza i Pomorza od czasów zamierchłej przeszłości do chwili obecnej. Przedtem jednak, nim przystąpimy do jej rozbioru, przyjrzyjmy się sprawie stosunku Polski do morza.

Dawna Rzeczpospolita nie wierzyła w plutarchowy imperatyw: *navigare necesse est, vivere non est necesse*, lekceważyła sobie niewielki stosunkowo skrawek ziemi i obszar wód, nad którym rozlega się język polski. Dlatego właśnie straciła morze. Obecnie, dzięki szczęśliwemu dla nas wynikowi wojny światowej, odzyskaliśmy je. Stoimy na bursztynowym brzegu mocną i pewną stopą, rozumiejąc dobrze jego znaczenie dla państwa, czując, że od jego posiadania zawisała jest nasza teraźniejszość i cała nasza przyszłość. Stoimy i spędzić się już nie damy. Jak pisał swego czasu Adolf Nowaczyński¹⁾ — pazurami wpijemy się i zębami wgryziemy w ten kęs ziemi.

Komuż zawdzięczamy obudzenie się tego głodu do »łyżki słonej wody?« »Nad podtrzymaniem

¹⁾ W szkicu p. t. „Komu zawdzięczamy dostęp do morza?“, ogłoszonym w „Wiadomościach Literackich“ Nr. 35/1928.

iskierek znicza nadmorskiego,—pisze Nowaczyński — starali się, nad światłem w nadbrzeżnej latarni czuwali, postulat — po stu latach odgrzebany, stale przypominali tylko i wyłącznie ludzie pióra, intelektualści, uczeni badacze, szperacze, historycy, literaci, poeci, publicyści, mole książkowe, ludzie wiedzy i ludzie imaginacji i wyobraźni«. Z ich to rąk strudzonych dostała się »wielka sprawa o morze w ręce tych polityków realnych, którzy ją potem sprezentowali, tempore belli — na Zachodzie Balfourowi i Wilsonowi«.

Nowaczyński w szkicu swym wylicza kilkadziesiąt nazwisk znanych, mniej znanych i zupełnie nieznanymi. Spłaca dług wdzięczności tym, którzy się o morze polskie troskali, przypomnieniem dzieł ich i zasług.

Jeśli chodzi o literaturę piękną, to znaczy — poezję i powieść, to twierdzić należy, że zajęła się ona nie tyle morzem, ile Pomorzem. Na tle życia gdańskiego osnuła swą »Panienkę z okienka« Deotyma, »Pieśń o Gdańsku« nucił Gomulicki, nowelą »W Gdańsku« obdarza nas Marja Konopnicka, a Kazimierz Tetmajer sądzi, że

Kto wie? Może pod mury Gdańska
Poskoczą polskie konie,
I nasza rodna pieśń ułańska
Polecą po szwadronie:
Jak wspaniała nasza postać..

Było to w czasie, gdy naród — na skutek trudów pisarskich Rzewuskiego, Kaczkowskiego, Kraszewskiego i Sienkiewicza — entuzjazmował się naszym Wschodem — Dzikimi Polami, Ukrainą, Wołyniem, Podolem. To też budzenie w społeczeństwie idei morskiej szło opornie i powoli. Nie chciało się nam jakoś zwrócić swej myśli w stronę Bałtyku.

Nie ustawali jednak w pracy, ci, co się w morzu polskim kochali i zdawali sobie sprawę z jego znaczenia dla narodu. Czesław Jankowski, Marcelina Kulikowka, Borakowski, Szczepanowski, Makowski, Buzek, Kutrzeba, Bernard Chrzanowski i wielu, wielu innych piszą, mówią, krzyczą o zapomnianym przez Polskę skrawku ziemi, o ginących pod obuchem niemieckim Kaszubach, powtarzając na swój sposób słowa poznańskiego dra Kusztelana, autora podręcznika p. t. »To i owo w morzu«: »Gdyby przodkowie nasi nie byli wciąż się od morza Bałtyckiego usuwali i gdyby morze to pozostało wyłącznie w polskim posiadaniu, nie byłaby dzisiaj Ojczyzna nasza ową Niobą narodów, a ci, co wczoraj byli lennikami Polski, nie byliby dzisiaj nam panowali«.

I ta, na poważną skalę zakrojona, akcja i propaganda ideowa, przypominająca społeczeństwu polskiemu »kategoryczny imperatyw intensywniejszego zajęcia się morzem i Pomo-

rzem« wyduje wielkie, nawet dla obcych widoczne owoce. Budzi się w duszach polskich coraz bardziej zadrzemana myśl morską. Fala zainteresowania i zaciekawienia wzrasta, przybiera na sile, aż wreszcie przechodzi w niepowstrzymany rozpęd ku morzu. Wywołuje to silnie zaniepokojenie w Berlinie — zaczęto tam bić na trwogę we wszystkie dzwony. Politycy z kanclerzem Bismarckiem na czele grzmią »przeciw tym manifestującym się historycznym pretensjom i marzeniom polskim«, a sekundują im dzielnie i pisarze sławniejsi, jak Max Halbe, Suderman, Bernhardt, von Wildern, Harden i inni. Nie pozostaje to bez oddźwięku w polskiej myśli politycznej.¹⁾

Morze polskie — jako temat weszło dopiero do literatury niepodległej Polski. W r. 1920, gdy błękitna armja generała Hallera brała kraj pomorski w nasze posiadanie, Edward Ligocki, autor »Płonącego Reims,« śpiewał

Idziemy nad polskie morze
Bóg naszej wiary strzegł...
My, ordynansy Boże,
Idziemy na Pomorze
Na bursztynowy brzeg...

Prawie jednocześnie odezwali się i prozaicy. Tenże Ligocki pisze kilka nowel. Powieści na

¹⁾ Por. z wymienionym już artykułem A. Nowaczyńskiego.

tle morza polskiego osnuli Bandrowscy, Zaruski, Sosnkowski, Grabiński. W tym samym czasie ukazują się dwa dzieła nierównej objętości, ale równej, — bardzo wysokiej wartości artystycznej — »Wiatr od Morza« i »Międzymorze«.

Jeśli chodzi o Żeromskiego, to sprawą morza i Pomorza rozegzaltowany on był gorączkowo i namiętnie na długo jeszcze przed odzyskaniem niepodległości. Nowaczyński we wspomnianym już przez nas szkicu (nawiasowo mówiąc, poświęconym czasom mniej więcej od chwili upadku Polski do r. 1918) pisze, że Żeromski jeszcze przed wybuchem wojny światowej »zaczął rozczytywać się po swojemu t. j. śmiertelnie, dzień i noc, we wszystkim, co się tyczyło Pomorza, Kaszubów, Fryderyka Wielkiego, Obotrytów, Wendów, Mazurów, — statystyka, folklor, słowniki, ciężkie prace historyczne. Z innych epok wonczas złoto do swych powieści dobywał, a w bursztynowej ziemi oburącz grzebał. Ramułt, Łęgowski, Szelański, Kujot, Gołębiowski, co mu pod rękę popadło, czytał i wchłaniał. Pomorza jeszcze nie znał, ale lubiał o morzu i Pomorzu słuchać od tych, co tam od lat bywali«.

Po raz pierwszy przypomniał nam ziemię naszą rodzoną, odwieczną, polskością nawskroś przesiąknięte Pomorze w r. 1909. Oto, co w »Róży« mówi do brata swego Benedykta — Jan Czarowic.

«Czy myślałeś kiedy w życiu o Kaszubach, o rybakach, którzy siedzą nad morzem, siedzą od wieków i dzięki którym my moglibyśmy sięgnąć do morza, stworzyć tam handel morski, mieć nawet statki handlowe? Nieprawdaż, jakie to śmieszne? My czekamy na chwilę, kiedy naszych Kaszubów Niemiec w »obcy naród przemieni« do ostatniego człowieka. Wówczas nawymyślamy w swych piśmiągach Niemcowi, który nie hołduje naszym ideałom».

Po raz drugi w »Urodzie Życia« przypomina o Pomorzu czytelnikom swym — już bez tego boleśnie gryzącego sarkazmu, ale z głęboką nostalgią, przez usta lotnika polskiego, który zabłąkał się nad Bałtyk:

»Widać było w pobliżu piaszczyste wybrzeże, pochyłe sosny na niem stały i jasne domki świeciły się z pośród zieleni... Wyteżył wzrok w tamtą stronę. Wpatrzył się w żółte, lśniące na słońcu wybrzeże. Podźwignął ręce i wyciągnął je do dalekich, dalekich domków kaszubskich, o których marzył przez całe życie. Wyszeptał: Pomorze«...

A gdy spływać zaczęły wody niewoli i gdy, jak się sam wyraża, w słońcu wiosny odślaniać się począł wielki, zapomniany, nowy ład — Polska wolna i zjednoczona — pisał w swej »Wiśle«:

»A nim zaginie (Wisła) w niedocieczonej

morza tajemnicy, wykreśla kierunek westchnieniu polskiemu, tęsknej żrenicy pokazuje cel, wspomina szlak zaginiony, zapomniany, wzgardzony, jakoby ślad brózd pośród morskiego oddechu wyoranej przez skutę Jana z Kolna, najdzielniejszego żeglarza Bałtyku, najśmielszego syna Polski, co w piętnastym stuleciu na ubogim statku wareskim pierwszy z ludzi europejskich na gruncie Ameryki stopę postawił, opłynął wybrzeże Labradoru i odkrył cieśninę Anjanu «...

I trochę dalej:

»Na piaszczystych wydmach helskiego międzymorza stoją chaty ze słomianą strzechą, mieszkanie ludu rybackiego, który naszą mówi mową i naszą śpiewa pieśń.

Opuściła go Rzeczpospolita i opuścili go panowie. Na tem morskiem pustkowiu został sam jeden, został tam, gdzie były jego praszczury.

Odwala pługiem wilgotne skiby ziemi i słucha świstu wichru, w którym ongi ponad Pucką zatoką trzepał się znak i ręka po ramię, trzymająca miecz, lub orzeł biały w czerwonym polu.

Patrzy sam jeden w te sine, dalekie wody, po których pływały okręty, w Gdańsku Sobiesławowiczów zbijane, flota gardziny Krzywoustego w dwunastym wieku, idąca na wyprawę

do Danji, statki Zygmunta Augusta i Władysława Czwartego, wypuszczone z fortecy w Pucku“...

„*Wiatr od Morza*“ — to biblja ziemi pomorskiej, szereg—jak nadmienilem już — luźnych obrazów, przedstawiających oddzielne momenty jej dziejów, to pieśń wielka o gniazdach polskich, co »przeszły mnisze, krzyżackie, świeckie, zabory, wywłaszczenia, księstwa, władztwa, królestwa, cesarstwa«, a zawsze jednakowo »stróżowały nad swoim morzem«. Utworu tego nie można zaliczyć do literatury marynistycznej w ścisłym jej znaczeniu, gdyż jak to słusznie twierdził w swoim czasie Jerzy Bandrowski, jest w nim jedynie wiatr od morza, a nie samo morze.

Biblja ziemi pomorskiej... Jest tu wszystko — od napadu Jutów na Słowian aż po objęcie tej ziemi przez Polskę po ostatnim pogromie Niemiec. Idzie pieśń za pieśnią, rapsod za rapsodem, wykute — jak to określił Stanisław Lam — »w spiżu słowa«, a wszystkie razem składające się na historję przedziwną, pełną zgrozy jakiejś i czaru poezji.

Rozdział pierwszy utworu poświęcony jest opisowi walk, jakie w czasach zamierzchłej przeszłości toczyć musieli Kaszubi, zamieszkujący ten skrawek ziemi, z zastępami chytrych, przebiegłych, a krwiożerczych Waregów, — jeden z następnych — krótkim, lecz wymownym

wzmiankom o walkach z cesarstwem niemieckim, wyciągającym po tę ziemię chciwe, pożądliwe ręce. Najzaciętsze boje, krwawe zmagania się, dalekie Słowian wyprawy, zniszczenie Turynngji, napady na Hamburg bogaty i silny. Walki z narzucanym przez Niemców chrześcijaństwem, burzenie zbudowanych przez nich kościołów i klasztorów, puszczanie z dymem założonych przez nich w lasach dziewiczych grodów, twierdz, warowni, zamków. Walki z margrafem Geronem, zaciekłym wrogiem słowiańskiego rodu, — zmierzch pogaństwa. »Powstały nowe klasztory i kościoły, pełne zakonnic i mnichów. Za mnichami i księżmi ciągnęły z Niemiec szeregi służby biskupiej, poborcy podatków kościelnych i dziesięciny, szli koloniści pod zastoną zbrojnych szeregów knechtów, okutych w żelazo. Zaczęło się na nowo wydzieranie słowianom własności na ziemi... zaczęły się na nowo sądy prawem gorącym. Obok nauki o miłości Boga i miłości bliźniego, o posłuszeństwie cesarzowi i biskupowi stanął znowu za plecami szpieg i stanęła na placu szubienica. Kapłani z krzyżem w ręku wkraczali w ciemne lasy, poprzedzając szeregi niemiłosiernych morderców. Misjonarze szli na czele zdrajców i katów, słodka wieść o miłości i odpuszczeniu winy łączyła się z nauką o prawie zdzierstwa, wywłaszczenia, wygnania i karze

śmierci za uchybienie samowoli zdobywców«...

A potem — przesuną się przed nami postacie świętego Wojciecha, komtura Henryka Balka, Mikołaja Kopernika i Jana z Kolna, Fryderyka Wielkiego i Jana Henryka Dąbrowskiego. Staną przed nami, jak żywe, obrazy rzeź gdańszczan przez krzyżaków i zwycięstwa króla Kazimierza Jagiellończyka, zachwyty szczery obudzą opisy lasów dziewiczych, wiecznie szumiącego morza, świętego i czczonego boru pod Radgastem, starych grodów i świątyń słowiańskich, jarmarku gdańskiego, pradawnych zwyczajów.

»Duch pokojowej pracy, duch patriotycznego czynu i ładu, bohaterstwa i męczeństwa, duch śmiałej wynalazczości« — oto według określenia jednego z krytyków — »linja dotychczasowa — i przyszła — dziejów polskich na Pomorzu«. Reprezentują ten duch — święty Wojciech, postać w której ekstaza religijna splata się z istic chrześcijańską miłością i poświęceniem, — Mikołaj Kopernik, według słów Żeromskiego, uciekający oczyma w wieki młodocia — w niebiosa, gdzie bezmiary gwiazd na jego wzrok czekały, — Jan z Kolna, żeglarz nieporównany, przewycięzający wszelkie przeszkody na swej drodze, — Jan Henryk Dąbrowski, noszący w duszy sen o odbudowie Ojczyzny.

Reprezentantami ducha niemieckiego są kom-

tur Henryk Balk, król Fryderyk wielki i inni, zgodnie z prawdą historyczną — uosobienia buty niemieckiej, zła, nienawiści, gwałtu, okrucieństwa. Smętek jest ich wiernym towarzyszem, — to zły duch Pomorza, to ten sam Szatan, z którym kazał walczyć Żeromski wszystkim swoim bohaterom. Poznajemy go już w pierwszym rozdziale, jako skalda, zagrzewającego pieśnią do boju krwiożerczych Waregów. Waregowie odeszli, a Smętek pozostał i przez długi szereg wieków, przybierając najrozmaitsze postacie, błąkał się po ziemi pomorskiej, kusząc i prowadząc walkę z tymi, którzy nosili w duszy swej szlachetność, ofiarność, poświęcenie. On to kusi bezskutecznie świętego Wojciecha, on to szepce do ucha Mikołajowi Kopernikowi: »W proch się rozsypuj! Zapadnij w głąb grobu! Nie dowiesz się istoty wydarzeń na niebie. Umieraj wśród złudzeń!« Ale kusi napróżno!

Utwór kończy się obrazem jego ucieczki z Pomorza. Duch polski zwyciężył. Pójdzie Smętek tam, gdzie jeszcze »naprawdę handlują ludami, ziemiami, prawami, cudzemi niepodległościami i prastarą kulturą. Tam, gdzie jeszcze kłamią w żywe oczy, mając na obliczu wspaniałą maskę nieposzlakowanej prawdy i cnoty...« Tam ofiaruje swe usługi. Bo tu, na Pomorzu, z chwilą przyłączenia go do wolnej Polski, niema już i nie będzie dla niego roboty.

Tak, — wiatr od polskiego morza, — jak się słusznie wyraził nieznany mi imiennie recen- zent — »rozdyma żagle wyobraźni i twórczości poety, który stanąwszy oko w oko ze współ- czesną Polską, umie tchnąć w nią tak niezwykłą siłę samowiedzy, potęgę zbiorowego czynu, świadomość jego potrzeby, błogosławieństwo orga- nicznego narastania, że książka nabiera charakteru jakiejś nowej ewangelji polskiej, jakichś na no- wo napisanych kart polskiego pielgrzymstwa, ale takiego, które, osiadłszy mocno na swej ziemi, skupiwszy się w sobie wysiłkiem naj- cięższych prób i doświadczeń, pielgrzymuje ku polskiemu wybrzeżu na wielką pracowitą przy- szłość...«

„*Międzymorze*“ jest jakby uzupełnieniem „*Wiatru od Morza*.“ Mówi tu poeta o pół- wyspie helskim o jego »szczętkach, pamiątkach, zgliszczach i żaliskach.« Wspomina o księciu Wartysławie Pierwszym, co założył tu pierwsze miasto, zbudował kościół pod wezwaniem świę- tego Wojciecha i zasiedlił mierzeję helską osadni- kami z Pomorza, — o bojach Bolesława Krzy- woustego, — o księciu Ratiborze, co zebrawszy koło siebie poganów, krążył po wodach Bałty- ku, jakoby król morski pośród flotyli swej, zło- żonej z pięciuset korabiów; podobno — nie bez wiedzy króla polskiego przedsięwziął wyprawę do bogatego miasta szwedzkiego Kongheli, —

o Świętopołku, księciu gdańskim, co poznawszy się na wartości krzyżackich przybyszów, stał się najzacieklejszym ich wrogiem, mówi o okrucieństwach niemieckich, wskutek których »kamień na kamieniu nie został ze słowiańskiego budowania.« »Nowe sioło niemieckie w kwitjącym stanie powstało.« A o Helu mówi niemiecka legenda to samo, co powiedziała »po zbrodni Dominika o Gdańsku, iż mieszkańcy dobrowolnie stare domostwa spalili, i zniszczyli, i na inne się miejsca przenieśli...«

»Nie umiera nigdy zbrodnia, kiedykolwiek była dokonana, przed tysiącleciem, czyli dzisiaj nadedniem.« A my, polacy, odzyskawszy prastarą ziemię — czyliż mamy tylko na echo zbrodni chciwego ucha nastawiać? O, nie! »Trzeba ucho nastawić na głos dzwonów, bijący z wieży nowej, ze świątyni przyszłości.«

Nie z uczuciem zemsty, nie z pragnieniem odwetu wracamy po latach wielu na tę ziemię.

»Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy tu krzywdy. Przynosimy zapomnienie, odpuszczenie i pokój. Przynosimy dobro i pracę!..

Panującym tonem w tej opowieści jest radość, pogoda, triumf. Gruba chmura, co całunem spowijała duszę poety w okresie niewoli, odwinęła się o poranku zmartwychwstania..

»Wiatr od morza« był jedyną powieścią, jaką napisał Żeromski w pierwszym pięcioleciu naszej politycznej wolności. Na dorobek jego artystyczny za ten czas składają się znane już nam — krótsze i dłuższe — szkice publicystyczne tudzież kilka utworów dramatycznych, a mianowicie — „*Biała rękawiczka*“ — „*Ponad śnieg bielszym się stanę*“, — „*Turoń*“, wreszcie, — powstała coprawda trochę później, bo już w drugim pięcioleciu — komedia trzyaktowa p. t. „*Uciekła mi przepióreczka*“.

Teatr pociągał ku sobie Żeromskiego od najwcześniejszych lat jego młodości. Zainteresowanie się sceną zrodziło się w duszy jednocześnie z obudzeniem się żyłki pisarskiej, — w młodzieńczych swoich »snach o pióropuszcach sławy« sięgał po wawrzyny nie tylko do dziedziny powieści, lecz także i na scenę. Wiemy o tem z cytowanych poprzednio ustępów »*Puszczy Jodłowej*« — gdzie opowiada nam o swych pierwszych krokach w tym kierunku (»*Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione...*») Z biegiem lat »*pasja*« ta rosta, przybierała na sile. Różnemi jednak względami powodowany, moment wtargnięcia się w dziedzinę teatru odsuwa Żeromski w przyszłość coraz dalszą. W ciągu pierwszych piętnastu lat swej dojrzałej już działalności pisarskiej (1894 — 1909) ogranicza się, jak wiemy, wyłącznie do

nowel i powieści. O teatrze jednak myśli stale i wiele. Świadczyć o tem może do pewnego stopnia i ten znany z życiorysu fakt, że w latach 1905—1907, w okresie naszych poczynań rewolucyjnych, w działalności swej społecznej nie ograniczał się jedynie do niesienia pomocy materialnej i moralnej ówczesnym działaczom politycznym, że dał się poznać nie tylko jako fundator i twórca wzorowej szkoły w Nałęczowie i koła oświatowego p. n. »Światło«, lecz także jako organizator przedstawień teatralnych z ludem i dla ludu. W powstałym w wolnej już Polsce »Snobizmie i postępie«, walcząc o tak zw. teatr ludowy, pisze o czasach nałęczowskich: »Ponieważ tą sprawą zajmowałem się pilnie w ciągu znacznego przeciągu czasu i zdobyłem w tej dziedzinie niejaki doświadczenie, chciałbym tutaj poczynić pewne uwagi. Grono rzemieślników, ludzi najprostszych, ledwie umiejących czytać, grało »Dziadów« część trzecią, coprawda po półrocznem ćwiczeniu ich przez doskonałego kierownika, artystę rzeźbiarza G., — w szopie na polu, przeznaczonej w normalnym porządku rzeczy na skład kartofli, grało w sposób niezrównany, wywierający głębokie wrażenie na widzów tej miary, co Bolesław Prus, Ignacy Matuszewski, Dr. Mieczysław Biernacki... Grano również »Wesele« Wyspiańskiego, oświetlając dzieło odczytami i wykładami.«

Tak bliskie podejście do teatru i tak pilne z nim obcowanie upoważniło niejako Żeromskiego w latach 1909 — 1910 do podjęcia pierwszej próby opanowania sceny. W tym czasie bowiem rzuca w szeroki polski świat swoją »Różę« i »Sułkowskiego«. Triumfu jednak, ani częściowego nawet zwycięstwa nie odnosi. Przeciwnie, spotyka się z niepowodzeniem i to niebylejakim. Krytyka wprawdzie wyraża swe uznanie, a nierzadko i entuzjazm, dla strony ideowo-stylistycznej tych utworów, nie szczędzi jednak jednocześnie ani zastrzeżeń, ani nie mniej słusznych przygan dla ich strony scenicznej. Jedną z głównych wad tych utworów pod tym względem była przewaga liryzmu, rozlanego ręką zbyt hojną. »Róża« w dodatku, składająca się z 10 obrazów z prologiem i epilogiem i wymagająca aż 12 zmian w dekoracji scenicznej nie da się — jak to słusznie podnoszono — »zamknąć w granicach kulis i rampy i jako »skarga straszna« powinna i nadal przemawiać do nas z książki...«

Niepowodzenie to zmusiło Żeromskiego do nawrotu na stare, całkowicie już opanowane szlaki. Wraca do powieści. Jednocześnie jednak uczy się teatru w dalszym ciągu, stara się za wszelką cenę zgłębić jego tajniki. Następną próbę zawładnięcia teatrem podejmuje w dziesięć z górą lat później, w wolnej i niepodległej już

Polsce. Prawie jednocześnie, bo w krótkich bardzo odstępach czasu, daje nam aż trzy utwory dramatyczne, a mianowicie »Ponad śnieg« (1920) »Białą rękawiczkę« (1921) i »Turonia« (1923). I teraz jednak spotyka się z niepowodzeniem. Krytyka wprawdzie podnosi z uznaniem, że utwory te w porównaniu z »Różą« i »Sułkowskim« są znacznym krokiem naprzód i nie ukrywa swej radości, że Żeromski »z wprawą zdołał już potraktować intrygę miłosną«, nie szczędzi jednak i tym razem znanych mu już zarzutów i przygan. Podnosi więc, że Żeromski nie umie jeszcze »wyzbyć się błędów z prac poprzednich«, — nie potrafi jeszcze zapobiec załamaniu się akcji w aktach środkowych i że w wielu wypadkach wykazuje »zadziwiającą nieporadność sceniczną«¹⁾

To nowe niepowodzenie zaskoczyło Żeromskiego, dotknęło go boleśnie. Zaskoczyło, dotknęło tem bardziej, że miał już za sobą — jak sam się wyraża »niejakie doświadczenie«. I tu właśnie szukać należy przyczyn i usprawiedliwienia słów, pełnych głębokiej niechęci do ludzi, stojących »na straży praw teatru«, słów, które umieścił w swym »Snobizmie i postępie«. »Jeżeli w jakiej sferze artystycznej Polski

¹⁾ Przytoczoną wyżej opinię krytyki powtarzam za p. Stefanem Papee, (por. jego — „Teatr Żeromskiego“ Poznań 1926 r.

współczesnej snobizm święci triumf najwyższy, to w teatrze oraz w tej atmosferze. która teatr otacza. Wszystko w tej krainie jest snobistycznym tabu... Można bez przesady powiedzieć, iż dziedzina teatru jest samym czystym snobizmem w stanie zgęszczonym, — i to zarówno twórczość sceniczna, sceniczna realizacja twórczości, *a nadewszystko krytyka*. Kto chce do tego świata wtargnąć, musi przestać być samym sobą, stać musi się naśladowcą, przedrzeźniaczem kanonów, kopistą, trzymać się kodeksów i przepisów, dodatków do przepisów i zwyczajów urojonych, których przekroczyć nie wolno. Stan taki panuje nadewszystko w Warszawie, która od niepamiętnych czasów, od samego przedwiośnia romantyzmu jest miejscem pobytu i działania i słynie z kutyh na cztery nogi »krytyków i recenzentów«...

Głęboka niechęć pisarza do tych, jak się sam wyraża — »rozdawców łaski i niełaski«, do »niezrównanych wodzirejów estetycznych«, piszących »ciepłe, pełne nieklamanej sympatji studja o sobie« lub też wywodzących »kanon estetyczny z antysemityzmu«, — nie mniej głęboka odraza do »biegłych«, których przymioty indywidualne »utopione są w jednym żywiole, w ramie tak zwanych, »praw teatru«, których znajomość ci wyjątkowi eksperci teatralnego interesu w pełni posiadają«, — ta niechęć

i ta odraza powstawała w pisarzu i wzrastała w miarę niepowodzeń, z jakimi się spotykały jego utwory dramatyczne: »fachowcy teatralni« przyjmowali je, — jak wiemy już, — »z mnóstwem zastrzeżeń, przygan, niezawodnych porad, ze słodyczą wyrozumiałej pobłażliwości i wyższościomagów, odslaniających przed laikiem kilka świętych prawd tajnej wiedzy«. ¹⁾

Czy poczynione przez krytykę teatralną zarzuty, zastrzeżenia i przygany były słuszne? Istotnie — trudno im odmówić słuszności. Teatr bowiem istotnie posiada swoje prawa, których przekraczać lub negować nie mogą ludzie, myślący poważnie o jego opanowaniu. Niezmienne zasady w zakresie dialogu, sytuacji, techniki i wogóle rozplanowania efektów scenicznych wymagają specjalnych uzdolnień, dają się poznać powoli i z trudem. Teatr wymaga niezwykle bliskiego podejścia, nie pozwala nawet najbardziej genialnym twórcom łamać swoich zasad i prawideł, wymagających matematycznej nieomal budowy utworów. A Żeromski wykazywał właśnie jeśli już nie nieznanomość tych prawideł, to przynajmniej brak chęci do zastosowania się do nich. Dopiero komedją o »Przepióreczce« — odniósł Żeromski walne zwycięstwo nad krytyką i nad sobą. Zmusił »korepetytorów« w zakresie piękna i smaku« do kornego uznania,

¹⁾ Por. — St. Papée — „Teatr Żeromskiego.“

a równocześnie, nie przestając »być samym sobą« nagiął talent do lekceważonych początkowo »praw teatru«.

Wołania krytyków i recenzentów, — »rodawców łaski i niełaski« nie przebrzmiały więc bez echa. Żeromki, przysłuchując się im i obserwując jednocześnie przez kilka lat najlepsze polskie sceny, zgłębił te napozór tylko niedostępne tajniki, zaznajomił się wszechstronnie w problemami sztuki teatralnej i stworzył w rezultacie prawdziwe arcydzieło.

W „*Białej rękawiczce*“ podjął Żeromski próbę zdyskredytowania moralności, panującej w pewnych sferach społeczeństwa polskiego.¹⁾ Wszystkie warstwy mają tu swoich reprezentantów — Martwicowie — są przedstawicielami zrujnowanej i zubożałej arystokracji, — Mielscy — wyrosłej na paskarskiej glebie plutokracji, dr. Olszycki — reprezentuje inteligencję, Rypski zaś Fredzio i Tasak — warstwy najniższe — proletarjat. Największym i jedynym ich ideałem jest pieniądz. Nie widzą nic poza nim. Życie ich, będące zbyt może jaskrawym wyrazem pogoni za pieniądzem, pogoni, przedzającej się w bandytyzm, nie tylko w sferach najniższych, lecz i u góry, — splata się w całość, które w widzu czy czytelniku nie może wzbudzić nic, oprócz głębokiej niechęci i odrazy. Tragikomedja ta w dorobku artystycznym Że-

¹⁾ Por.: T. Wojeński. — Str. 115.

romskiego nie posiada większego znaczenia i dlatego rozpisywać się o niej dłużej nie będziemy.

Nie o wiele wyżej stanął pisarz i w dramacie „*Ponad śnieg bielszym się stanę*“, związanym bezpośrednio z wypadkami r. 1920, — z ofensywą bolszewików na Polskę. »Zdawaćby się mogło, pisze o tym dramacie p. Julian Bronowicz, — że w danym razie uczucie i wyobrażenie porwać powinien był przede wszystkim błysk młodzieńczego, dziecięcego niemal bohaterstwa na tle »snobizmu wojennego« i łamiącej wszelkie snobizmy, tchórzowskiej paniki. Albo też piękny wątek dramatyczny, — rozdwojenie psychiczne młodego robotnika między dwoma wrogimi sztafardami, z których każdy posiadał część jego duszy. Zamiast tego spotykają nas w »Ponad śnieg« znane już nam »dramatis personae«: dwór szlachecki, chłopi, odwieczna krzywda, nienawiść«.

Tak pisze i tak sądzi wielu krytyków. Istotnie, zawierucha, jaka przeszła nad Polską w r. 1920, mogła pobudzić do snucia wielu rozmyślań i stworzenia pomysłów artystycznych stokroć piękniejszych od tych, jakie wymienia p. Bronowicz. Nie można mu odmówić słuszności. Nie należy jednak zapominać, że Żeromski trudy swoje uważał przede wszystkim za służbę narodową. Z tego właśnie powodu nie poraz pierwszy zrezygnował ze swych praw. I w tym wypadku również był tylko doboszem,

który »biegnie bez tchu obok spracowanego szeregu, znany takt wybijając pałkami«...

Wraca tu Żeromski do myśli i idei, znanych już nam ze szkiców publicystycznych. Rewolucję społeczną uważa za największe i najgroźniejsze dla Polski niebezpieczeństwo, liczy się z możliwością jej wybuchu i wzywa do usunięcia zła, które wybuch spowodować mogą. Podnieść warstwy najuboższe na wyższy poziom ekonomiczny, oddać ziemię bezrolnym nędzarzom oto — według Żeromskiego — zadanie najpilniejsze a zarazem i środek niezawodny przeciw rewolucji. Trzeba ustrojowi, jakie wytworzył się w Rosji wskutek przewrotu komunistycznego, przeciwstawić w Polsce ustrój wyższy, lepszy, szlachetniejszy.

Myśl tę wypowie Żeromski przez usta bohatera dramatu Wincentego Rudomskiego: »Musimy w pełni i w całej rozciągłości osiąść tę zasadę, w której imię oni zamierzają z nami walczyć. Musimy tę zasadę uczynić wyższą, lepszą, mądrzejszą. Musimy im z rąk tę broń wydrzeć«... »Musimy hasło tych, którzy na nas idą, przewyższyć naszą wewnętrzną reformą«...

Wincenty wierzy, że stać na sna to. I w konsekwencji zrzeka się swego majątku na rzecz wiejskich nędzarzy, zdobywa się, jak to określa Żeromski w »Początku świata pracy«, — na mądrą, dobrowolną, chrześcijańską ofiarę, przy czem pojmuje ją, jako »akt pokuty czynnej

za wszystko, cośmy kiedykolwiek wykonali złego«.

W szlachetnym czynie Wincentego znalazła wyraz głęboka wiara Żeromskiego w możliwość takiego wewnętrznego przeobrażenia się całej Polski. »To Polska z mogiły wstała — mówi Rudomski do oficera bolszewickiego. To ona, wielki i wzniosły wasz wróg, święty Jerzy, który wewnętrzną świętością, cnotą i potęgą porazi w was smoka wiekuistej waszej moskiewskiej tyranji!«

Te same myśli i te same ideje, w inną tylko obrane formę, idą do nasze scen powstałego w trzy lata później „*Turonia*“. Przenosi nas tu Żeromski w czasy ponurej rzezi galicyjskiej w r. 1846. Przeraża nas krwawym upiorem Jakóba Szeli, który mówi o sobie: »jam jest za wszystkie wieki waszych zbrodni — kara!« — »Żebym z was wytoczył, ilu was tu jest, wszystką krew, żeby się rowami dróg lała, jeszczeby ta krew nie zmasała waszej winy a naszej krzywdy!«

Jakiż jest stosunek Żeromskiego do tego ruchu chłopskiego? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w słowach jednego z bohaterów dramatu: »Oni się burzą, pomstują, wyklinają, — ale przecież moją słusność«...

Nie jest jednak «*Turoń*» apologią, — to tylko ostrzeżenie dla współczesności, przypomnienie, zwrócenie uwagi.

W komedji p. t. „*Uciekła mi przepióreczka*„ młody dr. Przełęcki, twórca uniwersytetu regionalnego w Porębianiach, wzbudził głęboką miłość w sercu nauczycielki wiejskiej pani Smugoniowej i sam się w niej zakochał gorąco. Obojgu kazał Żeromski przez czas dłuższy kryć się z tą miłością przed sobą. Nagle jednak uczucie, niby wezbrana rzeka, przerwie w duszy Smugoniowej wszelkie tamy i wyleje się na zewnątrz. Cicha spowiedź i potem prośba: »Chcę pana błagać, żeby pan wyciągnął swe ręce, żeby pan nałożył swe ręce na moją głowę i zdjął ze mnie opętanie«... »Jest dziwny urok — pisze p. Papee — w tej chwili wyjątkowej podwójnego egzorcyzmu, kiedy dwoje ludzi, z siłą żywiołu ciągnących ku sobie, ucisza biedne serca. »Dobry zwiastun«, »świelłany goniec ze świata«, któremu ufa bezgranicznie i Smugoniowa i Smugon, rozwiązuje najtrudniejszą zawisłość życia ich trojga, ratuje ukochaną przez nich ideję regionalnego uniwersytetu w Porębianiach, wraca mężowi żonę, Dorotę odwraca od siebie, a to wszystko za cenę podeptania nogami złotej swojej sławy...«

* * *

Z tej samej troski, która podyktowała Żeromskiemu szkice publicystyczne oraz dramaty »Ponad śnieg« i »Turoń« wyrosła i ostatnia powieść p. t. „*Przedwiośnie*“. W życiorysie pisarza sporo miejsca i uwagi poświęciliśmy

genezie i intencjom tego utworu. Tu więc ograniczymy się jedynie do nieznanych nam jeszcze szczegółów.

Powieść rozbita jest na trzy części. W pierwszej, noszącej tytuł »Szkłane domy«, opowiada nam Żeromski o przeszłości bohatera, o jego raczej dzieciństwie i pierwszej młodości. Jest nim Cezary Baryka, syn wyższego urzędnika w kopalniach nafty w południowo-wschodniej Rosji. Dzieciństwo upłynęło mu — jak mówi autor — w ramionach matki i ojca, na ich kolanach, pod ich rozkochanemi oczyma. Nie mogło to jednak uchronić chłopca przed wpływami rosyjskimi — powoli, lecz skutecznie nasiąkał on duchem rosyjskim. Z chwilą wybuchu rewolucji komunistycznej stał się gorącym wyznawcą jej haseł. Nie trwało to jednak długo. Ciężkie przejścia, śmierć matki i bezpośrednie zetknięcie się z gwałtami i okrucieństwami rewolucji pogłębiły jego duszę i zbudziły w nim poczucie odrębności narodowej. Mając lat około dwudziestu wraca a raczej jedzie do Polski, nie był tam bowiem nigdy i strony ojczyście zna tylko z opowiadań rodziców. Ojciec po drodze opowiada mu o szklanych domach, jakie rzekomo buduje w Polsce wolnej ich imiennik, inżynier Baryka, przekształcając w ten sposób zewnętrzne oblicze Ojczyzny.

Opowieść o tych domach ma charakter symboliczny. Jest to artystyczny wyraz naszej

tęsknoty i naszych marzeń o Polsce wolnej i niepodległej. Wierzyliśmy święcie, wierzyliśmy niezachwianie, że radosny cud zmartwychwstania zwielokrotni nasze siły i że własnymi rękoma dokonamy cudu nie mniej wielkiego. Wierzyliśmy niezachwianie, że z chwilą odzyskania niepodległości stłumimy w sobie wszelkie samolubne pragnienia, że złożymy na ołtarzu ojczyzny największe swe świętości, że, pamiętać będziemy nie o sobie, lecz tylko o Niej, — że zbudujemy arkę wielką, wspaniałą i w zgodnym wysiłku wydzwigniemy ją na szlaki nowe, na jakich nie była jeszcze nigdy.

Słusznie też pisał o tem w rozprawie swej o »Przedwiośniu« p. Julian Bronowicz: »Ta sprawa nie jest taka prosta. Męczeńska pielgrzymka Baryków do kraju przez nieobjęte stepy rosyjskie, pod surowem władztwem niezrozumiałego, straszliwie obcego żywiołu, jest nietylko podróżą w przestrzeni, ale zarazem wyobrażeniem pielgrzymki w czasie, innego męczeńskiego szlaku — tego, którym tęsknota gnała ku Polsce niepodległej szereg wymarłych pokoleń. Tylko w tem rozumieniu opowieść o »Szkłanych domach« nabiera właściwej treści.. Pokolenia całe pielęgnowały ideję Polski niepodległej i musiały ją myśleć w kształtach i barwach tak różnych od rzeczywistości w których żyły, jak Barykowa Polska szklanych domów różni się od Polski trędownych miasteczek i zapleśniałych wsi.

Niedarmo wszak utarło się w ciągu dziesięcioleci zwalanie na zaborców winy i odpowiedzialności za wszystkie ułomności materialne i duchowe, za wszystkie rany i wrzody życia polskiego. Musiał wytworzyć się »mit« zmartwychwstania politycznego, wiara w cudowne następstwa samoistności państwowej. Kto z patriotów okresu niewoli narodowej ośmieliłby się, na przykład, podać w wątpliwość, że rząd narodowy, ów cel tylu rojeń, planów i spisków, będzie się składał z najlepszych i najzdolniejszych w kraju ludzi, że będzie wogóle najlepszy z możliwych rządów? Jeżeli w innych krajach u steru rządów znajdują się ambicje prywatne, cynicznie brutalne interesy jednej klasy lub wprost koterje na żoździe potęg finansowych, to dzieje się tak dlatego, myślał patriota polski, — że nie umieją oni cenić skarbu niepodległości. Równie pewnem i niewątpliwem dla czołowych bojowników owych czasów zdawało się i to, że patriotyzm w chwili odzyskania ojczyzny buchnie przeogromnym płomieniem, przepali, stopi egoizm jednostek i klas społecznych; miliony staną zgodnie do pracy dla ogółu, jasność dobrobytu i oświaty opromieni całą Polskę«.

Cóż ujrział w Polsce Cezary Baryka? Szklanych domów nie znalazł nigdzie. Przemierzywszy, jako żołnierz, [własnymi nogami](http://cin.org.pl) spore połacie kraju, widział jedynie wsi i miasteczka, pełne

niezgrantowanego bajora, chatki nędzne o drzwiach i oknach, zabryzganych błotem, słomą kryte, niskie, małe. »Głębokie błoto traktu wlewać się zdawało w podwórka i łączyć, spajać z gnojówkami. Nieznośny smutek na widok nędzy bytowania ludzkiego wśród tych bajorzysk i gnojówek powiał na Cezarego.«

Tak wyglądała Polska zewnątrznie. A wewnątrz? — ani trochę nie lepiej, może nawet gorzej jeszcze. Baryka, zagłębiając się w życie polskie, poznając więcej ludzi i więcej obserwując faktów, popadał w coraz większą niechęć do całego zespołu polskiego. Nie będziemy jednak przeprowadzać szczegółowej analizy, gdyż »Przedwiośniu« dość miejsca i uwagi poświęciliśmy w życiorysie pisarza. Do tamtych kart więc czytelnika odsyłam. Tu zwrócę jedynie uwagę, że przypadkowe zetknięcie się Cezarego z grupą młodych komunistów polskich podważyła ostatecznie słabnącą już w nim wiarę w Polskę i naród polski i wciąga go w wir antypaństwowej roboty komunistycznej. Powieść kończy się obrazem manifestacyjnego pochodu biedoty wielkomiejskiej na Belweder w Warszawie. Cezary Baryka kroczy na czele zbiedzonego tłumu.

Cóż chciał powiedzieć przez to Żeromski? Stwierdził oto, że stęchlizna ideowa Polski popycha bardziej gorącą i wrażliwą młodzież w objęcia komunizmu. Chcąc uchronić ją przed tym rozpaczliwym krokiem, należy dać jej jakąś

wielką ideę, większą, lepszą, szlachetniejszą, promienniejszą, niż komunistyczna.

»Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać, jak powietrzem. Tu jest zaduch! Był tego wielkiego państwa, tej złotej ojczyzny, tego świętego słowa, za które umierali męczennicy, był Polski — za ideję! Waszą ideją jest stare hasło niedołęgów, którzy Polskę przełajdaczyli — »jakoś to będzie..«

Powieść ta wywołała w Polsce, jak wiemy, wielką i gwałtowną burzę. Dlaczego? Zajrzyjmy na chwilę do »Róży«. Jest tam takie zdanie: »My, polacy, lubimy żyć cieniami kłamstwa i prawdy. Jest to nasz system filozoficzny, nasza narodowa mądrość stanu«.

Żeromski powiedział w »Przedwiośniu« nagą, bolesną, przykrą prawdę. Więc — czyż mogło się obejść bez burzy? Posądzenie jednak pisarza o sprzyjanie komunizmowi jest taką samą nedorzecznnością i niesumiennością, jak naprzykład, wmawianie w bezkrytyczny naogół tłum polski przez szczwanych i kutyh na cztery nogi polityków, że najofiarniejsi, najszlachetniejsi z pośród nas, który pracowali dla Polski przez całe życie — dążą obecnie do osłabienia jej i nawet zniszczenia.

My znamy Żeromskiego — wiemy, co miał na myśli, pisząc scenę pochodni na Belweder. Nie sprzyjanie komunistom, lecz tylko troska o Pol-

skę. I wiemy napewno, że gdyby losy pozwały mu żyć jeszcze lat parę — to w drugiej części »Przedwiośnia« ujrzelibyśmy Cezarego Barykę, kroczącego nie ku czerwonemu Kremlinowi, lecz — jak to ktoś słusznie podnosił już — ku domom szklanym — jak to wyraził się jeden z recenzentów — drogą nie rewolucji, co gasi życie, lecz drogą ewolucji ducha, drogą żmudnej pracy nad Polską.

W „*Puszczy Jodłowej*“, pisanej jakby w przeczuciu zgonu, wyraża Żeromski głęboką swą troską, by tego »siedliska bogów starych« nie ruszyły w imię jakichś nowych praw siekiery drwalów. Twierdzi, że puszcza nie należy do nikogo, że jest »nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta«, a przez to i nietykalna. Odmalował ją przytem z taką siłą, w takiej świeżości i krasie, że — zdaje się — słyszymy jej szum, wdychamy w płuca przesiąknięte jej wonią powietrze. Do poświęconych jej kart w »Popiołach«, — »Echach leśnych«, — »Walgierzu Udałym« dorzucił jeden jeszcze, tym razem najpiękniejszy opis.

Słusznie też w dwa lata po śmierci pisarza nazwano ją »puszczą Stefana Żeromskiego« i otoczono taką troską i opieką, by zgodnie z jego życzeniem szumieć mogła przez długie jeszcze wieki.

Pisałem w Złoczowie, w roku 1929.

Zakończenie.

Oddając pracę swą w ręce czytelników chcę raz jeszcze podkreślić, że z powodu szczupłości danych biograficznych o Żeromskim w życiorysie pisarza (do r. 1901—1902) opierałem się prawie wyłącznie na pracy p. St. Piołun-Noyszewskiego. Jest to, jak dotąd, jedyna, bardzo szczegółowa i na źródłach z pierwszej ręki oparta monografia o pisarzu. Tem się tłumaczą dość liczne z niej cytaty. W inojem opracowaniu na stronach 14—17, 23—32, 42—47, 53—54, 75—77, 87—89, 93—102, 110—111, 147—150, 154—162, 170—178, 197—207 przytaczam fakty zapożyczone od p. Piołun-Noyszewskiego. Uwagi w odsyłaczach — nierzadko bardzo szczegółowe, — mówią o zapożyczeniach z dzieł innych autorów (tak w części I-szej, poświęconej życiorysowi, jak i w II-iej, poświęconej twórczości Żeromskiego). Tu podkreślę jedynie, że do prac, jakie przy pisaniu miałem stale pod ręką i z jakich korzystałem najczęściej — należą — W. Feldmana »Współczesna literatura polska«, — Brücknera »Dzieje literatury polskiej«, tuż monografie W. Jampolskiego, T. Wojeńskiego : szkice krytyczne Matuszewskiego.

INSTITUT

ADAŃ LITERACKICH

BIBLIOTEKI

20-330 Warszawa

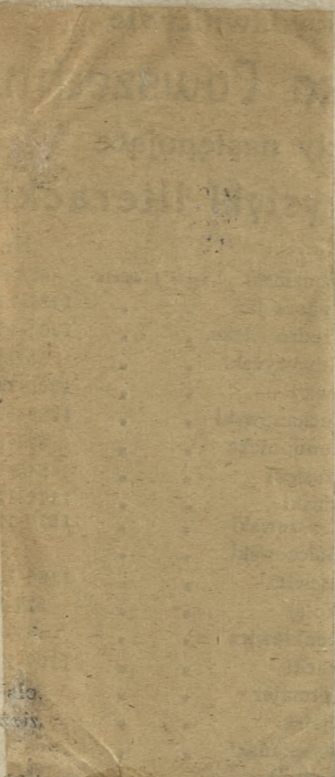
Tel.

<http://rcin.org.pl>

Instytut Literatury, ul. Chałubińskiego 1, Warszawa

I.L.W.

16580



W wydawnictwie

Biblioteka Powszechna

wyszły następujące

Charakterystyki literackie

	Nr.
<i>Chmielowski P., Brodziński</i> tytuł i dzieła	431-432
<i>Kucyński Wł., Długosz Jan</i> . .	1137-1139
<i>Mazanowski M., Fredro Aleks.</i> . .	1201-1204
<i>Mazanowski M., Goszczyński</i> . .	651-652
<i>Stodor A., Kasprowicz</i> . .	1205-1207
<i>Mazanowski A., Kochanowski</i> . .	1208-1209
<i>Mazanowski A., Konopnicka</i> . .	871-874
<i>Mazanowski A., Krasicki</i> . .	340-341
<i>Brückner A., Krasiński</i> . .	1112-1114
<i>Mazanowski M., Kraszewski</i> . .	1210-1213
<i>Mazanowski M., Malczewski</i> . .	227
<i>Brückner A., Mickiewicz</i> . .	1106-1108
<i>Janik M., Rej Mikołaj</i> . .	521-528
<i>Chmielowski P., Sienkiewicz</i> . .	427-428
<i>Brückner A., Słowacki</i> . .	1109-1111
<i>Mazanowski A., Tetmajer</i> . .	832-833
<i>Mazanowski A., Ujejski</i> . .	284
<i>Mazanowski A., Wyspiański</i> . .	602-603
<i>Zdziarski St., Zaleski B.</i> . .	485-486
<i>Malinowski Wł., Żeromski</i> . .	1188-1197

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

K

16580